

KRZYSZTOF BONK

KREW SIÓSTR

- SREBRNA -



Krzysztof Bonk

KREW SIÓSTR

- SREBRNA -

*O TYM, CO ZOSTAŁO ZRODZONE Z MIŁOŚCI,
A CO Z NIENAWIŚCI*

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna

PROLOG

I. SREBRNA

II. ALABASTER

III. SREBRNA

IV. ALABASTER

V. KASZTAN I RUDA

VI. SREBRNA

VII. ALABASTER I CHAMOIS

VIII. CZARNA

IX. KASZTAN I RUDA

X. SREBRNA

XI. ALABASTER I EKRU

XII. RUDA I KASZTAN

XIII. CZARNA

XIV. SREBRNA

XV. ALABASTER, EKRU I CHAMOIS

XVI. KASZTAN, RUDA, ZIELEŃ I SEPIA

XVII. CZARNA

XVIII. SREBRNA I ŻŁOTA

XIX. OONN

XX. SREBRNA

XXI. CZARNA, KASZTAN I RUDA

XXII. EKRU

XXIII. SREBRNA

XXIV. ŻŁOTY

XXV. CZARNA

XXVI. SREBRNA

XXVII. ŻŁOTY

XXVIII. ALABASTER I BATRAS

XXIX. KASZTAN, RUDA I ZIELEŃ

XXX. CZARNA

XXXI. SREBRNA

XXXII. ŻŁOTY

XXXIII. KASZTAN, RUDA I ZIELEŃ

XXXIV. SEPIA DE BRUTON

XXXV. SREBRNA I ALABASTER

XXXVI. EKRU

XXXVII. CZARNA I BRUNATNA

XXXVIII. ŻŁOTY

XXXIX. SREBRNA, KASZTAN, RUDA I ZIELEŃ

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-8166-049-5
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2019
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa dozwolone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy dozwolone.

Konwersja do epub i mobi [A3M](#)
Więcej ebooków i audiobooków znajdziesz na chomiku [JamaNiamy](#)

PROLOG

Zapomniana legenda, której i tak nikt nie dałby dziś wiary, wydartą została z ludzkich umysłów przez czas naznaczony cierpieniem, śmiercią i upadkiem wszelkiej nadziei. Tak oto legenda spoczywa już tylko zapisana na zakurzonych zwojach w zamkniętej od wieków krypcie upadłego zakonu. Jednak nakreślone na woluminach prastarym językiem słowa, prawią jednoznacznie o siódemce sióstr krwi, które narodzą się, by na przeklętym kontynencie Unton zaprowadzić po wiekach wojen tysiącletni pokój. Lecz zwieńczyć swe dzieło będzie mogła tylko jedna z nich, podczas gdy jej rodzeństwo pochłonie nicość, zapomnienie i śmierć. Wszak czy ktoś może dać wiarę legendom, tym niegdyś smętnie snutym przez siwowłosych starców opowieściom, które obecnie przykryły pajęczyny, kurz i pył? Być może kimś takim jestem jeszcze na tym świecie właśnie ja. I choć z postępującą starością nadchodzi mój nieuchronny kres, to jako ostatni wciąż wierzę w moc sióstr krwi. W każdym razie jedną z nich, mianowicie tą, która ma szansę przewyciężyć przekleństwo i zostać... przekonaj się kim.

I. SREBRNA

Spokojny przedświt właśnie minął i na wschodnim horyzoncie czernię nocy rozświetlił rozlewający się tam jaśniejący blask wschodzącego słońca. Z tą chwilą odwiecznego pokonywania mroku przez światło, nie otwierając oczu, Srebrna odczuła subtelny pęd powietrza przy skroni. Sprowokowało ją to do wykonania zgrabnego uniku i cięcia po skosie dwuręcznym mieczem w kierunku domniemanego przeciwnika. Ciszę poranka przerwał metaliczny łoskot zderzającej się klingi ze stalowym trzonkiem topora. Wobec zablokowanego ciosu dziewczyna błyskawicznie ukucnęła i wykonała zamaszyste cięcie po łuku. Tym razem jej atak przeszył jedynie chłodne rzeźkie powietrze.

Następnie Srebrna zastygła w gotowości na lekko ugiętych kolanach i pochylonej sylwetce, ściskając kurczowo rękojeść gotowego do użycia miecza. Na przemian głęboko nabierała przez nos wilgotne powietrze do płuc, to wydychała z ust kłęby pary. Starła się ze wszystkich sił zintegrować w sobie zmysły i uczynić z nich jeden, uniwersalny, który uczyni ją niepokonaną, nawet gdy zostanie zwiedziona przez wzrok, słuch, czy oszukana przez węch. Dlatego trwała nieprzerwanie z zamkniętymi powiekami, gotowa polegać wyłącznie na samej sobie. Albowiem w głębi swej istoty musiała pozostać niezłomna i nieuległa pomimo wszelakich przeszkód czy przeciwności. Zaś skoro tak, to odrzucała bezwzględną ufność w zwodnicze zmysły, poszukując w sobie ich doskonalszej i zespolonej wersji:

- „Moje uszy są moimi oczami.
- Mój węch i smak w jedności spotkane.
- Moje oczy są moimi uszami.
- Wszystkie me zmysły w jeden stapiane” – recytowała w duchu. Aż raptem dotarł do niej gwałtownie przybliżający się tętent, zdawało się, końskich kopyt. Wtedy wiara we własną jedność uległa u niej zachwianiu, a w spokojny dotąd umysł, niczym grot strzały, wdarła się raptem

niepewność. W konsekwencji pod nagłym wewnętrznym przymusem dziewczyna szybko otworzyła swe wielkie srebrzyste oczy.

Na rozległej polanie, gdzie przebywała, dostrzegła gnającego wprost na nią jeźdźca w kolczudze, wymachującego zamasyście kolczastą buławą. W ostatniej chwili ratowała się przed stratowaniem rozpaczliwym susem w bok. Przekoziółkowała po wilgotnej trawie i wstała. Lecz wówczas, jak spod ziemi, wyrósł tuż przed nią odziany w futra rosły wojownik i w mgnieniu oka przystawi do jej gardła ostrze topora. Uzbrojona para zastygła tak dłuży czas, aż Srebrna, zdając sobie sprawę ze swej porażki, zrezygnowana odrzuciła miecz. Głęboko westchnęła i ciężko usiadła na pobliskim pniaku.

– Znowu dałam się zaskoczyć... – szepnęła pustym głosem, jakby sama do siebie, chowając nad wyraz delikatną, jak na wojowniczkę, twarz w dłoniach. A zaraz poczuła na ramieniu silny uścisk i usłyszała z męskich ust słowa pociechy:

– Walczyłaś naprawdę... sprawnie i to od samej północy w mroczny nów.

– Ale pokonał mnie jasny świt... – odparła cierpiętniczo.

– Świt, czy może raczej przezroczysty koń...? – Na te nieco zawadiackie pytanie Srebrna odjęła sobie ręce od lica i popatrzyła na beztrosko skubiącego trawkę gniadosza z jeźdźcem na grzbiecie. Gdy naraz zarówno zwierzę, jak i człowiek w siodle w jednej chwili przeistoczyli się w szarą rozwiewaną przez lekki wiatr mgłę.

– Czar iluzji... – Dziewczyna pokiwała z uznaniem głową i przenosząc wzrok na topornika, cierpko zauważyła: – Po raz pierwszy użyłeś w naszym treningu takiego podstępu...

– Ano prawda... Ot, taka mała niespodzianka na twoje osiemnaste urodziny. Przecież to już konkretny wiek, więc wypadało to czymś uczcić. – Mężczyzna puścił dziewczynie oko i już poważniej dodał: – Wiedz, że na wojnie przeciwnik będzie cię właśnie zaskakiwał i to nieustannie, a nie walczył według narzuconych przez ciebie reguł. Musisz być na to gotowa, zawsze i wszędzie, także poza polem walki, również w gronie przyjaciół, czy raczej... domniemanych przyjaciół – zakończył nieco pośepnie.

– Tak, rozumiem i... dziękuję za tę cenną naukę, Marrengo. – Srebrna poklepała spoczywającą na jej ramieniu żyłastą dłoń ponad pięćdziesięcioletniego przyjaciela. Mężczyzna ten posiadał siwe długie

włosy na głowie, także srebrne sumiaste wąsy i w tym samym kolorze brodę zaplecioną w gruby warkocz. Rysy twarzy miał surowe, a posturę samego niedźwiedzia. Jednak poza tężyzną fizyczną Srebrna ceniła w nim przede wszystkim lojalność i szlachetność serca. Pod tym względem wyraźnie się odznaczał i wręcz słynął na mroźnej północy zdeprawowanego kontynentu Unton.

– Zamartwiasz się... – zauważył naraz Marrengo, strosząc także siwe gęste brwi.

– Tak... – przyznała nieco smutno dziewczyna. – I przecież wiesz dlaczego – dodała równie ponuro.

– Chodzi o twoją siostrę, o Złotą.

– Nie inaczej. – Srebrna bezradnie rozpostarła opancerzone szarą kolczugą ramiona i kwaśno stwierdziła: – Moja siostra trafiła tam, gdzie nie powinno jej być, gdzie nie powinno być nikogo. I w końcu odnajdzie ją mrok, to nieuniknione. A gdy demony zobaczą jej złotą poświatę... – Naraz na dobre zrezygnowana pokręciła bezradnie głową. Zwiesiła ją, po czym popatrzyła na otarcie swej dłoni, gdzie koło kciuka widniała rozcięta skóra, a w ranie srebrzysta ciecz. Z kolei Marrengo, potężny mężczyzna północnej, również srebrzystej krwi, oparł trzonek topora o ziemię i wspierając się na stalowym ostrzu, z pewną chropowatością rzekł:

– Rozumiem twoją troskę o siostrę, ale... obawiam się, że nie jesteśmy gotowi jeszcze wyruszyć. Słowem, próbując teraz daremnie uratować jedną osobę, możemy utracić po drodze wszystkich innych bliskich nam ludzi i jednocześnie całkiem zaprzepaścić dotychczasowy trud. To ciężka do podjęcia decyzja, jednak... – Marrengo zawiesił głos i z ukosa popatrzył z pewnym bólem na dziewczynę.

– Ciężka decyzja? – powtórzyła z kolei pytająco Srebrna. – Ciężka decyzja? – Odwzajemniła spojrzenie wręcz z wyrzutem. – Wszak nie dla mnie! – rzuciła naraz z siłą w głosie i błyskiem w srebrzystych oczach, a dopadła ją dopiero co słabość, zdawała się ją całkiem opuścić. Hardo wstała, podniosła z ziemi miecz i wpatrując się pod światło poranka w srebrzystą klingę, podziwiała wyryte na niej symbole siedmiu legendarnych sióstr krwi.

Aż skupiła wzrok na pierwszym od dołu znaku odnoszącym się ponoć do niej samej. Ten zamigotał mocniej. Wówczas chwyciła za jeden z pary

swych srebrzystych warkoczy i ucięła jego końcówkę, by zaraz wyrzucić w przestrzeń odcięte i rozsypujące się na wietrze włosy. Wyglądały trochę jak podłużne płatki śniegu spadające na ziemię. Kiedy zaś osiągnęły jej powierzchnię, Srebrna z zadrą w głosie przemówiła:

– Jestem młoda wiekiem, ale przepelnia mnie odwieczna powinności i dłuższej bezczynności po prostu nie zdzierzę! Ofiary po drodze są niezbędne i nie można się łudzić, że w ponoszonym trudzie naszym ludziom północy nie spadnie z głowy włos. Więcej, przeleją oni swoją srebrzystą krew, a nawet oddadzą w walce życie i wyzioną ducha ku pożarciu go przez srebrzyste smoki mroźnej otchłani. Jednakże nie będziemy czekać dłużej. Ani chwili dłużej! – warknęła gniewnie i raptownie się okręciła na pięcie, a wraz z tym ruchem zamasyście poprowadziła miecz w kierunku Marrenga. On zareagował błyskawicznie, parując atak uniesionym toporem. A zaraz czynił kolejne defensywne ruchy, wobec wręcz furiackiego natarcia Srebrnej. Ta, co raz wymachiwała sprawnie mieczem, a walcząc, zamykała, to szeroko otwierała srebrzyste oczy, emanując z nich intensywną poświatę, do tego wyrывała ze swej piersi walczone okrzyki. Napierała bez ustanku, zupełnie jakby pojęcie obrony było jej całkiem obce i atakowała tors, nogi, to głowę cofającego się przeciwnika. Aż w swoistym bojowym szale zdołała przełamać defensywę mężczyzny i tym razem to ona przystawiła mu do szyi ostrze swej klingi. Wtedy, po włożonym w walkę wysiłku, ciężko wydyszała: – Musimy... musimy już wyruszyć. Dla Złotej, dla nas... Dla wszystkich. – Zaś wobec braku reakcji zamarłego Marrenga, mocniej przycisnęła mu miecz do gardła i wybuchła: – Musimy!

– Dobrze... Niech tak się stanie, wyruszymy – oznajmił w końcu pojednawczo wojownik i ostrożnie odjął od swego ciała ostry metal. Uczynił zachowawczy krok do tyłu, a kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, lodowato, niczym sam północny wicher, rzekł: – Aczkolwiek, zaklinam, panuj nad ciemną stroną własnej srebrzystej natury. Albowiem umiejętność walki, oddanie i hart ducha, to jedno, ale nie jesteś chodzącą dobrocią, jak Złota, ani też na wskroś czysta, jak twoja siostra Alabaster. Dlatego bacz uważnie, aby twego srebra nie skalał mrok.

– Chyba... masz. – Na słowa Marrenga dziewczyna się zająknęła i zawahała. Zamknęła oczy, integrując się ze sobą, po czym znowu patrząc jasnym wzrokiem na świat, z nutą pokory zdecydowanie odparła: – Tak,

bezwzględnie masz rację, drogi Marrengo. I dziękuję za nakierowanie mnie na właściwą drogę.

– Jak narowistego konia... narowistego konia – powiedział już pogodnie starszy mężczyzna i uśmiechnął się przyjaźnie. Następnie wyciągnął ku Srebrnej otwarte ramiona. Ona odwzajemniła uśmiech i utonęła w objęciach wojownika, którego traktowała niczym własnego ojca. Choć swego prawdziwego ojca niedane jej było nigdy poznać i nawet nie wiedziała, kim on był. Lecz ponad wszystko ufała Marrengowi. W końcu to właśnie on odnalazł ją w lodowej wiosce na krańcu świata i opowiedział legendę o siostrach krwi, gdzie Srebrna miała być jedną z nich.

* * *

Minęło kilka szarych dni, skończyła się odwilż i północne ziemie klanu Srebrzystej Stali ponownie wziął we władanie silny mróz, a górzysty teren przyprószył śnieg. W takiej scenerii Srebrna na czele z Marrengiem opuściła położoną wysoko warowną osadę o nazwie Orle Gniazdo. Wyruszyli konno na czele jadących w parach czterdziestu jeźdźców, tutejszych klanowych wojowników. Od przeszło dziesięciu lat przewodził im Marrengo. Choć na osiemnaste urodziny swej podopiecznej zrzekł się on oficjalnie przewodniej roli i takową powierzył właśnie Srebrnej.

Ona wiedziała, że uczynił to głównie dla niej, by tchnąć w nią wiarę w jej wielkie posłannictwo. Wszak doskonale zdawała sobie sprawę, że aby jej klanowa władza została autentycznie usankcjonowana, musiała się przede wszystkim należycie sprawdzić jako zręczna przywódczyni i zdolna wojowniczką. Lecz ona, jak nigdy, czuła się całą sobą gotowa sprostać zadaniu. Chciała bowiem nie tylko zgodnie ze swym przeznaczeniem rozpocząć walkę o pokój na kontynencie Unton, ale też zweryfikować przed samą sobą to, iż naprawdę była tym, za kogo pragnęła teraz uchodzić. Mianowicie Srebrną, legendarną siostrą krwi, a obecnie także godną tego miana przywódczynią klanu Srebrzystej Stali. Gdzie zaś łatwiej udowodnić sobie i innym wspomniane prawdy niż właśnie na wojnie?

Otóż to. Dlatego Srebrna jechała pewnie na czele zbrojnego oddziału i co pewien czas żywiłowo oglądała się za plecy, by z dumą popatrzeć na podległych jej wojowników. Podobnie jak ona czy Marrengo wszyscy dosiadali siwych rumaków i przywdziewali szare futra zszyte ze skór wilków oraz niedźwiedzi. Każdy z mężczyzn posiadał topór i obowiązkowo

masywną okrągłą tarczę zawieszoną na plecach, a ozdobioną herbem przedstawiającym zarys połyskującej klingi na srebrzystym tle. Ponadto wojownicy nosili zgodnie srebrzące się długie wąsy i brody, a ich głowy wieńczyły metalowe hełmy w tym samym kolorze.

Widok ten doprawdy przepelniał obecną przywódczynię klanową nadzieją i silną wiarą, że wspólnie podołają oni wszelkim przeszkodom. Wręcz odbierała wizerunek swych wojów, jako śnieżną kulę, która puszczona z lodowego szczytu, spadając, będzie systematycznie zwiększała objętość i siłę. Kiedy zaś osiągnie podstawę góry, stanie się na tyle potężna, że nic jej już nie powstrzyma. Choć dziewczyna równie dobrze mogła sobie wyobrazić prowadzone wojsko, jako jeden z górskich strumieni, które podczas roztopów zasilają główną rzekę. W ten sposób, w wyniku licznych dopływów, nurt staje się coraz bystrzejszy, a ciek szeroki i w efekcie u ujścia jest to nieposkromiony żywioł, niepowstrzymana powódź. I czego by nie powiedzieć, te śmiałe wizje wydawały się jak najbardziej zasadne. Ponieważ wici zostały już rozesłane, a większość północnych klanów zgłosiło akces do kolejnej odsłony konfliktu w centrum kontynentu Unton opanowanym od wieków przez czerń i mrok.

Aczkolwiek nadchodzącej kampanii nie miała oczywiście przewodzić Srebrna, tego byłoby zbyt wiele. W końcu niedoświadczenie i młodość, swoista niewinność, same podpowiadały jej, iż na takie wyróżnienie było jeszcze za wcześnie. Mimo posiadanej wielkiej ambicji oraz charyzmy domyślała się, że nie porwałaby za sobą setek uznanych wojowników i dziesiątek wojowniczych kobiet. Na tym etapie swego żywota stanowiła bowiem w swym mniemaniu po prostu srebrzystą iskrę, którą skutecznie wskrzesił w niej szlachetny Marrengo. Jednak, aby jawiła się ludziom północy jako oświetlający drogę srebrzysty ogień, za którym pójda w najcięższy bój, musiała się dopiero zasłużyć. Dlatego to właśnie pod skrzydłami wspomnianego wojownika mieli się zjednoczyć liczni przywódcy klanowi z północy. To Marrengo miał ich poprowadzić, zaś Srebrna na ten czas pragnęła po prostu stać u jego boku w pierwszym szeregu i dumnie dzierżyć podarowany jej przez Marrenga miecz. Wszystko po to, by walczyć o siebie, klan, o Złotą i wszystkich, od których zdoła odjąć mrok, a w to miejsce ześle jasność niczym oczyszczającą bryzę z mroźnych północnych mórz. I niech dopomoże jej w tym moc siedmiu legendarnych sióstr krwi.

Tak przedstawiało się jej życzenie.

Tymczasem zbrojny kondukt swobodnie przemierzał zasnutą cienką warstwą przybrudzonego śniegu kamienny trakt w rozległej przełęczy. Jak wzrokiem sięgnąć malowniczy pejzaż tonął w zlewających się ze sobą różnorodnych odcieniach szarości w tym barwach srebra, platyny, czy stali. Ten ostatni kolor zdecydowanie okraszał kłębiaste obłoki, które niczym puchowe kołdry otulały najwyższe szczyty. Jeżeli zaś gdzieś udało się przebić na niebie promieniom słońca, te odbijały się od śniegu, rozświetlając mroźną okolicę jaśniejącym blaskiem.

W takiej sielankowej scenerii naprzeciw zbrojnej kolumny wyjechał samotny jeździec na siwym koniu i zrównał rumaka z Marrengiem oraz Srebrną, zajmując pozycję po prawej stronie dziewczyny. Skłonił się nieznacznie Marrengowi, młodocianej przywódczyni klanu jakby w ogóle nie zauważając i jechał spokojnie dalej. Lecz samą swą obecnością wzbudził on żywe zainteresowanie Srebrnej. Znała bowiem tego mężczyznę z widzenia, ponieważ kilka lat temu odwiedził on Orle Gniazdo, spotkawszy się tam z Marrengiem. Ona sama była tam wtedy małym podlotkiem i dopiero co uczyła się nowego życia świeżo zabrana ze swej rodzimej wioski. Wszak jadący po jej prawej stronie wojownik, dobrze wyrzył się w jej pamięci.

Inaczej niż większość rdzennych mieszkańców północy nie posiadał jednolicie srebrnych włosów i tęczówek oczu o takowej barwie, a z wyraźną domieszką brunatnego koloru. Ten barwił w szczególności jego zawinięte ku dołowi wąsy oraz zaplecioną w trzy warkocze brodę. Poza tym mężczyzna ten był dość niski za to wyjątkowo krępy na kształt masywnego wzgórza, którego za nic nie dałoby się wyrwać z podstawy i obalić. Ponadto jak wielu przywódców klanowych nie nosił tarczy, a okazując tym odwagę, używał jedynie dwuręcznej broni. W jego przypadku dwusiecznego topora wciśniętego za gruby pas. Zaś imię tego słynnego na północy wojownika brzmiało Feldgrau. To z nim miała teraz do czynienia po swej prawicy Srebrna. On natomiast miał przyprowadzić na planowaną kampanię wojenną własnych klanowych wojowników. Lecz z niewiadomych przyczyn, pojawił się sam. Czyżby on jeden zamierzał zastąpić cały oddział?

– Feldgrau... – wyszeptała w pewnym momencie, jakby do siebie samej dziewczyna ze wzrokiem wbitym w zaśnieżoną drogę. – Feldgrau –

powtórzyła z podziwem.

– W rzeczy samej! – podchwycił tubalnym głosem zwalisty mężczyzna i z wyższością dodał: – Jam ci jest Feldgrau, właśnie on. – Napuszył się z dumy, zadzierając kwadratowy podbródek i spojrzał daleko przed siebie.

– Srebrna... Jestem Srebrna – odparła ściszym głosem i trochę bez wiary dziewczyna. Nagle bowiem w obliczu słynnego wojownika, o którym słyszała tyle mężnych opowieści, a nawet chwalebnych pieśni, poczuła się mała i słaba, prawie nic nieznacząca. W konsekwencji odruchowo nieco pochyliła głowę, a dwa srebrne warkocze zaplecione luźno po bokach przesłoniły jej niewinną z wyglądu twarz.

– Srebrna... – mruknął z kolei pod nosem i lekceważąco Feldgrau. – Może być i... Srebrna, to popularny w tej krainie kolor. Choć imię pradawne, legendarne i powiedziałbym... – Zmierzył dziewczynę krytycznym wzrokiem, splunął flegmą na bok i z pretensją warknął: – Zaszczytne to imię, Srebrna, ta... wielce zaszczytne. I zaiste nie powinno przynależeć do pierwszej lepszej... – nie zdążył dokończyć wzgardliwego zdania, ponieważ zawczasu przeszkodził mu Marrengo, wtrącając:

– Jak już cię powiadomiłem przez gońca, drogi przyjacielu, Srebrna jest moją podopieczną, a teraz także klanową przywódczynią. To musi coś znaczyć nawet w twoich oczach. Lecz abstrahując od imion, tytułów, czy starych legend, wszyscy, jak się tu zebraliśmy, jesteśmy po prostu ludźmi północy. Jesteśmy wojownikami, którzy połączeni wspólną sprawą ruszą niebawem ramię w ramię w bój. Dlatego, nalegam, okazujmy sobie nawzajem należyty szacunek i wymieńmy przyjacielskie uściski. – Wysunął ku kompanowi żyłastą dłoń. Ta została uchwycona przez potężną i owłosioną grabę Feldgrała, który następnie już z mniejszym entuzjazmem wyciągnął rękę ku Srebrnej.

Dziewczyna się zawahała, ale wyjęła z rękawiczki własną dłoń i odwzajemniła gest. A zaraz, przez zaciśnięte zęby, syknęła z bólu, gdy mężczyzna z kąśliwym uśmiechem na ustach w obezwładniającym uścisku niemal zmiażdżył jej drobne kości śródrecza. Jednak wkrótce rozluźnił palce i pozwolił się wyrwać Srebrnej ze stalowego uchwytu. Na takie powitanie Marrengo tylko ciężko westchnął, ale najwyraźniej dał za wygraną, bo tylko rezolutnie zagaił:

– A czemuż to zawdzięczamy sobie wyjazd naprzeciw nam przywódcy

klanu Srebrzystych Mgieł? – zwrócił się do Feldgrała. Ten podrapał się po zarośniętej brodzie i nonszalancko rzucił w powietrze:

– Podczas ostatniej odwilży rzeki wezbrały i zerwane zostały niektóre mosty. Dlatego poprowadzę was kamiennymi traktami tak, abyście bez przeszkód połączyli się z moimi ludźmi. W końcu klanem Srebrzystej Stali dowodzi teraz ponoć jakaś niewydarzona dzierlatka. Więc pomyślałem, że głupio by było, gdyby pokierowała swoich wojaków w matnię i potopiła w pierwszym lepszym strumieniu. Toż oszczędzam wam wstydu na całą północ! He, he... – Wyszczrzył się bezczelnie do Srebrnej, ukazując poszarzałe i nierówne zęby.

W odpowiedzi dziewczyna, zupełnie jakby chciała go ukąsić, obnażyła kły w drobnej szczękę, a do kompletu zacisnęła pięści na wodzach. Lecz zaraz poczuła na nadgarstkach krzepiący dotyk dłoni Marrenga. To ją rzeczywiście trochę uspokoiło. Natomiast jej przyjaciel nie dał się sprowokować i zachowawczo skierował rozmowę na inny tor, mówiąc:

– Masz może wieści z odległych krain, Feldgrale? Wszak sam bytujesz ze swoim klanem bliżej wielkiego świata. Podczas gdy my żyjemy w Orlim Gnieździe niejako w izolacji.

– To fakt, kisicie się we własnym grajdołku i chyba naprawdę zapomnieliście, jak wygląda wielki krwawy świat, skoro na swych przywódców wybieracie gładkie dziewczęta i w zasadzie jeszcze dzieci, hy, hy... – Tą sugestią Feldgrau sprawił, że Srebrna opuściła wzrok tak nisko, aż obserwowała śnieg ugniatany pod kopytami rumaków. Jednak wobec ostatnich słów, w najlepsze dworującego sobie z niej wojownika, wzbudzone zostało w niej też zainteresowanie i jej oczy trochę zajaśniały. – Otóż... – mruknął z kolei Feldgrau, objął się za opasłe brzuszysko i uraczył towarzyszków podróżą dłuższą wypowiedzią: – Na północnym wschodzie, wśród najwyższych gór, biała magia i alabastrowy lud pod jaśniejącym przewodnictwem wielkiej księżnej mają się ponoć całkiem dobrze. Tamtejsza władczyni odnalazła bowiem dodatkowe złoża alistocjanu w kopalniach za sprawą czego umocniła energetyczne bariery swego księstwa. Te podobno z powodzeniem oparły się pomniejszych demonom z centrum kontynentu. Zaś większe i nieliczne kreatury zostały wybite w jednym decydującym starciu. I to dlatego właśnie zdecydowałem się wziąć udział w twojej kampanii, Marrengo. Albowiem liczę, że w razie naszego

sukcesu w starciu z mrokiem, jeszcze bardziej ośmielimy wielką księżną Alabaster i ta włączy się do czynnego udziału w wojnie, śląc nam na teren wroga posiłki. I bynajmniej nie mam tu na myśli jagnięciny, czy innej smakowitej rogacizny, he, he... a raczej doborowych magów oraz łuczników o białej krwi. Choć smukłe alabastrowe łuczniczki, rzecz jasna, też miło byłoby powitać w naszych szeregach, czyż nie, Marrengo? Hy, hy... Ale ja sam...

– A północny zachód? – wtrąciła pospiesznie Srebrna, wielce ciekawa kolejnych wieści tym razem z przeciwległego krańca świata. Lecz Feldgrau zdawał się jej w ogóle nie słyszeć i po chwilowej pauzie swobodnie wznowił monolog:

– Ja sam... najchętniej dosiadłbym alabastrowego gryfa i poszybował w powietrzu na wroga. Cóż powiedzieć, Marrengo, wiek u mnie już nie ten i coraz bardziej doskwierają mi trudy tych wiecznych konnych wojaży. Nie wspominając już o podejmowanych pieszych marszrutach, brrr... Moje kolana – dodał dyskretnie, wychylając się ku kompanowi i dając do zrozumienia, że miał problem ze stawami, po czym beztrąsko kontynuował: – Jeżeli zaś chodzi o północny zachód, bo chyba sam wiatr zawiął mi do uszu, upominając się o wieści z tamtego kierunku... – Krzywo uśmiechnął się do Srebrnej. – To wiedz, drogi przyjacielu, że władca tamtejszego królestwa poprowadził swych złocistych rycerzy w straceńczy bój i poniósł sromotną klęskę na rubieżach centralnej krainy. Bitwa było podobno olbrzymia i trwała cały dzień, ale z nastaniem nocy powstały z czarnych popiołów nowe demony i ostatecznie przechyliły szalę zwycięstwa na stronę mroku. Tak więc krucjata w celu odnalezienia przysposobionej córki króla, niejakiej Złotej, spalił na panewce i to słynne dziewczę o złotym sercu pozostaje nadal zaginione, a jego smutny los zdaje się przypieczętowany...

Wobec tych wieści Srebrna bezwiednie popędziła rumaka i samotnie się wysforowała przed jeźdźców, zupełnie jakby w pojedynkę zapragnęła pognać na ratunek wspomnianej osobie w opałach. Jednak zdawszy sobie sprawę ze swego niefrasobliwego zachowania i żywo obawiając się z tego powodu kolejnych złościwości Feldgrała, wstrzymała wierzchowca i karnie wróciła do konnego szeregu.

– No ta... – westchnął na to z dezaprobatą w głosie posępny wojownik i nieustannie zwracając się jedynie do Marrenga, niespiesznie ciągnął dalej:

– Wszakże, mój druhu, posłuchaj też opowieści z odleglejszych krain, które wędrowni trubadurzy zanieśli do mych zarastających siwymi włosami uszu. – Energicznie powiercił placem w małżowinie. – Oto mam do przekazania może nie najświeższe historie, wszelako niemniej ze wszech miar intrygujące. – Sam adresat tej treści, Marrengo, może niespecjalnie wyglądał na kogoś pochłoniętego opowieściami Feldgrała, za to Srebrna cała zastygła w oczekiwaniu na słowa, które w mroźnym powietrzu padły po chwili: – Otóż na południowym wschodzie, w samej Wielkiej Puszczy, podobno ktoś na potęgę wycina zielone lasy i bez litości trzebi zwierzynę. Coś jakby zaległ się sam mrok w cieniu wiecznie zielonego listowia, a staremu Feldgrałowi to podpowiada, że stamtąd dopiero wyjdzie z czeluści prawdziwe zło. Ale któż to tam w sumie może wiedzieć, poza naszym wszechwiedzącym wieszczem, o których wszelki słuch na dobre zaginął. – Mężczyzna ostentacyjnie wysmarkał się wprost na grzywę konia Srebrnej i przeszedł do wieści o innym zakątku świata: – Co się zaś tyczy południowego zachodu, to tamtejsi arystokraci o kasztanowej krwi chyba już całkiem postradali zmysły. Albo też wędrowni trubadurzy przesadzili z mocnymi trunkami wobec swych słabych głów, kto ich tam licho wie, he, he... – Puścił oko do Marrenga. – Albowiem prawiono mi, że bez pomocy zwierząt, magii czy żywiołów, wprawiają oni wielkie maszyny w ruch i te wznosić się mają ku samym niebiosom, po czym płyną po nich niczym obłoki z drewna oraz stali. Również tamtejsze drogi podobno przemierzają obecnie beznogie rumaki za to na kołach. Ale, kto to w ogóle kiedykolwiek słyszał o poruszających się wierzchowcach bez nóg?! Ha, ha! – Parsknął gardłowo Feldgrau zachwycony swą śmiałą wizją. Aż stonował emocje i posępnie zakończył: – Oczywiście jest jeszcze dalekie południe, ta skalana, spalona słońcem ziemia. Jednakże co tam tak naprawdę się na ten czas dzieje, tego na dobrą sprawę nie wie już nikt. To ciągle świat duchów zarówno tych świetlistych, jak i przeklętych upiorów. Kraina, gdzie istoty całkiem wyrzekły się płynnej krwi w swoich żyłach i zastąpiły ją fantomową esencją. Choć niektórzy się zarzekają, iż owa esencja jest widoczna i nawet przejawia barwy, jak choćby lazur. Zaś jak pawił ślepy wieszcz, Lazur, to przecie także imię siódmej z mitycznych sióstr krwi. Ciekawe to, oj ciekawe i wielce intrygujące zarazem. – Po tym wyznaniu Feldgrau już nie popatrzył w kierunku Srebrnej ani też Marrenga, tylko

ponuro wbił wzrok przed siebie wprost w zaśnieżony krajobraz. I tak nastąpiła długa cisza, której tym razem nikt z trójki jeźdźców nie raczył już przerwać.

Dalsza droga w milczeniu wiodła coraz ciaśniejszymi przełęczami, które okalane były przez wyższe bardziej strome wzniesienia momentami wręcz całkiem przysłaniające jasność dnia. Trasę nieustannie wytyczał Feldgrau, kierując uczestników wyprawy systematycznie na południowy wschód. I tak ranek przeszedł w południe, aż powoli zaczął nadchodzić wieczór.

Wówczas, ciągle jadąc konno z innymi, Srebrna zamknęła oczy i spróbowała wznowić praktykę wewnętrznej koncentracji, której nauczał ją Marrengo. Dlatego wyciszała poszczególne zmysły, starając się osiągnąć ciągle niedostępny dla niej poziom czystego nadzmysłu. Osobiście chyba nie zbliżyła się jeszcze nawet do pierwszego z jego poziomów, których liczba wynosiła siedem. Zresztą sama nie słyszała o nikim, kto doszedłby w swej praktyce dalej niż do czwartego stopnia, a sam Marrengo, jako jeden z bardzo nielicznych, szczylił się trzecim poziomem.

Natomiast w bieżącej chwili tym trudniej było się dziewczynie skupić na ćwiczeniach, ponieważ opowieściami Feldgrała dalece została rozbudzona jej wyobraźnia na temat wielkiego świata. Przez to, co raz atakowały jej umysł myśli na temat innych krain, a głównie tej wysuniętej najbardziej na południe kontynentu.

Niewielu w ogóle odważyło się wspominać o tym, co mogło tam zaistnieć. W konsekwencji wszelkie wiadomości na ten temat, jakie docierały do uszu Srebrnej, stanowiły mieszaninę faktów, pobożnych życzeń oraz zwykłych zafałszowań wynikających z niewiedzy, uprzedzeń i lęków. Ona zaś nie potrafiła oddzielić prawdy od fałszu, mitów od faktów, bo niby jak? Jednak sama właśnie była świadkiem tego, że wydarzenia z południa potrafiły odbierać na dłuższy czas mowę nawet największym wojownikom, jak Feldgrau czy Marrengo.

Wszak sama Srebrna pomyślała, iż jej, jako jednej z legendarnych sióstr krwi, będzie być może dane kiedyś odkryć te tajemnice. Bowiem gdzieś tam, na południu, powinna przebywać obecnie jedna z jej sióstr, mianowicie Lazurek. A zgodnie ze słowami Marrenga, tylko jedna mityczna siostra mogła zwieńczyć swe posłannictwo sukcesem i zaprowadzić tysiącletni pokój na kontynencie Unton. Lecz w tym celu na swej drodze

powinna ona uzyskać wsparcie każdej z pozostałych sióstr, w tym ich krwi. Choć przyjaciel Srebrnej nie wyjaśnił, na czym konkretnie ta pomoc miałyby polegać.

Snując takie rozważania, dziewczyna wreszcie zdołała je oddalić od rdzenia swego umysłu i osiągnęła w nim załazek spokoju oraz ciszy, które przekształciła w spójny element jedności. Ta powoli ogarniała coraz większe połączenie jestestwa Srebrnej. Wręcz czuła ona w sobie stapianie się razem wzroku, słuchu, czy węchu, co dawało niepowtarzalne odczucie integracji nie tylko z samą sobą, ale i otoczeniem. Zapachy najpierw dochodziły do niej wyrazistsze i naraz uderzył ją wyjątkowo kwaśny odór potu Feldgrała, ale sam zmysł powonienia jakby szybko się rozplątał i przeszedł w odgłos bicia serca mężczyzny. Puls był znacznie przyspieszony, można by rzec naznaczony pewnym niepokojem. Zaraz jednak i tętno wojownika zlało się z bardziej subtelnymi doznaniem, a wszystkie one składały się na podejrzaną odczucie zagrożenia ze strony obcego wojownika.

Następnie Srebrna, choć nie miała otwartych oczu, skoncentrowała uwagę na wizji przed sobą. I sama jedność, jak za rękę, poprowadziła ją aż za niewidoczny z pozycji jeźdźców fragment drogi za jej zakrętem. Tam, na dwóch przeciwległych wzniesieniach, wychwyciła nietypową srebrzystą poświatę, od której jednakże biła złowroga aura.

W tym momencie uwaga Srebrnej ponownie skupiona została na postaci Feldgrała. Wykonał on dyskretny ruch w kierunku topora za pasem i wyraźnie gromadził siły do realizacji jakiegoś celu. Dziewczyna nie musiała konkretyzować jego zamierzenia, prowadzona przez samą jedność, reagowała spontanicznie w najlepszy możliwy sposób.

W rezultacie, ciągle nie podnosząc powiek, raptownie wyciągnęła do góry prawą rękę. Tym samym zablokowała wymierzony w nią cios toporem krępego mężczyzny. Zaś dzięki integracji jedności uzyskała zwielokrotnioną siłę i nie dała przełamać swej ręki. Ta, niczym tarcza, pozostała sztywno wzniesiona. Równocześnie druga dłoń Srebrnej sięgnęła za pas i wyszarpnęła sztylet, który błyskawicznie poprowadzony został w masywny kark wojownika. Ostrze weszło głęboko po samą rękę. Wtedy Feldgrau zluzował napór topora na rękę dziewczyny. Ona sama, jakby wychodząc z transu, a równocześnie zmysłu jedności, natychmiast

otworzyła wyjątkowo intensywnie srebrzące się oczy.

Wówczas, już naturalnym wzrokiem, dostrzegła obcych wojowników wychodzących z ukrycia na skarpy po obu stronach drogi. Jej zwykle chłodna krew nagle w niej zawrzała. Doskonale bowiem zdawała już sobie sprawę ze skali zagrożenia i nawet nie myślała szukać wsparcia u Marrenga, nie było na to czasu. Dlatego z ciągle uniesioną ręką, jako klanowa przywódczyni, odruchowo krzyknęła:

– Wojownicy Srebrzystej Stali! To zasadzka! Formacja obronna! Zasłona z koni i tarcz! – Sama wstrzymała rumaka i wskoczyła pomiędzy niego, a wierzchowca Marrenga. Jej przyjaciel także zsunął się na śnieg, po czym razem ze Srebrną schował za końskim grzbietem. Podobnie uczynili wszyscy wojownicy klanu Srebrzystej Stali i w ten sposób przypominali teraz zbrojną rzekę osłoniętą z dwóch stron masywnymi wałami z końskich cielsk.

Aż naraz z przeciwległych wzgórz posypały się gęsto strzały z łuków i poszybowały oszczepy. W efekcie konie zostały dotkliwie poprzesywane ostrymi drzewcami. Parskając żałośnie, jeden po drugim rumaki padały konające na ziemię, od razu dobijane ostrzami przez dotychczasowych jeźdźców. Oni natomiast znaleźli nad wyraz skuteczną ochronę za ścianą ze zwierzęcych zwłok oraz ustawianych przed sobą tarcz. W ten sposób zasadzka nie doszła do skutku, ponieważ choć padły wszystkie konie, to wojownicy Srebrzystej Stali odnieśli jedynie powierzchowne rany.

– Świetna robota – warknął przykucnięty Marrengo, opierając się własnymi plecami o plecy Srebrnej. – Niewiele brakowało... – dodał posępnie. Na co wyraźnie wzburzona dziewczyna syknęła:

– To jeszcze nie koniec... Na zimny honor! Na mróz i lód! To nie koniec.

– Wręcz przeciwnie – stwierdził wojownik. – Nikt więcej nie musi i nie powinien tu ginąć. – Popatrzył na wykrwawiającego się na śniegu, rzęzącego Feldgrała. – Nastał pat i poczekamy, aż zdrajcy się wycofają – zawyrokował.

– Zdrajcom należy zanieść śmierć... – sprzeciwiła się Srebrna. I nie czekając na odzew przyjaciela, uniosła rękę uzbrojoną w długi miecz, po czym jako klanowa przywódczyni wydała komendę: – Prawe skrzydło Srebrzystej Stali! Mur tarcz i atak na prawą flankę wroga! Lewe skrzydło! Mur tarcz i osłona prawego skrzydła! – Po tej odezwie dziewczyna

prześlizgnęła się po grzbiecie uśmierconego rumaka. Podobnie uczynili wszyscy wojownicy z jej szeregu i szczelnie osłonili się wysuniętymi przed siebie tarczami. Natomiast ich plecy zabezpieczali podążający za nimi tyłem wojownicy z lewego skrzydła. Dzięki takiej ciasnej dwustronnej formacji kolejna salwa strzał i oszczepów jedynie odbiła się od masywnych tarcz kontratakującego klanu. Zaś jego przywódczyni znalazła schronienie za osłoną najbliższego niej, i to pod wieloma względami, młodego wojownika imieniem Aezon. Spojrzeli na siebie wymownie, dodając sobie nawzajem otuchy i razem z resztą parli naprzód. Aż kiedy wojownicy Srebrzystej Stali zaczęli podchodzić pod strome wzniesienie, rozbrzmiał na nim gardłowy krzyk:

– Za Feldgrała! Pomścić Feldgrała! Śmierć jego zabójcom! – I wtem kilkunastu mężczyzn oraz kilka kobiet klanu Srebrzystej Mgły porzuciło oszczepy oraz łuki. Za to dobyli oni topory, miecze oraz chwycili tarcze, by runąć z impetem na podchodzącego przeciwnika.

– Dwa kroki w tył! Dwa kroki w tył! – komenderowała w odpowiedzi Srebrna, sprawiając, że jej wojownicy w zwartej formacji zeszli z podstawy wzgórza. A kiedy atakujący ludzie wrogiego klanu bezładnie rozsypali się u podstawy wzniesienia, dziewczyna wydała kolejny rozkaz: – Prawe skrzydło! Wytrzymać napór! Wytrzymać napór! – I nagle obcy wojownicy zderzyli się z impetem ze zwartą ścianą tarcz i odbili od niej, a wielu z nich padło na plecy. Wtedy też padło ostatnie polecenie wręcz zdzierającej gardło Srebrnej: – Zabić! Zabić zdrajców! Zabić wszystkich zdrajców tego świata! Do ataku! – Sama wysunęła się z za osłony Aezona i zamaszystym ciosem miecza rozplatała bok obcej wojowniczkii, po czym siekła jak oszalała klingą w naprędcie stawiane przed nią tarcze.

Naraz wydarła z piersi dziki wrzask, odrzuciła długie ostrze i dobyła z za pasa dwa noże, by pobic z nimi pomiędzy wrogów. Następnie nową bronią zadawała płytkie cięte rany w kluczowe punkty ciał przeciwników, jak gardła, twarze, czy ręce. Potem w nieokiełznanym szale bojowym szatkowała do kompletu brzuchy oraz celowała w serca czy płuca.

Wreszcie jeden z poranionych wrogów pochwycił ją i padając, ściągnął na siebie. Ona, niczym w przyływie szaleństwa, masakrowała go sztyletami, czyniąc to z pianą na ustach i zadawała dziesiątki ran kłutych w tors.

Wtem poczuła na plecach dotyk. Gwałtownie się obróciła, gotowa dalej

zabijać. Wtedy zobaczyła, że zazarta bitwa już dogasała, a do niej ostatkiem sił pełznął nie kto inny, jak broczący krwią z gardła oraz ust Feldgrau. Srebrna w jednej chwili pchnęła go na ziemię i usiadła na jego brzuchu. Przytknęła mu ostrze do okaleczonej szyi i się wydarła:

– Dlaczego?! Dlaczego? Dlaczego?!

– Bo... – wyrzęził z trudem. – Bo mi kazała.

– Kto?! – zawyła dziko dziewczyna.

– Prawdziwa siostra krwi wschodnich gór, prawdziwa Srebrna...

– Że jak?! – wrzasnęła niczym opętana wojowniczką. W odpowiedzi konający mężczyzna uśmiechnął się drwiąco, resztkami sił napluł napastniczce srebrzystą krwią w twarz i wycharczał:

– Tylko na siebie spójrz... Ty nie jesteś Srebrną, nie ty... Ty jesteś nikim, niczym...

– Nie jestem Srebrną... – powtórzyła tym razem jak martwa dziewczyna, nagle spuszczać z tonu. Poczowała, że cała raptem jakby zamarzała, a jej dotąd jasne widzenie zasnuwał posępny mrok. – Nie jestem Srebrną... – mówiąc niczym w transie, uniosła nóż z zamiarem wbicia go wprost w usta Feldgrała, z których popłynęły ku niej wręcz druzgocące słowa. Jednocześnie podnosząc głowę, zobaczyła stojącego nad sobą zakrwawionego Marrenga. Ten spojrzał na nią z pewnym bólem. – Nie jestem Srebrną. – Dziewczyna wycharczała do niego z prawdziwą zgrozą i uśmiechnęła się nerwowo. Gdy wtem otrzymała od przyjaciela obezwładniający cios pięścią w twarz, który skrwawił jej wargi, a ją samą, pozbawioną raptem przytomności, rzucił w niedbałej pozie na śnieg.

Tak oto bitwa na przełęczy została ostatecznie zakończona. Spośród prowadzonych przez dziewczynę do boju wojowników Srebrzystej Stali poległ tylko jeden z nich. Dla odmiany wróg uległ całkowitemu pogromowi. Jego lewa flanką salwowała się ucieczką, a z prawej, gdzie poszedł cały impet natarcia, nie ocalał zupełnie nikt. Skonał również klanowy przywódca Srebrzystej Mgły, Feldgrau. Zaś jego zabójczyni została mocno związana na polecenie Marrenga i ten czekał, aż po zafundowanym jej wstrząsie się wreszcie przebudzi.

II. ALABASTER

Kwintesencja majestatu, czystości i chwały, a także kultywacja tradycji oraz nieprzejednana walka z mrokiem. Takie przymioty prezentowało sobą dumne Wielkie Księstwo Wschodzącego Słońca i Księżycy jakby nadziane na najwyższe szczyty kontynentu Unton w jego wschodniej, nieco północnej części. Nie była to zbyt rozległa kraina wciśnięta pomiędzy mroczne centrum, od południa rozległe puszcze, z północy graniczająca z wolnymi klanami, od wschodu zaś okalana oceanem. Wszak to nie obszar decydował o wielkości, a ukryta tu moc. Stanowiła ją prastara biała i niemal nieskalana magia. Z kolei przewodząca księstwu władczyni – wielka księżna Alabaster – stała na straży tego, aby magiczna moc krainy pozostawała możliwie czysta i dzięki temu dawała nieustanny odpór panoszącej się w centrum kontynentu ciemności. To tutaj bowiem od wieków dochodziło do najcięższych starć światła oraz mroku. Jednakże Alabastrowy Pałac ciągle pozostawał dla naznaczonych czernią sił fortecą nie do zdobycia.

Wielka księżna stała akurat na najwyższym i najwznioślejszym zarazem pałacowym balkonie skierowanym na zachód i podziwiała roztaczający się stąd iście oszałamiający widok. Był on zdominowany przez niebotyczne góry składające się w mniej więcej równych częściach ze skał oraz lodu do tego stale przyprószonych mlecznym śniegiem.

Sam zatopiony w kolorze bieli jaśniejący pałac, niczym kolejne jego strzeliste wieże, okalało siedem szpiczastych szczytów, których ostre zwieńczenia ginęły daleko ponad poziomem chmur. Natomiast ze środkowych kondygnacji monumentalnej budowli wprost ku zachodowi, czyli tam, gdzie spoglądała aktualnie władczyni, wiódł wiszący most ciągnący się niezmiernie daleko i prowadzący do górskiej przełęczy.

Pomost, jak wszystko w okolicy, odznaczał się dominującą bielą, a pod nim rozciągała niemal bezdenne przepaść. Była to mroczna wnęka, gdzie swego czasu strącono już całe zastępy wojowników ciemności

szturmujących bez powodzenia Alabastrową siedzibę. Przez co w nieliczne tu dni odwilży dało się z czeluści słyszeć gardłowe porykiwania oraz chrypienia uwieczonych w dole czarnych bestii. Zwykle skutych łańcuchami z okowów lodu nakładanych przez sam mróz, ale czasem częściowo przez niego uwalnianych podczas roztopów. Potem jednak jak zwykle w okolicy spadał śnieg i przykrywał sobą głębię otchłani pod mostem, czym sprowadzał swoistą mroźną zasłonę na potwory, więżąc je na powrót w lodzie.

Ponadto poza zachodnią stroną pałacu, z której regularnie nadciągało mroczne zło, pozostawały jeszcze trzy inne kierunki świata. I tak na północy rozciągały się najwyższe pasma Alabastrowych Gór z gniazdującymi tam smokami. Im dalej na południe, tym szczyty stawały się niższe, aż na granicy z Wielką Puszczą następowało radykalne obniżenie terenu niemal do poziomu oceanicznych wód. Były to terytoria zamieszkiwane przez gryfy będące na usługach księstwa. Zaś ze wschodniego skrzydła pałacu prowadził niezwykle długi lodowy tunel, który kończył się aż nad oceanem, a wieńczył go stale rozbudowywany przez władczynię port.

Ona sama, wielka księżna Alabaster, niepodzielnie panująca nad swą krainą i alabastrowym ludem, właśnie skończyła napawać się mroźnym pejzażem nieogarnionej górskiej przestrzeni i zawróciła do pałacowych wnętrz. Przemierzała strzeliste korytarze wykonane w większości z białych kruszców, głównie marmuru. Wszędzie, gdzie stawiała z pietyzmem kroki, panowała intensywna jasność od wbudowanych w sufit i ściany emanujących białym blaskiem kryształów, unikatowego minerału zwanego księżycowymi łzami. Do tego pałacowe przestrzenie były wręcz oszałamiająco przestronne, zupełnie jakby zamek został wzniesiony dla samych olbrzymów.

I skąd inąd, tak właśnie się miały sprawy związane z tą wyjątkową budowlą, ponieważ pierwotnie przybytek ten nie stanowił bynajmniej stolicy ludzkiej rasy. W zamierzchłych czasach ponoć panował tu ród lodowych gigantów, którego przedstawiciele obecnie mieli przebywać zamrożeni w pobliskich górach. Jednak czy rzeczywiście? Księżna dobrze wiedziała, iż tak, dlatego niestrudzenie poszukiwała w swym władztwie śladu bytności olbrzymów, odnosząc w tym względzie coraz większe

sukcesy. Sama natomiast, choć absolutnie nie była olbrzymką, ani też istotą spokrewnioną z monumentalną rasą, to nawet na tle wysokiego ze swej natury alabastrowego ludu wyróżniała się wzrostem i bardzo smukłą sylwetką. Wszak najbardziej charakterystycznym elementem jej urody były niezwykle rozłożyste skrzydła pełne wielkiej liczby białych piór. Przy czym nikt inny z ludzi nie szczycił się taką częścią ciała zarezerwowaną zwykle dla świata ptaków. Z tego powodu wielka księżna była absolutnie wyjątkowa. Osobiście też nie raczyła nikomu wyjawiać przyczyny swej nietypowej urody oraz dodatkowej mocy, a mianowicie, za sprawą skrzydeł, umiejętności swobodnego lotu.

Zresztą Alabaster posiadała nad wyraz wiele skrywanych skrzątnie tajemnic, podobnie jak jedynych w swoim rodzaju cech swego majestatycznego wizerunku. Wśród tych ostatnich niezwykle rzucały się w oczy jej włosy – śnieżnobiałe proste i opadające aż do ziemi. Do tego władczyni zawsze zakładała kredowe suknie z odkrytymi ramionami i głębokim dekoltem, ukazując tym samym swą alabastrową nieskazitelną skórę w całej krasie. A jakby tego było mało, w jej otoczeniu nieustannie padał drobny śnieg, nawet gdy przebywała w ciepłej komnacie. Powiadano, że nieprzerwane namaszczenie skóry wielkiej księżnej mroźnymi płatkami stanowiło sekret jej piękna. Ale jak było naprawdę? Nikt tego nie wiedział i nikt nie śmiał pytać. Choć nie ze strachu, nic bardziej mylnego. Albowiem władczyni zwykła swobodnie odpowiadać na wszelkie pytania i to ozdabiając twarz życzliwym uśmiechem. W żadnym więc razie nie stanowiła ona uosobienia tyranii. Lecz często onieśmielała ona rozmówców, mając w zwyczaju udzielania odpowiedzi w mniej lub bardziej zawołowany i niejednoznaczny sposób. W konsekwencji, jeżeli pragnęła zataić przed innymi jakąś wiedzę, sprawiała, że po jej słowach, nikt na dobrą sprawę nie wiedział, co miała ostatecznie na myśli. Osobiście najskrytszymi myślami dzieliła się bezpośrednio wyłącznie z własnymi najwierniejszymi sługami – ukochanymi ptakami. I dokładnie w tym celu dotarła obecnie do swej słynnej w całym pałacu ptaszarni.

Alabaster przyłożyła dłonie do białych kamiennych drzwi i magiczną mocą panowania nad przedmiotami sprawiła, że podwójne wrota otworzyły się przed nią na oścież. Następnie otoczona zawieszoną delikatnych płatków śniegu wkroczyła jakby do zupełnie innego świata. Obszerne wnętrze było

koliste, a wieńczyła je monumentalna kopuła, pod którą usytuowano szereg przesłoniętych kremowymi zasłonami okien prowadzących ku czterem stronom świata. W samym centrum porcelanowego parkietu stała okazała fontanna ze źródłem. Natomiast jasność pomieszczenia zwyczajowo pochodziła od wbudowanych w ściennie przestrzenie księżycowych łez. Poza tym wokół kolistej ściany rosły odznaczające się wyłącznie białym listowiem i równie jasną korą najprzeróżniejsze drzewa. Na nich z kolei zasiadała mieniąca się wszelkimi odcieniami bieli cała rzesza różnorodnych ptaków. I tak spotkać tu można było zarówno kremowe gołębie, jak i perłowe mewy, porcelanowe orły czy alabastrowe sokoły. Zaś wszystkie zgromadzone tu ptaki, całe setki, były, nie inaczej, tylko na usługach wielkiej księżnej Alabaster.

Władczyni tradycyjnie najpierw niespiesznie przechadzała się pośrodku komnaty. A idąc dostojnie, pozwalała siadać na swych smukłych ramionach ptakom i karmiła je wciągany z kieszeni ziarnem. Do tego głaskała z czułością swe pociechy oraz uśmiechała się do nich z satysfakcją.

Aż w pewnym momencie sama zatrzepotała skrzydłami i wzleciała ponad centrum pomieszczenia, przypominając w tym względzie najbardziej okazałego ptaka w ptaszarni. Wówczas sięgnęła do kieszeni sukni obiema dłońmi, po czym zamasyżuje rozsypała ziarno na wszystkie strony świata ku uciechu swych pozostałych podopiecznych. Ci bowiem poderwali się z okalających plac drzew i zgodnie sfrunęli na parkiet, aby łapczywie połykać spadające tam ziarno. Natomiast Alabaster z gracją opadła na podłogę i ponownie się z wolna przechadzając, na ten czas pomiędzy uczującymi ptakami, zaczęła swój tradycyjny w tej komnacie monolog:

– Jedźcie, jedźcie moi milusińscy... Posilajcie się, bo czeka nas jeszcze wiele pracy. A kiedy się już nasycicie, ta, która jest jedną z was, czeka na wieści z wielkiego świata. – Niebawem ptaki podlatywały kolejno do wielkiej księżnej i siadając na kobiecych ramionach, żywiołowo ćwierkały jej do ucha, ostentacyjnie krakały bądź wydawały skrzeknięcia. Alabaster z uznaniem kiwała głową, po czym tłumaczyła zasłyszane wieści ptasiej mowy, głośno wypowiadając ludzkie słowa: – Tak więc powiadacie, moi pierzaści przyjaciele, że w Wielkiej Puszczy trwa w najlepsze wycinka zielonego lasu. Dobrze, to bardzo dobrze, ponieważ potrzebujemy zbudować niezwyciężoną armadę. – Z ramion księżnej odfrunęły mniejsze ptaki, a ich

miejsce zajęły mewy: – Że jak? – zainteresowała się nowymi wieściami Alabaster. – Odkryłyście, moje ptaszyny, następną wyspę daleko na oceanie? Doskonale, po prostu wybornie. Ale musicie dalej badać archipelagi i odnaleźć na nich wyspę z górą, która jest wulkanem przypominającym kształtem ptasią czaszkę. To jej usilnie poszukuję. – Zaraz miejsca mew zajęły niepozorne wróble. – Więc znowuż nie udało się wam wykraść planów machin napędzanych smolistą substancją? – zafrapowała się władczyni. – Ale to nic, to nic – pocieszała siebie, jak i ptaszyny. – Wytrwale próbujcie dalej. Musimy bowiem w końcu rozstrzygnąć, czy arystokraci o kasztanowej krwi nam zagrażają, współpracując z mrokiem, aby za sprawą czarnej magii wprawiać w ruch swe niezwykle lądowe czy powietrzne tak zwane urządzenia. – Wtem do wysokich nieco spiczastych uszu wielkiej księżnej dotarł kolejny szczebiot: – Ach... zatem są już i morskie pojazdy. To ciekawe, to bardzo ciekawe i tym bardziej trzeba to zbadać, żeby być może samemu wykorzystać te cuda. Co wy na to? – Alabaster obdarzyła najbliższe ptaki przymilnym uśmiechem, a rozglądając się dalej, zapytała: – A gdzie są moje dzielne ptaszki wysłane na najdalsze południe, no gdzie...? – Dłużej rozglądała się z uwagą po komnacie, aż załamała ramiona, z których sfrunęły spłoszone zwierzęta i żałobnie rzekła: – Nie wróciły, zatem znowu nie powróciły z gorącego południa me ukochane ptaszyny. Tak będzie nam ich brakowało, ale nigdy o nich nie zapomnimy, o nie – podsumowała posępnie, a zawtórowało jej żalodne kwilenie z dziesiątek dziobów. Następnie kobieta uklękła na jedno kolano tuż przed majestatycznym białym orłem stojącym na posadzce. – Mam dla ciebie to, co ci przyobiecałam – oznajmiła do niego, jakby z pewnym respektem i wyjęła z kieszeni krwawe zawiniątko. Rozwinęła je z pietyzmem, po czym zademonstrowała na dłoni kawałek świeżego mięsa. – Smacznego – szepnęła. Wtedy biały orzeł raptem przeistoczył się w czarnego węża i spróbował gwałtownie pochwycić dla siebie zdobycz. – A, a, a... – Alabaster zdążyła cofnąć dłoń z krwistą przekąską i pogroziła istocie wskazującym palcem drugiej ręki. Reprimenda poskutkowała, ponieważ skrzydlaty wąż nieco odchylił łeb i dłuższy czas posykiwał, przekazując wieści. – Więc odnalazłeś wreszcie pierwszą z sióstr krwi, to właśnie chciałam usłyszeć. – Usatysfakcjonowana władczyni podała gadowi krwisty ochłap mięsa. Ten

został natychmiast pochłonięty i zwierzę ponownie transformowało do wyglądu dumnego orła. – Nikt tego nie widział, nikt tego nie widział. – Wielka księżna pokiwała groźnie palcem tym razem w kierunku pozostałych ptaszyn. One odpowiedziały wręcz ogłuszającym skrzekiem, jakby przekrzykując siebie nawzajem, gdzie wyraźnie pobrzmiwały dźwięki dezaprobaty. Z kolei nieco zafrapowana kobieta naraz dostrzegła w swych dotąd nieskazitelnie białych skrzydłach dwa pociemniałe pióra. Wyszarpnęła je z oznaką niesmaku na twarzy, odrzuciła na parkiet i w zadumie, obecnie jakby tylko sama do siebie, wyszeptała: – Skoro tożsamość niejkiej Srebrnej została potwierdzona, nie ma na co czekać. Czas wyeliminować pierwszą z sióstr krwi zagrażających porządkowi świata. – Na te słowa podniósł się w ptaszarni jeszcze większy rwetes. Na co Alabaster uniosła wysoko ponad głowę wskazujący palec, domagając się ciszy. Kiedy się takowej doczekała, z wielką powagą oświadczyła: – Rozumiem, doskonale rozumiem, wasze święte oburzenie moi pierzaści przyjaciele. Przecież oto jestem jedną z was! – Rozpostarła skrzydła. – Wszak już wam to raczyłam nie raz wyjaśniać. Naszym światłym celem jest zaprowadzić trwały ład na kontynencie, a jak wicie dokonać może tego tylko jedna z legendarnych sióstr krwi. Zaś która z nich, jak właśnie nie ja, najlepiej sprawdzi się w tej roli? – Intensywne ćwierkanie znowu zostało mocno rozbudzone, aż zaczęło z wolna tracić na intensywności i wkrótce na dobre zanikło. – Otóż to, moje ptaszyny. – Wielka księżna złożyła dłonie, jak do modlitwy i rozdeptując pod alabastrowym obuwiem niezjedzone ziarno, podniosła kontynuowała: – Pozostałe siostry, dla dobra wszystkich, muszą zginąć i tym samym uturują drogę dla podtrzymania porządku na kontynencie, nad którym pieczę będę niepodzielnie sprawowała właśnie ja. Dlatego moja przewodnia rola, powinność, to żyć, istnieć, oddychać i łopotać na wietrze skrzydłami. A moje siostry krwi niechybnie czeka śmierć, przykro... mi. – Alabaster załamał się na moment głos. Potem rozstawiła szeroko ramiona, ułożyła palce w subtelne gesty mudr i za pomocą magii sprawiła, że wszystkie zasłony w oknach pod kopułą zostały raptownie odsłonięte, wpuszczając do komnaty światło dnia. Wraz z zalewem wnętrza dodatkową jasnością dało się słyszeć żywiołowe pokrzykiwanie wielkiej księżnej: – Zatem lećcie, moim pierzaści przyjaciele, lećcie białe ptaszyny, jak i czarne węże w ptasich piórach, by

na zgubę sióstr, a me ocalenie oraz świata, odnaleźć pozostałe siostry krwi. Przemierzajcie bezkresne niebiosy, podążając do najdalszych zakątków wszystkich krain kontynentu Unton i powróćcie z pożądanym wieściami, a specjalna nagroda was nie ominie! – W odpowiedzi setki mniejszych i większych par skrzydeł załopotały w powietrzu. Całe stado ptactwa zgromadziło się u szczytu kopuły, po czym podzieliło na cztery białe strumienie, które z furkotem wyleciały na zewnątrz komnaty.

Wkrótce również Alabaster opuściła ptaszarnię wielce rada, że udało się jej poczynić istotne postępy i to na kilku frontach zaplanowanych przez nią dalekosiężnych działań. Obecnie zmierzała do południowego skrzydła pałacu, gdzie mieli swe siedziby podlegli jej jeźdźcy gryfów. Ponieważ dopiero co zdobyła cenne wiadomości na temat Srebrnej, siostry krwi. Jednak teraz potrzebowała jeszcze egzekutorów, którzy ostatecznie zakończą sprawę, pozbawiając srebrzystą istotę życia oraz mocy. To zaś, w niezachwianym dotąd mniemaniu Alabaster, stanowiło nieodzowny element na etapie do ugruntowania i poszerzenia zakresu jej władzy.

Lecz przecież nie czyniła tego wszystkiego tylko dla siebie, jej alabastrowa natura na to nie pozwalała. Od zawsze działała głównie z myślą o dobru i przyszłości kontynentu Unton, choć także nie zapominała o własnym wyjątkowym pochodzeniu i wiążącym się z nim zobowiązaniem. Albowiem oprócz tego, iż była jedną z legendarnych sióstr krwi, skrywała też skrętnie o osobie innej, jeszcze bardziej niezwykłą prawdę.

Reasumując, aby osiągnąć swe rozliczne cele, pewnie zmierzała obraną drogą, nie bacząc na coraz częściej kalające jej białe skrzydła ciemne pióra, a umysł nieraz jeszcze mroczniejsze myśli. Jednakże zawędrowała już na swej wyboistej drodze po władzę na tyle daleko, że nie mogła nawet myśleć o tym, aby zawrócić. I na ten czas koncentrowała uwagę już tylko na tym, by się nie potknąć i nie upaść. W konsekwencji, w razie konieczności, kogo trzeba po prostu rozdeptywała pod swym alabastrowym obuwiem. Tak prezentowała się teraz jej alabastrowa, już nie całkiem nieskazitelna, natura.

* * *

Wysocy i smukli członkowie pałacowej rady, już niemłodzi mężczyzna oraz kobieta, nad wraz nisko ukłonili się mijającej ich na korytarzu wielkiej księżnej. Ona lekko skinęła im głową, posyłając przymilny, choć

chłodny uśmiech i dostojnie kontynuowała wędrówkę tradycyjnie otoczona płatkami śniegu. Para osób, którą pozostawiła za sobą, jeszcze dłuższy czas stała ze zgiętymi plecami. Wyprostowali się, dopiero kiedy władczyni znacząco się oddaliła. Wtedy pierwsza, czyniąc to wielce podejrzliwie, przemówiła kobieta:

– Jak myślisz, Chamois, czy ona wie...? – Powiodła wzrokiem śnieżnobiałych oczu za niknącą za zakrętem korytarza Alabaster, a zwracając się do mężczyzny. Ten podrapał się po gładkiej twarzy w miejscu nieco spiczastego podbródka i bez przekonania rzekł:

– Nie mam pojęcia moja droga Ekru. Tak czy inaczej, żywię szczerą nadzieję, że dobrze ukryłaś sercowy klejnot lodowego olbrzyma i ta cenna rzecz nie wpadnie w jej ręce.

– Łapy, a raczej szpony – poprawiła kobieta nazwana Ekru i zaczesła do tyłu białe włosy, zawijając ich kosmki za ostro zakończone wysokie uszy.

– Więc jesteś przekonana, że wielka księżna naprawdę poszukuje sióstr krwi, aby je... zgładzić? – nie dowierzał mężczyzna w nawiązaniu do prowadzonej uprzednio rozmowy.

– Tak właśnie jest – potwierdziła z uporem kobieta i wysunęła przed siebie prawą rękę. Z rękawa dość obcisłej białej sukni wychynął mysi pyszczek. Kremowy nos i porcelanowe w swej barwie wąsy zwierzątko poruszyły się szybko, po czym na kobiecą dłoń podreptała cała biała myszka. Jej właścicielka, czyniąc to z wyraźną zadrą w głosie, wyjaśniła: – Straciłam już sześć moich futerkowych maleństw, które zostały pożarte przez wygłodniałe mięsożerne ptaszyska tej naszej... władczyni. I dopiero ta oto dzielna kruszynka powróciła szczęśliwie z ptaszarni, aby przekazać mi kluczowe wieści. – Ekru przeniosła dłoń z myszą do swego spiczastego ucha, gdzie wąsikami została połaskotana po małżowinie. – Słodziutka jesteś... – szepnęła z uczuciem do zwierzątko. Z kolei towarzyszący jej mężczyzna się zafrasował. Ściągnął blade usta, nadając swej pociągłej twarzy z pozoru jeszcze dłuższy wygląd i niepokieszony oznajmił:

– Skoro to prawda, co mówisz, o złowieszczych zamiarach Alabaster, to jakim cudem rada tak znaczną przewagą głosów wybrała ją na naszą niepodzielną władczynię?

– Ja na nią nie głosowałam – obruszyła się Ekru.

– Ja w sumie też nie. – Chamois wzruszył dość wątlými ramionami i

posępnie zauważył: – Ale inni oddali na nią swój głos, nie da się temu zaprzeczyć.

– Hm... – zadumała się kobieta. – Może zaważyło to, iż podała się za samą siostrę krwi, legendarną Alabaster – stwierdziła.

– A jest nią naprawdę...? – powątpiewał mężczyzna.

– Pracuję nad tym. – Jego rozmówczyni pogłaskała mysz po krótkim futerku, ucałowała ją w pyszczek i na powrót schowała do rękawa sukni. A zaraz zapytała:

– Przyszły już wieści od złotego króla zachodniej krainy? – W odpowiedzi Chamois tylko załamał ręce:

– Nie daje on wiary w złe intencje Alabaster – oświadczył ponuro i w podobnym tonie dodał: – Ponadto nasz łącznik z królestwem zasugerował, że jeżeli będziemy za bardzo naciskać na króla, może się to skończyć tym, iż zadenuncjuje nas wielkiej księżnej, jako prowodyrów zamętu i siewców mroku.

– Czyli nasz potencjalny sojusznik jest naiwnym świetlistym głupcem – skwitowała cierpko Ekru. – Czy ta wybielona Alabaster ma w ogóle jakichś wrogów? – syknęła zirytowana. Na co Chamois oparł jej krzepiąco dłoń na plecach i z przekonaniem zasugerował:

– Prowadźmy dalej nasze prywatne śledztwo. Jeżeli zaś wielka księżna naprawdę jest skażona mrokiem, to wcześniej czy później, sama narobi sobie wrogów, a wręcz powstanie przeciw niej cały świetlisty świat.

– Masz rację mój ukochany. – Na twarzy dojrzałej kobiety zagościł wreszcie w miarę pogodny uśmiech i Ekru złożyła delikatny pocałunek na ustach niewiele starszego od niej mężczyzny. Następnie wspólnie udali się do centrum pałacu na planowaną tam naradę, która zwykła się tu odbywać cyklicznie co siedem dni w każdym ostatnim dniu księżycowego tygodnia. Zaś obecnie właśnie nastawał ciemny nów.

III. SREBRNA

Dziewczyna ocknęła się z pulsującą bólem szczęką i do kompletu metalicznym posmakiem srebrzystej krwi w ustach. Sama leżała na boku w płytkim śniegu. Spróbowała wstać, ale związane w dole pleców ręce skutecznie jej to utrudniały i szamocząc się, jedynie przybrała pozycję w siadzie skrzyżnym. Wtedy splunęła krwawą śliną na szary śnieg, zdmuchnęła sprzed twarzy kosmyk srebrnych włosów z rozplecionego w ogniu walki warkocza i rozejrzała się wokół.

Wojownicy z jej klanu pracowali przy przenoszeniu ściętych drzew odznaczających się popielatą barwą. Niektórzy rąbali pnie na pomniejsze szczapy, a inni budowali potężny stos. Nieco dalej w kałużach krwi ułożone były w rzędzie liczne zwłoki.

W tym momencie ze Srebrnej uszło całe powietrze. Wypuściła je do końca z płuc i zastygła dłużej na bezdechu. Aż kiedy znowu zmuszona została napełnić klatkę piersiową mroźnym tchnieniem, skrzywiła się na twarzy, po czym przybrała na niej hardy wyraz.

Nie zrobiła nic niewłaściwego! – krzyknęła w duchu do samej siebie, by zagłuszyć kielkujące tam wyrzuty sumienia. Tak, może i przyczyniła się do śmierci wielu wojowników. Ale przede wszystkim zesłała sprawiedliwą śmierć na zdrajców, a wcześniej uratowała swój klan. I za to spotkała ją podzięka w postaci rozkwaszonych ust i krępujących więzów?

– Właśnie za to... – Srebrna naraz drgnęła, usłyszawszy za sobą zwykle ciepły, a tym razem iście lodowaty, znajomy, męski głos. – Właśnie za nadmierne przelanie krwi musisz ponieść karę – zaznaczył twardo Marrengo i stanął tuż przed dziewczyną. Ona wiedziała, że znajdując się w jedności zmysłów, jej przyjaciel czasem potrafił czytać cudze myśli i najwyraźniej uczynił to teraz, dając odpowiedź na atakujące ją pytania. Choć wypowiedziane ku niej słowa bynajmniej nie przynosiły spokoju umysłu, a wręcz przeciwnie, brzmiały bowiem oskarżycielsko.

– Więc co niby miałam zrobić?! – szarpnęła się z wyrzutem związana

postać. Wojownik dłużej spoglądał jej w oczy, czyniąc to z widocznym smutkiem, aż pośpiesznie rzekł:

– Powinnaś zawsze powstrzymać rozlew krwi, jeżeli widzisz ku temu chociaż cień szansy. Powinnaś zaryzykować własne życie, aby nikt ponad tego, kto musiał, nie zginął.

– Zginęli zdrajcy, którzy chcieli nas podstępem zabić!

– Zginęli prości wojownicy, którzy zostali niecnie wykorzystani w klanowych rozgrywkach. Oni zginęli... ponieważ z kretelem zawiedli ich przywódcy, wszyscy przywódcy. – Wobec tak gorzkiego podsumowania dziewczyna zagryzła wargi w gniewnym grymasie, ale jednocześnie ze srebrzystych oczu pociekły jej łzy bezsilności. Na końcu języka miła słowo „przepraszam”. Lecz zamiast tego uśmiechnęła się złośliwie i syknęła:

– A jakie to powody kierowały jednym z przywódców, by nastawać na życie drugiego? – Na wspomnienie przedśmiertnego wyznania Feldgrała wbiła wręcz nienawistne spojrzenie w Marrenga. – Nie jestem Srebrną? Nie jestem Srebrną?! – krzyczała, znowu się szarpiąc. Na co wojownik poczekał, aż zapanuje nad złością. Wtedy włożył za własny pas wyjątkowy miecz dziewczyny, ją samą uwolnił z więzów i bezwzględnie wycedził przez zęby:

– Już nie jesteś Srebrną. Najwyraźniej myliłem się co do ciebie. Albowiem każdy ma prawo do pomyłki, ale nie kosztem cudzych istnień. – Wskazał na układany stos. – Dlatego odejdz i nigdy tu nie wracaj. Nie jesteś już klanową przywódczynią. Nie jesteś już kimś, kogo pragnę mieć u swego boku czy widzieć na oczy. Zostajesz wygnana z klanu Srebrzystej Stali i nie wolno ci przebywać na jego ziemiach pod groźbą śmierci.

– Ale... – Uwolniona osoba porwała się na równe nogi i ruszyła ku wojownikowi. Ten samym ruchem dłoni sprawił, że zderzyła się jakby z mroźną ścianą i padła boleśnie na plecy.

– Odejdz – usłyszała kolejny raz, a słowa te z ust dotychczasowego przyjaciela odebrała niczym raniące serce sztylety. Skrzyżowała ręce na piersiach, zupełnie jakby naprawdę odebrała w nich bolesną ranę i uczyniła krok w tył. – Odejdz. – Cofnęła się jeszcze bardziej. I szła tak do tyłu, czując na policzkach coraz więcej zamarzających tam łez. Zaś w tle, za Marrengiem, widziała gotowy już stos, na którym układano zabitych wojowników.

Lecz ofiarne miejsce bynajmniej nie miło być podpalone. Oto z kłębiastych chmur w platynowym kolorze wynurzyły się srebrzyste smoki. Majestatyczne zwierzęta kołowały dłuższy czas nad przeznaczoną im padliną oraz uwięzionymi w niej ludzkimi duszami. Aż skrzydlate bestie zanurkowały po swoją ofiarę. W zębate paszcze porywały z podestu krwawe truchła i pożywiały się nimi w locie, podczas gdy dusze wojowników stapiały się z istnieniem smoków, od tej pory stanowiąc ich integralną część.

Dziewczyna patrzyła na ten niezwykły obraz tak długo, aż dotarła do zaśnieżonej skarpy. Wtedy przykucnęła za nią i schowała twarz w dłoniach. A zaraz zatkała sobie uszy, kiedy przestrzeń wypełnił przeraźliwy gadzi skrzek. Była to oznaka integracji dusz wojowników z pożerającymi ich smokami – odgłosy rozdzierające mroźne powietrze i sprawiające żywym uczestnikom pochówku szczyry ból. Zaś ten trawił dziewczynę tym mocniej, że jedynym poległym z jej klanu był Aezon, postać, z którą była naprawdę blisko i bardzo się z nią zżyła. Teraz natomiast on był już martwy i srebrzyste bestie właśnie ostatecznie unicestwiały wszystkie poziomy jego istnienia, karmiąc się nimi.

Czyżby więc inni mieli we wszystkim rację? Była przywódczyni klanu Srebrzystej Stali nie miała nic wspólnego z siostrą krwi, a stanowiła jedynie nadmorską znajdę, narwaną wojowniczkę i przyczynę cierpienia ludzi oraz ich zguby? Ciągłe chowając twarz w dłoniach i kręcąc przecząco głową, nie mogła tej okrutnej prawdy tak po prostu zaakceptować.

* * *

Z nastaniem nocy siedząca za skarpą dziewczyna właśnie ukończyła integrację zmysłów. I co znamienne, znowu uczyniła to udanie. Swego rodzaju przełomem okazało się dla niej pokonanie za sprawą jedności Feldgrała, a dokonała tego, wreszcie osiągając w pełni pierwszy poziom tajemnej nauki, którą praktykowała. I obecnie także bez większych przeszkód weszła na ten sam stopień.

W konsekwencji wyłoniła się z za skalnego masywu z zamkniętymi oczyma, nie zwracając uwagi na ulotne dźwięki czy zapachy, które razem z innymi doświadczeniami zlewały się jej w jeden nadzmysł. To czyste doświadczenie odbierała jako wyjątkowo wysublimowane. Zaś dzięki niemu kroczyła niczym w powietrzu zupełnie bezszelestnie pomiędzy ogniskami i

śpiącymi wojownikami, nie zostawiając prawie śladów na śniegu. Jej ciało stało się wyjątkowo lekkie, jakby po części eteryczne i za jego sprawą dotarła aż do drzemiącego Marrenga.

Popatrzyła z mieszanymi uczuciami na przyjaciela, który swego czasu tak wiele dla niej uczynił i tyle znaczył, a teraz nią wzgardził oraz wygnał ją. Następnie jej dłonie spoczęły na rękojeści miecza za pasem mężczyzny. Tego samego oręza, który Marrengo podarował jej w chwili ich pierwszego spotkania, a ona poprzysięgła na zdobną klingę zostać godną miana jednej z sióstr krwi.

Tak więc pomimo wszelkich przeciwności udowodni, że naprawdę nią jest, Srebrną i to dlatego przysłała po swoją własność. W końcu nie miała wyboru, ponieważ uświadomiła sobie, że poza wyobrażeniem samej siebie, jako Srebrnej, zgodnie ze słowami Feldgrała, praktycznie nie istniała, była nikim. A nie mogła się z takim stanem rzeczy tak po prostu pogodzić. Zatem będzie walczyć o swoją tożsamość, czyniąc to już od tej chwili.

Trzymając rękojeść broni i ciągle zintegrowana w sobie, najdelikatniej jak to możliwe, wyciągała z pasa Marrenga lśniąca w blasku ogniska ostrą stal. Ta wysuwała się ku dziewczynie coraz bardziej. Aż naraz ostrze przykryła masywna dłoń mężczyzny. Nie otwierając oczu, zintegrowana zmysłami z przestrzenią Srebrna, skupiła całą uwagę na oczach przyjaciela i intencjonalnie zaniósła na nie ciężar niemal samego oręza. Powieki Marrenga nieco zadrgały, ale ostatecznie pozostały zamknięte. Wyglądało na to, że mężczyzna się nie przebudził, a dziewczyna wyciągnęła w całości miecz.

Wtedy jednak jej wzmożone skupienie uległo dekoncentracji. Pod wpływem wzruszenia otworzyła oczy i z lekkim uśmiechem na twarzy popatrzyła z uczuciem na wryty na klindze symbol Srebrnej. Tak, mając ten oręż w dłoniach, znowu poczuła się bez reszty tylko nią, Srebrną. Dodało jej to pewności siebie, odwróciła się i ostrożnie pokonywała drogę, którą dopiero co przebyła, by wkrótce zniknąć za zaśnieżoną skarżą.

Podczas skradania się towarzyszyła jej taka oto myśl, że niebawem sama zweryfikuje to, kim tak naprawdę jest. Otóż zgodnie z wiedzą uzyskaną od Feldgrała wyruszy na wschód północnej krainy. Przy czym uczyni to, aby odnaleźć tam uzurpatorkę i zabić ją, bądź, jeżeli sama nie była Srebrną, to zginąć w rozstrzygającym wszystko pojedynku na śmierć i

życie.

Utwierdziła się w przekonaniu, że właśnie życie lub śmierć, jedno z dwojga ostatecznie zatriumfuje zarówno w odniesieniu do niej samej, jak i domniemanej Srebrnej, o której usłyszała. Natomiast ten werdykt podyktowany przez los będzie już musiał zaakceptować każdy i ani Marrengo, ani żaden inny klanowy przywódca, już nigdy nie powie jej, że nie jest Srebrną. Oczywiście o ile rzeczywiście nią była i to właśnie jej dane będzie decydujące starcie przeżyć.

* * *

Mężczyzna podniósł z wolna powieki, które dopiero co wydawały się przygniecione wielkim ciężarem i leżąc, spokojnie odprowadzał wzrokiem dziewczynę. Ta, z ukradzionym mieczem za pasem, kluczyła ostrożnie pomiędzy śpiącymi wojownikami, aż zniknęła za zaśnieżoną skarpą i w mroku grafitowej nocy. Marrengo spodziewał się takiego rozwoju wypadków, co więcej, sam przyzwolił na taki ich przebieg. Nie wystawił bowiem nocnej straży i osobiście nie zaznał snu, a jedynie go pozorował.

Czemu to uczynił? Ponieważ doprawdy krajało mu się serce i to zarówno z powodu tego, jak bardzo zawiodła go w chwili próby jego podopieczna, jak i dlatego, że ostatecznie sam nie wiedział, czy była ona legendarną Srebrną, czy też nie. Swego czasu do tego, że jest jedną z sióstr krwi, został przekonany przez tajemniczego ślepego starca, któremu nie mógł spojrzeć w oczy. A skoro był on niewidomy, to nie istniała możliwość użycia mocy jedności, żeby przeniknąć jego wzrok i dostrzec w nim prawdę lub fałsz. Tak więc Marrengo zdecydował się zawierzyć zasłyszonym słowom, ale czy słusznie? Ostatecznie nie mógł tego wiedzieć, w związku z tym obecnie zdał się na to, by weryfikacji dokonał sam los.

Tak oto szkolona przez niego od kilku lat i bliska mu niczym własna córka dziewczyna odchodziła z mitycznym orężem, aby samotnie podążać swą ścieżką. Chociaż w głębi ducha Marrengo ciągle pragnął wierzyć, iż to właśnie ona była siostrą krwi, oraz że na drodze swego życia przełamie wyzierający czasem z niej mrok i dojrzeje do tego, żeby jasno srebrzyła się wyłącznie jej prawa natura.

* * *

Szczęśliwym trafem wraz z powitaniem srebrzystego ranka tonącego w

kolorach mysiej i gołębiej szarości dziewczyna odnalazła spłoszonego podczas wczorajszej bitwy rumaka. Dzięki temu dosiadła bezpiecznego konia z siodłem pomalowanym w srebrne smugi, który to wizerunek symbolizował klan Srebrzystych Mgieł. Klan, do którego zdziesiątkowania dopiero co się przyczyniła.

Zaś ona sama była teraz bezklanowym wyrzutkiem, swego rodzaju banitką, której nikt nie miał powodu darzyć szacunkiem czy przychylnością. Zresztą wiedziała, że wcześniej czy później wieści o bitwie na przełęczy rozniosą się po tej mroźnej krainie i to właśnie ona, czyli była przywódczyni Srebrzystej Stali zostanie oskarżona o zwieńczenie walki krwawą masakrą. W sumie poniekąd słusznie. Zatem w przyszłości tym bardziej nie spodziewała się spływającego na nią splendoru czy chwały, a raczej wyszydzania oraz obarczania winą za śmierć wojowników.

Natomiast czy sama słusznie się zachowała, walcząc, a nie negocjując? Nie chciała teraz o tym rozmyślać, ponieważ wciąż wiązało się z tym zbyt wiele świeżych ran na jej dziewczęcej duszy, gdzie najdotkliwsze były trzy z nich. Pierwsza zadana przez jej przyjaciela, Marrenga, który zdegradował ją i tak po prostu wygnał, jak bezpiecznego psa z obozu Srebrzystej Stali. Kolejnym ciosem była śmierć Aezona. Czy miała jego krew na rękach, osoby, w której niemal się podkochiwała? Stanowiło to okropne doświadczenie, świadomość, że zginął przez nią. Z kolei ostatnia rana spowodowana została próbą odebrania jej własnej tożsamości, legendarnej siostry krwi, Srebrnej. Wszak o ile na surową decyzję Marrenga, czy rozdzierającą duszę śmierć Aezona nie mogła niestety już nic poradzić, to w jej mniemaniu o bycie Srebrną wciąż była szansa zawalczyć i dlatego żwawo podążała na wschód.

Z nastaniem zmierzchu zatrzymała się na boku drogi i trzęsąc z zimna, przenocowała w wykopanej przez siebie śnieżnej jamie. Kolejnego dnia podróży już tylko prowadziła za uzdę zmęczonego i głodnego rumaka, sama cierpiąc narastający głód. Pragnienie ugasiła w mijanym strumieniu, którego zamarznąętą tafłę zręcznie rozplatała mieczem.

Nad szemrzącą rzeczką się dłuższy czas zatrzymała, ponieważ odkąd pamiętała, uwielbiała wodę i nie stroniła nawet od lodowatych kąpielii, a wręcz do nich lgnęła. Jednak pomimo wyczekiwania w krystalicznym nurcie widoku ryb, takowego się nie doczekała i wznowiła podróż z pustym

żołądkiem.

Aż w dalszej marszrucie natrafiła na przydrożną karcznię. Miejsce o może niezbyt zachęcającej nazwie Mysia Norka, które znała ze słyszenia, za to dające nadzieję na odpoczynek w ciepłe i co najważniejsze strawę.

Przywiązała płowego rumaka do belki przed drewnianym dwupiętrowym budynkiem ze spadzistym dachem i jeszcze raz dokładnie sprawdziła nieliczne juki dosiadanego do tej pory wierzchowca. Ku jej rozczarowaniu i tym razem nie znalazła nawet jednej srebrnej monety, ani niczego wartościowego, co mogłaby wymienić na żywność. Jedynie trochę okruszków chleba, szary bandaż oraz blaszaną miskę. Ale i tak weszła do karczmy, a zwabił ją tam ciepły powiew powietrza z otwieranych akurat drzwi i nęcący zapach pieczenia.

Wewnątrz najpierw zachowawczo stanęła pod ścianą, aby dobrze zlustrować otoczenie. Namierzyła wzrokiem dość surowy wystrój; kilka drewnianych stolików usytuowanych pośrodku parkietu, na ścianach odrapane tarcze przedstawiające herby z północy, a w dali wysoki blat i za nim półkę z trunkami. Natomiast wśród bywalców izby zobaczyła za blatem karczmarza, do tego parę popijających piwo jęczmienne mężczyzn w brudnych futrach pokrytych ziemią skąd nasuwał się wniosek, że byli to górnicy. Z kolei po przeciwległej stronie piwoszy zasiadała para wojów z nieznanym jej herbem na tarczach, a przedstawiał on zarys miecza zatopionego do połowy w falach. I ta para zbrojnych mężczyzn, w przeciwieństwie do górników, już nie zachowywała się spokojnie, za to rozlewali na zajmowanym stole drogą na mroźnej północy wino, głośno klęli i wskazywali sobie wulgarnie przybyłą dziewczynę.

Ona nie zamierzała odpowiadać na zaczepki, była po prostu wściekle głodna i pusty jak wydmuszka żołądek kierował ją niemal siłą prosto do karczmarza. Przechodząc po skrzypliwej podłodze przez izbę, wyminęła szerokim łukiem wojowników i oparła się łokciami o blat. Następnie wbiła wygłodniały wzrok w łysego mężczyznę przepasanego szarym fartuchem wycierającego akurat kufel do piwa. I czekała.

– Co podać śnieżnej panience...? – Karczmarz ledwie zerknął na przyprószoną śniegiem dziewczynę i powiódł wzrokiem po izbie, spodziewając się widocznie kogoś jeszcze. A nie namierzywszy nikogo takiego, nieco rozczarowany dopytał: – Młoda panienka tutaj tak sama?

Nieroztropnie, to bardzo nieroztropnie. – Wskazał dyskretnie kuflem na parę rubasznych wojowników.

– Jestem uzbrojona. – Przybyła osoba od niechcienia klepnęła ręką swego wyjątkowo długiego miecza za pasem, którego uchwyt sięgał jej niemal do piersi.

– Ach tak, oczywiście – zbył uwagę dziewczyny karczmarz i zamilknął, zajęty skrupulatnym czyszczeniem kolejnego kufla. Aż odstawił go na półkę za sobą i podniósł wieczko stojącej na blacie brytfanny, ukazując soczystą dobrze zarumienioną pieczeń, od której buchało gorąco i bił intensywny zapach. – To nasza specjalność, danie mroźnego dnia. Za szczyptę srebrnego proszku można jeść do syta – zaznaczył, czyniąc ku dziewczynie sprytny półuśmiech

– Nie mam proszku... – wycedziła przez zęby, śliniaca się wojowniczką i już pożerała zaprezentowaną jej strawę, wszak niestety jedynie wzrokiem.

– Nie ma drogocennego proszku, nie ma pieczeni, wielka szkoda. – Karczmarz raptem spowaźniał i już zakrywał brytfannę, gdy wtem dziewczyna złapała go za przegub dłoni i syknęła:

– Jak powiedziałam, nie mam proszku, ale może się jakoś dogadamy? Jedzenie mogę odpracować...

– Cóż... – Łysy mężczyzna przyjrzał się jej, robiąc coraz bardziej kwaśną minę. Aż naraz brytfanna została pochwycona przez jednego z rubasznych wojaków i przy wtórze gromkiego śmiechu jego kompana zaniesiona do stolika, gdzie biesiadowali. – Ech... – Zrezygnowany karczmarz tylko ciężko opuścił pokrywkę od brytfanny na blat. Zaś dziewczyna posępnie skwitowała:

– Rozumiem, że tamci dwaj też nie mają srebrnego proszku?

– Może i mają... Ale na pewno nie raczą nim płacić. W ogóle nie raczą płacić – usłyszała w odpowiedzi.

– No tak... – przytaknęła ze zrozumieniem. Obserwując osiłków, poklepała dłonią po blacie, zupełnie jakby tym ruchem potwierdzała właśnie podjętą decyzję, po czym okręciła się napięcie i poszła do wojowników. Zatrzymała się przed ich ochlapanym winem stolikiem i przez chwilę łakomie patrzyła, jak rozrywają zębami rumiane włókna pachnącego mięsiwa. Wreszcie jeden z nich, posiadający okazałą bliznę na policzku, o dziwo całkiem uprzejmie, oświadczył:

– Przyłącz się do nas, srebrnowłosa. Jedz i popijaj z nami do syta!

Zaskoczona dziewczyna, której nad wyraz mocno zaburczało w brzuchu, już miała przyjąć zaproszenie. Ale najpierw niepewnie zapytała:

– A co tu robicie i... kim wy właściwie jesteście?

– Nie widać?! – wychrypiał drugi wojak z popielatą przepaską na oku. Następnie popukał pięścią w opartą o drewnianą ścianę masywną tarczę z widniejącym tam herbem. Na co pierwszy wojownik, ten ze szramą, obojętnie wyjaśnił:

– Oczywiście należymy do zacnego klanu Srebrzystych Fał, a przywiało nas w te okolice aż z północno-wschodniego wybrzeża. Albowiem mieliśmy wziąć udział w jakiejś kampanii przeciw Centralnej Czułości. Jednak sprawa się rypnęła, bo podobno zdrowo odwaliło pewnej panience i własnoręcznie pozabijała walecznych wojowników Srebrzystych Mgieł.

– A jak ich pozabijała... ta wiedźma? – zaciekawił się lekko wstawiony jednooki kompan mężczyzny.

– No jakże to, jak? – Ten z blizną się zachnął. – Toż ta zdrajczyni i lisica spiła wojów trunkami nasyconymi czarem głębokiego snu, po czym we śnie zadźgała sztyletem. Taka to mroźna czarownica. A nawet podstępem ubiła ponoć samego Feldgrała, cześć jego pamięci. – Mężczyzna wychylił puchar do dna i gniewnie dodał: – Więc... jeżeli tylko dorwiemy wiedźmę w swoje łapy...

– Zapłaćcie za wino i mięso – ucięła naraz skwaszona dziewczyna i hardo położyła dłoń na rękojeści swego miecza.

– Że co...?

– Że jak...? – Para wojaków wybałuszyła na nią oczy.

– Że tak. – Wojowniczką wyciągnęła zza pasa znaczną część srebrzystej klingi i przełknęła nadmiar śliny wytworzonej widokiem apetycznego jedzenia. Bowiem po tym, co usłyszała, postanowiła obecnie skoncentrować się wyłącznie na swym pierwotnym postanowieniu, czyli przywołaniu osiłków do porządku. I ku jej zaskoczeniu wyglądało na to, że sprawiała się owej roli ochroniarza karczmy całkiem przyzwoicie.

– Dobrze już dobrze, spokojnie... Nie chcemy przecież żadnych kłopotów. – Pierwszy wojak wyjął zza pazuchy miecz i zaczął w nim niemrawo grzebać. Natomiast jego jednooki kompan chwycił brytfannę z połową pieczeni i podsuwając ją ku dziewczynie, z miną obrzydzenia na twarzy, się

zaklinał: – To było żyłaste, niedopieczone oraz suche i twarde, jak podeszwa w siarczysty mróz. Właściwie, to nic niewarte i już tego nie chcemy.

W odpowiedzi wojownicza naiwnie wyciągnęła ręce, aby przejąć półmisek. Lecz ten został pchnięty prosto w jej twarz i to z taką siłą, że od ciosu w głowę metalową brytfanną aż ją zamroczyło. A zaraz ktoś mocno ją pchnął, przez co upadła na podłogę i zanim zdołała się podźwignąć, posypały się na nią siarczyste bluzgi oraz kopniaki. Nawet nie próbowała walczyć, w obecnej sytuacji było to daremne, dlatego tylko rozpaczliwe pełzła po parkiecie ciągle okładana na lewo i prawo. Całe jej ciało szybko zaczęło pulsować nieznośnym bólem, a delikatne lico zalało się krwią.

– Głupia szara. Ma, o co się prosiła! – słyszała nad sobą wzgardliwe okrzyki. Wszak zaraz mężczyźni od niej niespodziewanie odstępili. Następnie jak przez ścianę doszły do niej stłumione odgłosy walki, w tym łoskot krzyżowanych kling, dudniący dźwięk przewracanych stołów oraz stukot spadającej na podłogę zastawy. Potem raptownie wszystko ucichło. Zaś leżąc bezradnie na podłodze i wpatrzona we drewnianą klepkę dziewczyna zauważyła koło siebie szeroką strugę srebrzystej krwi, rozlewającej się w okazałą kałużę. A zaraz ktoś jakby przyjaźnie poklepał ją po ramieniu i usłyszała młody męski głos. Ten najpierw wydał się bełkotliwy, dość niezrozumiały z powodu zawrotów głowy dziewczyny. Lecz w miarę wypowiedzanych zdań stawał się już dostatecznie wyrazisty, aby mogła wychwycić treść padających słów:

– Dokładnie tak, zajmijcie się tą nieszczęsną biedaczką na podłodze. A to za doprowadzenie jej do zdrowia i wyrządzone szkody. – Zachręściły monety w mieszku. – Niestety nie mam czasu zakopać trupów. Spiesz mi się, albowiem muszę jak najszybciej odnaleźć na północy legendarną siostrę krwi, Srebrną. A skoro nic ci o niej nie wiadomo, karczmarzu, to pozdrawiam cię, życzę szczęścia i złocistego dnia, bywaj!

Spoczywająca na parkiecie dziewczyna chciała podnieść przynajmniej rękę, aby zakomunikować, że miała coś do powiedzenia i tym samym zatrzymać choć na chwilę tajemniczego młodzieńca. Ale była zbyt oklapła i nie wykonała żadnego ruchu. Usłyszała za to skrzypliwy odgłos gwałtownie otwieranych, a zaraz potem już zamykanych drzwi, po czym nastąpiła głucha cisza. Przerwały ją dopiero bolesne jęki samej wojowniczkii, która była

taszczona po podłodze za nogi bezwładnie niczym wór ziemniaków. Aż do jej westchnięć dołączyło w sumie podobne brzmieniem markotne narzekanie karczmarza:

– Niby takie chucherko, ta zbita dziewczynka, a jednak swoje waży, zupełnie jakby nie z mięsa i kości, a z prawdziwego srebra była... – I zaraz gromko dodał: – Droga Myszeldo! Świeże trupy nam się po tawernie walają. Wezwij chłopka Siwego, aby je pod mroźną ziemię pozamiatał! No i jakieś dziecko nam tu skatowano! Przygotuj, proszę, łóżko na górze i mokre kompresy. Także zioła do odkażania ran się przydadzą. A przede wszystkim pomóż mi, bo sam jej nie wtaszczę po schodach!

Niedługi czas później półprzytomna dziewczyna leżała obolała i ze spuchniętą twarzą cała obłożona mokrymi ścierkami podociskanymi do jej posiniaczonego ciała kawałkami lodu. Spoczywała tak wykończona zarówno fizycznie, jak i natłokiem ostatnich wydarzeń w tym wielce niefortunnych splotów okoliczności, gdzie jednak oczywiste klęski mieszały się z nikłymi promykami nadziei. Ot jak chociażby dodawały otuchy myśli o jej tajemniczym obrońcy, który poszukiwał siostry krwi, Srebrnej. Tym bardziej zapragnęła właśnie nią być, aby kiedyś przedstawić się jako Srebrna swemu wybawicielowi i spłacić zaciągnięty wobec niego dług. Dochodząc do zdrowia, kurczowo chwyciła się takowej myśli, zupełnie jak rękojeści zwróconego jej przez karczmarza legendarnego miecza.

IV. ALABASTER

Wielka księżna dosiadła potężnego gryfa i w eskorcie kilkunastu jeźdźców na podobnych zwierzętach wzbiła się z południowej części pałacu wprost w mroźne przestworza. Ciało Alabaster tradycyjnie chroniła jedynie zwiewna biała suknia, a przestrzeń władczyni jak zwykle przemierzała otoczona padającymi płatkami śniegu, choć trwał jasny pogodny dzień. Jaśniejące promienie słońca rozświetlały zaśnieżone górskie zbocza i jakby przeglądały się w nich, połyskując w lodowcach. I to właśnie do jednej z takich wyniosłych lodowych gór podążała obecnie wielka księżna.

Wyrachowana kobieta, tonująca zwykle emocje, na ten czas czuła autentyczne pobudzenie. Działo się tak, ponieważ otrzymała od dawna wyczekiwane wieści – na jej polecenie odnaleziono pierwszego przedstawiciela pradawnej rasy lodowych olbrzymów. I co prawda był to przedstawiciel rodu wrogiego istotom ludzkim, jednakże ufna w swe magiczne moce Alabaster nie wahała się podjąć wyzwania, by spróbować zapanować nad mitycznym gigantem. Tym, jak i następnymi, których zamrzniętych odkryją w górach sprowadzeni tu przez nią doskonali inżynierowie i górnicy z południowo-zachodniej krainy – ludzie o kasztanowym kolorze skóry i podobnej barwie krwi w żyłach.

W pewnym momencie przewodnik prowadzący w powietrzu klucz kilkunastu gryfów, gdzie wielka księżna znajdowała się w samym centrum szyku, skręcił na wschód, a potem ku dołowi. To samo uczyniła reszta powietrznej eskadry i zaraz kolejne ptaki z jeźdźcami lądowały ostrożnie na lodowej półce. Na szczęście potężne lwie szpony wieńczące mocne nogi ptaków dostatecznie mocno wżynały się w śliską powierzchnię, aby zachować na niej stabilność.

Wszak sama władczyni nie obawiała się bynajmniej upadku ze względu na posiadanie własnej pary skrzydeł i za ich pomocą delikatnie sfrunęła na lodową powierzchnię. Ledwie musnęła aksamitnymi trzewikami zimny grunt i niespiesznie falując skrzydłami, po części idąc oraz lecąc, udała się

do wydrążonej w lodowcu jaskini.

Mijała przezroczyste lodowe przestrzenie rozświetlone przez powciskane w ściany wiecznej zmarzliny księżycowe łyzy. Aż dotarła na skraj wielkiej przepaści w sercu góry. Tutaj widok wręcz zapierał dech w piersiach. Przed wielką księżną rozciągał się bowiem potężny lej, w którego wnętrzu można było dostrzec mnogość pomostów i uwijających się na nich robotników w brązowych kombinezonach. Zaś liczne drewniane kładki okalały głowę oraz tors gigantycznej białej istoty, której reszta sylwetki wciąż stała zatopiona w grubym lodzie.

Zanim Alabaster udała się bezpośrednio do giganta, aby obejrzeć go z bliższej odległości, dokładnie zlustrowała tę postać z miejsca, gdzie przystanęła. Olbrzyma cechowała łyssa czaszka, białe ślepia pozbawione źrenic i długi wąski nos. Za to szczęka była masywna i rozwarta, ukazująca zęby w kształcie kwadratów. Kości policzkowe były mocno zarysowane, a cała twarz pociągła, niezwykle szczupła, wręcz zapadnięta i śnieżnobiała. Dało się też zauważyć wystające z lodowej okrywy potężne ramiona do łokci, które swym obwodem znacząco przewyższały najgrubsze pnie drzew, jakie widziała do tej pory władczyni. Lecz ją osobiście najbardziej interesowała klatka piersiowa giganta. Ta wydawała się na pierwszy rzut oka otwarta, co spowodowało nieco srogi wyraz na twarzy kobiety i ją zaniepokoiło. Dlatego, aby czym prędzej rozwiać swe wątpliwości, nie czekała dłużej, jak i nie skorzystała z drewnianych ramp, tylko zatrzepotała mocniej skrzydłami, po czym poleciała tuż przed serce lodowego olbrzyma.

Na miejscu nisko uklonili się jej górnicy z południowego zachodu, zdejmując na moment kaski z głów. Wszak pochłonięta widokiem zamrożonego giganta wielka księżna nawet nie zwrócił na nich uwagi, tylko stąpając po drewnianej kładce, zagłębiła się do wnęki w torsie monstrualnej istoty.

W zamrożnięte cielsko również powtykano jaśniejsze kryształy, by oświetlały wnętrze olbrzyma, jego blade mięso. Te jednak przybrało ciemniejszą barwę, nieco perłową, w okolicy wyraźnie naruszonego serca. Otóż w jednej z jego komór znajdował się wyraźny wyłom, który ział pustką.

Wobec takiego rozczarowującego obrazu Alabaster szybko się odwróciła i

przyspiliła srogim wzrokiem jednego z podążających za nią inżynierów. Ten zmieszał się w obliczu oczywistego niezadowolenia swej mocodawczyni i rozkładając szeroko masywne ramiona, zaczął się gęsto tłumaczyć:

– Wszystko skrupulatnie realizujemy według podstawowych wytycznych, wykresów oraz zaplanowanych założeń. – Pokazał na kompana trzymającego w rękawicach papierowe rulony i już z rosnącą pewnością siebie ciągnął dalej: – Lodowy gigant został odkryty w wiecznej zmarzlinie i przystąpiliśmy niezwłocznie do odwiertów, mających na celu przedostanie się do serca istoty. Jak widać, prace inżynieryjne zostały zwieńczone sukcesem. Zaś kluczowy organ zawiera w sobie alabastrowy klejnot jaśniejący żywym blaskiem, który to przedmiot należycie zabezpieczyliśmy.

– Czy ja go tu widzę? – zapytała w typowy dla siebie dwuznaczny sposób Alabaster, wydychając przy tym z ust lodowy podmuch, który aż zmroził twarz inżyniera. Ten otarł z policzków nagle powstały tam szron, wychylił się w bok, aby dominująca nad nim wzrostem władczyni nie zasłaniała mu widoku i posepnie zawyrokował:

– Chyba go, pani, tam jednak nie widzisz... Ja w każdym razie wcale.

– Za to ja widziałem tam klejnot i to całkiem niedawno – wyrwał się pomocnik inżyniera, wskazując na witalny organ olbrzyma trzymanymi dokumentami.

– Mów i daj mi ze swych słów coś, co zadowoli me uszy – rzuciła do niego lodowato wielka księżna.

– Mówić coś, co zadowoli uszy... – mruknął pod nosem przedstawiciel południowo-zachodniej krainy. Nieco skołowany popatrzył badawczo na kobietę i niefrasobliwie zaczął jej prawić kiepskie komplementy: – Jesteś, o pani, piękna niczym, eee... śnieg. Puch śnieżny? – Na co inżynier stuknął go zdecydowanie łokciem w bok, szepnął mu coś do ucha osłoniętego częściowo kaskiem i pokazał rękawicą na serce olbrzyma. – Aha... miłe do posłuchania, ale odnośnie do giganta, oczywiście – zreflektował się pomocnik i już bardziej zdecydowanie oznajmił: – Przybyła tu do nas całkiem niedawno wysłanniczka z Pałacu Alabaster. Zaznaczyła, że jest z polecenia samej wielkiej księżnej i ma za zadanie odebrać sercowy klejnot, żeby jej go osobiście doręczyć. Więc sumiennie wykonałem polecenie naszej mocodawczyni. Aczkolwiek oczywiście nie omieszkałem odebrać należnego

pokwitowania, proszę bardzo: – Niski mężczyzna zakwitł przesadnie naiwnym, jak u dziecka uśmiechem i zademonstrował przed sobą jeden ze ściskanych dokumentów. Zaś wobec jego wyznania inżynier tylko uderzył się z płaskim ręką w czoło przysłonięte częściowo szklanymi goglami.

Z kolei Alabaster dłuższy czas przewiercała lodowatym wzrokiem pomocnika. Nic nie mówiła, nie czyniła żadnego gestu, a mimika jej twarzy pozostawała niewzruszona. Lecz zupełnie inaczej prezentował się osaczony bezwzględny spojrzeniem niski mężczyzna. Ten uśmiechał się coraz bardziej nerwowo, jego brązowe oblicze siniało, ruchy stawały powolniejsze, aż całkiem zamarł i stęzał w dotychczasowej pozie, jako lodowy posąg. W tym momencie władczyni wzleciała do góry i łopocząc skrzydłami, ruszyła w powrotną drogę.

– A co z nim? – jęknął za nią inżynier. – Co z moim pomocnikiem?

– Co lód scalił, ogień może rozwiązać – padły z przestrzeni obojętnie wypowiedziane słowa.

– No tak... chyba rozumiem – odparł bez przekonania dowodzący brygadą górników i głośniejszym głosem zapytał: – A co z nami, z projektem?

– Niestrudzenie poszukujcie pośród mroźnych kwiatów ich lodowych owoców. Lecz od tej pory, będziecie je zrywać tylko pod alabastrowym okiem.

– Eee... to znaczy? – wybełkotał zdezorientowany przedstawiciel kasztanowego ludu, drapiąc się rękawicą po hełmie. Na szczęście z pomocą przyszedł mu dowódca gwardii Alabaster i wytłumaczył:

– Dalej szukajcie zamarzniętych olbrzymów i klejnotów w ich sercach. Jednakże od teraz będziecie to czynić pod nadzorem zaufanych gwardzistów naszej najjaśniejszej władczyni. To pragnęła przekazać wam Nasza Jasność.

– Aha, czyli ta zimna su... To jest... eee, zacna pani, oczywiście... Nie przerobi nas wszystkich na sople lodu? To pocieszające... – westchnął z wyraźną ulgą inżynier. Potem wziął w rękę tubę i donośnie zakomunikował: – Zamykamy stanowisko A5 i wykonujemy próbne odwierty w sąsiednim paśmie lodowych gór oznaczonych jako B4. Do tego dajcie tu beczkę ze smołą, musimy odpowiednio podgrzać jednego z naszych!

* * *

Tuż po powrocie do Alabastrowego Pałacu wielka księżna skierowała równo stawiane kroki ku położonej w centrum budowli sali narad. A zmierzając w obranym kierunku, kilka razy mimowolnie zacisnęła dłonie w pięści. Przy czym niepokojąco bynajmniej nie wzbudzało w niej specjalnie to, że nie weszła w posiadanie klejnotu niezbędnego do ożywienia prastarego olbrzyma – odnajdzie inne pożądane w tym celu błyskotki. Znacząco bardziej frapował ją fakt, że ktoś z najbliższego otoczenia ją ubiegł, a do tego skrycie wystąpił przeciw należnej jej wszechwładzy i knuł za jej skrzydlatymi plecami. A przecież starała się być ostrożna, taka ostrożna. Ponadto jak ten ktoś w ogóle śmiał?! I przede wszystkim na kogo powinna teraz skierować swe podejrzliwe spojrzenie, aby czym prędzej zdemaskować zdrajcę? Domyślała się, iż ów nikczemnik skrywał się wśród członków pałacowej rady. Musiał mieć bowiem znaczącą wiedzę, inaczej nie posiadałby przecież możliwości odnalezienia dyskretnie zleconych w terenie prac i w konsekwencji klejnotu serca. A skoro tak, władczyni nie widziała innej możliwości niż skorzystać ze swej ptaszarni i na poszczególne osoby z rady napuścić własne sługi, by bacznie im się przyglądały. Choć co do większości obecnych prominentów w pałacu i tak była spokojna, że jedynie sumiennie wypełniali jej zalecenia. Zaś przyczyna takiego stanu rzeczy skrywała się w najciemniejszych pałacowych lochach, do których wstęp posiadała wyłącznie Alabaster.

Tymczasem siłą woli otworzyła przed sobą podwójne białe jak kreda i marmurowe wrota, gdzie na każdej części wyryte były na jej polecenie skrzydła i bezszelestnie weszła do sali narad. Komnata ta stanowiła swoiste serce pałacu i co znamienne, nawet przypominała jego wyidealizowany wizerunek. Tym sposobem przybyła kobieta wkroczyła właśnie do wcięcia pomiędzy dwiema krągłymi wypukłościami pomieszczenia. Natomiast wraz ze zmierzaniem do centrum sali, ta zawężała się coraz bardziej, aż do ostrego zwieńczenia, gdzie u szczytu w jednym punkcie spotykały się dwie sercowe półowki.

Wielka księżna osobiście zasiadła w centrum komnaty na również sercowym tronie z masy perłowej, przypominającym zarazem otworzoną muszlę, w której władczyni miała połyskiwać niczym sama perła. Natomiast wokół rozchodziły się pofalowane w swym kształcie ławy o mlecznej barwie na wzór zmarszczek tafli morza. Owe siedzenia zajmowały

kobiety, jak i mężczyźni w szatach w kolorze nieskazitelnej bieli.

Wszak co istotne, sam wygląd komnaty, przywołujący na myśl zdecydowane skojarzenia z morzem, nie był tu wcale przypadkowy. Alabaster nie obca była bowiem wiedza o tym, że w zamierzchłych czasach, jeszcze przed nastaniem epoki gigantów, a potem ludzi, te tereny miał w swym władaniu ocean. Z kolei centralna komnata pałacu była ongiś podobno główną siedzibą syren. Te ponoć wymarły tysiące lat temu, a pozostały po nich jedynie rozsiane po wschodniej krainie szkielety koralowców – domy wspomnianych morskich istot.

Lecz zapobiegliwa Alabaster nie do końca dawała wiarę temu, iż syreni gatunek całkiem odszedł w niepamięć. W końcu kontynent Unton okalał pradawny ocean z zatopionymi w jego nieprzebranych odmętach krainami. Więc kto wie, może i legendarnym morskim istotom udało się gdzieś przetrwać w oceanicznych czeluściach. I ta myśl stanowiła kolejny impuls, aby stale rozbudowywać flotę służącą między innymi do głębinowych połowów.

Obecnie jednak władczyni pragnęła przede wszystkim zarzucić sieci i w nie pochwycić zdrajcę z pałacu, który skradł jej sprzed nosa drogocenny klejnot. Dlatego zasiadając wyprostowana na perłowy tronie, do zgromadzonych tu mężczyzn oraz kobiet, podniosła wszem i wobec oświadczyła:

– Mroczny wilk w owczej skórze skrada się pomiędzy nami, siejąc ciemność, rozsiewając zamęt. Lecz czerń ubrana w białe szaty, nie skryje zbyt długo dzierzzonej tajemnicy i przed najjaśniejszym wzrokiem wnet ujawni swe oblicze. – Następnie Alabaster popatrzyła krytycznie po obecnych w sali dwudziestu ośmiu osobach, liczbie odpowiadającej księżycowemu miesiącowi. Napotkała jednak wyłącznie surowe wizerunki, a na nich brak choćby cienia niepokoju czy zakłopotania. Ale nie dziwiło jej to. W końcu przewodziła alabastrowej rasie słynącej z powściągliwości i nieokazywania uczuć. Dlatego zaraz złagodziła spojrzenie i nie ogniskując go na niczym konkretnym, wpatrzona jakby w samą przestrzeń, spokojnie kontynuowała: – Tak jak dzień nastaje po nocy, tak światło na powrót pokonało mrok. Jak wilki nieustannie podchodzą pod stada owiec, tak strzegące ich pasterskie psy dają drapieżnikom odpór. Tako i za naszą sprawą dokonało się zwycięstwo, obroniliśmy jaśniejącą światłość. – Te z

kolei słowa miały się bezpośrednio odnosić do odparcia ataku mrocznych istot z centrum na magiczną barierę stanowiącą zachodnią granicę księstwa Alabaster. – Co się zaś tyczy przyjaciół, nie wrogów – ciągnęła dumnie władczyni. – Czasem pomocna dłoń nie zostanie na czas wyciągnięta, w szczególności, gdy sama musi chwycić za oręż w samoobronie. Tak oto jasność księżyca nie wsparła blasku zachodniego słońca, nad czym światłość ubolewa.

– Ta blada żmija ma na myśli, że w żaden sposób nie pomogliśmy w walce złotym zastępom na zachodzie – szepnęła dyskretnie do Chamoisa Ekru, czyniąc to niczym wytrawna brzuchomówczyni prawie bez potrzeby otwierania ust. Następnie poprawiła się w trzecim rzędzie ław, gdzie zasiadali w radzie i słuchała dalszej przemowy:

– Wielka Puszcza płacze, jej liściaste łzy gęsto zaścielają ziemię. Wszak to z łez i bólu bierze się cud narodzin, a ten powitamy my w naszej wschodniej macierzy.

– Bładolicej chodzi niewątpliwie o masową wycinkę drzew, które posłużą do budowy jej przeklęte floty, aby niczym alabastrowa ośmiornica zarzuciła swe lepkie macki na oceaniczne akweny.

– Dyskretniej, proszę, ciszej... – upomniał ukochaną Chamois, podobnie jak ona szepcząc prawie bez wzbudzania mimiki twarzy. A do kompletu lekko kopnął żonę w łydkę.

– Ajć... – syknęła nierozważnie Ekru, czym na moment skupiła na sobie wzrok władczyni. Jednak Alabaster zaraz ponownie rozproszyła swe spojrzenie i swobodnie prawiała dalej:

– Tam, gdzie światłość skrywa się w przeciągu nocy, ziemia krwawi, a do jej ran przysysają się ludzkie pijawki. Lecz zaprawdę zapytuję: co dobrego może wyjść z picia ziemskiej krwi bez blasku światła i o mrocznej barwie? Dlatego na miejsce krwawiącej ziemi oraz zachodzącego słońca wschodnia jasność zaciąga całun zapomnienia.

– Zrywasz, o pani, relacje z Kasztanową Republiką arystokratów? I czynisz to z powodu rozwoju przez nich nieznaną nam dziedzinę zwanej nauką? – wyrwała się naraz Ekru. W odpowiedzi pośród pozostałych bywalców komnaty rozległ się niespokojny szum, który do złudzenia przypominał szelest ptasich piór przemieszany ze szczebiotami i ćwierkaniem. Lecz Alabaster zaraz uniosła dłoń na znak, iż domaga się

ciszy. Kiedy się jej doczekała, wbiła lodowate spojrzenie w wypowiadającą się uprzednio kobietę i swe słowa uzasadniła:

– Czarna magia wylewa się spod ziemi południowo-zachodniego władztwa. Zaś gdzie władanie mrokiem, tam zguba dla wschodniego światła.

W tym momencie Ekru już miała na końcu języka pytanie o współpracę wielkiej księżnej z ludźmi o kasztanowej barwie krwi i skóry, których sama sprowadziła do wschodniej krainy. Oni natomiast przywieźli ze sobą beczki ze wspomnianą ziemską krwią i musieli też coś więcej wiedzieć o maszynach posiadających ową mroczną ciecz w gumowych żyłach. Ale pod wpływem surowego wzroku wielkiej księżnej, członkini rady naraz poczuła na sobie osaczające zimno, które się wzmagало. Do tego za ramię kurczowo chwycił ją Chamois. W konsekwencji szybko się opamiętała, na znak pokory pochyliła głowę i już łagodnie rzekła:

– Oczywiście wszyscy, jak tu jesteśmy, przyjmujemy tve jaśniejące słowa, alabastrowa pani, jako nasze własne. Albowiem przemawia przez ciebie najjaśniejsze światło wschodzącego słońca wsparte blaskiem księżyca. Dlatego ja także składam pokłon twej nieomyślności i wpieram prawość wszelakich poczynań. – Ekru niżej pochyliła głowę. Wtedy zimno zaczęło od niej ustępować, a w komnacie rozbrzmiało jakby radosne ćwierkanie innych członków rady. Potem nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

Aż niepodzielnie panująca władczyni zakończyła krótkie posiedzenie, uroczyście ogłaszając, że czas rozpocząć przygotowania do święta światłego zstąpienia. Było to jedno z siedmiu głównych świąt czczonych niegdyś na całym kontynencie Unton, a obecnie głównie już tylko na terytorium alabastrowego księstwa. Natomiast planowana cykliczna uroczystość odnosiła się do przybycia do tego świata w najbardziej zamierzchłych czasach rasy bogów. Ci mieli dać początek wszelkiemu istnieniu, w tym przede wszystkim zaszczepili w przestrzeni życiodajne światło, rozpraszaające mrok. Choć ostatecznie sami skonfliktowali się ze sobą i podzielili, gdzie część z nich miała przejść na mroczną stronę. Lecz pamięć o tych najjaśniejszych boskich istotach ciągle była podtrzymywana w księstwie i należycie tu czczona.

Jednakże nieoczekiwanie, gdy członkowie rady już wstawali, aby opuścić sercową komnatę, Alabaster zwróciła się jeszcze do Chamoisa oraz Ekru:

– Stańcie w świetle najjaśniejszego blasku.

Oni popatrzyli po sobie i zamiast udać się do wyjścia, jak pierwotnie zamierzali, ruszyli zgodnie do władczyni. Ponieważ jej słowa najwyraźniej kierowały ich właśnie przed jej oblicze. Ona jeszcze pewien czas chętnym członkom rady udzielała cotygodniowego błogosławieństwa, kładąc im prawą dłoń na czole, które potem rozświetlała alabastrowa poświata.

W końcu wszyscy obdarowani opuścili majestatyczną salę i para wezwanych osób pozostała sam na sam przed dumnym obliczem władczyni. Ta przewiercała wzrokiem równocześnie obie postacie. Wówczas te zgodnie uklękły, a Alabaster dostojnie przemówiła:

– Kobieta i mężczyzna oddani sobie, ale czy równie lojalni wobec swej powinności dla światła słońca i księżyca? Czas pokaże, a także ich czyny. – Po chwili ciszy kontynuowała: – Ten, który jest nim. – Popatrzyła na Chamoisa. – Wyruszy do Królestwa Zachodzącego Słońca z darem serca od wszech jasności. – Wielka księżna wręczyła klęczącemu mężczyźnie białą szkatułkę w kształcie kuli i zaznaczyła: – Białe oczy nie powinny widzieć wnętrza, które przeznaczono dla złotego spojrzenia. – Następnie zwróciła się do Ekru: – Ta, która jest nią... odwiedzi zielony świat na południowym wschodzie. Rośnie bowiem morska potęga światła, ale wyrastać powinna z najlepszego drzewostanu. Na miejscu potrzebna jest zatem istota o jasnym spojrzeniu, za którego sprawą dokona rozdziału tego, co zdatne i czyste od skalanego, spróchniałego. – Położyła kobiecie dłoń na czubku głowy, odjęła rękę i podsumowała: – Tak więc on i ona znają już swe powinności. Niech w dalekiej drodze szczęśliwie prowadzi ich ku południu oraz zachodowiienne światło słońca i nocne księżyca. – Po tym błogosławieństwie para członków rady wstała z klęzek, ukłonili się władczyni na znak aprobaty jej wskazań, po czym wyszli z sercowej komnaty. Na korytarzu przystanęli przy otwartym oknie, a wtedy Chamois cierpko oświadczył:

– Ostrzegałem, abyś zachowywała powściągliwość przynajmniej podczas walnych zgromadzeń. Teraz Alabaster właśnie nas rozdzieliła i będzie miała na długi czas z głowy. Słowem, cała rada ponownie będzie jeść jej z ręki niczym te jej...

– Ptaszyska... – dokończyła z zadrą w głosie Ekru. Ciężko westchnęła, wydychając na zewnątrz okna kłęby pary i z pewnym smutkiem w głosie powiedziała: – Chciałam dobrze, chciałam...

– Tak...? – zainteresował się, również wyglądający na zaśnieżone góry mężczyzna.

– Pragnęłam potrząsnąć radą, pokazać, że można zadawać śmiało pytania i...

– I nic to nie dało... – Zdanie ponuro dokończył Chamois, po czym równie markotnie dodał: – Obecnie nie pozostaje nam nic innego, jak wykonać polecenia Alabaster. O sprzecznie nawet nie ma mowy, ponieważ musimy dać niezbite dowody naszej lojalności. Zatem udam się w podróż do Królestwa Zachodzącego Słońca i ofiaruję złotemu królowi to coś. – Zademonstrował w dłoniach połyskującą szkatułkę.

– Ja natomiast będę jak ten alabastrowy drwal doglądała wycinki drzew – stwierdziła pośepnie Ekru. Ale zaraz doczekała się wsparcia w postaci objęcia jej smukłego ciała ramieniem ukochanego. Ten przeczesał długimi palcami jej proste sięgające aż do pasa białe włosy zaczesane za uszy i delikatnie pocałował w czoło.

– Nadchodzi czas rozłąki, ale to także szansa... – oznajmił z nutą sprytu w głosie.

– Mów dalej... – zachęciła go ukochana. Uśmiechnęła się lekko i odwzajemniła całusa w policzek. Zaś Chamois nie dał się prosić, wyjaśniając:

– Tu, na miejscu i tak posiadamy zbyt małe wpływy, aby podważyć autorytet oraz wszechwładzę Alabaster. Ona z kolei niewątpliwie planuje rozszerzać swe panowanie. Stąd budowa floty, lekceważenie złotego sojusznika, ustawianie się okoniem do republiki, czy poszukiwanie lodowych olbrzymów. A podejrzewam, że to dopiero wierzchołek podjętych przez nią inicjatyw...

– Masz pełną rację – przytaknęła Ekru. – Ale do czego zmierzasz?

– Otóż... być może w ościennych władztwach uda się nam zbudować przeciw wielkiej księżnej załazek prawdziwego oporu. To natomiast okaże się wielce przydatne w momencie, kiedy inni przejrzą na oczy i zobaczą, że nasza władczyni skrywa też ciemną skazę pod swą alabastrową powłoką.

– Tchnąłeś we mnie nadzieję... – szepnęła czule Ekru. – Oraz zaszczepiłeś wiarę – dodała z jeszcze większym uczuciem, po czym pocałowała mężczyznę tym razem w usta.

– Ty zaś dajesz mi siłę samą sobą... – Odwzajemnił całusa Chamois. I

tak pozostali dłużej we wzajemnym objęciu, by z nastaniem kolejnego dnia poddać się rozłące, wyruszając oddzielnie w długą drogę.

V. KASZTAN I RUDA

Brązowoskóra dziewczyna przeżuła w ustach słodko-kwaśny owoc beżowej śliwki, zadarła głowę i z impetem plunęła pestką. Ta poszybowała wysoko, a amatorka śliwek zmrużyła oko, wycelowała pistoletem w wirujący w powietrzu niezjadliwy fragment owocu, po czym wystrzeliła. Pestka została trafiona ładunkiem i uszkodzona poszybowała wyżej. Zaś Kasztan, zwana także Rudą, natychmiast przymierzyła z drugiego pistoletu, oddając jeszcze jeden strzał.

– Grrr... – zawarczała rozczarowana, tym razem chybiając. A kiedy resztki pestki spadły na twardą ziemię, podirytowana dziewczyna poczuła się zdecydowania zadziorną Rudą, nie łagodną Kasztan i zawzięcie wbiła butem ostrzelaną łupinę w grunt, dla pewności dźgając obcasem kilka razy. Następnie ze złośliwym uśmiechem na mięsistych ustach już zamierzała ponownie nabić broń ładunkiem prochowym, aby z najbliższej odległości bezwzględnie dobić krnąbrną pestkę. Gdy wtem usłyszała zza pleców pretensjonalny głos matki:

– Kasztan! Miałaś nie strzelać w ogrodzie! To, że skończyłaś szesnaście lat, nie upoważnia cię jeszcze do samodzielnego używania broni palnej!

– Kiedy... kiedy mój starszy brat ciągle nie ma dla mnie czasu! – odkrzyknęła Ruda, prowadząc ze sobą wewnętrzną walkę, czy mimo wszystko nie nabić spluw i jednak nie wyładować się na pestce, która śmiała uniknąć drugiego strzału. Wszak kolejne słowa kobiety szybko odwiodły ją od tego zamierzenia:

– Nie dyskutuj ze mną, tylko idź do dziadka. Gorzej się poczuł, a ja nie mam czasu podać mu lekarstwa. Muszę już jechać do miasta załatwić sprawunki. Zaraz spóźnię się na pociąg!

– Się robi, matuchno!

– Więcej szacunku, Kasztan – strofowała córkę pani domu. Z kolei słysząc o jej ukochanym dziadku w potrzebie, dziewczyna naraz znowu nie była złośliwą Rudą, a jej bardziej uczuciowym odpowiednikiem, czyli

Kasztan. W końcu to nie kto inny, jak właśnie dziadek Ugier podarował swej wnuczce na szesnaste urodziny pistolety, czyniąc to ku prawdziwej zgrozie jej rodziców. Ale co tam, dziadunio miał gest i chyba, jako jedyny traktował ją poważnie, zupełnie jak dorosłą osobę, bo w końcu już przecież nią była, była dorosła. Słowem, Ugier należycie się z nią liczył. A skoro tak, to ona będzie tą, która odwdzięczy się z nawiązką. Dlatego wcisnęła za skórzany pas pistolety z rozszerzanymi lufami, poprawiła przypiętą do pasa szpadę i w swym chłopięcym ubraniu, stylizowanym na mundur muszkietera, pobiegła do seniora rodu de Bruton.

W otwartych drzwiach dwupiętrowego domostwa przeskoczyła przez próg i leżącego tam swego psa, Umbkę, by pognać dalej pomiędzy ławami, stolikami oraz krzesłami w salonie, aż dopadła do schodów prowadzących na wyższe piętro. Gdy tylko dosięgła środkowych stopni, wyjęła szpadę, odwróciła się i wykonała kilka gwałtownych pchnięć, imitując walkę ze ścigającym ją wyimaginowanym przeciwnikiem. Potem schowała broń białą i ruszyła pędem na samą górę. Przebiegła przez długi korytarz i robiąc zwinnego fikołka, wpadła do pokoju dziadka. Wstając, wyjęła podarowane jej pistolety, które nazywała odpowiednio Pif oraz Paf, po czym przymierzyła z nich prosto przed siebie, by jednocześnie energicznie wykrzyknąć:

– Pom! Pom! Pom!

– Egh... Egha... – odpowiedział jej suchy kaszel leżącego na łóżku Ugiera, ale też jego szczery uśmiech na pomarszczonej i ciemnobrązowej twarzy. Ponadto z podziwem zaklaskał on pokrytymi plamami wątrobowymi dłońmi. Wobec takiego uznania jej dokonań Kasztan się głęboko ukloniła, jak podczas teatralnego przedstawienia i w mgnieniu oka już była przy stoliku, gdzie stały buteleczki z lekarstwami. – Pssst... – szepnął naraz dyskretnie Ugier. Dziewczyna spojrzała na niego pytająco, a on wyjaśnił: – Symulowałem ostry napad kaszlu. Ponieważ tak naprawdę potrzebuję kogoś, kogoś zaufanego... kto nabiłby mi fajeczkę. Wiesz czym... – Łypnął piwnymi oczyma na zwieńczenie pobliskiego regału. Odpowiedział mu błysk równie piwnych oczu dziewczyny i ta nonszalancko rzuciła:

– Matka wyszła, można szaleć! – I raptem znowu była bezczelną Rudą, która z wyjątkową satysfakcją łamała wszelkie zasady. Pospiesznie

podsunęła krzesło do szeregu regałów, którymi zastawiona była jedna ze ścian kwadratowego pomieszczenia. A za moment, stojąc na krześle i wspięta na palcach, już obmacywała jedną z najwyższych półek. – I jest! – rzuciła zwycięsko. W jej brązowych dłoniach znalazła się gustowna fajeczka oraz płócienne zawiniątko ze sproszkowanym tytoniem. Będąc ciągle na podwyższeniu, Ruda sama nabiła fajkę i zapaliła ją posiadanymi zapalkami, po czym ordynarnie się zaciągnęła. – Ekh... eghh... – To jest po prostu okropne! – wyszczerzyła się figlarnie, wydychając z ust kłęby ciemnego dymu. Następnie zeskoczyła na skrzypliwą podłogę, by wręczyć dziadkowi pożądaną przez niego rzecz.

– Jesteś kochana, o tak, najukochańsza... – westchnął uszczęśliwiony Ugier, zwracając się, nie wiadomo do wnuczki, czy raczej dymiącej fajki. Tak czy inaczej, obecnie wyraźnie odprężony, na przemian się zaciągał z przyjemnością, to wypuszczał z ust w kierunku otwartego okna ciemne obłoczki. W tym czasie Ruda patrzyła na dziadka z pewnym rozrzewnieniem i znowu stawała się kimś innym, bardziej ckliwym, mianowicie Kasztan.

– Może jednak jeszcze łyk lekarstwa...? – zapytała uprzejmie. Ugier tylko skinął jej twierdząco niemal łysą głową i dalej bez reszty napawał się kopceniem. Zaś dziewczyna ochoczo przystąpiła do sporządzania leczniczej mieszanki na bazie nafty, miejscowych brunatnych ziół oraz złotego miodu z królestwa.

Niebawem postawiła koło dziadkowego łóżka blaszany kubek z ciepłym napojem podgrzany na miniaturowym palniku i z zadowoleniem rozejrzała się po pokoju, jej ulubionym w tym domu. Nic dziwnego zresztą, był on bowiem pełen wszelkiej różnorodności.

Otóż przy samym oknie stało posłanie dziadka. Lecz na przeciwległej ścianie piętrzyły się regały, które na swych półkach i w szafkach skrywały prawdziwy ogrom niezwykłości. Wśród nich takie cuda jak busole i kompasy do podniebnej nawigacji, czy wiatromierze, jak również nakręcane zabawki, zegarki oraz rozliczne bogato ilustrowane księgozbiory. W nich z kolei szczegółowo opisano budowę maszyn parowych, silników, w tym ich elementów składowych. Natomiast jedna z ksiąg poświęcona została nawet sztuczemu człowiekowi, nad którego uruchomieniem dziadek pracował niestrudzenie, kiedy miał jeszcze na to

wystarczająco sił. Choć i teraz w przyływie lepszego samopoczucia kazał się zawozić na wózku do sąsiedniego pokoju, gdzie posiadał swoją pracownię i wspomniany prototyp tak zwanego robota, który systematycznie dopracowywał.

Zaś cały ten niezwykły dorobek i umiejętności Ugiera brały się stąd, że był do niedawna jednym z wiodących naukowców oraz inżynierów w całej południowo-zachodniej republice. Krainie zamieszkałej przez dość niskich krępych ludzi o brązowym kolorzycie skóry. I to właśnie przede wszystkim dziadek Kasztan wprowadził republikę w nową epokę rewolucji przemysłowej.

W konsekwencji do kilku dziesiątek lat trwała tu masowa wycinka lasów, a ich miejsce zajmowały kopalnie odkrywkowe brunatnego węgla, także fabryki, huty, czy ciągnące się niebotycznie tory kolejowe. Choć ostatnio tutejsi górnicy nagminnie penetrowali też wnętrze ziemi, poszukując w niej czarnego paliwa zwanego ropą. Sami natomiast, współ z pobratymcami, podróżowali parowozami, pociągami oraz parowcami, czy za pomocą latających sterowców.

Tym sposobem rozwój przemysłu i technologii w państwie szedł w niepohamowany sposób do przodu, dotykając wszelkich dziedzin życia mieszkańców i angażując bez reszty także znamienite elity kraju. W tym ojca Kasztan, hrabiego Sepię de Brutona. Choć i jej dwaj starsi bracia szli szybko w ślady rodziciela, gdzie jeden nich został młodym wynalazcą, a drugi przemysłowcem, rozwijającym rodzinny biznes.

A Ruda, Kasztan? Nie, ona nie miała do takich spraw głowy, zupełnie jakby nie była nastoletnią de Bruton, a jakimś piegowatym podrzutkiem. Ją bez reszty angażowało marzenie o bezkresnych podróżach i zwiedzaniu tajemniczego świata kontynentu Unton. Skrycie pragnęła tego, jako skromna Kasztan. Natomiast będąc ucieleśnieniem aroganckiej Rudej, wręcz żądała dla siebie sterowca, którym wyruszyłaby do Królestwa Zachodzącego Słońca i dalej, aby odwiedzić północne klany. Tam oczywiście by się nie zatrzymała, tylko przeleciała przez krainę Alabaster oraz Wielką Puszczę. A kto wie, może nawet połasiłaby się o wtargnięcie na przekłete południe, czy mroczne centrum? W końcu do odważnych świat należał, a co!

Zresztą, prawdę powiedziawszy, nieważne jako Kasztan, czy też Ruda, wyruszyłaby gdziekolwiek i to jak najszybciej, byle tylko ciągle nie tkwić w

jednym miejscu. Do tego uczęszczając do spowszedniałej jej już szkoły i ślęcząc wieczorami nad jeszcze nudniejszymi rachunkami – błę. Zaś w tym celu, aby zakosztować prawdziwej przygody, nie była bynajmniej beczynna, tylko podjęła już pewne śmiałe przedsięwzięcia. Bo przecież komu, jak komu, ale jako Rudej na pewno nie brakowało jej charyzmy!

Tak oto założyła tajną paczkę – Spiżową Brać – na której czele dumnie stanęła, mieniąc się jej hersztem. W skład podkomendnych pierwszy wszedł jej wierny pies, Umbra, podstępnie przekupiony kością. Lecz z czasem dokooptowani zostali także inni, nieco młodsi od Kasztan jej znajomi z bliskiego sąsiedztwa. Była to para czternastoletnich bliźniaków o dźwięcznych imionach Mahoń oraz Mahoniowy. Potem grupa dość niespodziewanie powiększyła się o trochę rywalizującą z Rudą starszą od niej o rok dziewczynę zwaną Brunatna. Choć do ekipy jej przywódczyni planowała wkrótce dołączyć jeszcze kogoś. Ale obecnie skrywała to w tajemnicy.

Natomiast Spiżowa Brać w dotychczasowym składzie, mając za herszta Rudą, zdołała już potwierdzić swą rosnącą wartość. Mianowicie dokonała udanego sabotażu budowanej w pobliżu linii kolejowej, która inaczej przeszłaby prosto przez urokliwy zagajnik praktycznie jedyny, jaki ostał się w wylesionej okolicy. Chociaż nie mniejszym sukcesem było porwanie na jeden dzień sterowca ojca Kasztan i podróż nim aż niemal pod granicę z królestwem. To wtedy Ruda prawie zwariowała na punkcie podniebnego lotu i naprawdę mało brakowało, aby na dobre uciekła z domu. Jednak pozostali kompani, w tym przede wszystkim rozsądna Brunatna, odwiedli ją od tych śmiałych zamierzeń. I tak znowu zakotwiczyli statek powietrzny w pobliżu domu zacnego rodu de Bruton.

Raptem Kasztan oderwała rozmarzony wzrok od podziwianych regałów ze skrywanymi w nich dziwami i całą sobą znowu była w dziadkowym pokoju. Następnie natychmiast porwała się do Ugiera gotowa w jednej chwili zgasić mu fajkę. Powód był prosty – usłyszała dochodzący z dołu tubalny głos ojca, który właśnie powrócił do domu i w salonie wdał się z kimś w ożywioną dyskusję. Wszak w reakcji na pełne nadziei spojrzenie dziadkowych zmęczonych oczu, Kasztan powstrzymała się przed zabraniem fajki i tylko bacznie nasłuchiwała. W końcu mrugnęła do Ugiera i z uśmiechem na ustach wyszeptała:

– Stanę na czatach... – Pocałowała postarzałego mężczyznę w pomarszczone czoło, zdjęła buty i trzymając je w rękę, pobiegła na palcach po drewnianej podłodze na górny korytarz. W jego środkowej części przycupnęła, chwyciła za poręcz i spojrzała ukradkiem na dół wprost do prezentującego się okazale salonu. Dostrzegła tam nieznaną sobie postać w hebanowym surducie oraz ubranego w brązowy frak swego ojca. Pan domu odwiesił na wieszak laskę i melonik. Potem podwinął do góry sumiaste wąsy, prześlizgnął dłoń po łysinie na głowie, po czym splótł ręce na lędźwiach i w zamyśleniu zaczął przemierzać przestrzeń salonu. Mijał tak raz za razem stojący na środku mahoniowy stół, okazałe donice z krzewami oraz regały ze szkła oraz drewna. Aż rozplótł ręce i zamasyście nimi gestykulując, energicznie zwrócił się do mężczyzny, który po drugiej stronie stołu rozsiadł się wygodnie na sofie:

– Drogi panie Palisander, to wręcz niedopuszczalne, co od pana słyszę! Aczkolwiek rozumiem, doskonale rozumiem, że niewielkie złoża surowców strategicznych w naszym kraju są już niemal na wyczerpaniu. Ale tak znaczące ingerowanie w sprawy wewnętrzne naszego północnego sąsiada? Spisek? Odsunięcie obecnego króla od sprawowania prawowitej władzy? Na Kasztanową Republikę, tak się po prostu nie godzi! – zagrzemiał Sepia de Bruton i dalej z werwą przemierzał przestrzeń salonu. Gdy naraz przystanął, zawiesił w górze wskazujący palec i z równą stanowczością oświadczył: – Jednakże z drugiej strony nie możemy pozwolić, aby zewnętrzne ograniczenia i krótkowzroczność stały na jedynej słusznej drodze naukowego postępu, cywilizacyjnego rozwoju. Dlatego...

– Czas podjąć decyzję... – Wszedł rozmówcy w zdanie siedzący na brązowej sofie mężczyzna. Popatrzył niby od niechcena na bursztynowy sygnet na swoim palcu i w wielce opanowany sposób zakomunikował: – Granica z mrokiem oraz południem jest bezwzględnie na stałe zamknięta. Zresztą zadni górnicy nie są na tyle szaleni, aby ją przekroczyć w tym kierunku. Zatem pozostaje nam droga ekspansji i pozyskiwania niezbędnych surowców wyłącznie na północ. I co prawda nasi geolodzy nie odkryli pokaźnych złóż w samym królestwie, ale za to wystarczające, aby kontynuować rozwój przemysłu i zbudować przez państwo zachodzącego słońca linię kolejową wiodącą do klanowych ziem. Z kolei w tamtejszych zaśnieżonych górach skryte jest nieprzebrane czarne bogactwo, które

nieodzownie przyczyni się do znamienitego rozwoju republiki i zaowocuje dobrobytem wszystkich jej mieszkańców.

– Tak, przeglądałem dokumenty... – potwierdził z powagą Sepia. Splótł przed sobą dłonie w piramidkę i po chwili namysłu już spokojnie zawyrokował: – Wyjeżdżam jutro z samego rana do stolicy na obrady senatu, gdzie przeprowadzę dodatkowe konsultacje z wpływowymi osobami odnośnie do poruszanej przez nas kwestii. Kiedy zaś wrócę, co będzie miało miejsce za trzy dni, wówczas udzielę panu ostatecznej i wiążącej odpowiedzi.

– Cieszy mnie to, że niebawem dojdziemy do jedyne go słusznego konsensusu, co nam wszystkim przyniesie same korzyści. – Palisander wstał i obaj mężczyźni uścisnęli sobie ciemnobrązowe dłonie. A już zaraz w salonie pozostał tylko Sepia de Bruton.

Kasztan obserwowała bacznie ojca, jak ten zatrzymał się przed barkiem i nalał sobie kieliszek koniaku. Z miejsca wychylił trunek do dna i przygotował drugą porcję. Z nią zasiadł na sofie, po czym wyciągnął z kieszeni list. Założył na nos binokle i otworzył kopertę leżącym na blacie stołu nożykiem. Następnie, pomrukując, wczytywał się w zapisaną treść. Zaś im dłużej to czynił, tym bardziej marszczył się na twarzy, ściągając mocno krzaczaste brwi. Aż pogładził się po łysinie, jak miał w zwyczaju, kiedy coś go martwiło i odłożył dokument. Potem równie zafrasowany przeczytał treść kolejnej depeszy. I już chciał wypić dla rozluźnienia drugą porcję alkoholu, gdy wtem pospiesznym krokiem wtargnęła do salonu pani Bruton.

– Co za skandal! – krzyknęła wielce oburzona. – Pociąg znowu uległ opóźnieniu, a jak już raczył się łaskawie wtoczyć na peron, to wagony zalała taka ilość motłochu, że zrezygnowałam z podróży. No wiesz, jeszcze się zarazę w tłumie tą nową chorobą, od której robią się czarne płuca, okropieństwo. Dlatego jutro pojedę załatwić sprawunki w mieście bryczką.

– Składy pociągów zostały skrócone i zlikwidowano część połączeń... – jęknął w stronę żony, jakby z poczuciem winy, Sepia.

– A dlaczegoż to? – Ciemnoskóra kobieta odwiesiła na stojak beżową parasolkę i zwiewny kapelusz z szerokim rondem w kolorze jasno palonej kawy. Z kolei jej małżonek zaszeleścił w górze otrzymanym dopiero co listem i wyjaśnił:

– Zamknięto kolejne kopalnie węgla na wschodzie kraju. Niestety pokłady surowca zostały tam praktycznie wyczerpane.

– Więc otwórzcie nowe kopalnie w innych rejonach. – Wzruszyła obojętnie ramionami pani domu i popatrzyła z wyrzutem na męża.

– Wierz mi, pracujemy nad tym... – odparł nad wyraz ponuro, a biorąc do ręki drugi list, w równie grobowej tonacji dodał: – Ponadto ponownie zawiodła misja wysłana na wschód kontynentu do Wielkiej Puszczy. Co niestety oznacza, że ciągle nie możemy zdobyć krzewu hurmabowca, a tylko on jest w stanie powstrzymać chorobę mojego ojca. – Sepia de Bruton popatrzył z boleścią w górę w kierunku pokoju Ugiera. W tym samym momencie obserwująca ojca dziewczyna, gwałtownie uskokczyła do tyłu. – Kasztan, to ty, kochanie? – rzucił za nią mężczyzna. Ale ona już gnała na palcach do dziadka, aby czym prędzej zabrać mu fajeczkę i schować ją w bezpieczne miejsce. A w tle słyszała z dołu gniewne strofowanie matki:

– Kasztan! Czy ja poczułam dym?! Co za udreka z tą dziewczyną, toż ona znowu truje ci ojca! Słyszysz mnie, Sepia?!

– Spokojnie, żono, tylko spokojnie... – Próbował dyplomatycznie łagodzić sytuację pan domu. Ale dalszej dyskusji Kasztan już nie słuchała. Za chwilę była u dziadka, pospiesznie pochwyciła jego fajeczkę, włożyła sobie bezczelnie do ust i już jako Ruda wyrzuciła swe buty przez okno. Następnie sama wyszła oknem i paląc fajkę, po rynnice ześliznęła się na podwórze.

Natomiast jeszcze tego samego dnia, wieczorem, ruszyła na umówione wcześniej spotkanie ze swoją bandą. Wzięła ze sobą jej wiernego członka, psa Umbrę i razem z nim pobiegła piaszczystą drogą do niezbyt odległego gaju.

Na miejscu wdrapała się po drewnianej drabinie do domku na drzewie i zgodnie z oczekiwaniem spotkała tam już całą paczkę – skinęli jej głowami na powitanie kolejno Mahoń, Mahoniowy i Brunatna. Ruda odwzajemniła powitalny gest jedynie starszej od siebie dziewczynie, ponieważ tak naprawdę tylko z nią musiała się tu liczyć. Teraz dodatkowo zmierzyła ją hardym spojrzeniem i wyzywająco do niej rzuciła:

– Mój ojciec jedzie w delegację i to aż na trzy dni. Więc co powiesz na mały wypad sterowcem?

Zamiast Brunatnej przemówiła z entuzjazmem para mahoniowych bliźniaków:

– Rewelacja!

– Wchodzimy w to!

– Hmh... – burknęła z kolei bez przekonania najstarsza dziewczyna. Była to wysoka szczupła siedemnastolatka z pociągłą twarzą i niezwykle bujnymi kręconymi włosami o brązowej barwie, które otaczały jej głowę na wzór lwiej grzywy. Dla odmiany Ruda miała włosy średniej długości związane w dwa kucyki skierowane na boki na kształt bawolich rogów. W ten sposób obie dziewczęce postacie przypominały nieco fryzurami zwierzęce okazy z dalekiego południa, które spotkały siebie na drodze i żadne nie zamierzało ustąpić. I zaraz, w takim właśnie duchu rywalizacji, Ruda z wyższością w głosie zasugerowała:

– Przyznaj się, pękasz, hę?

– A gdzie chcesz lecieć i po co? – odbiła piłeczkę Brunatna. Na co młodsza dziewczyna rozpostarła szeroko ramiona i otworzyła usta, do kompletu wytrzeszczając oczy, by zobrazować dojmujące zdziwienie. Aż wyzywająco warknęła:

– Co za różnica, gdzie polecimy? Przecież oferuję wam niepowtarzalną przygodę. Mówię o lataniu! La ... ta... niu! – przesylabizowała ostatni wyraz, akcentując go i popukała pięścią w wysokie czoło Brunatnej.

– Latać!

– Fruwać! – krzyknęli raptem rozochoceni bracia bliźniacy i niczym ptaki skrzydłami, zaczęli zamasyście wymachiwać rękoma.

– Był dzisiaj silny północny wiatr, a jak nas zniesie podczas podróży? – zauważyła z rezerwą, niedająca się łatwo przekonać Brunatna i obróciła w dłoniach niewielki inhalator, z którym z powodu częstych problemów z oddechem praktycznie się nie rozstawała.

– Więc jednak pękasz, wiedziałam. – Nadeła się dumnie Ruda i oparła ręce na biodrach.

– Wcale nie pękam – rzuciła starsza dziewczyna i postawiła warunek: – Dobra, polecimy, ale tylko na jeden dzień i dasz mi przez połowę drogi sterować.

– Niech będzie... – zamyśliła się Ruda, po czym przystąpiła do targów: – W zamian ty dasz mi ponosić piracką czapkę i przyniesiesz tę flagę z trupimi czachami. W końcu musimy mieć na naszym okręcie budzącą respekt banderę!

– Umowa stoi. – Wielce poważna Brunatna wzięła długi głęboki oddech za pomocą inhalatora i wysunęła przed siebie zaciśniętą pięść, a Ruda na zgodę uderzyła w nią własną piąstką. W tym momencie para roześmianych mahoniowych bliźniaków zaczęła się ze sobą boksować niczym para młodocianych pięściarzy. Aż przywódczyni bandy gromko się do nich zwróciła:

– W też macie zadanie i się nie wymigacie!

– Jakie?

– No jakie...? – Bracia naraz spowaźniali i wbili w Rudą pytające spojrzenia pochodzące z identycznych, jak krople wody chłopców twarzy. Natomiast Ruda uśmiechnęła się do nich kąśliwie i chytrze zaznaczyła:

– Macie podwędzić swojemu ojcu z warsztatu jedną z tych... no jak im tam... armat! Właśnie i trochę kul. Bo wiecie, tym razem polecimy na granicę z mrokiem, czyli może być srogo...

W odpowiedzi Mahoń i Mahoniowy twierdząco pokiwali głowami, po czym przystąpili między sobą do gorączkowego ustalania, w jaki sposób dokonają zuchwałej kradzieży. W tym czasie Ruda mierzyła się pewnym siebie spojrzeniem z Brunatną, wielce zadowolona, że postawiła na swoim, osiągając wszystkie cele zaplanowanego spotkania.

Zaś już jutro zamierzała podstępnie wdrożyć w życie kolejny plan, tym razem o wiele większym zasięgu i rozmachu. Lecz o tym jej kompani nie musieli, a nawet nie powinni teraz wiedzieć. Podczas gdy ona powinna się już zbierać. Trzeba się bowiem było należycie przysposobić na niebezpieczną wyprawę, która cóż – mogła się okazać wyjątkowo długa i trudna. Ale przecież ktoś musiał wreszcie zdobyć krzew hurmabowca dla potrzebującego go dziadka – pomyślała Kasztan. Z tego względu sterowiec należało zaopatrzyć w odpowiednie zapasy paliwa, prowiantu oraz innych przedmiotów, które mogłyby być pomocne w nadchodzącej wyprawie na daleki wschód.

VI. SREBRNA

W obliczu ostatnich kłód rzuconych jej pod nogi, stwierdziła, że darmowy kleik jęczmienny w miękkim puchowym łóżku ciepłego domowego ogniska był prawdziwym darem mroźnych niebios. Dlatego też, kiedy przeszła jej opuchlizna ust, nie żałowała sobie jadła, racząc się nim do syta. Do tego znowu mogła swobodnie mówić i w kolejne dni wypytywała poczciwą Myszeldę, postawną żonę karczmarza, o to, jak im się wiodło. Przy czym nie czyniła tego bynajmniej po to, by tylko rozwiązać sobie język i beztrąsko pogaworzyć. Cel był inny, mianowicie poznanie bolączek pary swych obecnych dobroczyńców, żeby w przyszłości zanieść im ulgę.

I tak dochodząca do zdrowia dziewczyna notowała skrzętnie w umyśle wszelkie narzekania, a tych było wiele, począwszy od kur, które złośliwie słabo się niosły, przez nadmiar śniegu w obejściu, po pazernych klientów w tawernie. Wszak jedno wskazanie, naznaczone szczególnym żalem, bardziej przykuło jej uwagę. Było to wspomnienie o młodym Pantynie, synu karczmarza oraz Myszeldy, który rok temu brał udział w kampanii na południowej granicy przeciw siłom mroku i tragicznie zaginął.

Zatem wojowniczką poprzysięgła na swój miecz, że uczyni, co w jej mocy, aby odnaleźć wspomnianego młodzieńca. Zaklinała się ponadto, przy wyraźnym wzruszeniu Myszeldy, że jej syn niewątpliwie wciąż żył i tylko czekał na sposobność powrotu do domu, a ona mu w tym dopomoże. Natomiast w najbliższym czasie, gdy już stanęła pewnie na nogach, chwyciła za szufłę i dokładnie poodgarniała śnieg wokół karczmy. Choć do kompletu prośbą, ani groźbą nie zdołała niestety przekonać kur niosek do zwiększonej produkcji jaj.

Następnie wykurowana już dziewczyna dostała jeszcze w prezencie szczyptę srebrnego proszku oraz maść na swoją odwieczną przypadłość, jaką było łuszczenie się skóry. Tak obdarowana naprawdę czule pożegnała się z Myszeldą oraz karczmarzem, chwając sobie ich gościnę, a szczególnie kleik jęczmienny, po czym na nakarmionym i wypoczętym rumaku

wyruszyła dalej na wschód. Główny cel bowiem przyświecał jej ciągle ten sam – odnaleźć ponoć prawdziwą Srebrną.

Obecnie przemierzała coraz niższe partie gór. Kamiennie trakty stawały się bardziej przestronne, mniej zaśnieżone i po bokach drogi dawało się dostrzec nieśmiałe pędy szarych źdźbeł traw. Rejony te były też gęściej zamieszkane i to nie tylko z powodu łagodniejszego klimatu, ale też eksploatowanych w okolicy kopalń srebra. W formie sztabek, monet i kruszcu stanowiło ono podstawowy środek płatniczy na północy oraz w drodze handlowej było wymieniane z południowymi krainami. Zaś z powodu ciągłego zagrożenia inwazją sił mroku z centrum kontynentu wymiana dóbr odbywała się przede wszystkim drogą morską. Ta z kolei też nie stanowiła idealnej trasy ze względu na wielce zdradliwe góry lodowe oraz prądy morskie północnych mórz. W konsekwencji srebrzysty lud żył od wieków w dużej izolacji od ościennych krain, egzystując w trybie wielkich cyklicznych wojen z centralnym mrokiem, to pomniejszych klanowych starć prowadzonych pomiędzy sobą.

Wszak w bieżącej chwili zdecydowanie zanosilo się na to, że górę ponownie weźmie małostkowość oraz prywatne interesy przywódców klanowych, które przeważają nad dobrem ogółu. Albowiem po tym, co dokonane zostało na Krwawej Przełęczy, dziewczyna nie dawała już wiary w to, że planowana wspólna kampania mogła dojść obecnie do skutku.

I rzeczywiście stawało się to faktem. Ponieważ gdzie nie przyłożyła ucha do rozmów mijanych przechodniów, słyszała jedynie o krwiożerczej berserke o rybiej twarzy, która zmasakrowała w ten czy inny sposób dzielny oddział Feldgrała. Przy czym dochodziło do niej, że owa okrutna berserka czarami otumaniła samego Marrenga i za sprawą rzuconego nań uroku ten oddał jej czasowo władzę nad klanem Srebrzystej Stali i na jej rozkaz zabijał. Niektórzy twierdzili też, że sprawczyni owego zamętu mierzyła na wysokość dwóch mężczyzn i walczyła za pomocą własnoręcznie wrywanych z ziemi sosnowych pni. Podobno zionęła też najprawdziwszym lodem. A jakby tego było jeszcze mało, potrafiła za pomocą czaru iluzji zmieniać się w dziewczynkę ze srebrnymi warkoczykami, by w takiej niewinnej postaci zjednywać sobie podstępem wojowników.

Jednakże nikt z przechodniów nie pozostawiał złudzeń, że wspomniana berserka-czarownica przynależała swego czasu do klanu Srebrzystej Stali i

to właśnie ów klan należało na dobry początek srodze poskromić, najlepiej paląc na popiół jego siedzibę – Orle Gniazdo. Dziewczyna zaś musiała w duchu przyznać, że te ostatnie zupełnie nieuzasadnione wołanie o pomstę bolało ją najbardziej. O ile bowiem mogła jakoś zdzierżyć wręcz już mityczną niechęć do własnej demonizowanej osoby, to nie potrafiła zaakceptować obwiniania o zaistniałe zamieszanie jej byłego klanu, w tym ciągle bliskiego jej sercu Marrenga.

Aż pewnego mroźnego dnia mocniej rozszerzyła swe źrenice w kolorze grafitu. Wydarzyło się to, kiedy jadąc konno koło wozu pełnego siana, podsłuchiwała akurat rozmowę pary wylegujących się na stogach parobków:

– No przecież mówię, że nazywa się Srebrna. To podobno ktoś ważny i wielu przywódców klanowych ze wschodu poprzysięgło jej wierność.

– Srebrna... – odburknął drugi parobek i nakrył sobie twarz szarawą czapką z lnu. – Pierwszy raz słyszę...

– Bo kiepsko nastawiasz uszu – obruszył się pierwszy młodzian. – Za to ja używam ich tak, jakbym praktykował samą esencję nadzmysłu!

– Czego...? – skrzywił się na ustach ledwo widocznych spod nakrycia głowy przysypiający chłopak. Na co jego gadatliwy kompan usiadł niedbale na sianie i z rosnącą dumą prawił:

– Oj głupiś ty głupiś i świata poza czubkiem własnego nosa, nakrytego czapką, nie znasz. A przede wszystkim dobrze ci w twej głupocie, przyzwyczaiłeś się do niej i zrosłeś z nią. Ja natomiast... – uciał, rozejrzał się po górzystej okolicy i rozmarzony kontynuował: – Osobiście zamierzam być w przyszłości kimś, ale tak naprawdę kimś, a nie wiecznie bękarciem popychadłem. Dlatego właśnie...

– Hej, młodzieńcze, jak cię zwą? – weszła naraz parobkowi w wypowiedź jadąca konno dziewczyna. Ten dopiero teraz ją zauważył i zmierzył uważnie wzrokiem. Zaś widząc osobę odzianą w dobrej jakości futra i skóry z elementami zbroi, do tego uzbrojoną, zaraz się szybko ogarnął. Usiadł sztywno, jak na rozkaz i jednym tchem z siebie wyrzucił:

– Jestem Bury. Bury ze... To znaczy... no po prostu Bury – przedstawił się.

– Miło mi cię poznać, Bury. – Wojowniczką puściła oko nieco pulchnemu młodzieńcowi z krótką popielatą czupryną i niemal zalotnie go zapytała: –

A zdradz mi, proszę, gdzie taki bohater podąży, he?

– Bohater...? – Chłopak szybko rozejrzał się wokół siebie, zupełnie jakby szukał gdzieś wspomnianego czempiona. Z kolei drugi parobek przeciągle ziewnął:

– Na świniobicie jedziem...

W odpowiedzi jego wyraźnie pobudzony kamrat niemal spalił go srebrzystym wzrokiem. Zmiętosił nerwowo w serdelkowatych palcach róg baraniego kaftana, w który to strój był ubrany i z pewną arogancją w głosie, jakby urażony, wyzywająco rzekł:

– Tak sobie jadę na świńską rzeź, a co?

– A nic... – Dziewczyna wzruszyła rezolutnie ramionami i rzuciła w powietrze: – Tak się akurat składa, że po chwalebnym boju opuścił mnie mój dzielny giermek, ciągle wyczekiwany na północy przez liczne niewiasty, którym skradł serca. Albowiem cóż powiedzieć, pokonaliśmy wspólnie całe zastępy demonów w mroku. Jednak po zwycięskiej bitwie on wyruszył na srebrzystym smoku do złotego królestwa, aby zostać tam pasowanym na rycerza i przyjąć rękę bursztynowej księżniczki słynącej ze swej dobroci, czystości duszy i piękna. Tak więc chwilowo nie mam przy sobie giermka i pomyślałam, że może... – Wojowniczką popatrzyła z udawanym podziwem na Burego i zaraz, jakby markotniejąc, dodała: – Ale... oczywiście nie chciałam przeszkadzać w podróży, gdzieżbym ja też śmiała odwodzić od zaszczytnego świniobicia i w ogóle...

– Ależ! – Chłopak naraz stanął na baczność na wozie, a srebrzyste oczy w kształcie piłeczek aż mu się zaiskrzyły i niemal wyskoczyły z orbit. Natomiast dziewczyna puściła mu oko i wymownie poklepała po zadzie swego rumaka.

Bury spojrział jeszcze na swego kompana, który właśnie na dobre zasypiał, żując długą słomkę, która leniwie poruszała mu się pomiędzy ustami. Aż raptem stojący młodzian zagryzł z determinacją własne wargi, zacisnął pięści, po czym raz jeszcze wbił wzrok w wojowniczkę. Potem zamknął na moment oczy i można było odnieść wrażenie, iż naprawdę wchodził w stan jedności zmysłów, pozwalający mu przejrzeć prawdziwe intencje dziewczyny na wskroś. Lecz gdy znowu podniósł powieki, jasnym się stało, że nie dotarło do niego, że po prostu chciano go wykorzystać, a ściślej jego wiedzę, ponieważ raptem dał susa na koński grzbiet. Wtedy

wojowniczką, mając za plecami Burego wczepionego rękoma w jej talię, pogoniła rumaka i ten pogalopował żwawo naprzód.

– Dokąd jedziemy?! – krzyknął entuzjastycznie po pewnym czasie chłopak i z nadzieją w głosie dopytał: – Udajemy się na południe, na bitwę?!

– Tak, ale nie sami, najpierw musimy dołączyć do zacnej Srebrnej – odparła podchwytliwie dziewczyna.

– Do Srebrnej! – podchwycił radośnie Bury.

– Ano tak. Więc prowadź do niej!

– Ja?! – nie dowierzał były parobek.

– Tak, ty. Abyś się należycie zasłużył i został rycerzem, na dobry początek daję ci nami pokierować do Srebrnej – utwierdzała go w jego przewodniej roli wojowniczką. Na co ten się autentycznie rozpromienił i wysuwając przed siebie rękę, ochoczo odkrzyknął:

– Zatem dobrze, w drogę! Trzeba będzie pokonać jeszcze szmat tego traktu, a potem skręcimy w prawo, powiem kiedy!

– Wspaniale... – mruknęła już sama do siebie dziewczyna wielce rada ze swego podstępu. Albowiem z pomocą naiwnego Burego oczyma wyobraźni już widziała samą siebie w pojedynku naprzeciw niecnej uzurpatorce. Tak więc niebawem dopnie swego i w konsekwencji zginie bądź zatopi ostrze miecza w sercu kolejnego zdradzieckiego kłamcy.

* * *

Szczęśliwie Bury okazał się nie być zupełnie goły, jeśli chodzi o posiadany majątek i jego obecna zwierzchniczka pożyczyła od niego trochę srebrnego pyłu. Obiecała oddać, ale nie przykładła większej wagi do złożonej obietnicy. Najważniejsze było dla niej to, że kierowana przez chłopaka nieustannie zbliżała się do celu. Natomiast za dodatkową ilość srebrnego proszku mogli zaznać gościny w rozsianych przy trakcie karczmach i tawernach w tym nasycić się jadłem oraz skorzystać z noclegu.

Dzięki temu dobry humor srebrzystej wojowniczką zwykle nie opuszczał. Jeżeli zaś traciła go na wspomnienie niedawnych trudów, Bury szybko dbał o to, aby na jej twarzy znowu zagościł szczery uśmiech. Były parobek sprawdzał się bowiem wyśmienicie jako wytrawny bazarz. Ponieważ dziewczyna, choć nawet bardzo by chciała, to doprawdy nie potrafiła dać wiary większości jego, skąd inąd wielce ciekawych, to jednak według niej

niestworzonych opowieści.

Mianowicie snuł on nieziemskie wizje niebotycznego czarnego wiru w samym sercu kontynentu, gdzie swoista mroczna trąba powietrzna cyklicznie wyrzucała z siebie wciąż nowe demoniczne istoty z innego wymiaru. Podobnie z wielką powagą, co jeszcze bardziej bawiło dziewczynę, prawił on o zamarzniętych w Alabastrowych Górach gigantach, którzy mieli się niebawem przebudzić, powstać, po czym upomnieć o odebraną im niegdyś przez ludzi władzę na wielkim kontynencie Unton. Dla odmiany na zachodnich połaciach kontynentu Bury wieszczył wielką zarazę, która będzie przemieniać ludzi w mroczne bestie i sprawiać, że ich krew stanie się czarna zatrująca nie tylko ludzkie ciało, ale też duszę. A jakby tego było mało, to wojownicza raczona była śmiałyimi wizjami podniebnych eskadr tajemniczych machin, jak również ich naziemnych oraz wodnych odpowiedników. Ponadto wszystkie te cuda tak zwanej techniki miały być wprawiane w ruch bez pomocy siły mięśni czy tradycyjnej magii, a za sprawą żywiołu gorącego powietrza i energii uzyskiwanej z czarnych kamieni czy błotnej mazi. W przyszłości ta technologia ponoć zmierzy się nawet z prastarą białą oraz czarną magią. Lecz one z kolei, magiczne moce, same miały zostać wkrótce w pewien sposób skażone przez ingerencję w świat jeszcze innych bytów. Jeżeli zaś tego byłoby jeszcze niewystarczająco, to wierna słuchaczka mogła uzyskać wieści o wschodzie kontynentu, gdzie w Wielkiej Puszczy, by ją chronić, przebudzony zostanie do życia potężny drzewny król. Wszak na koniec swych wywodów Bury podkreślał, że wszystko, o czym wspominał, było i tak niczym, wobec tego, co nadejdzie z najdalszego południa kontynentu, czyli z bezkresnych błękitnych pustyń zamieszkałych przez eterycznych nomadów i inne duchowe istoty.

Szczerze rozbawiona tymi opowieściami dziewczyna z czasem naprawdę rozlubowała się w tych niestworzonych historiach, które niezmiernie pobudzały jej wyobraźnię. Chętnie słuchała więc bajającego Burego podczas konnej jazdy zaśnieżonym traktem, a z jeszcze większym uznaniem wieczorami w karczmach przy ciepłym mleku z moderm i rozpalonym kominku. Albowiem takie chwile dawały jej ze wszech miar kojące zapomnienie i oderwanie od trosk tego świata.

Aż pewnego razu mimochodem zapytała chłopaka, z jakiego źródła czerpał on wiedzę do tak niewybrednego fantazjowania? Wtedy Bury, z

naturalną sobie powagą, odpowiedział coś, po czym srebrzysta wojowniczką sama spoważniała i więcej już nie była tak skora do beztróskiego słuchania chłopięcych opowieści:

– Spotkałem niegdyś wspierającego się na lasce starca, który był ślepcem, ponieważ miał bezbarwne oczy – zaznaczył odkrywco Bury. – Aczkolwiek była od niego tajemnicza aura, naprawdę – zarzekał się. – I ów sędziwy mężczyzna wyznał mi, że jego niezwykle długie i bogate w doświadczenia życie dobiega już kresu. Wszak odchodzi on z kontynentu Unton pełen nadziei, wiedząc, że na świat przybyły już wszystkie legendarne siostry krwi. Prawił też o tym, że przez kontynent przetoczy się wkrótce największe możliwe pasmo wojen oraz ziści najgorszy koszmar i uraczył mnie strasznymi wizjami, które teraz rozgłaszam. Lecz zaznaczył również, abym się tego całego zła nie lękał. Albowiem nadchodzi kres ery i nieuchronnie wyzwolone muszą zostać wszystkie złe mocy. Jednakże, dopóki będzie żyła choć jedna z legendarnych sióstr krwi, całkowitej katastrofie nadal będzie można zapobiec i na kontynencie ciągle będzie istniała możliwość ziszczenia trwałego pokoju.

Cóż powiedzieć. Co prawda słuchająca powyższych wyjaśnień dziewczyna nigdy bezpośrednio nie poznała wspomnianego przez chłopaka ślepego starca, ale za to w pewien sposób знаła go z opowieści Marrenga. To właśnie ów mędrzec miał wskazać ją, jako prawdziwą Srebrną. Kim więc tak naprawdę on był? Ślepym bazarzem, który uraczył swoją fantazją także Burego i zdołał też omotać Marrenga? A może rzeczywiście to jakiś wyjątkowy wieszcz, który posiadał wiedzę odnośnie do przyszłości dalece przekraczającą możliwość poznania przez zwykłego śmiertelnika?

Jaka by jednak nie była ostateczna prawda, każda z wymienionych ewentualności wnosila do umysłu dziewczyny niepokój. I to niezależnie od tego, czy osobiście była ona fałszywą, czy też prawdziwą Srebrną. Ponieważ przed srebrzystą siostrą krwi, jak i innymi, jak zasłyszała, miały się w przyszłości piętrzyć tak wielkie przeszkody, którym praktycznie nikt nie byłby w stanie skutecznie podołać.

* * *

– To tutaj. Tu ma swój obóz Srebrna – oznajmił z przekonaniem kolejnego już dnia podróży Bury. Wskazał mianowicie na rozwidlenie dróg, a ściślej w prawo na węższą z nich, która wiodła pod skalnym nawisem.

– Jesteś pewien, że dotarliśmy na miejsce? – zapytała dziewczyna, choć uczyniła to, by powiedzieć cokolwiek i tym samym wsłuchać się w brzmienie własnego głosu. Tak jak się obawiała, trochę drżał, ponieważ nagle dopadła ją męcząca słabość na myśl o nadchodzącej konfrontacji.

– Oczywiście, że jestem pewien, podobnie jak tego, że zostałem giermkim, a już wkrótce będę rycerzem, ha! – krzyknął z kolei chłopak i dał klapsa w koński zad, aby rumak poruszał się szybciej. I rzeczywiście ruszył on żwawo kierowany przez wojowniczkę pod skalne sklepienie. Te ciągnęło się znacząco i droga wiodła w półmroku wąskim tunelem oświetlanym skąpo przez światło ze szczelin w lodowo-kamiennym suficie. Takowych dziur było z czasem coraz mniej i momentami podróż odbywała się niemal w całkowitej ciemności.

– Jechałeś już tędy...? – mruknęła z rezerwą dziewczyna.

– No tak... Ale z zapaloną pochodnią – odpowiedział po chwili wahania chłopak. A zaraz zaczął się na głos zastanawiać: – Tak... to było to rozwidlenie dróg, to miejsce, niewątpliwie... Choć może jednak kolejny zjazd w prawo? Hm... pomyślmy...

– Bury... – syknęła do niego karcąco wojowniczka.

– Eee... – Ten wymownie rozłożył ramiona, którego to gestu jego towarzyszka i tak nie mogła dostrzec z powodu dominującego mroku, jak i z tej przyczyny, że miała zdezorientowanego chłopaka za plecami.

Aż raptem wyjechali z ciemnych czeluści i znaleźli się na skraju obszernej kotliny.

– Tak, to jednak tu, trafiliśmy! – krzyknął ochoczo Bury i już jakby sam do siebie pod nosem dodał: – Czyli dobrze podsłuchałem wojowników Srebrzystego Płomienia, gdzie rezyduje ich obecna przywódczyni. W otoczonym górami zbrojnym obozie, do którego wiedzie wąskie gardło wydrążone w skale.

– Mówiłeś, że tu byłeś... – zauważyła skonsternowana dziewczyna.

– Tak? Eee... naprawdę? Czasem za dużo mówię, ale tylko czasem – skwitował nonszalancko Bury, podrapał się niefrasobliwie po czuprynie i od tej pory już milczał, z zaciekawieniem podziwiając nową scenerię. Podobnie kierująca stępą rumaka do centrum kotliny wojowniczka, uważnie rozglądała się na boki, zupełnie jak dowódca szacujący zdolność bojową jawiącego się wokół przeciwnika. Ten zaś, na pierwszy rzut oka,

wydawał się doskonale przygotowany.

Widać tu było rzędy srebrzystych i spiczastych namiotów do skoszarowania znacznej ilości wojowników, całych setek. Dało się też zauważyć kryte dachem otwarte stajnie dla koni, składowaną dla nich paszę, jak również poustawiane stojaki z różnorodną bronią. Ponadto w wielu miejscach rozmieszczono wysokie maszty z łopoczącymi na nich chorągwiami przedstawiającymi różnorodne herby klanów północy. Przy czym przybyła dziewczyna większości z nich nawet nie kojarzyła, wszak ich spora ilość budziła respekt. Chociaż samą liczbę bytujących tu wojowników mogła szacować jedynie na podstawie widocznych namiotów oraz koni. Wojacy bowiem zapewne w większości jeszcze spali, ponieważ nie widziała ich w okolicy, a pora była wczesna i dopiero nie tak dawno wstał błądy świt.

Spoglądając tak tu i ówdzie, dziewczyna podrapała się intensywnie po policzku, gdzie ostatnio rozwinęła się u niej większa partia łuszczącej skóry. Aż niespodziewanie ktoś szarpnął ją za bok, czyniąc to tak zręcznie i z taką siłą, że wysunęła nogi ze strzemion, po czym runęła jak długa na ziemię pokrytą ubitym śniegiem. Padła bezwładnie na brzuch, a od mocnego uderzenia klatką piersiową w twarde podłoże straciła oddech, przez co potrzebowała nieco czasu, aby dojść do siebie. Ten jednak nie został jej podarowany, bo siarczasty kopniak w żebra zaraz przekreślił ją na plecy. Skrzywiła się wyjątkowo boleściwie na twarzy, bo otrzymała właśnie razy w jeszcze całkiem świeże siniaki, jakie wyniosła z niefortunnej przygody w karczmie Mysia Norka. Równocześnie dostrzegła przed sobą zarys wyrosłej tuż koło niej góry.

Nie, zaraz skonstatowała, że nie była to żadna nowa wyniosłość terenu, tylko monstrualna osoba, chyba człowiek i do tego kobieta. Za moment nabrała już pewności, że miała przed sobą niebotyczną kobiecą postać o niezwykle surowym wyrazie twarzy, przewyższającą ją wzrostem co najmniej o połowę. Zaś po wielce sugestywnym powitaniu z tą osobą i zważywszy na jej posturę, dziewczyna szybko nabrała do niej należnego respektu. Dlatego ostrożnie usiadła, mając ją nieustannie na oku i z ukosa spoglądała na nią wilkiem, czekając, aż coś powie. Ona popatrzyła daleko, gdzieś w okolice wjazdu do kotliny, po czym rzeczywiście przemówiła, do tego niezwykle tubalnym głosem, prawie męskim basem. Ale skierowała

swe warkliwe słowa nie do dziewczyny na śniegu, a kogo innego:

– Kto miał pilnować dziś przejścia? Gdzie ci szarzy łachmaniarze? No gdzie?!

– Nie mam pojęcia. Ale to klan Srebrzystego Płomienia pełnił teraz wartę. – Za plecami dziewczyny rozbrzmiał męski głos. Odpowiedział mu wyjątkowo pewny siebie olbrzymki:

– Natychmiast znaleźć tych nieudaczników i niezależnie od tłumaczenia powiesić.

– Ale...

– Żadnych, ale! – ucięła potężna kobieta. – Dyscyplina to postawa, a właśnie nadarza się doskonała okazja, aby za jej brak dać tu stosowną lekcję.

– Oczywiście... – odparł ciągle niewidoczny dla siedzącej wojowniczki mężczyzna. – A co z tymi dzieciakami? – dopytał.

– Zapewne będą w kolejce do stryczka. Nie zaryzykuję puszczenia wolno potencjalnych szpiegów. Ale najpierw ich przesłuchaj, tylko dokładnie i nie szczędź im bólu, aby rozwiązać języki.

Na te słowa srebrzysta dziewczyna, która już odzyskała siły, wstała i kierując się naturalnym odruchem obronnym, wyciągnęła zza pasa miecz. Wtedy też dostrzegła koło siebie wypowiadającego się uprzednio męczyznę. Swoim wyglądem niepokojąco przypominał on Feldgrała, a w rękach trzymał identyczny, jak jego uśmierconego sobowtóra, obosieczny topór.

– Kim jesteś? – rzucił poniżającym tonem do wojowniczki z mieczem.

– Jestem... – W obliczu pary posępnych postaci nagle ulotniła się z niej niemal cała odwaga i język wiązał jej w gardle, zupełnie jakby zmroził go chłód poranka. Lecz takowego problemu najwyraźniej nie miał w ogóle Bury, ponieważ z końskiego grzbietu rezolutnie przemówił:

– Zaszło nieporozumienie, przybywamy w pokoju! To zaś moja szlachetna pani, która na co dzień walczy z przeklętym mrokiem. Ja natomiast jestem jej walecznym giermkiem. I po to, aby zaciągnąć się na kolejną zaszczytną kampanię wojenną, przybywamy pod skrzydła samej Srebrnej!

–To ja jestem Srebrną... – wycedziła naraz przez zęby dziewczyna, która raptem odzyskała pewność siebie wobec publicznego odbierania jej miana

siostry krwi. – Ja nią jestem... – powtórzyła i zacisnęła dłonie na rękojeści miecza, ustawiając go pod takim kątem, aby swobodnie wykonać cięcie.

– No proszę, proszę... – odezwała się z kolei lekceważąco olbrzymka i popatrzyła z rosnącą rezerwą ku uzbrojonej dziewczynie. Wszak co znamienne, nie bezpośrednio na nią, a jej oręż. Następnie nie zważając na wymierzone ku niej ostrze, podeszła do przeciwniczki i jak gdyby nigdy nic ujęła w dłoń jej klingę. – Doprawdy zacna rzecz... – mruknęła z nieskrywanym podziwem. A zanim właścicielka miecza się zorientowała, już otrzymała potężne uderzenie pięścią w żołądek, które złożyło ją na kolana i sprawiło, że wypuściła z rąk swoją broń. Tę przechwyciła egzekutorka bezwzględного ciosu i z rosnącym zaciekawieniem uniosła miecz ku promieniom wschodzącego słońca. – Naprawdę piękne cacuszko – stwierdziła. Gdy wtem dziewczyna na klęczkach zamknęła oczy. W jednej chwili zintegrowała się w sobie i opanowując pulsujący bólem brzuch, raptownie skoczyła na olbrzymkę, czyniąc to z parą sztyletów w dłoniach. Jednak nie dopadła potężnej kobiety, ponieważ od tyłu pochwycił ją wpół sobowtór Feldgrała. Zaczęła się szarpać, ale zaraz przestała, kiedy potężna kobieta przystawiła jej własny miecz do gardła i gorzko wychrypiała: – Czy aby dobrze słyszałam, mienisz się ponoć... Srebrną? – W odpowiedzi napotkała gwałtowne i zdecydowane skiniecie głową na potwierdzenie. – Widzisz, to bardzo ciekawe, bo ja też jestem Srebrną, cóż za zbieg okoliczności, hah! – parsknęła drwiąco i gniewnie dodała: – Czy podzielasz zatem moją opinię, że w tej kotlinie robi się trochę za ciasno dla dwóch Srebrnych, hm? Może więc cię po prostu rozplątam twoim własnym mieczem i kłopot z głowy. Albo też, aby odróżnić się od ciebie, będę cię nazywała bardziej adekwatnie, czyli Sreberkiem. Co ty na to, szaraku? – A wobec przedłużające się ciszy, olbrzymka okręciła się na pięcie i przez ramię obojętnie syknęła: – Pozbądź się jej, Ferdgrale Drugi, tylko po cichu. Nie ma sensu robić w obozie przedstawienia z egzekucji narwanego dzieciaka, który ku swej zgubie odkrył to miejsce i może nam przez to nabruździć.

– Na rozkaz – padła bezemocjonalna odpowiedź mężczyzny. Jednakże w podarowanym jej czasie pochwyciona dziewczyna bynajmniej nie próżnowała. W końcu od początku się nie spodziewała, że w tym miejscu przywitają ją chlebem i solą. Dlatego ponownie zdołała się w sobie

zintegrować, skupiła całą siłę we własnym krzyżu oraz udach, po czym za pomocą nadzmysłu przeszła w stan nadsily. Tym sposobem, przy wtórze gardłowego krzyku, mimo żelaznych objęć mężczyzny, błyskawicznie się pochyliła i przerzuciła zwałistego wojownika przez plecy. Ten padł ciężko tuż przed nią. Ona zaś przystawiła mu pod zarośniętą brodę trzymane ciągle sztylety.

– Whhrarh! – wrzasnęła tym razem zwycięsko. Natomiast powstały hałas sprawił, że olbrzymka zwróciła się do niej frontem.

– Ciekawe... – mruknęła nieco zaskoczona. A zaraz ciężko westchnęła i jakby ze zmęczeniem w głosie złożyła propozycję: – Dobrze, domyślam się już, że ktoś nakładł ci do głowy jakichś bzdur, że możesz być legendarną siostrą krwi. To nie mój problem, ale wiem, że dla ciebie właśnie się nim stał i to na tyle dużym, że przyplacisz go własnym życiem. Jednak z powodu twego szaleństwa nikt inny nie musi ginąć. – Wskazała na klęczącego Feldgrała Drugiego z nożem na gardle. – Ten oto wojownik nie tak dawno straci brata bliźniaka i jeżeli posłałabyś teraz jego duszę na pożarcie srebrzystych smoków, wtedy musiałabym się zrewanżować upieczeniem na rożnie twego kompana i to żywcem. – Łypnęła oczyma na dobrze już przerażonego rozgrywaną sceną Burego i podsumowała: – Zatem nasz pozorny konflikt proponuję rozstrzygnąć jedynie pomiędzy nami. Widzisz ten szczyt? – Pokazała na najwyższą górę okalającą kotlinę. – Każdego dnia w ramach treningu wchodzę na ten pagórek, ot tak, aby rozprostować kości. Więc spotkajmy się tam tylko we dwie w samo południe i nich ze szczytu zejdzie już tylko jedna z nas, czyli prawdziwa Srebrna. Co ty na to?

– Po to tu właśnie przybyłam, a nie, żeby zaszlachtować jeszcze jednego Feldgrała. Po pierwszym mam już dość... – syknęła dziewczyna i gwałtownie odstała od mężczyzny. Ten pomasował się z ulgą po szyi i wstał, podnosząc ze śniegu porzucony uprzednio topór. Zwrócił się przodem do srebrzystej wojowniczkii i złowieszczo do niej wychrypiął:

– Więc to ty zabiłaś mi brata. Zatem ty jesteś moja...

– Stój. Zawarłam z nią inny układ – warknęła olbrzymka i podrzuciła dziewczynie jej miecz, który ta złapała w locie. Z kolei wojownik wydawał się nie słyszeć reprimendy, wpadając raptem w bitewny szal i przy wtórze zdzieranego gardła, skoczył z bronią na dziewczynę. Ona nie miała

zamiaru się cofać. Skrzyżowała klingę z toporem, a wobec przeważającej siły przeciwnika, dała przełamać swe ostrze i umiejętnie wykonała unik w bok. A zaraz poprawiła zamasyście w kierunku pleców Feldrgała Drugiego. On sparował cios i ponownie natarł na dziewczynę. Posiadał bowiem broń o mniejszym zasięgu i starał się skrócić dystans. Wojowniczką odczytywała to i płaszała wokół mężczyzny, starając się go ukąsić mieczem. Aż popełniła błąd i została staranowana barkiem. Zanim się zorientowała, już leżała na śniegu, a spoglądając w górę, zobaczyła mknące ku jej twarzy srebrzyste ostrze topora. Ten jednak, nim rozplatałby dziewczęcą głowę, został pochwycony potężnymi kobiecymi dłońmi. Następnie srebrzysta wojowniczka obserwowała, jak olbrzymka ratuje jej życie, wrywając mężczyźnie broń z rąk i odrzuca jego oręż daleko od siebie.

– Dość tych wygłupów, powiedziała! – wrzasnęła potężna kobieta. Tym razem rozbrojony Feldgrau Drugi jej posłuchał. Zaś wokół zbierało się coraz więcej ciekawskich wojów zwabionych odgłosami walki. Wtedy olbrzymka nachyliła się ku leżącej na śniegu dziewczynie i jadownicie do niej wyszczała: – Czekam w południe na szczycie. Ale dobrze ci radzę się tam nie pojawiać, a skorzystać z głoś rozsadku, jeśli takowy posiadasz i zapomnieć o Srebrnej, o sobie oraz wszystkim, co związane z siostrami krwi. Drugiej szansy nie będzie. – Po tym ostrzeżeniu odstąpiła od wojowniczki i zaczęła ostro dyrygować swymi podkomendnymi.

W tym czasie dziewczyna spojrzała w kierunku wjazdu do kotliny, gdzie właśnie zniknął galopujący jak szalony Bury. Widać nie tak wyobrażał sobie rolę giermka. Wzruszyła tylko bezradnie ramionami na myśl, że przynajmniej dostarczyła tchórzliwemu parobkowi sporej porcji tym razem jego własnych przeżyć, z których będzie mógł snuć niestworzone opowieści. Zaś osobiście postanowiła podjąć mozolną wspinaczkę na sugerowaną jej górę.

Zadzierając głowę, szacowała, że z pewnym trudem, ale podoła wyzwaniu wdrapania się na wyznaczony teren. Ponieważ choć nie była filigranowej postury, to mimo wszystko lekka, zwinna i niezbyt obciążona. Jej ubranie nie zawierało prawie metalowych elementów, a w większości misterne plecionki z twardych włókien, do tego wyprawioną skórę różnej grubości i powszywane kawałki futra. Także zbrojny rynsztunek za bardzo jej nie ciążył, posiadała tylko dwa sztylety za pasem i wciśnięty za niego

miecz. Ten, mimo że imponował długością, to wydawał się nieproporcjonalnie lekki wobec swego rozmiaru. Więc jeżeli coś rzeczywiście miałyby stanąć jej na drodze do zdobycia szczytu, niewątpliwie nie byłyby to warunki fizyczne, ale efekt zawirowań umysłu – niespokojnego ducha. Ten bowiem obecnie nie do końca stanowił w niej monolit, trawiły ją wątpliwości. Jedną z nich była ta, że wcale nie jest prawdziwą Srebrną i tylko robiła z siebie pośmiewisko. Natomiast z drugiej strony czuła już oddech śmierci na karku, bo doprawdy nie miała pomysłu, jak mogłaby pokonać swą monstrualną przeciwniczkę, nawet wchodząc na wyższy stopień jedności nadzmysłu. A mimo to tępy upór nie dość, że nie pozwalał jej zawrócić, to nie było mowy nawet o tym, aby choć trochę zwolniła. W końcu ostateczne wszystkie snute przez nią refleksje prowadziły ją nieustannie do jednego i tego samego wniosku – jeżeli rzeczywiście była Srebrną, to wygra, a jeśli nią nie jest, to nie widziała dla siebie sensu istnienia, żadnego.

Z taką przewodnią myślą oślepią została południowym słońcem w momencie, gdy wychyliła głowę ponad zdobywany właśnie szczyt. Zaraz stanęła już na płaskiej powierzchni skąd rozpościerał się zapierający dech w piersiach iście oszałamiający widok na północną krainę. Z pewną nostalgią spojrzała na odległą północ, miejsce swego pochodzenia, gdzie z gór nigdy nie ustępował śnieg, a morze zawsze ścisnął w okowach silny mróz i lód. Przeniosła wzrok na wschód, dostrzegając tam liczne pasma górskie, a w dali poszarzałe niebo zlewające się z wodami srebrnego oceanu. Potem zwróciła uwagę na południe, gdzie teren nie jawił się już jako górzysty, a jedynie pagórkowaty i nieśmiało pokrywała go popielata roślinność. Aż wreszcie skupiła wzrok na zachodnim odcinku horyzontu przesłoniętym najwyższymi oblodzonymi górami sterczącymi niczym dumnie wzniesiony oręż. Gdzieś tam pozostał Marrengo i jego rozczarowanie spowodowane podopieczną, tym do czego sprowokowana doprowadziła. Zafrasowała się i wciągnęła do płuc więcej lodowatego powietrza, aby zaraz powoli wypuścić je przez nos, spoglądając na kłęby pary rozwiewanej w powietrzu. Aż raptem doszedł do niej równie lodowaty, co okoliczne powietrze, tubalny kobiecy głos:

– Guzdrałaś się, nie powiem. A teraz długo jeszcze będziesz podziwiał widoki, czy możemy już załatwić sprawę pomiędzy nami? – W odpowiedzi

dziewczyna spięła się i gorączkowo obrzuciła wzrokiem szczyt wzgórza, szukając nadawcy zasłyszanego głosu. Jednak nigdzie nie była w stanie dostrzec olbrzymki. Dlatego zamknęła oczy i weszła na poziom nadzmysłu. Wtedy, zupełnie jakby odsłonięto przed nią kurtynę, wewnętrznym widzeniem zobaczyła na samym środku szczytu siedząca ze skrzyżowanymi nogami znaną sobie kobietę. Ona także opuściła obecnie powieki, a do tego nie miała widocznej broni, a jedynie wykonywała majestatyczne ruchy dłońmi i można było wręcz pomyśleć, że płynęła w wodzie. Aż hardo rzuciła:

– Skoro to ty zabiłaś Feldgrała Pierwszego, to rozumiem, że także jemu przedstawiłaś się, jako Srebrna. Dałam mu polecenie, aby uśmiercił uzurpatorkę, o której doszły mnie słuchy. Choć po fakcie stwierdziłam, że szkoda czasu na zajmowanie się jakąś obłąkaną dzierlatką. Cóż, szkoda Feldgrała, twardy był z niego wojownik, oddany druh, ale teraz to wszystko jest już bez znaczenia. Na mróz i lód, zaczynajmy. – W tym momencie potężna kobieta gwałtownie uderzyła pięściami w zaśnieżony grunt. W efekcie dziewczyna doznała wrażenia trzęsienia ziemi i to tak silnego, że padła plackiem na brzuch. A zanim zdołała się pozbierać, olbrzymka wykonała kantem otwartej dłoni wcięcie w śniegu. Z tą chwilą ku srebrzystej wojownicze pomknęła rozszerzająca się gwałtownie rozpadlina. Dziewczyna zdążyła przetoczyć się na bok, unikając pochłonięcia przez przepaść i zerknęła w kierunku przeciwniczki. Ta mocno skierowała przed siebie otwarte dłonie. W rezultacie leżąca postać została uderzona mroźną ścianą powietrza i potoczyła się szybko do tyłu. Niemal zleciała ze wzgórza, ale zdołała chwycić za lodowy nawis. Wspierając się na nim, oszołomiona wstała, dobyła miecz i ciągle nie otwierając oczu, ruszyła biegiem na wrogą kobietę.

Ta pstrykała palcami, co skutkowało wystrzeliwaniem w szarżującą dziewczynę lodowych kolców. Gnając zygzakiem, uzbrojona w miecz postać robiła zręczne uniki balansem ciała, zbijała mroźne pociski ostrzem, to przeskakiwała po skosie istniejącą już na wzgórzu rozpadlinę. Aż dotarła na pełnym biegu do olbrzymki i z góry na dół poprowadziła na nią swe lśniące ostrze.

Jednak monstrualna kobieta uczyniła ze swych dłoni jakby daszek nad sobą. W konsekwencji miecz dziewczyny zatopił się w powstałej nagle nad

kobietą głową lodowej pokrywie. Srebrzysta wojownicza błyskawicznie wyszarpnęła oręż z lodu i poprawiła cięciem z boku. Lecz przeciwniczka skierowała w tę stronę otwartą dłoń i sytuacja się powtórzyła. Oręż zderzył się z łoskotem z lodową ścianą, krusząc fragment, ale nie będąc jej w stanie całkiem rozciąć. Zaś w wyniku kontynuacji furiackich ataków mieczem, olbrzymka cała otoczyła się kwadratową fortecą z lodu.

Zziajana dziewczyna popatrzyła na nią zrezygnowana wewnętrznym widzeniem nadzmysłu, nie dostrzegając żadnej luki w systemie obronnym wrogiej kobiety. Ta, jakby czytając w jej myślach, uśmiechnęła się drwiąco, po czym dopiero teraz otworzyła oczy. Wówczas dobył się z nich tak oślepiający blask, który aż poraził wojowniczkę, mimo iż miała ona ciągle opuszczone powieki. Wtedy też gwałtownie straciła z widoku olbrzymkę. Widziała obecnie przed sobą jedynie lodową bryłę, która zadrgała raz i drugi, by raptem niespodziewanie eksplodować na wszystkie strony. W wyniku tego wybuchu fala uderzeniowa wyrwała dziewczynę z jedności nadzmysłu, jak i powierzchni gruntu, po czym odrzuciła ją daleko za wzgórze w wolną przestrzeń, do tego faszcerując lodowymi odłamkami.

Poraniona lodem runęła w dół, obijając się po drodze o zaśnieżone skarpy, a potem także ostre sople i twarde głązy. Aż po dłuższym czasie upadła bezwładnie na wystającą półkę skalną. Czowała, że zgruchotała sobie kości, w tym żebra, które przebiły płuca, ponieważ z ust obficie popłynęła jej krew. Spróbowała się ruszyć, ale jej twarz tylko wykrzywił grymas bólu. A za moment tuż koło niej spadł miecz. Wręcz nadludzkim wysiłkiem pochwyciła go i z mozołem wcisnęła za pas. Ten czyn kosztował ją całą resztę sił. Ale tak właśnie musiała odejść, uzbrojona. Albowiem przegrała i nie pozostało jej nic więcej, jak tylko zgodnie z Zimnym Honorem, swoistym kodeksem wojowników północy, być gotową na śmierć.

To znaczy, pragnęła być na nią gotowa, ale ze wstydem zauważyła, że wcale nie była. Kiedy tak leżała w zmaltretowanym ciele, co raz atakowały ją obrazy olbrzymki, która pokonała ją z łatwością, używając w tym celu nieznannej sztuki walki. W tej niszczycielskiej konfrontacji wszelkie jej wysiłki zdały się na nic. Zatem nie była Srebrną, była nikim, była przegrana i to pod każdym względem. Powinna więc spokojnie odejść z tego świata, aby ustąpić na nim miejsca silniejszemu i zwycięzcom. Aczkolwiek ściskając kurczowo miecz, nie przyzywała bynajmniej jak najszybciej

śmierci. Co więcej, odkryła, że mimo wszystko pragnęła żyć, tak, chciała istnieć, być może dla samego istnienia. Nie wiedziała tego, nie rozumiała, ale umieranie w samotności, zamierzając poranionej na śniegu i lodzie odarło ją boleśnie z wyobrażeń o bohaterskiej śmierci. Przez co nagle, jak jeszcze nigdy, doceniła samą istotę życia, tę jasną srebrzystą iskrę w sobie, która bezpowrotnie przestawała się w niej tlić.

W pewnym momencie jej gasnące istnienie dodatkowo przysłonił złowrogi cień. Ten przemieszczał się nad nią, kołując. I zaraz była już pewna – to srebrzysty smok, który zwabiony tu dogorywającym ciałem, gotował się, aby pożywić się jej padliną i wchłonąć duszę.

Leżąca wojowniczką odruchowo mocniej ścisnęła miecz, ale zdawała sobie sprawę, że w swym oplakany stanie pokonałby ją nawet tchórz Bury. Więc niezwyknięty srebrzysty gad tym łatwiej rozerwie ją na strzępy bez żadnego wysiłku, nieważne jak bardzo pragnęłaby walczyć. W tej chwili bowiem rzeczywiście bardziej przypominała zwykłą padlinę niż legendarną siostrę krwi.

Na tę myśl zakrztusiła się własną krwią, która pociekła jej z ust szerszą strużką. Gdy nagle nawet się nie zorientowała, a łuskowata bestia dała nura i pochwyliła ją w masywne szczęki. Dziewczyna skrzywiła się jeszcze bardziej na poranym lodem licu wobec uczucia niezliczonych ostrych jak sztylety zębów wżynających się w jej ciało. Następnie została porwana wysoko w przestworza i doświadczyła intensywnego pędu zimnego powietrza. Zaraz potem doznała uczucia zasysania i spadania, a jej świadomość zaczęła ulegać dezintegracji.

Czy właśnie umierała? Jeżeli tak, to gorzko musiała przyznać, że nie odchodziła ze świata, jako dumna wojowniczka, a wystraszona i cierpiąca w szczękach gada zagubiona dziewczyna. Nie tak to miało wyglądać, lecz najwyraźniej tak oto zakpił z niej sobie wszechpotężny los.

VII. ALABASTER I CHAMOIS

Wielka księżna odebrała od gońca poufną wiadomość i w nawiązaniu do jej treści niezwłocznie wybrała się w podróż na gryfie, czyniąc to w otoczeniu swoich gwardzistów. Dzień był wyjątkowo ponury, a wiszące nisko chmury, z którymi padał obfity śnieg, przybrały koloryt ciemnej porcelany i z powodu swej gęstości wydawały się wyrosłymi w przestrzeni górami. Wiał też silny i przeciwny wicher od wschodu, który znacząco spowalniał powietrzną eskadrę. Zaś silne podmuchy potrafiły nienaturalnie zginać skrzydła gryfów, momentami miotając wręcz potężnymi zwierzętami niczym liśćmi na wietrze. Niesprzyjająca aura jednak w najmniejszym stopniu nie mogła powstrzymać Alabaster przed natychmiastowym zweryfikowaniem wielce niepokojących wieści.

Wreszcie w istnej lodowej zamieci dotarła ona do podstawy oblodzonej góry, gdzie śnieg był nieco ciemny od pyłu nawiewanego tu z nadmorskich plaż o perłowej barwie. Władczyni zsiadła z gryfa i aby nie skalać białych trzewików niezbyt czystym podłożem, używając skrzydeł, podleciała w kierunku wyłomu wydrążonego w wyjątkowo ciemnym tu lodzie. A zaraz z wyraźną ulgą pozostawiła już za sobą mroźną zawieję, po czym w powstałej raptem ciszy i spokoju przemierzała pieszo kolisty tunel.

Tutaj z rosnącą rezerwą dostrzegła, że powciskane w ściany księżycowe łązy jarzyły się wyjątkowo blado, a nawet na moment przygasaly. Było to bardzo nietypowe zjawisko, ponieważ krystaliczny minerał wprost ze swej własnej struktury emitował zwykle jednostajne światło. Podobnie zresztą sprawa się miała z jego rzadziej występującym i jeszcze jaśniejszym odpowiednikiem zwanym kośćmi świetlistych bogów. Jednakże obecnie wielka księżna odnosiła coraz silniejsze wrażenie, że sama zagłębiała się w naprawdę mroczne czeluści. Coś antagonistycznego względem świetlistości. Do tego doświadczała przestrzeni, gdzie najwyraźniej jasność pokonywana była przez mrok.

Utwierdziła się w ty niepokojącym przeczuciu wraz z przebyciem

lodowego tunelu i dotarciem u jego wylotu do obszernej groty. Na miejscu z obrzydzeniem zauważyła ogrom stalaktytów oraz stalagmitów, nacieków o brudno-ciemnej, a nawet prawie czarnej barwie. Ponadto nie jaśniały tu żadne kryształy, a światło pochodziło wyłącznie z zapalonych pochodni dzierzonych przez ciemnoskórych pracowników z południowego zachodu. Jeden z nich, znany już władczyni inżynier, z którym nie tak dawno rozmawiała, poprawił na głowie kask oraz szklane gogle i z typową sobie ciężkością w głosie przemówił:

– Co prawda nie odkryliśmy tu kolejnego lodowego olbrzyma, ale w naszej umowie widnieje podpunkt o zgłaszaniu wszelkich nietypowych znalezisk. – Krępy mężczyzna wskazał na fragment zapisanego papieru trzymanego przez swego dygocącego z zimna odmrożonego już pomocnika i ciągnął dalej: – Tak więc, aby się należycie zrehabilitować za ostatnią niefortunną wpadkę, mój górniczy zespół z dumą przedstawia... to coś. I cóż, liczymy chyba na premię. – Inżynier powiódł wzrokiem po centrum groty, gdzie widniało czarne bagnisko jakiejś bliżej niezidentyfikowanej cieczy.

– Czy to odmagiczniona maź, jaką wprawiacie w ruch swoje zachodnie maszyny? – zapytał sztywno Perlis, postawny dowódca księżęcej gwardii bez reszty oddany służbie Alabaster. A wobec jego pytania, inżynier tym razem postukał się w kask, zupełnie jakby usłyszał przed chwilą wierutne bzdury, po czym postanowił zobrazować, co miał na myśli. Wziął pochodnię z rąk pomocnika, zamachnął się nią i rzucił w sam środek mrocznej sadzawki. Wówczas buchnął z niej potężny ogień. Wszak, co znamienne, w jego centrum zmanifestowała się czerwona, płonąca czaszka, której szczeka się poruszała i można było odnieść wrażenie, iż ognista zjawa coś mówiła, choć niczego nie można było usłyszeć. Za moment ogień całkiem zgasł, zaś na czarnej powierzchni pozostały tylko rozchodzące się czerwone koła, jak od rzuconego w wodę kamienia. Ponadto dobywał się stamtąd podejrzany szmer, coś jakby cichy przyzywający szept.

– I jak? He, he... – nadał się z dumy inżynier, obejmując w pasie swe opasłe brzuszysko i poparzył z wyższością na Perlisa. Ten, nagle śmiertelnie poważny, wystąpił zdecydowanie przed Alabaster, dając do zrozumienia, że będzie jej bronił przed tajemniczym monstrum z sadzawki.

– Bądź przeklęty. – Oparł dłoń na rękojeści miecza za pasem. –

Pokazałeś nam czarną magię pełną mrocznego zła – warknął do inżyniera. On z kolei, wcale niezrażony, przeniósł pytający wzrok na władczynię. Wielka księżna nic nie odpowiedziała, tylko niespiesznie wyminęła dowódcę gwardii. Podeszła ostrożnie na skraj czarnego źródła i przyjrzała się z uwagą jego mrocznej powierzchni.

– Czerni i biel, jako źródło wszechistnienia. Białość jako czara stworzenia, czerni, jako esencja unicestwienia – oznajmiła z pewną zadumą i wleciała nad środek mrocznej brei. Łopocząc w powietrzu skrzydłami, zawisła w wolnej przestrzeni i spoglądała intensywnie w uspokojoną już czarną toń, aż ponownie pojawiły się w niej czerwone kręgi. Szybko stawały się one bardziej intensywne, by w pewnym momencie ulec przekształceniu w lej, który wirował coraz szybciej i zdawał się zasysać do swego wnętrza zawieszoną nad nim władczynię.

– Pani! – krzyknął wobec takiego widoku zdecydowanie Perlis i postąpił ku kobiecie. Jednak natychmiast uderzyła w niego z impetem jakaś nieznana siła, która go odepchnęła. Podobnie wszyscy obecni w grocie górniczy zostali przesunięci po lodowej powierzchni do tyłu. Jedyne wielka księżna pozostała na miejscu, ale tylko od czasu, aż coś zassało ją gwałtownie wprost do wnętrza czerwono-czarnej wirującej matni. – Najjaśniejsza Pani! – wrzasnął za nią wręcz rozpaczliwie dowódca gwardii, gdy cała zniknęła z chłupotem pod dwubarwną powierzchnią.

Następnie dłuższy czas nic się nie działo. Mroczna maź przestała falować i się uspokoiła, podobnie nastąpiła wokół martwa cisza.

Wszyscy zgromadzeni w grocie zastygli w napięciu. Gdy wtem przy wtórze ostrego wrzasku władczyni, z impetem wynurzyła się ona z otchłani. Pospiesznie zdejmowała z siebie trzymające ją czerwone dłonie i oplatające jej ciało czarne macki. Wielkiej księżnej z trudem, ale udało się oswobodzić. Wleciała wysoko aż pod samo sklepienie, po czym po łuku sfrunęła do wylotu tunelu. Tam dłuższy czas odzyskiwała siły.

– Twoje usta... pani – wyszeptał niebawem, czyniąc to z przejęciem Perlis. W odpowiedzi Alabaster przejrzała się, niczym w zwierciadle, w lodowej skale i zamarła. Ponieważ choć cała jej sylwetka, mimo bezpośredniego kontaktu z głębiną mrocznego źródła, pozostała nieskazitelnie czysta, to usta były na ten czas sprofanowane – czerwono-czarne. Kobieta dotknęła ich jakby z obawą i mocno potarła, ale nic to nie

dało. Jednocześnie wzdrygnęła się na wspomnienie tego, co przed chwilą zaszło w ciemnej otchłani. Mianowicie zmuszona tam została do pocałunku z jakimś pradawnym złem, mitycznym demonem, który ją pochwycił, samemu mieniąc się intensywną czerwienią.

Naraz Alabaster raz jeszcze pospiesznie przetarła swe skalane wargi, ale i tym razem nienawistny jej białej naturze ciemny kolor nie raczył opuścić dotąd jednolicie czystej alabastrowej twarzy. Wobec tego wstrząśnięta władczyni przesłoniła usta dłonią i ruszyła do wyjścia z lodowej góry.

– A... premia za niezwykle znalezisko? Eee... – wydukał obecnie zupełnie bez wiary inżynier. Na co Perlis prawie sam zamroził go białym wzrokiem i surowo warknął:

– Macie natychmiast zniszczyć wydrążony tunel i pogrzebać w nim to coś, na zawsze, rozumiecie?!

– Nie – przemówiła niespodziewanie Alabaster, która przystanąła u wejścia do tunelu i z odjętą na moment dłonią od ust, dodała: – Czerń i czerwień zapieczętowane bielą to mrok pod kontrolą. Być może przydatny, być może zgubny. Wszak światłość w należnym czasie sama zawyrokuje, co zechce uczynić z ciemnością.

– Eee... błę... – Skołowany tymi słowami inżynier popatrzył bezradnie na Perlisa. Ten, udanie tłumiąc w sobie wybuch emocji, już nader powściągliwie wyjaśnił:

– Opuśćcie to miejsce i wytnijcie gruby krąg lodu, aby zatkać nim tunel. Ponadto przygotujcie zestaw luster, aby każdego dnia na lodową pieczęć padało jak najwięcej słonecznego światła. Lecz bez przesady, by nie stopić lodu. Ponadto wejścia będą od tej pory strzec gwardziści wielkiej księżnej. A o ostatecznym losie... znaleziska, zdecyduje nasza Jaśniejąca Pani, czyniąc to w stosownym ku temu czasie.

– Czyli nici z premii... – skwitował tylko rozczarowany inżynier. Splunął na bok i popatrzył wymownie na pomocnika z zapisaną umową w rozdygotanych rękach. Ten z kolei mężczyzna mimo swego rozmrożenia ciągle się trząsał z zimna, ale teraz do kompletu także z powodu, wydawało się, równie nieusuwalnego z niego strachu, który tak samo mocno, jak chłód na wskroś go przeniknął.

Wraz z powrotem do Alabastrowego Pałacu wielka księżna rozkazała sprowadzić do swej komnaty wszelkiego rodzaju mydła i środki służące do mycia skóry. Następnie usiadła przed kryształowym lustrem i spędziła naprawdę długi czas na mozolnym szorowaniu poczerwiałych oraz zaczerwienionych ust czym się tylko dało. Lecz wszystkie te usilne zabiegi zwieńczone zostały jedynie tym, że ponownie wezwała swe służki i dyskretnie nakazała przynieść sobie zestaw do makijażu. Zaś zaopatrzona w takowy nałożyła na ciemne wargi grubą warstwę białego mazidła. Mimo to, jak na złość, co raz łuszczyło się ono na ustach i pękało, uwidaczniając pod sobą inne niż alabastrowe barwy. W efekcie od tej pory wielka księżna stała się wręcz nierozłączna ze swym podręcznym lusterkiem i płaskim porcelanowym pojemniczkiem białego kremu składającego się z płatków śnieżnych róż, piór alabastrowej sowy oraz sproszkowanych pereł kremowej małży. Aczkolwiek i tak, pomimo natrętnego poprawiania makijażu, ciągle odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że mijani na pałacowych korytarzach dworzanie spoglądali na nią jakby nieufnie, szczególnie ogniskując wzrok w dolnym odcinku jej twarzy. Dlatego była zdeterminowana, aby trwale się pozbyć szpecącego ją koloru ze swych wąskich warg.

W tym celu ostatecznie postanowiła się posłużyć magią iluzji – dziedzinie, w której była naprawdę biegłą. Choć niestety jeszcze lepiej przysłużyłaby się jej w tym względzie magia przekształcenia, która jednakże stanowiła domenę wyższych istot z mrocznego centrum kontynentu. Wszak, jakie było jej wielkie zdziwienie oraz irytacja zarazem, gdy rzucony za pomocą gestów dłoni i posiadanej mocy urok w ogóle nie zadziałał?!

Natomiast oczywiste fiasko kolejnych zabiegów związanych z zamaskowaniem posiadanego piętna na dotąd nienagannym wyglądzie, tylko podsycalo w niej prawie nieznaną jej dotąd mroczne uczucie gniewu. Nie mogła sobie bowiem pozwolić na żadne zszarganie swego idealnego wizerunku. W końcu była wielką księżną Alabaster, najstarszą z legendarnych sióstr krwi, a także jeszcze kimś absolutnie wyjątkowym. W konsekwencji nieodzownie musiała sprostać swej nadrzędnej roli, czyli trwale stanowić najjaśniejszą światłość, wzór oświetlający właściwą drogę wszelakim świetlistym istotom, samej będąc bez żadnej skazy.

Mając na względzie powyższe prawdy, aby je podtrzymać, nie było nawet mowy o pozostawieniu na swym ciele oznak szpecącej czerni czy równie podejrzanej czerwieni. I w tym właśnie celu, aby wreszcie zdjąć z siebie te plugawe barwy, wielka księżna nad wyraz energicznie wkroczyła do ptaszarni.

Na widok Alabaster zwykle spokojne ptaki tym razem podniosły nieopisany rwetes, wobec którego kobieta tylko popatrzyła na nie z niechęcią, co stanowiło w jej przypadku niespotykane zachowanie. Zawsze była przecież uosobieniem spokoju, zrozumienia i tolerancji w szczególności dla swych pierzastych milusińskich. Teraz zaś? Pokręciła z niedowierzaniem głową, dziwiąc się samej sobie.

Szybko nałożyła na usta grubszą warstwę białej pomadki w nadziei, że w ten sposób bardziej przekona do siebie ukochane ptaki. Potem, jak miała tu w zwyczaju, rozpostarła szeroko ręce. Jej nieliczni skrzydlaci przyjaciele rzeczywiście skorzystali z zaproszenia i usiedli na użyczonych im ramionach, jednak pozostali zachowali dystans. Aż te ptaki, które znalazły się najbliżej wysokich uszu władczyni, z rezerwą, ale do niej zaćwierkały. W odpowiedzi rada z zasłyszanych wieści Alabaster, jak i zadowolona z tego powodu, że uzyskała wreszcie pewną ptasią akceptację, tradycyjnie przetłumaczyła trele na ludzką mowę:

– Więc jeźdźcy gryfów wyruszyli już na północ w celu zglądzenia mej siostry krwi, Srebrnej. To doskonale, wręcz wybornie... To znaczy. – Kobieta ugryzła się w język i skorygowała: – Chciałam oczywiście powiedzieć, że to wielka tragedia tak poświęcać czyjeś niewinne życie. Wszakże dla dobra światłości, aby nie przygasła, stosowna ofiara jest nieunikniona i gdyby wspomniana siostra była zdolna zrozumieć stawkę, niewątpliwie sama złożyłaby swe życie oraz krew na ołtarzu własnej powinności. – Księżna uśmiechnęła się kąśliwie na myśl o srebrzystej krwi. Lecz zaraz zgasła na alabastrowej twarzy złośliwy grymas i w odpowiedzi na ptasie skrzeczenie swobodnie kontynuowała: – Członkowie rady; Chamois i Ekru, również udali się w drogę, aby wykonać powierzone im zadania. Miło mi to słyszeć, jednakże, jednakże... – Kobieta pogroziła długim oraz chudym, wręcz szponiasty palcem, po czym zaznaczyła: – Wyznaczę część z was do śledzenia owej pary i zdawania mi regularnych raportów z jej poczynąń. W końcu nigdy nie wiadomo kto i dlaczego mógłby

zyczyć źle wielkiej księżnej Alabaster, nieprawdaz? – mówiąc to, mocą panowania nad przestrzenią władczyni sprawiła, że okna w południowej oraz zachodniej części ptaszarni pod jej kopułą się otworzyły. Wtedy, ćwierkając ochoczo, wyleciała przez nie grupa ptaków. A wraz z zasłonięciem okien i w odpowiedzi na kolejne szczebiotanie, kobieta nagle się zbulwersowała: – Że jak? Czy ja dobrze słyszę? Na granicy pustynnego południa z mrokiem wpadliście na trop siostry krwi Lazur?! To niemożliwe, niemożliwe! – zaciętrzewiała się coraz mocniej. – Więc nie jest już uwięziona? Co za nikczemna niedorzeczności! Choć w sumie spodziewałam się poniekąd takiego obrotu sprawy... Zaiste brałam pod uwagę. – Wielka księżna ściszyła głos, zaciskając dłonie w pięści, a do kompletu ściągnęła usta z taką siłą, że pękła na nich i odkruszyła się biała pomadka, uwidaczniając pod sobą czerwone wargi z czarną obwódka. Wobec takiego obrazu wszystkie zasiadające do tej pory na ramionach Alabaster ptaszyny uciekły spłoszone, a w przestrzeni rozległ się ogłuszający pełen niepokoju świergot. – Czego?! No czegoż się bocie?! To przecież ja! Ja! Ja! Sama potomkini Przeklętych! Nagle ogarnia was strach jedynie z powodu barwy moich warg?! – krzyczała z wyrzutem władczyni, wznosząc ostentacyjnie ramiona i z zadartą głową okręcając się wokół własnej osi. A cały czas towarzyszył jej ogłuszający ptasi jazgot. Aż w pewnym momencie tuż przed wzburzoną Alabaster zawisł w powietrzu malutki koliber i pospiesznie wyćwierkał kolejne wieści. Wobec nich już nie tylko usta wielkiej księżnej mieniły się ciemnym kolorem, ale nim także zaszły jej jasne dotąd oczy. – Więc Złota została przez was odnaleziona? – nie dowierzała. – Wytropiona po pozostawionych w mroku Centralnej Czeluści złocistych włosach? Zatem w złotej siostrze krwi również ciągle tli się życie? W tym żałosnym niewiniątku i ostoi dobroci?! – Kobieta naraz pochwyciła w afekcie delikatną ptaszynę, która przekazała jej wieści, po czym ścisnęła ją w miazdzącym uścisku. A kiedy ponownie otworzyła dłoń, spoczywał na niej pozbawiony życia uduszony koliber. Wówczas wszystkie ptaki w ptaszarni zamarły i nastąpiła iście grobowa cisza, która swą przytłaczającą ciężkością niosła się po całej komnacie. Aż ciężar powstałej atmosfery jakby przygniótł samą Alabaster. Ta naraz się opamiętała i przerażona swym czynem padła bezradnie na kolana. Przyjrzała się z trwogą zamordowanej przez siebie istocie, zupełnie jakby nie wierzyła, iż ta była naprawdę

martwa. Przycisnęła ją mocno do alabastrowej piersi i uroniła już z jasnych oczu gorzkie łzy. – Przepraszam, tak bardzo przepraszam... – Ucałowała drżącymi ustami stygnące ciało. Lecz uczyniła to ciemnymi wargami. I nagle martwe zwierzątko także pociemniało, a do tego błyskawicznie uszło, po czym w jednej chwili rozpadło się samo w sobie i pozostał po nim tylko mroczno-rdzawy pył. – Co się ze mną dzieje, co się dzieje...? – mamrotała wobec takiego zjawiska na dobre zdezorientowana Alabaster i jakby w szoku przemyła twarz wodą z fontanny.

Jednocześnie kolejny już raz wspomniała własny pocałunek w czarnej mazi z jakimś prastarym demonem. Czym, a raczej kim on był i co też jej strasznego uczynił i kim ona się teraz przez to stawała? Musiała natychmiast to rozstrzygnąć i z całych sił temu przeciwdziałać. W końcu właśnie w tym celu przybyła pierwotnie do ptaszarni, więc czemu nagle o tym zapomniała? Nie, przecież nie mogła zapominać. Nie o hańbiącej ją skazie, której, jak widać, mroczne konsekwencje były tak bardzo bolesne w skutkach. Wszak czy na pewno powinna wysłać swe ptaki w cztery strony świata, aby usilnie poszukiwały remedium na jej przypadłość? Stwierdziła, że nie mogła tak długo i być może próżno czekać, ponieważ bezwzględnie musiała działać jak najszybciej.

Dlatego prędko skończyła żałobę za jednym ze swych ptasich ulubieńców. Właśnie bowiem wpadła na pomysł, gdzie się udać, aby wreszcie zmyć z siebie czerwono-czarne kalające ją plugastwo. Wstała i w pośpiechu opuściła komnatę. Zaś jej odejściu towarzyszył pełen wyrzutów, a nawet jakby pogrózek, znów wzbudzony ostry jazgot pozostałych w pomieszczeniu ptaków.

* * *

Opuszczając terytorium wielkiego księstwa, Chamois skorzystał ze stajni w placówce na pograniczu z północnymi klanami i przesiadł się z gryfa na białego rumaka. Powód był prosty – wkraczał właśnie na rozległą równinę u podnóża gór, gdzie zwykły żerować srebrzyste smoki. Zaś wspomniane skrzydlate gady wręcz się nienawidziły z gryfami, więc stosowną przesiadkę podpowiadał mu zwyczajnie rozsądek. Ponadto srebrzyste smoki raczej stroniły od żywych ludzi i jeźdźców. Za to żywiły się zwykle padliną, a w świetle atakowały głównie istoty naznaczone mrokiem, jeśli te opuściły centralną krainę. W ten sposób stanowiłyby na

pograniczu całkiem pożądaną eskortę dla jadącego konno mężczyzny, przez co obecnie nawet z nadzieją spoglądał ku niebu w poszukiwaniu majestatycznych stworzeń. Jednak ciągle ich tam nie zauważał, podobnie jak posępnych smoczycy cieni na równinie, kiedy opuszczał głowę.

Z kolei sama jego głowa nieustannie atakowana była dwoma rodzajami myśli. Te pierwsze, niczym mroczne sępy, krążyły wokół wielkiej księżnej i wносиły do umysłu Chamoisa narastający niepokój. Przy czym brał się on nie tylko z powodu wieści od Ekru o tym, że władczyni planowała pozbawić życia pozostałe siostry krwi. On sam bowiem miał się za osobę o wyostrzonej intuicji i równie dręczyło go to, iż chociaż nie potrafił zaprzeczyć, że Alabaster rzeczywiście była jedną z legendarnych sióstr, to wydawała mu się pod tym względem inna. Nie do końca czysta, jeżeli chodziło o siostrzaną krew, czy też może raczej jakby ze skażoną krwią? Nie potrafił tego dokładnie skonkretyzować i prawda o rzeczywistej naturze wielkiej księżnej mu się wymykała, co go niezmiernie frapowało.

Natomiast pewne pocieszenie, tym razem na wzór wyobrażenia śnieżnych gołębi w miejsce sępów, przynosiła mu druga kwestia absorbująca jego umysł. Mianowicie ciepłe, mimo posiadania chłodnej natury, wspomnienie o Ekru. Tak, kochał tę kobietę, podobnie jak on należącą do alabastrowego rodu odwiecznych członków rady w Alabastrowym Pałacu. I w tym skąd inąd zimnym i pozbawionym ciepła miejscu oni nawzajem w pewien sposób rozgrzewali się żywionym do siebie uczuciem. Stałym i szczerym odkąd się tylko poznali jeszcze jako niemal dzieci. Zaś i tak wydawało się, że znali się od zawsze, a może nawet jeszcze dłużej? Choć i na ich czystej relacji istniała pewna niezawiniona przez nich skaza, na którą do tej pory ciągle nie znaleźli skutecznego remedium – był to brak wspólnych potomków, posiadanych dzieci, a mieli już swoje lata i na rodzicielstwo nie pozostało im wiele czasu.

Myśląc tak, Chamois wypuścił do końca z ust chłodne powietrze. Choć wokół było całkiem ciepło, ponieważ słoneczne promienie nieustannie podgrzewały zwiewane ze szczytów mroźniejsze tchnienie gór. Wszak na powrót było ono ochładzane w drogach oddechowych członka rady, bo białe płuca alabastrowych ludzi w naturalny sposób zachowywały w sobie dojmujący chłód.

Pod wieczór mężczyzna kontynuujący już od pewnego czasu podróż na

zachód, rozejrzał się za jakimś sympatycznym miejscem na nocleg. Ku jego rozczarowaniu ciągle przemierzał tylko poszarzałą niezbyt ukwieconą łąkę, gdzie w oddali pasło się stado popielatych owiec, za to nigdzie nie widać było choćby zarysów jakichkolwiek domostw. I wtedy się zganił za własną niefrasobliwość. Albowiem przemieszczał się niezbyt daleko od czarnej granicy z mrokiem, a chyba tylko szaleńcy zdecydowaliby się zamieszkiwać w pobliżu mrocznego zła. Ona sam z kolei niepotrzebnie kusił los, obierając możliwie najkrótszą drogę do królestwa. Dlatego skierował rumaka bardziej na północ.

Zaś już niemal o zmierzchu dostrzegł sylwetkę innego samotnego jeźdźca. A, jako że Chamois był z natury nieufny, jaka na przedstawiciela swej alabastrowej rasy przystało, zachowawczo wstrzymał wierzchowca i podejrzliwie śledzi wzrokiem napotkanego przybysza. Ten najwyraźniej przejawiał większą ciekawość i bezpośredniość niż jego zdystansowany obserwator, ponieważ żwawo zbliżał się do członka rady. Aż zatrzymał się tuż przed nim, skłonił lekko, po czym śpiewnie przemówił. Lecz co ciekawe, nie do przedstawiciela alabastrowego rodu, a skierował swe słowa gdzieś hen za własne plecy:

– Już w porządku, mój Bury Strachliwy! To żaden mroczny demon na martwym rumaku, a li tylko blady jeździec!

– Alabastrowy – poprawił, wskazując na samego siebie Chamois, patrzący na pewnego siebie młodzieńca w lekkiej złotej zbroi i złocistych włosach, do tego ze złocącym się wzrokiem. Ten lekko się skłonił i tym razem uprzejmie przemówił do najbliższej sobie osoby:

– Jestem księżę Złoty z Królestwa Zachodzącego Słońca, do usług.

– A ja Bury! Bury... Mężny! – dorzucił swoje trzy grosze chłopak w pospolitych szarych łachmanach, dosiadający siwego rumaka, który nagle wychynął zza samotnie stojącego na łące drzewa. A zaraz, widząc, iż rzeczywiście nie miał się chyba czego obawiać, Bury popatrzył z rosnącym zaciekawieniem na Chamoisa i ochoczo zasugerował: – Czarownik. Jesteś alabastrowym czarownikiem z Alabastrowego Pałacu, panie.

– Po prostu członkiem alabastrowej rady – poprawił spokojnie mężczyzna na białym rumaku. Lecz chłopak, z zastygłym na ustach uśmiechem, nie ustępował:

– Czarownik.

– Hm... – mruknął z kolei młodzieniec przedstawiający się jako sam książe i nachylając się ku swemu młodszemu kompanowi, szepnął do niego: – Chyba wypadaloby ugościć naszego nowego druha wspólnym ogniskiem i małą wieczerzą. Już czas na postój, nie uważasz? – Pokazał na chylące się ku zachodowi słońce i ciemniejące grafitowe niebo na horyzoncie. – W odpowiedzi chłopak żywiłowo skinął na zgodę głową, a Złoty mu zasugerował: – Zatem bądź tak uczynny i zbierz z okolicy trochę opału, jak na byłego giermka samej siostry krwi, Srebrnej, przystało. – Wobec tej sugestii Bury ochoczo zeskoczył z konia, po czym pobiegł w te pędy w okolice drzewa, zza którego nie tak dawno wychynął i już pod nim buszował, zbierając większe oraz mniejsze gałązki.

W tym czasie z wierzchowca zeskoczył także książe, a i Chamois pofatygował się ulżyć swemu rumakowi, stawiając stopy na twardej ziemi. Stwierdził bowiem, że najwyraźniej trafiło mu się ciekawe towarzystwo, którego złoty przedstawiciel wiedział, zdawało się, coś niezwykłego – odnaleziona Srebrna, jej giermek? Słowem, należało te rewelacje należycie zbadać.

Wkrótce sytuacja przedstawiała się tak, że pomiędzy alabastrowym mężczyzną, a złotym młodzianem ich srebrzysty pomocnik rozpałił niewielkie ognisko i dalej znosił szary chrust z okolicy. Natomiast pozostawione przy płomieniach we własnym gronie osoby rozpoczęły swobodną pogawędkę:

– Dokąd to, waszmość, zmierzasz? – zagaił kurtuazyjnie Chamois. – Wszak sam książe zachodniej krainy akurat tutaj, na północnych bezdrożach...? – wyraził lekkie zdziwienie.

– Cóż... – Złoty wzruszył beztrosko ramionami. – Spełniam pewną daną przeze mnie obietnicę i od wielu tygodni poszukuję wytrwale siostry krwi, Srebrnej.

– Wielce ciekawe... I z jakim skutkiem, jeśli można wiedzieć? – zapytał niby od niechcienia Chamois, zaczesując do tyłu długie przylizane przy czaszce białe włosy.

– Ano znalazłem i to nawet dwie, hah! – zaśmiał się w głos młodzieniec. Zaś jego rozmówca zachował niezmienną sobie powagę i dość krytycznie spojrział na rozbawionego księcia. Ten, będąc ciągle w wyśmienitym humorze, rezolutnie potwierdził: – Ależ tak, odnalazłem aż dwie Srebrne,

ciekawe to, nieprawdaż? – A wskazując dyskretnie na zbierającego chrust chłopaka, ściszym głosem wyjaśnił: – Ten oto Bury, przedstawiciel srebrzystej rasy, zarzeka się, iż naprawdę poznał dwie Srebrne, jedną po drugiej. A tej pierwszej, ponoć sympatyczniejszej, został nawet giermkim. Co więcej... pssst. – Książę wykonał gest, aby Chamois się ku niemu nachylił, a kiedy to uczynił, jak w największej tajemnicy dodał: – Obie Srebrne, gdy tylko zostały ze sobą skonfrontowane, miały się podobno natychmiast ze sobą poróżnić i stoczyć pojedynek na śmierć i życie. Więc wiele wskazuje, że obecnie została już tylko jedna Srebrna. – Po tej deklaracji Złoty się wyprostował i obdarzył mężczyznę naprzeciw szerokimi szczerym uśmiechem.

– Chłopak ma słaby i chwiejny umysł, w którym najwyraźniej jawa zwykła mu się mieszać ze snem – skwitował tylko rozczarowany takimi niestworzonymi historiami Chamois, zdecydowanie nie dzieląc radości księcia. On tylko machnął niedbale ręką i nonszalancko rzucił w powietrze:

– Bury posiada po prostu wyjątkowo bujną wyobraźnię i muszę go za to wręcz pochwalić, jako kompana w podróży, ponieważ niestworzonymi opowieściami potrafi niezwykle umilić drogę. Jednakże dać wiarę jego słowom jest zaiste... trudno. – Złoty naraz stonował emocje i po chwili ciszy z lekką melancholią w głosie ciągnął dalej: – Zważywszy więc na nikłe prawdopodobieństwo napotkania za sprawą wskazówek Burego choć jednej prawdziwej Srebrnej, osobiście nie sprawdziłem jego rewelacyjnych doniesień, aby, co tu dużo mówić... nie tracić cennego czasu. I tak oto dalej niestrudzenie poszukuję wspomnianej siostry krwi. – Poparzył nieco bezradnie wokół, jakby nawet teraz wyglądał gdzieś wzrokiem legendarnej Srebrnej.

Natomiast Chamois po dodatkowych wyjaśnieniach już uspokojony, że nie dzielił ogniska z narwanym szaleńcem, pokiwał ze zrozumieniem głową. Następnie popatrzył w zadumie na Burego, który właśnie wdrapał się na drzewo i zawzięcie walczył tam z gałęziami z zamiarem ich zerwania. A zaraz chłopak niezdarnie się zachwiał, po czym runął jak kłoda w dół i donośnie jęczał po dotkliwym kontakcie z twardym gruntem. I cóż powiedzieć, po takim przedstawieniu jego opowieści wydawały się jeszcze mniej wiarygodne, rzeczywiście niewarte ich weryfikacji.

– Może mógłbym trochę uspokoić jego zanadto kipiący umysł, skupić i

odpowiednio ukierunkować. Tchnąć w tego chłopaka więcej opanowania – wypowiedział swe myśli na głos Chamois.

– Chcesz mi podebrać giermka, panie? – udał irytację Złoty. Lecz zanim mężczyzna zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, pospiesznie dopowiedział: – Zgadzam się, zaopiekuj się Burym. Szczerze wierzę, że mu to tylko dobrze zrobi, podróż u boku kogoś tak opanowanego i alabastrowego, któremu naprawdę dobrze patrzy z białych oczu. Bo przy mnie, jak nic, chłopak wpakuje się w jakieś tarapaty. Te sam lubię do siebie przyciągać, taka już ma niepokorna natura. – Mrugnął przyjaźnie okiem i oparł dłoń na złotej rękojeści swego miecza za pasem.

– Niech tak będzie, jeżeli sam chłopak wyrazi zgodę, aby do mnie przystać. Na jakiś czas – zawyrokował sztywno Chamois.

– Hm... – zamyślił się Złoty. – A gdzie, waszmość, właściwie zmierzasz, jeśli można wiedzieć? – zainteresował się.

– Do waszego ojca, zacny księżę, oto wiozę podarek dla złotego króla od samej wielkiej księżnej Alabaster.

– Ach... zatem to misja dyplomatyczna. – Młodzieniec wyraził uznanie, unosząc wysoko złociste brwi i dumając dalej, rzekł: – W takim razie życzę powodzenia w dalszej drodze. Ja dla odmiany w tych okolicach jeszcze zapewne trochę zabawię, choć obiecywałem już dawno powrócić na dwór. W końcu i tak wiele mnie już ominęło, jak wojna, przegrana bitwa z mrokiem, czy też zaginięcie mej ukochanej siostry... – Złoty się raptem zafrasował i z nietypową dla siebie powagą dłużej milczał, aż po widocznej walce z samym sobą kontynuował: – Wszak w takich okolicznościach, mojej przeciągającej się absencji na dworze i odwlekaniu wypełnienia danych tam zobowiązań, prosiłbym o jeszcze jedną przysługę. – Wyjął z kieszeni spodni bransoletkę z pereł: – Mianowicie obiecałem ojcu poślubić baronową Bursztyn. Właściwie to jesteśmy już nawet po słowie, zaręczeni, ponieważ nasz związek jest od dawna zaaranżowany. Cóż powiedzieć, z wyprawieniem hucznego weseliska czeka się już wyłącznie na moją osobę. Ja z kolei nie chcę uchodzić za nieczułego ignorantą, albowiem nie przystoi to następcy tronu. Czy zatem byłbyś może łaskawy, panie, kiedy już dotrzesz na dwór, przekazać jeszcze ode mnie wyrazy mego uczucia baronowej i wręczyć jej taki oto upominek, hm...?

Chamois niespiesznie przejął podarek i przyjrzał się jego matowym

perłom, myśląc tak naprawdę o ukochanej Ekru. Sam bowiem podarował jej z okazji zaręczyn bardzo podobny prezent. Tamten był jednak wyrazem prawdziwego uczucia, zaś ten?

– Kochasz ją, Wasza Wysokość, baronową? – wypalił bez ogródek i popatrzył surowo w połyskujące złotem oczy księcia. Ten spoważniał do tego stopnia, że jego zwykle pełna bogatej mimiki twarz obecnie wydawała się przeistoczyć w złotą maskę. A wobec przedłużającej się ciszy, Chamois oddał perłową bransoletkę Złotemu. Dłużej przytrzymał jego dłoń, wręcz po ojcowsku i z pewną nostalgią w głosie oznajmił: – Podaruj ten upominek prawdziwej damie swego serca, a nie takiej, której serce inni otwierają przed tobą na siłę. Prawdziwego uczucia bowiem nie zaaranżujesz, a tylko takie warte jest czułych słów i szczerych podarunków.

Od tego momentu Złoty na dobre spochmurniał i wyśmieniony nastrój, którym początkowo tryskał, już do niego nie powrócił. Za to niebawem pojawił się przy ognisku wielce dumny z siebie Bury. Tazczył on całkiem okazały konar drewna i spoglądał na niego z wyższością, zupełnie jakby ten był mrocznym potworem powalonym przez niego gołymi rękoma.

Następnie trójka osób przy ognisku wzięła się za przekąszanie skromnej kolacji z suchego prowiantu. Dwójka z nich, postać złota i alabastrowa, siedziały w milczeniu, do późna przysłuchując się nieustannie trajkoczącemu Buremu, a potem zasypiając przy jego niezwykłych opowieściach. Zresztą chłopak w najlepsze nawijał jeszcze długo potem, gdy jego słuchaczy na dobre zmógł już głęboki sen.

Z kolei po osobistym przebudzeniu byłego parobka z nieskrywanym entuzjazmem przystał on na wyprawę do królestwa u boku alabastrowego dyplomaty, według Burego, niezmiennie znamienitego czarownika. I tak ruszyli oni bardziej północną drogą do zachodniego celu swej podróży.

Złoty zaś pożegnał się szczególnie ciepło ze srebrzystym kompanem, z którym na dobrą sprawę dopiero co zdążył się poznać i pojechał patrolować pogranicze z mrokiem. Czynił to z coraz słabszą, ale ciągle tłącą się w nim nadzieją, że mimo trudności odnajdzie wreszcie Srebrną. Ot choćby walczącą gdzieś w okolicy z przekłętą ciemnością, a nie bierną i schowaną przed nim gdzieś w sercu mroźnej północy. Takie założenie realizował.

Chociaż skryta w nim prawda przedstawiała się tak, że nawet niezależnie od woli swej przybranej siostry, Złotej, mimo wszystko wołał

poszukiwać Srebrnej niż wracać na królewski dwór. Albowiem tam czekał go wątpliwy dla niego zaszczyt poślubienia baronowej Bursztyn – popatrzył markotnie na perłową bransoletkę, po czym schował ją głęboko do kieszeni. Tak głęboko, jakby poszukiwał tam zarazem czegoś innego – ot choćby na wzór szukania w swym sercu prawdziwego uczucia.

VIII. CZARNA

Czerń, ciemność i mrok, przede wszystkim czerń – to główne wyznaczniki Czarnej, swoiste drogowskazy, którymi kierowała się w całym swym istnieniu. I właśnie w takiej niemal całkowicie pozbawionej światła scenerii najłatwiej było jej dostrzec coś absolutnie w centrum kontynentu Unton niebywałego, mianowicie złoty włos. Chociaż na dobrą sprawę to niebawem już nawet złocące się włosy znajdowane raz za razem przez zmroczną dziewczynę na ponurym krematorium pokrytym równo ciemnymi głazami i poczerniałymi czaszkami. A wszystko to w nie tak odległej granicy z jaśniejszym królestwem i poszarzałą północą, czyli okolicami niedawnej zwycięskiej bitwy nad złotym wojskiem. Lecz niezwykle znalezisko złocistych włosów dokonało się bardziej w centrum, czyli już w samej esencji mroku, a wnioski płynęły z tego jednoznaczne – złotowłose istoty gdzieś tu zbłądziły po bitwie, a w gestii Czarnej leżało je czym prędzej odnaleźć i zgładzić.

Czemu? Otóż nie tylko z tego powodu, iż jej czarne na wskroś serce bez reszty przepełniała ciemność, a w żyłach płynęła smolista krew. Oto była już naprawdę zasłużoną zmroczną zwiadowczynią i podejrzewała, że od awansu na młodszą łowczynię dzielił ją dosłownie włos. A ściślej właściciel złotego włosa, na którego tropie od dłuższego czasu była.

Naraz Czarna przystanąła, aby raz jeszcze powąchać jasną nić w swoim ręku. Tak drażnił ją ten zapach, irytował, a połyskujący kolor dotkliwie kłuł w zmroczne oczy. Jednak zmysły dawały też wyraźną wskazówkę, w którą należało podążać stronę. Dlatego zmroczna dziewczyna szarpnęła się za okrągły kolczyk wbity w przegrodę pomiędzy skrzydełkami nosa, dzięki czemu jej zmysł węchu został jeszcze wyostrzony i upewniła się, co do kierunku obranej drogi. Ponownie stanęła na czworakach i niczym pies gończy, węsząc, podążyła w obniżonej postawie za swoją przyszłą ofiarą.

Z nosem przy samej ziemi mijała czarne wijące się obłe robaki wpełzające z ciemnych oczodołów ludzkich czaszek. Miażdżyła też dłońmi

i stopami chitynowe pancerzyki sunących w mroku innych przedstawicieli robactwa, co pewien czas łapczywie połykając insekty, aby wrzucić coś do żołądka i dodać tym sobie sił.

Niebawem natrafiła wzrokiem na kolejny złoty włos, nieco ciemniejszy, a potem jeszcze jeden o bursztynowej barwie. To tylko utwierdziło ją w przypuszczeniu, że złotowłosych istot zagubionych w mroku było więcej, a ona mogła za ich złociste skalpy uzyskać w Upiornej Twierdzy sowitą nagrodę. Jednak tym razem nie chciała strawy w postaci krwawych wnętrzności, miejsca w łoży podczas walk na trupiej arenie, czy uczestnictwa w torturowaniu pojmanych jeńców. Ponad wszystko pragnęła awansu i szaty cienia, aby mogła w końcu polować także poza mrokiem i nieść chwałę nieskończonej nocy aż do światła.

Światło. Wtem Czarna zastygła i przysłoniła szpetną twarz dłonią, ponieważ ze sporej odległości oślepił ją niespotkany w ciemnościach intensywny blask. Sama zaś nie została oślepiona na dłuższy czas tylko z tego powodu, że szczęśliwym trafem miała półprzymknięte oczy i wzrok wbity w ciemne podłoże. Teraz natomiast wyjęła z czarnej spódnicy ze skóry jeden z pary sztyletów i odkroiła z ubrania pasek materiału. Uczyniła z niego przepaskę na zmroczne oczy i ostrożnie ruszyła w kierunku niedawnego rozbłysku.

Poprzez przesłonę na twarzy i tak dostrzegała wyraźne kontury jawiącego się przed nią terenu, za to chroniła wzrok przed ewentualnymi eksplozjami światła. Przecież wiedziała, że była to swego rodzaju moc niektórych złotowłosych istot. Do tego nader skuteczna broń, ponieważ mogła na długo wprowadzić chaos w szeregach zmrocznego wroga.

Przyczajona Czarna skradała się pewien czas, aż zauważyła kilka humanoidalnych sylwetek, gdzie połowa z nich, świetlista i drobna, stała zbita w grupę. Z kolei reszta, prezentując się, jako zwałiste istoty ciemności, przewracała się bezładnie po ziemi. Zmroczna dziewczyna szybko zrozumiała, że na podłożu dostrzegła niewątpliwie swych kamratów z Centralnej Czułości, którzy nie zdołali pochwycić ofiar i zostali zneutralizowani. A skoro tak, to Czarna ich ubiegnie i pierwsza pozbawi życia złote istoty, zgarniając za nie nagrodę.

Myśląc tak, potarła na szczęście swe rogi na głowie, uzbroiła w drugi czarny sztylet, po czym wyprostowała do pionu i zdecydowane podskoczyła

naprzód. W chwilę była już pomiędzy zmrocznymi, a świetlistymi istotami, gotowa szatkować te ostatnie ostrzami, to nadziewać na rogi, by potem ze stygnących już ciał zdjąć złote skalpy. Lecz nieoczekiwanie została powstrzymana i to jedynie przez dźwięczny, niezwykle przejmujący, dziewczęcy głos:

– Wstrzymaj się z mordem na wszystkich i weź tylko moje życie, jest twoje.

– Czemu? – syknęła jadowicie Czarna, dziwiąc się samej sobie, że jeszcze nie zabijała, a sama zadała pytanie. Jednak wobec uzyskanej odpowiedzi w pierwszym momencie bynajmniej nie pożałowała swej decyzji:

– Jestem kimś ważnym i za ocalenie pozostałych kobiet wyjawię ci, kto taki stoi przed tobą. Wówczas twoi panowie sowicie cię wynagrodzą za przyniesienie mojego złotego skalpu, który ma wartość tysiąca innych żyć.

– Kto tu stoi? – warknęła zmroczna dziewczyna, przebierając z nogi na nogę i walcząc z narastającym pragnieniem mordy, który był jak bezdenne głód i kazał jedynie zabijać, nie dyskutować.

– Najpierw przyrzeknij, że jeżeli okażę się w twoich oczach warta tysiąca żyć, to zabijesz tylko mnie, a resztę puścisz wolno. – Postawiła warunek złotowłosa dziewczyna.

– Przy... przy... – Czarnej nie mogło przejść przez zmroczne gardło danie obietnicy komuś, kto iskrzył się przed nią i pochodził ze światła. Musiała zabić, wszystko podpowiadało jej, że musiała to uczynić bezwzględnie na wszystko. I już zmierzała zatopić sztylety jednocześnie w gardle i trzewiach złotolicej, gdy z morderczego transu wyrwał ją głos jednego z wijących się na ziemi zmroczniaków.

– Kimkolwiek jesteś, istoto mroku, zabij złotą sukę, zanim będzie za późno i znowu zgromadzi w sobie światło, aby go użyć. – A zaraz gniewnie ponaglił: – Szybciej, ona jest silna, naprawdę silna! Ona to...

– Złota... – dokończyła złotowłosa dziewczyna, wiedząc, że i tak zostanie zdemaskowana, po czym wyciągnęła przed siebie lśniące dłonie i zwróciła się błagalnie do Czarnej: – Jestem przysposobioną córką złotego króla i obiecuję nie używać mocy światła. Nie będę stawiać oporu, oddam swe życie. Ale puść wolno zbłąkane sanitariuszki z wielkiej bitwy. – Wskazała na stojące za nią przerażone kobiety o nieco ciemniejszej barwie włosów. W odpowiedzi Czarna po zasłyszanych wieściach wzięła kilka szybszych

oddechów pylistym powietrzem, zupełnie jakby zbierała się do wzmożonego wysiłku i mocniej ścisnęła w dłoniach sztylety.

– Dość, ja to zrobię... – wycedził przez zęby wstający zmroczniak, a wnioskuje po całkiem okazałej zdezelowanej zbroi, także strażnik nieskończonej nocy. Wyciągnął on miecz i po omacku ruszył z nim w kierunku, gdzie dopiero co słyszał głos Złotej. Jednak uczynił zaledwie parę kroków i jego trzewia z impetem przebiły ostre rogi. Zaraz zsunął się z nich konający, a jego rozprute pomiędzy fragmentami zbroi trzewia zalała czarna krew. Natomiast jego zabójczyni zwawo podskoczyła do pozostałych strażników w liczbie trzech, którzy ciągle dochodzili do siebie na ziemi. Następnie jednemu po drugim z zimną zmroczną krwią poderżnęła gardła, czyniąc to za każdym razem dwoma sztyletami naraz.

Kiedy dokonała egzekucji, ponownie znalazła się przed Złotą i także do jej łabędziej szyi przyłożyła ostrza. Tak bardzo pragnęła rozciąć aż proszącą się o to piękną gładką skórę. Lecz naraz usłyszała wręcz raniące jej uszy słowa:

– Dziękuję ci, siostrze, bo jesteś nią, moją siostrą, wyczuwam to w twej zmrocznej istocie. – Czarna zareagowała, uderzając złotą dziewczynę pięścią w twarz, zupełnie jakby chciała w ten sposób przerwać rzucany na siebie urok. Potem popatrzyła na królewską córkę z respektem, ponieważ nie rozumiała, dlaczego jej jeszcze nie zabiła. Zaś wyjaśnienie padło z krwawiących na złoto ust: – Moja śmierć jest bliska i jestem na nią gotowa z twojej ręki. Ale skoro to ty jesteś moją zmroczną siostrą, zabicie mnie sprawi ci wielką trudność i jeszcze większy przysporzy ból, niezależnie od tego, jak bardzo zatracisz się w mordzie i nienawiści. Ostrzegam cię też, że mając siostrzaną krew na rękach, skazisz swą zmroczną naturę złotym światłem i nie będziesz już taka sama, bezwzględnie okrutna. Wszak, jeżeli tego właśnie chcesz... – Złota uklękła i podniosła głowę, aby ułatwić drogę do swego gardła. – Oszczędź akuszerki – dodała zdecydowanie oraz bez trwogi.

– Właśnie je, twoje przyboczne, pozarzynam! – wydarła się na to Czarna.

– Wtedy umrę z rozpacz, ale śmierć sprowadzisz na mnie swym czynem właśnie ty, siostrze, ze wszystkimi tego konsekwencjami – usłyszała w odpowiedzi, co szybko pozbawiło ją złudzeń, że zazna ukojenia dla buzującej w niej żądzy świetlistej krwi.

W ten sposób owładnęła nią odpychająca niepewność. Stan praktycznie jej nieznany i przez to tym bardziej nie do zaakceptowania. W konsekwencji już opierała sztylet o szyję Złotej, to go cofała. Odskakiwała na krok, to czyniła susa ku córce króla, cały czas okraszając swą wykrzywioną twarz grymasami dojmującego niezadowolenia. Aż ponad wszystko pragnąc przełamać impas, groźnie wycharczała:

– Każda ze złotych jest teraz moim jeńcem, każda! I zabieram je do najbliższego bastionu mroku albo obozu pomroczni. Każda złota, która się sprzeciwi, zginie, zaszlachtuję ją! A o losie posłusznych ostatecznie zdecyduje straszny łowca. Ruszać, a teraz ruszać! – Zmroczna dziewczyna szarpnęła królewską córkę, stawiając ją do pionu i pchnęła bezceremonialnie w plecy w kierunku najbliższego warownego obozu.

I tak w pylistej ciemności ruszył kondukt świetlistych istot zamykany przez będącą w gotowości Czarną. Ona na pożegnanie miejsca mordu strażników nieskończonej nocy splunęła na ich otaczane robactwem truchła. A gdy tak szła przygarbiona, kotłowało się jej w głowie, że z zupełnie niezrozumiałych przyczyn zabicie Złotej rzeczywiście nie dałoby jej spodziewanej przyjemności. Sama czuła w sobie tę odpychającą prawdę. Lecz równocześnie nie mogła pozwolić, aby wymknęła się jej nagroda za skalpy złotowłosych. Dlatego uwięzi kobiety i za przekazanie wieści o ich pojmaniu niewątpliwie i tak otrzyma wyższą rangę. Wtedy też nie będzie już się musiała kłopotać złotolicymi, bo niewątpliwie one zginą, tyle że z innej zmrocznej ręki.

* * *

Czarna bez problemu odeskortowała do granicznej twierdzy, pomroczni, pochwycone przez siebie istoty. Ale zanim się to stało, nie raz pożałowała, że jednak nie zabiła choć jednej złotowłosej, a nieroztropnie dała w pewnym sensie gwarancję czasowego przetrwania każdej z nich. Podczas drogi wręcz nastawiała ucha, aby usłyszeć szczebioczący szept złotoliczych sugerujący pragnienie ucieczki i tęsknie wypatrywała ich zbaczającego z trasy kroku, by móc zabić prowodyrkę. Lecz nic takiego się nie wydarzyło.

Zatem obecnie wyruszyła samotnie do Upiornej Twierdzy leżącej w samym zmrocznym sercu centralnej krainy, aby zdać tam relację położonym ze swego sukcesu. Czekala ją dość długa marszruta, a im dalej się zagłębiała w czarną matnię, tym intensywniejsza spowijała ją

ciemność, a przestrzeń była bardziej pylista oraz wymarła. I to dosłownie wymarła, ponieważ o ile na przygranicznych terenach zwykły powstawać trupy pobudzane zmrocznymi prądami energii, o tyle w samym centrum nieskończonej nocy niepodzielnie panowała tak zwana Martwica.

Było to prastary energetyczny byt w samym środku kontynentu Unton umiejscowiony tam w zamierzchłych czasach ponoć przez upadłych bogów. Zaś stanowił on niebotyczny wir czarnej energii sięgający niemal samych niebios. I to właśnie z tego zmrocznego tworu wychodziły wszelkie istoty ciemności, aby panować nad przeznaczoną im częścią kontynentu i strzec go przed zachłannym światłem, aby nie spaliło ziemi do cna. W ten sposób żadne zmroczne istoty nie przychodziły na świat w sposób typowy dla rodzaju ludzkiego, to jest z kobiecego łona. Albowiem ich jedynym prawdziwym ojcem był czarny mrok, a matką Martwica. Lecz ona w swym bezpośrednim otoczeniu nie tolerowała żadnego innego istnienia poza swymi dziećmi, którym dała egzystować, zawieszając ich byt pomiędzy życiem, a śmiercią. Stąd przebudzone trupy, jako całkiem martwe, nie cieszyły się już dostatecznym uznaniem matki. Przez to nie akceptowała ich w swej bezpośredniej okolicy, jakby wzgardzając śmiercią pozbawioną w sobie choć kropli życia.

Kim z kolei była sama Czarna? Otóż stanowiła po prostu czarne narzędzie bez reszty oddane sprawie ciemności. Taką powołana została z otchłani Martwicy do swego istnienia i taką też podążała zmroczną drogą. Zwykle nie targały nią wątpliwości, nie posiadała dylematów. Zrodzona z czerni trwała w niej tylko po to, aby pokonywać światło, a w razie konieczności bezwzględnie także każdą napotkaną przeszkodę, jak choćby zmrocznych strażników, którzy weszli jej w paradę. Ale przecież zabiła ich, aby otrzymać wyższą rangę i przez to jeszcze lepiej przysłużyć się trwaniu nieskończonej nocy. W ten sposób cel uświęcał środki i w jej postępowaniu nie było sprzeczności.

Ponadto w świecie nieskończonej nocy, czyli w centrum kontynentu, gdzie prawie nie przezierały przez czernią czyste drobinki światła, także i czas liczono inaczej, a mianowicie tak zwanymi wyrzutami. Były to okresy co trzy zwykle dni, kiedy to Martwica wirowała mocniej i wyrzucała ze swego łona nowe zmroczne istoty. Te z miejsca chwytali bracia mroku i zanosili do okalającej niebotyczny wir Upiornej Twierdzy. Następnie

wszystkie nowo narodzone pomioty ciemności były oplątywane czarnymi niciami przez pająki zmrocznego przekształcenia, po czym gotowe kokony umieszczano w katakumbach twierdzy, aby dojrzały.

Wszak, aby to uczyniły, niezbędna była krew istot światła. A w zależności od tego, jaką barwą krwi nasączano zmroczne istoty w kokonach, dojrzewające w nich byty dorastały do swych charakterystycznych typów. I tak poślednia srebrzysta krew dawała najbardziej posępnych oraz bitnych wojowników, jak choćby strażników nieskończonej nocy. Zaś krew z czempionów ludzi północy pozwalała wyhodować niemal niepokonanych berserków mroku. Z kolei alabastrowa ciecz wytaczana z żył przyczyniała się do wykluwania z kokonów bitewnych magów ciemności, władających głównie żywiołami plugastwa oraz złych emocji. Dla odmiany nasączenie kokonów złotą krwią, najczęściej pozyskiwaną w mroku, przyczyniało się do powstawania szeregowych żołnierzy ciemności, którzy nagminnie ginęli na wszystkich granicach i ciągle trzeba było uzupełniać ich czarne szeregi. Znacznie rzadziej była dostępna krew odpowiednio brązowa oraz zielona. Za sprawą tej pierwszej tworzono zmrocznych konstruktorów, którzy dbali o wznoszenie i konserwację twierdz oraz prowadzili prace inżynieryjne podczas oblężeń. Zieleń natomiast służyła do swoistej alchemii czarnych istot i w wyniku skraplania kokonów akurat tą cieczą dojrzewały bardziej nietypowe istoty mroku, jak ropniaki żyjące w czarnej mazi na całym kontynencie, czy ich bliscy kuzyni w postaci zmrocznych mątów oraz czarnych rekinów. Jednakże pozostawała jeszcze krew niebieska w swych różnych odcieniach, o ile można ją było jeszcze nazwać krwią ze względu na jej lotną naturę. Aczkolwiek jeżeli udało się już pozyskać tak cenny surowiec, za jego sprawą powoływano do istnienia czarne upiory – najwyższych rangą zmrocznych dowódców, których fantomowe ciała dla ochrony zamykano szczelnie w charakterystycznych czarnych zbrojach zwanych martwymi skorupami. Dodać jeszcze należało, że dane kokony można było moczyć w wielobarwnej krwi wymieszanej z różnych ras świetlistych istot, w efekcie otrzymując zmroczne hybrydy.

Kim więc takim i dzięki jakiej krwi ukształtowana została sama Czarna? To właśnie ta zasadnicza kwestia, która zdecydowanie odróżniała ją od wszystkich innych zmrocznych istot. Albowiem nie była bezpośrednio

podobna do żadnej z nich, choć wiele przypominała. Natomiast jej ciało wyjątkowo nie dojrzewało w kokonie, ponieważ z Martwicy wyrzucona została już w swej dojrzałej formie, wiedząc, kim jest i znając swe zmroczne posłannictwo.

Wszakże takie wielce nietypowe narodziny sprawiły, że tylko cudem nie została zglądzona przez swych współbraci i siostry ciemności, którym z trudem przychodziło zaakceptować jej odmienne przyjścia na świat. Wtedy, czyli kilka lat temu, została poddana pod osąd przez czarną trójkę, obecnych upiornych władców tej upadłej krainy. I ostatecznie jeden z nich opowiedział się za jej unicestwieniem, drugi za ocaleniem istnienia, a trzeci wstrzymał od głosu, jednakże jedynie odraczając swą decyzję na później. Tym sposobem sądowy wyrok stanowił pat, gdzie Czarna zachowała swe istnienie, lecz nieustannie było ono na szali, zależne od przyszłego osądu trzeciego z triumwirów. Stąd powszechnie określano ją mianem pół-istniejącej, czyli zawieszanej pomiędzy istnieniem, a nieistnieniem. Ona zaś, ze względu na swą niepewną przyszłość, otrzymała potężny impuls, aby starać się bardziej niż wszyscy, zasłużyć się i piąć w hierarchii istot mroku, by wreszcie wśród nich w pełni usankcjonować swe bytowanie.

Tymczasem po trzech martwiczych wyrzutach, czyli dziewięciu dniach podróży, gdzie głównie biegła na czworakach, posilając się po drodze plugawym robactwem, dotarła do pierwszych szanców Upiornej twierdzy. Był to poryty okopami teren cały najeżony podniszczonymi i zaostrzonymi palami, które wręcz tonęły w poczerniałych kościach. Nie raz bowiem dotarła tu już kruczata złotych istot, pragnących na zawsze położyć kres zmrocznej otchłani. To jest, zdobyć Upiorną Twierdzę i zniszczyć Martwicę. Lecz to właśnie w tym miejscu złoci najeźdźcy byli najczęściej skutecznie odpierani.

Następnie nieco dalej w kierunku centrum porozrzucane były w nieładzie katapulty, balisty oraz skorpiony, czyli maszyny służące do zadawania wrogim oddziałom strat z dużej odległości za pomocą gładów, potężnych harpunów i strzał. Choć wystrzelivano ku ludziom również gnijące mięso, jadowite insekty, węże i inne zmroczne plugastwo.

Potem Czarna wyminęła jeszcze dwie linie obrony dodatkowo zawierające fosy wypełnione trującą cieczą, z której unosiły się duszące opary. Na tym etapie szançe były w o wiele lepszym stanie, ponieważ w

przeszłości tylko nieliczni najeźdźcy ze światła zdołali tu dotrzeć. Dalej rozciągał się już wyłącznie niebotyczny czarny mur Upiornej Twierdzy o kształcie sześcioramiennej gwiazdy, gdzie z centrum wybijał z ziemi gigantyczny wir – sama posępna Martwica.

Wkrótce Czarna stanęła przed jedną z żelaznych bram pełną stalowych nitów, która ją samą przewyższała blisko dziesięciokrotnie. Zaś, aby wspiąć się na mury, zmroczna dziewczyna musiałaby ustawić pod nimi drabinę równą aż pięciu dziesiątkom istot o swej posturze. W takiej monumentalnej scenerii ona sama, jak i strzegący podwojów do twierdzy strażnicy, w liczbie sześciu, wyglądali niczym żalosne karły, choć pilnujący należeli do kasty niezwykłych berserków. Zakuci niemal dokładnie w czarną stal kolejno powąchali Czarną, głośno węsząc i przez pewien czas brutalnie popychali ją pomiędzy sobą, zupełnie jakby odczuli od niej coś niewłaściwego. Ona nie reagowała, przyzwyczajona do upodlającego traktowania nie tylko własnej osoby.

Wreszcie jeden z pilnujących zadał donośnie w róg i za sprawą kołowego mechanizmu wprowadzonego w ruch brama zaczęła rozwierać się na oścież. Dzięki temu Czarna przekroczyła próg twierdzy i stanęła na jej obszernym dziedzińcu.

Tak więc zmroczna dziewczyna dotarła do celu i teraz musiała się udać do swych przełożonych, po czym liczyć na to, że nie unicestwią jej za to, iż nie przyniosła złotych skalpów, a w to miejsce wieści o pojmanyh więźniarkach. Co więcej, uraczona zostanie za taki czyn nagrodą. Tak czy inaczej, nie miała już żadnego wyboru, musiała iść. Zatem czyniła to, jak zwykle przygarbiona i pełna w sobie gniewnego niepokoju.

IX. KASZTAN I RUDA

Z samego ranka Kasztan pożegnała się z dziadkiem Ugierem tak ciepło, jak tylko potrafiła to uczynić, ściskając jego wątle i zasuszone ciało. Chociaż nawet jemu nie zdecydowała się wyjawić swego śmiałego przedsięwzięcia. Na marginesie wielce ryzykownego przedsięwzięcia, do którego nakłoniła ją ta narwana Ruda. Wszak decyzja już została podjęta i zeszłej nocy kasztanowa dziewczyna prawie nie zmrużyła oka, po kryjomu przenosząc różne zapasy do ładowni zacumowanego w pobliżu domu sterowca.

Obecnie kolejny raz popatrzyła na podarowany jej przez ojca nakręcany zegarek i zobaczyła, że już czas się spotkać w umówionym miejscu z kompanami ze Spiżowej Braci. Celem była nie tak odległa okolica drewnianej komórki na narzędzia – pozostałość po pracach robotników próbujących rok temu budować tu linię kolejową. I choć skutecznie sabotowana trasa pociągu poprowadzona została ostatecznie alternatywną drogą, to schowek na narzędzia pozostał.

Koło niego Kasztan z dumą popatrzyła na stojącą tu już paczkę znajomych oraz przytاسzczone przez bliźniaków działo na dwóch kołach. Kaliber tego nowego cudu technologii wojennej był całkiem znaczący i przywódczyni wyprawy mogła swobodnie włożyć do lufy rękę, choć już nie głowę, mimo że takowe przymiarki nie były zbyt roztropne. Jednak narastające podekscytowanie wyprawą sprawiało, że Kasztan momentami stawała się Rudą, a wtedy nie mogła się obyć bez figlarnego zachowania. Następnie oszczekiwana radośnie przez Umbrę pociągnęła armatę za linę, czyniąc to wspólnie z mahoniowymi bliźniakami. Brunatna zajęła się do kompletu wózkiem z kulami.

Niebawem działo zostało stabilnie umiejscowione w obszernym koszu zawieszonym na grubych linach u podstawy brązowego w swej barwie sterowca. Potem osoba mieniająca się hersztem weszła na wypełniony gazem potężny cylinder powietrznego statku, gdzie przyczepiła piracką flagę. Ta

mocno załopotana na silnym północnym wietrze. Teraz z kolei nie pozostało już nic innego, jak tylko odwiązać cumy i zająć się skutecznym sterowaniem, a Kasztan na szczęście miała już w tej profesji niezłą wprawę.

– Lecimy!

– Fruniemy! – zawyła radośnie para mahoniowych bliźniaków razem z resztą grupy zgromadzona w koszu na symbolicznym dziobie powietrznego okrętu. Zaś jego stery, stanowiące kręcące się w pionie sporych rozmiarów koło, początkowo przejęła Brunatna. Taką w końcu Ruda złożyła jej obietnicę, że przez połowę trasy będzie mogła kierować. I kto jak kto, ale Kasztan zamierzała umowy dotrzymać. Sama natomiast radośnie krzyknęła:

– Kuras na południowy wschód!

– Na pewno tam... ? – wyraziła wątpliwość najstarsza dziewczyna.

– A jak! – potwierdziła zdecydowanie Kasztan, czyniąc to z entuzjazmem niemal jak ognista Ruda. Ale wyruszając na wielką wyprawę, niezależnie od aktualnego wcielenia się w daną osobowość, miała w sobie wielkie pokłady pozytywnej energii. Dlatego nawet przyjaźnie objęła Brunatną w pasie. Ta uśmiechnęła się do niej z wiarą i mocno zakręciła kołem.

Tak oto sterowiec poszybował w pożądaną przez Kasztan stronę. Unosząc się pod rdzawym niebem, a ponad konarami nielicznych drzew, głównie kasztanowców oraz brązowymi dachami domostw, statek powietrzny sunął całkiem zwawo poganiany przez północny wiatr i szybko dotarł na większe bezdroża. Wtedy cała Spizowa Brać, przy akompaniamencie poszczekującego ochoczo Umbry, gromko zaśpiewała:

– Kasztan i orzech, orzech i kasztan iii... basta! Basta! Basta!

– My lub uformowany z brązu jaaak ... z ciasta! Ciasta! Ciasta!

– Orzech i kasztan, orzech i kasztan iii... basta! Basta! Basta!

– A skąd ty jesteś? Bo my tooo... z miasta! Miasta! Miasta!

– Ze smogu i pyłu, pracy i znoju.

– Z łoskotu kilofa, stukotu młotów iii... basta! Basta! Basta!

– Kasztan i orzech, orzech i kasztan iii... basta! Basta! Basta!

W trakcie dalszej podróży wśród dominującego pejzażu obfitującego w kamieniste pola czy łąki z hałdami brązowego piachu można było podziwiać też mknącą w dole kolej. Ta gnała znacząco szybciej od sterowca

po równo ułożonych torach. Z hebanowej lokomotywy buchały kłęby brunatnego dymu, a pod nim ciągnęło się kilkanaście wagonów wypełnionych drewnem i węglem. A zaraz ponownie widoczne wokół były już tylko niemal dziewicze tereny dość jałowej tu ziemi, gdzie dominowały brązowe kamienie, beżowy piasek i rdzawe łąki. Aż nadszedł czas wczesnego popołudnia i wtedy Brunatna roztropnie stwierdziła:

– Czas już wracać. Północny wiatr za mocno pcha nas na południe i jeśli teraz nie zawrócimy, to możemy nie zdążyć przed nocą.

– W porządku – odpowiedziała rezolutnie Kasztan. Lecz zaraz była już przewrotną Rudą, dlatego zaczepnie dodała: – Tylko odpalę sobie jeszcze z naszego działa. W końcu nie po to je zabraliśmy, aby miało się nam nie przydać!

– Odpalić!

– Strzelać! – wrzasnęła tradycyjnie chórem para bliźniaków. Zaś przywódczyni wyprawy chytrze popatrzyła na Brunatną, ponieważ niezależnie od woli najstarszej dziewczyny, ta właśnie została przegłosowana. Szczególnie gdy do kompletu zaszczekał jeszcze radośnie Umbra.

– Niech będzie – zgodziła się bez entuzjazmu stojąca za sterami osoba i sama pomogła załadować armatę kulą. W tym czasie Ruda ustawiła działo pod odpowiednim kątem i dała wspólnie podpalić lont mahoniowym bliźniakom. Potem wszyscy przytkali sobie uszy, skulili się koło siebie i obserwowali, jak iskrzący knot się szybko dopalał.

Wtem padł głośny wystrzał odrzucający działo nieco do tyłu i kula armatnia poszybowała hen poza burtę bujającego się trochę w powietrzu kosza. A już za moment donośnemu wystrzałowi zawtórowały entuzjastyczne okrzyki Mahonia oraz Mahoniowego:

– Jeszcze!

– Jeszcze raz!

Wobec takich próśb i nalegań Ruda popatrzyła na nieco markotną Brunatną. Uczyniła to z kąśliwym uśmiechem i bezradnie rozkładając ramiona, by dać do zrozumienia, że nic nie mogła poradzić – woli większości, niczym w kasztanowym senacie, ponownie musiało stać się zadość. Tym razem samodzielnie załadowała armatę, zapaliła lont i w trakcie jego dopalania się, zaczęła nonszalancko celować.

– Uważaj, wyżej i bardziej w bok! – krzyknęła naraz zdenerwowana Brunatna, ale było już za późno. Rozległ się huk wystrzału, a kula armatnia dokładnie strzaskała drewniany ster i w powietrze wzbija się chmura drzazg oraz desek. Natomiast powietrzny statek raptem stracił sterowność, po czym dał się swobodnie ponieść przez wiatr wprost na południe.

– Ups... – jęknął już bez niedawnej euforii Mahoń.

– Ulala... – zawtórował mu jego również przygaszony mahoniowy brat. Z kolei najstarsza dziewczyna, wyraźnie tłumiąc w sobie gniew, wzięła kilka pospiesznych oddechów z inhalatora i warknęła:

– Co ty, żeś zrobiła? I jak teraz niby wrócimy do domu na czas?!

– Nie panikuj. Pod pokładem są narzędzia i ster się naprawi – rzekła z miną niewiniątka Ruda, zupełnie niczym Kasztan. W odpowiedzi Brunatna niemal spaliła ją piwnym wzrokiem i zirytowana ruszyła do klapy w podłodze, pod którą mieściła się spora ładownia. Zaś po jej otwarciu, raptem zamknęła ją z hukiem i już nie tłumiąc emocji, bezceremonialnie się wydarła do Rudej:

– Tam jest pełno narzędzi, jedzenia, wody... wszystkiego! Ty... ty to ukartowałaś! – Wskazała z wyrzutem na zniszczony ster. – Odpowiedziało jej jedynie beztroskie pogwizdywanie przywódczyni bandy i jej oczy wywrócone do góry. – Uduszę cię... – syknęła wobec tak lekceważącej postawy Brunatna i zakasała rękawy brązowej koszuli. Lecz postąpiła ledwie krok ku Rudej, a na drodze stanął jej zjeżony, obnażający kły Umbra. Spory podpalany wilczur, zwykle łagodny jak baranek, ale potrafiący też zajadle bronić swej pani. I obecnie czynił to nader skutecznie, ponieważ najstarsza dziewczyna z respektem cofnęła się do przeciwległej ściany kosza. Natomiast pewna siebie Ruda poklepała przyjaźnie po boku wiernego psa. Następnie udała, że ziewa, bo cała sytuacja w zasadzie ją nudzi i jak na herszta piratów przystało, teatralnie wydała stosowne rozkazy:

– Targani przez złowrogie powietrzne prądy i poddawani nieprzewidzianym kolejom losu, musimy dzielnie stawić im czoła. Przeszkody są bowiem po to, aby je pokonywać. Dlatego się nie poddamy! Zatem moja dzielna załogo, proszę przystąpić solidarnie do naprawy steru! Zapewniam, że na naszym wspaniałym okręcie znajdziecie wszystko, co

jest do tego potrzebne, a także wiele innych niespodzianek! Już ja się o to zatroszczyłam... – Puściła mahoniowym braciom oko i uśmiechnęła się złośliwie do Brunatnej. Potem usiadła w rogu kosza i tarmosząc po bujnej sierści Umbre, zamknęła oczy, by z nieskrywaną przyjemnością napawać się swobodnym lotem sterowca. Ten w jej mniemaniu właśnie niósł ją razem z jej wierną załogą na spotkanie wielkiej przygody, choć wkrótce zaczął także znacząco przyspieszać.

– Co się dzieje...? – Kasztan poczuła na twarzy intensywniejszy pęd powietrza i zaskoczona podniosła powieki.

– Ano to się dzieje! – Trzymanym w ręku młotkiem Brunatna wskazała na hebanowe chmury, które od północy szybko zbliżały się do sterowca. – To burza! – zawyła z pretensją najstarsza dziewczyna, zupełnie jakby nadciągającą nawałnicę sprowadziła tu sama przywódczyni wyprawy. Ta popatrzyła z respektem na niemal już poczerniałe obłoki przeszywane raz po raz beżowymi błyskawicami i zaraz aż się wzdrygnęła wobec prawdziwej kanonady grzmotów.

– Skończyliście już naprawę sterów?! – Sama wrzasnęła wystraszona do kompanów i zaklinając rzeczywistość, energicznie dodała: – Potwierdźcie, że skończyliście!

– Chyba kpisz?! – Brunatna pokazała bezradnie młotkiem na dopiero co sklecony z desek szkielet koła sterowniczego i z nerwów zaniosła się ciężkim kaszlem.

Nastąpiła pełna konsternacji chwila milczenia. A do kompletu dołączyła do niej cisza przed burzą, za której sprawą sterowiec znacząco zwolnił. Aż niepewnie zachybotało nim w jedną, to drugą stronę, po czym raptownie uderzyła w niego potężna masa wściekłego powietrza do kompletu ze ścianą wody. W wyniku tego furiackiego ataku siłami samej natury statek powietrzny gwałtownie obróciło dziobem prosto ku południowej stronie i popędził on niczym wystrzelony pocisk.

– Trzymajcie się czegoś! Czegokolwiek! – wrzasnęła rozpaczliwie Kasztan. Sama mocno chwyciła się drewnianej konstrukcji kosza w jednym z jego rogów, a drugą ręką przyciągnęła do siebie także przestraszonego Umbre. Podobnie pozostali pasażerowie próbowali naprędce odnaleźć stabilność, obejmując siebie nawzajem oraz drewniane fragmenty konstrukcji sterowca.

Ten ostatni mknął nieustannie w przestworzach smagany zamazyście strugami deszczu, a wokół niego złowieszco strzelały zygzakowate błyskawice. Ponadto z powodu nagle powstałego mroku ziemia skryła się w cieniu i trudno było oszacować do niej odległość. Natomiast kłębiastych chmur zdawało się jeszcze przybywać i jak wzrokiem sięgnąć, wszędzie widniały wyłącznie one – złowrogie mroczne obłoki.

Tym samym do Kasztan z narastającym przerażeniem docierało, że nawałnica nie tyle przechodziła przez okolicę ze sterowcem, co porwała go w swe burzowe szpony i razem z nim zmierzała w te pędy na południe. Zatem uczestnikom tej już na samym początku morderczej wyprawy nie pozostało nic więcej, jak liczyć, że jakimś cudem ich powietrzny statek się zaraz nie rozleci pod wpływem huraganowych porywów wiatru bądź nie zostanie zestrzelony przez piorun. I tak mijał czas, burza nie ustawała, a kurczowo trzymająca się kosza i do cna przemoczona Kasztan, tuliła do siebie swego równie mocno nasiąkniętego deszczem i roztrzęsionego psiaka.

* * *

– Pobudka... – W pewnym momencie do uszu Rudej doszły znane jej słowa wypowiedane, a właściwie zwykle wykrzykiwane prawie co rano, przez jej matkę. – Pobudka!

– Daj mi jeszcze pospać, matucho... litości – jęknęła tylko kasztanowa dziewczyna i nie otwierając oczu, po omacku szukała dłońmi poduszki, aby nakryć nią głowę i nie wstawać jeszcze do szkoły. Jednak ku swemu dojmującemu zdziwieniu, natrafiła opuszkami palców jedynie na mokrą sierść, zdawało się, psa. – Umbra...? – pisnęła żałośnie i jak żywo przypomniał się jej sen, a właściwie koszmar, w którym potworna burza atakowała bezpardonowo sterowiec. Z ulgą westchnęła, że na szczęście były to tylko senne majaki. Leniwie podniosła powieki, a wtedy ku jej dojmującemu rozczarowaniu, stwierdziła, że to bynajmniej nie były żadne majaki. – Co, gdzie, jak?! – wrzasnęła jak oparzona Ruda i skoczyła na równe nogi. – Eee... – mruknęła nagle przygaszona i skonsternowana zarazem wobec zarysowującego się przed nią widoku. – Co się dzieje...? – zwróciła się niepewnie do Brunatnej opartej o przeciwległą stronę zawieszzonego w powietrzu kosza. Wszak wyraźnie naburmuszona starsza dziewczyna, która dopiero co nakazywała jej pobudkę, teraz zadarła tylko

podbródek i nie raczyła nic odpowiedzieć. Analogicznie para skulonych koło siebie mahoniowych bliźniaków nie wydawała się zbyt rozmowna, za to wielce zafrapowana. Wobec tego naraz również zmartwiona Kasztan rozejrzała się z uwagą po jawiącej się przed nią okolicy.

Otóż sterowiec niespiesznie sunął sobie jakby nigdy nic w bezkresnych przestworzach. Natomiast pod sobą miał jedynie niebieskawy piasek pozbawiony czegokolwiek innego. Podobnie prezentował się cały widnokrąg. Nic tylko otwarta przestrzeń i góry niebieskiego piachu, prawdziwej niezmierzonej pustyni. Zresztą czystym błękitem przesycone było też bezchmurne niebo, z którego dodatkowo lał się nieopisany żar.

Zrezygnowana Kasztan otarła kropelki potu z czoła, które pojawiły się tam zarówno z powodu doświadczanego gorąca, jak i od odczucia niepokoju. Następnie spośród zgromadzonych na wyprawę rupieci wyciągnęła spod pokładu lunetę i uzbroiła w nią swoje oko.

– Tam chyba coś jest... – zasugerowała po dłuższej chwili, pokazując północny kierunek ręką. – Coś jakby...

– Co tam widzisz? – zainteresowała się, ale z wyraźną rezerwą Brunatna.

– To... jakieś miasto, lazurowe budynki na tle chabrowych gór – mówiła, ważąc słowa Kasztan. Nieustannie kręciła przy oku lunetą i marszczyła się coraz bardziej na twarzy. Aż po krótkiej pauzie kontynuowała, ale takim głosem, zupełnie jakby była brązowym balonem, z którego ktoś spuszczał akurat powietrze: – To miasto nie jest raczej miastem, a kupą niebieskawych kości jakichś gigantów... Natomiast chabrowe wzniesienia, to żadne góry, a chyba granica ciemności z samym mrokiem...

Na te nad wyraz gorzkie wyznanie para mahoniowych bliźniaków zaczęła pochlipywać i chwycili się nawzajem w objęcia. Zaś na dobre zirytowana Brunatna, warknęła:

– Czy to sobie w ogóle zdajesz sprawę, w co ty nas wpakowałaś? Zawsze miałaś napady szalonych pomysłów, ale to, teraz?! – Rozpostarła dramatycznie ramiona i można było odnieść wrażenie, iż próbuje objąć nieprzebrane połączenie niebieskawego piachu. Jednak w efekcie jej ostrzejszego zachowania uległa Kasztan właśnie przeistoczyła się w zadziorną Rudą. Spojrzała z politowaniem na starszą dziewczynę, jak na zwykłą histeryczkę i z wyższością w głosie zawyrokowała:

– Baczność moi dzielni załoganci! Macie naprawić ster. Musimy odzyskać kontrolę nad statkiem. Ponadto określcie kierunek wiatru, abyśmy wiedzieli, w którą stronę nas znosi!

– Znowu kpiny, tylko na to cię stać? – syknęła w odpowiedzi zdenerwowana Brunatna i z wyrzutem szerzej nakreśliła niewesołą sytuację: – Wszystkie lotki mamy uszkodzone przez wiatr, a koło sterowe ponownie doszczętnie zniszczone, bo podczas burzy upadł na nie Mahoń i strzaskał to, co udało się nam naprawić po twoim wystrzale z armaty, twoim zaplanowanym wystrzale z armaty – podkreśliła. – Do tego podczas nawałnicy wyleciały z kosza wszystkie deski i nie mamy czym zrekonstruować steru. A jakby tego było ci mało, to woda zalała silnik i wysiadł, a cumy holownicze są ciągle bezużyteczne, bo nie ma ich za co zahaczyć na podłożu wyłącznie z samego piachu!

– Więc... – spuściła nieco z tonu Ruda. – Na początek na potrzeby odbudowy sterów trzeba będzie zdekonstruować fragmenty naszego kosza.

– Sama się możesz zdekonstruować! – zawyła tym razem wręcz płaczliwie Brunatna i ukucnęła, chowając twarz w dłoniach.

– Ciśnienie wysokie i stabilne, kierunek wiatru z zachodu na wschód – odezwał się naraz Mahoń, spoglądając na wyciągnięty spod pokładu wiatromierz połączony z barometrem oraz kompasem.

– No i masz ci los, czyli jak nic zmierzamy przez przekłętą południe do Wielkiej Puszczy – stwierdziła bardziej pojednawczo przywódczyni wyprawy już jako Kasztan. Ponieważ tak się akurat szczęśliwie złożyło, że od początku planowała taką właśnie trasę. Wszak pokonywaną w mniej dramatycznych okolicznościach.

– A jeśli zmieni się wiatr i... zapędzi nas dalej na południe albo, co gorsza, w mrok? – chlipała z kolei Brunatna. – Do tego lekarstwo mi się już prawie skończyło w dozowniku... – Popatrzyła bez wiary na ściskany w rękę inhalator.

– Wiatr się nie zmieni, a z czasem pewnie wlecimy z łagodniejsze masy powietrza, którymi lepiej się będzie oddychać – zasugerowała Kasztan, aby podnieść kompanów na duchu i w tym samym tonie dodała: – Damy sobie radę, przecież nie jesteśmy już dziećmi.

– My jesteśmy – odparła chórem para mahoniowych bliźniaków. Dziewczyna zerknęła na nich z krzywym uśmiechem, starając się ukryć

zakłopotanie i przeniosła spojrzenie na wyraźnie podłamana Brunatną. Ale kolejne słowa pociechy, których usilnie poszukiwała, jakoś nie przychodziły jej do głowy. Dlatego znowu spróbowała ogarnąć wzrokiem piaszczysty horyzont w nadziei dostrzeżenia czegoś istotnego.

Teraz kiedy ponownie bez reszty czuła się Kasztan, znacząco bardziej niż na brawurowych przygodach zależało jej na tym, aby ochronić uczestników podróży przed niebezpieczeństwami. W tej chwili była przecież za nich odpowiedzialna, ale też pamiętała, co przede wszystkim pchnęło ją do tej szalonej wyprawy i nic nie zmieniało to, że jako Rudą.

W końcu wyruszyła, aby odnaleźć lekarstwo dla ukochanego dziadka. Natomiast po szczęśliwym dotarciu do Wielkiej Puszczy jej kompani niewątpliwie spojrzą na całą sytuację łaskawszym okiem. Wtedy zaś, mając pod dostatkiem drewna, wykonają odpowiednie naprawy w sterowcu, do tego zgromadzą w jego ładowni mnóstwo egzotycznych owoców oraz unikatowych gatunków ziół czy krzewów. Tak oto powrócą do domu w pełni chwały i jeszcze wszyscy będą im zazdrościć. Ba, nawet napiszą o nich w gazetach! Zaś w Hebanowym Dzienniku dostaną pewnie pierwszą stronę i to ze wspólnym zdjęciem. A kto wie, może i cała ta eskapada zakończy się również prawdziwym pomnikiem ku czci młodocianych odkrywców?

Kasztan doszła do wniosku, że na tym właśnie należało się obecnie skoncentrować, na pozytywach płynących z potencjalnego sukcesu wyprawy. Także na tym, że nie potrwa ona zbyt długo i przy sprzyjających wiatrach oraz po naprawie sterowca powrócą do Kasztanowej Republiki w glorii zwycięzców. Wszak w ten sposób próbowała pocieszać i siebie, skrywając skrzętnie nagle dopadające ją wyrzuty sumienia z powodu nadmiernej brawury Rudej, czyli w sumie też jej samej, jak by na to nie patrzeć.

W zadumie zogniskowała spojrzenie na północnym odcinku horyzontu. Chociaż tak, jak początkowo wyglądała tam z nadzieją czegoś interesującego, tak teraz spoglądała z obawą. Uświadomiwszy sobie bowiem, że dryfowali tak blisko złowrogiego centrum, była wręcz skłonna wypluwać płuca, dmuchając w tamtą stronę, aby tylko oddalić się od najstraszniejszego na kontynencie Unton prastarego zła. Te skrywało się tuż za rysującą się na niebieskim piasku czarną granicą.

Naraz Kasztan przeszedł dodatkowy dreszcz niepokoju, kiedy Umbra

zjeżył grzbiet i w kierunku, gdzie spoglądała, posłał ostrzegawcze, ale też trwożne szczeknięcie.

X. SREBRNA

Rozlewające się srebro, płynne, jakby lepkie, ociekające, to wznoszące się, wirujące oraz rozchodzące niczym morskie fale, za to wszechogarniające ze wszystkich stron. Zaś w samym jego centrum kropla czerwieni, która pojawiała się, to znikiała w srebrzystej poświacie. Takimi wizjami raczona była nieprzytomna dziewczyna, aż pod wpływem wyraźnego bólu łydki podniosła ciężkie wręcz ołowiane powieki.

Rozmazany kształt przy dziewczęcej nodze nabierał coraz większej wyrazistości, by wreszcie ukazać swe złowrogie oblicze w postaci smoka skubiącego pokaleczoną biedaczkę. Ta gwałtownie odkopnęła od siebie gada i z ulgą zobaczyła, że uczyniła to skutecznie, ponieważ dlatego, iż jej oprawcą okazał się młody smok przypominający gabarytami raczej smoczka. Następnie dziewczyna usiadła i popatrzyła wokół.

Zauważyła, że przebywała gdzieś we wnętrzu potężnej pionowej skały, gdzie spoglądając w dół, w ogóle nie widziała ziemi, a jedynie kłębiaste chmury. Ponadto rozpadlina w ścianie stanowiła najwyraźniej zarazem leże smoków. Ponieważ niedoszła smocza ofiara miała tuż koło siebie w sumie trzy młodociane gady, gdzie jeden ciągle zainteresowany był jej nogą, a dwa pozostałe łypały na nią podejrzliwie oczyma. Ona zaś pospiesznie uzbroiła się w miecz i z niedowierzaniem odebrała w ciele znaczący przypływ sił. Już bynajmniej nie umierała od wewnętrznych krwotoków, ale czemu?

I naraz niczym grom ze srebrzystego nieba przyszło zrozumienie. Kiedy leżała nieprzytomna, musiała podświadomie wejść w stan nadzmysłu i w ten sposób znacząco przyspieszyła regenerację swego okaleczonego ciała. Co więcej, będąc nieświadomą, musiała osiągnąć co najmniej drugi poziom jedności i to na dość długo, bo odnosiła kojące wrażenie, że zasklepiły się dotkliwe obrażenia jej organów. Nie czuła też, aby któraś z kości ciągle tkwiła w niej złamana czy nie na swoim miejscu.

To krzepiło i naprawdę niezwykle dodawało otuchy. Szczególnie biorąc

pod uwagę fakt, że smocza matka najwyraźniej wzięła ją już za zwykłą padlinę i zniosła do swego leża, aby wykarmić potomstwo znalezionym mięsem. Wszak to mięso raptem ożyło i obecnie było naprawdę wkurzone. Przede wszystkim zaś zdeterminowane, aby jakimś cudem się wykaraskać z opałów.

Uzbrojona w miecz postać raz jeszcze powiodła wzrokiem w dół i w górę, a także na boki po skalnej ścianie. Niestety nie dość, że ta wydawała się idealnie płaska i praktycznie pozbawiona większej ilości szczelin, to jeszcze jej kąt nieco odchodził od idealnego pionu, zupełnie jakby monstrualna góra chyliła się ku upadkowi. Choć na szczęście przynajmniej nic nie zapowiadało tego, aby miała zaraz całkiem runąć. Lecz czy w obliczu konfrontacji z samymi smokami, mogło być to rzeczywiście wystarczającą pociechą?

Zadając sobie takie pytanie, dziewczyna dla odmiany przyjrzała się młodocianym gadom. Dwa z nich były wielkości żrebaków i nie zwracały już na nią większej uwagi pochłonięte pożeraniem śnieżnej pantery. Natomiast trzeci smok, także srebrzysty, podobnie jak jego rodzeństwo, rozmiarami budził większy respekt i wielkością przypominał prawdziwego rumaka. Z kolei jego szczęki były na tyle masywne, że z łatwością mogłyby pogruchotać dziewczęcą nogę, którą dopiero co smakował. Więc czemu tego nie zrobił, a zamiast tego jedynie ocucił leżącą biedaczkę, subtelnie łaskocząc ją zębiskami w łydkę?

Stanowiło to iście nieodgadnioną tajemnicę. Jednakże tę, zdając się na desperacką próbę, dziewczyna postanowiła rozwikłać. W końcu co jej w tej sytuacji pozostało? Dlatego w siadzie skrzyżnym zamknęła oczy i pogrążyła się w jedności nadzmysłu. Poczowała, jak jej ciało przeniknął lodowaty chłód, zupełnie jakby posiadana przez nią cielesna powłoka stała się nagle przepuszczalna dla falującego eteru. Lecz dzięki temu w swoisty sposób zjednoczyła się z otoczeniem, w tym doświadczyła głębszej istoty towarzyszących jej w gnieździe smoków.

Skupienie dziewczyny trwało naprawdę długo i za jego sprawą wpadała w rodzaj pewnego transu. Choć coraz bardziej koncentrowała uwagę jedynie na postaci największego z trójki młodych gadów. Przy czym efektem ubocznym jej oddania się przenikaniu natury zwierzęcia było to, że stawała się wobec niego całkowicie bezbronna i wrażliwa na każdy

najmniejszy nawet atak. Ale w doświadczanej jedności odczuła, że sama musiała się całkiem odsłonić, aby uzyskać zaufanie smoka i przejrzeć go na wskroś – zrozumieć jego intencje.

W pewnym momencie przestrzeń pomiędzy zwierzęciem, a siedzącą osobą wypełniła srebrzysta poświata i z tą chwilą przyszło do dziewczyny zrozumienie. Najpierw niewinne i niezwykle subtelne, jak powiew mroźnego wiatru o poranku, czy przebijający się przez warstwę śniegu wiotki pęd trawy. A zaraz srebrzysta aura zwiększała swą moc, rysując jednocześnie na dziewczęcej twarzy poszerzający się szczerzy uśmiech.

Aż raptem gniazdo przykrył sobą jakiś potężny kołujący cień, a przestrzeń rozdarł pełen niepokoju skrzek matki smoków. Jednak dziewczyna nie przerwała stanu kontemplacji, za to powoli zbliżyła się do smoczego dziecka i ostrożnie ujęła jego pokryty wyrostami łeb. A kiedy gad wydał z siebie przymilny pomruk, obejmująca go postać szepnęła czule do jego szpiczastego ucha:

– To ja, Srebrna. A ty jesteś... Aezonem. Rozpoznałam cię, a ty rozpoznałeś mnie. I znowu jesteśmy razem, więc lećmy, zabierz mnie stąd, zabierz mnie... – W ostatnim momencie młody smok załopotał skrzydłami i uleciał z gniazda, unosząc na swym grzbiecie dziewczynę, która tym samym uniknęła szponów szarżującej gadziej matki. – Leć Aezonie, leć! – krzyczała dziewczyna, pozostawiając za sobą zarówno stan jedności zmysłów, jak i gniazdo.

Jednak młody smok, którego dosiadła, zatoczył jedynie półkole, po czym zawisł w przestworzach i głośno syknął w kierunku matki. Ona, stojąc w gnieździe, odpowiedziała gardłowym krzykiem, rozpościerając szeroko paszczę i do kompletu monstrualne skrzydła. A zaraz znowu posykiwało ku niej jej własne dziecko.

Z kolei dziewczyna nie przysłuchiwała się tej smoczej mowie, tylko wtulona w podniebną bestię, gładziła ją po łuskowatej skórze i mimo wciąż grożącego jej niebezpieczeństwa coraz bardziej się roztkliwiała. Ponownie miała bowiem przy sobie Aezona, choć obecnie w innej formie niż jeszcze nie tak dawno, gdy wspólnie przechadzali się w Orlim Gnieździe przy blasku platynowego księżyca, wymieniając uszczypliwości to komplementy. Jednak to był on, absolutnie on i nie pozwoli jej skrzywdzić. Albowiem po śmierci w bitwie jego duch musiał się zjednoczyć z jednym ze smoczych

piskląt i nie rozpląnął w nicości. Taka całkowita integracja stanowiła podobno niezwykłą rzadkość, skąd inąd była ponoć możliwa. Zaś Srebrna właśnie była takiego cudu świadkiem.

I tak, nie kto inny, jak tylko Srebrna. Ponieważ w obliczu Aezona czuła się dokładnie nią. On zresztą nie zrozumiałby, że mogłoby być inaczej, bo wierzył w nią, jako siostrę krwi, jeszcze bardziej niż Marrengo. Zatem niech będzie nazywana Srebrną, prawdziwą czy też nie, i niech jej odrodzony przyjaciel zabierze ją stąd, aby wspólnie, zupełnie tak jak niegdyś marzyli, przemierzali razem wielki niezwykły świat.

Zaiste jej życzenie stało się faktem, bo młody smok nie uległ wyraźnym reprimendum matki, za to poddał woli Srebrnej oraz własnej. Załopotał w miejscu skrzydłami, jakby na pożegnanie, po czym wzbił się w niebiański bezkres.

Wkrótce pozostawił skalną ścianę i swoją dotychczasową rodzinę daleko za sobą. Lecz teraz miał przy sobie kogoś, kogo także znał i to równie mu bliskiego, a może nawet bliższego? Podobne było doświadczenie Srebrnej, którą opuściło poczucie osamotnienia i teraz upajała się podniebnym lotem oraz bliskością drogiego kompana.

Przy czym to wszystko wydawało się jej tak nierealne, wręcz nierzeczywiste – cudowne ocalenie wespół z jeszcze bardziej niezwykłym odnalezieniem druha pod obcą postacią. Czy po ogromie ostatnich rozczarowań i klęsk mogła być to prawda, czy może raczej tęsknie śniony sen? Z grzbietu smoka rozejrzała się w upojeniu po niebiańskim bezkresie i z niewysłowioną ulgą stwierdziła, iż nic nie wskazywało na to, by doświadczała imaginacji. W srebrzystych włosach tak wyraźnie czuła przeczesujący je, niczym subtelnym grzebieniem, zimny wiatr. Łuska gada pod jej palcami była twarda i chropowata, a zapach bestii ostry i świeży. Zresztą nawet na chwilę zapominając o tradycyjnych zmysłach i wchodząc w stan nadzmysłu, Srebrna upewniała się jednoznacznie w tym, że to rzeczywistości. Tak więc stało się, naprawdę, tym razem także do niej uśmiechnęło się wielkie szczęście i szczerze obdarował ją przewrotny los.

– Niżej, leć niżej. Pokaż nam wielki niezwykły świat! – krzyknęła z natchnieniem dziewczyna. Aezon spełnił jej prośbę, rozpościerając na dłużej skrzydła i szybowcowym lotem systematycznie obniżał swój pułap. Aż wleciał w warstwę kłębiastych, jakby puchowych chmur. Następnie

przebił się przez nie i wówczas Srebrnej ukazał się isticie oszalamiający widok: – To magiczna bariera księstwa Alabaster... – westchnęła z podziwem, widząc pomiędzy zaśnieżonymi szczytami rozległą wielobarwną strukturę przywodząca na myśl tęczę, jednakże wyłącznie z kolorów szarości i bieli. Za wschodnią częścią bariery ciągnęło się niebotyczne pasmo gór, najwyższych na kontynencie Unton i to właśnie w tamtejszych rejonach gniazdowały alabastrowe oraz srebrzyste smoki. Natomiast na zachód od granicy z księstwem dominowała nieprzenikniona czerń i mrok, gdzie w okowach wiecznej ciemności leżało centralne władztwo wrogich światłu istot.

Srebrna osobiście pokierowała smoka w zachodnią stronę, ale tak, aby nie wlatywał w ciemność, a poruszał się w jasności dnia nad pograniczem z północą. Dzięki temu w miarę obniżania lotu coraz wyraźniej prezentowały się jej malownicze doliny u podnóża gór pokryte poszarzałą trawą z lekka zabarwione bielą zaśnieżonych fragmentów terenu.

Lecz co raz odrywała spojrzenie od kojących pejzaży i kierowała je w mroczną otchłań. Ta budziła respekt i z jednej strony napawała obawą, ale z drugiej intensywnie przyzywała do siebie. W końcu odkąd tylko dziewczyna dowiedziała się o tym, że siostra krwi, Złota, zaginęła w mrocznych czeluściach, całą sobą zapragnęła ją odnaleźć i pomóc jej. Jeszcze do niedawna chciała to uczynić, jako jedna z legendarnych sióstr. Zaś teraz, co pchało ją obecnie na poszukiwania Złotej? Chyba poczucie, że tak czy inaczej, przewodnia misja Srebrnej wciąż pozostawała także i jej misją. Bo co innego miałyby ze swoim cudownie ocalonym istnieniem uczynić? Więc tak, niech tak się stanie. Poświęci swe życie na rzecz wsparcia legendarnych sióstr krwi i zgodnie z przepowiednią pomoże ziścić ich powinność przynajmniej jednej z nich.

– Leć w mrok, Aeozonie, podążaj w ciemność... – Poklepała przyjacielsko smoka po grzbiecie. – Leć w najmroczniejszą czerń. Uczyn to dla mnie, dla świata i dla... Złotej. Odnajdziemy ją, odnajdziemy Złotą, właśnie my dwoje – zachęcała.

W reakcji na jej słowa łuskowaty gad gwałtownie przyspieszył i skręcił. Lecz w tej samej chwili Srebrna poczuła za plecami subtelne zawirowanie powietrza. Popatrzyła za siebie po skosie i zobaczyła dwie przelatujące koło niej białe strzały.

Kompletnie zaskoczona rozejrzała się wokół i dostrzegła ścigającą ją parę gryfów dosiadanym przez dwie odziane na biało łuczniczki. Nie miała jednak czasu przyjrzeć się uważniej szybującym zwierzętom, ani też kobietom, czy dochodzić powodu ich niecznych intencji, ponieważ podniebne amazonki ponownie napinały ciężki łuk.

– Nurkuj, Aezonie, nurkuj! – Srebrna wydała błyskawiczną komendę, a smok zaczął posłusznie pikować ku ziemi. Dzięki temu zszedł z linii drugiej salwy posłanych w niego strzał. Z kolei wojowniczką za pomocą ruchów stopami i dłońmi tak pokierowała dosiadanym gadem, że znalazł się on dokładnie na tle złocistego słońca. Wtedy zacisnęła gniewnie zęby, sama wyjęła miecz i syknęła: – A teraz atakuj, Aezonie, atakuj! – W odpowiedzi smok ruszył do podniebnej szarzy. Zaś dzięki temu, że leciał na tle złocistych promieni słońca, te oślepiały parę amazoнок na gryfach i strzelały one po omacku. W rezultacie jedna ze strzał przeleciała tuż koło łuskowatego łba smoka, a druga ześliznęła się po skórzanym naramienniku Srebrnej. – Grrrh... – zawarczała, zupełnie niczym wilczyca, dziewczyna. Wpadła na swoim gadzie pomiędzy dwa monstrualne ptaszyska i od razu cięła mieczem w kierunku jednej z kobiet. Ta naprędce zasłoniła się łukiem, który został złamany pod wpływem silnego ciosu. Równocześnie Srebrna wykonała zamaszysty kopniak w drugą stronę, którym wytrąciła z równowagi kolejną przeciwniczkę. Natomiast jej smok rozpostarł łuskowate pełne ostrych wyrostków skrzydła i poharatał nimi boki gryfów. Ptaki wydarły ze swych dziobów przeraźliwe skrzeki i każdy poleciał w inną stronę. – Nawracaj w lewo! W lewo! – Nakierowała Aezona Srebrna i już gotowała się do ponownego ataku na aktualnie rozdzielonego wroga.

Zaraz była już na ogonie pierzchającego przed nią gryfa, a za plecami kobiety pozbawionej łuku. Raptem smok gwałtownie skręcił, kiedy wbił mu się w bok grot strzały. Dziewczyna popatrzyła z trwogą na ranę w gadzim ciele, ale była zdeterminowana, aby się nie poddawać i nie szukać ratunku w ucieczce. Dlatego, gdy tylko kierowany przez nią Aezon ponownie zbliżył się do uciekającego gryfa, dała w powietrzu potężnego susa i spadła wprost za plecy nieuzbrojonej kobiety, a na grzbiet jej pierzastego środka transportu. Ponownie rozległ się głośny skrzek, a do kompletu kobiecy krzyk i trójka splecionych ze sobą istot zakotłowała się w powietrzu.

Srebrna była skutecznie atakowana łokciami w twarz i klatkę piersiową.

Sama, ze schowany za pasem mieczem, próbowała dobyć sztylety, ale posyłane w nią razy rękoma skutecznie jej to uniemożliwiały. Aż zmieniła taktykę, pochwyliła przeciwniczkę w pół i z całych sił szarpnęła ją w bok. W efekcie amazonka została wyrzucona z siodła w wolną przestrzeń. Natomiast Srebrna miała okazję oglądać, jak rozkłada ona szeroko ramiona, spod których wysuwa sztuczne skrzydła i samodzielnie szybuje w przestworzach. Dziewczyna patrzyła na ten widok doprawdy wielce zaskoczona. Aż naraz gryf, na którym leciała, odwrócił się grzbietem do góry i dosiadająca go postać runęła w dół.

Spadającą z wielką prędkością Srebrną, musnęła w locie szarżująca na nią kobieta ze sztucznymi skrzydłami, które okazały się zwieńczone ostrymi elementami umożliwiającymi cięcia. Nie dosięgła jej skutecznie także wypuszczona strzała, która minęła ją dosłownie o włos. Aż raptem dziewczyna spadła na grzbiet smoka, który od razu wykonał lekkie nurkowanie, amortyzując upadek wojowniczkę z wysokości.

Zaraz potem gad zawisł nieruchomo w powietrzu i zwrócił się przodem do przeciwników, po czym szeroko rozwarł swą paszczę. Buchnął z niej niezwykle mroźny oddech i wrogowie zasypani zostali gęstą baterią lodowych sopli. Niespodziewany i skuteczny zarazem atak sprawił, że naraz oblodzone gryfy samowolnie ruszyły do odwrotu, a za nimi podążyła w nierównym locie kobieta z obecnie podziurawionymi lodem skrzydłami.

Srebrna wahała się przez moment, czy nie podążyć za uciekinierami. W końcu na dobre rozniecił się w niej bitewny ogień, a już niemal ogarniał wojenny szał. Jednak poskromiła swą nadpobudliwość oraz mordercze instynkty. Wspomniała własną szarżę na Krwawej Przełęczy i wszystkie tego zgubne, nie tylko dla niej samej, konsekwencje. Dlatego się zreflektowała i wytłumaczyła sobie nagły atak na nią tym, że dwie amazonki zapewne po prostu patrolowały pogranicze księstwa Alabaster i wzięły ją za bliżej niezidentyfikowanego intruza na smoku. A jeśli tak właśnie się sprawy miały, to całe szczęście, że w tym starciu ostatecznie nikt nie zdążył na dobre ucierpieć i nie było sensu szukać pomsty. Albowiem prawdziwy wróg, a nie wyimaginowany, czaił się przecież tam – popatrzyła na czarną granicę mroku. Wszak pomna doznanej przez smoka rany, postanowiła przed karkołomną misją w ciemności najpierw wylądować koło widocznego w dole perłowego w swej barwie strumienia w

poblizu licznych białych kamyków. Chciała bowiem należycie opatrzeć zranionego kompana.

Powziąwszy ostatecznie taką właśnie decyzję, na uspokojenie poklepała przyjaźnie po grzbiecie Aezona i nakierowała go odpowiednio na ziemię. Choć wraz ze zbliżaniem się do domniemanego strumienia niebawem się przekonała, iż była to najprawdziwsza rzeka i to całkiem sporych rozmiarów. Za to białe punkty brane uprzednio za kamienie z bliższej odległości zaprezentowały się jako całkiem okazałe stado owiec. A co równie w tym momencie istotne, owiec, których chyba nikt tutaj nie pilnował i mogły one stanowić wyborną przekąskę.

Wtem dziewczynie, z której już na dobre wywietrzały bitewne emocje, mocno zaburczało w brzuchu. A sama aż się zatrzęsała na grzbiecie smoka, kiedy także z jego trzewi dobieły się wygłodniałe pomruki. Zatem w kwestii rychłej kolacji wydawali się nad wyraz zgodni.

I tak o zmierzchu raczyli się już całkiem przyzwoitą pieczenią, gdzie Srebrna ze smakiem pałaszowała ociekającą tłuszczem jagnięcą gicz. Zaś jej opatrzony już smok połykał olbrzymie kawały rozplątanej mieczem rogacizny. Wkrótce po obfitym biesiadowaniu przyszedł czas na zasłużony sen i wojowniczką znalazła całkiem pewne oparcie na wypełnionym jagnięciną brzuchu Aezona. Zasypiała z kojącą myślą, że w tak bliskiej odległości od mroku nikt przecież nie hodowałby owiec, więc na pewno były bezpieczne. A nawet jeżeli do kogoś należały, to nikt ich się chyba nie doliczy. W końcu pałętało się ich w okolicy naprawdę dużo, do tego podobnych do siebie niczym bliźniacy Feldgrau oraz Feldgrau Drugi. Więc skoro tak, to rano zapewne nie odmówi sobie oraz smokowi jeszcze pożywnego śniadania. Choć nieco pożałowała, że nie mogła odpowiednio przyprawić jagnięciny ziołami, jak cierpkim aleosem, czy aromatycznym grafitowym makiem. Wszak jednocześnie się pocieszała, że przynajmniej zawsze nosiła przy sobie hubkę i krzesiwa, przez co nie musiała się raczyć mięsem surowym bądź za sprawą srebrzystego smoka, na ten przykład, mrożonym mięsiwem.

* * *

Wraz ze wschodzącym na niebie jasnym słońcem także i powieki Srebrnej powędrowały z czasem do góry. Choć srebrzyste oczy dziewczyny nie kwapiły się zanadto, aby przywitać jaśniejący dzień. Do tego stopnia

objadła się bowiem zeszłej nocy pieczenią, że odnosiła wrażenie, jakby ciągle miała nią wypełniony ciężki żołądek.

Wreszcie jednak usiadła, a zmobilizowała ją do tego wyjątkowo owego ranka swędząca na twarzy skóra, co często wróżyło nadciągające kłopoty. W nowej pozycji przetarła zaspane oczy i ordynarnie beknęła, prawie niczym legendarny ognisty smok, ponieważ uczyniła to z intensywnym odczuciem swego wyziewu przesyconego przypalonym mięsem. Jeżeli zaś chodziło o smoka... – rozejrzała się uważniej wokół, ale ku swemu narastającemu rozczarowaniu nie dostrzegła nigdzie Aezona. Za to, co innego przykuło jej baczność, aż zmarszczyła cienkie srebrzyste brwi, zmrużyła oczy, a jej dłonie odruchowo powędrowały na rękojeść miecza za pasem.

– Wilki... – wyszeptała sama do siebie coraz bardziej zaskoczona wobec widocznego braku puchatych owieczek, za to obserwując w ich miejsce jakby budzące się ze snu popielate drapieżniki. – Nie owce, wilki... – utwierdzała się w swej dziennej wizji i zaraz ze złością uderzyła się otwartą dłonią w skroń. – Ty głupia... – syknęła do siebie, spoglądając z ukosa na zarysowującą się nieopodal czarną linię mroku. Ponieważ jak grom z jasnego nieba dotarło do niej, że w tak bliskiej odległości od upiornej krainy jej ciemna energia silnie oddziaływała na otoczenie i oto Srebrna musiała dać się zwieść czarom iluzji i wzięła wczoraj wilki za owce. Albo też była właśnie świadkiem czaru transformacji, gdzie dobrotliwe puchate owieczki akurat przechodziły na ciemną stronę mocy. Może w akcie zemsty za bezceremonialne pożarcie jednej z nich?

Żeby czym prędzej zweryfikować owe domysły, dziewczyna zerknęła w miejsce wczorajszej biesiady. Zobaczyła stertę kości obciążonych popielatym futrem i wilczy łeb z wywieszonym jęzorem oraz matrwymi ślepiami. I naraz znowu się jej mocno odbiło, kiedy skonstatowała, że do nieprzytomności obżarła się uprzedniego dnia pieczenią z wilka.

Teraz jednak nie było czasu na grymaszenie. Powoli przyjęła pionową, aczkolwiek pochyloną postawę, tak, aby nie prowokować watahy i zaczęła się z wolna skradać w kierunku pobliskiej rzeki. Pomyślała, że najbezpieczniej będzie szukać ocalenia może nie w haniebnej ucieczce, ale za to taktycznym odwróceniu i jak na utalentowanego stratega przystało, przepłynie ciek wodny, pozostawiając wilcze zagrożenie za sobą.

Niestety jej kalkulacje szybko wzięły w łeb, kiedy najbardziej okazały z drapieżników, zapewne samiec alfa, wbił w nią grafitowe ślepią, obnażył gniewnie kły i złowrogo zawarczał. Wtedy, jak na komendę, wszystkie pozostałe zwierzęta, już nie w owczych, a na wskroś wilczych skórach, zaczęły osaczać cofającą się dziewczynę. Ta przełknęła ślinę i widząc, na co się zanosilo, powoli wyciągnęła miecz. Zrozumiała, że szykowała się bezpardonowa walka i nie będzie jej dane szczęśliwie dotrzeć do rzeki bez rozlewu krwi. Powiodła jeszcze tęsknym wzrokiem po lekko zachmurzonym niebie w nadziei dostrzeżenia gdzieś w bezkresnych przestworzach szybującego Aezona. Niestety cały niebiański widnokrąg pozbawiony był wszelkich żywych stworzeń, nawet ćwierkających ptaków, dlatego do Srebrnej ostatecznie dotarło, iż musiała liczyć w nadchodzącej konfrontacji jedynie na samą siebie.

Stojąc w bojowej postawie, zamknęła oczy i zintegrowała się w sobie, poszukując w swym wnętrzu nadzmysłu jedności. I zaraz odstąpił od niej szum wiatru, podobnie jak rozplął się swąd z dopalanego ogniska. W jej wizji pozostał jedynie rozmazany obraz, który przedstawiał zbliżającą się do niej ciemnoszarą falę. Była nią wilcza wataha, a pogrążona w skupieniu Srebrna potrafiła z pewnym wyprzedzeniem przewidywać jej ruchy jawiące się, jako jednej mrocznej istoty. Dlatego sama postąpiła nieco po skosie, aby zająć pozycję jak najbliżej głowy nadciągającego zagrożenia, czyli samca alfa. To jego bowiem należało w pierwszej kolejności rozplatać mieczem. Wtedy reszta stada powinna stracić na porywczosci, a przede wszystkim jednoznacznie ukierunkowaniu w ataku na dziewczynę.

Wtem, zgodnie z przewidywaniem, przywódca wilczego stada ruszył z impetem wprost na wojowniczkę, w jej wizji zamiatając przestrzeń po swych bokach jakby rozłożystymi skrzydłami stanowiącymi w istocie resztę watahy. W odpowiedzi Srebrna ugięła nisko nogi, wycofała nieco miecz, po czym zamasyście cięła nim w kierunku lecącego raptem ku niej w powietrzu wilka.

– Wrrrhah! – Trafiła zwierzę w grzbiet i skowycząc, samiec alfa potoczył się po podmokłym gruncie. O dziwo po zadanym ciosie jednak wstał i zataczając się, człapał w niskiej wodzie oraz szorował po płytkim dnie zwieszonym łbem. Zaś jego ciemne skrzydła w postaci wilczej sfory nie pochłonęły Srebrnej, tylko pozostały na dotychczasowej pozycji w

bezpośrednim otoczeniu dziewczyny. Ona, będąc w pełnej koncentracji, czyniła kolejne ostrożne kroki do tyłu. Równocześnie śledziła z uwagą przywódcę stada, jak ten coraz niepewniej brodził w wodzie, w doświadczanej przez wojowniczkę jedności, rozmazując się na tle rzeczno rozlewiska, co świadczyło o przedagonalnym ubytku sił drapieżnika.

Gdy nagle jeden z bardziej wyrosniętych wilków skoczył na konającego już samca alfa i pochwycił go brutalnie za gardło, po czym po jego krótkiej konwulsji zadusił. Następnie popatrzył wściekłymi ślepiami na dziewczynę, zupełnie jak na kolejną swoją ofiarę. Lecz najwyraźniej przejmując obecnie przewodnią rolę w stadzie, sam się na Srebrną nie rzucił, a jedynie gardłowo ku niej zawarczał, wskazując ją, jako cel dla reszty watahy.

I naraz dwa drapieżne skrzydła, niczym wzbierające ciemne fale, ponownie ruszyły ku wojownicze, podczas gdy nowa wilcza głowa w jej wizji pozostała nieco z tyłu. Zaś wobec takiej hydry, której najwidoczniej nie wystarczyło odciąć jednego łba, zaskoczona dziewczyna spanikowała i otworzyła szeroko srebrzyste oczy. W ten sposób wyszła ze stanu nadzmysłu i raptem wystraszona w te pędy pobiegła w kierunku płynącej wody. Wszak ujadające drapieżniki były już tuż za nią.

Z chwilą wpadnięcia po kolana w rzeczne rozlewisko, coraz bardziej niemile zaskoczona Srebrna, zdała sobie sprawę, że ciek wodny wylał niezwykle szeroko i bystry nurt, a zatem tęskne ocalenie, było o wiele dalej, niż przypuszczała. Odganiając się do tyłu mieczem, pomyślała, że zbyt daleko.

I wtedy, aby uniknąć zaraz wczepionych wilczych pazurów we własne plecy oraz zębów na karku, radykalnie zmieniła taktykę. Wykonała gwałtowny piruet, po czym stojąc po kolana w wodzie, z miejsca cięła zamasyście jednego z nadbiegających przeciwników.

– Wrrrahh! – wydarła z piersi bojowy okrzyk. Ponownie się zamachnęła i po skosie rozcięła drugą bestię. – Aaawrh! – Wymachiwała zręcznie orężem, kładąc futrzanych wrogów dotkliwie pokaleczonych do płytkiej wody. I obecnie już nie stała w miejscu, a parła naprzód, do tego w miarę pokonywania wilków jej srebrzyste oczy zaczynały coraz mocniej lśnić. – Wrrraaghh! – Zatopiła ostrze w karku jeszcze jednego drapieżnika i już zamierzała z góry na dół poprowadzić miecz ku zgubie kolejnego. Lecz

zwierz nagle stracił swój ujadający wściekle łeb, kiedy przegalopował koło niego jeździec i poprowadził ku niemu własne złociste ostrze.

Niespodziewany sojusznik na moment wyrwał Srebrną z morderczego amoku. Ale zaraz kurczowo zacisnęła dłonie na rękojeści swego oręża i kręcąc w powietrzu młynki, posyłała z impetem śmiercionośną klingę ku innym przeciwnikom. Tych padało w krwawym boju coraz więcej również za sprawą postępujących po sobie szarzy tajemniczego jeźdźca w złocistej zbroi. On jednakże, dla odmiany, podczas walki nie wydawał żadnych odgłosów i pokonywał wrogów z równą metodycznością, zupełnie jakby się z nimi honorowo pojedynkował.

Aż znaczący obszar rozlewiska pokryty został futrzanymi ciałami nasiąkniętymi wodą i do kompletu zroszonymi ciemno-szarą krwią drapieźników. Z kolei dobrze już przetrzebiona wataha wreszcie się wycofała i nic nie wskazywało na to, aby miała ochotę na drugą rundę z kretesem przegranej batalii.

Sama Srebrna szybko przestała odprowadzać srebrzącym się wzrokiem resztki pierzchających przeciwników. Za to stojąc obecnie po kostki w wodzie, wbiła miecz w błotnistą powierzchnię, zgięła się wpół i ciężko oparła na rękojeści, dochodząc do siebie po trudzie włożonym w walkę.

– Pani... – usłyszała niebawem koło siebie dźwięczny męski głos oraz chlupot kopyt zbliżającego się do niej rumaka. Spojrzała na konia i jeźdźca. Zobaczyła naprawdę majestatyczny widok wyjątkowego wierzchowca o złocącym się umaszczeniu. Zresztą niczego nie mogła też ująć dosiadającemu go młodzieńcowi. W złocistej i lekkiej zbroi prezentował się zupełnie niczym sam król zachodniej krainy. Jego długie lekko kręcone, a jakże, również złote pukle włosów, spadały mu swobodnie na ramiona. Do tego wyglądał wręcz nedorzecznie świetliście, jadąc akurat na tle wschodzącej tarczy słońca.

Wobec takiego obrazu Srebrna już tylko czekała, aby uśmiechnął się do niej promiennie, pokazując złote i połyskujące zęby. Wtedy, zauroczona, zapewne by omdlała z wrażenia. Wszak ów cudny panicz niewątpliwie nie pozwoliłby jej upaść w błoto, tylko w ostatniej chwili pochwycił ją w locie. A co potem, pocałował...? Oświadczył się? Uraczył połowę królestwa i uczynił srebrzystą księżniczką?!

– Phi... – Dziewczyna naraz głupkowato się uśmiechnęła do samej siebie

wobec swego fantazjowania, po czym z dezaprobatą pokręciła głową, by ostatecznie ją zwiesić. I zamiast podziękować za pomoc w walce, jedynie machnęła lekceważąco ręką na złotego młodzieńca. Następnie wcisnęła miecz za pas i ciężko unosząc zapadające się w błocie nogi, omijała wilcze truchła w drodze na suchy ląd.

– Pani! – Ponownie usłyszała za sobą gromkie wezwanie.

– Czego?! – odwrzasnęła ordynarnie.

– Poczekaj! – Ten głos zabrzmiał już tuż koło niej, ponieważ młodzieniec zdecydował się konno dotrzymać jej kroku. A zaraz z podziwem oznajmił: – Jesteś prawdziwą berserką północy, o pani. Doprawdy nie widziałem jeszcze, aby kobieta mogła tak walczyć!

– To mało widziałeś... – burknęła dziewczyna, wspominając srebrną olbrzymkę, która nie tak dawno rozprawiła się z nią, jak z dzieckiem. Lecz młodzieniec nie ustępował, mówiąc:

– Wiedz, że był to dla mnie prawdziwy zaszczyt, walczyć u twego boku z mrocznymi bestiami!

– To były zwykłe wilki – ucięła lekceważąco wojownicza.

– Może i zwykłe... – zadumał się na moment młodzian, ale zaraz z uprzednią werwą dodał: – Ty, pani, jesteś za to absolutnie niezwykła, kimkolwiek byś nie była!

– A kim ty jesteś? – Srebrna naraz się zatrzymała i wbiła podejrzliwy srebrzący się wzrok w złocistego rycerza.

– Jestem... – Ten popatrzył wokół, zupełnie jakby się wstydził swej prawdziwej tożsamości. Podrapał się po gładkim podbródku i rozkładając beztrudnie ręce, rezolutnie wypalił:

– Zwą mnie Złoty, pani... A jestem jedynym synem króla zachodniej krainy i... prawowitym dziedzicem zachodniego tronu. Zaś obecnie przemierzam północne ziemie w poszukiwaniu Srebrnej. Jednej z siedmiu legendarnych sióstr krwi.

– Aha... – jęknęła tylko dziewczyna, pozostając dłuższy czas z zadartą głową i szeroko rozwartą szczęką. Jednocześnie skojarzyła, że głos Złotego od początku wydawał się jej w jakiś sposób znajomy. Czyżby z karczmy Mysia Norka?

– Pani... – Książę spróbował delikatnie wyrwać dziewczynę ze swoistego transu.

- Agh... tak? – Srebrna do kompletu zrobiła okrągłe oczy.
- Pani usta...
- Co z nimi? – Wojowniczką czyniła coraz bardziej maślane oczęta.
- W kąciku twych ust łuszczy ci się skóra. A same wargi pozostają dłuższy czas rozchylone i cieknie ci z nich... ślina – zauważył możliwie taktownie nieco ściszone głosem młodzieniec.
- No jasne. – Wobec tej uwagi dziewczyna przywołała się do porządku. Domknęła szczękę, otarła rękawem twarz i tym razem popatrzyła na dziedzica tronu z krzywym uśmiechem, który odzwierciedlał jednak też nutę sympatii. Ale żeby utwierdzić się w tym, że takową rzeczywiście powinna czuć do tej arystokratycznej postaci, podejrzliwie zagaiła:
 - Jakiś czas temu... byłeś może, Wasza Wielkość...
 - Wysokość... – poprawił Złoty.
 - Ta... – Srebrna wywróciła gałki oczne do góry. – Zatem odwiedzałeś może karczmę o nazwie Mysia Norka?
 - Norka... Mysia... – zadumał się młodzian.
 - No tak... – potwierdziła Srebrna i podrzuciła kolejną wskazówkę, ale czyniąc to podchwytliwie: – We wspomnianej tawernie ktoś położył trupem parę oprychów, którzy katowali na podłodze... młodego chłopaka.
 - Aaaa... Mysia Norka, karczma i trupy! Teraz sobie przypominam. – Rozpromienił się raptem książę. – Tak, oczywiście, kojarzę to miejsce. Chociaż przyznam, że żadnego torturowanego chłopaka stamtąd nie pamiętam, a jedynie pobitą żalostną biedaczkę...
 - Żalostną biedaczkę... – Srebrna popatrzyła spode łba na młodzieńca i zdmuchnęła sobie kosmyk srebrzystych włosów sprzed ust.
 - No tak – zgodził się Złoty. – Widać we wspomnianej Norce co raz kogoś biją, doprawdy podłe miejsce. – Zacisnął dłonie w pięści, a rozluźniając palce, z pewną troską w głosie w zamyśleniu oznajmił: – Ciekawe czy wspomniana biedaczka się wykaraskała i jakoś sobie radzi...
 - Jakoś próbuje... – powiedziała sama do siebie Srebrna i wzruszyła ramionami. A zaraz dodała: – Natomiast jeśli poszukujesz, waszmość, legendarnej siostry krwi, Srebrnej...
 - Tak? – żywo zaciekawił się książę.
 - To... – Dziewczyna raptem ugryzła się w język, ponieważ osobiście już nie czuła się prawdziwą Srebrną. Za to ta ponoć prawdziwa i monstrialna

zarazem Srebrna, którą boleśnie poznała, nie wydawała się jej do końca osobą, do której należało kierować następcę tronu, biorąc na wzgląd jego bezpieczeństwo. W konsekwencji dopytała: – A po co właściwie poszukujesz tej... jak jej tam.

– Srebrnej – uzyskała odpowiedź.

– Srebrnej, właśnie – przytaknęła. – Więc...?

– Cóż... – Złoty nieco się zasepił i markotnie odparł: – Wspomnianej szlachetnej damy, niewątpliwie niezwykle urodziwej i dobrotliwej, poszukuję na wielką prośbę mej przybranej siostry, Złotej. Błagała mnie ona, abym odnalazł i sprowadził do niej tę legendarną osobę. Ja z kolei niczego mojej szlachetnej siostrze o złotym sercu nie mogę odmówić.

– Aha... – Dziewczyna pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Więc, gdzie powinienem jej szukać, Srebrnej? – Na twarzy młodzieńca zagościł promyk nieśmiałej nadziei. Lecz wobec słów, które zaraz padły, całkiem zgasł.

– Nie mam pojęcia – ucięła krótko Srebrna.

– No tak... – stwierdził niepokieszony młodzian. Popatrzył wokół, zupełnie jakby się zastanawiał, w którą teraz wyruszyć stronę i już nawracał rumaka, gdy dziewczyna złapała za uzdę i wyjątkowo jak na nią łagodnie zasugerowała:

– Skoro ta... Srebrna, gdzieś się zapodziała, to obecnie może lepiej skoncentrować się na poszukiwaniu samej Złotej, która też przecież zaginęła. Nie uważasz, Wasza Złocistość?

– Kiedy... miałem odszukać moją siostrę wspólnie ze Srebrną – wyraził wątpliwość.

– A jakbyś tak dla odmiany odszukał Srebrną razem ze Złotą, do tego ratując tej ostatniej zagrożone na ten czas życie? – ripostowała dziewczyna.

– Hm... to chyba ma sens – zauważył Złoty i z respektem popatrzył w kierunku czarnej granicy mroku. Natomiast przedstawicielka srebrzystej krwi poklepała swobodnie po karku jego rumaka i rezolutnie oświadczyła:

– Bez obawy, mój książę, też mam w centralnej krainie do załatwienia... pewną sprawę. Dlatego chętnie będę ci towarzyszyć w misji odnalezienia Złotej.

– Naprawdę?! – Następca tronu popatrzył na młodą wojowniczkę niemal z uczuciem.

– Ano tak – powiedziała i zadziornie dodała: – Ale w ciemność podążymy na moich warunków. Więc łaskawie pożegnaj się, Wasza Rycerskość, ze swym pozłacanym rumakiem.

– Zatem... mamy podążać w Centralną Czeluść na piechotę?! – nie dawał wiary książę.

– Ależ to się samemu następcy tronu tak nie godzi, maszerować i jeszcze zbrudzić ciemnym pyłem połyskujące obuwie... Dlatego skutecznie temu zaradzimy – zadrwiła z kąśliwym uśmiechem Srebrna, po czym włożyła palce do ust i donośnie zagwizdała. W efekcie nie minęło wiele czasu, a tuż koło niej wylądował Aezon, smok, którego szybującego na niebie dopiero co kątem oka zauważyła.

– Pani mi coraz bardziej imponuje, pani... Jakie jest właściwie two imię? – zapytał osłupiały nagłą obecnością oswojonej bestii Złoty, spinając przebijającego nerwowo kopytami rumaka.

– Jestem... – zamyśliła się dziewczyna i wymijająco odparła: – Po prostu jestem. Lecmy już. – Wskazała na smoka. – Złota na nas czeka, a my nie możemy jej zawieść bez względu na wszystko, także... imiona.

– Dobrze, niech i tak będzie, panno... Jestem. – Młodzieniec żwawo zeskoczył z konia.

I tak Srebrna ze Złotym wkrótce dosiedli srebrzystego smoka. Lecąc na jego grzbiecie na zachód, po dłuższym czasie przekroczyli granicę mroku, aby wyruszyć w głąb owianej złą sławą krainy pełnej zgnilizny, śmierci oraz bólu. Wszak ku odnalezieniu i ocaleniu jednej z najbardziej prawych dusz kontynentu – złotej księżniczki zachodniej krainy.

XI. ALABASTER I EKRU

– Spokojnie moi pierzaści przyjaciele, spokojnie... Nikogo z was już nie skrzywdzę, na blask słońca i księżycy solennie poprzysięgam. Za to ofiaruję wam najlepsze możliwe ziarno z zachodniej krainy. Patrzcie tylko, jest po prostu przepyszne pełne i złote. Złote... – Ostatni wyraz Alabaster powtórzyła nad wyraz cierpko w odniesieniu od uprzednich z uczuciem wypowiedzianych słów. Dłonie, z których do tej pory sypała ziarno, zamknęła w pięści i na dłużej zastygła w posągowej pozie. W tym czasie ptaki w ptaszarni jadły podarowany im pokarm, ale nie bez troski, a co raz przekrzywiając białe główki i podejrzliwie obserwując wielką księżną. Ta wsłuchiwała się w urywany ćwierkot, który można by brać za dźwięk pewnej rezerwy. Aż rozluźniła palce i wysypała resztę ziarna pod swoje stopy, po czym z zadrą w głosie oświadczyła: – Dla dobra wszelkiego istnienia musimy poświęcić siostrę krwi, Złotą, to konieczność. Dlatego wejdziemy w konszachty z mrokiem i samej trójcy ciemności ofiaruję czarną pieczęć. – Na to wyznanie w komnacie podniósł się naraz pełen sprzeciwu nieopisany ptasi harmider, a pierzaste stworzenia przestały jeść i latały, jakby w panice pod kopułą pomieszczenia. Można było odnieść wrażenie, że po wyznaniu Alabaster, spłoszone ptaki zapragnęły czym prędzej uciec z tego miejsca. Jednak wszystkie okna były szczelnie zasłonięte. Co więcej, władczyni skinęła głową ku zachowującym spokój większym białym ptakom, wśród których za pomocą czaru iluzji skrywała czarne skrzydlate węże. Te, pod postacią drapieżnych orłów oraz jastrzębi, wleciały w przestrzeń ptaszarni, po czym ze wszystkich stron osaczyły swych mniejszych ptasich odpowiedników. Następnie zagoniły fruującą cizbę w zachodnią część pomieszczenia. Wtedy ponownie zabrała głos Alabaster: – W zamian za czarną pieczęć mroczna trójca pomoże mi odnaleźć przysposobioną córkę króla, Złotą. Ponadto na moje żądanie siły ciemności zgładzą ją i nienaruszoną, ze złocistą krwią w żyłach, sprowadzą do mnie. Taki pragnę zawrzeć układ. Wy zaś, moi pierzaści przyjaciele,

będziecie w tej transakcji czynnie pośredniczyć. Albowiem pamiętajcie, że nie tylko daję wam schronienie i karmię was, ale tylko ja wiem, kim tak naprawdę jesteście i szczerze ofiarowuję pod moimi skrzydłami szansę dalszego istnienia. – Władczyni wymownie rozpostarła swe skrzydlate ramiona. – A teraz lećcie i nie lękajcie się, ponieważ obecnie nadszedł czas mroźnej zawieruchy i musimy się temu podporządkować. Wszak, kiedy wypełnimy naszą misję z sukcesem, wówczas przywitamy wspólnie nowy jaśniejący i spokojny świt. Lećcie już – zakończyła dumnie i mocą telekinezy otworzyła zachodnie okna. Osaczone białe ptaszki czym prędzej porwały się ku otwartej przestrzeni za kopułą i zaraz nie pozostało po nich śladu poza zawieszoną z delikatnych piórek opadających w swobodnym locie na posadzkę komnaty. Podobnie na białą podłogę spadały płatki śniegu tradycyjnie otaczające Alabaster. Chociaż te wydawały się obecnie jakby z lekka pociemniałe, ciężkie, bardziej niż zazwyczaj naznaczone wilgocią.

Po nakarmieniu mięsem drapieżnych ptaków-węży wielka księżna opuściła ptaszarnię i skierowała kroki do południowego skrzydła pałacu. Po drodze dyskretnie naniosła na usta dodatkową warstwę białej pomadki. Gdy naraz podbiegła do niej jedna z członkiń rady, Kremi. Skłoniła się, okazując należny szacunek i z nabożną czcią przemówiła:

– Wszystko jest już przygotowane do święta świetlistego zstąpienia. Czekamy już tylko na ciebie, Wasza Jasność, abyś poprowadziła uroczysty ceremoniał.

– Dokonane raz zstąpienie czczone jest każdego roku i najwyższy majestat na powrót sprowadza światło na ten skalany mrokiem świat. Jednakże czas kreśli sobą istotne zmiany, większe powinności piętrzą się nad pomniejszych. Więc niech obecnie mniejsza światłość przyjmie w gościnie świetlistości sprowadzenie. Tako powiadam ja i ceduję na ciebie ową schedę.

– Ale... – Członkini rady zastygła z niewyraźnym wyrazem twarzy, patrząc za odchodzącą władczynią. – Czy to oznacza, że święto zstąpienia mam poprowadzić właśnie... ja, ja osobiście? – Wobec braku reakcji Alabaster blisko dwudziestoletnia kobieta przeniosła wzrok na swe białe dłonie, zupełnie jakby nie dowierzała, że naprawdę nie kala ich czerń i była godna ofiarowanego jej niespodziewanie zaszczytu. Następnie już tylko do siebie w zadumie dodała: – Dobrze, niech tak się stanie... Wasza Światłość,

dziękuję za zaufanie, za... wyróżnienie.

Przemierzając na gryfie mroźną przestrzeń, Alabaster czyniła to obecnie jedynie w towarzystwie zaufanego Perlisa. Nie chciała bowiem, aby w bieżącej misji towarzyszył jej ktoś pośledni, kto mógł nie być wobec niej absolutnie lojalny. Natomiast wspomniany mężczyzna był dla niej na swój sposób wyjątkowy, dlatego właśnie jego pragnęła mieć teraz przy sobie. Zaś swego rodzaju wyjątkowość dowódcy książęcej gwardii brała się stąd, iż jego niezachwiana służba dla wielkiej księżnej miała swe źródło wyłącznie w nim samym, jego sercu i umyśle. Podczas gdy większość wpływów w pałacu Alabaster zdobyła za sprawą magii manipulacji oraz iluzji. W ten sposób podlegały jej również między innymi ptaki, których prawdziwa tożsamość nikomu poza władczynią nie była znana. Podobnie więzy magii, w ten czy inny sposób, pętały znaczną część członków rady i oni, niczym nieomal bezwolne istoty, zawsze bez szemrania sprzyjali wielkiej księżnej, spełniając wszystkie jej rozkazy. Lecz nie Perlis, on był przy niej po prostu z racji piastowanego przez nią najwyższego stanowiska w Wielkim Księstwie Wschodzącego Słońca i Księżycy. W konsekwencji władczyni nie musiała się obawiać tego, że jakiś rodzaj magicznej energii sprawi, że dowódca gwardii odwróci się od niej bądź zawaha przed wypełnieniem polecenia. Albowiem był on ponadto przedstawicielem starożytnego alabastrowego rodu Czystych Pereł i dzięki temu nie miały się go praktycznie magiczne zaklęcia. Zresztą Alabaster sama się o tym przekonała, kiedy bezskutecznie próbowała rzucić na niego urok. Czy zaś osobiście był on świadom swego niezwykłego dziedzictwa? Nie stanowiło to obecnie dla władczyni kluczowego zagadnienia. Najważniejsze było to, że posiadała w osobie Perlisa wielce uniwersalne narzędzie i zamierzała je ku swemu bezpieczeństwu skrzętnie wykorzystywać. Z kolei na ten czas zbliżała się do miejsca wręcz przepełnionego magią, przez co właśnie lojalnego przedstawiciela Czystych Pereł pragnęła mieć u swego boku.

– Dotarliśmy do celu, oto Fontanna Magii, Wasza Jasność – oznajmił z niezmienną sobie powagą dowódca gwardii. Uczynił to w momencie, kiedy jego gryf oraz ptak Alabaster zatrzymały się na skraju jedynej w swoim rodzaju kotliny w samym sercu Alabastrowych Gór.

Teren jawił się tu doprawdy, jako niezwykły. Otoczony szczytami w kształcie korony aż tętnił magiczną mocą, pulsował nią i sprawiał, że

wszystko wokół poddawało się nieustannie intensywnej przemianie. Dlatego biały zwykle śnieg nagle stawał się tu zielony, po czym mienił się wszystkimi siedmioma kolorami tęczy, aby zaraz cała ziemia zakwitła kobiercem wielobarwnych kwiatów. Te w mgnieniu oka więdły, usychały i rozwiewane na wietrze ukazywały przybyszom niebieskawą pustynię. Na niej zaś raptem pojawiały się mityczne stworzenia, jak czarne czy czerwone smoki. Te ziały ogniem lub mrocznym pyłem, by następnie załopotać skrzydłami i dosłownie rozplynać się w powietrzu pod postacią wielobarwnych motyli. Z kolei niedawny ogień i pył przeistaczały się w deszcz, który spadając na powierzchnię, przybierał wizerunek gotującej się do skoku srebrzystej pantery.

Ta gra kolorów, zmiennych kształtów i pojawiających się ulotnych istnień trwała tu od pradawnych czasów. I co znamienne, nie były to li, tylko ekscytujące wizje dla głodnych wrażeń oczu. W chwili swej manifestacji czerwony smok naprawdę mógł spalić przybyłego śmiałka ogniem, a pod stopami dało się w danym momencie poczuć miękką ziemię w miejsce lodowej okrywy, czy też zaciągnąć bukietem obłędnie pachnących kwiatów. W konsekwencji z jednej strony można się było wręcz rozkochać w tak niezwykłym miejscu, a z drugiej czyhały tu śmiertelne zagrożenia i pułapki.

W związku z powyższym Alabaster kroczyła w obstawie uzbrojonego w miecz czujnego Perlisa. Wspólnie ostrożnie mijali pojawiające się akurat na ziemi złociste łąki, z których raptem poderwało się niezwykle pstrokate ptactwo. Obdarowało ono przestrzeń głośnym skrzekiem oraz mozaiką niezwykłych barw, po czym przeistoczyło w strzelające na niebie kolorowe fajerwerki.

W takiej zmieniającej się nieustannie scenerii przybysze uważnie zmięrzali do jedyne miejsce w magicznej kotlinie, które nigdy nie ulegało transformacji. Była to tak zwana Fontanna Magii, która wybijała wprost ze Źródło Oczyszczenia, miejsca, gdzie wielka księżna postanowiła zażyć uzdrawiającej kąpieli, aby wreszcie zdjąć z siebie skalanie wywołane pocałunkiem tajemniczego demona.

Nad brzegiem źródła, mieniaącego się niezmiennie mleczną barwą, Alabaster przystanąła. Wysunęła stopy z białych trzewików i stanęła boso. Następnie tuż poniżej odsłoniętych ramion ujęła swą białą suknię i w

całości ją z siebie ściągnęła. Zaś odwrócona obecnie plecami do Perlisa, przytrzymała go za rękę, aby nie odwracał wzroku od jej alabastrowej nagości. Pragnęła bowiem, aby cały czas miał ją na oku i chronił. Albowiem nie mogła przewidzieć tego, co się za moment wydarzy. Ponadto coraz silniej odczuwała w sobie nieznaną jej do tej pory niemal uczucia, mianowicie narastającego lęku i niepokoju. Wszak nie zważając na rosnące obawy, się przemogła, uniosła nogę, po czym czubki płaców stóp zamoczyła w mlecznej cieczy Źródła Oczyszczenia.

Z tą chwilą przez jej postać przeszedł rozdzierający dreszcz, który niczym prowadzone wewnątrz ciała ostrze, wrzynał się od kostki przez łydkę, oplatał kolano, porywał się przez udo do krocza, a od miednicy wił się jadownicę brzuchem i klatką piersiową. Aż nagle swoista energia pioruna wręcz zraniła kobiece serce, jakby się w nim zagnieżdżając, a następnie wystrzeliła wprost do głowy nagiej kobiety. Ten ostatni wstrząs był tak silny, że odrzucił Alabaster do tyłu i padła ona na kolana oraz łokcie.

Wsparta na dłoniach, z wyrazem cierpienia wypisanego na twarzy, się zakrztusiła i doznała silnych spazmów. Kiedy te od niej odstąpiły, jej ciało się raptem naprężyło, wygięła plecy w koci grzbiet, po czym otworzyła szeroko usta, z których buchnął ogień. Ten za moment zgasł, a z gardła władczyni lunęła czerwono-czarna lepka breja. Substancja ta zmieszała się dokładnie ze śniegiem i razem z nim wsiąkła w ziemię, nie pozostawiając po sobie śladu.

– Wasza... Wasza Świetlistość – wydyszał lękliwie, kuczający przy wielkiej księżnej Perlis. Temu zwykle nieustraszonemu mężczyźnie drgał z przejęcia głos i ciągle powtarzał te same słowa: – Wysokość, Wasz Jasność, Wasza...

– Usta, jakiej barwy są moje usta? – zapytała w nietypowy dla siebie bezpośredni sposób władczyni i mocno potarła wargi, ścierając z nich pomadkę.

– Alabastrowe, są... nieskazitelnie alabastrowe – usłyszała odpowiedź, która przyniosła jej wręcz niewysłowioną ulgę. I oczyszczona już chciała się podźwignąć do pionu, ale coś jej to uniemożliwiło. Szarpnęła się raz i drugi, lecz nie zdołała oderwać rąk ani nóg od podłoża, pozostając w pozycji na czworakach.

Następnie z nagle pociemniałymi oczyma spojrzała z ukosa na Perlisa i aż się wzdrygnęła, zupełnie jakby zobaczyła w nim coś odrażającego. Wszak zaraz się okazało, iż przyczyną jej obrzydzenia nie była postać gwardzisty, a jej własna osoba. Oto otworzyła szerzej usta i językiem wypchnęła z nich kosmatego pająka o czerwono-czarnej barwie. Na jego widok Perlis odskoczył jak parzony. Natomiast władczyni śledziła wzrokiem pokrytego ognistymi włoskami pajęczaka, to, jak wędrował po jej twarzy, łaskocząc i ogrzewając ją licznymi odnóżami, aż powrócił pomiędzy wargi i na powrót zniknął w kobiecym gardle.

W tym momencie oczy wielkiej księżnej jeszcze bardziej pociemniały, a ziemia pod jej licem wydała z siebie czerwono-czarną breję. Ta przybrała obraz ognistej czaszki z gorejącymi ślepiami i nagle, jako maska, w jednej chwili znalazła się ona na twarzy władczyni. Alabaster chwyciła obcy twór z zamiarem jego ściągnięcia. Ale kleista maź najpierw na pewien czas się stopiła z alabastrową skórą kobiety, przenikając ją, a potem na powrót wchłonęła się do wnętrza jej ciała. W ten sposób jedyną po niej pozostałością były znowu skalane usta wielkiej księżnej, z których w całości odkruszyła się jasna pomadka.

Nastąpiła martwa cisza, w której Alabaster z trudem próbowała dojść do siebie. W końcu udanie uklękła, aby powstać. Wówczas jej oczom ukazała się zupełnie odmieniona magiczna okolica. Po wielobarwnych wykwitach różnorodnych kształtów nie było już nawet śladu, za to wszędzie dominowała czerwień oraz czern, a teren pokryty został kałużami lepkich substancji, w których zanurzone były ludzkie szkielety. I ta odrażająca sceneria bynajmniej nie transformowała, jak zwykle w tym miejscu, a zastygła i trwała tak w permanentnym stanie.

Wstrząśnięta takim widokiem wielka księżna zerknęła na Źródło Oczyszczeni. Nie mogła uwierzyć w to, co ukazane zostało jej oczom. Cała powierzchnia magicznej sadzawki, uznawana dotąd za niezmiennie mleczną w swej istocie, teraz mieniła się czerwonymi oraz czarnymi kręgami, które przenikały się nawzajem. Zaś wybijająca dotąd z centrum źródła siedmiobarwna Fontanna Magii zniknęła i dochodził stamtąd wyłącznie przyzywający usilnie szept.

Wobec tego wręcz raniącego uszy dźwięku Alabaster gwałtownie chwyciła się za głowę, aby nic nie słyszeć. Ponieważ był to ten sam rodzaj

jadowitego głosu, który sączył się już w jej uszy w lodowej grocie odkrytej przez zachodnich inżynierów. W tamtym miejscu została czymś ewidentnie skażona, jakimś prastarym złem. Tutaj natomiast – nie mogła w to uwierzyć – najwidoczniej sama sobą zainfekowała Źródło Oczyszczenia, skalala je i zagnieździła w nim demoniczną esencję. A skoro tak dramatycznie przedstawiał się stan rzeczy, to poczyniona na jej osobie skaza była drastyczna. Więc czy w ogóle można się było jej pozbyć i na powrót nieskazitelnie się wybielić do całkiem alabastrowej postaci?

Osoviała władczyni popatrzyła na swe dłonie. Pod jasną skórą zauważyła przemieszczające się ciemne plamy i towarzyszące im czerwone drobinki. Przeszedł ją dreszcz, ale o dziwo tym razem nie obrzydzenia. Oto niechęcią natchnęła ją myśl, że mogłaby w Źródle Oczyszczenia zmyć z siebie nabytą skazę. Zatem, czy traktowała już ją, jako integralną część własnego jestestwa i przed tym skalaniem naprawdę nie było odwrotu, ponieważ właśnie dosięgło jej najgłębszego poziomu, świetlistej duszy? Więc czy to zaprawdę możliwie? Czy stała się już z tym czymś jednością?

Kobieta wreszcie przyjęła pionową postawę i stojąc całkiem naga, popatrzyła lodowato na przerażonego Perlisa. Dłuższy czas mu się przyglądała, zupełnie jakby dostrzegła w nim coś nowego i oceniała go. Aczkolwiek tym razem nie jako sojusznika, a raczej wroga. Nie spuszczać z mężczyzny wzroku, przywdziała białą suknię i bez słowa ruszyła upiorną scenerią do pary niespokojnych obecnie gryfów.

Mijała poczerniałe szkielety z pokrywającymi je niczym plamami krwi czerwonymi wykwitami. Przy czym przemierzała tę swoistą kotlinę śmierci niewzruszona, jakby tradycyjnie kroczyła po białym śniegu czy równie białym korytarzem Alabastrowego Pałacu. Aż dotarła do pary ptaków po części przypominających skrzydlate lwy i tutaj się zatrzymała.

Czekała na podążającego tuż za nią w skupieniu i z mieczem w dłoni mężczyznę. Kiedy zaś ten się odwrócił, aby dosięść własnego gryfa, wyciągnęła spod swego siodła alabastrowy sztylet. Zamachnęła się nim i w nieosłoniętą zbroją okolicę krzyża, wbiła Perlisowi ostrze po samą rękojeść. Dowódca gwardii raptem zeszywniał na ciele, a władczyni poprawiła pchnięcie w to samo miejsce, poszerzając i pogłębiając zadaną ranę. Wtedy mężczyzna zdołał się odwrócić. Lecz zanim zdążył zareagować, Alabaster odruchowo złożyła mu na ustach silny pocałunek czerwono-czarnymi

wargami. To wystarczyło, aby dotąd lśniące oczy Perlisa w jednej chwili zrobiły się mętne i zasnuły mgłą. Siły opuszczały go błyskawicznie, a w miarę trwania pocałunku śmierci, jego ciało coraz bardziej czerniało, a z zadanej rany płynęła obficie o dziwo nie biała, a czerwona ciecz.

Aż raptem władczyni odepchnęła od siebie już stygnącego trupa. Upadł on pomiędzy szkielety i zaraz osnuła go mroczna poświata, a jego ciało zaczęło błyskawicznie gnić i ulegać rozkładowi. Za moment dowódca gwardii był już tylko pociemniałym szkieletem obleczonym pomarszczoną skórą i osłoniętym elementami zbroi oraz ubrania, które wszak także szybko pokrywała czerń.

Niebawem, po dokonanej z zimną krwią egzekucji, Alabaster samotnie wracała na gryfie do pałacu, wszak czyniąc to z krwią na rękach. Jednakże po tym, czego stał się świadkiem przedstawiciel rodu Czystej Perły, nie mogła sobie pozwolić na luksus zachowania go przy życiu i to niezależnie od jego dotychczasowej niezachwianej wobec niej służby. Bowiem choć do tej pory bezwzględnie mu ufała, to na ten czas nie była już w stanie zaufać nikomu, nawet samej sobie. Coś się z nią działo, zmieniało ją, zupełnie jakby się przepoczwarzała i jednym z największych priorytetów było zachowanie tego w ścisłej tajemnicy.

* * *

Dopadły ją silne mdłości i coraz bardziej ciążyło w żołądku, zupełnie jakby połknęła przed podniebną podróżą alabastrowy kamień. Doprawdy wiele by dała, aby to poczucie dyskomfortu, do którego dochodziły jeszcze dojmujące zawroty głowy, stanowiło pierwsze objawy tak pożądanej ciąży. Niestety w jej rodzinie powszechnie unikano latania na gryfach właśnie z powodu dziedzicznej nadwrażliwości na podniebny lot i jego zgubne dla ciała konsekwencje, jakich doświadczała akurat Ekru z alabastrowego rodu Ekros. Dlatego też członkini rady, zmierzając do Wielkiej Puszczy, nie zasiadała na grzbiecie pierzastego zwierzęcia sama. Najzwyczajniej w świecie nie potrafiła bowiem nawet kierować tym majestatycznym stworzeniem o korpusie lwa i z orlą głową oraz skrzydłami. W roli woźnicy i strażnika zarazem towarzyszył jej w podróży Perlis Młodszy – wschodzący w wiek dorosły syn dowódcy pałacowej gwardii. Ponadto w przeciwieństwie do swego dumnego, bez reszty oddanego księstwa rodziciela, nie był on milczkiem i jak umiał, umiał pasażerce gryfa czas

rozlicznymi wywodami na wszelakie tematy. W tych zaś, przynajmniej we własnym mniemaniu, mienił się on prawdziwym ekspertem:

– Doprawdy – oznajmił z zarysem młodzieńczej chrypki w głosie Perlis Młodszy. – Nad Wielkim Księstwem Wschodzącego Słońca i Księżycy, wysoko ponad chmurami, żyją świetlisto-białe skrzydlate istoty, które ongiś prowadziły tu wielką wojnę z morskimi stworzeniami. Wówczas nie istniał jeszcze stały ląd i walka toczyła się jedynie pomiędzy powietrzem, a wodą. A rozejm w tym wielkim starciu przyniosły dopiero Alabastrowe Góry, które wypiętrzyły się z oceanu, przeszywając również na wskroś niebiosy.

– I kładąc kres potędze zarówno morskich syren, jak i niebiańskich aniołów, bo takie miano nosiły owe skonfliktowane ze sobą istoty. Natomiast ich rozjemcami, poza wspomnianymi szczytami, okazały się także powołane do życia przez bogów lodowe olbrzymy – dopowiedziała posępnie powstrzymująca wymioty Ekru i zadarła głowę, przypominając sobie, by nie spoglądać z gryfa w dół.

– Syreny i... anioły. Ano racja, tak właśnie prawil ślepy starzec, którego ugościliśmy w Zamku Mroźnych Wichrów na północnej granicy, gdzie szkolilem się na gwardzistę. – Zgodził się już bez zarozumiałości w głosie chłopak, zaskoczony tym, że podróżował z tak dobrze obeznaną w legendy osobą. Dotąd bowiem spotykał się wobec powtarzanych przez siebie opowieści napotkanego starca jedynie z drwiną. Lecz przecież nie widział, że za pasażerkę na gryfie miał główną archiwistkę z Pałacu Alabaster. Ponieważ poza byciem członkinią rady Ekru pełniła jeszcze wspomniane stanowisko. W konsekwencji nie obce jej były najprzeróżniejsze podania i legendy z zamierzchłych czasów, w tym te o ścierających się ze sobą w dawnej erze aniołach z syrenami.

Czy sama wierzyła w owe opowieści? W jedno z nich bardziej inne mniej. Albowiem wrodzony sceptycyzm i podejrzliwość nakazywały jej każdą prawdę podawać początkowo w wątpliwość. I to głównie takie przymioty jej charakteru nakierowały ją nie tak dawno na trop niecnych poczynań samej wielkiej księżnej Alabaster. Przez co Ekru była obecnie zdeterminowana, aby szybko uwinąć się z rolą nadzorcy w Wielkiej Puszczy i czym prędzej powrócić do pałacu, by kontynuować rozpoczęte śledztwo.

Tymczasem Perlis Młodszy poprawił na sobie białą zbroję – symbol

osiągnięcia statusu gwardzisty, a jednocześnie dar od ojca na siedemnaste urodziny, które nie tak dawno ukończył. Następnie przyliżał zaczesane do tyłu długie również białe włosy i przesunął wyżej na czoło opadającą mu na oczy opaskę, przytrzymującą fryzurę w ładzie. Potem wbił jasny wzrok w odległy horyzont i zapowiedział:

– Powoli zbliżamy się do południowej granicy wielkiego księstwa, ale z powodu przeciwnego wiatru niestety nie zdążymy dolecieć przed zmierzchem do posterunków granicznych. Wobec tego proponuję zatrzymać się na nocleg tam. – Wskazał ręką kotlinę, która dopiero co wyłoniła się spomiędzy szczytów.

– A cóż to za miejsce? – wyraziła zainteresowanie kobieta, która na dobrą sprawę tylko marzyła o tym, aby znowu mieć pewny grunt pod stopami.

– To miejsce wspomniane przez ślepego starca zwane przecięciem niebios i wody, czyli Świątynia Niezgody!

– Niezgody... – mruknęła na tę niezbyt zachęcającą nazwę członkini rady, przypominając sobie zarazem, co takiego się za nią skrywało. Zaś było to ponoć miejsce, gdzie przez wieki spotykali się przedstawiciele morskiego i powietrznego świata, aby w nierozstrzygniętej wojnie zawrzeć rozejm. Wszak na takowy obie strony podobno ostatecznie nigdy nie wyraziły zgody. Ten miał nastąpić dopiero, jako kara sprowadzona przez samych bogów. – Lądujemy – rzuciła mechanicznie Ekru, odganiając myśli o przeszłości i mimo wszystko zdeterminowana, aby rozprostować nogi.

Wkrótce potężny gryf z rasy hodowanej specjalnie do przewozu na swym masywnym grzbiecie dwóch, a nawet trzech osób, wylądował na płaskiej tafli lodu w otoczeniu zaśnieżonych szczytów. Pierwszy zeskoczył na śliską nawierzchnię Perlis Młodszy i nieco się ślizgając, oznajmił:

– Sprawdź okolicę. Być może nie jesteśmy tu sami i spędzimy nawet wieczór w jakimś zacnym towarzystwie!

– Niewątpliwie... – burknęła bez przekonania Ekru, odprowadzając wzrokiem szybko oddalającego się młodzieńca i doprawdy zachodząc w głowę, kogo niby mogliby spotkać na tych zaśnieżonych pustkowiach. Tak czy inaczej, sama także się pofatygowała, aby zejść na stałą powierzchnię. Jednak gdy tylko to uczyniła, jej stopy natychmiast straciły kontakt z podłożem i w wyniku poślizgu runęła na twardego gruntu. – Świątynia

Niezgody i Obolałego Tyłka – wymamrotała do siebie w pozycji siedzącej. A ostrożnie wstając, z kwaśnym wyrazem twarzy pomasowała się po stłuczonych pośladkach.

Lecz jednocześnie popatrzyła w głąbię nieprzebranych pokładów przezroczystego lodu pod sobą. Zastany widok ją zaintrygował. Co znamienne, nie była to bowiem po prostu zamarznęta przestrzeń. Wewnątrz dało się zauważyć rozliczne kształty. W tym przede wszystkim wtopione pod różnym kątem w lód perłowe kolumnady ze zdobieniami we wzory wodnych roślin. Choć dało się też dostrzec srebrzyste rzeźby syren oraz alabastrowe aniołów. Majestatyczne posągi morskich oraz powietrznych istot były przemieszane ze sobą, a po ich bojowych pozach dało się odnieść wrażenie, że nagle zamarznienie przerwało ich wzajemną walkę.

Aż raptem Ekru zmarszczyła cienkie brwi i dłużej zogniskowała wzrok na jednej z anielskich rzeźb. Ponieważ ta niemal do złudzenia jej kogoś przypominała.

– Wielka księżna... Alabaster? – szepnęła wielce zaskoczona odkryciem, bo ów posąg, jak żywo, kojarzył się jej z zatopioną w lodzie siostrą bliźniaczką obecnej władczyni wschodniego księstwa. I te skrzydła, rzecz przeciw niespotykana u ludzi każdej rasy – podziwiała detale obserwowanej rzeźby.

Naraz Ekru wyprostowała się i coraz bardziej zaciekawiona, rozejrzała wokół. Albowiem przeszło jej przez myśl, że za sprawą Perlisa Młodszego odkryła właśnie zapomnianą pracownię rzeźbiarską jakichś entuzjastów pradawnych legend albo też autentycznie trafiła z w prehistoryczne miejsce. Czyżby pozostałości najprawdziwszej starożytnej świątyni?

Snując takie rozważania, kobieta prześlizgnęła się po sporym odcinku lodu aż do podstawy wystrzeliwujących w niebo gór. Tutaj wyciągnęła dłoń z białej rękawiczki i powiodła ręką po twardej powierzchni naprzeciw siebie. Uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy odgarnęła warstwę śniegu, pod którą odkryła rzeźbioną płetwę. A w miarę dalszego odsłaniania rzeźby ukazało się jej także łono i wydatne kobiece piersi. Lecz zaraz się okazało, że ta syrenia postać nie posiadała głowy.

Następnie Ekru przesunęła się na bok i tu też dokonała odkrycia z dziedziny architektury, odsłaniając również zdekapitowany, tym razem

anielski, posąg. Choć przyglądając mu się uważniej, członkini rady zobaczyła, że na linii karku widniała idealnie płaska powierzchnia. Sugerowało to, że zostało tu dokonane precyzyjne cięcie niezwykle ostrym narzędziem, a na pewno głowa nie odpadła z powodu upływu czasu czy choćby spadającej lawiny.

W toku dalszych prac odkrywkowych ze śniegu Ekru odsłoniła całkiem okazałe połączenie kolumn oraz rzeźb. Zaś te ostatnie solidarnie były niekompletne i o ile nawet posiadały głowy, to kosztem innych ubytków ciała, które na każdą istotę sprowadziłyby niechybnie śmierć.

Aż zmęczona już nieco podjętą pracą, kobieta przystanęła przed znacząco mniejszą skrzydlatą rzeźbą. Tego posągu zdecydowała się już nie odsłaniać ze śniegu, ponieważ solidnie zgrabiały jej z zimna dłonie. Dlatego ponownie założyła rękawiczki, odsapnęła głębiej i zwracając się jakby do samej rzeźby przed sobą, w zadumie przemówiła:

– Cóż to tak naprawdę za miejsce i jaki rzeczywisty związek może mieć z nim wielka księżna? I kim tak naprawdę ona jest, Alabaster, oraz co tak skrzętnie skrywa? Ja, Ekru, wciąż tego nie wiem. Ale, na moich świątłych przodków z Ekros, dojdę prawdy. A intuicja mi podpowiada, że ta bynajmniej nie będzie czysto-światlista. Zresztą nie tylko ja już przejrzałem na oczy, także Chamois widzi, że nasza władczyni nie jest jedną z nas po prostu przedstawicielką alabastrowego rodu. Co więcej, zsyła ona jakby zasłaniające prawdę bielmo na cudze oczy. Wszakże nie nasze, nie moje oraz mego ukochanego... – Po tym monologu kobieta usłyszała z dali niosący się echem przejęty krzyk Perlisa Młodszeo, który usilnie przyzywał ją do siebie, aby ją chronić. Gromko zawiadamiał on, że z okolicznych istot odkrył jedynie śnieżną panterę w leżu, na dodatek znajdującą się tam z młodymi. Wobec takiego, równie istotnego znaleziska, Ekru na moment zapomniała zarówno o Alabaster, jak i niezwykłym otoczeniu i ruszyła w kierunku młodego gwardzisty, by przezornie przyjąć schronienie u jego boku.

Kiedy zaś oddaliła się już znacząco od miejsca swego niedawnego monologu, pozostawiona tam, wydawało się, rzeźba, nieznacznie się poruszyła. Następnie cała śnieżna zawiesina została zrzucona, gdy dumna postać śnieżnego orła załopotana rozłożystymi skrzydłami. I nie minęła chwila, a ptak wzbił się w przestworza, po czym obrał tor lotu wprost do

Pałacu Alabaster, aby zasiadającej na perłowym tronie władczyni przekazać właśnie zdobyte nowiny.

XII. RUDA I KASZTAN

Umbra spał zwinięty w kłębek i tylko po nieznacznym ruchu jego futra w środkowej części grzbietu można było poznać, że ciągle żył, ponieważ oddychał. Dla odmiany Brunatna zwinęła się w kącie kosza tak, że od dłuższego czasu w ogóle nie dawała znaków życia. Lecz obserwująca ją Kasztan, nie śmiała tego sprawdzać, aby nie ryzykować obudzenia najstarszej dziewczyny i kolejnej z nią sprzeczki, już jako Ruda. Z kolei para mahoniowych bliźniaków nie spała, a oboje smętnie bawili się sprzętem wyciągniętym spod pokładu. Mahoń kręcił niespiesznie wiatraczkiem z ptasich piór będącym elementem urządzenia do badania szybkości i kierunku wiatru. Natomiast Mahoniowy spoglądał przez lunetę. Jednak wyraźnie zmarnowany z premedytacją czynił to przez niewłaściwą stronę, oddalając od siebie obraz, a do tego bezczelnie wpatrywał się w siedzącą naprzeciw Kasztan.

– Czy można umrzeć... z nudów? – zapytał ją w pewnym momencie zamierającym głosem.

– Jeszcze nie słyszałam o zgonie z powodu takiej przypadłości – odparła spokojnie kasztanowa dziewczyna.

– Więc pewnie będziemy pierwsi – zawyrokował Mahoń, który kręcił wiatraczkiem coraz wolniej, wolniej i wolniej...

– Przestańcie – powiedziała dość zdecydowanie Kasztan, aby bardziej energicznym słowem tchnąć w niemal martwą przestrzeń choć trochę życia. – Spójrzcie na obecny stan z innej lepszej strony.

– Jakiej...? – zainteresował się niby Mahoniowy i posępnie skierował oko lunety w pokładowe deski pomiędzy swoimi nogami.

– Na przykład... – zamyśliła się przywódczyni wyprawy i odkrywczo rzuciła: – Nie musicie dwa razy dziennie myć zębów! A także jadać warzyw!

Wobec takiej sugestii Mahoń chuchnął w dłoń i powąchał powietrze wydychane z ust, po czym krzywiąc się na twarzy, jęknął:

– Nie mamy szczoteczek do zębów, a przydałyby się...
– Oj przydały... – zawtórował mu jak echo jego brat i dekadenccko dodał:
– Pochrupałbym sobie marchewkę albo nawet brokuła...

– Spokojnie. W Wielkiej Puszczy zaopatrzymy się w szczoteczki z gałązek, wykałaczki, drewniane sztucce, a nawet zrobimy talerze z liści. Do tego będziemy mieć mnóstwo soczystych owoców pod ręką, a usługiwać nam będą wiewiórki! – Kasztan zakwitła przesadnie naiwnym uśmiechem, starając się ze wszystkich sił jakoś podtrzymać upadające morale załogi.

– A ja stawiam, że na miejscu, o ile jakimś cudem dolecimy do Wielkiej Puszczy, to pożą nas tam leśne potwory... – stwierdził zamierająco Mahoń i odłożył na podłogę mechanizm z wiatraczkiem. Przeciągle ziewnął, zarazając zasysaniem nadmiaru powietrza do płuc swego brata i obaj zmienili pozycję, siadając oparci o własne plecy.

– Cisza! – syknęła naraz Ruda zirytowana nieudolnym pocieszaniem przez Kasztan. – Macie wykazywać entuzjazm z powodu jałowej karmy i możliwości braku zachowywania higieny jamy ustnej oraz tęsknie wypatrywać na wschodnim horyzoncie zielonych drzew. To rozkaz albo zaraz poszczuję was psem! – zakończyła wręcz gniewnie. Lecz para mahoniowych bliźniaków jedynie obojętnie wruszyła ramionami, a Umbra mruknął z dezaprobatą, po czym zasłonił sobie łapami pysk. I tak w błękitnym skwarze południa ponad niebieską pustynią upływały kolejne smętnie ciągnące się dni.

* * *

Była uradowana, taka uradowana! Stojąc w koszu, wielce wzruszona Kasztan zamasyście machała rękoma. Tak, naprawdę! Oto niezmierną niebieską pustynię przecinały najprawdziwsze tory kolejowe. Mknął po nich z impetem szafirowy w swej barwie pociąg, wyrzucając, jakby w pośpiechu, kłęby granatowego dymu z komina lazurowej lokomotywy. Zaś skład pociągu zmierzał, nie inaczej, tylko do wyłaniającego się na horyzoncie atramentowego peronu. Czy to możliwe, że kolejne przystanki pędząca kolej będzie miała już w zachodniej republice? Może nawet w miasteczku Bezewo, na którego przedmieściach zamieszkiwali państwo de Bruton? Ale co tam, równie dobrze pociąg mógł jechać główną arterią kolejową przez centrum republikańskiej krainy z przystankami w takich metropoliach, jak Miedziowo czy Hebanowa Ochra aż do samej stolicy

Brunatown. Obecnie kasztanowej dziewczynie zawieszanej w dyndającym się koszu nie robiłoby to większej różnicy, byle tylko szczęśliwie zakończyć niefortunną przygodę. Gdy wtem gorące powietrze mocniej zadrgało, a nawet zafalowało, po czym cała wspaniała wizja pociągu, a także peronu, torów i nawet dymu, wszystko to w jednej chwili się rozplynęło, jako kolejna fatamorgana – zwykły miraż.

W efekcie ramiona przywódczyni wyprawy opadły ciężko niczym pletwy wyrzuconej na piaszczysty brzeg ryby. Do tego niemal śniętej ryby na bezkresnej niebieskiej pustyni, ponieważ dziewczyna była śpiąca i zmęczona, a przede wszystkim bardzo spragniona choć kropelki wody. Tej, jak na dobroduszną Kasztan przystało, odmawiała sobie od dwóch dni, aby skąpych racji pozostało dla innych. Lecz z powodu dojmującego pragnienia, coraz częściej odzywała się w niej Ruda, aby przejąć kontrolę i pospiesznie pochłonąć resztki płynu, nie oglądając się na pozostałych. Wszak zaraz się okazało, że było już na to za późno.

– Nie mamy już wody... – jęknął markotnie Mahoń i oddał blaszaną manierkę swemu identycznemu, jak on, bratu. Ten odwrócił ją do góry dnem, ustawił nad swymi spierzchniętymi ustami i czekał. Ale jego ciemne wargi nie mogły się doczekać nawet kropelki.

– Jak daleko może być stąd do Wielkiej Puszczy...? – zapytał bez wiary Mahoniowy, siedzący w niedbalej pozie przy zacienionej ścianie kosza razem z bratem. Dłuższy czas nikt nie odpowiadał, aż głos zabrała Kasztan:

– Dryfujemy od kilkunastu dni prawie prosto na wschód przy średnim wietrze. Przebyliśmy już naprawdę ogromną odległość. Niestety nikt nigdy nie sporządził map przemierzanych przez nas terenów, więc nie wiadomo ile jeszcze przed nami drogi.

– Chce mi się pić i wreszcie wyjść z tego koszyka. Mam tego wszystkiego dość... – marudził z kolei Mahoń i nawet się podźwignął, aby dać do zrozumienia, że zamierza desperacko wyskoczyć w kierunku ziemi. Jednak takie demonstrowanie aktów rozpaczony na nikim nie robiło już wrażenia. W konsekwencji nikt w ogóle nie raczył zareagować, a skwaszony bliźniak powrócił do miejsca koło brata. Następnie półzywym głosem odezwała się Brunatna:

– Logarytmem a c dodatniej liczby c przy dodatniej i różnej od jeden

podstawie a nazywamy wykładnik b potęgi, do którego należy podnieść a, aby otrzymać c... – Można było odnieść wrażenie, że leżąca na pokładzie dziewczyna majaczy w malignie. Ale zaraz zamilkła, usiadła i dla odmiany przemówiła z rosnącą irytacją: – Powinnam się teraz uczyć, być w szkole, właściwie to być w niej od wielu dni. Jak wrócę do domu, ojciec mnie zabije, a nawet gorzej, odda do szkoły z internatem. Zaraz, co ja mówię, przecież my nie wrócimy... My nigdy nie wrócimy. Nie wrócimy! – czyniła zawzięcie wyrzuty, ciskając z oczu gromy prosto w klęczącą koło niej Kasztan. Ta tylko jęknęła:

– Wszystko będzie dobrze, spokojnie... – A już jako Ruda, warknęła: – I masz się wziąć w garść, nie siać defetyzmu i się nie wygłupiać.

– Ja? Ja się wygłupiam?! – krzyknęła w odpowiedzi gniewie Brunatna. Natomiast para przygaszonych bliźniaków zatkała sobie uszy oraz zamknęła oczy, oczekując kolejnej zajadłej kłótni. Lecz ku ich postępującemu zdziwieniu, nastąpiła dłuższa cisza. Wobec niej zareagowali identycznie niczym jedna osoba i solidarnie wstali, zajmując pozycję tuż koło stojących już w koszu dziewczyn. Zaś widok, który teraz stał się także ich udziałem, pierwsza raczyła skomentować Ruda:

– Ha! Na południu zbierają się całkiem pokaźne i granatowe obłoczki. To oznacza, że niebawem zaczną konkretnie wiać, a może nawet spadnie nam trochę wody! Zatem szykować puste manierki oraz miski, a do tego przygotować się do intensywnego lotu, moja załogo!

– To nie są obłoczki... Na sinus cosinus, to żadne obłoczki – stwierdziła zgrzytliwie Brunatna i podniosła z podłogi lunetę. Spojrzała przez nią w dotychczasowym kierunku i raptem, jakby wystraszona, się cofnęła o krok. Przy wtórze nagłego ujadania Umbry, Ruda wyrwała najstarszej dziewczynie lunetę z rąk i sama z uwagą popatrzyła uzbrojonym okiem na ciemny zarys południowego nieba.

Przez szkła powiększające zobaczyła dość jasny turkusowy w swej barwie widnokrąg, jednak wyraźnie odznaczały się na nim ciemniejsze i modre plamy. Na pierwszy rzut oka można było wziąć je za chmury. Wszak po dokładniejszych oględzinach w powiększeniu, niby obłoki wyraźnie transformowały do kształtów upiornych twarzy.

– To eteryczni nomadzi! – krzyknęła na alarm Brunatna. Zaś Ruda, zachowując zimną krew, schowała lunetę za pas i ostro zarządziła:

– Gotować działo na lewą burtę. Będziemy walczyć!

– Halo, tu ziemia do pani de Burton! – wrzasnęła na to z nutą paniki w głosie najstarsza dziewczyna. – Mamy tu do czynienia z duchami. Niby jak mamy im się przeciwstawić za pomocą materialnych armatnich kul?!

– Hm... – spuściła raptem z tonu Ruda, ściągając kąciki ust w jedną stronę, a tym samym paskudnie wykrzywiając sobie twarz i samej upodabniając się niemal do wizerunku upiora. Następnie rzuciła wyzywająco do Brunatnej:

– Może więc wypadałoby podesłać kogoś naszym zjawom na pożarcie, co?

– Tylko do mnie podejdź... – syknęła ostrzegawczo najstarsza dziewczyna, zaciskając zęby i do kompletu dłonie w pięści. Odpowiedziało jej złowrogie ujadanie Umbry. Jemu z kolei zawtórowały paniczne okrzyki mahoniowych bliźniaków:

– Aaaa!

– Ratunku!

Oto widniejące do niedawna na odległym horyzoncie upiory w niemal chwilę zmniejszyły dystans i pod postacią fantomowych twarzy o barwie błękitu zawisły wszędzie wokół dryfującego sterowca. A zanim ktokolwiek z jego pasażerów zdążył zareagować, statek powietrzny został porwany jakąś bliżej nieokreśloną siłą i w otoczeniu pustynnych duchów ruszył z impetem prosto na południe.

W wyniku tego gwałtownego manewru wszyscy w koszu zostali dosłownie ścięci z nóg i padli na pokład. A próbując się z trudem podźwignąć, naraz ponownie się zachwiali, tym razem od ostrego hamowania środka transportu.

W efekcie Ruda nie zdołała się utrzymać w sterowcu i nagle wyrzuciło ją poza kosz. W ostatnim momencie chwyciła się palcami drewnianej ściany i tak zawisła. Jednocześnie dostrzegła, że zastopowanie okrętu dokonało się za sprawą wyjątkowo ciemnych wręcz atramentowych w swej barwie duchów o niezwykle złowieszczych wizerunkach. I te fantomowe twory dla odmiany zawzięcie ciągnęły sterowiec w kierunku mroku.

Zaczęło się swoiste przepychanie z północy na południe, gdzie statek powietrzny trzeszczał w szwach, a Ruda bezradnie dyndała zawieszona za krawędź kosza. Aż raptem tuż nad sobą zobaczyła śmiertelnie poważną Brunatną. Uśmiechnęła się krzywo do najstarszej dziewczyny, z którą

miała ostatnio na pieńku i spodziewała się teraz od niej kuksańca, który pośle ją daleko w dół. Zamiast tego przywódczyni wyprawy otrzymała pomocną dłoń, dzięki czemu wpełzła z powrotem do kosza, sadowiąc się w nim już jako spokorniała Kasztan. Wtedy niespodziewanie wszystko się uspokoilo, duchy zarówno te ciemniejsze, jak i jaśniejsze w jednej chwili pierzchły, a sterowiec znieruchomiał.

W obliczu takiego obrotu sprawy Kasztan popatrzyła w napięciu na Brunatną, a potem obie przeniosły wzrok na mahoniowych bliźniaków. Cała czwórka skinęła sobie twierdząco głowami i powoli solidarnie wychylili brązowe łepetyny nad powierzchnię kosza. Wówczas całkiem zamarli.

Oto prosto z pustynnego południa szarżował na nich w powietrzu szafirowy słoń wielkości kilku lokomotyw. Lecz co znamienne, w swej fantomowej postaci miał złamany kiel, nie posiadał jednego oka i w wielu miejscach odchodziły od niego płaty skóry, ukazując błękitne żywe mięso. Co więcej, dosiadał go upiorny jeździec w ultramarynowym kolorze zbliżonym do ciemnej barwy słonia. Twarz jeźdźca była dokładnie przesłonięta granatową chustą, a puste oczy emanowały niemal kobaltową ciemnością. Na wietrze łopotały jego luźne szaty, ale przede wszystkim dzierzył on potężną włócznię w kolorze indygo, którą zamierzał się wprost na kosz sterowca.

– Przepraszam... przepraszam za wszystko – pisnęła załamana widokiem rychłej katastrofy Kasztan. Wszak zaskoczona poczuła krzepiącą dłoń Brunatnej na swoim ramieniu. Spojrzała boleściwie na najstarszą dziewczynę, a ta ją mocno do siebie przytuliła, zupełnie jak na pożegnanie.

Jednakże w momencie, gdy fantomowy jeździec już wpadał w powietrzny statek, by stratować go i przeszyć kosz drzewcową bronią, coś w niego z impetem uderzyło. W wyniku tego starcia także sterowiec został pchnięty i ustawiony niemal w pionie. Zaś jego pasażerowie rozpaczliwie padli na siebie na jednej ze ścian przechylonego na bok kosza.

Kasztan z trudem przytrzymała przy sobie przyjaciół, bacząc, aby żaden z nich nie wypadł w otwartą przestrzeń. Równocześnie wytrzeszczonymi z wrażenia oczyma śledziła roznieconą wokół walkę. Prowadził ją znany jej już upiorny jeździec na trupim słoniu, potykając się teraz z jakąś również duchową, ale lazurową kobietą uzbrojoną w bitewne

sierpy i dosiadającą cyjanowego tygrysa. Ten ostatni skakał zwinnie koło słonia, to cylindra sterowca, a kobieca postać dosiadająca dzikiego kota umiejętnie parowała ciosy wrogiego włócznika.

Aż eteryczny wojownik, w pogoni za przeciwniczką, przebił grotem powłokę cylindra. Z pojemnika wypełnionego gazem dobył się głośny syk i w górnej części okrętu buchnął ogień. Z tą chwilą przestrzeń rozdarł kobiecy oraz męski wrzask dobywający się z fantomowych gardeł walczących istot. Następnie Kasztan zdążyła jeszcze zauważyć, jak lazurowa kobieta własnym ciałem gasi rozprzestrzeniający się ogień i ustawia sterowiec znów w poziomie, po czym nadaje mu niebotyczny pęd w kierunku północno-wschodnim.

Ponadto pasażerowie mknącego raptem jak strzała sterowca zostali otuleni magiczną osłoną, która sprawiła, że pomimo wielkiej prędkości nie powypadali z kosza. Za to ich uszkodzony pojazd szybował w powietrzu jeszcze dłuższy czas. Wraz z wytracaniem prędkości obniżał pułap lotu, a jego dziób przechylał się coraz bardziej ku dołowi. Aż wreszcie kosz, jak i brązowa powłoka cylindra, pozbawiona już gazu, wspólnie zaryły w piaszczystym podłożu.

Pierwszy wybiegł na otwarty teren Umbra. Zaraz za nim na twardej gruncie z dominującą czernią wysypały się mahoniowe bliźniaki. Brunatna wypełzła dla odmiany na soczyscie zieloną trawę. Natomiast Kasztan stanęła chwiejnie na niebieskim piasku i obracając się wokół własnej osi, wręcz oniemiała z wrażenia. Albowiem statek powietrzny pozostawił za sobą walczące duchy tak daleko, że nawet nie było ich teraz widać. Jednakże przede wszystkim wylądował dokładnie w miejscu, gdzie stykały się ze sobą południowa pustynia, mroczne centrum oraz najwyraźniej Wielka Puszcza na wchodzie.

Co więcej, spoglądając we wschodnią stronę, kasztanowa dziewczyna dostrzegła kryjącą się tam za drzewem jakąś, zdawało się, kobiecą postać. W leśnej gęstwinie wyróżniała jedynie jej wystającą zza pnia zielonkawą stopę, a także równie zieloną skórę dłoni i zarys szmaragdowej twarzy. Zaś głowę owej tajemniczej osoby zdobił wianek ze świeżych kwiatów.

Wkrótce Kasztan została otoczona przez swoją drużynę, Spizową Brać, której zaciekawieni członkowie też namierzili wzrokiem zielonkawą istotę. Ta nieśmiało wychylnęła za drzew i przykucnęła w niskiej trawie, niemal

zlewając się z nią swym kolorytem.

Pierwszy podbiegł do niej Umbra. Zatrzymał się w niewielkiej odległości i intensywnie węszył w kierunku kobiety ubranej jedynie w zwiewną liściastą spódniczkę i równie delikatną okrywę z listowia na piersiach. Aż raptem pies gwałtownie wysunął pysk w kierunku istoty. Z tą chwilą z ziemi wystrzeliły zielone pnącza i dokładnie oplotły ciekawskie zwierzę, unieruchamiając je.

– Umbra! – krzyknęła z przestraczem Kasztan i pobiegła do swego czworonożnego ulubieńca. Już zaraz była tuż przy nim i osłoniła go ramionami w obawie przed zagrożeniem. Jednak poza tym, że pies ciągle nie mógł się uwolnić, nic mu nie dolegało. Zaś obecnie to zielona kobieta przysunęła się zaciekawiona do brązowskórej dziewczyny.

– Uważaj – powiedział ostrzegawczo zza pleców Kasztan Mahoniowy. Lecz przywódczyni wyprawy jedynie ufnie ścisnęła swego psiaka i obserwowała przybliżającą się kobietę. Ta wyciągnęła ku dziewczynie zielonkawą ręką z palcami długimi i cienkimi niczym gałązki drzewa, po czym pogładziła ją po pliczku, gdzie miała niewielkie zadrapanie, ślad brązowej krwi. Istota z zaciekawieniem popatrzyła na krew i roztarła ją między swoimi opuszkami.

– Ona zaraz cię pożre – przemówił naraz iście grobowym tonem Mahoń.

– Albo cię zaczaruje w zieloną ropuchę... lub w rzezuchę – dodał swoje trzy grosze Mahoniowy.

Wszak zamiast ziszczenia tych złowrogich przepowiedni, zielona kobieta wykonała tylko subtelny ruch smukłą dłonią. W efekcie roślinne odrosty wiążące Umbre od niego odstąpiły i uwolniły psiaka. Do tego drugą ręką istota uczyniła zapraszający gest ku sobie, spoglądając zachęcająco pistacjowymi oczyma kolejno na wszystkich przybyszy, nie wyłączając Umbry.

Ten zresztą zareagował pierwszy. Machając przyjaźnie ogonem, okrążył zieloną kobietę, dokładnie ją obwąchał, po czym stanął u jej boku i warknął gniewnie w przeciwną stronę.

Wtedy gdzieś daleko na pustynnym horyzoncie dało się zauważyć w przestrzeni granatowe obłoki, o których już było wiadomo, iż wcale nie musiały się mienić niewinnymi chmurkami. Natomiast w głębi mroku rozbrzmiało podejrzanе dudnienie. Te okoliczności z przeciwległych stron

świata sprawiły, że zarówno mahoniowi bliźniacy, jak i Brunatna szybko skorzystali z zaproszenia istoty przypominającej wilę i wstąpili na zielony kobierzec. Aczkolwiek wówczas, prostując się do pionu, zareagowała Kasztan:

– Czekajcie – oznajmiła zdecydowanie. – Zanim stąd odejdziemy, musimy zabrać ze sobą najważniejsze przedmioty, do dzieła.

Jej kompani pokiwali ze zrozumieniem głowami i każdy z nich zaopatrzył się w skórzane plecaki oraz taczki wyciągnięte z ładowni. Do nich zapakowany został rozliczny sprzęt oraz narzędzia, a także resztki suchego prowiantu. Kasztan na własną taczkę wtaszczyła pewien opatulony brązową płachtą unikat, który pierwotnie wyciągnęła ukradkiem z sejfu dziadka. W jej mniemaniu było to bowiem coś tak cennego, że pozostawienie tego tutaj na pastwę losu po prostu nie wchodziło w grę.

Następnie piątka przybyszy z zachodniej republiki, pod przewodnictwem tajemniczej wilę, ruszyła dalej na zielony wschód. Niebawem trawa pod ich stopami stała się jeszcze bardziej zielona i gęstsza, podobnie drzewa rosły coraz częściej, czarując bujniejszym listowiem. Stąd zaś prowadził oczywisty wniosek, że młode osoby o brązowym kolorze skóry właśnie zapuszczały się w matnię dziewiczej Wielkiej Puszczy, co od początku było celem ich zmiennej kasztanowo-rudej przywódczyni.

XIII. CZARNA

Pokryte zrogowaciałą skórą bosc stopy Czarnej pokonywały równie czarny, co ona, zwirowaty dziedziniec Upiornej Twierdzy. Ten wił się niczym prawdziwy labirynt pomiędzy kostropatymi budowlami. Z ich chropowatych powierzchni sterczały kości i szpony, jako elementy zwartej konstrukcji ze szkieletów wymarłych już stworzeń zamierchłej ery. Jednakże zmrocznej dziewczynie nieobca była ta ponura przestrzeń, a sama zmierzała do aż za dobrze znanego sobie gmachu przesłuchań – tak zwanej Czarnej Prawdy.

Na miejscu przepuściła ją kolejna para berserków i otwarto przed nią następne żelazne wrota zawodzące żałośnie niczym jęki potępionych. Od tej pory szła ostro ciosanym korytarzem w kształcie prostokąta, jak w całej twierdzy pozbawionym jakiegokolwiek oświetlenia. Takowe było zbędne, ponieważ, aby w pewnym sensie widzieć, oczy zmroczny bytów praktyczne nie potrzebowały światła. Wystarczała im w tym względzie namiastka nadzmysłu – wewnętrznego widzenia – który naturalnie wkomponowany był w ich istotę.

Tak oto Czarna minęła sprawnie kilka zakrętów, aż weszła do owalnego pomieszczenia, po czym stanęła po przeciwległej stronie wejścia przy ścianie z przytwierdzonymi tam łańcuchami. Samodzielnie założyła na swoje kostki parę żelaznych okowów i zatrzasnęła na nich mechanizm. Podobnie potraktowała własne nadgarstki, czyli uczyniła wszystko, co powinna zgodnie z obowiązującą tu procedurą i czekała. Była bowiem w tej chwili w Upiornej Twierdzy kimś z zewnątrz, przybyszem. Dlatego, aby móc się dalej w miarę swobodnie poruszać w okolicy samej Martwicy, najpierw musiała przejść stosowne przesłuchanie.

Wkrótce do zmrocznej komnaty zawitała para istot. Byli to magowie ciemności z krwi alabaster o umiejętności spoglądania w obcy umysł. Ich sylwetki prezentowały się jako wysokie i smukłe wręcz asteniczne, a obwisła skóra niemal nagich ciał była niezwykle pomarszczona i zwisała im

na brzuchu, podbródka czy w zgięciach łokci. Dłonie magowie posiadali szeroki, palce pająkowate, a ich opuszki zwieńczone przyssawkami. I to właśnie ich masywne ręce przyłgnęły do skroni Czarnej, aby przeniknąć jej myśli i odczytać ostatnie doświadczenia.

Zmroczna dziewczyna mimo wszystko szarpnęła się na łańcuchach raz i drugi, czyniąc to odruchowo, gdy została zmuszona całkiem oddać nad sobą kontrolę. Lecz magowie pozostawali tradycyjnie niewzruszeni. O ile bowiem większość istot ciemności przejawiała gniewne emocje, to te parające się magią zwykle pozostawały bezemocjonalne, jakby pod tym względem puste. Taki też wyraz nosiły ich prostokątne twarze z jednym okiem pośrodku czoła i obniżonymi ku dołowi kącikami ust – były to oblicza demonstrujące wszech przenikającą nicość.

Naraz lico Czarnej wykrzywił bolesny grymas, ponieważ odczuła w czaszce specyficzne szczypanie i jakby zasysanie, co wiązało się z ingerencją w świat jej wspomnień. Znała ten proces. Ale tym razem zaistniało w nim coś jeszcze, do tego niespodziewanego. Oto badana dziewczyna ustawiła w swej głowie jakby lustro i sama przyjęła do umysłu przeszłe doświadczenia magów. Dominowały w nich obrazy przesłuchiwanym wcześniej istot i to zarówno tych zmrocznych, jak również pochwyconych żywcem świetlistych ludzi. Były to wizje połączone jednym wspólnym elementem, mianowicie cierpieniem. Świetliste oraz zmroczne istoty pokazywały swój los naznaczony niedolą, bólem i ustawicznym zmaganiem się ze śmiercią. W obrazach przejawiały się krew, okaleczania, czy rozbrzmiewały rozdzierające wrzaski bezdennej rozpacz.

W konsekwencji, kiedy magowie odstępili od Czarnej, poczuła się wyjątkowo oszołomiona. Do tego stopnia, że na moment pozbawiona sił zwiesiła się bezwładnie na łańcuchach. Z kolei przesłuchujące ją istoty stanęły przodem ku sobie, połączyły olbrzymie dłonie i spojrzały nawzajem we własne cyklopie oczy. W ten sposób magowie dokonywali transferu zebranych obrazów i odczytywali ich wspólne znaczenie. Ta procedura ostatecznie decydowała o tym, czy poddana badaniu jednostka zostanie uwolniona. Jednakże tym razem weryfikatorzy wspomnień po prostu odwrócili się zgodnie w kierunku wyjścia i opuścili pogrążone w ciemności pomieszczenie. W odpowiedzi Czarna ponownie szarpnęła się na łańcuchach, a na jej poczerwiałych wargach wystąpiła zmroczna piana. Ale jej

wściekłość i frustracja zdały się na nic, bo gniewne emocje nie mogły dać jej wyzwolenia z okowów.

Pozostawiona w osamotnieniu Czarna pograżyła się w świecie chaotycznych myśli. Zawsze bowiem starała się być wobec mroku lojalna i nawet nie rozważała alternatyw. Zresztą dawała swej służbie czerni należyte dowody, wykonując wszelkie misje z całkowitym zaangażowaniem i bezwzględnie zabijając istoty światła. Aż do ostatniego razu, gdy z ciągle niezrozumiałych dla niej powodów nie dokonała natychmiastowej egzekucji na złotowłosych kobietach, z których ta najjaśniejsza nazwała ją swoją siostrą.

Siostrą?! Co za wierutne bzdury, oczywiście, że nie mogły być siostrami! Jednak chwilowa bezsensowna słabość, jak się okazywało, mogła ściągnąć teraz na Czarną zgubę w miejsce spodziewanej nagrody. A więc ten jeden raz zapewne popełniła błąd, powinna była zabić, zabić, zabić! Ale nie zabiła, nie zamordowała i nie zbecześciła złocistych zwłok. Więc spotka ją za to zasłużona kara? Wszystko wskazywało na to, że właśnie tak. Zatem zginie za swoją naiwność, głupotę i bark złocistej krwi na rękach. Powiedziałyby, że widocznie tak miało być, ale pluła na przeznaczenie, pluła na przepowiednie, wizje, proroctwa, pluła na wszystko i wszystkich!

W reakcji na targające nią wściekle myśli jej umysł stał się niczym wzburzony ocean podczas sztormowej pogody i Czarna splunęła siarczyście poczerńiałą flegmą. Wszak uczyniła to wprost przed ciemną sylwetkę postaci, która akurat zawitała do komnaty. Na widok przybysza zmroczna dziewczyna zamarła i pozostała jej w gardle ślinę z trudem przełknęła. Oto stanął przed nią jednej z trzech czarnych lordów, zmrocznych triumwirów i to dokładnie ten, który ciągle nie zdecydował o jej losie. Eteryzna istota od stóp do głów zakuta była w czarną stal o chropowatej strukturze jedynie z poziomą szparą na oczy. Lecz co znamienne, każdy z lordów posiadał też rozłożyste i czarne skrzydła. Choć nie składały się one z piór, a kościanych sztyletów w wielkiej liczbie.

Czarna, wisząc na łańcuchach, łypnęła oczyma spode łba na przybliżającą się do niej posępną postać władcy i zastygła w oczekiwaniu. Ten przystanął naprzeciw jej osoby, a dziewczyna poczuła od niego ciężki trupi oddech, swoiste tchnienie śmierci. Następnie lord rozpostarł upiorne skrzydła i niezliczoną ilość kościanych sztyletów skierował ostrzami w

stronę więźniarki. Domyślała się, że zbliżał się jej nieuchronny kres, podniosła głowę i czarnymi ślepiami hardo spojrzała wprost w szparę na oczy lorda. Co tam dostrzegła? Nic, nie było tam zupełnie niczego, wyłącznie bezdenna zmroczna otchłań wydająca się mieć w sobie tylko absolutny bezmiar nieskończonej nocy.

Wtem do pomieszczenia zawitał ktoś jeszcze. Ostrożnie podszedł do władcy i przysłaniając dłonią usta, z których wystawały przesadnie długie kły, dłużej szeptał. Kiedy skończył, lord z wolna opuścił przygotowane do dokonania egzekucji uzbrojone skrzydła. Pozostał jeszcze przez chwilę w miejscu, po czym ciężko stawiając kroki, niespiesznie opuścił komnatę.

Zamiast niego stanął przed więźniarką przybysz – Antracyt – słynny na całą Upiorną Twierdzę starszy łowca, znany szczególnie z udanych wypraw do krainy ludzi północy i podziwiany także przez Czarną. Ponadto, podobnie jak ona, potrafił on używać ludzkiej mowy, co nie było domeną zbyt wielu istot ciemności. Teraz natomiast najwyraźniej przyniósł pomiędzy te upiorne mury wieści, które jakimś sposobem przynajmniej na pewien czas odroczyły egzekucję skutej dziewczyny.

– Posil się, zasłużyłaś – warknął do niej Antracyt i wyciągnął z kieszeni ciemnego płaszcza włochatego pająka o czarnej barwie. Odgryzł mu głowę z ośmioma oczyma i jeszcze ruszające się ciało z podrygującymi odnóżami wcisnął pomiędzy wargi więźniarki. Ona połknęła przekąskę, a pozostawione w jej ustach palce possała dłużej, aż zagryzła je ostrymi zębami. Wtedy łowca zabrał dłoń, przylgnął do dziewczyny i silnie ją pocałował, raniąc kłami. Następnie oblizwał ze smakiem ciemną dziewczęcą krew i odstąpił od Czarnej. Ta zaś się zorientowała, że w międzyczasie zdążył ją uwolnić z okowów. – Żywa Złota ze świeżą krwią w swoich żyłach jest obecnie więcej warta niż martwa oraz wypatroszona. Wykazałaś się sprytem i przewidywaniem – wychrypiał naraz łowca i z wyższością ciągnął dalej: – Niniejszym zostajesz podległą mi młodszą łowczynią. Od tego momentu samodzielnie będę wyznaczał ci misje, a ty będzie bez reszty mi służyć, służyć całą sobą i tylko mnie. – Szarpnął zmroczną dziewczynę za kępkę dłuższych włosów wyrastających ze sklepienia jej w większości łysej czaszki. – A teraz chodź, czas na nagrody – dodał warkliwie.

W odpowiedzi Czarna popatrzyła z zarysowującym się na jej twarzy kąśliwym uśmiechem na istne wcielenie zła przed sobą, budzącego grozę

Antracyta. Jako zmroczna istota wyhodowany został ze srebrzystej krwi, ale powiadano, że wielce znamienitego wojownika, samego przywódcy klanu Srebrzystej Stali. Podobnie jak Czarna posiadał rogi, tylko bardziej powykręcane, co odzwierciedlało jego pokrętną naturę. Z kolei sylwetkę miał muskularną, ale przede wszystkim typowo ludzką. Pod tym względem wyglądali z Czarną trochę jak istoty jednego gatunku i być może dlatego podświadomie lgnęli do siebie. Dlatego uwolniona dziewczyna raptem rzuciła się na Antracyta, ubodła jego rogi własnymi, obnażyła namiętnie nieco krótsze kły i sama pocałowała mocno demona.

– Wrrrr... – ten odepchnął ją gniewnie, ale widać było po nim, że zachowanie podwładnej sprawiło mu satysfakcję. – Idziemy – zawyrokował głosem nietolerującym sprzeciwu. Wyszedł z komnaty i ruszył zmrocznym korytarzem, a Czarna podążyła posłusznie w ślad za nim. Przy czym czyniła to nad wyraz lekkim jak na nią krokiem i prawie nieprzygarbiona. Rozpierała ją bowiem na ten czas prawdziwa duma. Oto zamiast spodziewanego już tylko unicestwienia, otrzymała wszystko, czego od tak dawna jawnie pożądała. A spoglądając w swe zmroczne wnętrze, przekornie zauważyła, że w jej przypadku apetyt rósł w miarę jedzenia. Albowiem na otrzymanym właśnie awansie wcale nie zamierzała poprzestać. Postrzegała go raczej jako trampolinę, która wyniesie ją jeszcze wyżej, o wiele wyżej, wręcz niemal na sam zmroczny szczyt.

Niebawem razem z Antracytem zasiadła w jednej z niższych łóż w koloseum Upiornej Twierdzy. W ten sposób celebrowała swe nowe prawo – możliwość podziwiania krwawego widowiska nie ściśniętej gdzieś pomiędzy ciemnym motłochem, a z podestu na wzór kamiennej ławki z kościanymi poręczami i kościstym oparciem. Ponadto nie zasiadała tylko w podartej spódnicy, ale też podarowanej jej dopiero co zwiewnej pelerynie zmrocznej łowczyni. Było to ubiór szyty na kształt długiej sukni, jednak niezwykle cienkiej i zwiewnej z niemal przezroczystej tkaniny pochodzącej od unikatowego gatunku pajaków – jedwabników cienia. Tkany przez nich materiał między drobnymi oczkami peleryny zatrzymywał światło, aby nie docierało bezpośrednio do czarnej skóry i nie spalało jej. Zaś dzięki takiej osłonie możliwe były naprawdę dalekie eskapady do świetlistych krain ludzi, by realizować tam szpiegowskie lub też skrytobójcze misje. I już wkrótce Czarna miała wyruszyć na pierwszą z nich, tę, którą dosłownie

przed chwilą dostała od Antracyta. Lecz najpierw, wielce odprężona, po prostu napawała swe zmroczne zmysły obserwowaniem krwawych scen rozgrywających się na trupiej arenie.

Walki toczone były obecnie z udziałem wziętych do niewoli w ostatniej bitwie złocistych wojowników. Ci paradowali dumnie w połyskujących zbrojach, które emanowały lekkim światłem nawet w absolutnej ciemności posępnej areny. Natomiast ich przeciwnikami byli głównie tutejsi berserkowie. Wszak wyraźnie ustępujący im posturą, do tego osłabieni z powodu głodu, ciemności i ran złoci rycerz padali szybko jeden po drugim. Umierali ćwiartowani na kawałki ku wielkiej uciechu widowni. Jednakże do czasu, aż jeden ze świetlistych wojowników wzbudził w czarnej publice zawiść i gniew oraz wyzwolił zajadłe pokrzykiwania.

Był to rycerz podający się za królewskiego brata, sam marszałek koronny, który akurat pokonał mieczem drugiego ze zwalistych berserków. Teraz zaś, odważnie wskazując ostrzem ku zasiadającym na widowni zmrocznym istotom, wyzywał do walki najwaleczniejszą z nich, aby ją zabić i tym samym zademonstrować przewagę światła nad ciemnością.

Dodatkowego zaproszenia Czarna nie potrzebowała. Obecnie bowiem, jako młoda łowczyni, była niczym natchniona i jej czarnego serca nie miał się strach, nie kalala trwoga, za to wierzyła w siebie, jak nigdy. W siebie i mrok, który prowadził ją oraz chronił. Tak, tego martwiczego wyrzutu mogła pokonać wszystko i wszystkich, nawet marszałka, była o tym bez reszty przekonana. Dlatego, by osobiście bronić honoru ciemności, wykonała wprost z ławki wielokrotne salto, opadając w przykłęku na chropowaty żwir tuż przed świetlistego rycerza. Ten skierował ku niej czubek połyskującego miecza i czekał w gotowości. Choć nie musiał czynić tego zbyt długo.

Przy gardłowej wrzawie publiki, zagrzewającej ją do walki, Czarna wyciągnęła zza pasa na biodrach dwa sztylety. Następnie gwałtownie przeturlała się pod mieczem opancerzonego przeciwnika do jego nóg. Zanim wojownik zdążył zareagować, wcisnęła mu ostrze pomiędzy warstwy zbroi przy kolanie, zadając w kończyńę dotkliwą ranę. W efekcie sprowadziła mężczyznę do klęczek, a sama wyslizgnęła się spod jego nóg i powstała za nim, by zamasyścić rozciąć mu gardło.

Jednak nie zdążyła przeciągnąć ostrza po złotej szyi, bo otrzymała

odbierające oddech uderzenie opancerzonym łokciem w brzuch. Zatoczyła się chwiejnie do tyłu, a w tym czasie, zwrócony do niej plecami rycerz, zamasyżuje ciąż za siebie mieczem na linii pasa. Zmroczna dziewczyna rozpaczliwie się uchyliła, jednocześnie parując cios sztyletami. Te, pod wpływem uderzenia, zostały jej wytracone z dłoni, ale dzięki spowolnieniu ataku zdołała wykonać skuteczny unik. I zgięta w pasie, z twarzą niemal przy ziemi, rzuciła się na rycerza, po czym pochwyciła go wpół, obalając na żwir. Przetoczyli się razem po chropowatym gruncie, a każde próbowało się wspiąć na drugiego. Aż marszałek, który po drodze upuścił miecz, zadał silny cios opancerzoną rękawicą w skroń demonicy. Potem poprawił w ten sam sposób prosto w czarną twarz, ale z jeszcze większą mocą.

Zamroczonej dziewczynie chlusnęła z rozciętych warg ciemna krew, podobnie rozkwaszony został jej nos. Ponadto kompletnie oszołomiona odtoczyła się do tyłu i usiadła przygarbiona w niedbałej pozie. Cały świat, w tym arena, ławy koloseum oraz istoty na nich, wszystko to wirowało jej z zawrotną prędkością przed zmrocznymi oczyma. Aż kiedy niestabilny obraz zaczął nabierać wyraźniejszych kształtów, zobaczyła tuż przed sobą świetlistego rycerza, który stał tuż przed nią i wyprowadzał na linii jej gardła cios mieczem.

W ostatniej chwili padła plackiem na ziemię i poprowadzone nad nią ostrze ścięło tylko kępkę jej włosów. Następnie ciągle rozbieganymi oczyma rozejrzała się w pośpiechu za swymi sztyletami. Lecz zanim zdołała namierzyć je wzrokiem, z góry na dół pomknął na nią kolejny morderczy atak. Tym razem nie miała już jak zareagować i z gniewnym wyrazem twarzy, obnażając wściekle zęby, była przekonana, że właśnie przyjmuje ją w swe objęcia unicestwienie. Co zaś jeszcze podsycalo w niej wściekłość – oto nadchodził zupełnie bezsensowny koniec na jej własne życzenie. I w tym apogeum frustracji oraz agresji skierowanej także do własnej osoby, coś jakby chciało z niej wyjść, wyrwać się z jej istnienia, stanąć z boku i przeciwdziałać definitywnemu zakończeniu walki w tak żałosny sposób.

Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Zamiast tego spadające wprost na demonicę świetliste ostrze zostało sparowane zmroczną klingą. Czarna błyskawicznie popatrzyła na swego wybawcę. Był nim Antracyt, który w odpowiedzi na jej spojrzenie, tylko potężnie kopnął ją w twarz. W wyniku tego obezwładniającego, jak i upokarzającego ciosu dziewczyna padła na

zwir i niczym szmaciana lalka zastygła w powykręcanej pozie, nasączając arenę własną krwią ze zmasakrowanego już lica. Nie miała siły ani ochoty wstawać. Dlatego jedynie przysłuchiwała się toczonej krwawej potyczce, gdzie szcęk krzyżowanego oręża mieszał się z gardłowymi okrzykami Antracyta.

Aż w pewnym momencie zmroczne koloseum pochłonęła wręcz upiorna wrzawa, a mgliste światło, które dochodził do Czarnej od strony walczącego marszałka, nagle całkiem zgasło. Niemal jednocześnie coś uderzyło ją w obok. Przechyliła z boleścią głowę, uniosła opuchniętą powiekę i dostrzegła połowę przeciętej czaszki świetlistego mężczyzny, z której wylewał się jasny mózg. A zaraz usłyszała zbliżające się do niej ciężko stawiane kroki, potem dźwięk marszczącego się skórzanego ubrania, kucającego przy niej Antracyta. Na koniec zaś doszły do niej jadownicie wyszczone słowa:

– Zbłądziłaś się, czarna ropucho i nie chcę, aby ktokolwiek łączył cię z moją osobą. Dlatego na stałe wracasz patrolować pogranicze z północą i uczynisz to, jako szeregową służką mroku. Ale wcześniej udasz się do upiornej kuźni, aby spiłowano ci rogi. W ten sposób droga awansów zostanie przed tobą trwale zamknięta. Pelerynę zmrocznej łowczynie masz powiesić na drzwiach mojej kwatery, bo nie masz już do niej wstępu. Od tej pory nie znamy się.

Zapadła koszmarna dla Czarnej cisza, podczas której Antracyt splunął ciemną śliną w opuchniętą twarz dziewczyny i przy gardłowych wiwatach tłumu triumfalnie odszedł. Tak oto Czarna została na żwirze areny pokaleczona, upokorzona i pozbawiona nadziei, a przede wszystkim sama. Obecnie bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem.

XIV. SREBRNA

Parę jeźdźców na smoku spowiła mroczna czerń, a dodatkowo otulił chłód z powodu niemal całkiem odciętych promieni słońca. Tak złowroga aura miała swe źródło w samym centrum kontynentu Unton skąd emanowało najczarniejsze zło. W efekcie wypromieniowywało ono między innymi zawiesiste chmury mrocznego pyłu, który krążył w powietrzu, jak również osadzał się na powierzchni w postaci pudru oraz lepkiej i ciągnącej substancji. Owe naznaczone ciemną energią cząstki stanowiły antagonistę światła i złocistych promieni słońca, przez co zwalczały je w centralnej krainie, w niej samej niepodzielnie od wieków triumfując.

Ponadto ta mroczna masa nasyciała czarnym złem także żywe istoty światła, które znalazły się pod jej działaniem. Wówczas uaktywniały się nieraz w ludziach drzemące w nich ciemne cechy charakteru i przemieniały wręcz ludzkie istoty w potępionych okrutników, jeśli spędzili w Centralnej Czułości zbyt wiele czasu. Chociaż prastara moc zła, która na dobre zagnieździła się w środku kontynentu, potrafiła też nasączać swym jadem zwłoki, by te powracały do namiastki istnienia owładnięte wyłącznie jedną destrukcyjną domeną, mianowicie, aby siać pożogę, zniszczenie oraz śmierć.

I w początkowej fazie lotu przez centralną krainę w takiej właśnie złowrogiej scenerii jawił się świetlistym podróżnikom przemierzany krajobraz – mroczne pustkowia zasnuwane czarną mgłą, gdzie obumarłe kikuty drzew sterczały nad brzegami mętnych sadzawek. Zaś pomiędzy nimi leżały obszary ciemnej ziemi przywodzące na myśl rozgrzebane cmentarzyska z powodu widocznej wielkiej liczby poczerniałych szkieletów ludzi, potworów oraz mitycznych zwierząt, z których znaczna część się poruszała.

W konsekwencji zasiadająca z przodu na smoku Srebrna kolejny już raz dobyła miecz i wykonała nim zamaszyste cięcie. W ten sposób roztrzaskała w drobny pył powstający akurat z rozpulchnionej gleby szkielet. Podobnie

uczynił wkrótce z drugiej strony lecącego gada Złoty, uderzając klingą w przegniłego trupa, który z mlaskiem przyjął złocisty oręż w swe odrażające i zielonkawe, do tego gnijące ciało. W dalszej części lotu para jeźdźców musiała coraz częściej sięgać po broń, dlatego w pewnym momencie wojowniczką rzuciła za plecy:

– Lecimy w tym mroku niczym para jarzących się jaskrawo światełek. Ja i smok połyskujemy srebrem, ty zaś się złocisz – zwróciła się do pasażera. – Również nasz oręż daje odblask. I chyba przez to ściągamy ku sobie uwagę coraz liczniejszej hordy tych okropieństw. – Rozplatała mieczem kolejny, tym razem bezgłowy szkielet, idący ku niej z wyciągniętymi kikutami rąk.

– Więc co proponujesz? – wyraził zainteresowanie Złoty.

– Ależ czy ja, skromna wieśniaczka z północy, miałabym doradzać samemu następcy tronu? – zadrwiła Srebrna.

– Nie jesteś tylko zwykłą wieśniaczką. Jesteś też szaloną besrerką, sam widziałem – odparł z powagą książę.

– Aha... Przyjmę to za komplement – stwierdziła rezolutnie srebrzysta dziewczyna. Z kolei złocisty młodzieniec niepewnie zasugerował:

– Może więc w ogóle nie chowajmy oręża? Do tego lećmy wolniej, tak, aby ściągać ku sobie jeszcze więcej powstających trupów i unicestwiamy je całymi zastępami.

Na tę wielce bohaterską propozycję Srebrna tylko plasnęła się ręką w czoło. Sama bowiem odkąd tylko została zabrana przez Marrenga ze swej wioski, była przez niego szkolona nie tylko we władaniu bronią czy tajemnej sztuce nadzmysłu, ale też nauczana strategii oraz taktyki na polu walki. To dlatego zdołała się swego czasu oprzeć zasadzce Feldgrała i nader skutecznie kontratakować. Teraz natomiast bynajmniej nie miała zamiaru skorzystać z wątpliwej jakości książęcej rady. Ponadto dotarło do niej, że niedawna klęska królewskich zastępów z mrokiem, mogła się dokonać na własne życzenie krainy zachodu, jeżeli królewscy rycerze oraz dowódcy posiadali przebiegłość godną ich przyszłego władcy. Zaś biorąc pod uwagę te wszystkie okoliczności, dziewczyna zdecydowanie zawyrokowała:

– Robimy tu postój. – Wskazała miejsce nad błotnistą sadzawką.

– Niech będzie... chyba się zgadzam. Choć w sumie... czemu to robimy? – zapytał bez wiary zbity z tropu książę w momencie, kiedy dziewczyna już

zeskoczyła z grzbietu smoka na grząskie podłoże. I ani się obejrzał, a Srebrna rzuciła mu prosto w połyskującą zbroję na torsie błotnistą pigułę. – Ajć! Za co to?! – obruszył się.

– To stosowny kamuflaż w otaczającym nas terenie, podziękuj – odpowiedziała swobodnie dziewczyna i przystąpiła do oblepiania czarną breją srebrzystego smoka.

– Aha... więc się maskujemy, to taki podstęp, hm... – podchwycił bez przekonania Złoty i z pewnym niesmakiem popatrzył na swój dotąd nieskazitelny, a teraz splamiony strój. Następnie zszedł ze smoka i zastygł jak słup soli, zupełnie jakby czekał, aż chyżo zakręcą się wokół niego słudzy, po czym przebiorą w nową i błotnistą, skąd inąd najlepiej równie wykwintną, co do tej pory, szatę.

Wobec takiej postawy młodzieńca Srebrna tylko machnęła na niego ręką, nie inaczej, tylko pełną czarnej mazi, co zaowocowało kolejną warstwą błota na zbroi następcy tronu. Sama jednak, pomimo pewnej lekceważącej postawy wobec Złotego, tak naprawdę rada była z jego obecności u swego boku. W końcu może i jak na przyszłego władcę przystało, był trochę zmanierowany, ale w sumie nie należało się temu chyba za bardzo dziwić, zważywszy na luksusy, w które do tej pory musiał opływać. Wszak dowiódł on już, że potrafił też świetnie walczyć. Sprawiał także wrażenie kogoś, na kim można polegać. Z kolei takie cechy na terenie wroga mogły się okazać kluczowe dla wspólnego przetrwania. W konsekwencji pozostałe mankamenty swego kompana Srebrna mogła mu jako tako wybaczyć. Do tego nie powinna zapominać również o tym, że łączył ich jeden cel. Co prawda może i nieco narzucony przez nią samą, ale jednak. Zatem powinni działać razem oraz zgodnie i po dokładnym ubłoceniu smoka, wzięła się do kompletu za smarowanie czarną mazią złocistego księcia. Ten stał wytrwale w postawie krzyża, aż dumnie zaznaczył:

– Bardzo dziękuję, tylko nie po twarzy, proszę.

– Zamknij buzię – rzuciła w odpowiedzi Srebrna.

– Czemu miałbym milczeć? – zdziwił się młodzian. – Mmm... – Naraz jęknął, gdy dziewczyna dokładnie wysmarowała mu gładkie lico miękkim torfem tak, że z błotnej maseczki wyzierały jedynie złociste oczy.

– Doskonale. Z błotem ci, Wasza Błotnistość, całkiem do twarzy –

zakpiła wojowniczką. I sama się dyskretnie uśmiechnęła, widząc, że wobec jej sugestii, Złoty zaczął się sobie przyglądać z uwagą i jakby poszukiwać wzrokiem sługi, aby skorzystać z lusterka.

Lecz naraz coś ją zaniepokoiło. Zapobiegawczo odepchnęła księcia, powoli wyciągnęła miecz i skoncentrowana przyczaiła się nad brzegiem sadzawki. Nie używała nadzmysłu, po prostu spoglądała czujnie w coraz intensywniej wydobywające się z bagna pęcherze powietrza, gotowa w każdej chwili zaatakować to coś, co najwyraźniej poruszało się teraz w czarnej mazi.

Następnie ostrożnie przesunęła się nieco bliżej bajorka, aż czubki jej skórzanych butów zagłębiły się w samym mokradle, a zaraz zapadły po kostki. Spróbowała więc dać krok do tyłu, ale się zorientowała, że dość mocno ugrzęzła. Z kolei powierzchnia bagna zafalowała, wyrzuciła się centralnie w jeden wielki pęcherz, który rósł i rósł, po czym naraz z impetem pękł.

– Uważaj! – wrzasnął, stojący za Srebrną Złoty. Ona, cała ochlapana błotnistą mazią, w panice wykonywała przed sobą zamaszyste cięcia mieczem, które jednak przeszywały jedynie ciemne powietrze. Aż spojrzała przez ramię.

Zaskoczona dostrzegła tuż za sobą dwie odcięte macki, wijące się za jej plecami w grząskiej ziemi. Natomiast Aezon, jak i księżę walczyli z gigantycznym stworem, który przywodził na myśl skrzyżowanie ośmiornicy z pajakiem. To coś stało bowiem na ośmiu parach patykowatych szeroko rozstawionych odnóży, za to wywijało wokół licznymi mackami. Oczy miało mroczne w liczbie ośmiu, a odpychająca gęba przypominała zakrzywiony ptasi dziób, ponadto zaopatrzona była w liczne pary szczypiec, jak u chrząszcza.

Na taki niespotykany widok Srebrna dopiero po chwili się ogarnęła. Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła, dochodząc do wniosku, że nie było czasu na zatapianie się w jednościi nadzmysłu i ruszyła z mieczem na potwora.

Ten akurat smagnął macką Złotego, czym posłał go prosto do sadzawki i zwrócił się przeciwko ziejącemu lodem nastroszonemu smokowi. Natomiast wojowniczką korzystająca z tego, że nie skupiała na sobie uwagi, wślizgiem wjechała po błocie pod monstrum i z rozpędu przejechała mu po

podbrzuszu ostrzem miecza. Wstała z drugiej strony i wykonała szybki nawrót. Wtedy niemal zebrało się jej na wymioty, widząc wysypujące się z brzucha bestii pomniejsze ohydne potworki będące skrzyżowaniem pajęczaków z głowonogami. Te zaczęły się rozbiegać wszędzie na boki.

Lecz Srebrna skoncentrowała uwagę jedynie na głównym przeciwniku i tym razem natarła na niego górą. Za pomocą elementu energii nadzmysłu wzmocniła siłę nóg i wykonała niebotyczny sus, po którym spadła ze znacznej wysokości i zatopiła ostrze miecza w grzbiecie monstrum w okolicy jego upiornej głowy. Klinga weszła nad wyraz miękko po samą rękojeść, a z rany wypłynęła dymiąca wydzielina. Dziewczyna spróbowała wyciągnąć miecz, szarpnęła raz i drugi, ale bez rezultatu.

Gdy raptem Aezon natarł na bok bestii i wpił się w nią masywną szczęką oraz ostrymi pazurami, do tego zamasyście smagał wroga kolczastymi skrzydłami i pluł w niego lodem. W wyniku smoczego ataku ohydztwo ugięło swe nogi po jednej stronie i bezwładnie się zatoczyło, by zaraz z wielkim pluskiem wpaść do mrocznego bajora.

W ten sposób i Srebrna na moment cała zanurkowała w czarnym bagnie, ale raptem na grzbiecie potwora ponownie wydostała się częściowo ponad powierzchnię. A równocześnie na zranionym dziwadle powitała tuż koło siebie całkowicie ubłoconego księcia. Ten chwycił jej miecz i wspólnie pociągnęli za rękojeść, uwalniając klingę z koszmarnego cielska.

Odzyskawszy broń, wojowniczką przystąpiła do zadawania płytkich kłutych ran w ciało przeciwnika. Podobnie atakował własnym orężem Złoty. W efekcie skutecznie szatkowali potwora, upuszczając z niego ciemną krew i pozbawiając go siły. Ku niemu też, stojąc na brzegu, ciągle posykiwał mroźnym oddechem gotowy do dalszej walki Aezon.

Wszak dziwoląg wyraźnie dawał za wygraną i sam się pogrązał w błotnistej mazi, coraz bardziej zatapiając w niej swe pokiereszowane cielsko. Tonął zupełnie niczym rozbity okręt na mrocznym oceanie. Dlatego Srebrna oraz jej kompan schowali oręż i zamiast trzymać rękojeści mieczy, sami pochwycili się w objęcia, jakby we wzajemnym uścisku szukali wspólnego ratunku.

Popatrzyli po sobie i kiedy oni również zagłębiali się już całkiem w czarną matnię, tuż koło nich załopotał skrzydłami w powietrzu smok. Razem pochwycili się jego pełnego wyrostków grzbietu i zaraz lecieli już na

ubłoconym gadzie. Choć bynajmniej nie przestali się razem ścisnąć i trwali w objęciach tak długo, aż oboje odzyskali nieco sił. Wówczas dziewczyna zdecydowanie wyzwoliła się z męskiego uchwytu. Usiadła plecami do następcy tronu, a przodem do smoczej głowy i już we względnie opanowany sposób oznajmiła:

– Podróżujemy prawie cały dzień, a teraz jeszcze spotkała nas walka. Dlatego musimy dobrze wypocząć i nie tylko my, ale też Aezon, czyli mój smok. Ponieważ nie wiadomo, jak długo uda się nam znowu unikać potyczek. A wszyscy powinniśmy być na nie ponownie gotowi. Proponuję więc się zatrzymać na dłużej w tamtym miejscu. – Wskazała powalony pniak i nie czekając na przyzwolenie, za pomocą subtelnych ruchów ręką na łbie smoka nakierowała gada we wspomniane miejsce.

Niebawem siedziała już oparta o zmurszałe drewno potężnego przewróconego drzewa, które w całości przysłaniało jej sylwetkę, a także siedzącego tuż koło niej Złotego oraz smoka naprzeciw nich. Ten ostatni nieznacznie się odsunął wobec właśnie wznieconych przez Srebrną niewielkich płomieni. Albowiem srebrzyste smoki zdecydowanie nie przepadały za ogniem ani też ciepłem. Z kolei sama wojowniczką, rodowitą dziewczyną północy z jej najmroźniejszych zakątków, także była znacząco odporna na niskie temperatury, ale też, co ciekawe, wilgoć. Jednak przemoczony do suchej nitki oraz dla odmiany zmarznięty książę silnie dygotał i z pewnym widocznym wstydem w oczach przyjął z wdzięcznością tańczące na ziemi iskierki ognia. Lecz ten, wobec braku suchego chrustu w okolicy, szybko przygasał. Dlatego dziewczyna, nie bacząc czy było to taktowne, czy nie, przytuliła mocno do piersi młodzieńca i otuliła dłońmi, aby uraczyć go własnym ciepłem.

Wkrótce bardziej zbliżył się do nich również smok. I choć od niego, jak na ironię, bił jeszcze większy chłód, niż od otoczenia, to oprócz pniaka drewna zapewniał on solidną osłonę przed czającymi się w mroku niespodziankami. Pozwoliło to Srebrnej przez jakiś czas nie myśleć o potencjalnych zagrożeniach, za to mogła się skoncentrować na praktyce jedności zmysłów.

W absolutnej ciszy oraz skupieniu szybko osiągnęła wyższy stopień tej sztuki, obecnie pierwszy, którego doświadczała z coraz większą łatwością. Następnie nakierowała uwagę na własne serce, źródło ludzkiego ciepła.

Starala się rozniecić w sobie większy ogień, aby uczynić swój oddech cieplejszym, wręcz rozżarzone i suchym. Ku jej zadowoleniu osiągnęła w tym spory sukces i własnym rozgrzanym ciałem oraz tchnieniem skutecznie przywracała nadwątlone siły zasypiającemu w jej ramionach Złotemu.

Osobiście nie czuła się senna ani nawet specjalnie zmęczona. Wchodzenie w stan nadzmysłu nad wyraz szybko przywracało jej energetyczną równowagę i skutecznie uzupełniało zasoby sił, co dawało duży komfort przebywania we własnym ciele oraz przewagę nad tymi, którzy sztuki jedności nie znali. Choć jak się już przekonała, istniały też inne techniki władania energią, o których nie miała pojęcia, a które również ofiarowywały wielką moc – wspomniała pokonującą ją w walce w nietypowy sposób olbrzymkę.

Zaś co do samego nadzmysłu, stanowił on ponoć pradawny sekret przekazywany z pokolenia na pokolenie między innymi w rodzinie Marrenga. Z kolei ów mężczyzna traktował Srebrną, jak własną córkę, mówił jej to zresztą nie raz i dlatego szkolił ją w znanej sobie niezwyklej sztuce. Wspominał też, jak trudno było w technice jedności wspinać się na jej kolejne poziomy i jak niewielu adeptów doświadczało wyższych stopni na drodze swej wieloletniej praktyki.

Tak czy inaczej, nawet na wcześniejszych etapach pracy z jednością, można było osiągnąć bardzo wiele, o czym nie raz przekonała się już Srebrna, a także, za jej sprawą, doświadczał tego teraz i książę. Ten wtulony w dziewczęcą pierś, spał już w najlepsze z twarzą pokrytą zasychającym błotem, a do tego słodkim uśmiechem na ustach. Wyglądał tak niewinnie, że dziewczęce usta niemal same składały się do pocałunku, aby musnąć z lekka złociste wargi.

Wszak wojowniczką nie zamierzała sobie pozwolić na taką chwilę słabości. Zamiast tego po skończonej praktyce jedności zanuciła delikatną i uwodzącą pieśń. Właściwie była to sama niezwykle dźwięczna melodia skomponowana na bazie języka, którego nikt nie znał. Nawet sama nie wiedziała, skąd znała ową pieśń. Kiedy zaś pierwszy raz ją spontanicznie zanuciła w Orlim Gnieździe, mężczyźni, którzy ją usłyszeli, chodzili przez kolejne dni kompletnie otumanieni. Natomiast Marrengo skarcił gniewnie Srebrną i kategorycznie w ogóle zabronił jej śpiewać. Wtedy zgodziła się

bez szemrania. W końcu miała zostać wielką wojowniczką, a nie śpiewaczką. Lecz teraz, gdy nie było już przy niej jej przyjaciela z północy, nie widziała powodu, aby odmawiać sobie tej drobnej przyjemności, jaką było dla niej swobodne nucenie nieznanego nikomu melodii. Ta, również i ją szybko ukołysała do spokojnego snu.

Nie, nie nastał ożywczy brzask, co najwyżej w odcieniu ciemnego grafitu. W tej mrocznej krainie otwierające się po drzemce na świat oczy nigdy nie mogły powitać jaśniejącego słońca. Jak zwykle przestrzeń przesiąknięta była czarnym pyłem. W tej ciemnej matni najwięcej światła dawały obecnie srebrzyste oczy dziewczyny z północy i jej smoka, a także złociste księcia, który ćwiczył nieopodal z mieczem. Złotego nie było już bowiem przy Srebrnej, obudził się i wstał, gdy ona przemierzała krainę lodowych snów.

Teraz natomiast, ciągle oparta o przewrócony pniak, nawet z pewnym uznaniem śledziła wprawne ruchy orężem młodzieńca. Przy czym reprezentował on zupełnie odmienną technikę walki niż ona. Bowiem srebrzysta wojowniczka zgodnie ze swym temperamentem przede wszystkim atakowała zamaszystymi uderzeniami miecza po skosie, czy z góry, by jak najszybciej rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść, najlepiej jednym ciosem. Czasem tylko się nieznacznie cofała, aby sparować obcą broń i przejść do natychmiastowego kontrataku. Z kolei następcą zachodniego tronu wydawał się znajdować w prezentowanej technice złoty środek pomiędzy wyprowadzanymi atakami, a prowadzoną obroną.

Coraz bardziej zaintrygowana Srebrna również wstała i dobytek miecz, po czym sama spróbowała podobnego trybu walki. Lecz szybko stwierdziła, że nie czuła się dość swobodnie, zbyt często przechodząc do zbijania ciosów przeciwnika. Zastanowiło więc ją, czyja technika bojowa była skuteczniejsza – jej czy Złotego? Żeby się o tym przekonać, istniał na dobrą sprawę tylko jeden, za o bardzo prosty, rozstrzygający tę kwestię sposób.

Naraz wykonała zręczny piruet i już stała z bronią w gotowości tuż przed księciem. Zaczepnie uderzyła w jego oręż i z zadziornym uśmiechem na twarzy postraszyła szybkim wypadem. Zgodnie z oczekiwaniem Złoty podjął wyzwanie. Sparował jej klingę i od razu przeszedł do ataku, ale szybko wspartego zachowawczym wycofaniem się na uprzednią pozycję, zupełnie jakby na początku walki jedynie badał przeciwnika.

Z kolei Srebrna nie miała zamiaru bawić się w ceregiele, trwoniąc siły

na jakieś badanie kogoś, kto w jej mniemaniu i tak zaraz legnie pokonany u jej stóp. Dlatego z typową sobie furią natarła do przodu. Jej miecz wyposażony był w cieńszą, za to dłuższą klingę i używała tej przewagi, prowadząc szereg cięć z góry na dół, by co raz niespodziewanie poprawiać po skosie. Czasem tylko markowała odwrót, a wtedy w nietypowy sposób cięła zamasyście ostrzem po okręgu. Jednak jak na złość Złoty nieustannie skutecznie zbijał jej ataki, co przychodziło mu o tyle łatwiej, że przy każdym wypadzie Srebrnej czynił krok do tyłu, a nieraz i w bok.

Tym sposobem niebawem zatoczyli wspólnie dwa mniej więcej równe koła, a zziajana dziewczyna zauważyła, że ciągle szarżując, do tego nieskutecznie, zużyła o wiele więcej sił niż jej przeciwnik. Bynajmniej nie nabrała dzięki temu do niego respektu, za to postanowiła sięgnąć po swój niezaprzeczalny atut i już za moment była w stanie nadzmysłu. Wtedy zobaczyła przed sobą jakby złocistego ptaka przypominającego feniksa, który skutecznie co raz ulatywał przed jej orężem.

Aż zebrała się w sobie, aby przeprowadzić decydującą szarżę i tym razem ruszyła biegiem na przeciwnika. Wówczas jednakże stało się dla niej coś niewytłumaczalnego. Złota poświata przed nią zalśniła oślepiającym wręcz blaskiem i zadziałała zupełnie niczym niezwykła tarcza, z którą zderzyła się wojowniczką i która pochłonęła cały impet jej kluczowego ataku. Kiedy zaś oszołomiona wyszła ze stanu nadzmysłu, zorientowała się rozczarowana, że spoczywała na plecach w błocie. Także, iż miała przystawiony czubek miecza do piersi oraz wyciągniętą ku sobie otwartą dłoń młodzieńca, który szczerze, bez złośliwości, się do niej uśmiechał.

Urażona duma nie pozwoliła Srebrnej pochwycić wyciągniętej ku niej ręki. Dlatego błyskawicznie się przekręciła na bok, szybko wstała i będąc znowu w gotowości, wyciągnęła ku Złotemu oręż. Następnie gniewnie syknęła:

– Jak to zrobiłeś? I... co właściwie zrobiłeś?

W odpowiedzi książę rozłożył tylko bezradnie ręce i już otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale w tej samej chwili oboje usłyszeli charczenie jakichś nadchodzących istot. Wobec potencjalnego zagrożenia razem rzucili się za pniak, aby przycupnąć za nim i się przyczaić. Z kolei charczenie narastało i wkrótce przypominało już odgłosy ludzkiej mowy. Aż można było z tego warkotu wyłowić zrozumiałe słowa, gdy rozmówcy przechodzili tuż za

zwalonym drzewem:

– Tak mówił starszy łowca, przecież sam słyszałem, jak i inni, zmroczeni, którzy potrafią słyszeć. Wielka księżna Alabaster pragnie zguby tej, jak jej tam...

– Złotej – wybełkotał drugi gardłowy głos.

– No właśnie jej... – zgodził się pierwszy. – Tej dziewczyny, której niejaka Czarna znalazła świecące włosy, a potem ją wytropiła i uwięziła z pozostałymi w naszej pomroczni. No więc na rozkaz starszego łowcy i życzenie władczyni ze światła mamy odprawić rytuał, a potem udusić tą Złotą.

– Czemu udusić, a nie, dajmy na to, poćwiartować? – zaciekawiał się drugi głos.

– Bo Alabaster chce ponoć całej jej krwi. Dlatego zakazano nam ciąć skórzany worek okrywający tę złotą istotę.

– Aha... A co będzie miał z tego mrok, Martwica i starszy łowca, hę?

– Magiczne pieczęcie, głupi węglaku, tak, pieczęcie. Dzięki nim mroczna trójca sprowadzi na zachodnią krainę ciemność i wreszcie najedziemy królestwo, aby utopić jego mieszkańców w ich złocistej krwi.

– Czemu utopić, a nie, dajmy na to, poćwiartować? – nie dawała za wygraną druga istota określona mianem węglaka. Na co pierwsza już się nie odezwała. Za to dało się słyszeć odgłosy szamotaniny, a zaraz jakby przedagonalny ryk zarzynanego zwierzęcia. Potem rozbrzmiewało już tylko mlaskanie licznych stóp stawianych miarowo w błocie. Natomiast po drugiej stronie pniaka przyczajona para zauważyła w górze ostre zwieńczenia podrygujących włóczni, halabard i naginat.

Te niebawem zniknęły z oczu Złotemu oraz Srebrnej, podobnie cichły już dźwięki wydawane przez oddalający się oddział mrocznych istot. Wtedy dziewczyna spojrzała śmiertelnie poważnie w kierunku księcia i w sposób nietolerujący sprzeciwu z determinacją wyszeptała:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby uratować naszą siostrę, to jest... – zająknęła się – twoją siostrę, Złotą, ocale ją. Ale ty musisz natychmiast dosiąść smoka i polecieć do swego ojca, aby ostrzec go przed zdradą księżnej Alabaster i planowaną inwazją.

– Nawet nie ma mowy – wycedził przez zaciśnięte zęby Złoty i spróbował wstać, ale silny uchwyt dziewczyny na jego ramieniu usadził go na miejscu.

– Posłuchaj... – warknęła Srebrna. – Naszą dwójkę mroczni łatwiej zauważą, a wtedy osaczą, wezwą posiłki i nas zabiją. Szczególnie ty się wyróżniasz ze swym złocącym wzrokiem, podczas gdy ja mogę po części iść z zamkniętymi oczyma. Dlatego sama będę miała większe szanse, aby niepostrzeżenie podkraść się do Złotej i ją uwolnić. Ponadto, jeżeli razem tu zginiemy, to nie tylko twoja siostra niechybnie zostanie zgładzona, ale i zachodnie królestwo doczeka się niespodziewanego najazdu. Więc nalegam, wykaż się, Wasza Rozumność, rozsądkiem! – zakończyła głośniej dziewczyna i zdecydowanie potrząsnęła młodzieńcem. Ten po dłuższej walce z samym sobą, gdzie na jego ubłoconej twarzy drgały nerwowe tiki, wreszcie sam pochwycił Srebrną i z oddaniem odparł:

– Niech tak będzie. Zaufam ci i zrobię dokładnie tak, jak radzisz, waleczna berserko. Klnę się na światło słońca.

– Ja także nie zawiodę, przyrzekam na mróz i lód. – Wojownicza chwyciła książkę dłoń i mocno ścisnęła. Wszak jej właściciel niespodziewanie przyciągnął do siebie dziewczynę, objął ją i z pewną natarczywością podkreślił:

– Jadnak, gdybyśmy mieli się już nie zobaczyć i gdybym miał więcej nie usłyszeć twego śpiewu... Pocałuj mnie.

– Że co?! – zachnęła się na to osłupiała Srebrna.

– Ano tak, pocałuj... – szepnął tym razem delikatnie książkę i wyjaśnił: – Czuję, że skosztowanie twych srebrnych ust doda mi sił i determinacji, jak nic innego, abym wypełnił zadanie. Ponieważ po jednym, tym jedynym pocałunku, zrobię wszystko, dosłownie wszystko, by zasłużyć na kolejny, damo mego serca.

– Trochę się chyba zagalopowałeś... – oznajmiła z rezerwą wyraźnie zaskoczona dziewczyna. Ale zaraz oszacowała, że w sumie wypadałoby jednak natchnąć w misji Złotego, skoro tak się tego domagał. Dlatego naraz wzruszyła rezolutnie ramionami: – Niech ci tam będzie, w drogę i niech światło ci sprzyja, masz. – Pospiesznie ledwie musnęła wargami policzek księcia. Lecz on niespodziewanie ujął jej lico w dłonie i wpił się namiętnie w usta. W odpowiedzi zszokowana Srebrna zrobiła wielkie oczy. A kiedy wspólny pocałunek dobiegł kresu, książkę, jakby z nową energią w głosie, rzekł:

– Dziękuję, o wielce szlachetna pani i wiedz, że od teraz me serce bije już

tylko dla ciebie. Dlatego przyjmij, proszę, ten oto skromny podarek, jako wyraz mojej wiecznej miłości i bywaj! – Młodzieniec wcisnął w dziewczęcą dłoń perłową bransoletkę i już chciał się skierować do smoka, ale Srebrna raptownie go złapała za ramiona, po czym przytrzymała przy sobie.

– Czekał – syknęła.

– Tak...? – zapytał zdezorientowany książę. Wtedy niespodziewanie dziewczyna sama pocałowała go w usta, do tego mocno do siebie tuląc.

– Ja też chciałam coś na szczęście. Więc jesteśmy już kwita i obecnie po prostu musi się nam udać – wyjaśniła po zakończonym całusie. Założyła podarowaną bransoletkę na nadgarstek i zdmuchnęła sobie sprzed srebrzystych warg kosmyk swoich zbłąkanych włosów.

Natomiast na dobre oszołomiony Złoty odstąpił od niej w kierunku smoka, nie spuszczając z niej maślanego wzroku, ponadto potykając się i niemal przewracając w błoto. Aż gwałtownie zmienił kierunek spojrzenia wobec złowrogiego pomruku srebrzystego gada, który dodatkowo nastroszył na swoim cielsku liczne kolce.

– Oj... ktoś tu jest chyba trochę zazdrosny. – W reakcji na gniewne zachowanie Aezona Srebrna niefrasobliwie zagryzła wargi. Podeszła do smoka i z czułością przystawiła mu czoło do łuskowatego łba. Wówczas zwierz wypuścił z pyska lodowy podmuch, mrużąc przy tym przymilnie i jakby z ulgą. Zaś dziewczyna dłużej pogładziła go po łusce, szepcząc mu miłe słowa do szpiczastego ucha. Do tego nakłaniając go, aby wypełnił jej wolę i zaniósł księcia aż do królestwa, a nie pożarł młodzieńca po drodze. Aż odstąpiła od smoka i ostro ucięła: – Wystarczy tych pieśzcot. Na ten czas każdy z nas musi wypełnić to, co mu przykazane.

Nie minęła chwila, a Złoty dosiadł łuskowatego gada i on oraz smok, jako dokładnie ubłocona para świetlistych istot, pomknęli ku zachodowi. Srebrna zaś ciężko odsapnęła po niespodziewanych amorach i ostrożnie wychyła zza pniaka. Szybko odnalazła w mroku szereg odcisniętych w błocie śladów stóp i pochylona podążyła tym tropem.

Była całkowicie zdeterminowana, aby odnaleźć i uwolnić Złotą, słynną siostrę krwi i przybraną Złotego, choć podobno już nie jej własną. Ale cóż, tak właśnie rozdał swe karty bezwzględny los i postanowiła mu się podporządkować.

XV. ALABASTER, EKRU I CHAMOIS

Wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca olbrzymia kopuła umiejscowiona we wschodnim skrzydle alabastrowego pałacu zaczęła się z wolna otwierać, zupełnie niczym biały kielich kwitu. Choć w tym przypadku swoiste płatki wykonane były głównie z kości słoniowej i porcelany, a stanowiły rozstępujący się sufit. Tym sposobem rodzące się za dnia światło systematycznie zalewało wewnątrz komnaty przeznaczone do obchodzenia w nim święta boskiego zstąpienia.

W samej sali, zarówno jej ściany, jak i podłogi gęsto wyłożone były księżycowymi łzami. Zaś takie ich nagromadzenie w jednym miejscu, dodatkowo współ z odbijającymi się od nich naturalnymi promieniami słońca, dawało w sumie absolutnie oszałamiającą jasność, w której tonęła cała majestatyczna komnata. Można wręcz było odnieść wrażenie, że nie wypełniało jej nic poza czystym światłem. Chociaż przebywały tu liczne osoby.

Wśród nich w samym centrum stała przewodnicząca obecnie świętu zstąpienia Kremi. Młoda kobieta zgodnie z tradycją nie przywdziała ubrania i jej szatę stanowiła wyłącznie jasność. Wyróżniona członkini rady stała w lekkim rozkroku i z szeroko rozpostartymi, niczym skrzydła, ramionami wzniesionymi wysoko. Także ku górze skierowane były jej otwarte dłonie oraz jaśniejąca twarz.

Taką sylwetkę przewodnicząca święta musiała utrzymać aż do samego zachodu, co wymagało wielkiego hartu ducha. To bowiem duchowa energia musiała nasycić kobietę wystarczającą mocą, ponieważ sama fizyczna siła nie była w stanie podolać tak długiemu utrzymaniu niewygodnej pozycji. Natomiast to, czy zostanie ona podtrzymana i Kremi przyjmie na siebie całość światła, miało przesądzić o pomyślności na kolejny rok. Jeżeli jednak ramiona zostałyby opuszczone, wtedy zgodnie z przepowiednią to mrok będzie dominował w nadchodzącym okresie i szansa na przełamanie jego panowania nadejdzie dopiero wraz z nastaniem kolejnego święta

zastąpienia.

Aby wesprzeć kobietę na duchu, w kolistej sali klęczeli w siedmiu kręgach inni członkowie rady oraz pałacowi oficjale, sami ubrani w białe szaty. Czynie to, wznosząc na przemian błagalne to dziękczynne modlitwy za światło i pomyślność, życząc przewodniczącej wytrwania w trudnej próbie i przyjęcia na siebie całego zstępującego z przestrzeni blasku.

Również Alabaster obserwowała ten ceremoniał i swego rodzaju próbę sił wyznaczonej przez siebie młodej kobiety. Lecz sama wielka księżna nie zdecydowała się wejść do komnaty i uczestniczyć w ceremoniale. Ponieważ od powrotu z wyprawy do Źródła Oczyszczenia nadmiar światła zwyczajnie ją drażnił. Przyglądała się więc tylko rytuałowi z zewnętrznego pomieszczenia przez zwykle zamaskowaną dyskretnie szparę w ścianie.

Trwało już późne popołudnie i jak do tej pory Kremi z sukcesem wykonywała powierzone jej zadanie. Powinność, która aż do tej pory przez ostatnie lata była domeną wyłącznie Alabaster. Ona nigdy nie zawiodła, zawsze miała w sobie dość sił, aby pokonywać wszelkie przeciwności i zakończyć każde święto zstąpienia szczęśliwie. Aż do teraz, kiedy najwyraźniej znalazła godnego siebie przeciwnika w postaci demona, z którym weszła w specyficzny związek i który skaził ją mrokiem. Czuła coraz wyraźniej, jakby w jej osobie przeciągano biało-czarną linę, gdzie demon ciągnął za ciemną końcówkę, a ona sama powoli rozluźniała palce po jasnej stronie. W efekcie lina przeciągana była w wiadomym kierunku. Do tego sam biało-czarny sznur wydawał się pokrywać ciągle niezrozumiałym dla Alabaster kolorem intensywnej czerwieni niespotykanym praktycznie na kontynencie Unton.

W konsekwencji obserwująca ceremoniał władczyni najpierw w duchu sprzyjała Kremi, aby ta dzielnie spełniła swą rolę. Jednakże jasny umysł wielkiej księżnej szybko zasnuł mrok i pojawiły się w nim zazdrość oraz gniew, coraz częściej nawiedzające ją uczucia. Sprawily one, że niebawem już nie życzyła dobrze młodej członkini rady, za to zawistnie pragnęła jej porażki. Kiedy zaś na takową się nie zanosilo, nie mogła się powstrzymać i użyła własnej mocy panowania nad przestrzenią. Wbijając srogię spojrzenie w tonącą w świetle nagą kobietę, koncentrowała uwagę na jej wzniesionych ramionach i sprawiała, że te stawały się coraz cięższe. Z satysfakcją dostrzegała, jak Kremi naraz drżą ręce i wyraźnie zaczyna ona

ulegać zewnętrznej sile.

Aczkolwiek zaraz na twarzy władczyni pojawił się kwaśny wyraz. Oto ogrom światła w pomieszczeniu sprawiał, że młoda kobieta ponownie czerpała dostateczną moc, aby mimo wszystko skutecznie opierać się woli Alabaster. To ją na dobre rozsierdziło i za moment przepełniała ją na wskroś już tylko wola pokonania obecnej przeciwniczki. Czyniąc misterne gesty dłońmi, wyrafinowane mudry, uwalniała z siebie zwielokrotnioną magiczną moc. Traciła naprawdę wiele energii, siłując się z przewodniczącą święta, która z coraz większym trudem recytowała:

- Blask i światłość.
- Światłość i jasność.
- Jasność i świetlistość.
- Blask, promienistość!
- Blask, promienistość!
- Jasność, świetlistość!
- Blask...

Lecz Alabaster w swych wysiłkach nie ustawała i w pewnym momencie sprytnie przeniosła uwagę na kolana młodej kobiety, by to w nie tchnąć słabość. Wtedy alabastrowe lico władczyni ozdobił triumfalny i ze wszech miar złośliwy uśmiech. Albowiem, gdy jaśniejące słońce chyliło się już ku zachodowi, Kremi raptem uległa.

– Blask... – jęknęła i padła na kolana, a w poddańczej pozie opadły też jej ramiona oraz głowa. Następnie zdruzgotana tak niefortunnym obrotem sprawy, schowała zasnutą nagle cieniem twarz w dłoniach i z bólem zapłakała.

Z tą chwilą w nagle przyciemnionej komnacie dało się słyszeć ponure pomruki rozczarowania i dezaprobaty pozostałych uczestników święta:

- Gdzie szlachetna Alabaster...?
- Co się stało z wielką księżną?
- Dlaczego nie przewodziła nam nasza światła wybawczyni? – niosły się echem błagalne słowa, w których z czasem pobrzmiwała też nuta oburzenia. Z kolei samo wewnątrz komnaty ulegało coraz bardziej nienaturalnemu zaciemnieniu, gdy nieprzeliczone księżycowe łyzy, o dziwo, przygasły. Ponadto samo słońce właśnie przeszło na zachodnią stronę, a sklepienie kopuły zaczęło się na powrót zamykać.

W powstałym półmroku w sali zapanowało jeszcze większe poruszenie, teraz naznaczone już nawet przejawami strachu, a kolejni uczestnicy święta opuszczali pospiesznie to miejsce, zupełnie jakby stało się przeklęte. Wkrótce pozostała w komnacie już tylko klęcząca na posadzce Kremi. Ciągle zasłaniała twarz dłońmi i cicho łkała. Natomiast Alabaster z nieznaną sobie satysfakcją przysłuchiwała się tej rzewnej pieśni, zaznajac w niej pewnego ukojenia. Zaś równie miło rozbrzmiewało w jej wrażliwych uszach subtelne rozbryzgiwanie się o parkiet perlistych łez z oczu zdruzgotanej kobiety.

Wreszcie wielka księżna nasyciła się melodią, gdzie wyraźnie dominował smutek zmieszany z cierpieniem i rozczarowaniem. Doprawdy interesująca na ten czas dla niej mozaika cudzych uczuć. Usatysfakcjonowana i podniesiona na duchu poszła do ptaszarni. Skoro bowiem zapadał już zmierzch, to liczne jej ptaki właśnie powróciły do macierzy, aby zdać raport z powierzonych im zadań.

Po drodze Alabaster raz jeszcze zgasiła w umyśle tłące się w nim ledwo wyrzuty sumienia z powodu zabójstwa Perlisa i już była wśród swych pierzastych sług. Dłuższy czas milczała, patrząc podejrzliwie po ptakach, które gęsto obsiadły okalające komnatę drzewa i były zdecydowanie cichsze niż zazwyczaj. Ale nie przeszkadzało to bynajmniej władczyni, a wręcz przeciwnie. Intensywny ptasi jazgot coraz bardziej drażnił jej uszy i chętniej witała w nich na ten przykład złowieszcze posykiwanie. Dlatego jej wzrok utkwiał ostatecznie na skrzydlatym wężu przemienionym za sprawą czaru iluzji w orła. Ten podleciał tuż przed swoją panią, stanął na masywnych łapach i przemówił własną mową stanowiącą mieszaninę posykiwania oraz klekotu.

– Ach tak... – słysząc go, Alabaster złożyła dłonie, jak do modlitwy. – Więc takie mi przynosisz zacne wieści, bardzo dobrze. Czyli Ekru rodem z Ekros oraz jej ukochany Chamois, już nie sprzyjają swej ukochanej władczyni. A nawet więcej, gotowi są rzucać jej kłody pod nogi. Czy zatem możemy sobie na to pozwolić, na taką zniewagę i knowanie za naszymi plecami? – rzuciła w powietrze. Lecz gdy rozbrzmiały nieśmiałe ćwierkania, gwałtownie się wydarła: – Cisza! Milczec! Oczywiście, że nie puścimy płazem tak nikczemnej zdrady! Co więcej, domyślam się już, kto taki ukradł nam sprzed nosa sercowy klejnot ożywiający olbrzymy. Zaś za

kradzież i zdradę stanu słuszną karą może być tylko jedna! – zagrzmiała Alabaster, po czym zrobiła pauzę, spoglądając nieufnie po swych pierzastych sługach. Następnie kategorycznie warknęła: – Wspomnianą gadatliwą Ekru pragnę mieć całą, by żywcem obdzierać z alabastrowej skóry, kiedy ćwierkać mi będzie wszystkie swe tajemnice, skamłając daremnie o swe żalosne życie. Więc wyślę na nią łowców na gryfach, niechaj pochwycą ją, okaleczą, ale niech jej nie zabijają, to będzie już moja domena. Natomiast jej ukochany Chamois nie ma już po co tu wracać. Niech pochłonie go obca ziemia i na niej odda swe zdradzieckie tchnienie. – Skrzydlata kobieta ukucnęła przed orłem, który dopiero co przekazał jej wieści i sama jadownicie wysyczała mu coś do ucha. W odpowiedzi przemieniony wąż zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze.

Gdy raptem we wschodnie okno coś mocno uderzyło raz i drugi. Zaskoczona Alabaster wyprostowała się i spojrzała w stronę, skąd doszły dudniące odgłosy. Nastawała już bowiem noc, przez co nie spodziewała się przybycia ptaków. Jednak pchana ciekawością, siłą woli otworzyła największe wschodnie okno pod kopułą ptaszarni. W efekcie zobaczyła przeciskającego się do wnętrza potężnego albatrosa, którego wraz z pobratymcami tego samego gatunku wysłała dawno temu na poszukiwanie nowych archipelagów wysp i ukrytych tam pradawnych artefaktów. Zaintrygowana patrzyła na opadający już lot dostojnego ptaka i czekała na nowe wieści.

Albatros osiadł na jednej z białych skał, które stały przy drzewach we wschodniej części ptaszarni i stanowiły ulubione miejsca siadywania morskich ptaków. Potem jakby z pewną nieufnością przekrzywił głowę, jednym to drugim okiem, przyglądając się władczyni. Zirytowało ją to i sama postąpiła ku ptasiemu przybyszowi, by czym prędzej uzyskać od niego pożądaną treść. A będąc tuż koło albatrosa, ostro do niego rzuciła:

– Z czym przybywasz? I dobrze radzę, nie rozczaruj mnie tym razem swym klekotem! – Mocą telekinezy zamknęła wschodnie okno, jakby więząc przybyłego ptaka w klatce. Ale ten uparcie milczał, podobnie jak na dobre zamilkły pozostałe pierzaste istoty. – Wieści! – Coraz bardziej zirytowana wielka księżna tupnęła ostentacyjnie nogą i za sprawą magicznej vibracji sprawiła, że silnie zatrzęsała się cała kamienna posadzka. W efekcie poruszone zostały także drzewa oraz skały, przez co wystraszone patki na

moment poderwały się w powietrze. Kiedy atmosfera się uspokoiła, albatros stanął sztywno i wreszcie zaklekotał.

W odpowiedzi Alabaster, sama, niczym ptak, przyglądała mu się nieufnie jednym, to drugim alabastrowym i lekko pociemniałym okiem, przekrzywiając głowę. Aż nie doszukując się w istocie przed sobą podstępu czy fałszu, triumfalnie parsknęła:

– Ha! Ha! – I naraz sama załopotowała skrzydłami, wzbijając się w otwartą przestrzeń. – Miecz, wiecznie iskrzący się lodem miecz! Wreszcie go odnalazłam! – Kierując się wirującym lotem, wielka księżna w uniesieniu dotarła wysoko do zachodniej ściany ptaszarni. Tutaj otworzyła najokazalsze okno i wyleciała na czarną noc, po czym niczym biała ćma pomknęła aż na skraj pałacu w miejsce, gdzie prowadził od niego zawieszony nad przepaścią most. Stąd powoli obniżała pułap lotu, coraz wolniej wachlując skrzydłami i opuszczała się pionowo prosto w nieprzeniknioną przepaść.

Aż w pewnym momencie, kiedy znalazła się już w niewielkiej odległości od dna, usłyszała pod sobą złowrogie pomruki uwięzionych w lodzie czarnych istot. Wsłuchiwała się w te groźne dźwięki, które niegdyś napawały ją odrazą, a teraz sprawiały przyjemność, zupełnie jak żałobny szloch czy łzy niewinnych. Zaś nasyciwszy się tą mroczną symfonią, sama chrapliwie przemówiła:

– Już niedługo, ale już niebawem... wszyscy będziecie należeć do mnie i tylko do mnie. Będziecie posłuszni i wyłącznie na me rozkazy. Oczekujecie więc ponownie mej osoby jako swej wyzwolicielki. Wszakże już teraz traktujcie, jak nową władczynię, oddając mi należny hołd. Oddajcie mi hołd! Ukorzcie się! – zakończyła gniewnie.

W odpowiedzi nastąpiła martwa cisza. Lecz zaraz, niczym z grobu potępionych dusz, podniosło się zawroźnienie mrocznych istot. Uwięzione potwory, bestie i wszelkie monstra ciemności wyrażały zgodne pragnienie wyzwolenia i służenia komuś, w kim na ten czas wyczuwały element bratniej mrocznej duszy. Tym kimś jawiła się im obecnie ich niedawna pogromczyni, Alabaster.

Ona niebawem wzlatywała już z powrotem ponad pałac, czyniąc to na wskroś przepełniona arogancką dumą. Albowiem wreszcie z całą siłą do niej dotarło, co tak naprawdę się działo – została wybrana przez los, stając

się jego najwyższą powierniczką. Oto zyskuje ona w sobie moce zarówno światła, jak i ciemności, dobra oraz zła, aby mogła nimi zamiennie władać zgodnie z własną wolą, by poskromić wszelkich wrogów. W ten sposób już wkrótce cały podległy jej świat wprowadzi pod swym przewodnictwem w nową erę. I bynajmniej nie będzie ona świetlana, ani mroczna. Zrozumiała, że za jej sprawą dokona się absolutny przełom i narodzi coś niezrównanie wielkiego tym razem naznaczonego niespotykaną dotąd czerwienią.

* * *

Sen w naprędcie zbudowanym przez młodego Perlisa igloo zapewne nie był tym, czego na noc życzyłaby sobie Ekru. W końcu z łona jej słynnego rodu pochodziło niegdyś nad wyraz wielu władców alabastrowej krainy. Lecz kobieta nie narzekała. Należała bowiem także po prostu do przedstawicieli alabastrowego ludu i dzięki temu była wyjątkowo odporna na niskie temperatury. Ponadto zdecydowanie bardziej wolała znosić silny mróz niż na ten przykład upały. Zaś zakosztowała już niegdyś takowych daleko na południu wysłana tam z misją na samym początku panowania obecnej władczyni. Wtedy zawiodła, a jak będzie teraz?

Naraz już nad ranem, na wspomnienie wielkiej księżnej Alabaster, członkini rady gwałtownie się wyprostowała i uderzył głową w niski sufit igloo.

– Ajć... – syknęła, czyniąc to najwyraźniej na tyle głośno, że zbudziła czujnego chłopaka, z którym dzieliła mroźne schronienie. – Wyspany? – zapytała go całkiem uprzejmie, gdy zobaczyła, że również i on otworzył już oczy. Pokiwał na potwierdzenie głową i poprawił opaskę okalającą mu czoło. – Całe uczesanie masz, jak się patrzy, zapewniam. – Uśmiechnęła się kobieta, kolejny raz obserwując pieczołowitość, z jaką Perlis Młodszy dbał o nienaganną fryzurę. Choć zaraz zmarszczyła nieco brwi i samodzielnie poprawiła młodzieńcowi włosy, przylizując je przy czaszce i zaczesując do tyłu za uszy. Cóż powiedzieć, nagle budziły się w niej matczyne instynkty i momentami spoglądała na chłopaka niczym na swoje własne dziecko. Ciężko westchnęła na myśl o swym jałowym łonie i niespełnionym macierzyństwie. Wszak już zaraz, mając na myśli fryzurę Perlisa Młodszego, pogodnie podsumowała: – Teraz jest wręcz idealnie i kiedy tylko dotrzemy do Wielkiej Puszczy, niewątpliwie zrobisz na wszystkich alabastrowych strażniczkach iście piorunujące wrażenie. – Na pełne

pochwały słowa chłopak się nieco speszył i uciekł wzrokiem od Ekru. Ona uśmiechnęła się ponownie, po czym wyczołgała z niewielkiego igloo na zewnątrz, gdzie przywitała jasne światło dnia. Zaraz dołączył do niej ciągle zaspany młodzieniec, który obdarzył ją widokiem rozciąganego ciała, w tym uniesionych wysoko rąk i ostentacyjnego ziewania. – No już, pobudka. – Kobieta podszczypnęła go w bok. Na co zaskoczony się skulił, zupełnie jak przed wymierzonym ciosem i z pretensją rzekł:

– Tak nie wypada, pani...

– Ech... – mruknęła tylko Ekru, machając niedbale ręką. Sama głęboko się zaciągnęła mroźnym powietrzem i przyjmując na twarzy złociste promienie słońca, przestrzegła: – Poczekaj tylko, jeszcze ci zbrzydnie i to nie raz, siedzenie całymi miesiącami księżycowymi w pałacu i łażenie krok w krok za tą... Alabaster. Wtedy będziesz tęsknie wspominał takie wypadki, jak ten, gdzie można się wyrwać z monotonii strzelistych korytarzy i zakosztować otwartej przestrzeni. Do tego jeszcze w tak niezwykłej scenerii. – Członkini rady podeszła do najbliższej rzeźby i jakby z lekką zazdrością pogładziła syreni posąg po wydatnych piersiach i łonie.

– To także nie przystoi... Psioczyć na służbę u wielkiej księżnej i obmacywać nagie rzeźby – burknął ciągle niepocieszony chłopak, który, aby przełamać poranną senność, wziął się za wykonywanie energicznej gimnastyki. Jego słowa Ekru zbyła tylko pobłażliwym uśmiechem. Pomyślała, że młodzieniec nie zachowywał się wobec niej naturalnie, a próbował na siłę zgrywać pałacowego służbistę. Nie wierzyła bowiem, aby ktoś tak młody ciałem nie był też młody duchem i nie pragnął zaznać w wielkim świecie prawdziwej przygody.

Z nostalgią wspomniała nastoletni wiek swój oraz Chamoisa, kiedy to po kryjomu uciekli z Pałacu Alabaster i przez dobrych kilka miesięcy włóczyli się po terenach północnych klanów. Co prawda kilka razy mało tam nie zginęli, a to z rąk rabusiów, w wyniku nieporozumień wynikłych z różnic kulturowych, czy ścigani przez srebrzystego niedźwiedzia. Jednakże to, co wówczas wspólnie przeżyli, było ich i nikt już im tamtego szaleństwa nie odbierze.

Z rozczulających wspomnień wyrwało Ekru nowe zjawisko na niebie. W pierwszym momencie odniosła wrażenie, że zauważyła obłoki pojawiające się na dotąd czystym widnokregu. Zaraz jednak zmieniła zdanie i

wskazując ręką na powietrzną eskadrę, z pewną podejrzliwością zwróciła się do Perlisa Młodszego:

– Czy prosiliśmy o dodatkową eskortę gwardzistów na gryfach...?

– To nie są gwardziści – odparł swobodnie chłopak, który w ramach porannej gimnastyki podskakiwał żywiołowo i machał rękoma, zupełnie jakby przyzywał dostrzeżonych jeźdźców.

– Więc kto to jest...? – Mrużąc oczy, Ekru wykonała intuicyjny krok do tyłu. A intuicja nie zwykła jej zawodzić.

– To... – Młodzieniec przyjrzał się uważniej. – To łowcy, tak, to alabastrowi łowcy na gryfach – potwierdził rezolutnie.

– Łowcy ... – wyszeptała z kolei na bezdechu członkini rady i złożyła ręce na piersi, po czym nerwowo rozejrzała się za jakąś drogą ucieczki. Niestety wokół, poza igloo, stały tylko posągi oraz kolumnady. Natomiast zbliżający się podniebni jeźdźcy niewątpliwie dostrzegli już przed sobą parę piechurów i nie wystarczy zejść im z oczu, aby uniknąć wytropienia.

Wobec takiego wniosku Ekru zdała już sobie sprawę z potencjalnego zagrożenia i jednocześnie mizernej szansy na jego uniknięcie. W konsekwencji nerwowo zarządziła:

– Na blask słońca i księżyca, schowaj się w igloo i cokolwiek usłyszysz, nie wychodź.

– Ale czemu? – obruszył się chłopak.

– Powiedziałam, schowaj się! To rozkaz! – ponagliła kobieta i sama postąpiła naprzód, aby ewentualny atak przyjąć na siebie, osłaniając kompana. W chwili, kiedy to uczyniła, świsnęły w powietrzu trzy białe strzały, z których jedna dosięgła ją prosto w pierś.

– Pani! – krzyknął do padającej na kolana Ekru Perlis Młodszy.

– Schowaj się... – wyrzeźbiła, a z ust pociekła jej jasna strużka krwi.

– Ale... Pani! – wrzasnął raz jeszcze chłopak, a na jego twarzy zagościł obraz strachu, ale też nieskrywany gniew. Młodzieniec błyskawicznie zdjął z pleców łuk, nałożył na cięciwę strzałę i sam oddał w kierunku jeźdźców celny strzał. W górze rozległ się przeraźliwy skrzek trafionego prosto w oko gryfa i ten bezładnym lotem runął wprost w kierunku osaczonej pary, podczas gdy pozostałe lecące zwierzęta, w liczbie jeszcze trzech, zmieniły formację na rozproszoną.

– Schowaj... się. – Ekru ostatkiem sił wyszarpała ze swej zranionej

piersi słowa, zachłysnęła się krwią i padła na lód. Nad sobą ponownie usłyszała dziki skrzek, ale od odniesionej rany nie miała już siły podnieść głowy, by spojrzeć, co się wydarzyło.

Aż raptem za kobietą rozbrzmiał odgłos głuchego uderzenia, a tuż koło siebie zobaczyła szybko rozrastający się na lodowej powierzchni cień. I wtem jedna z kolumn z impetem uderzyła w lód, krusząc go i czyniąc w nim potężny wyłom. Zaś Ekru ani się obejrzała, a pochłonął ją powstały lej i w błyskawicznym tempie zaczęła mknąć lodową zjeżdżalnią.

Omdlewając, doprawdy nie wiedziała, jak długo zjeżdżała niemal pionowo w dół, po czym nagle znalazła się w wolnej przestrzeni i spadła prosto do lodowatej wody. Przez chwilę zdołała się utrzymać na powierzchni, ale już zaraz tonęła. A kiedy miała zamknąć alabastrowe oczy, by więcej ich nie otwierać na jasny świat, zobaczyła w wodzie przemykający cień. Pojawiał się z jednej strony osuwającej się w ciemną głębię kobiety, to z drugiej. Gdy naraz Ekru została pochwycona, a jej usta spotkały się z miękkimi wargami i wraz z cudzym oddechem tchnięto w nią nowe życie.

* * *

Jadący poszarzałą łąką Chamois poczuł w sercu ukłucie. Odruchowo pomyślał o małżonce i z nagle rozbudzonym niepokojem obejrzał się w kierunku południowego wschodu. Nie dostrzegł niczego niepokojącego. Na horyzoncie widniało tylko spore stado białych ptaków, które się przybliżały. Obserwując podniebne zwierzęta, się zamyślił i doznał dziwnego uczucia, w którym całe jego dotychczasowe życie w jednej chwili przemknęło przez jego umysł, w tym przede wszystkim chwile związane z ukochaną. Wiedział, że takie nagłe wizje stanowiły często zwiastun rychłej śmierci i były element zegnania się z życiem.

Ciągle spoglądając przez ramię, Chamois popatrzył na konno jadącego z boku Burego, który akurat opowiadał mu jakieś niestworzone historie o srebrzystej olbrzymce. Następnie członek rady wyjął z kieszeni białego płaszcza kuliste pudełeczko stanowiące podarek od Alabaster dla zachodniego króla. Nie chowając upominku, przeniósł spojrzenie na nadlatujące ptaki. Te były już naprawdę blisko i zmieniły szyk, jakby na bojowy, osaczając półksiężycem parę samotnych jeźdźców.

XVI. KASZTAN, RUDA, ZIELEŃ I SEPIA

W miarę jej przemierzania Wielka Puszcza okazywała się naprawdę wielką, a wręcz olbrzymią. W każdym razie o wiele rozleglejszą niż najobszerniejsze rezerваты przyrody w zachodniej republice, gdzie w ostatnim stuleciu wycięto większość i tak nielicznych tam drzew. Tego bowiem wymagał podobno postęp technologiczny. Lecz tutaj najwyraźniej mieszkali tylko prymitywne istoty, które nie budowały nawet miast i same nie do końca przypominały rozumnych mieszkańców.

Do takich wniosków dochodziła coraz bardziej podirytowana dłużącą się drogą przez leśną gęstwinę Ruda, której daleko było do podziwiania przyrody, jak miała w zwyczaju czynić Kasztan. Do tego nie mogła obranej trasy skonsultować z zielonoskórą przewodniczką, ponieważ ta najzwyczajniej w świecie nie potrafiła mówić. Choć odnosiło się wrażenie, że rozumiała ludzką mowę, przysłuchując się przekomarzaniom Rudej z Brunatną. Ale niestety z równą uwagą śledziła ona ruchy ust i wydawane dźwięki pary mahoniowych bliźniaków, czyli analizowała prawione przez nich ostatnie dyrdymały, co z kolei nie świadczyło za dobrze o inteligencji wiły. Taką diagnozę postawiła w każdym razie Ruda, a podejrzewała, że i Kasztan musiałby się z nią przynajmniej częściowo zgodzić.

W ten sposób kolejny już dzień z pleckami i pchając przed sobą załadowane taczki, kroczyli gęsiego i zygzakiem pomiędzy niezwykle masywnymi pniami drzew, zmierzając nie wiadomo gdzie. Przez większość trasy mieli nad głowami parasol z gęstego listowia, przez co podróż zasadniczo wiodła w kojącym cieniu. Natomiast pod stopami nieustannie ugniatali soczystą trawę, łamali rozłożyste paprocie, czy rozdeptywali grzyby, w tym eksplodujące zarodnikami purchawki. Co pewien czas przekraczali też leniwie płynące strumienie i brody pomniejszych rzek, gdzie gasili pragnienie. Zaś zrywanymi z drzew owocami posilali się szczególnie często, kiedy zabrany przez nich suchy prowiant znalazł się na wyczerpaniu.

Aż pewnego popołudnia, Ruda wiedziała, że właśnie wtedy, ponieważ miała na ręku zegarek, w towarzystwie męczącego ją już świergotu ptaków dotarli na rozległą polanę. Tutaj podłoże nie było zbyt pewne, ponieważ stopy uczestników wyprawy grzęzły w miękkim gruncie. Lecz ku ich wielkiemu zdumieniu, gdy zgodnie obejrzel podszwy swego brązowego obuwia, stwierdzili, że były one czarne, ale bynajmniej nie od błota. Oblepiała je gęsta maź, którą zwykle się napełniać zbiorniki maszyn, by wprawiać je w ruch.

– To ropa! – krzyknęła wielce zaskoczona obecnie Kasztan, ponieważ nagłe odkrycie wznieciło w niej falę pozytywnych uczuć.

– Zgadza się, to czarny skarb... – potwierdziła równie zaintrygowana Brunatna, która zamoczyła palec w czarnej brei, posmakowała ją i na potwierdzenie skinęła głową.

– Skarb!

– Skarb! – wykrzykiwała na polanie para mahoniowych bliźniaków. Chłopcy skrzyżowali razem ręce, ścisnęli się za dłonie i z wawo kręcili radosnego młyńca.

– Wiecie, co to oznacza...? – zapytała naraz z tajemniczą nutą w głosie Kasztan. Na co najstarsza dziewczyna podeszła do niej i ze szczerym uśmiechem namalowała na piegowatej twarzy przywódczyni dwie czarne kreski, jakby poszerzając jej z kolei uśmiech. Potem z dumą odpowiedziała:

– Jesteśmy odkrywcami. Jesteśmy najprawdziwszymi odkrywcami czarnego bogactwa Wielkiej Puszczy. – Obie dziewczęce postacie przytuliły się nawzajem i przyjacielsko poklepały po plecach.

– Zarządzam postój, drużyno! – krzyknęła już zaraz zadziornie Ruda, którą wyzwolił z osobowości Kasztan przerost ambicji oraz wizja przyszłej chwały. Następnie dziewczyna rozejrzała się za fragmentem stabilniejszego gruntu, a jednocześnie już snuła na głos swe dalekosiężne plany: – Założymy tu bazę wydobywczą i zgromadzimy tyle ropy, ile zdoła unieść nasz sterowiec, którego naprawą się wkrótce zajmiemy. Ponadto możliwie dokładnie oszacujemy odkryte złoża i postaramy się stworzyć mapy okolicznych terenów. Musimy to wszystko z pieczołowitością wykonać, a wtedy zostaniemy najsłynniejszymi nastolatkami w dziejach zachodniej republiki! I już nie będziemy się musieli uczyć w szkołach, ponieważ to o nas będą nauczać, aha!

– Kiedy ja się lubię uczyć... – zauważyła nieco markotnie Brunatna. Ale Ruda tylko machnęła na tę uwagę niedbale ręką i puściła oko do bliźniaków, którzy entuzjastycznie przyklasnęli dla jej wywodu.

Niebawem na skraju lasu, gdzie grunt był stabilniejszy, wszyscy wzięli się za rozkładanie obozowiska. Wszyscy poza Rudą, która w swoim mniemaniu stworzona została do wyższych celów. Ona więc jedynie bacznie dyrygowała pozostałą ekipą. Aż przypomniała sobie o pewnej ważkiej kwestii związanej ze zdrowiem dziadka i podeszła do zdezorientowanej wiły, która przycupnęła na środku polany. Dziewczyna ukucnęła przed nią i już jako Kasztan łagodnie zapytała:

– Czy... czy ty nas rozumiesz, nasze słowa? – W odpowiedzi istota przechyliła się w jedną, to drugą stronę, aż nieco zsunął się jej kwietny wianek z głowy. Ale zaraz pokiwała nią na zgodę. – Doskonale – ucieszyła się przywódczyni i pozytywnie nastawiona ciągnęła dalej: – Bardzo dziękujemy za okazaną do tej pory pomoc, naprawdę. Jednak my tutaj zostajemy, musimy i... poradzimy sobie. Wszak ciebie proszę jeszcze o jedno, to ważne. Mianowicie poszukuję krzewu hurmabowca, aby za jego sprawą uleczyć bliską mi osobę. Czy wiesz, o jakiej roślinie mówię i gdzie jej szukać? A jeżeli tak, czy mogłabyś mi ją... przynieść? Obiecuję, wręcz zaklinam, że wszyscy się odwdzięczymy. Ja w każdym razie na pewno, masz moje słowo. – W reakcji na ten wywód zielona kobieta zmierzyła dziewczynę uważnym pistacjowym wzrokiem, po czym chwyciła ją za luźną koszulę w kolorze brązu i spróbowała pociągnąć ku sobie. – Nie... Nie. – Wyrwała się delikatnie Kasztan. – Nie pójdę teraz z tobą. Moi przyjaciele by na to nie przystali, a nie mogę ich zostawić. Jednakże jeżeli tylko przyniesiesz mi krzew hurmabowca, wtedy będziesz mogła na mnie liczyć i podążę z tobą, gdzie zechcesz i także ci pomogę. – Wiła, jakby naraz zafrapowana, pokręciła z niezadowoleniem głową. Zaraz jednak wzruszyła ramionami i zaczęła się niespiesznie oddalać, kontynuując dotychczasowy kierunek. – Ale... mamy umowę, tak?! – rzuciła jeszcze za nią z nadzieją Kasztan. Lecz żadnej reakcji ze strony leśnej istoty już się nie doczekała i ta zaraz zniknęła w gęstwinie. Wobec tego dziewczyna powróciła do przyjaciół, aby obecnie osobiście pomóc im w rozstawianiu sprzętu. Zaś w zielonej kobiecie pokładała wiarę, że ta mimo wszystko powróci z leczniczym zieleń i w ten sposób uzyska tak bardzo pożądane lekarstwo.

* * *

Zieleń niestrudzenie przemierzała Wielką Puszczę, jej ukochany dom, który ponad wszystko pragnęła chronić. W tym celu chciała poprowadzić ze sobą poznaną dziewczynę o brązowym kolorze skóry. Powód był prosty, odczuła z tą postacią nietypową więź i chociaż wiedziała, że nie była ona istotą lasu, a obcym przybyszem, to rozbudziła się w niej nadzieja, że ten człowiek jej pomoże. A potrzebowała pomocy, podobnie jak jej leśni pobratymcy, ponieważ jej roślinny dom był bezwzględnie niszczone. Działo się tak za sprawą okrutnych ludzi o alabastrowej skórze, którzy dzień w dzień wycinali wielkie połacie północnego lasu. Zieleni wręcz krwawiło zielonkawą krwią serce, kiedy patrzyła na okaleczane leśne ustępy, огоłacane z gałęzi pniaki broczące obficie żywicą, a potem bezwzględnie ścinane i ćwiartowane na mniejsze kawałki. Zaś co najgorsze końca tej tragedii nie było widać, albowiem okrutnych istot o alabastrowej skórze nieustannie przybywało, a ich apetyt na drewno wydawał się nienasycony. Ponadto razem z nimi ostatnio pojawili się także ludzie o srebrzystym kolorze skóry i z równie wielką bezwzględnością uśmiercali wszelkiego rodzaju zwierzyne w kniejach. A zamordowane istoty, o zgrozo, odzierali ze skóry, po czym paradowali w niej w najlepsze. Z kolei mięso trawili straszliwym ogniem, by żarłocznie pożerać.

W obliczu tak wielkiej tragedii Zieleń pragnęła działać. Lecz gdzie mogła znaleźć sprzymierzeńców? Watahy wilków z północnych połaci Wielkiej Puszczy po prostu uciekły na południe, podobnie postąpiła większość innych dużych zwierząt, a z mniejszych byli żadni wojownicy. Z kolei enty żyły w samym sercu lasu, ale już stare i spróchniałe nie chciały nawet słyszeć o wyrywaniu swych nóg z ziemi, te bowiem zapuściły już dawno grube korzenie. Pozostawały jeszcze leśne skrzaty czy rusałki, jednak one nawet nie rozumiały, co to walka. Podobne niechętnie przemocy były potężne niczym góry omatomby – podziemne czerwie żyjące na mniej zalesionych terenach. Ciężko też było liczyć na ociążałe karambuchy przypominające gigantyczne purchawki na czterech łapach. A przecież Zieleń w celu poprowadzenia krucjaty przeciw alabastrowym okrutnikom nie mogła przebudzić Malachitowego Króla. Nie, tego byłoby nazbyt wiele, ponieważ przestrzegano ją, że wiązałoby się to z wielkim ryzykiem i to dla wszystkich leśnych stworzeń.

Dlatego w obronie Wielkiej Puszczy wiła pozostawiona została sama sobie. Wszak aż do teraz, kiedy wszystko podpowiadało jej, że jeżeli ktoś miał jej naprawdę pomóc w ocaleniu leśnych współbraci i sióstr lasu, to właśnie przybysze o kasztanowym kolorze skóry. Natomiast jeśli za pomoc także i oni pragnęli wsparcia, niech i tak będzie. W końcu wiła знаła unikalne miejsce na wschodnim wybrzeżu, gdzie rosły krzewy hurmabowca, o które ją poproszono, więc właśnie chyżo po nie zmierzała. Ponadto teraz, już niespowalniana przez brązowoskórych piechurów, mogła w pełni rozwinąć swój potencjał w lesie i dzięki temu niezwykle przyspieszyć.

Zwinnie wspięła się na pień drzewa i stanęła na jego gałęzi, po czym chwyciła grubą lianę, by wybić się z nią do przodu. A zaraz puściła ją i wykonując wielokrotne salto, już szybowała nad zielonymi koronami drzew. Gdy tylko na powrót spadła pomiędzy listowie, od razu pochwyciła kolejny roślinny odrost i z miejsca powtórzyła akrobatyczną sztukę. Czyniła tak raz za razem. A kiedy chwilowo brakło wokół lian, których mogłaby się chwycić, skakała z niezwykłą zręcznością po sprężynujących gałęziach, które wręcz wystrzeliwały ją w przestrzeń i jeszcze dodawały pędu.

Po drodze mijała żerujące w leśnej gęstwinie zwierzęta, które znały ją i patrzyły na nią przyjaźnie, czy z równą aprobatą węszyły ku niej. Dostrzegała gniazdujące ptaki, odpowiadające na jej widok radosnym świergotem. Gnając pomiędzy gałęziami, nie omieszkiwała pozdrawiać wylegających się tu i ówdzie leniwców, stad rozwrzeszczanych małą, czy innych mieszkańców leśnych kniei, z którymi była za pan brat i zgodnie dzieliła swój wspaniały zielony dom.

Aż po kilku dniach takiego drzewnego galopu, czyniąc tylko krótkie postoje na sen w dziuplach i pożywianie się soczystymi owocami, dotarła nad brzeg Szmaragdowego Morza. Tutaj, mając na bezkresnym horyzoncie widok słonej wody oraz oliwkowych plaż porośniętych palmami kokosowymi, wspinała się na górujące nad okolicą niemal nagie skały o seledynowej barwie.

Wreszcie dotarła na sam szczyt i na swoistym płaskowyzu ukazał się jej jedyny w swoim rodzaju kwietnik. Było to bowiem miejsce, gdzie przebywał niegdyś ślepy starzec, uprawiający tu nieprzeliczone rośliny, o których

powiadał, że to lecznicze zioła – wielki skarb dla zdrowia ludzi niezależnie od kolorytu ich skóry. Wówczas jeszcze bardzo młoda ciekawska Zieleń spędziła sporo czasu u boku tamtego starca. On zaś, prawiąc, nie wiadomo do samego siebie, czy do niej, opowiadał, które surowce lecznicze najlepiej służyły na dane ludzkie przypadłości. Stąd wiła wiedziała, do czego potrzebny był krzew hurmabowca oraz jakich jego części należało użyć, aby otrzymać najlepszy leczniczy efekt.

Co więcej, od owego zielarza, przy którym dobrze się podszkoliła w rozumieniu ludzkiej mowy, dowiedziała się też, że podobno sama była niejaką legendarną siostrą krwi i miała szansę dokonać czegoś wielkiego. Zieleń wtedy, jak i teraz, nie bardzo rozumiała, do czego odnosić słowa odnośnie do niezwykłości jej potencjalnych dokonań. Lecz obecnie pomyślała, że być może chodziło właśnie o uratowanie przed zagładą Wielkiej Puszczy. A skoro tak, tym bardziej nie zamierzała zawieść.

Teraz natomiast umiejętnie odrywała od gałązek krzewu hurmabowca jego liście w kolorze ciemnej khaki oraz jaskrawo zielone kwiaty z patynowymi pręcikami w środku. Całość zebranego surowca zaplotła w misterny wianek, w którym znalazło się ponadto jeszcze kilka innych ziół mających wzmocnić pożądane działanie podstawowego surowca zielarskiego. Następnie zdjęła z głowy dotychczasową już podsuszoną ozdobę i przykryła swe zielone włosy świeżo sporządzonym wianuszkiem. W nim, pełna dobrych myśli, ruszyła w powrotną drogę.

Choć zanim to uczyniła, przystanąła jeszcze na dłuższą chwilę na seledynowej skarpie i z wysokości z niepokojem obserwowała jawiący się na morzu widok. Był to unoszący się na szmaragdowych falach podejrzany twór złożony z niezliczonej ilości szkieletów martwych drzew przyozdobiony u góry białymi płachtami, na których widniał alabastrowy półksiężyc opasający kremowe w swej barwie słońce. Wobec takiego smutnego obrazu ściętych i utopionych drzew Zieleń tylko otarła spod oka pistacjową łzę i jeszcze bardziej zmobilizowana zaczęła schodzić ze skalistego urwiska.

* * *

Słaba ułomna natura poddająca się potędze ludzkiego rozumu i przede wszystkim niewzyciężonej technologii! Taki właśnie industrialny plener napawał Rudą nieskrywaną dumą. Z zadartym podbródkiem i dłońmi

wspartymi na biodrach przechadzała się drewnianymi pomostami przecinającymi roponośną polanę. W jej centrum nieustannie pracował silnik zabrany ze sterowca, który zasysał pompą czarną ciecz do skleconych przez mahoniowych bliźniaków beczek uszczelnionych żywicą. Ponadto na skaju polany stała już drewniana szopa na narzędzia, również magazyn na beczki oraz prowizoryczne baraki mieszkalne i przede wszystkim tartak.

Ten był absolutnie niezbędny, ponieważ masowa wycinka drzew trwała w najlepsze. To w końcu z nich układano pomosty, budowano beczki, czy konstruowano kolejne budynki. Na szczęście drzewnego surowca znajdowało się tu pod dostatkiem. Zaś zapobiegliwa Ruda, z chytrym uśmieszkiem na piegowatej twarzy, poleciła dokonywać systematycznie wycinki na zapas. W końcu czemu nie, skoro drzew wydawało się w okolicy aż za dużo.

Do tego postępujące ubytki w drzewostanie z premedytacją wiodły w kierunku pobliskiej rzeki, ponieważ nadzorczyńi roponośnego pola zdecydowała się uczynić w jej kierunku bitą drogę. Nie bez przyczyny zresztą. Wspomniana rzeka płynęła bowiem w kierunku rozbitego sterowca i idealnie nadawała się do spławu drewna oraz beczek z ropą. Co prawda po drodze ciek wodny miał kilka niebezpiecznych kaskad i przez to próbnie puszczane rzeką beczki z ropą roztrzaskały się o ostre kamienie i skaziły wodę. Ale dzięki temu trasa została należycie przetarta. W konsekwencji, gdy przyjdzie dokonać kolejnego spławu, w newralgicznym miejscu staną mahoniowi bliźniacy z tykwami, aby odpowiednio pokierować beczkami. Zresztą pewne straty surowca były nieuniknione, ale Ruda stwierdziła, że korzyści ze spławu zdecydowanie przeważały nad negatywami, co skrupulatnie odnotowała w prowadzonym dzienniku.

Teraz natomiast, po dokonanych oględzinach małego pola naftowego, postanowiła się udać na obiad do wygaszonego ogniska, gdzie na różnie zostały resztki pochwyconej we wnyki, a obecnie dobrze upieczonej sarny. Zaiste, masując się po brzuchu i smakowicie oblizując usta, Ruda raz jeszcze pochwaliła swą wielką zapobiegliwość. To jest, zabranie na wyprawę ogromnej ilości różnorodnego sprzętu, który dodatkowo pozwalał na miejscu wytwarzać narzędzia czy choćby w przyszłości destylować gaz niezbędny do ponownego napełnienia cygara sterowca.

Naraz wręcz tonąca w samozadowoleniu dziewczyna, dostrzegła na skraju polany stojącą pośród ściętych drzew wiłę. W pierwszym momencie odczuła gniew, że ta zielona istota tak długo kazała na siebie czekać. Lecz zaraz w jej umyśle pojawiło się wspomnienie o chorym dziadku. To ją w jednej chwili roztkliwiło i już nie była Rudą, a Kasztan.

Dlatego przystanąła w samym centrum polany, zapobiegawczo wyłączyła warkotliwy silnik, aby nie robił hałasu i gestem dłoni przyzwała do siebie wiłę, pełna nadziei, że ta powróciła z pożądanym krzewem. Istota jednak wyraźnie się ociągała i wydawała mocno zaniepokojona. Przebierała nerwowo rękoma i chodziła w poprzek skraju polany, jakby bojąc się na nią wkroczyć. Ponadto ze smutkiem w oczach spoglądała na pokawałkowane pnie drzew.

Aż krzywiąc się na zielonkawej twarzy, po widocznej walce ze sobą, weszła na kładkę i nisko pochylona na czworakach ostrożnie podeszła do przykucniętej Kasztan. Ta uśmiechnęła się przyjaźnie, ale nieoczekiwanie odpowiedział jej gniewny wyraz kobiecego lica. Następnie wiła przyglądała się dłuższy czas dziewczynie, czyniąc to z narastającym bólem. Aż podwinęła jej rękaw koszuli i nieoczekiwanie skaleczyła, wykonując nacięcie ciernistym paznokciem wzdłuż przedramienia.

– Co robisz? – syknęła zaskoczona Kasztan, z powodu doznanej rany, będąca na granicy przeistoczenia się znowu w Rudą. Spróbowała wyszarpnąć rękę z uścisku, ale bez powodzenia. Z kolei wiła do kompletu skaleczyła własną rękę, zanurzyła palec w miejscu z zieloną krwią, po czym musnęła nim otwartą ranę dziewczyny. W ten sposób w brązowej krwi zmanifestowała się zielona nić. Ta trwała pewien czas, aż zaczęła blednąć do jaśniejszego koloru i całkiem się rozplynęła w dominującym brązie. – Co to ma znaczyć, co chcesz mi przekazać? – dopytywała zbита z tropu Kasztan. Na co Brunatna, która przed chwilą pojawiła się za plecami dziewczyny w towarzystwie mahoniowych bliźniaków, zabrała głos:

– Jej chyba chodzi o krew, o związek krwi. Tylko zobacz, pokazuje na siebie, to na ciebie, a potem na waszą krew i łączy dłonie. – Zwróciła uwagę na gesty wiły.

– I co dalej...? – zaciekawiała się Kasztan. Jednakże dotychczasowe przyjazne ruchy istoty, sugerujące jakiś rodzaj związku, raptem zastąpiła gniewna mowa ciała. Przybierając odpychający grymas twarzy, zielona

kobieta z wyrzutem zatoczyła kolisty ruch ręką, wskazując na powalone drzewa i drewniane budynki. Zdecydowanie odchyliła się do tyłu i wykonała kolejny odpychający gest dłońmi, zupełnie jakby chciała się trzymać od Kasztan na dystans. Pokręciła przecząco głową, po czym zdjęła z głowy kwietny wianek i cisnęła nim w czarną breję. Docisnęła go stopą, tak, że niemal w całości znalazł się w ropie i zaczęła tyłem odchodzić. – Poczekaj, nie rozumiem! – krzyknęła za nią Kasztan, czyniąc to z nutą bezradności w głosie. Ale wiła dała naraz potężnego susa za ułożony stos drewna i wszystkim zgromadzonym na środku polany zniknęła z oczu. Ci popatrzyli po sobie skonsternowani. Aż podirytowana taki obrotem sprawy obecnie Ruda, wyciągnęła z ciemnej mazi ociekający nią wianek, włożyła go sobie na głowę zamiast zwykle sterczącej tam pirackiej czapki i arogancko warknęła:

– Do niczego nie potrzebujemy tej półdzikiej zieleniny, niech znika, humanoidalna sałata! My mamy ważniejsze zadania! – Pokazała na ropę.

– A ty... ty masz na głowie krzew hurmabowca – zauważyła pojednawczo Brunatna. – Zaś istota, która ci go podarowała, chyba próbowała przekazać, że jesteś dla niej kimś bliskim, jak siostra. I że ją zawiodłaś, niszcząc okoliczną przyrodę, jej dom.

– Ale... jak to. – Nagle kompletnie pomieszana w swych odczuciach dziewczyna poczuła się naprawdę dziwnie. Zdjęła z głowy wianek i przyjrzała mu się ze smutkiem. Z podobnym uczuciem wewnętrznego rozdarcia popatrzyła po wyniszczonym terenie i padła bezradnie na kolana.

Obecnie nie czuła się Kasztan, ani też Rudą, za to kimś jednoznacznie złym, kimś, kto zawiódł. W końcu sama niegdyś chroniła leśny zagajnik w pobliżu swego domu przed zniszczeniem go za sprawą linii kolejowej. I sama miała przecież domek na drzewie dla siebie oraz swoich przyjaciół. Lecz gdyby zostało jej to odebrane, byłoby jej z tym bardzo źle. A co sama teraz uczyniła wobec wiły, istoty, która za niegodziwość odwdzięczyła się jej dobrocią i przyniosła lekarstwo?

– I co teraz robimy? Na pewno działamy dalej zgodnie z dotychczasowym planem? – zapytała bez wiary Brunatna i popatrzyła po raptem przygnębionych bliźniakach w pobrudzonych czernią ubraniach roboczych. Następnie wszyscy zastygli w oczekiwaniu, aż przemówi ich przywódczyni. Ona jednak ciągle milczała, wpatrując się w mroczną breję, dla której,

zgodnie z industrialnym duchem rozwoju, była gotowa do niedawna poświęcić tu wszystko i wszystkich. Wszak naraz trawiły ją poważne wątpliwości, czy aby obrała w tym względzie właściwą drogę.

Dłuższy czas rozdwojony umysł dziewczyny balansował pomiędzy byciem Rudą, Kasztan, a może stania się jeszcze kimś innym, w tej chwili nieodgadnionym. Na moment przeniosła wzrok na ranę zadaną jej przez wileń. Zaskoczona dostrzegła tam nie swoją zwyczajowo brązową krew, ale w kolorze ciemnej khaki, będącą efektem wymieszania dominującego brązu z elementem zieleni.

– Khaki... – wyszeptała w zadumie. Gdy wtem ze świata duchowych rozterek i rozmyślań wyrwał ją paniczny krzyk Brunatnej:

– Kasztan, uważaj!

Wobec tego zawołania dziewczyna obrzuciła wzrokiem najbliższą okolicę i raptem zastygła z wrażenia. Oto tuż koło niej z ciemnej brei wychynęła czarna jak smoła dłoń. Przesunęła się ona po powierzchni ropy i dotarła do kładki, po czym chwytając za nią, wynurzała się z odmetów wraz z pozostałą częścią mrocznej istoty. Ta ukazała swe jednolicie czarne, łyse i gładkie, człekokształtne oblicze.

– Przebudziliśmy ropniaki! – wrzasnął naraz spanikowany Mahoń.

– Tak, jest ich więcej, są wszędzie! – zawył do kompletu Mahoniowy i razem z bratem przyłgnęli do równie wstrząśniętej Brunatnej. Za moment opierała się o nich też przywódczyni. Wyciągnęła zza pasa pistolety i właśnie stawała się Rudą, bowiem w obliczu nadchodzącej niechybnie walki, to właśnie na jej barkach spoczywało pokonanie niespodziewanych przeciwników. Dlatego przymierzyła ze spluw do najbliższej z ociekających ropą istot, która już prawie cała wdrapała się na kładkę. Gdy nagle Brunatna chwyciła ją za dłoń i rozpaczliwie wrzasnęła:

– Oszalałaś?! Toż to ropniaki, a wszędzie jest łatwopalne paliwo. Tylko wystrzel, a wywołasz potężną eksplozję i wszyscy na tej polanie zaraz żywcem spłonimy!

Wobec takiego ostrzeżenia skonsternowana Ruda powoli schowała pistolety i oparła dłoń na rękojeści szpady. Jednak wiedziała, że w obliczu przytłaczającej przewagi niespodziewanego wroga, który otaczał ich zewsząd szczelnym kordonem, jej biała broń zda się tu na nic.

Sepia de Bruton rozsiadł się w salonie na sofie i rzucił na stół przyniesione ze sobą jeszcze zapieczętowane listy. Nabrały one poślizgu na polakierowanej powierzchni blatu i rozsunęły się w wachlarz niczym talia kart. Pan domu już zamierzał sięgnąć do kieszeni fraka po wielofunkcyjny scyzoryk, aby otworzyć pierwszą kopertę, ale zaniechał tej czynności. Zamiast tego po prostu przerywał krótsze krawędzie papierowych opakowań i wyciągał z nich zapisane kartki, po czym ciężko wzdychając, pochłaniał wzrokiem kolejne dokumenty. Aż intensywnie potarł krzaczaste brwi i do osoby, która przy kominku siedziała na bujanym fotelu z wikliny, robiąc na drutach, chrapliwie oznajmił:

– Droga Spiżjo, nalej mi, proszę, koniaku.

– Nie – odburknęła kobieta. Na chwilę oderwała wzrok od ręcznej robótki i spoglądając krytycznie na męża, cierpko zapytała: – Kolejne niewesołe wieści?

– Cóż... – Sepia ponownie przetarł dłońmi zmęczoną twarz. – Podejrzana choroba płuc, której pierwotne ognisko zlokalizowano na peryferiach stolicy, zdążyła ogarnąć już dzielnice robotnicze innych metropolii. Problem szczególnie narasta w bezwietrzne dni, kiedy nad miastem panuje smog. Nasi lekarze...

– Przecież dobrze wiesz, że nie o to pytam – syknęła Spiżja, nie dając małżonkowi dokończyć zdania. – Co z naszą córką?! – zaakcentowała silnie ostatnie zdanie.

– To nie jest nasza... córka – zauważył markotnie Sepia.

– Jak śmiesz. Dla mnie jest i dla ciebie też powinna – skrytykowała postawę męża pani domu, okraszając swą niezbyt urodziwą twarz rzędem poziomych zmarszczek na czole.

– Nie chcę się kłócić – jękną tylko mężczyzna.

– A ja chcę odzyskać córkę. To dobre dziecko.

– Dobrze...? – Sepia popatrzył na żonę z pewnym wyrzutem. – Czy dobre dziecko raz za razem kradnie ojcu sterowiec, a obecnie znika bez śladu? – wyraził wątpliwość.

– Ukradła? Ależ nie Kasztan, ona tylko go pożyczyła. W końcu należy do rodziny, zarówno ona, jak i sterowiec – zbyła uwagi małżonka kobieta. A zaraz jeszcze spoważniała, o ile to w ogóle możliwe i z przejęciem w głosie zasugerowała: – A jeżeli nasza mała Kasztanka została uprowadzona?

– Naszym sterowcem...? – nie dowierzał Sepia. – Do tego razem z bliźniakami Mahoniów, niejaką Brunatną z domu Ochra oraz psem Umbrą? Ich wszystkich porwano...? – De Bruton popatrzył na żonę z pewnym politowaniem. Na co ta się obruszyła, ponownie wbiła wzrok w dziergany kubraczek i krótko ucięła:

– Nie chcę z tobą dyskutować, chcę odzyskać córkę. Masz to zorganizować.

– Zorganizować, oczywiście... – powtórzył pod nosem mężczyzna. – Zawsze tak dobrze wszystko organizuję, w końcu to moja specjalność, prawda? – powiedział, ale już jakby sam do siebie i po chwili namysłu ocieźale, niczym przeładowana węglem lokomotywa, oświadczył: – Palisander twierdzi, że jest w stanie odnaleźć Kasztan i sprowadzić ją do domu całą i zdrową. W końcu jest ministrem spraw zewnętrznych, a pewne poszlaki wskazują, że naszej podopiecznej może już nie być w kraju. Ja z kolei dzierżę tekę ministra spraw wewnętrznych w rządzie. I w takim układzie, aby uzyskać przychylność Palisandra, musiałbym się zgodzić na forsowane przez niego plany, w tym także te względem zachodniego królestwa...

– Więc się zgódź – skwitowała tylko pani domu.

– Ależ... tu może chodzić o wypowiedzenie wojny naszemu północnemu sąsiadowi. A w każdym razie, dojdzie do silnej ingerencji w jego sprawy, moja ty Spizowa Damo.

– Nie nazywaj mnie tak, wiesz, że tego nie lubię.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia, w obliczu potencjalnej wojny, by odzyskać Kasztan...? – zdziwił się de Bruton.

– Domeną mężczyzn jest walczyć, matek wychowywanie i ochrona ich dzieci – ucięła ponownie pani domu. Wszak pan domu nie dał się tak łatwo zbyć, zauważając:

– Sęk w tym, że na wojnie giną głównie dzieci swoich rodziców, którzy nieroztropnymi czynami nie zdołali ochronić własnych pociech. I dla Kasztan mielibyśmy przyłożyć do tego rękę?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi, albowiem więcej słów w wymianie zdań małżonków de Bruton już nie padło. Za to kilka dni później w całej republice ogłoszono mobilizację i liczne oddziały muszkietarów skierowano ku północnej granicy.

XVII. CZARNA

Hah! Za kogo oni niby ją mają? Z jedno z tych zmrocznych i bezmózgich popychadeł? O nie. Co to, to nie! – Czarna nie będzie posłuszna nikomu poza mrokiem w sobie. Od teraz służy tylko największej ciemności, nikomu innemu! Ciemność natomiast pragnie jej pomocy, wręcz tęsknie błaga o nią i niniejszym demonica stanie na wysokości zadania, odpowiadając na to wołanie, na ten zmroczny zew. Przeto sprzeciwi się woli Antracyta, by dowieść swej wartości przed samą Martwicą. W konsekwencji bynajmniej nie odda peleryny młodszej łowczyni, nic bardziej mylnego. Za to wyruszy wypełnić powierzona jej pierwotnie misję. Zwieńczy ją sukcesem, a wówczas wszyscy będą musieli przyznać, że jednak zasługuje na specjalne względy, nie będą mieli wyboru.

Tak oto Czarna potarła na szczęście swe rogi, w tym jeden lekko nadpiłowany w kuźni, którym dopiero co zakłuła na śmierć kowala chcącego pozbawić ją poroża. Następnie ruszyła na południowy wschód na sam kraniec zmrocznej granicy, gdzie stykały się ze sobą ziemie piaskowego południa oraz lesistego wschodu. Miał się tam bowiem rozbić niespotykany pojazd. Zaś zleconym uprzednio Czarnej zadaniem, było wytropić podróżujące nim istoty i zabić wszystkie poza jedną, którą należało najpierw stosownie przesłuchać, by wyjawiała sposób poruszania się tajemniczą machiną.

Proste? Dla kogoś z tak nieposkromioną ambicją, jak świeżo zdegradowana młodsza łowczyni, wręcz banalne. I już się dosłownie nie mogła doczekać zatopienia swych czarnych rogów oraz równie czarnych sztyletów w ciałach świetlistych przybyszy. Żywiła też szczerą nadzieję, że ci nie udali się w głąb centralnej krainy, co byłoby szaleństwem, a podążyli ku światłu na południe lub wschód. Bo przecież nie po to zachowała swój unikatowy strój łowczyni, aby nie wypróbować jego mocy w promieniach jasnego słońca.

Choć sama przed sobą musiała też przyznać, iż po raz pierwszy w swym

istnieniu autentycznie zapragnęła dłużej niż na chwilę opuścić mrok. Chciała zakosztować innego kolorytu, zapachów i scenerii, a także jadła w miejsce wiecznej ciemności, trupiego odoru i oślizgłych robali w ustach. To ją dodatkowo motywowało, przez co swoim zwyczajem, podróżując, czyniła to prawie nieustannie w biegu i zwinnie używała ku temu wszystkich czterech kończyn dobrze nawykłych do trudów szybkiej wędrówki.

W ten sposób w kurzu i czarnym pyłe przemierzała wielki szmat drogi upiornej krainy. Minęła jeden z siedmiu bastionów mroku – czarną fortecę umiejscowioną w gigantycznej czaszce pradawnego strażnika Centralnej Czułości, który ongiś walczył tu z lodowymi olbrzymami, zdecydowanie górując nad nimi posturą i wzrostem. Przebiegła też w pobliżu ruin Świątyni Zła poświęconej nieczczonemu już przez nikogo starożytnemu bogu albo bogini. Roztropnie obiegła czarne bagna zwane Trupim Bulgotem – słynną wylęgarnię zmrocznych mątów. Zaś będąc już daleko na wschodzie, przemknęła przez martwy las wydarty nie tak dawno z łona Wielkiej Puszczy. Na koniec podróży wkroczyła na pola śmierci, czyli tereny pełne martwych istot czekających na zmroczne tchnienie Martwicy, by powrócić na pewien czas do namiastki istnienia w służbie ciemności. Aż w niedalekiej odległości od południowo-wschodniej granicy natrafiła na potężną rozpadlinę z przerzuconym przez nią spróchniałym pniakiem, jako jedyną możliwą formą przeprawy.

Zziajana wysiłkiem Czarna chwyciła za swój okrągły kolczyk w nosie, jak miała w zwyczaju, kiedy wahała się przed podjęciem ostatecznej decyzji. Szybko jednak puściła metalową obręcz, ponieważ wnioski, jak należało się zachować wobec zastanej sytuacji, wydawały się oczywiste. Spoglądając na wschód czy zachód wzdłuż rozpadliny, widziała bowiem jedynie ciągnący się nie wiadomo jak daleko głęboki rów, którego dna nie mogła dostrzec. Natomiast istoty, które miała wytropić, zapewne cały czas się oddalały w nieznanym kierunku. Nie należało więc dodatkowo nadkładać drogi. Zamiast tego trzeba było uwierzyć w siebie, w mrok w sobie i pokonać przeszkodę.

Czarna rozsunęła smukłe ramiona na wysokość barków i balansując rękoma, niczym linoskoczek, szła naprzód po niezbyt prostym pniaku. Ten poza tym, iż był dość wąski, mniej więcej na dwie pięści, to nie stanowił całkiem zwartej struktury. Pod wpływem nacisku gołych stóp co raz od

martwego drewna odpadała spróchniała warstwa i rozsypując się w proch, niknęła gdzieś hen w rozpadlinie. Jednak demonica, jak prawdziwa akrobatka, a zręczności jej nie brakowało, systematycznie przesuwała się do przodu, aż dała radę bezpiecznie pokonać ponad dwie trzecie drogi. Wówczas zaskoczona zastygła w miejscu, słysząc przed sobą wielce zgrzytliwy głos:

– Czas na twoje ostateczne unicestwienie, żałosny robału...

Zmroczna dziewczyna spojrzała uważnie przed siebie i wyłowiła z mroku wyłaniającą się tam potężną postać. Stała ona nad przepaścią na zwalonym drzewie w miejscu, gdzie pniak był najgrubszy. Zaś ową postacią, która stanęła Czarnej na drodze, był nie kto inny, jak sam Antracyt. Wyjął on z pochwy czarny miecz i wymierzył go wprost przed siebie. Natomiast za demonem dało się słyszeć gardłowy ryk zmrocznej pумы, siejącej postrach istoty, której zwykle dosiadał starszy łowca.

W obliczu niespodziewanego tu przeciwnika demonica odruchowo spojrzała za plecy, rozważając ucieczkę. Ale zaraz skarciła się za chwilową słabość. Była przecież mrokiem, samą esencją ciemności, uosobieniem nieskończonej nocy! A skoro tak, to nie miała prawa się bać, ani nawet lękać ni trochę. Zamiast tego musiała podjąć wyzwanie i sprowadzić na to miejsce ostateczne unicestwienie – swoje lub Antracyta.

Wyjęła parę sztyletów i czujnie ustawiła się w pozycji bojowej, uginając mocno kolana. Wszak jej przeciwnik, co w tej sytuacji zrozumiałe, nie kwapił się z atakiem. Zajmował bowiem korzystną pozycję na stabilnej części kładki, dlatego cierpliwie czekał. Zmroczna dziewczyna bynajmniej nie dała się prosić. Zaś budzący się w niej do walki zapał, podsyciała myśl, że eliminując starszego łowcę, po prostu zajmie jego miejsce, które tak naprawdę jej się należy. Nieposkromiona ambicja tak właśnie nakazywała jej myśleć i w konsekwencji działać, sprawiając, że stopy Czarnej już szukały oparcia na drewnie w bliskiej drodze do przeciwnika.

Kiedy chwiejąc się, zdołała do niego dotrzeć, ten wykonał potężne cięcie na linii kolan demonicy. W efekcie odruchowo podskoczyła. Lecz po ponownym kontakcie z chybotliwym gruntem, ostrze miecza znalazło się akurat wbite w kładkę dokładnie pomiędzy jej nogami.

– Giń! – krzyknął wściekle Antracyt i zamaszystym ruchem pociągnął klingę do góry. Czarna w ostatniej chwili ponownie wybiła się wzwyż, tym

razem czyniąc zręczne salto do tyłu i spadła niepewnie nogami na kładkę nieco dalej od Antracyta. Ale jedna ze stóp omsknęła się jej z niestabilnego podłoża i zmroczna dziewczyna runęła w dół.

W ostatnim momencie zdążyła się złapać dłonią belki, a zaraz pochwyciła ją też drugą ręką. I już wykonywała balans ciałem, aby objąć kładkę również nogami, lecz wtedy przeciwnik przypuścił szturm mieczem na jej zaciskające się na próchnie palce. Dlatego Czarna błyskawicznie puściła omszałe drewno, unikając okaleczenia. Jednocześnie cudem zdążyła opleść belkę dolnymi kończynami i w ten sposób zawisła głową do dołu.

W tej pozycji schowała szybko sztylety, po czym wykonała gwałtowny skręt tułowia. W efekcie jej uwolnione od ostrzy dłonie pomknęły ponad drewno i tym razem wpiły się w kostki Antracyta. Ten zachwiał się na kładce, tracąc równowagę. A przy rozpaczliwej próbie jej odzyskania, upuścił miecz, który spadł w otchłań przepaści. Natomiast sam demon upadł brzuchem na spróchniałe podłoże.

Zmroczna dziewczyna nie traciła ani chwili i już wspinała się po potężnym przeciwniku, aby znaleźć się na nim. Z kolei podstawa, na której się mocowali, zaczęła niemiłosiernie trzeszczeć, zupełnie jakby miała zaraz pęknąć. Przez to Czarna nie zaryzykowała walki i próby zasztyletowania łowcy. Zamiast tego na czworakach przeczołgała się w stronę grubszej części pniaka.

Raptem została unieruchomiona, gdy jej stopę pochwyciła potężną dłoń Antracyta. Ten niemal skrzył dziewczęcą kostkę, a demonica się broniła, uderzając piętą drugiej nogi w ramiona, to twarz wroga.

Wreszcie zdołała się uwolnić, wyprostowała do pionu i ponownie uzbroiła w sztylety. Rozczarowana zauważyła jednak, że przeciwnik udanie się wspiał na pniak, a do tego nie zważając na niestabilny grunt pod nogami, wręcz runął na nią. Ona zadała w obronie błyskawiczny cios ostrzem w tors wroga, rozcinając mu klatkę piersiową, a drugi sztylet wprowadziła w trzewia. Jednakże Antracyt nie zważał na dotkliwe rany. Jak oszalały pochwycił Czarną w żelazny uścisk i unosząc ją, coraz bardziej miażdżył jej ciało.

Pod wpływem nacisku na ramiona oraz tułów zmroczna dziewczyna wypuściła sztylety z dłoni, desperacko rozczapierzyła palce i do kompletu bezradnie machała w powietrzu bosymi stopami. Zaś z ust pociekła jej

ciemna krew od wewnętrznych krwotoków.

– Agrrh... – charczała przedagonalnie demonica, dosłownie czując, jak wyciskane było z niej istnienie i śmierć zbliżała się z każdą chwilą. Jednocześnie doznawała dziwnego uczucia, że wraz z traceniem świadomości, coś uwalniało się z jej ciała, zupełnie jak na arenie, gdy przegrywała. Lecz teraz, to coś wychodziło z niej, czyniąc to nader skutecznie.

Nagle wytrzeszczonymi i mętными zarazem oczyma dostrzegła w powietrzu zarys dziewczęcej sylwetki. Zdumiona wyluskała w mroku niewyraźne kontury samej siebie, tyle że w niematerialnej postaci. Jej fantomowa kopia trzymała w dłoniach dwa sztylety, identyczne, jak te, które dopiero co straciła Czarna. Dodatkowo istota uśmiechała się złośliwie. Aż puściła miażdżonej w uścisku zmroczonej dziewczynie całusa, stanęła na kładce za Antracytem, po czym dwoma ostrzami głęboko rozcięła mu gardło.

Naraz twarz Czarnej zalała cała fontanna smolistej i chłodnej krwi. Zaś sama demonica została uwolniona z uścisku i jej stopy znowu odnalazły w postaci kładki twarde podłoże. Wtedy, czując się już zwyciężczynią, drapieźnie pokąsała twarz konającego demona, całkiem wyzwoliła się z jego objęć i odepchnęła go od siebie. Potem spoglądała za nim z pogardą, jak spadał w bezdenną otchłań, aż zginął jej z oczu. Niebawem usłyszała głuchy huk kontaktu spadającego ciała ze skalistym podłożem i na pożegnanie z truchłem starszego łowcy splunęła w jego stronę.

Zaraz jednak z boleścią przykucnęła na kładce i zwymiotowała ciemną krwią. Koszmarnie bolał ją cały niemal sprasowany tułów. Ale odnosiła wrażenie, że przytomność zmysłów do niej powracała, co oznaczało, że jej organy wewnętrzne zapewne nie zostały krytycznie uszkodzone. A skoro jakimś cudem miała zachować istnienie, była wielce ciekawa, komu takiemu to zawdzięczała. Dlatego spojrzała spode łba na eteryczną kopię własnej osoby. Ta frywolnie tańczyła na kładce, zonglując w najlepsze sztyletami i wydawała się tą czynnością bez reszty pochłonięta.

– Czym jesteś? – wychrypiała do niej Czarna, ocierając z ust ciemną maź, swoją oraz pokonanego wroga. A każde wypowiedziane z boleścią słowo wręcz wywracało jej zmaltretowane flaki na drugą stronę.

– Kim, czym... – mruknęła w odpowiedzi fantomowa postać, czyniąc to

nad wyraz obojętnie. Wszak zaraz zdecydowanie dodała: – Siostrą, tak, jesteśmy siostrą. – Skończyła zonglować sztyletami i jeden z nich błyskawicznie przyłożyła do gardła Czarnej, posyłając jej zjadliwego całusa. Ta, cedząc przez zakrwawione zęby, jedynie chrapliwie powtórzyła:

– Czym... jesteś?

– Siostrą, przecież słyszysz, bo słyszysz nas, prawda? – rozbrzmiał biorący się jakby z samej zmrocznej otchłani matowy głos. – Jesteśmy siostrą – upierał się cień.

– Jaką siostrą... czyją? – Nie ustępowała Czarna, pragnąc się ponad wszystko dowiedzieć z kim lub raczej czym weszła w kontakt. Natomiast eteryczna istota spojrzała na nią drwiąco pustymi oczyma i wodząc jej czubkiem ostrza po twarzy, zaśmiała się w głos:

– Ha, ha! Teraz już uwolnioną siostrą, hah! Tak, jesteśmy wolne, wyzwolone! Jesteśmy legendarną siostrą krwi! – Zwycięsko uniosła ramiona. Lecz zaraz zrzędała je duma mina, kiedy demonica chwyciła ją za przegub dłoni. Albowiem w wyniku tego uchwytu, materialne palce zmrocznej dziewczyny przeniknęły swego duchowego odpowiednika. W efekcie dwa ciała zaczęły się scalać w jedno, ale zdecydowanie materialne, którego właścicielką była Czarna. – Nie, nie, nie! Nie rób nam tego! Nie chcemy być znowu zamknięci w cuchnącym ciełe, chcemy być wolni, wolni! Pragniemy pozostać wyzwoleni! – błagał cień. – Siostro, siostro czarnej krwi! Proszę, siostrooo... – Wtem fantomowa postać w urywany sposób zamilkła w całości pochłonięta przez demonicę. Ona zaś raptem odebrała w sobie znaczący przypływ sił i odczuła, że nawet zasklepiają się w niej poważne rany.

Tak oto wstała na kładce odświeżona i oszołomiona rozejrzała się wokół. Kompletnie nie rozumiała tego, co zaistniało. Nie rozumiała niczego, poza jednym – Antracyt został unicestwiony i to ona się do tego przyczyniła. Zatem mogła kontynuować bez przeszkód swą misję i już nikt nie miał prawa jej przeszkodzić.

Dumnie zeszła z kładki i stanęła koło zmrocznej pумы. Zwierzę w pierwszej chwili ryknęło na nią gniewnie. Lecz Czarna, pokrzepiona świeżym zwycięstwem, nawet nie drgnęła. Puma jakby wyczuwała jej siłę, zarówno ciała, jak i ducha, przez co szybko spokorniała, uznając ją za swą nową panią. Osiadła brzuchem na ziemi i udostępniła swój grzbiet

dziewczynie. Ona jednym susem wskoczyła zwinnie na siodło, po czym wsunęła stopy w strzemiona, lejcami nawróciła zmrocznego potwora w kierunku południowo-wschodnim i sama, niczym puma, ryknęła:

– Podążaj naprzód, podążaj już na zawsze ze mną i bądź mi wierna! Razem sprawimy, że po wsze czasy zapanuje powszechnie nieskończona noc i ogień światła słońca nie spali świata... Gnaj! – zakończyła wyzywająco i ruszyła z impetem niesiona na grzbiecie drapieżnego monstrum.

Zaś oddalając się od miejsca swego triumfu, nurtowało ją tylko jedno. Na ile wygraną nad Antracytem zawdzięczała samej sobie, a na ile swemu tajemniczemu cieniowi, czymkolwiek miałby on nie być. I co miał na myśli, określając siebie siostrą? Czarna wspomniała jeszcze słowa Złotej dziewczyny, traktujące o tym, że ona również nazwała siebie jej siostrą. Lecz te wszystkie domniemane pokrewieństwa, wprowadzały w zmroczny umysł demonicy tylko niepożądany zamęt. Nie chciała tego – rozmyślań, dylematów. Wyłącznie, czego pragnęła, to zabijać w imię ciemności, by kapać się w świetlistej krwi i w tym celu kontynuowała swą zmroczną podróż.

* * *

– Wrhaaah! – Czarna wydarła ze swej płaskiej piersi gniewny ryk. Uczyniła to w momencie, kiedy nakierowała pumę ciemności wprost na powstającego z popiołów gnijącego trupa. Ten został rozerwany w masywnych szczękach na dwie połowy. Zmroczna dziewczyna dosiadająca drapieżnika poklepała go z aprobatą po boku i jeszcze pogoniła, aby pędził szybciej. Jednocześnie z drwiną obejrzała się za rozszarpanym zombiakiem, którego rozdzielone części pełzły w przeciwnych kierunkach. Natomiast demonica wspięła się na strzemionach i wyprostowana ponownie wrzasnęła: – Grhhha! – W ten sposób upajała się pędem jazdy oraz dokonywaną w imię mroku destrukcją. Aż wreszcie dotarła do miejsca, gdzie jej ciemne oczy poraził prześwit jasnych promieni przez zmroczny pył.

Tutaj zwolniła i dłuższy czas kluczyła na pumie, przyzwyczajając jej oraz własne oczy do większej ilości światła. Wreszcie zeskoczyła z groźnego kociaka i poszła dokonać oględzin jawiącego się przed nią tworu. Odnalazła gruby przedziurawiony materiał w kolorze brązu, którego pozwijane ze

sobą były tu całe połacie. Zaś wśród nich dostrzegła pęknięty kosz takich rozmiarów, że do wnętrza zmieściłoby się kilkanaście istot jej wielkości. Ponadto pod koszem umiejscowiona została wielka skrzynia. Jednakże nie odnalazła tu niczego więcej. Niczego poza ulatniającymi się już zapachami świetlistych istot. Skrzywiła się na twarzy, pociągnęła za kolczyk w nosie i mocniej rozbudzony zmysł powonienia skierował jej uwagę we wschodnią stronę.

Węsząc niczym pies, z nosem przy ciemnej ziemi, szła na czworakach, aż dotarła do ostro rysującej się granicy ze światłem oraz zieloną trawą. W tym momencie uśmiechnęła się z przekąsem i przywołała do siebie zmroczną pumę. Przycisnęła własne czoło do jej masywnej czaszki i dłuższy czas intencjonalnie przekazywała myśl, aby tu na nią czekała i nie ruszała się z miejsca, dopóki sama nie wróci. Następnie poprawiła na sobie pelerynę łowczyni i ostrożnie przekroczyła świetlano-mroczną granicę.

Pod wpływem pierwszego kontaktu z ostrymi promieniami światła odczuła ból czarnego ciała, jego nieprzyjemne rozgrzanie i wzmożoną dezorientację. Jednak przetrzymała pierwszy szok i przykucnięta przewyciężała uczucie dyskomfortu, aż te zaczęło od niej odchodzić. Tak jak się spodziewała, jej osłonięta zmroczną tuniką istota była znacząco chroniona przed szkodliwym słońcem, a oczy wkrótce przestały szczypać i łzawić czarną wydzieliną. Raz jeszcze spojrzała w kierunku obserwującej ją pumy, obnażyła ku niej gniewnie zęby, po czym odważnie ruszyła tropem świetlistych istot.

Po drodze z autentycznym zaciekawieniem odbierała pod stopami miękkie trawiaste podłoże, tak różne od suchego piachu i żwiru w Centralnej Czeluści, potrafiącego wręcz ranić skórę. Do tego smakowała nieznanne jej zielone owady, rozkoszując się odkrywaniem nowych smaków. A nawet posiliła się czymś większym, co kwiliło żałośnie, za to pod mięciutkim futerkiem skrywało nad wyraz wiele delikatnego mięsa ociekającego seledynową krwią. Rozochociona Czarna szybko zapragnęła więcej kulinarnych doznań oraz niezwyklej przestrzeni pod parasolami z zielonych drzew. Do tego szemrzących strumieni, ukwieconych polan, czy zakrzaczonych pagórków. Słowem, chciała ustawicznie doświadczać nowości w tej niezwyklej dla niej krainie.

A kiedy zapadła noc, poczuła się niemal, jak w domu. Otulił ją bowiem

tak dobrze znany mrok i chłód, choć nie nieskończonej, a jedynie ulotnej nocy. Wszak wtedy jeszcze przyspieszyła żwawego kroku, przechodząc momentami w bieg i to szaleńczy. Nie czuła zmęczenia, nie potrzebowała snu. Bez reszty upojona wszech otaczającym ją tchnieniem nowości pragnęła jedynie podążać naprzód.

W dalszej części drogi, w nadchodzące noce i dni, udało się jej złowić w wodzie istoty z płetwami oraz łuską, które co prawda smakowały ohydnie i niestety nie były zbyt krwiste, ale za to konsumowanie ich dodawało jeszcze więcej sił. Podobnie syciła się z upodobaniem małymi zwierzątkami, które uprzednio dokładnie skubała z kolców oraz pożarła skrzydlatą istotę o szmaragdowej barwie, czyli pochwyconego w locie ptaka.

Natomiast z powodu doświadczania wszystkich tych dziwów wokół swej osoby, w końcu do tego stopnia pochłonęło ją oczarowanie wschodnią krainą, że niemal zapomniała, po co tu w ogóle przybyła. Aczkolwiek w pewnym momencie zapach tropionych istot stał się niezwykle intensywny, wręcz nieznośnie świdrujący nozdrza. Wtedy do naraz otrzeźwionej Czarnej dotarło, że oto musiała odnaleźć cel swej dalekiej wyprawy. A skoro tak, to zgodnie z pierwotnym zamierzeniem należało teraz bezwzględnie działać.

Zamiast rącho gnać, jak do tej pory obecnie skradała się uważnie. Lecz tak, jak dotąd miała wyłącznie zdrowe drzewa, tak na ten czas odnosiła silne wrażenie, jakby wkraczała na pole srogiej bitwy, która niedawno się tu odbyła. Ponieważ wielkie pnie były tu powalone i poćwiartowane, do tego ociekały, niczym krwią, lepką żywicą. Zaś krzewy widziała połamane i wdeptane w mocno porytą ziemię.

Taki pełen grozy widok tylko wzmocnił jej czujność i nabrała respektu przed swymi przyszlými ofiarami gotowa stoczyć z nimi ciężką batalię. Dlatego też szybko się uzbroiła w swą nową broń, mianowicie imitujące noże dwa drewniane paliki zaostrzone jej własnymi zębami. I może nie był to najlepszy oręż, ale kołki wbite w czułe punkty, jak oczy czy gardło, powinny załatwić odpowiednio sprawę w przypadku zwykle miękkich ciał świetlistych istot.

Te, sądząc po coraz intensywniejszym ich odorze, znajdowały się już blisko, naprawdę blisko. Aż ukazały Czarnej swe brązowe oblicza. Była ich czwórka, dwóch bardzo młodych samców i dwie nieco starsze samice.

Wyglądali dość dziwnie i w sumie na pierwszy rzut zmrocznego oka całkiem niegroźnie. W każdym razie w odniesieniu do srebrzystych wojowników z północy czy ich złotych odpowiedników z zachodu, z którymi do tej pory miała okazję walczyć.

Co więcej, napotkanych ludzi nie zastała na rozległej polanie samych, a osaczanych przez wynurzające się z gęstej mazi istoty. Słyszała już o nich, były to ropniaki bytujące w specyficznych bagnach na całym terenie kontynentu Unton. Więc skoro tak się sprawa miała i zupełnie nieoczekiwanie mogła też liczyć na sojuszników ciemności, to zgładzenie jawiącej się przed nią trójki i wzięcie do niewoli czwartej istoty powinno być niewinną igraszką, a nie walką.

Myśląc tak, przyjęła dumnie niemal pionową postawę i opuściła linię powalonych pni oraz ściętych krzewów, wkraczając uzbrojona na drewnianą kładkę wiodącą ku centrum polany. Ponad wszystko pragnęła teraz przelanej krwi w imię nieskończonej nocy. I już wiedziała, że ciecz, którą zaraz wytoczy ze świetlistych ciał, będzie jednolicie brązowa.

„Dalej, czarna siostrze, stańmy się najwyższą z sióstr, jedyną z siedmiu. Zatem pozbadź się tej, która jawi się przed tobą. Tej brązowej z domieszką zielonej krwi” – usłyszała w sobie wewnętrzny podszept swego cienia. Ten szept rozlał się po jej wnętrzu i rozbrzmiewając w nim echem, wyznaczał oczywistą powinność, by zabić i samej przetrwać. Tak właśnie musiało być.

XVIII. SREBRNA I ZŁOTA

Od pewnego czasu skradającej się dziewczynie pokrytej błotem towarzyszył z przodu widok zanurzonego w mroku dwuszeregu posepnych istot. Sama, ze względu na panującą ciemność, nie mogła dostrzec szczegółów wyglądu mrocznych postaci. Jedynie czuła bijący od nich odór zgnilizny i słyszała gniewne pomruki. Śledziła ten czarny kondukt już dość długo, ślizgając się po błotnistej drodze, która stanowiła swoisty wał, gdzie po obu jego stronach leżały mokradła. Kilka razy zdążyła się już stoczyć w takie bagnisko i musiała użyć naprawdę wiele sił, a raz nawet mocy nadzmysłu, aby nie dać się zassać w bulgoczącą breję. Wszak za każdym razem udawało się jej powrócić na pokryty śladami błotnisty trakt.

Wreszcie po trudnym do oszacowania czasie zobaczyła w ciemności zarys warownego obozu, do którego wkroczyła śledzona grupa mrocznych istot. Srebrna podeszła na tyle blisko, na ile zdołała, sądząc, że wciąż dostatecznie skrywała ją okoliczna czerń i spróbowała się przyjrzeć obozowisku. Zewsząd otaczała je fosa z czarną mazią ze stale wydobywającymi się z niej pęcherzami. Obóz warowny był ponadto otoczony zasiekami zbudowanymi z nachodzących na siebie i zaostrzonych pali, a do wnętrza prowadziła tylko jedna droga będąca przedłużeniem wału, którym dotąd podążała dziewczyna. Przekonała się o tym, kiedy z mozołem okrążyła całą pomrocznię. Bo to dokładnie do niej dotarła, utwierdziła się w tym dzięki dokonanemu rekonesansowi i zauważeniu zarysu posepnej wieży usytuowanej gdzieś w okolicach centrum tego mrocznego siedliska.

Zatem po swego rodzaju działaniach wywiadowczych pozostało jej już tylko jedno, ale za to zasadnicze pytanie: jak się dostać do wnętrza twierdzy, aby bezpiecznie wyprowadzić stamtąd Złotą i samej nie zginąć? Dłużej się nad tym głowiła. Lecz pomna tego, że istoty ciemności wspomniały coś o odprawieniu rytuału przed zabójstwem więzionej siostry krwi, nie wiedziała na dobrą sprawę, ile miała jeszcze czasu na myślenie.

Za to zapobiegliwość podpowiadała jej, że powinna się raczej pospieszyć.

W konsekwencji doszła do prostego wniosku, że jeśli do wnętrza warowni wiodła tylko jedna droga, to nie pozostawało nic innego, niż ją otwarcie pokonać. Żeby zaś uczynić to skutecznie i możliwie cicho, musiała się liczyć z tym, że w pierwszej kolejności będzie zmuszona unieszkodliwić strzegących przejście strażników. A skoro tak, to należało zabrać się do tego, mając oczy dookoła głowy oraz wyostrzone zmysły, a najlepiej... jeden uniwersalny nadzmysł na możliwie wysokim poziomie.

W efekcie zamknęła oczy i za moment odebrała wrażenie swego rodzaju odrealnienia mrocznego świata. Natomiast już za chwilę nie szła, a jakby płynęła tuż nad błotnistą powierzchnią, poruszając się po niej z wyjątkową gracją niczym błotnista baletnica. Z zadowoleniem też stwierdziła, że niewątpliwie osiągnęła właśnie pierwszy stopień jedności. Co więcej, przyszło jej to z dużą łatwością, a w uzyskanym stanie była całkiem stabilna, podtrzymując go.

I tak dotarła pomiędzy parę wartowników. Obecnie odbierała ich jedynie jako dwie energetyczne czarne plamy z jaśniejszymi punktami. Miejsca te, zgodnie z intencją dziewczyny, wskazywały jej gdzie i jak należało zaatakować, aby odnieść sukces w błyskawicznej eliminacji przeciwników.

Stojąc, wyczekiwała reakcji na swoją osobę, wtedy zamierzała zaatakować. Wszak para upiornych żołnierzy w ogóle nie reagowała. Srebrna ciągle obserwowała ich nieruchome sylwetki od stóp do głów zakute w stal, gdzie z pomiędzy nierównych i krzywo dobranych stalowych płyt poczerniałych zbroi wystawały fragmenty przerośniętych mięśni, a skóra była ciemna i owłosiona. Zaskoczona nie rozumiała, czy nie próbowano jej zatrzymać dlatego, że sama wyglądała iście demonicznie, ponieważ niemal cała była wytaplana w błocie i przez to w mrocznym kolorze, czy może przyczyna bierności wojowników leżała gdzie indziej. Tak czy inaczej, jak nie prezentowałyby się prawda, już miała ruszyć do obozowiska, o dziwo unikając walki, kiedy jeden z niezwykle rosnących strażników do niej wychrypiał:

– Przybywasz za wcześnie, srebrnowłosa, ale tradycyjnie możesz wejść.

Natomiast drugi z pilnujących grobowym tonem dodał:

– Strażnicy mroku witają wysłanniczkę potomkini lodowych olbrzymów. Ich czas powrotu jest bliski, a nasz sojusz trwale związany. Niech starsza

siostra krwi będzie pozdrowiona na noc i mrok.

– Na lód i mróz... – odparła odruchowo Srebrna. A wobec zupełnie niezrozumiałych kwestii, które zostały ku niej wypowiedziane, przystanęła dłużej, także z tego powodu, że nogi nagle jakby odmówiły jej posłuszeństwa. Z niechęcią się zorientowała, że wystarczyło zaledwie lekkie wytrącenie jej z równowagi i już opuściła ją energia nadzmysłu. Dlatego zmobilizowała siły, aby czym prędzej ruszyć naprzód, a przy tym nie zając się rozpaczliwie ślizgać na błocie. Najwyraźniej bowiem wzięto ją tu za kogoś innego i zapewne o wielu talentach, więc jej potencjalny upadek z twarzą prosto w czarną maź mógłby wzbudzić co do jej prawdziwej tożsamości podejrzenia.

Na szczęście w dalszej części obozu, gdzie zaraz zawędrowała, grunt był już suchszy, a dzięki temu stabilniejszy. Za to nieodzownie panował wszech osaczający mrok oraz dojmujący chłód. Srebrna, ciągle przez nikogo nie niepokojona mijala rzędy stojaków na wyjątkowo długą broń drzewcową. Niefrasobliwie potknęła się też o stertę kości i dalej brnęła niemal po omacku w ciemnościach. Co pewien czas mijały ją górujące cienie i wyczuwała wtedy drażniący zmysł powonienia trupi odór mrocznych istot. Aż wpadła na kamienną konstrukcję. Wówczas skojarzyła ją z widzianą spoza obozu wieżą. Zawahała się, czy tak po prostu wejść do środka, ponieważ wewnątrz było jeszcze ciemniej. Nigdzie bowiem na przestrzeni całego obozu nie wzniecano najmniejszych nawet ognisk, ani nie zapalano pochodni.

Ostatecznie Srebrna postanowiła najpierw wy badać otoczenie za pomocą nadzmysłu. Choć obecnie pojawiający się z tą sztuką problem wyglądał tak, że nie mogła wykorzystać jej w pełnym potencjale. Działo się tak w związku z tym, iż po każdym wejściu w stan jedności zużywała psioniczną energię, która wydatkowana była szczególnie mocno po przerwaniu strumienia nadzmysłu. Potem rezerwy psychiczne systematycznie się odbudowywały, lecz wymagało to czasu i obecnie, wchodząc w stan jedności, nie zdołała osiągnąć jego pierwszego poziomu. Wszak i tak dane jej było przeniknąć mroczne wnętrza budowli i zlokalizować tam to, czego tak wytrwale poszukiwała – światło pośród mroku – liczne, jakby zatopione w czerni ogniki. Zaś jeden z nich jaśniał wręcz oślepiającym blaskiem, który przyćmiewał pozostałe.

– Złota... – wyszeptała z nadzieją naznaczoną zachwytem Srebrna, domyślając się już, kto emanował tak niezwykłą energią i wielce pokrzepiona zagłębiła się w mroczne czeluści budowli.

Szła już pozbawiona stanu jednościi przy chropowatej ścianie, nieustannie ją obmacując i w ten sposób przesuwając opuszki palców po kolistej powierzchni, aż dotarła do załamania ściennych konturów. Tutaj wymacała strome kręte schody i ruszyła po nich na górę. Albowiem to właśnie nieco powyżej własnej sylwetki, będąc jeszcze w objęciach nadzmysłu, dostrzegła pierwotnie jaśniejące światła.

Obecnie, aby zachować stabilność, odległość wzwyż pokonywała na czworakach i raptem uderzyła boleśnie głową o żelazną, do tego nierównomierną powierzchnię. Kraty – pomyślała i wtedy na dobre zrzędała jej mina. Żywo zastanowiła się, w jaki sposób mogłaby w tej czarnej matni wrogiego obozu odnaleźć klucze bądź klucznika. Gdy wtem usłyszała niezwykle piękny dziewczęcy i przejmujący głos:

– Pokaż mi swe srebrzyste oczy... – W odpowiedzi wojowniczką jak zahipnotyzowana subtelnym dźwiękiem strun głosowych, które pobrzmiwały niczym łagodny dźwięk harfy, oparła ubłoconą twarz o kraty. – Czy ty... czy to ty jesteś Srebrną, moją siostrą? – Zza zamknięcia doszedł naznaczony wzruszeniem szept, jednak nie doczekał się reakcji. Za to nagle nastąpił intensywny rozbłysk złocistego światła, a w parze z nim szedł żalostny odgłos giętego i pękającego metalu. Zaś sama emisja światłości była tak intensywna, że Srebrna musiała aż zamknąć oczy i dodatkowo przysłonić je dłonią.

Kiedy podniosła powieki, zobaczyła drobną dziewczynę w żółtej sukni i w złocistych lokach za to całą otoczoną słoneczną aurą. Dzięki tej jasności wewnątrz żelaznej klatki dało się zauważyć jeszcze kilka skulonych osób, także należących do płci pięknej i ze złocącymi się oczyma. Lecz co chyba najistotniejsze, łańcuchy z kłódką okalające kraty oraz samo żelazne okratowanie były teraz pęknięte i droga na zewnątrz stała otworem.

Srebrzysta wojowniczką patrzyła dłuższy czas z nieskrywanym podziwem na efekt zniszczenia więzienia za pomocą samego światła dokonany niezwykłą mocą, którą dysponował także poznany przez nią następca zachodniego tronu. Jednakże zaraz się ogarnęła, odzyskała zimną krew i zdecydowanie przemówiła:

– Doskonała robota, Wasza Świetlistość, ale teraz po prostu przestań się już jarzyć i chodźmy. Muszę cię stąd wyprowadzić. Bo jesteś nią... Złotą, prawda? – zawahała się. Ale ku jej niewypowiedzianej uldze zobaczyła na potwierdzenie lekkie skiniecie świetlistą głową. Wywołało to wielce triumfalny uśmiech na twarzy Srebrnej i pochwyliła złocistą dziewczynę za ramię, aby ją ku sobie pociągnąć. – Ajć! – syknęła, gdy w kontakcie z ciałem Złotej niemal oparzyła sobie rękę.

– Przepraszam... – odparła postać w otwartej klatce. Następnie wycofała się w głąb więzienia, powoli gasnąc, po czym rozpostarła ramiona. Objęła nimi pozostałe osoby w celi i z troską rzekła: – Mogę iść, ale nie sama. Przybyłam tu po zniewolone kobiety i bez nich stąd nie odejdę.

– Ale...! – Wobec zasłyszanych słów, Srebrnej naraz zrzęda mina, a jednocześnie zabrakło jej sensownego argumentu, aby nakłonić Złotą do zmiany zdania. W końcu wiedziała, kogo miała przed sobą, ponoć samą esencję miłosierdzia, więc jak mogłaby odwieść ją od ochrony niewinnych?

Dlatego odwróciła się i ciężko westchnęła, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Bowiem naraz dotarło do niej, że nie wyjdzie z tego obozu żywa. Nie mogła przecież porzucić Złotej, nie teraz, gdy wielce szczęśliwym trafem wreszcie ją odnalazła, co było wręcz nie do pomyślenia. Jednocześnie, aby wyprowadzić stąd siostrę krwi, musiałyby pokonać w ciemnościach cały oddział mrocznych istot i to w sytuacji, gdy nie miała już prawie zapasów psionicznej energii, by skorzystać z mocy nadzmysłu. Zaś jakby czytając w jej myślach i odkrywając rozterki, Złota do niej szepnęła:

– Wiem, co zamierzasz i wiem, że i tak o zrobisz. Będziesz walczyć zgodnie ze swoją dominującą naturą. Wszak osłabłaś i pozwól, że tchnę w ciebie światło i dodam ci własnej mocy...

Naraz srebrzysta wojowniczką poczuła na sobie intensywne ciepło. Potem wręcz gorąco, gdy jedna dłoń Złotej spoczęła na jej sercu, a druga na plecach na wysokości płuc. W tym momencie Srebrna silnie się wyprostowała, a jej oczy nasycone zostały niezwykle intensywną poświatą. Równocześnie czuła, zupełnie jakby wzrastała w niej jakaś wyjątkowa moc i wypełniała ją w nieznanym dotąd sposób. Co więcej, błyskawicznie odnowiony został jej zasób psychicznej energii. Wszakże wydarzyło się coś jeszcze. Natchniona nową siłą odruchowo wyciągnęła miecz i ten intensywnie zaśnił, a w szczególności srebrnym i złotym światłem ozdobiły

się dwa wygrawerowane na nim znaki symbolizujące Złotą oraz Srebrną siostrę krwi.

– A teraz idź i pozabijaj wszystkich nikczemników, którzy złorzeczą światłu i pragną zgasić je. Niech moc srebra oraz złota będzie z tobą, wspólnie pokonajcie czerń – oświadczyła z nutą goryczy w głosie Złota.

I wojowniczką ruszyła jak natchniona po spiralnych schodach nasycona mocą świetlistej energii. Oczy dziewczyny srebrzyły się, a drogę w mroku oświetlał obecnie także jej połyskujący miecz. Aż wyszła poza warowną budowlę i z miejsca wykonała zamaszyste cięcie w kierunku mrocznego żołnierza, którego teraz mogła zobaczyć.

– Wraaagh! – Zagrała w niej bojowa krew i uderzeniem lśniącej kingi zmiażdżyła z impetem fragment stalowej zbroi, rozcinając osłoniętą klatkę piersiową przeciwnika. – Grhaaa! – Poprowadziła ostrze z góry na dół, przepoławiając głowę w hełmie kolejnego mroczniaka. Następny właśnie wychynął z ciemności i zamachnął się toporem. – Wrrrrhh... – Wojowniczką skrzyżowała z wrogiem oręż, przełamała go i kopnęła czarnego żołnierza w tors, aż ten poleciał na plecy. A kiedy padł na ziemię, przybiła go do niej niczym szaszłyk. – Haaagr! – Rozcięła mroczne serce, wyciągnęła z niego miecz i poprowadziła ociekającą czernią klingę zamaszycie po łuku, ścinając tym samym dwa czerepy wrogów.

Potem stanęła w lekko pochylonej postawie z mieczem w gotowości. Poprawiła uchwyt na rękojeści swego oręża, czekając na innych przeciwników, ale żaden nie nadchodził. Jedynie dalej w mroku słychać było liczne warknięcia.

Boją się mnie – dotarło do Srebrnej, którą powoli zaczął opuszczać bitewny szal, a jej oczy systematycznie traciły srebrzystą poświatę. Zdała sobie sprawę, że powracała do swego naturalnego stanu pozbawionego już świetlistej nadmocy – daru od Złotej. Dlatego wyczekała jeszcze chwilę i ciągle nie atakowana, tyłem wycofała się do krągłej budowli, po czym głosem nietolerującym sprzeciwu, krzyknęła za plecy:

– Bez względu na wszystko musimy już iść, wszyscy razem, łatwiejszej drogi nie będzie!

– Zatem prowadź – usłyszała wypełniony nadzieją głos Złotej. Skinęła głową na zgodę i obrała powrotną drogę. Tym razem ostrożnie wychynęła za wejście warowni, a zaraz błyskawicznie się cofnęła wobec spadającego

na nią długiego ostrza naginaty. Kiedy te zatopiło się nie w jej ciele, a błocie, przydepnęła nogą ostrze przypominające kosę i sama kontratakowała mieczem. Jej klinga zgrzytnęła w kontakcie z chropowatym metalem i wjechała pomiędzy płyty zbroi, zagłębiając się z mlaskiem w mrocze mięso. Natychmiast poprawiła uderzeniem w nieosłoniętą tkankę i tym razem w decydujący sposób rozpruła wnętrzności przeciwnika, kładąc go u swych stóp trupem.

Jej kolejny skuteczny atak sprawił, że okoliczne pomruki mroczeniaków, które się przybliżyły, teraz znowu słyhać było w dalszej odległości. Tak więc wrogowie ponownie nabrali respektu. Pokrzepiona Srebrna wyciągnęła za siebie dłoń. Odebrała ciepły dotyk Złotej i pociągnęła ją ze sobą na otwartą przestrzeń. Tutaj z kolei poczuła się zdezorientowana, nie wiedząc, w którą zmierzać stronę.

– Tędy. – Nakierowała ją Złota i sama ruszyła przodem. Za nią szła krok w krok srebrzysta wojowniczką, mając tuż za sobą kilka kobiet ze złotymi oczyma.

Aż raptem Srebrna usłyszała szybko przybliżające się mlaskanie jakby stóp w błocie. Uprzedziła spodziewany atak i rzuciła się w bok, wyprowadzając silne pchnięcie. Trafiła w górę opancerzonego mięsa i przy chrapliwym skowycie zranionej istoty krwawo odparła jej szarżę. A zaraz wróciła do konduktu i dalej czujnie nasłuchiwała, zdając się obecnie bardziej na swój węch oraz słuch niż wzrok. Natomiast z wchodzeniem w nadzmysł wołała poczekać, ponieważ droga ku światłu wcale nie była bliska i spodziewała się jeszcze wielu trudnych potyczek. Zaś kolejna zapowiadała już za moment.

Oto bowiem Złota zastygła w miejscu, a wraz z nią sznur pozostałych kobiecych postaci. Srebrna szybko wyszła przed siostrę krwi i zobaczyła wyjście z obozu zagrodzone przez parę znanych jej już monstrualnych strażników z halabardami. Krzyżowali je razem i wspólnie ze swym orężem wyglądali niczym czarna ściana ze stali, której nic nie mogło pokonać. Nic poza sztuką nadzmysłu – skwitowała w myślach ten widok wojowniczką i zasłoniła powiekami srebrzyste oczy. Momentalnie zapadła w swoisty trans i zjednoczonymi zmysłami odebrała lukę w zwartej ścianie mrocznych istot, miejsce, gdzie należało zaatakować, aby skutecznie skruszyć ten czarny mur.

Srebrna ruszyła pewnie przed siebie z wyciągniętym mieczem. I naraz odniosła wrażenie, zupełnie jakby mroczna ściana naprzeciw rozwarła przed nią swe bramy, z których wyskoczyły dwa ciemne węże. Były to halabardy. A za chwilę, dokładnie między nimi, niczym gatunek ptaka polującego na pełzające gady, znalazł się świetlisty miecz dziewczyny. Rozbił on drzewcową broń na boki i w ten sposób wojowniczką przemknęła pomiędzy parę strażników. Wtedy upuściła długie ostrze i wyjęła sztylę, po czym błyskawicznie szatkowała wrogów, wciskając ostry metal we wnęki oddzielające poszczególne części mrocznych zbroi. Do tego raz za razem czyniła szybkie uniki przed próbującymi pochwycić ją mocnymi łapskami w pancernych rękawicach. Ale zatopiona w jednościan nadzmysłu była zbyt zwinna i skutecznie wyślizgiwała się przeciwnikom, samej coraz bardziej nurzając w ich pocerniałej i cuchnącej krwi. Aż strażnicy jeden po drugim osłabli, a wówczas mocnymi kopniakami zostali posłani na szańce, gdzie nadziali się plecami na zaostrzone pale.

– Chodźmy – rzuciła Srebrna w momencie ponownego rozproszenia swych zmysłów. Uzbroiła się w miecz i tym razem już sama poprowadziła kondukt, jedynie co pewien czas oglądając się za siebie. Czyniła to, aby zobaczyć kilka par złocistych oczu i nabrać pewności, że uciekinierzy są ciągle w komplecie.

Rzeczywiście byli, dopóki jedna z kobiet się nie poślizgnęła i ze stłumionym krzykiem stoczyła do błotnistej sadzawki. Ten alarmowy dźwięk zaniepokoił wojowniczkę i przystanąła, aby spojrzeć przez ramię. Dostrzegła kłębiące się u podstawy wału złociste pary oczu. A zaraz do kompletu doszło do jej uszu upiorne mlaskanie, potem koszmarne dźwięki jakby mielenia mięsa i łamania kości.

– Jest stracona... – syknęła w kierunku pozostałych kobiet Srebrna, już wiedząc, jaka tragedia spotkała jedną z nich. – Musimy iść! – krzyknęła ponaglająco wobec żałobnych lamentów i zawodzenia ocalonych. Następnie odetchnęła z ulgą, widząc złociste pary oczu znowu na skarpie, do tego wyraźniej wyławiając wzrokiem z mroku zarysy kobiecych postaci, w tym córkę króla.

I tak udali się w dalszą drogę wysokim wałem. Zboczyli z niego dopiero na znak Srebrnej, czyniąc to przy znanym jej omszałym pniaku. To tutaj zaplanowała zgubić spodziewany pościg. Jednak stwierdziła, że schować się

za powalonym drzewem, było to zbyt mało. Dlatego nakłoniła kobiety, aby schroniły się wewnątrz wydrążonego po części pniaka. Sama przemierzyła drogę w kierunku pobliskiego bagna. Nad jego brzegiem wytarzała się w błocie, porzuciła tam odcięty kosmyk swoich włosów, po czym powróciła po własnych śladach i dołączyła w drzewnej kryjówce do pozostałych.

Wkrótce doszły ich z wału gniewne prychnięcia i złowrogie warczenie oraz metaliczne odgłosy obijających się o siebie fragmentów zbroi. Potem owe dźwięki wokół zwałonego drzewa uległy rozproszeniu i dało się słyszeć chrapliwie prowadzoną wymianę zdań:

- Gdzie tropiący zmroczniak?!
- Zdycha zaduszony przez błotną mątwe.
- Jak to?
- Zlął ze szlaku, chyba tropiąc jedną ze złotookich i mątwa go dopadła.
- Kiedy potrzebujemy go! Czuję tu smród złotowłosych i tej szalonej srebrzystej. Muszą być blisko! Grhhh...
- Odór świetlistych prowadzi do bagna.
- Potopili się?
- Nad brzegiem są chyba ślady walki. Znaleźliśmy tam też srebrzyste włosy.

– Ciekawe, więc mogła ich zezreć kolejna mątwa. Sporo ich się tu zagnieździło. Ale i tak musimy szukać dalej, mogli się przecież rozdzielić. Dlatego w oczekiwaniu na kolejne tropiące zmroczniaki macie przeczesać okolicę do skutku.

– Tak jest.

Gardłowa wymiana zdań ustała. Zaś niebawem oddaliły się także odgłosy ciężko stawianych stóp w błocie. Za to w mrocznej przestrzeni rozbrzmiał niezwykle niski budzący ciarki dźwięk rogu. Odpowiedziało mu echo odległego ujadania, które się przybliżało.

– Ruszamy – rzuciła Srebrna i jako pierwsza wyczołgała się z drzewnej kryjówki. Kiedy uczyniły to także pozostałe kobiety, pospiesznie je zapytała: – Którędy najbliżej do granicy światła? – W odpowiedzi zobaczyła szereg ubłoconych dłoni skierowanych w jednym kierunku. – Doskonale – skwitowała ku pokrzepieniu serc i z siłą w głosie dodała: – Nie pytam, czy dacie radę biec, po prostu musicie. Jeżeli któraś z was upadnie, pozostali pomagają jej wstać i kontynuujemy ucieczkę do utraty tchu, do... światła! –

zakończyła zdecydowanie i puściła się pędem we wskazaną uprzednio stronę.

Po niedługim czasie musiała zwolnić, ponieważ pozostałe kobiety za nią nie nadążały. Aż wreszcie do tego stopnia słaniały się już na nogach, że niezbędny był dłuższy postój. Ten zrobiony został na otwartym terenie bez żadnej osłony, gdzie uciekinierki zbiły się wokół Złotej, która siedząc, naznaczała ich serca światłem, jakby tchnąc w nie siły. Z kolei Srebrna przycupnęła tylko na chwilę, by zaraz nerwowo obchodzić małe obozowisko z mieczem w dłoni.

Wtem postawiła w stan podwyższonej gotowości wszystkie zmysły, pewna, że gdzieś ze wschodu usłyszała zajadłe ujadanie. Ustawiła się czujnie w tym kierunku, a już za moment podobny dźwięk wyłowiła kolejno z zachodu oraz południa. A była już w stanie samodzielnie określić kierunki świata, ponieważ wysoko na ciemnym niebie nieśmiało zamajaczył zarys słońca. Na podstawie jego ułożenia natychmiast nakazała wymarsz na północ, gdzie już nie tak daleko powinno znajdować się jasne światło dnia bez kalającego go mroku, w którym czekała ich tylko zguba.

Zgodnie pobiegli, a srebrzysta wojowniczką co raz usilnie poganiała ostrym słowem złotoookie kobiety, które szybko znowu już tylko powłóczyły za nią nogami. Lecz wkrótce skończyła z reprimendami, gdy coraz częściej na własnej drodze zmuszona była używać miecza. Wściekle cięła nim i siekła wobec zagradzających trasę ucieczki gnijących umarłaków oraz rozsypujących się szkieletów, w które mroczna energia tchnęła namiastkę istnienia pełną jedynie destrukcyjnych instynktów.

Ponawiana co chwilę walka mocno spowalniała Srebrną, ale przynajmniej pozwalało to dotrzymać jej kroku przez pozostałe uciekinierki. Wszak w konsekwencji pościg z trzech stron się systematycznie przybliżał.

Aż w pewnym momencie srebrzysta wojowniczką zamarła, kiedy złowrogie ujadanie dobiegło również z samej północy. Zrozumiała, że znaleźli się w pułapce bez wyjścia, do tego na całkiem otwartym terenie. Przez to Srebrna pozostała dla złocistych kobiet jedyną osłoną, nie licząc samotnego głazu sterczącego z ziemi. Dlatego poleciła uciekinierkom zbić się razem przy kamieniu. Natomiast osobiście stanęła z mieczem w gotowości, oczekując tego, co nieuniknione, czyli rzeszy mrocznych

przeciwników i to z każdej ze stron.

Ci pojawili się nad wyraz szybko w postaci czterech posępnych zastępów i błyskawicznie zmniejszyli dystans do istot światła. Aż tworząc szczelny kordon, zatrzymali się na odległość kilkudziesięciu kroków od celu swej pogoni. Zaś teraz, w większym świetle, prezentowali się jeszcze bardziej odrażająco. Srebrna dostrzegła, że nieopancerzone fragmenty ich ciał na torsach, ramionach czy udach pokryte były zdeformowanymi mięśniami, jakby wrastającymi w pordzewiałą zbroję i stapiającymi się z nią w jedność. Wielu mrocznych wojowników miało przypasane ozdoby z ludzkich kości, w tym naszyjniki z elementów czaszek. Za broń służyły im różnorodne kolczaste buławy, maczugi i młoty bojowe, jak również włócznie, halabardy oraz naginaty. Ich głowy solidarnie wbite były w ciasne hełmy ze skóry i stali, gdzie uwidaczniały się jedynie niewielkie fragmenty zbliżnowaconych twarzy, a także czarne ślepia. Z kolei ilość tych koszmarnych przeciwników srebrzysta wojowniczką szacowała na około setki, czyli o wiele za dużo nawet jak na zatopioną w stanie nadzmysłu wściekłą berserkę.

„Zginiesz tu, zginiesz tu, zginiesz... wszyscy zginiecie” – Srebrna usłyszała złowieszczy głos. Ten wydawał się dobywać równocześnie z samego czarnego serca mrocznej otchłani, ale też zalęknionego raptem wnętrza dziewczyny z północy. Jednak jedno spojrzenie za plecy wystarczyło jej, aby mroczny strach został całkowicie w niej rozproszony przez światło. Stało się to za sprawą widoku Złotej, która stała dumnie i jaśniejac intensywnie, zasłaniała ramionami skulone za nią kobiety. Ponadto sama jej świetlna emisja oślepiła wielu mrocznych wojowników i korzystając z ich oszołomienia, Srebrna, nie mając nic do stracenia, ruszyła do bezpardonowej szarży:

– Aggrrrrha! – wydarła z piersi bojowy okrzyk. I już niemal wpadała w potępieńczą horde, gdy tuż koło jej ucha świsnął złowieszczo bełt. Stała jak wryta, szybko spojrzała za siebie i zupełnie jakby to ona została trafiona, z boleścią jęknęła: – Złota... – Wspomniana istota ciągle stała przed pozostałymi kobietami, ale obecnie z bełtem tkwiącym prosto w jej sercu. – Walczcie ze mną, ze mną! – krzyknęła rozpaczliwie wojowniczką. – Ale doczekała się jedynie kolejnych mijających ją pocisków, które próbowała strącić własnym mieczem. Bez powodzenia. A zaraz odruchowo

ponownie spojrzała do tyłu i tym razem dostrzegła Złotą z całą klatką piersiową wręcz naszpikowaną bełtami. Świetlista aureola siostry krwi gasła, ręce królewskiej córki opadały, ale ona sama ciągle trzymała się na nogach. – Nie! – wrzasnęła w odpowiedzi jak dzika Srebrna i spontanicznie w ułamku chwili weszła na wyższy poziom nadzmysłu, po czym z nieokiełznaną furią natarła na mrocznego wroga.

– Najjaśniejsza ze złotych miała przeżyć, miała przeżyć, wy skończeni głupcy! – usłyszała jeszcze gniewne charczenie z szeregu przeciwników. Ale te odchodziło do niej, już jakby zanikającym echem i zaraz nie słyszała absolutnie niczego zatopiona bez reszty w esencji jedności. Przed sobą zaś dostrzegła jedynie falującą mroczną plamę i wpadła w nią w istnym szaleństwie, czyniąc w ciemnej powłóce rozliczne srebrzyste rozcięcia, zupełnie jakby rozpruwała wiążące światło czarne sukno.

Zabijała w nieposkromionej furii i gniewie. Wszak zaraz odniosła wrażenie, że mroczną przestrzeń coraz silniej zalewało też srebrzące się światło obcego pochodzenia. Wdzierało się niepohamowaną lawiną w czerń i przytłaczało ją. Tak oto światło jednoznacznie poskramiało mrok. A wobec tej nagłej przemiany, wojowniczką w jednej chwili zrozumiała, co się właśnie działo. Zaś wyzwoliło w niej to jeszcze większe pragnienie walki w obliczu realnej szansy na zwycięstwo w tym boju. Albowiem nie walczyła już w osamotnieniu, a posiadała u boku potężnego sojusznika – odsiecz srebrzystych wojowników rodem z północy. Skąd się tu raptem wzięli i dlaczego? To nie był czas na zadawanie pytań, tylko pora śmiertelnej walki!

Przeto będąca w pochłonięciu nadzmysłem, Srebrna uwijała się niezwykle sprawnie z mieczem, rozcinając nim raz za razem mroczne pomioty. Równocześnie nie napierała już na przeciwników, a z wolna się cofała, aby dotrzeć do Złotej. Choć nie przestawała przy tym ani na chwilę eliminować kolejnych wrogów.

W efekcie jej działań, jak i przybyłych sojuszników, pole walki zostało wkrótce skutecznie ogołoczone z mrocznych istnień, których resztki salwowały się ucieczką. Wówczas srebrzysta wojowniczka wyszła ze stanu jedności, odrzuciła miecz i uklękła tuż koło Złotej.

Ta, w otoczeniu pozostałych kobiet, spoczywała na ziemi w obfitej kałuży złocistej krwi, a jej złote oczy ostatecznie traciły swój jaśniejący blask.

Wszak na widok srebrzystej dziewczyny przybrana córka króla zachodniej krainy uśmiechnęła się lekko, oparła głowę na wysuniętych dłoniach Srebrnej i wyszeptowała:

– Zwyciężyliśmy... Zawsze wiedziałam, że nam się uda, bo zawsze w ciebie wierzyłam...

– We mnie...? – zapytała z bólem wojowniczką.

– Tak, w Srebrną, w najprawdziwszą Srebrną, moją ukochaną siostrę krwi... – Wtuliła się w pierś klęczącej dziewczyny.

– Ale... ja chyba nie jestem. – Wojowniczką z północy się zająknęła. Na co Złota z uczuciem oznajmiła:

– Nic nie mów, po prostu to poczuj. I daj poczuć to mi, zanim odejdę... – Królewska córka ujęła zadrapaną dłoń dziewczyny, po czym miejsce jej skaleczenia skąd sączyła się srebrzysta krew, nasyciła własną złocistą krwią z rany w swym sercu. W ten sposób złota ciecz zmieszała się ze srebrną. Wówczas wojowniczką poczuła w sobie coś niezwykłego, zupełnie jakby wstępował w nią nowy duch, a do tego odkrywała coś znajomego. Zaciekawiona popatrzyła na szramę na ręku i dostrzegła na tle srebrnej krwi jakby złocistą nić. Spojrzała w gasnące oczy swej domniemanej siostry i nagle z całą siłą do niej dotarło, że ona naprawdę nią była. Tak, były siostrami, które spotkały się po raz pierwszy tylko po to, aby zaraz rozłączyła je bezwzględna śmierć. Uświadamiając sobie tę okrutną prawdę, stanęły jej w oczach perliste łzy i mocno przytuliła do siebie Złotą. Ta zamierającym głosem zdawała się cytować czyjeś słowa:

– „Złota siostra wejdzie w mrok, by rozświecić srebrnej krok”... – Następnie kontynuowała: – To właśnie się teraz dzieje. Ja spełniłam już swoją rolę, umieram i zostaje nas tylko sześć legendarnych sióstr. Ty zaś musisz odnaleźć pozostałe, po czym przyjąć ich dar w postaci krwi lub samej ofiarować swe życie. To musi się dokonać, aż zostanie już tylko jedna z nas. – A zaraz Złota się zakrztusiła i ostatkiem sił zdołała jeszcze dodać: – Pamiętaj, strzeż się zwodniczej Alabaster, ale... daj szansę Czarnej. Daj jej szansę, ona zasługuje na to. Zaś Lazur...

– Siostro... – jęknęła Srebrna, widząc, że osoba w jej ramionach była konająca i jej oczy właśnie się zamknęły. I choć nie zdołała już podnieść powiek, to lekko rozchyliła usta, z których dobył się jeszcze delikatny szept:

– Nasi rodzice... Wiedz, że to... – Niestety złotej dziewczynie niedane już

było więcej wypowiedzieć żadnego słowa, podobnie jak odebrana została jej możliwość zaczerpnięcia kolejnego oddechu do przebitych płuc. Siostra krwi umarła, a wśród uratowanych za jej sprawą kobiet rozległ się rozdzierający serce lament.

Z kolei Srebrna dłuższy czas klęczała zdruzgotana z nagle odmienionym umysłem. Ponieważ to, kim jak się okazało, jednak naprawdę była, a mianowicie legendarną siostrą krwi, nabrało dla niej zupełnie nowego znaczenia. Oto jeszcze nie tak dawno, jako arogancka dziewczyna pragnęła po prostu zawojować świat i bezwzględnie rzucić go do swych stóp. Do tego chełpiąc się byciem legendarną wybranką. Teraz zaś? W miejsce niedawnej buty czy późniejszego zwątpienia czuła jedynie wypełniającą ją na wskroś powinność przysłużenia się innym – tym, którzy zasłużyli na ochronę, jak towarzyszyki Złotej, lecz nie mieli dość sił, aby samodzielnie się obronić.

Czy taka zmiana nastawienia dokonała się za sprawą tego, że obecnie posiadała w swych srebrnych żyłach nić złocistej krwi? – Popatrzyła na swą ranę na rękę, gdzie srebrzysta ciecz trwale była naznaczona złocistą. – Dziewczyna się domyślała, że została w jakiś sposób naznaczona i związana duchowo ze Złotą, która odeszła, aczkolwiek jej eteryczna część w pewnym sensie ciągle trwała właśnie w Srebrnej, złociła się w niej. Tak, obie siostry krwi, które spotkały się w mroku, połączyła więź i trwać będzie ona za sprawą wymieszanej krwi, stanowiąc swoisty drogowskaz w życiu dla tej z nich, która przerwała: „złota siostra wejdzie w mrok, by rozświetlić srebrnej krok”.

Utwierdzając się w tym przekonaniu, młoda wojowniczką poczuła się naraz o wiele dojrzała duchem. Natomiast na jej ramieniu krzepiąco spoczęła męska żyłasta dłoń. Srebrna uśmiechnęła się lekko. I nie spoglądając na stojącego za nią Marrenga, jego rękę, rękę swego prawdziwego przyjaciela, który pozwolił jej dojrzeć, przykryła własną dłonią. Albowiem to właśnie on, Marrengo, przybył z niespodziewaną odsieczą. On na czele tych północnych klanów, które ponad podziałami zdecydowały się jednak wziąć udział w kampanii przeciw ciemności. I chwala im za to.

Chociaż w nadchodzącej wojnie, a raczej wojnach, prawdziwe wielkie bitwy miały dopiero nadejść i w najbliższym czasie rozegrają się w każdej możliwej krainie krwawiącego kontynentu Unton. Srebrna, siostra krwi,

czuła tę nadciągającą nieuchronnie grozę całą sobą, przez co jej druga dłoń wciąż kurczowa zaciskała rękojeść legendarnego miecza, którego nie raz jeszcze będzie zmuszona użyć.

XIX. OONN

– Trzy szczypty platynowych łusek syreny i jedna garstka srebrnych, dwa gołębie pióra, odrobinę grafitowego pyłu, a teraz dokładnie zamieszać. – Wywar w potężnym garncu stojącym na ogniu pokrył się szarymi pęczkami. – Doskonale. Zatem jeszcze sproszkowana kość słoniowa i naskórek alabastrowego olbrzyma oraz skorupa porcelanowego zółwia, jak również łyżka kremowej masy perłowej. – Gotująca się mikstura zmieniła barwę na jaśniejszą i schłodzona przestała bulgotać. – Teraz kora cynamonowa i sproszkowana miedź oraz dwa drobno siekane kasztany plus szczypta tabaki z hebanową gałązką. – Powierzchnia ponownie kipiącej zupy zabarwiła się wyraźnym brązem. – Do tego sok ze złocistego kanarka, szafran i piątka słomy z uncją siarki. – Wywar rozjaśnił swą strukturę, a w górę poszybowały z niego złociste iskry. – O to chodziło. Tak więc czas na pokruszony malachit, liść oliwki i stopioną łuskę szmaragdowego smoka z listkiem czterolistnej koniczyny. – Starzec mocniej zamieszał miksturę i ta wyraźnie się zazieleniła. – Kolejnym składnikiem będzie atrament głębinowej ośmiornicy, kwiatostan chabru oraz ultramarynowa emulsja ze szczyptą kobaltu. – Powierzchnia nad wywarem pokryła się niebieskimi obłokami, z których niczym pioruny sypnęły błękitne iskry. – Jesteśmy bliżej, coraz bliżej. Zatem już czas na węgiel, ropę, smołę i bizmut. – Do obecnie wielobarwnej kipieli powędrowały czarne strużki wymienionych substancji, co zaowocowało tym, że swoiste chmury nad garncem przybrały burzowy wygląd.

Następnie mężczyzna zatarł dłonie i potężną chochlą ponownie zamieszał miksturę. Na jej powierzchni kolejno odznaczyły się kręgi, które ze srebrzystych przeszły w złote, te zaś kolejno w zielone, czarne, brązowe i lazurowe, a na koniec alabastrowe. Aż barwna zupa uzyskała jednocześnie siedem wymienionych kolorów. Wówczas starzec rozciął swoją skórę na dłoni i w sam środek płynu dodał czerwoną ciecz stanowiącą jego własną krew. W tym momencie wywar zafalował i coraz mocniej nasycił się

czerwieni, która pochłaniała pozostałe barwy, aż całkiem je pokonała i zwycięska czerwień ukazała twarz trupiego demona. Zaś z głębi czerwonej kipieli dobył się pełen nienasycenia głos:

– Krwi... krwi siedmiu młodszych sióstr...

– Dostaniesz ją – odparł z pewnością siebie starzec. – Dostaniesz krew każdej z młodszych sióstr, a razem z nią życie każdej z nich. Tak ci przyobiecałem, zaufaj mi. – Z tą chwilą dominująca czerwień niespiesznie ustąpiła, a sporządzona mikstura na powrót zabarwiła się siódmką barw legendarnych sióstr krwi, choć nadal żyło już tylko sześć z nich.

XX. SREBRNA

Na północno-zachodnim terytorium kontynentu Unton kolejny już dzień trwała słota. Podczas porannej szarówki wiatr, niczym bezpański pies, przemykał pomiędzy posępną kolumną srebrzystych jeźdźców na siwych koniach. Wierzchowce oraz wojowników zacinał zimnymi kroplami deszcz spadający z nieba jak rzęsiste łzy lamentu.

Taka pogoda trwała od pochówku Złotej, legendarnej siostry krwi, której ciało na pogrzebowym stosie oddano płomieniom symbolizującym jasne promienie słońca. Jednak po ceremonii złocista tarcza na nieboskłonie jakby odeszła w żałobie i nie zamierzała wracać w rejony, gdzie królewska córka ostatecznie zamknęła na świat swe jaśniejące oczy. Ta szara ziemia na pograniczu z Centralną Czeluścią zasnuta teraz gęstym całunem ciężkich chmur wydawał się wręcz przeklęta.

Jadąca konno Srebrna raz jeszcze otarła z twarzy deszczówkę. Mokrą dłoń z odklejoną z policzka srebrzystą łuską wytarła o końską grzywę, po czym ponownie wbiła smutny wzrok w zachodni horyzont. Przedstawiał on jedynie szarą trawę i zlewające się z nią kolorytem ciężkie, jakby stalowe niebo. Jednakże zmierzający dalej w tym kierunku wojownicy północy już niebawem spodziewali się powitać złociste łany zbóż samego królestwa. Podążali bowiem właśnie na jego terytorium, aby za wskazaniem Srebrnej wesprzeć w walce z mrokiem złotych rycerzy, którzy mieli zostać znienacka zaatakowani.

Zresztą srebrzysta wojowniczką nie musiała bynajmniej namawiać Marrenga, by jako dowodzący kampanią północnych klanów skierował ich oręż akurat na Królestwo Zachodzącego Słońca, gdzie wspólny wróg najeżdżał światło. Jej przyjaciel całkowicie uznał zasadność dokładnie takiej właśnie decyzji. Co więcej, w dowód tego, co zdołała uczynić Srebrna, mianowicie odnajdując Złotą oraz udowadniając swe legendarne pochodzenie, Marrengo chciał jej nawet przywrócić przewodnictwo nad klanem Srebrzystej Stali.

Wszak ona zdecydowanie odmówiła. Przy czym uczyniła to z wielu względów, gdzie przeważał ten, iż obecnie to Marrenga postrzegała jednoznacznie, jako klanowego wodza, nie siebie. Lecz również na ten czas przyzywał ją wielki świat i zgodnie z ostatnimi słowami Złotej, powinność odnalezienia pozostałych sióstr krwi. Dlatego niezależnie od wyniku nadchodzącej walki z siłami ciemności, jeżeli tylko dane jej będzie przetrwać przyszłe starcie, nie zamierzała pozostać na północy. Już postanowiła, że wyruszy do innych krain. Tak podpowiadało jej przeznaczenie.

Wtem jadąca na przodzie kolumny wojsk razem z Marrengiem Srebrna, niczym sama klanowa przywódczyni, wzniosła wysoko otwartą dłoń. Był to sygnał nakazujący wszystkim wstrzymać konie. Został on potwierdzony przez Merrenga i jeźdźcy solidarnie stanęli w miejscu, choć poza siostrą krwi z północy, która samotnie się wysforowała naprzód. Wkrótce też już wiadome było, czemu to uczyniła.

Oto z popielatych chmur wyłonił się srebrzysty smok ze złocistym jeźdźcem na grzbiecie. Podleciał on tuż przed Srebrną, która z trudem uspokajała swego wierzchowca i osiadł na nasiąkniętym deszczówką gruncie.

Jednak srebrzysta dziewczyna nie spoglądała na Aezona, a z twarzą naznaczoną powagą patrzyła na równie zastygłe oblicze Złotego. Naraz zaszklily się jej oczy, pokręciła przecząco głową i odwróciła wzrok od następcy tronu. Ten zrozumiał niemy przekaz. Siedział jeszcze dłuższy czas osowiały na skrzydlatym gadzie, po czym bez słowa sunął się po jego łuskowatym grzbiecie i oparł o niego plecami.

Niebawem, ocierając z twarzy łzy zmieszane z deszczem, analogiczną pozycję koło niego zajęła Srebrna. W milczeniu razem wpatrywali się w poszarzały krajobraz, aż ciszę przerwał Złoty:

- Próbowałeś, próbowaliśmy... Dlatego nie winię cię, nas... za porażkę.
- Wiem, że zawiodłam i nie oczekuję wybaczenia – odparła niemal martwym głosem Srebrna i znowu zapadło milczenie.
- Jak to się stało... walczyliście? – przemówił ze smutkiem ponownie Złoty. Ale zaraz potarł mocno twarz dłońmi i zdecydowanie uciął: – Nie, nic nie mów. Nie chcę wiedzieć. To już niczego nie zmieni. Skoro moja siostra nie żyje, jej istnienie należy już tylko do zbawiennego światła słońca. Ja

natomiast zrobię wszystko, aby podążać jej świetlistą ścieżką. W ten sposób będę czcił o niej pamięć, na zawsze.

– Zawsze będziemy o niej pamiętać... – szepnęła srebrzysta wojowniczka i lekko ujęła młodzieńca za ramię. Ale ten się wyrwał, stanął nieco z boku i jakby próbując zrzucić z siebie jakiś przytłaczający go ciężar, w pośpiechu zmienił temat:

– Widzę, że prowadzisz wojowników północy na granicę z królestwem. To dobrze, ponieważ mroczne zastępy otworzyły już czarną pieczęć nad zachodnim niebem i czar ciemności przysłonił słońce. Wielka bitwa już się zaczyna i nie ma ani chwili do stracenia.

– Więc polećmy na nią razem... z Aezonem. A wojownicy klanowi dołączą, jak najszybciej zdołają – zasugerowała dziewczyna i wyciągnęła w kierunku młodzieńca ściągniętą z nadgarstka perłową bransoletkę. Następca tronu spojrzał na nią, ale zaraz uciekł wzrokiem i rzucił w powietrze:

– Zatem postanowione. Polecimy na bitwę jako pierwsi. Jestem gotowy.
– Wszedł na grzbiet smoka i czekał na pasażerkę. Ona spokojnie oznajmiła:
– Zaraz wrócę, muszę tylko przekazać wieści przywódcy zjednoczonych klanów północy.

– Idź – powiedział tylko Złoty, co z jego złocistych ust zabrzmiało nad wyraz chłodno, zupełnie jak słowa wygnania.

Wkrótce Srebrna powróciła od Marrenga, usiadła na smoku za plecami księcia, chwyciła młodzieńca w pasie i poleciała w przestworza wprost ku zachodowi. Zaś szybując, ile razy próbowała przytulić się do Złotego, aby zanieść mu otuchę, tylekroć ten nienaturalnie spinał mięśnie i siadał sztywno, jakby ją odpychając. Dała więc za wygraną i nie próbowała w ten sposób nieść więcej ukojenia. Rozumiała przecież, że księżę właśnie stracił siostrę, a ona była tą, która przyrzekła mu ją ochronić i nie dotrzymała danej obietnicy. Zawiodła jego, siebie oraz Złotą i nic nie mogło już zmasać jej winy, była tego świadoma. Dlatego zaakceptowała zdystansowaną postawę księcia.

Lecz wkrótce co innego zaczęło coraz silniej przykuwać jej uwagę. Oto niebo na zachodnim widnokręgu, do tej pory szare, a potem przez moment złociste, splamione zostało jakby czarną farbą. Ta rozlewała się na wielkiej przestrzeni, odcinając wszelkie promienie słońca. Pod nią jasność

pochodziła jedynie z niezliczonej ilości zapalonych pochodni.

W miarę zbliżania się do nich Srebrna dostrzegła, że płonące drzewce dzierżyli złoci rycerze, zarówno piechurzy, jak i konni. Były ich tu całe tysiące i na rozległej równinie właśnie ustawiali szyk poszczególnych formacji bojowych. Natomiast naprzeciw nich, co prawda z powodu dominującej ciemności nie mogła niczego dojrzeć, ale słyszała pochodzące stamtąd ciężkie dudnienie, porykiwania i dźwięczny stukot metalowego oręża oraz zbroi.

Z kolei Złoty, który kierował Aezonem, zwolnił i przeleciał tuż ponad pierwszą linią wojsk zachodniego królestwa. Dzięki temu srebrzysta dziewczyna mogła w miarę dokładnie przyjrzeć się żołnierzom. Zaś o tym, na co akurat patrzyła, dokładnie instruował ją, mówiący ponuro, jakby sam do siebie, księżę:

– Łucznicy złocistych strzał stoją w pierwszym szeregu, by ognistymi pociskami zasiał w mrocznych oddziałach jaśniejący zamęt i osłabić wroga. Złota piechota czeka w gotowości tuż za nimi i to ona na połyskujące tarcze oraz miecze przyjmie główny impet złowrogiej czerni. Halabardnicy jasnych promieni stoją na flankach, aby oprzeć się szarzy mrocznej jazdy. Tam też ulokowany został grom świetlistej kawalerii, aby niczym słoneczna pięść w odpowiednim momencie kontratakować i przełamać ciemność. W samym zaś centrum szyku, nieco na tyłach, stacjonuje gwardia słońca i stojący na jej czele nasz król, naczelny wódz, a mój ojciec.

Po tych wyjaśnieniach smok z jeźdźcami dotarł na południowy odcinek królewskich wojsk stanowiący zarazem ich lewą flankę względem nadciągającego ze wschodu przeciwnika. Podczas gdy Marrengo z wojownikami zmierzał na północną część przyszłego pola walki i zarazem prawą flankę wojsk królestwa.

Jednakże obserwując przygotowania do walki Srebrną ogarniał narastający niepokój. Znała bowiem z opowieści Marrenga sposób prowadzenia bitew przez złociste zastępy, a poległ on na forsowaniu od wieków jednej i tej samej strategii. Po początkowym ostrzale wroga płonącymi strzałami zwykle następowało odparcie halabardnikami na flankach wrogiej jazdy, potem odbywało się frontalne starcie piechoty przeciw piechocie i wreszcie dochodziło do próby oskrzydlenia napastnika własną kawalerią. Wszakże powielana nieustannie ta sama taktyka już od

dawna nie przyniosła królestwu decydującego zwycięstwa i dziewczyny na smoku bynajmniej to nie dziwiło, a wręcz przeciwnie. Mroczny wróg się bowiem uczył i nie pozostawał bierny. Dlatego Srebrna szczególnie rada była z nadciągania na pole bitwy wojowników północy. To w jej mniemaniu mogło stanowić główny atut sił światła i ostatecznie przesądzić o losach potyczki. Ta właśnie się rozpoczynała:

– Trupi ostrzał... – syknął Złoty i skierował smoka nieco wyżej, aby ten uniknął kontaktu z nadlatującymi ze wschodu pociskami. Wśród nich Srebrna zauważyła szybujące w powietrzu gigantyczne pająki, skorpiony i węże, a wszystkie o jednolicie czarnej barwie. Choć w powietrzu pomknęły także ludzkie głowy i pokawałkowane mięso ofiar oraz worki wypełnione płynem. Te ostatnie, po kontakcie z twardą powierzchnią ziemi, zbrojami złotych rycerzy, czy ich orężem, pękały, uwalniając żrący kwas i trujące opary. Jednak w wyniku prowadzonego ostrzału, mimo że wielu żołnierzy zostało ściętych z nóg, to ubytki w ich jasnych szeregach były natychmiast uzupełniane i formacja wojskowa królestwa ciągle stanowiła monolit.

– Łucznicy złocistych strzał, nareszcie – powiedział z ulgą książę. Zaś pasażerka smoka obserwowała salwę płonących drzewców posłaną idealnie po łuku, która po osiągnięciu górnego pułapu zaczęła opadać i niebawem najeżyła zapalonymi grotami mroczne wojsko. Ono z kolei, teraz nieco oświetlone zapalonymi strzałami we własnych szeregach, ukazało swe posępne oblicze.

Przed ostatnią bitwą w ciemnościach w obronie Złotej Srebrna nigdy nie miała jeszcze okazji walczyć z mroczniakami. Jednak w ramach szkolenia Marrengo nauczał ją o poszczególnych jednostkach największego wroga ludzi północy. Dzięki temu srebrzysta dziewczyna była obecnie w stanie rozróżnić poszczególne formacje sił mroku. Z przodu kotłowała się szeregową, tak zwaną czarną piechotę, czyli średnio opancerzeni i prawie pozbawieni umysłu wojownicy ciemności. Sami w sobie stanowili może niezbyt przekonującą siłę bojową, za to potrafili nadrabiać w walce szaleńczą determinacją i przede wszystkim liczebnością. Tuż przed nich wypuszczone zostały psy zagłady. Były to powstałe z martwych wilczury z kolczastymi obrożami i szczękami zamienionymi na wykonane z czarnego metalu, analogicznie posiadały metaliczne pazury. Nad nimi unosiły się złowieszczo sępy wiecznej nocy – ponure ptaszyska monstrualnych

rozmiarów o dziurawych skrzydłach i wystających z nich kościach, które to istoty na równi atakowały wroga masywnymi szponami, dziobem, jak i trupim oddechem. Ponadto bardziej z tyłu wojownicza dostrzegła potężne sylwetki mrocznych berserków, wystających ponad szeregi wojsk Centralnej Czeluści niczym opancerzone góry. Natomiast na jednej z flank zbiła się w formacji klinowej jazda demonicznych bawołów. Za wierzchowce robiły w niej niezwykle potężne i rogate zwierzęta, do tego mocno opancerzone, których dosiadała elita czarnych rycerzy z mieczami oraz długimi kopiami, jako uzbrojeniem. I ta właśnie grupa wysforowała się nieco do przodu, wyraźnie przygotowując atak na złote wojska dokładnie w miejscu, ponad którym skrzydłami łopotał srebrzysty smok.

Wobec tego ruchu wojsk nieprzyjaciela także złota konnica ustawiła się w formację klinową. Ale przed nią wybiegł osłaniający ją oddział halabardników jasnych promieni. Ci jednak nie posiadali tarcz i byli szybko eliminowani przez wrogich kuszników. Widząca to, Srebrna coraz bardziej nerwowo spoglądała na zbyt przewidywalne ruchy królewskich jednostek. Obecnie to, jak resztki przetrzebionych halabardników się wycofują w momencie, kiedy do szarży rusza bawoła jazda. Naprzeciw niej natychmiast uderzył grom świetlistej kawalerii. Dziewczyna miała okazję podziwiać pod sobą setki pędzących jeźdźców, gdzie oni sami oraz ich rumaki aż złócili się od połyskujących zbroi i trzymany pochodni. Lecz nieoczekiwanie czarna jazda wstrzymała pęd i ustawiła się szeroką ławą. Zaś przed nią pognały, ujadając zajadle psy zagłady. Te wpadły w samobójczej szarży na czoło świetlistej kawalerii i dały się tam stratować. Wszak same pokryte ostrym metalem okaleczyły nogi rumaków i w efekcie wierzchowce z przodu formacji solidarnie, jak za sprawą miecza, zostały ścięte z nóg. Kolejne złociste konie nadziały się wprost na te już przewrócone i tak w szeregi zachodniej kawalerii wdał się chaos. Na to tylko czekali jeźdźcy bawołów. Ustawili oni w poziomie niezwykle długie kopie, po czym ruszyli ławą do miażdżącej szarży na powstrzymaną kawalerię. Wówczas Srebrna, widząc, na co się zanosilo, czyli całkowity pogrom złotej jazdy, nie zamierzała być dłużej bierna:

– Aezonie atakuj! – wskazała czubkiem wyciągniętego miecza środek szyku nacierających bawołów. W odpowiedzi smok lotem ślizgowym w dół runął ku mrocznej jeździe i w momencie, gdy ta już wpadała w świetliste

szeregi kawalerii, wyrzucił z paszczy mroźny oddech. W rezultacie soplami oraz samym zimnem spowolnił centrum nacierających jednostek wroga i te nie zmasakrowały złotej konnicy. Za to na pierwszej linii wywiązała się bezpardonowa walka.

W tym czasie Srebrna umiejętnie kierowała Aezonem za pomocą ruchów nóg oraz rąk. Dzięki temu szybko nawróciła skrzydlatego gada i razem ze zorientowanym już w sytuacji Złotym wspólnie cięli ostrzami czarnych rycerzy dosiadających swych nietypowych wierzchowców. Przedzierali się szybko przez wrogie szeregi, to wzlatywali wyżej, aby znaleźć się poza zasięgiem obcego oręża, a potem znów nurkowali i niespodziewanie kęsał przeciwnika.

Aż przy kolejnym poderwaniu Aezona w przestworza, wokół niego zaroilo się od mrocznych sępów. Te atakowały również trującymi wyziewami. Przez to Srebrna wpadła w dezorientację i unikając walki, tylko czym prędzej poganiała smoka pionowo do góry, aby wyrwać się z duszących oparów, które odbierały oddech i parzyły odsłoniętą skórę.

Wkrótce jej skrzydlaty gad osiągnął naprawdę imponujący pułap i urwał się mrocznej eskadrze. Natomiast jeźdźcom smoka ukazała się przerażająca panorama monstrualnej bitwy oświetlanej w wielu punktach z różnym natężeniem przez trzymane, bądź już porzucone, płonące pochodnie.

I tak grom świetlistej kawalerii na lewej flance wciąż stawiał zacięty opór jeźdźcom bawołów i walka wydawała się tam wyrównana, choć po obu stronach było już mnóstwo ofiar. Z kolei w centrum starli się w morderczym zwarciu szeregowi wojownicy mroku oraz światła. Napierając na siebie, przepychali się w jedną, to drugą stronę, gdzie mroczne oddziały przypominały czarny ocean wdzierający się coraz śmieiej na świetliste wybrzeże. Natomiast daleko na północnym odcinku pola bitwy wojska zachodniego królestwa zostały rozgromione przez mrocznych berserków. Lecz tam, przed absolutnym pogromem, sytuację ratował nadciągający z odsieczą Marrengo.

Wobec tego ostatniego widoku, poza narastającą ekscytacją wywołaną rozgorzałą bitwą, Srebrna poczuła też przyływ nieskrywanej dumy. Oto bowiem jej ludzie północy, w tym klan Srebrzystej Stali, z którym posiadała silną więź, wsparli królestwo w decydującym momencie.

Gdy wtem wprost w Aezona uderzył wystrzelony z katapulty czarny głaz. W wyniku trafienia rozbrzmiał złowieszczy skrzek wytraconego z równowagi smoka. Zaś srebrzysta dziewczyna ani się obejrzała, a już spadała z ogromną prędkością. Straciła oddech i nawet nie miała czasu, by poczuć strach przed upadkiem, jedynie śledziła błyskawicznie powiększający się pod nią obraz morderczej walki. Aż tuż przed powierzchnią spadła jakby na rozciągniętą w powietrzu płachtę, która skutecznie zamortyzowała upadek.

Wstrząśnięta Srebrna się zorientowała, że leciała teraz na mrocznym sępie, a jej nogi przebiły się po dwóch stronach grzbietu zwierzęcia przez jego błoniaste skrzydła. Zareagowała błyskawicznie, wyjmując miecz, który zdążyła już schować i siekła okolicznych wrogów, kiedy tylko znaleźli się w jej zasięgu. Następnie całym ciałem przywarła do lecącego stworzenia z chwilą, gdy któryś ze świetlistych rycerzy ściął mu głowę i zanurkowało ono pod kopyta rumaków oraz racice mrocznych bawołów.

Srebrzysta wojowniczką już zaraz leżała na ziemi i aby uniknąć stratowana, natychmiast weszła w stan nadzmysłu. Wówczas znalazła się jakby w czarno-świetlistym wzburzonym oceanie, gdzie sama była tonącą w nim dziewczyną. Zaś jej długie ostrze stanowiło jakby kawałek drewna, dzięki któremu utrzymywała się na powierzchni. I tak porywana niczym oceanicznymi prądami starała się przede wszystkim unikać najbardziej wypiętrzających się fal oraz zdradliwych wirów, by nie dać się pochłonać otaczającemu ją bezmiarowi.

Aż raptem wyszła ze stanu jedności w momencie, gdy szczęśliwie wypadła z kotłującej się ze sobą jazdy na otwartą przestrzeń. Szybko się podźwignęła do pionu cała już umorusana w czarnej i złocistej krwi, po czym stając z mieczem w bojowej postawie, spróbowała się rozeznąć w bieżącej sytuacji.

Nie miała pojęcia, na jakim odcinku pola walki przyszło jej teraz stawać w szranki z wrogiem. Jedno nie ulegało jednak wątpliwości. Mianowicie, że trafiła w sam ogień bitwy, ponieważ po bokach miała walczącą jazdę, tuż za sobą gwardię słońca, czyli osobistą straż króla oraz jego samego w centrum formacji. Natomiast naprzeciw niej biegł cały tabun mrocznych berserków, gdzie każdy przewyższał ją wzrostem przynajmniej dwukrotnie, nie wspominając już o sile mięśni. Niestety wojowniczką nie miała już

czasu, by wycofać się do złocistego szeregu i musiała podjąć samotną walką.

Ściskając kurczowo miecz, w otoczeniu płonących wokół na ziemi porzuconych pochodni, popatrzyła na doznaną w ferworze walki ranę na ramieniu. Szczególnie zogniskowała wzrok na złocistej nici wplecionej w swoją srebrzystą krew. Wspomniała Złotą i to z miejsca dodało jej sił oraz odwagi, ale nie tylko to. Z tą chwilą także dwa znaki na jej mieczu rozjarzyły się srebrem oraz złotem i sam oręż jakby zyskał dzięki temu większą moc. A już zaraz wydawał się niemal sam kierować ruchami wojowniczką, która zwinnie wmanewrowała pomiędzy mrocznych berserków.

Nie próbowała parować ich ciosów wymierzanych młotami bojowymi, czy maczugami. Zamiast tego czyniła sprawne uniki i kasała niczym osą w nieosłonięte zbrojami fragmenty ciał przeciwników. Tych zachodziła z tyłu, to boku i nie dawała ani chwili wytchnienia. Zaś dzięki chaosowi w ich rozproszonej, już rozluźnionej formacji, ciągle korzystała z efektu zaskoczenia niezwykle masywnego, ale też dość ociężałego wroga.

Szybko otrzymała też należne wsparcie królewskiej gwardii zaopatrzonej w lśniące i dwuręczne miecze. Zresztą za chwilę nawzajem osłaniała się już z samym królem, ponieważ to musiał być właśnie on, złoty monarcha. Postać iście majestatyczna, górująca nad innymi rycerzami i ze zbroją tak lśniącą, że aż oślepiła srebrzyste oczy dziewczyny, nie mówiąc już o mrocznych ślepiach berserków. Z kolei królewski miecz wydawał z się z dziecinną łatwością rozcinać każdą najtwardszą nawet czarną zbroję. W ten sposób w potyczce na tym odcinku bitwy górę brały świetliste zastępy i Srebrna niebawem dostała tu nawet moment wytchnienia, gdy naraz zabrakło koło niej kolejnych wrogów.

Jednakże wówczas od południa niespodziewanie wyłoniła się kolejna formacja wojskowa. Wojowniczką zmrużyła oczy, by w skąym świetle dostrzec szczegóły nowych żołnierzy na polu walki i jak najszybciej zweryfikować czy był to wróg, czy też przyjaciel. Lecz rozstrzygnięcie tego wcale nie było takie oczywiste, bowiem równym rzędem zbliżali się do gwardii słońca piechurzy w nieznanym dziewczynie brązowych mundurach. Ci wszakże wydawali się uzbrojeni jedynie w kije, co na pierwszy rzut oka wyglądało wręcz kuriozalnie.

Srebrna nic z zastanego widoku nie rozumiała i zastygła w oczekiwaniu. Podobnie uczyniło wielu gwardzistów, w tym również sam król, który stał tuż przy niej. Wszyscy zgodnie spoglądali ze zdumieniem na nowe jednostki.

W tym czasie wszędzie wokół wciąż trwała wyniszczająca bitwa. Gdzieś tam walczyli też zapewne Marrengo, Złoty oraz Aeozon. Natomiast kasztanowi żołnierze zatrzymali się w średniej odległości od gwardii słońca. Następnie pierwszy ich szereg przyklęknął i wymierzył kije wprost w gwardzistów. Podobnie uczynili brązowi żołnierze z drugiego szeregu, stojąc ponad klęczącymi kompanami.

I nagle rozległa się jedna po drugiej ogłuszająca salwa składająca się z niezliczonej ilości pomniejszych huków. Zaś kasztanowy oddział otulił w półmroku gęsty dym.

Srebrna w pierwszym momencie skuliła się odruchowo, wystraszona niespodziewanym hałasem, ale zupełnie innym niż dotychczasowy, bitewny zgiełk. Potem dłużej stała oszołomiona z nieznośnym piszczeniem w uszach, próbując daremnie zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

Aż poczuła przytłaczający ciężar na ramieniu, a powodem był wspierający się na nim sam król. Przyjrzała mu się uważniej i dostrzegła, że pod wzniesioną przyłbicą złotego hełmu miał twarz zalaną złocistą krwią. Natychmiast spróbowała podtrzymać osuwającego się po jej ciele monarchę, ale ze względu na jego ciężar nie dała rady i władca spoczął na kolanach. Przykucnęła przy nim, a wtedy ze strony kasztanowych żołnierzy padły kolejne salwy i poczuła świst tuż nad głową, ponadto coś z brzdękiem odbiło się od klingi jej miecza. Wówczas zdała już sobie sprawę, co tak naprawdę zaistniało, gdy dodatkowo zobaczyła kątem oka padających na ziemię gwardzistów. Dlatego zebrała się w sobie i użyła całej fizycznej mocy, aby podźwignąć króla. Ten również dał z siebie wszystko, rozprostował po części kolana i razem zaczęli się oddalać od, jak się okazało, wrogiego, a zarazem śmiertelnie groźnego oddziału brązowych piechurów.

– Chronić króla! – wrzasnęła wycofująca się dziewczyna, która starała się przekrzyknąć kolejne salwy wystrzałów, szcęk krzyżowanego oręża oraz ryki konających i rannych. Jednak w narastającym chaosie jej wołanie trafiało w próżnię, przez co ciągle samotnie ciągnęła ze sobą powłóczącego

nogami władcę. Choć na dobrą sprawę nie wiedziała, w którą zmierzali stronę. Jedynie ze wszystkich sił próbowała jak najbardziej oddalić się od śmiercionośnych wystrzałów. Te nie ustawały. – Chronić króla... – Wkrótce już nie krzyczała, bo zmęczona nie miała na to dość tchu w płucach. Jedynie charczała, obserwując co raz padających koło niej zdeorientowanych gwardzistów.

Aż niespodziewanie zderzyła się ze ścianą alabastrowych tarcz. W prawdziwym szoku popatrzyła na jeszcze jedną formację wojskową na polu walki, już kompletnie nie rozumiejąc sytuacji, gdzie jak spod ziemi wyrastały inne zbrojne oddziały i każdy wydawał się tu walczyć ze wszystkimi.

– Chronić... króla... – wysapała z trudem w kierunku zwartej alabastrowej ściany, ale ta ani drgnęła. A zaraz Srebrna skuliła się nisko na nogach, kiedy wraz z jeszcze jedną salwą wystrzałów pochodzących z tyłu, z przodu rozbrzmiał metaliczny dźwięk licznych uderzeń o metalowe tarcze. – Chronić... – szeptała już zupełnie bez wiary.

Wtem tuż koło niej gwałtownie wylądował Aezon na grzbiecie z księciem. Ten ostatni szybko zeskoczył z gada i podskoczył do ojca. Ułożył go na plecach i spojrzał z przestrawieniem w jego zalaną złotem twarz. Coś powiedział, ale w ogólnej wrzawie Srebrna go nie słyszała. Widziała tylko, jak zaczął gwałtownie potrząsać ciałem ojca, który nie dawał już znaków życia. Następnie wstał z twarzą zalaną łzami i rzucił się jak oszalały z mieczem na mur alabastrowych tarcz.

Z kolei srebrzysta wojowniczką zwróciła uwagę na idących w równym szyku brązowych żołnierzy. Ci już nie strzelali, za to zaopatrzyli swój niezwykle oręż w długie kolce i dobijali nimi rannych oraz zakłuwali tych rycerzy, którzy zdolni byli jeszcze do walki.

Wtedy do dziewczyny z północy ostatecznie dotarło, że jeżeli tutaj zostaną, to niechybnie podzielą los króla, czyli zginą. W konsekwencji chwyciła ciągle szamoczącego się Złotego, aby się opamiętał. Ale ten odepchnął ją gwałtownie, a następnie odrzucał wszystko i wszystkich od siebie, zupełnie jakby naprawdę postradał zmysły. Dlatego za drugim podejściem, kiedy Srebrna go zaczepiła i spojrzał na nią, zrobiła to, co w podobnych okolicznościach z nią samą niegdyś Marrengo. Mianowicie z całych sił uderzyła księcia ręką miecza prosto w twarz. W efekcie

następca tronu zachwiał się na nogach i pozbawiony przytomności runął na ziemię. Dziewczyna zdążyła go pochwycić i z trudem wtaszczyła na smoczy grzbiet. Potem umknęli, jak się zaraz okazało, z samego serca bitwy, wzlatując coraz wyżej w mroczne przestworza.

Stąd natomiast rozpościerał się iście dramatyczny widok. Od południa napierały bowiem w prostokątnych formacjach liczne oddziały kasztanowych żołnierzy, którzy już nie walczyli ze złotymi zastępami, a całymi setkami brali do niewoli złocistych jeńców. W tym czasie na wschodzie nieprzerwanie trwała rzeź królewskiej armii dokonywana za sprawą sił mroku. Te jednak oraz brązowe wojska, nie wchodziły sobie w paradę.

Tak oto wróg wspólnymi siłami skutecznie gromił zachodnie królestwo, którego szeregi ulegały ostatecznemu załamaniu i resztki rycerzy w złocistych zbrojach uciekały ku zachodowi oraz północy. W tym ostatnim kierunku wycofywał się też Marrengo ze swoimi ludźmi i to za nim, w obliczu przegranej z kretesem bitwy, postanowiła polecieć Srebrna.

* * *

Następnego dnia nędzne resztki złotych wojsk wespół z oddziałami z północy założyły obóz na pograniczu ziem królestwa i terenów klanowych. Jednak oczywiste już było, że wojna została przegrana z powodu całkowitej klęski w walnej bitwie. Teraz nie pozostało nic więcej, jak tylko czekać na negocjacje pokojowe w nadziei, że zwycięscy nie zapragną zgnieść pokonanego przeciwnika do cna z opcją wymuszenia na nim bezwarunkowej kapitulacji.

Obecnie Srebrna powróciła z samotnego rekonesansu na smoku. Zachowując wysoki pułap lotu, aby unikać niebezpieczeństw, zlustrowała skraj niedawnej bitwy, gdzie dostrzegła na ziemi niezliczoną ilość ciał w złotych zbrojach oraz mundurach. Czarnych ofiar bitwy doliczyła się o wiele mniej, a kasztanowych praktycznie w ogóle. Za to żołnierze o brązowej barwie skóry energicznie maszerowali, szybko biorąc uciekinierów z pola walki w okrążenie. Natomiast siły Centralnej Czułości pozostały pod czarną częścią nieba i napawały się zwycięstwem, wciąż dobijając rannych i beczeszcząc świetliste zwłoki poległych.

Po powrocie ze zwiadu srebrzysta dziewczyna zawitała do obozu przegranych, a ściślej złocistego namiotu stanowiącego teraz kwaterę

główną. Wewnątrz był on pozbawiony jakiegokolwiek wystroju, czy sprzętu, a w jednym z siedmiu jego rogów zasiadał złoty książę. Odkąd odzyskał przytomność do nikogo się nie odzywał, ani na nikogo nie raczył nawet spojrzeć, tylko spoglądał ponuro w ziemię i spoczywał w całkowitym bezruchu. W jego pobliżu stał Marrengo oraz marszałek koronny, a zarazem bliski krewny króla, baron Ozłon. Ściszym głosem rozmawiali, a ich dyskusji zaczęła się przysłuchiwać strapiona Srebrna.

Podobno na polu niedawnej bitwy doszło do szeregu nieprzewidzianych okoliczności w tym także jawnych zdrad. Otóż do walki niespodziewanie przystąpili muszkietrzy z Kasztanowej Republiki. Władze tego państwa ponoć od dawna naciskały na ustępstwa w sprawie budowy linii kolejowej na terenie królestwa oraz na otwarciu tu kopalń węgla. Ale złoty król pozostawał na te naciski niewzruszony. Ponadto z zupełnie niewiadomych przyczyn zbuntował się służący od pewnego czasu w złotych szeregach alabastrowy legion utrzymywany przez wielką księżną Alabaster, jako wsparcie dla królestwa.

Na tę wzmiankę słuchająca wymiany zdań dziewczyna wspomniała białe tarcze, które stanęły na drodze ratunku dla króla. W głowie zaszumiało jej także ostrzeżenie Złotej, aby strzegła się wielkiej księżnej.

Wszak dalszą dysputę nad obecnie dramatyczną sytuacją królestwa przerwało wkroczenie do namiotu posła w brunatnych szatach. Ten rozejrzał się po nielicznych zgromadzonych, a oni solidarnie wskazali na księcia Złotego. Jednak gdy tylko dyplomata uczynił krok w kierunku następcy tronu, on, nawet nie spoglądając na przybysza, wyciągnął ku niemu miecz. Wobec takiego zachowania do raptem wystraszonego posła podszedł Marrengo. Zabrał mu depezę i zasugerował, by poczekał poza namiotem. Przybysz skwapliwie skorzystał z tej możliwości. Kiedy wyszedł, przywódca klanu Srebrzystej Stali otworzył dokument, zaszeleścił nim wymownie i jeszcze popatrzył na księcia. Ten nie raczył zareagować. W konsekwencji Marrengo, który sam nie umiał czytać, oddał zapisaną kartkę papieru baronowi Ozłonowi, aby przeczytał treść, co marszałek koronny uczynił na głos:

– „Zwycięska strona doszła do konsensusu w sprawie niezwłocznego wstrzymania działań zbrojnych i zawarcia wieczystego pokoju z królestwem. Natychmiastowe i bezwarunkowe przyjęcie warunków

pokojowych będzie się wiązało ze zwolnieniem wszystkich jeńców wojennych oraz brakiem konieczności wypłacania kontrybucji wojennej. Warunki są następujące: Centralna Czeluść zajmie wschodnie rubieże królestwa po rzekę Złocina, czyli jedną szóstą terytorium Królestwa Zachodzącego Słońca, gdzie trwale zapadnie ciemność. Ponadto królestwo zezwoli na otwarcie na swoim terytorium dowolnej liczby kopalń węgla i pól naftowych oraz nie będzie stwarzać przeszkód na drodze do połączenia wspomnianych obiektów siecią linii kolejowych. Co się zaś tyczy sprawowania nadrzędnej władzy, to nowym królem zostanie hrabia Tycjan, który posiada w swych żyłach zarówno krew złocistą, jak i kasztanową, co ma sprzyjać rozwijaniu przyjaźni obu narodów, które niefortunnie starły się w zbrojnym konflikcie. Z kolei w kwestii obecnego następcy tronu, księcia Złotego, to zrzeknie się on władzy i zgodnie z dotychczasowymi postanowieniami poślubi kuzynkę króla Tycjana, baronową Bursztyn. W ten sposób zachowa status arystokraty wraz ze wszystkimi przywilejami. Przy czym zwycięskie strony zaznaczają, że aby niniejszy dokument był wiążący, musi zostać podpisany przez księcia Złotego w trybie natychmiastowym. Poszczególne punkty traktatu pokojowego nie podlegają renegocjacji”. – Ozłon skończył czytać. A już zaraz do namiotu wbiegł srebrzysty goniec i przekazał coś na ucho przywódcy Srebrzystej Stali. Wobec nowych wieści ten grobowym tonem oświadczył:

– Zwiadowcy donoszą, że muszkietrzy zamykają pierścień okrążenia wokół naszego obozu, a ich siły, w odniesieniu do naszych, są przytłaczające. Zatem osobiście uważam, że w powstałych okolicznościach traktat pokojowy powinien zostać przyjęty. W przeciwnym razie kolejna propozycja ugody może zawierać warunki jeszcze trudniejsze do zaakceptowania, a my na swoich rozkazach możemy już nie mieć ani jednego żołnierza.

Zapadła cisza i wszyscy w namiocie wbili wzrok w siedzącego w niezmienną pozycję Złotego. Ale on wydawał się przebywać gdzieś we własnym świecie i najwyraźniej nie zamierzał dać żadnej odpowiedzi, nie czynił nawet najmniejszego gestu. Dlatego, aby przerwać trwający impas, Srebrna uczyniła dyskretny ruch do Marrenga oraz Ozłona, żeby zostawili ją sam na sam z księciem. Ci spojrzeli po sobie bez przekonania, ale po chwili wahania wyszli z namiotu.

Wkrótce wojowniczką siedziała koło Złotego i obracała w dłoniach podarek od księcia – perłową bransoletkę. A skoro nic nie zapowiadało tego, aby młodzieniec zabrał głos z własnej inicjatywy, swoje srebrzyste usta otworzyła dziewczyna. Wszak uczyniła to nie, aby przemówić, a zanuciła znaną sobie nie wiadomo skąd pieśń:

– Ente soonte maanto siinti... Ente sonnte maanti sento... Ento soto miino maana... Anto minto seen miseento... – Lecz co znamienne, wyśpiewała po cichu raptem parę fraz, a kamienną do tej pory twarz młodzieńca już ozdobił lekki uśmiech, który się szybko poszerzył. I naraz, niczym zbudzony z żalobnego transu, książę z ukosa spojrział przyjaźnie na Srebrną. Ona stwierdziła, że biorąc pod uwagę ogół dramatycznych okoliczności, uczynił to nawet zbyt przyjaźnie. Ponieważ nie tak dawno przekazała mu przecież wieści o śmierci przyrodniej siostry, Złotej, a potem z jej ramion odebrał martwego ojca, którego także, co tu dużo mówić, nie zdołała ochronić. Dlatego nagle zamilkła. Choć wcześniej świadomie użyła pieśni, podejrzewając, że w obecnej sytuacji był to być może klucz to złamanego serca młodzieńca. I się nie pomyliła, bowiem po jego rozjaśnionym spojrzeniu naprawdę odniosła wrażenie, jakby jej śpiew w niewyjaśniony sposób scalił książęce serce.

Następnie Złoty łagodnie odgarnął Srebrnej kosmyk włosów z twarzy i chciał skierować jej lico całkiem ku sobie. On mu jednak na to nie pozwoliła, aby nie był widoczny jej drugi policzek mocno oszpecony łuszczącą się skórą. Książę dał za wygraną, westchnął ciężko i melancholijnie rzekł:

– Zawiodłem. Zwiodłem jak nikt i nigdy w Królestwie Zachodzącego Słońca. Przez to muszę ponieść tego konsekwencje, już to do mnie dociera. W końcu najpierw nie dotarłem na przegraną bitwę z mrokiem, później nie ocaliłem siostry. Teraz wziąłem udział w przegranej bitwie i wojnie, ojciec umarł tuż przy mnie, a wcześniej nie zdołałem nawet odnaleźć siostry krwi, Srebrnej. – Popatrzył na dziewczynę, ale ona nic nie odpowiedziała, więc smętnie podsumował: – Zatem zrobię, jak radzi doświadczony Marrengo. Podpiszę dokument zwycięzców, aby na mój złoty lud za sprawą mej nieudolności nie ściągać jeszcze większej niedoli. Tak będzie lepiej, lepiej dla wszystkich, jeżeli nie będę królem i nie poczynię starań o koronę.

Wobec tego wyznania Srebrna smętnie pokiwała głową. I sama,

zwracając się po części jakby też do samej siebie, powiedziała:

– Nasz przyjaciel, Marrengo, powiada, że nieważne, jak bardzo się jest mężnym i tak nie można zawsze wygrywać. Natomiast każdą porażkę można przekuć w przyszłe zwycięstwo, jeżeli tylko uda się nam wyciągnąć z niej odpowiednie wnioski...

– Jakie mógłbym wyciągnąć pomocne wnioski z własnych klęsk? – zapytał bez wiary książę.

– Nie wiem. Chyba sam musisz się tego dowiedzieć – odparła spokojnie wojowniczką: – Chociaż ja osobiście bym dodała, że to naturalne, iż po nocy, nawet długiej i mroźnej, w końcu przychodzi dzień. A wtedy na czarnym niebie znowu jaśnieje złote słońce.

– Co to z kolei oznacza? – dopytał młodzieniec.

– Pewnie mniej więcej tyle, że los bywa kapryśny, zmienny. Dlatego mimo doznanych klęsk w swoim czasie dane ci będzie odnaleźć spokój ducha. W tym... szczęście w objęciach baronowej Bursztyn. Tego ci właśnie życzę. – Srebrzysta dziewczyna zamilkła, pozostawiła koło Złotego perłową bransoletkę i posiedziała jeszcze przez chwilę w milczeniu, po czym niezatrzymywana wyszła z namiotu.

XXI. CZARNA, KASZTAN I RUDA

Zmroczna dziewczyna ponownie rzuciła się na ziemi, ale została na tyle mocno skrępowana, że jak zwykle nic to nie dało – traciła tylko siły, które z powodu długiego przebywania w świetle i tak były już u niej nadwątlone. Choć teraz nie była wystawiona na jasne promienie słońca, a leżała związana w drewnianej szopie. Brązowa i zielona istota oraz to coś metalowego, co ją zaatakowało, oni wszyscy powinni już dawno ją zabić, ale ciągle tego nie zrobili. Więc niewątpliwie najpierw zechcą się nad nią pastwić i ją torturować, aby wymusić zeznania. Lecz ona nic nie powie, na nieskończoną noc, mogą ją nawet kroić i kawałek po kawałku odcinać jej ciemne ciało, ale nie zdradzi im nic, absolutnie niczego!

– To dla ciebie. Czytałam, że mroczne gatunki istot gustują w takim pożywieniu – słysząc te dźwięcznie wypowiedziane słowa, Czarna przekreśliła się w drugą stronę. Dostrzegła tę wysoką i szczupłą brązowoskórą, która gdy doszło do walki, zamiast walczyć, zaczęła się dusić. Była wtedy taka żalosna, zupełnie jakby się tylko prosiła o to, aby ją dobić. Teraz natomiast trzymała w dłoni zielonkawego pająka. Zmroczna dziewczyna łypnęła podejrzliwie wzrokiem zarówno na dar, jak i na darczyńcę, ale nie widząc podstępny, błyskawicznie smagnęła długim językiem, ściągając z brązowej dłoni pajęczaka. Przeżuła go szybko w ustach i połknęła, po czym zastygła w oczekiwaniu. – Smakował ci? Jeżeli tak, to przyniosę więcej, ale najpierw zmienię ci opatrunki. – Wobec ruchu brązowych rąk przy ranie na brzuchu Czarnej, zmroczna istota gniewnie obnażyła zęby, spomiędzy których wystawały odgryzione odnóża pająka. – Nic z tego i tak muszę zmienić bandaż, bo skaleczenia zaczną się paskudzić. Przygotowałam też maść własnej roboty na oparzenia – oznajmiła pewnym siebie głosem kasztanowa dziewczyna, nie zważając na groźne gesty i odważnie przystąpiła do zmiany opatrunku. Zaś Czarna, samej nie wiedząc czemu, nie zatopiła ostrych zębów w jej brązowym ciele. Zamiast tego ciężko opadła na ziemię i zaraz znowu naszły ją wspomnienia

swej niedawnej upokarzającej porażki. Ale skąd mogła wiedzieć, że wróg w świetle okaże się tak sprytny i będzie posiadał tyle atutów w zanadru?

* * *

Uzbrojona w zastrzone kołki Czarna pewnie kroczyła po drewnianym pomoście wprost na środek polany do osaczonych przez ropniaki brązowych. W tej chwili jedyne, co absorbowowało jej umysł, to pytanie, czy zdąży zabić choć jednego ze świetlistych osobiście, czy też zostanie wyręczona przez swych zmrocznych braci wypełzających z gęstej mazi. Spoglądała wręcz z drwiną, jak trójka kasztanowych istot jedynie się trwożnie kuliła, a czwarta z brązowymi kucykami dźgała długim szpikulcem najbliższego ropniaka. Cóż, jednego może w końcu zakłuje aż do unicestwienia, ale było ich tu jeszcze kilkunastu! – myślała pewna swego Czarna. Gdy wtem dziewczyna ze szpikulcem dziko wrzasnęła:

– Nie mamy nic do stracenia, wszyscy padnijcie twarzą na deski, natychmiast! – Wobec tego zawołania kamraci dziewczyny spełnili jej żądanie i już leżeli brzuchami na kładkach. Zaś ich przywódczyni pochwyciła podziurawionego przez siebie mroczniaka, nakryła się nim i także upadła, tyle że na plecy. Następnie wyciągnęła zza pasa podłużny przedmiot zakończony rozszerzanym otworem. Skierowała go w czarną maź, której wszędzie było pełno i nagle rozbrzmiał huk, a w jego wyniku dosłownie cała polana stanęła w ogniu.

Obserwująca ze zdumieniem te niesamowite czary demonica, zaczęła jak w ukropie skakać po zapalonych kładkach, starając się rozpaczliwie unikać ognia. Czyniła to ze zmiennym szczęściem, a po drodze mijała płonące i wyjące potępieńczo ropniaki. Aż udało się jej dobiec do samego centrum polany, gdzie w otaczającym je ogniu siedziały cztery skulone kasztaniaki.

Poparzona Czarna natarła na nie bez wahania, ale raptem zagryzła zęby z bólu, kiedy jej łydka została pochwyciona w ostre szczęki. Zobaczyła za sobą średniej wielkości psa, którego sierść po części płonęła, a mimo to zwierzę wgryzał się zawzięcie w jej ciemną skórę.

Demonica zamachnęła się trzymanym kołkiem, aby przebić wściekłemu przeciwnikowi kark. Jednak w tym samym momencie rozbrzmiał kolejny huk i poczuła, jakby sam ogień penetrował wnętrze jej trzewi. Spojrzała na swój brzuch i zobaczyła dziurę, z której płynęła krew. Pociągnęła spojrzenie w miejsce, skąd dobył się hałas i dostrzegła kasztanową samicę, tę

odważniejszą, która mierzyła do niej z dziwnej broni.

Niestety, aby dopaść dziewczynę, najpierw Czarna musiała zneutralizować szarpiące ją zwierzę. Dlatego ponowiła atak i błyskawicznie poprowadziła kołki w kierunku psiego grzbietu. Ale jak na złość i tym razem go nie dosięgła, ponieważ coś w nią gwałtownie uderzyło. I to z taką siłą, że została wręcz wystrzelona z kładki, po czym wpadła do płonącej mazi. Wyskoczyła z niej jeszcze bardziej poparzona wprost na drugi pomost. Zaś kątem oka zauważyła, że zataczając koło, gnała ku niej na czterech kończynach nieznana jej zielona istota, najwidoczniej kolejna przeciwniczka.

Rozgniewana do granic możliwości demonica, mimo dotkliwej rany w brzuchu, nadgryzionej łydki oraz poparzeń, zebrała się w sobie i z równą werwą natarła na zielonego wroga. I raptem z wielkim impetem zderzyła się z nim na kładce. Przy czym Czarna użyła swych rogów, aby bezwzględnie rozpruć przeciwniczkę, ponieważ już dostrzegła, że była to kobieta.

Niestety jej poroże zostało w ostatniej chwili pochwyczone w zielone ręce, a za sprawą ich gwałtownego ruchu w bok niemal skręcony został zmroczonej dziewczynie kark. Na szczęście ciągle miała kołki w dłoniach i jak sztyletami zaatakowała nimi zajadle tułów walczącej zieleniny. Drasnęła ją w klatkę piersiową i ponowiła atak porożem, choć jego tępą częścią.

Cios doszedł celu i zielona kobieta spadła z kładki wprost do płonącej kipieli. Czarna czekała w gotowości, aż się wynurzy. Ale w miejscu, gdzie zniknęła przeciwniczka, widziała tylko płomienie. Dlatego krzyknęła gardłowo na znak zwycięstwa i sama smagana jęzorami ognia okręciła się na pięcie, by pognać na kasztanowe istoty.

Najgroźniejsza z nich nawet na nią nie patrzyła, tylko grzebała przy broni, zapewne ją ładując. Dzięki temu pewna już swego demonica odrzuciła kołki i przygotowała do bezpośredniej walki ostre szpony oraz zęby. Po drodze odkopnęła jeszcze psa i wykonała niebotyczny sus, by spaść wprost na wrogów. Wszak u celu nieoczekiwanie zderzyła się z niezwykle twardą powierzchnią.

– Chronić Kasztan... chronić Kasztan. – Dukało metalicznym głosem to coś, co stanęło jej na drodze. Zaś była to najwyraźniej metalowa istota z

owalnym tułowiem i walcowatą głową, do tego rękoma przypominającymi macki ośmiornicy zakończone szczypcami. Jedna z par takich szczypiec zamknęła się na gardle zmrocznej dziewczyny i coraz bardziej się zaciskała, pozbawiając ją tchu. Ona spróbowała zadać kilka ciosów szponami w twarz i tors nowego przeciwnika, ale zaowocowało to jedynie połamaniami na metalowym ciele pazurów.

A zaraz najwaleczniejsza z kasztanowych istot, wycelowała wprost w głowę Czarnej broń. Tę samą, niewątpliwie magiczną, która wcześniej podpaliła polanę, a potem zrobiła dziurę w trzewiach demonicy.

– Żegnaj paskudo! – krzyknęła brązowa dziewczyna. Jednak jej atak minął celu, ponieważ w momencie, gdy wystrzeliła, została silnie pchnięta przez kaszłącą samicę, także brązową, i poleciała plackiem na kładkę. Dalszego ciągu tego bratobójczego starcia Czarna już nie śledziła, bo od duszenia jej przez metalową istotę właśnie straciła świadomość.

Odzyskała ją o wiele później, do tego skrepowana i zabandażowana w szopie na obrzeżach cuchnącej spalenizną polany. Od tego czasu opiekowała się nią niejaka Brunatna. Dziewczyna, która prawie ciągle kaszłała, uratowała ją przed śmiercią z ręki przywódczyni brązowych i zmieniła jej opatrunki.

* * *

Czarna wreszcie oderwała się od wspomnień swej klęski i siarczyście przekląła samą siebie. Powinna bowiem najpierw zrobić rozeznanie w terenie. Ale nie, ona zdała się na brawurę i zlekceważyła przeciwnika. W efekcie ten ją zaskoczył, pokonał, a teraz karmił oraz podtrzymywał jej istnienie niewątpliwie po to, aby potem móc dłużej skutecznie torturować. Jednak zasłużyła na to, tak, zasłużyła. Zawiodła nieskończoną noc i samą Martwicę, więc nie pozostało jej nic innego, jak oddać swe ciało okrutnym katuszom, by ostatecznie ulec unicestwieniu.

Naraz odczuła ból w przedramieniu, który przesunął się od nadgarstka w kierunku łokcia. Pomyślała, że właśnie zaczęło się jej okaleczanie przez brązowych. Lecz zaskoczona zobaczyła swój cień, ten posiadający własną wolę oraz siłę. Obecnie przykucnął on tuż nad nią i ze złośliwym uśmiechem nacinał jej rękę nożem.

– O tak zasłużyłaś na tortury, zasłużyłaś, hy, hy... – drwił eteryczny sobowtór demonicy. Ona spróbowała go odkopnąć od siebie, ale jej wymach

nogami trafił w próżnię.

– Czemu mi nie pomogłeś? – syknęła z wyrzutem zmroczna dziewczyna.

– Bo... bo jesteś rozczarowaniem – stwierdził cień. – Nie dałaś rady zabić kasztanowej siostry, ani też zielonej. Ajć, ajć, ajć, no kiepsciutko. – Z wyrazem niesmaku na twarzy eteryczny byt pogroził nożem.

– Uwolnij mnie – nie ustępowała Czarna.

– Uwolnić? Phi! – zachnął się cień. – Już nie chcemy ci pomagać, siostrze, ponieważ same chcemy być jedynymi siostrami – stwierdził. – Więc co powiesz, abyśmy już teraz zajęli twoje miejsce, hm? – Przytknął do gardła demonicy ostrze noża, które bynajmniej nie wydawało się fantomowe. Lecz w tej samej chwili Czarna uśmiechnęła się drwiąco i zwracając uwagę rozmówcy na przybliżające się głosy obcej rozmowy, z wyższością oświadczyła:

– Nadchodzą świetliste istoty dysponujące potężną magią. Więc zastąp mnie, a sam zginiesz od ich mocy. – Napłuła cieniowi w twarz, ale jej ciemna ślina przeleciał przez przezroczyście ciało. – No idź i walcz! – ponagliła demonica.

– Może i pójdziemy, a może i nie... – zawahał się cień, wyprostował na nogach i jak gdyby nigdy nic przeszedł przez tylną ścianę szopy na jej tyły.

W ten sposób zmroczna dziewczyna została ponownie sama i obecnie wsłuchiwała się w odgłosy prowadzonej na zewnątrz dyskusji. Ta, najpierw ledwo słyszalna, stawała się coraz głośniejsza. A to ze względu na to, że szybko przeradzała się w kłótnię i to zajadłą niemal jak u zmrocznych istot.

* * *

– Dość zabijania – próbowała z uporem postawić na swoim Brunatna, co raz zanosząc się kaszlem. Ale jej oponentka, Ruda, ani myślała ustąpić w słownych atakach:

– Czarna paskuda musi zginąć tak samo, jak ropniaki. Sama niczym się od nich nie różni, jest mroczna i przez to jedynie zła. Zresztą dała temu wyraz. To przecież ona nas zaatakowała, a nie my ją!

– Ale została pokonana i teraz może pójdzie po rozum do głowy – ripostowała Brunatna.

– Rozum w czarnej głowie? Chyba przeceniasz te rogate coś i sobie kpisz, ha! – parsknęła szyderczo Ruda i z aurą tajemnicy w głosie zaznaczyła: – W księgach dziadka widziałam zdjęcia z sekcji zwłok mrocznych istot...

– I co...?

– Ano to, że one prawie w ogóle nie mają mózgu! One nie myślą, chcą tylko zabijać!

– Podobnie jak ty...

– Chcę zabijać, czy nie mam mózgu? – rzuciła wyzywająco Ruda w odpowiedzi na słowa Brunatnej i zacisnęła dłonie w pięści.

W tym momencie pomiędzy nią, a starszą dziewczyną, jako rozjemczyni stanęła dotkliwie poparzona Zieleń. Zaś widząc jej skórę tułowia po części nie zieloną, a w kolorze brązu, to jest spaloną, Ruda naraz złagodniała. I choć nie pozwoliła przejąć przewodniej roli Kasztan, to już bardziej pojednawczo rzekła:

– Czarna istota, którą pochwyciliśmy, jest jak zwierzę. Ale takie wściekłe i drapieżne, które nam zagraża. Dlatego musi zostać wyeliminowana. Nie możemy jej przecież wypuścić, ani też więzić w nieskończoność.

– A kto dokona egzekucji, może ty, pani Bruton? – zapytała już prawie ze łzami w oczach Brunatna.

– Nie, nie ja... on. – Ruda wskazała na stojącą w pobliżu sztywno blaszaną istotę.

– A co to w ogóle jest?! – krzyknęła starsza dziewczyna, demonstracyjnie wymachując rękoma.

– To... robot, sztuczna inteligencja. Coś, nad czym pracował mój dziadek.

– I ukradłaś mu to?!

– Pożyczyłam... Poza tym i tak pewnie dostałabym go na kolejne urodziny.

– Nie mam więcej pytań, ani nie zamierzam dalej z tobą dyskutować – ucieła zdegustowana przebiegiem sądu na demonicą Brunatna.

– To świetnie – skwitowała tylko osoba w roli herszta. Zatarła z uciechy ręce i ochoczo zakomenderowała: – Czas nastroić sztucznego człowieka do egzekucji! Mahoniowe bliźniaki, pomożecie?! – Odpowiedziała jej głucha cisza. – Jak nie, to nie, sama sobie poradzę – warknęła, a zaraz z pasją dodała: – Za to jak tylko pozbędziemy się czarnego problemu, natychmiast wyruszamy na północny wschód. Otóż wiedźcie, że wasza wspaniała przywódczyni zawarła sojusz ze szlachetną wiłą, która od początku naszego

pobytu w Wielkiej Puszczy tylko nam pomaga. Tak więc teraz odwdzięczymy się jej za to z nawiązką. Słowem, udamy się do samego serca dziewiczego lasu, gdzie pragnie nas poprowadzić nasza urocza Zielen. Oklaski, brawa!

* * *

Kiedy Ruda bez reszty pograżyła się w grzebaniu przy elektronicznych bebechach robota, Brunatna weszła dyskretnie do szopy. Pierwotnie miały być tu składowane beczki z ropą, ale obecnie miejsce to stało się więzieniem, gdzie na egzekucję oczekiwała mroczna istota. Wszak, aby nie dopuścić do takiego finału sprawy, kaszląca dziewczyna wyciągnęła zza paska nóż i rozcięła więzy krępujące demonicę. W odpowiedzi długa szyja Brunatnej natychmiast znalazła się w mocnym uścisku niczym w imadle z czarnych dłoni. Lecz o dziwo wybawicielka mrocznej dziewczyny nic sobie nie robiła z gróźb śmierci i po prostu zdjęła sobie cudze ręce z gardła, odkaszlnęła i ściszone głosem powiedziała:

– Nie jesteś taka, wiem, że nie jesteś. Mój ojciec całe lata zabiegał w senacie o nadanie praw istotom z Centralnej Czułości, które zbłądziły do republiki. Naciskał, aby ich nie uśmiercać, jeśli same kogoś nie skrzywdziły. Ty zaś nie zdążyłaś nikogo z nas dotkliwie zranić poza wiłą, która pierwsza cię zaatakowała. Dlatego uwalniam cię, ofiarowuję ci drugą szansę i wiem, że mnie nie zawiedziesz. – Chwyciła demonicę za rękę i pociągnęła za sobą. Przy wyjściu z szopy rozejrzała się z uwagą po kompletnie zdewastowanej polanie, po czym dodała: – Odprowadzę cię do rzeki. Jest na niej tratwa, którą popłyniesz aż do Centralnej Czułości, twojego domu. To najbezpieczniejsza i najszybsza droga. – Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła za sobą Czarną. Ona, o dziwo, dała się prowadzić.

Już niebawem obie dziewczyny znalazły się nad brzegiem rzeki. Tutaj Brunatna odwiązała cumy od tratwy, wyjęła z szuwarów żerdź i położyła ją koło wodnego środka transportu. Wtedy stanęła na pożegnanie przed mroczną istotą. Ta do niej syknęła:

- Nie boisz się? Nie boisz mnie?
- Wcale – padła rzeczywiście pozbawiona strachu odpowiedź.
- Nie napawam cię wstrętem... jak innych świetlistych? Nie pragniesz mego unicestwienia?
- Nie.

– Kłamiesz! – warknęła wyzywająco Czarna, przyjmując pozycję, jakby gotowała się do walki. Natomiast Brunatna oparła dłoń na jednym z jej zakreconych rogów i z pewnym rodzajem fascynacji przejechała po nim palcami od podstawy aż do ostrego czubka.

– Są wspaniałe – oświadczyła z nienaturalnym wręcz spokojem i nutą zachwyty w głosie. – Cała jesteś naprawdę niezwykła... – mówiła, jakby przeżywając coraz silniejsze uczucia. Ale dodatkowe emocje sprawiły, że naraz dostała wyjątkowo silnych spazmów i z wytrzeszczonymi oczyma zaczęła się naprawdę mocno dusić. A zaraz z braku możliwości nabrania tchu do płuc już siniała i osuwała się na ziemię.

– Dobij ją. Jest słaba, słaba, słaba... jest słaba, dobij ją. – Czarna usłyszała gdzieś z leśnej gęstwiny szyderczy podszept swego cienia.

– Whraaah! – krzyknęła gniewnie w jego kierunku. I już klęczała przy Brunatnej. Przez moment się zawahała, co powinna uczynić, zabić, czy ratować kasztanową istotę. Zdała się na instynkt i w efekcie jej wargi samoistnie przywarły do ust duszącej się dziewczyny, po czym w jej płuca tchnięty został ożywczy oddech.

Ignorując wskazania cienia, demonica spędziła dłuższy czas na podtrzymywaniu gasnącego życia Brunatnej. Ponieważ kiedy tylko przestawała za nią oddychać, ta na powrót wpadała w zapaść. Na domiar złego od strony spalonej polany dało się słyszeć coraz bliższe ujadanie psa i towarzyszące mu nawoływanie świetlistych istot. Zatem na podjęcie decyzji, co dalej, nie pozostało już ani chwili. Czarna nerwowo spoglądała na tratwę, leżącą dziewczynę, to w kierunku skąd słyszała podszepty zmrocznego cienia:

– Zabij, zabij, zabij... zabij wszystkich, znowu masz szansę. – Ten nie ustawał w nakłanianiu do mordu. Jednakże demonica raptem pochwyciła na ręce omdlałą obecnie Brunatną i czym prędzej ułożyła ją na tratwie, samej stając na wodnym środku transportu. Potem odepchnęła się od brzegu żerdzią i już spływała w dół rzeki wartkim nurtem, pozostawiając okolice spalonej polany za sobą.

* * *

– Spóźniliśmy się... – zawyrokowała grobowym tonem naraz przybita Kasztan. Stojąc nad brzegiem rzeki, patrzyła w miejsce, gdzie powinna znajdować się zacumowana tratwa, ale jej tam nie było. Był za to

intensywnie wężący Umbra, który właśnie stracił trop i co chwilę zajadle szedł w kierunku płynącej wody.

– Więc ta czarna istota... porwała Brunatną? – zapytał ze łzami w oczach Mahoń.

– Pewnie zabrała ją jako prowiant na drogę... – dodał z rozpaczą w głosie Mahoniowy. Z kolei Kasztan padła bezradnie na kolana, zwiesiła głowę i posepnie zawyrokowała:

– To straszne... nie rozumiem, jak mogłam do tego wszystkiego dopuścić. Ale ta rzeka płynie zbyt szybko. Nie zdążymy dogonić tratwy.

– A Zieleń...?

– Ta istota lasu, ona jest szybka... – lamentowali mahoniowi bliźniacy. Lecz Kasztan szybko pozbawiła ich złudzeń:

– Nasza wiła ruszyła już przodem do serca Wielkiej Puszczy, aby poczynić tam przygotowania do przebudzenia kogoś ważnego. Tak w każdym razie rozumiałam z jej gestów. I... Zieleń... będzie chyba musiała zastąpić nam teraz Brunatną, jak strasznie by to nie brzmiało.

XXII. EKRU

Ranna kobieta się zamartwiała. Choć nie dręczyły jej myśli o własnym losie czy zdrowiu, a pytanie, jak wybrnąć z obecnych tarapatów, by pomóc Perlisowi Młodszemu. W końcu to przez nią także i on został uwięziony nie wiadomo jak głęboko w lodowej matni bez widocznej szansy na powrót. Podobnie niepokoił ją los ukochanego Chamoisa. Albowiem skoro zostali przeciw niej wysłani łowcy na gryfach, to niewątpliwie z polecenia wielkiej księżnej Alabaster. Ta musiała jakimś cudem odkryć knowania Ekru oraz jej męża, więc jemu na pewno też nie puściła tego płazem i obecnie się mściła.

Wszakże o ile członkini rady, a właściwie już raczej była członkini, nie mogła w żaden sposób wesprzeć Chamoisa, o tyle syn dowódcy gwardii przebywał tuż koło niej. Oboje bowiem zjechali do jaskini w znacznej mierze wypełnionej wodą. Teraz zaś do cna przemoczeni i dygocący z zimna prawie zamarzali na lodowym cyplu. Z niego z kolei rozpościerał się widok na grootę oświetloną kośćmi bogów – drogocennym minerałem jaśniejącym czysto-białym światłem.

Padło ono na kobietę, młodzieńca oraz całą jaskinię, której wszystkie ściany, jak również sklepienie z widoczną wnęką pokrywał srebrzysty lód. Na dole zaś rozpościerała się wodna toń. Ta sama, w której Ekru znalazła pomoc tajemniczej istoty. Alabastrowa kobieta została przez nią ocucona za sprawą powietrza podanego bezpośrednio przez usta. Potem doczekała się jeszcze opatrunku z szarych wodorostów na ranę. Te wodne rośliny cały czas opasały jej zranioną pierś i wyjątkowo skutecznie powstrzymywały krwotok oraz uśmierzały ból. Co więcej, wydawały się nawet dodawać przedstawicielce alabastrowego ludu sił. Chociaż takowe próbowała też uzupełniać surowymi rybami podrzucanymi przez jej tajemniczą wybawicielkę.

Ekru z odrazą przełknęła dwa przygotowane przez Perlisa Młodszego filety. Ale wobec kolejnych porcji surowego mięsa zbuntował się jej

delikatny zołądek. Za to zadowolona była przynajmniej z tego powodu, że towarzyszący jej w lodowym więzieniu młodzieniec najwyraźniej gustował w surowiznie, ponieważ nad wyraz szybko przekonał się do tego rodzaju strawy. Z lekkim uśmiechem przyglądała się, jak pałaszował on rybnie tusze zawinięte w wyciągane z lodowatej wody szare wodorosty. Ponoć dodawały surowej rybnie zjadliwości, okraszając ją bardziej słonym posmakiem. Lecz Ekru nie dała się przekonać do skosztowania morskich warzyw. Jej umysł absorbowała jedynie myśl, co dalej? I trudno jej było skoncentrować uwagę zarówno na własnym zdrowiu, jak i kulinarnych doznaniach.

Aż wreszcie, aby spróbować przełamać impas, zdała się na desperacką próbę. Wstała, popatrzyła w niezmaconą wodę i wiedząc, że gdzieś tam czaiła się podrzucająca ryby na cypel istota, donośnie krzyknęła:

– Czemu mnie uratowałaś?!

– „Uratowałaś, uratowałaś, uratowałaś”... – usłyszała jedynie echo własnych słów. Wszak w swoich wysiłkach nie ustawała:

– I co dalej?!

– „Dalej, dalej, dalej”...

– Pomóż nam, a my pomożemy tobie, pomóż!

– „Pomóż, pomóż, pomóż”...

– Daj mi jakąś wskazówkę!

– „Oto i ona, ona, ona”... – rozbrzmiało jakby echo. Zaś naraz zaskoczona Ekru, aż się cofnęła o krok, zdając sobie sprawę, że tym razem to bynajmniej nie było żadne echo. Zorientował się w tym także młody Perlis, który przestał jeść, ponieważ z wrażenia aż się zakrztusił filetem. Następnie oboje dostrzegli wyłaniającą się ponad powierzchnię wody rękę pokrytą srebrzystą łuską.

– To... to jest syrena – jęknął przejęty chłopak, kiedy przestał się krztusić.

– Tak, chyba tak – potwierdziła Ekru, która z racji tego, że stała, widziała ponadto pod powierzchnią wody zarys nagiej kobiecej sylwetki. – I ta syrena chce, abym z nią podążyła: – oświadczyła osoba rodem Ekros, po czym rzuciła przez ramię do młodzieńca: – Odwróć się albo zamknij oczy.

– Kiedy, to syrena, chcę ją zobaczyć. – Młody Perlis już wstawał, ale zaraz tego zaniechał, słysząc:

– Ja natomiast chcę, a właściwie muszę się dowiedzieć, jak nas stąd

wydostać. Dlatego popłynę z tą istotą, ale bez ubrania, bo nie zamierzam go ponownie zamoczyć.

– Pani... – Chłopak natychmiast zamknął oczy, a do kompletu się odwrócił. Zaś Ekru zdjęła swą alabastrową suknię i aż otworzyła z wrażenia usta, gdy dla odmiany przywdziała niewidzialną szatę z siarczystego mrozu. Dopiero w tym momencie, pozbawiona ubrania, zdała sobie sprawę, jak bardzo było w tej jaskini zimno. Przez co słona woda, do której zaraz weszła, wręcz ukoiliła jej ciało, bowiem była zdecydowanie cieplejsza od powietrza.

– Czekał tu na mnie, aż wrócę – zdążyła jeszcze powiedzieć do młodego Perlisa Ekru i za chwilę cała znalazła się pod powierzchnią. Wtedy zobaczyła tuż przed sobą bardzo nietypową kobiecą twarz. Była owalna i delikatna, jakby opływowa z wargami w kształcie spłaszczonego koła i przez to przywodzącymi na myśl rybie usta. Jednak przede wszystkim był to kobiecy wizerunek w całości pokryty srebrzystą łuską. Ta powlekała też wydatne piersi wodnej kobiety i jej okazałą płetwę. Nie było jej jedynie pomiędzy palcami rąk, gdzie uwidoczniała się przezroczysta błona. Co charakterystyczne, syrena posiadała długie i srebrne włosy, bardzo przypominające wyglądem te, jakimi szczycili się ludzie północy.

Naraz obserwująca od dłuższego czasu niezwykłą istotę Ekru zdała sobie sprawę, że pod wodą zaczynało jej brakować w płucach powietrza. I już chciała wypłynąć na powierzchnię, aby zaczerpnąć tchu, gdy raptem syrena ją pochwyciła w ramiona i złożyła na jej ustach pocałunek. W pierwszej chwili alabastrowa kobieta chciała się bronić, ale zaraz zrozumiała, że ten całus nie miał nic wspólnego z amatorami. Podobnie jak ich pierwszy, kiedy trafiła do tej jaskini, miał zaopatrzyć płuca Ekru w powietrze i szybko się przekonała, że czynione to było nader skutecznie. Tak więc poddała się syrenie, zdając całkowicie na nią. Ona zafalowała płetwą i cały czas obejmując alabastrową kobietę, popłynęła z nią dalej w mroźną głębinę.

Początkowo Ekru nie widziała niczego poza wodno-lodowym bezmiarem z lekka oświetlanym lodowymi ścianami z elementami kości bogów. Miała jednak świadomość, że momentami płynęła w górę, to w dół, innym razem w prawo lub lewo. Zatem docierało do niej, że podwodna przestrzeń była znaczących rozmiarów, kręta i zapewne prowadziła do różnych miejsc.

Aż w pewnej chwili daleko w dole zobaczyła zarys monumentalnej rafy

koralewej. Ta mieniła się różnorodnymi odcieniami szarości, a uformowana była w geometryczne bryły oraz spieralne wieże. Wszak w jej strukturze, można śmiało powiedzieć architektonicznej, dało się też wyróżnić tarasy, place czy alejki. Kiedy zaś Ekru przepływała bliżej, zauważyła nawet wspaniałe posągi syren, w tym takich ze wzniesionymi dumnie trójzębami. Inne koralowe rzeźby przedstawiały wodne stworzenia, jak kałamarnice, kraby czy małże, a nawet potężnego krakena górującego nad pozostałymi istotami. Lecz przede wszystkim wewnątrz i na powierzchni tej koralowej budowli kłębiła się cała masa srebrzystych syren. Wówczas jak grom z jasnego nieba dotarło do Ekru, że miała pod sobą, nie inaczej, tylko najprawdziwszą siedzibę mitycznych stworzeń, o których prawie nikt nigdy nie słyszał. A ci, co słyszeli, sądzili, że były już one dawno wymarłe.

Zresztą wkrótce alabastrowa kobieta znalazła się w ich wspaniałym domostwie, gdzie mijała przyglądające się jej z zaciekawieniem legendarne istoty. Sama z rosnącym uznaniem podziwiała przemierzany przez siebie misterny konglomerat koralowych korytarzy, których powierzchnie zdobiły płaskorzeźby przedstawiającymi życie morskich stworzeń czy oceaniczną florę. Ponadto tu i ówdzie do ścian przyczerpione były siedmioramienne rozgwiazdy oraz gąbki, a w wodzie unosiły się beztróska morskie koniki. Wszystko to nadawało podwodnemu światu jedyny w swoim rodzaju głębinowy klimat pełen maestrii oraz swoistego czaru. Jednak Ekru nie miała czasu przyjrzeć się dłużej, ponieważ już niebawem jej przewodniczka poprowadziła ją nieco do góry do podwodnej komnaty wewnątrz pałacu i tutaj ją oswobodziła z uścisku.

W pierwszym momencie alabastrowa kobieta poczuła strach przed tym, że zdana tylko na siebie będzie skazana na rychłe utonięcie. Lecz zaraz przyszło jej się dziwić ponownie, gdy nagle jej usta wychynęły ponad powierzchnię i mogła samodzielnie zaczerpnąć powietrze do płuc. Pokrzepiona podpłynęła do brzegu, na który udało jej się wspiąć i wówczas popatrzyła na układ podwodnego pomieszczenia, do którego została w jakimś celu doprowadzona.

Miało ono kształt siedmiokąta, kopulasty sufit i było średnich rozmiarów. Ponadto jego środek wypełniała woda, a wokół, pod ścianami, ciągnęła się chropowata i koralowa podłoga. Dzięki temu komnatę z łatwością dało się obejść dookoła. Ale to już wszystko, ponieważ nie

znajdowało się tu zupełnie nic innego. Za to było naprawdę zimno, zupełnie jak w miejscu skąd wyruszyła Ekru. Lecz tutaj nie miała ona nawet swego ubrania. Dlatego cierpiąc dotkliwy chłód, tylko mocno objęła się ramionami.

Wszak wkrótce powiedziała sobie w duchu, że przecież była Ekru z rodu Ekros, więc niestraszne jej jakieś tam przymrozki – takimi myślami próbowała się rozgrzać. Jednocześnie dumiała, po co właściwie została tu przywiedziona. Aby to rozgryźć, co raz rozglądała się po komnacie, ale za każdym razem jej uwaga ostatecznie skupiona zostawała na obecnie niezmaconej tafli wody. Zatem wyostrzona intuicja podpowiadała jej, że to tam należało szukać odpowiedzi.

I rzeczywiście, oto w pewnym momencie dotąd jednolita powierzchnia wodnego lustra podzieliła się na znaczną ilość części na wzór plastrów miodu. Natomiast w uwidocznionych sześciokątach coraz bardziej zaintrygowana Ekru zauważyła jakiś ruch, potem krystalizujące się obrazy. A zaraz zabrakło jej wręcz z wrażenia tchu, gdy skonstatowała, na co tak naprawdę patrzy. Otóż każda grupa sześciokątów w odmiennych barwach pokazywała pewną okolicę wielkiego kontynentu Unton. W ten sposób prezentował się olbrzymi, choć wycinkowy obraz świata, a właściwie siedmiu jego krain: niebieskiej, szarej, białej, złotej, brązowej, zielonej oraz czarnej pośrodku.

I tak niebieskie sześciokąty pokazywały między innymi znaną Ekru Atramentową Oazę leżącą na przeklętej pustyni, miejsce, gdzie była już nigdy w misji dyplomatycznej. Podobnie знаła tamtejszą Chabrową Oazę z oczkiem wodnym, nad którego brzegiem dostrzegła teraz w sześciokącie nieznacny ruch. A kiedy pochyliła głowę i przyjrzała się bliżej, wyłowiła wzrokiem lazurową kobietę o eterycznej postaci u boku cyjanowego tygrysa także będącego duchem. Kobięca istota była odziana w luźne szaty, a jej twarz, poza wielkimi oczyma, przysłaniała chusta, na głowie zaś miała turban. Ta osoba opatrywała rany w duchowym ciele dzikiego kota. Gdy wtem spojrzała w wodną toń wprost w oczy Ekru, zupełnie jakby też ją zauważyła, po czym dłuższy czas świdrowała wzrokiem. W efekcie kompletnie zaskoczona kobieta z rodu Ekros aż odskoczyła do tyłu.

Obecnie spojrzała na zielone przestrzenie wydzielone w wodzie w kształcie plastrów miodu. Jej uwagę szybko przykuł jeden obraz,

wyjatkowo ciemny prawie poczerniały. Przypatrując mu się, wyróżniła w nim częściowo spalone kładki. Ponadto na brzegu dostrzegła drewniane zabudowania i mnóstwo ściętych drzew ułożonych w zgrabne stosy.

Następnie powiodła wzrokiem po brązowych sześciokątach, domyślając się, że przedstawiały oczka wodne z Kasztanowej Republiki. I nie inaczej, na jakby brudnych cynamonowych w swej barwie wodach podziwiała nietypowe statki bez żagli za to z obracającymi się kołami młócającymi wodę. A z dachów tych środków transportu sterczały kominy, zupełnie jak z domów oraz wydobywał się brunatny dym rozlewający po miedzianym niebie.

Potem przyszła pora na oględziny złotych sześciokątów. Tutaj Ekru ze smutkiem oglądała brzeg siarkowego jeziora, gdzie leżało wielu poległych rycerzy w złocistych zbrojach, a w większości kanarkowe niebo po części przykrywała czerń. Wiedziała, co to oznaczało, otwarcie czarnej pieczęci pod jasnym słońcem zachodu i przybycie tam sił Centralnej Czułości. W konsekwencji zapewne kolejne zwycięstwo mroku nad światłem tym razem dokonane już na złocistych ziemiach samego królestwa.

Po ostatnim widoku z naprawdę ciężkim sercem alabastrowa kobieta przeszła na drugą stronę komnaty i popatrzyła na szare sześciokąty. Zastany tu z kolei obraz szybko rozpogodził jej spochmurniałe oblicze. Oto podziwiała właśnie wody jeziora zwanego Czułością Północy. Wręcz wzruszyła się na wspomnienie tego miejsca, które dane jej było niegdyś odwiedzić z Chamoisem podczas wspólnej podróży po klanowych ziemiach. A jezioro to nosiło tak niepokojącą nazwę, ponieważ posiadało gorące źródła i nigdy nie zamarzało, ponadto jego woda była niezwykle ciemna niemal jak antracyt. Zaś co także bardzo charakterystyczne wyłaniał się z niego srebrzysty kamień z lśniąca literą w starożytnym języku Astrix odnoszącą się do Srebrnej, samej legendarnej siostry krwi. Na kamieniu widniała też wyryta tajemnicza inskrypcja – „Srebrzysta siostra przegra i umrze, by z lazuruwej szaty narodzić się na nowo, zwyciężyć i w alabastrowej bieli rozstać ze sobą”.

Na dobre przejęta Ekru podpatrywała okolice innych szarych oczek wodnych otoczonych śniegiem i lodem, aż przeniosła wzrok na białe w większości zamrożone zbiorniki, które znała z Alabastrowych Gór. Chociaż pośród nich znalazło się jedno, które kompletnie nie pasowało

kolorytem do pozostałych, ponieważ było, o dziwo, czerwono-czarne.

Kobieta z rodu Ekros, marszcząc srogo brwi, przyjrzała się temu ostatniemu sześciokątowi baczniej i na jego obrzeżach zobaczyła upiorną okolicę pełną poczerniałych oraz do kompletu zaczerwienionych szkieletów, prawdziwe cmentarzysko. Wszak zaraz do niej dotarło, że przecież знаła tę lokalizację, a wnioskowała to po nietypowym zarysie gór układających się w koronę.

– Źródło Oczyszczenia? – wyszeptała sama do siebie, jednocześnie zdając sobie sprawę, że o ile dalsza okolica rzeczywiście przypominała wspomniany zbiornik wodny, to on sam siebie na pewno nie. Ponieważ nie był mleczny, ani nie wybijała z niego tęczowa fontanna.

Coraz bardziej zaintrygowana kobieta nachyliła się i zaciekawiona dotknęła lustra wody tuż przy jednej z sześciu ścian wybranego obrazu. Wtedy aż wytrzeszczyła oczy, przekonana, że te ją zawodzą. Zobaczyła bowiem nad brzegiem obecnie mlecznej sadzawki samą wielką księżną Alabaster w towarzystwie Perlisa. Dowódca gwardii stał z mieczem w gotowości, za to władczyni była w pozycji na czworakach i wymiotowała czerwono-czarną mazią. Natomiast to, co Ekru dostrzegła później, sprawiło, że sama z trudem powstrzymała wymioty. Zaś drastyczny widok, który stał się jej udziałem został zwieńczony tragiczną śmiercią ojca Perlisa Młodszego zamordowanego z zimną krwią najprawdziwszym pocałunkiem śmierci.

Dogłębnie wstrząśnięta Ekru aż chwyciła się za własne usta, jakby w obawie, że także jej wargi mogły zmienić kolor. Lecz zaraz powróciła do oględzin tajemniczego sześciokąta i tym razem dotknęła jego drugiej krawędzi. Wówczas nie minęła chwila, a w jej alabastrowych oczach stanęły zły. Oto oglądała nad brzegiem mlecznego Źródła Oczyszczenia samą siebie oraz Chamoisa, to, jak brali tam ślub, co miało miejsce przeszło dwadzieścia lat temu. Razem rozebrali się do naga i zanurzyli po czubki głów w jasnej wodzie, aby symbolicznie zmyć z siebie wszystkie przywary tego świata, a po wynurzeniu darzyć się już jedynie najczystszą miłością. Oglądanie tego ponownie, tym razem z boku, było tak przejmujące, że raz jeszcze musnęła swe usta, lecz obecnie myśląc o ukochanym.

Wkrótce dotknęła trzeciej ściany. Obecnie ukazała się jej inna wielka

księżna, której wizerunek kojarzyła mgliście jedynie z ilustrowanych ksiąg w archiwum. W prezentowanym teraz obrazie ta postać brała akurat w mlecznym Źródle Oczyszczenia kąpiel, co było podobno niegdyś comiesięczną tradycją wśród władczyń wielkiego księstwa. Ponadto Ekru zauważyła, że woda w sadzawce była bardziej przejrzysta, a tęczowa fontanna nasycona intensywniejszymi barwami.

Z kolei wraz z dotknięciem czwartej ściany sadzawka nie była już w ogóle mleczna, a raczej alabastrowa. Do tego z jej centrum wybijała wielobarwna tęcza wręcz porażająca oczy swą jaskrawością. Zaś nad brzegiem stały monstrualnych rozmiarów lodowe giganty – same alabastrowe olbrzymy z uprzedniej ery.

Piąta wizja okazała się również niezwykle ciekawa i jak się już zdążyła zorientować Ekru, przedstawiała jeszcze bardziej zamierzchłe czasy. Mianowicie znaczył ją obraz zażartej walki, gdzie w srebrzysto-białym źródle pływały uzbrojone w trójzęby srebrne syreny atakowane bezpardonowo przez alabastrowe istoty łopoczące w powietrzu skrzydłami. Tak więc musiała być to prezentacja mitycznej walki syren z aniołami, nie było innego wytłumaczenia. Ponadto skrzydlate stworzenia niemal do złudzenia przypominały obecną wielką księżną. I w tym momencie, po nie tak dawnych oględzinach posągów oraz rzeźb w Świątyni Niezgody, Ekru już nie wierzyła w przypadek. Zatem jakimś niewyjaśnionym zrzędzeniem losu Alabaster musiała być autentycznie upadłym aniołem.

Uświadomiwszy sobie dobitnie tę prawdę, z przejęciem dotknęła ostatniej ściany. Co zobaczyła? Starca, który był ślepcem, ponieważ posiadał mętne, jakby bezbarwne oczy pozbawione zarówno tęczówek, jak i źrenic. Stał on nad brzegiem źródła o bezbarwnym kolorze, zupełnie niczym jego oczy i do sadzawki sączył z przegubu dłoni własną krew. Zaś mieniła się ona siedmioma podstawowymi barwami kontynentu Unton i właśnie dawała początek wybijającej ze źródła tęczowej fontannie. Aż naraz obraz zrobił się niewyraźny, po czym przekształcił do pierwotnego bez fontanny za to z czerwono-czarną sadzawką i jej obrzeżami pokrytymi stertą szkieletów.

Ekru zrozumiała, że powróciła do terażniejszości i utwierdziła w tym, że dotykając uprzednio kolejnych ścian sześciokąta, cofała się coraz bardziej w przeszłość. W ten sposób dotarło też do niej, że oto miała przed sobą chyba

najbardziej niezwykle archiwum w dziejach świata. Jednakże składało się ono z samych obrazów bez komentarzy do nich i żeby odpowiednio odczytać wizje, należało posłużyć się posiadaną już wiedzą oraz skutecznie kojarzyć fakty, by uzyskać kluczowe odpowiedzi. Te zaś wcale nie były takie oczywiste.

Kim na ten przykład miałby być oglądany na samym końcu starzec z wielobarwną krwią w swoich żyłach? Czyżby samym stwórcą-kreatorem, boską istotą? Podobnie oglądane obrazy zdawały się specjalnie nie przybliżać Ekru do odgadnięcia przez nią celu sprowadzenia jej tu przez srebrzyste syreny. A jednak to właśnie w tych wizjach musiała się skrywać także i ta odpowiedź. Tak podpowiadała intuicja, jak i żelazna logika.

Myśląc tak i szybko analizując kolejne fakty, zmarznięta, ale i wielce podekscytowana alabastrowa kobieta, wzięła się do muskania palcami brzegów innych sześciokątów. Następnie z napięciem oglądała ukazywaną przez nie teraźniejszość, jak i przeszłość kontynentu Unton, zarówno tą bliższą, lepiej jej znaną oraz dalszą, w którą momentami nie mogła wręcz uwierzyć. I choć ciągle nie czuła, aby przybliżała się do poznania intencji syren, czemu ją tu przywiodły, to nie ustawała w wysiłkach, nie miała wyboru.

XXIII. SREBRNA

Wszędzie złoto, złocące się bufiaste suknie, węższe kontusze, kobiety i mężczyźni, a także płomienie pochodni, czy ławy z połyskującym sukniem oraz stoły ze złotą zastawą uginające się pod ciężarem wykwintnych dań. Jednakże atmosfera daleka była od wzniosłej i radosnej, a przesycona powagą, jakby z lekka naznaczona smutkiem. W każdym razie na pewno po stronie Srebrnej, która o zachodzie słońca uczestniczyła w uroczystości zaślubin księcia Złotego z baronową Bursztyn.

Młoda para rzeczywiście była bardzo młoda i czego by nie powiedzieć, na pierwszy rzut oka pasowała do siebie idealnie. On złocący się młodzieniec w połyskujących szatach, z wyglądu piękny i szlachetny pod każdym względem. Ona z bursztynowymi włosami ułożonymi w loki, do tego w złotej sukni ciągnącej się po ziemi zupełnie niczym morska ozłocona piana. Oni zaś razem poprzysięgający sobie przed zachodzącym słońcem, jako świadkiem, wierność i miłość oraz biorący za stróża swego wiecznego związku samą światłość. Czy mogło istnieć silniejsze spoiwo uczucia?

Naraz Srebrna bezwiednie otarła z oka łzę, która zupełnie nie wiedzieć czemu się w nim pojawiła. Następnie odebrała na ramieniu tak dobrze znany jej uścisk męskiej dłoni, który w tej chwili przyjęła z wyjątkową wdzięcznością. Przykryła dłoń Marrenga własną, jak miała w zwyczaju, a ten spokojnie do niej przemówił:

– Wszystko w porządku?

– Nie... nie jest w porządku – odparła odruchowo, nie wiedząc jednocześnie, co konkretnie miała na myśli i uroniła kolejną srebrzystą łzę.

Niedługi czas potem trwał już bal, podczas którego prawie nikt nie kwapił się, aby tańczyć do zamówionej nad wyraz skocznej muzyki, gdzie prym wiodły trąbki, bębny i dźwięki skrzypiec. Podobnie przy rozstawionych na otwartym terenie siedmiu długich stołach ludzie jedli z umiarem, a ich rozmowy były w większości stonowane. Wszak trudno było się temu specjalnie dziwić, zważywszy na okoliczności tych zaślubin, które

w pewnym sensie pieczętowały podpisanie haniebnego pokoju upokarzającego królestwo i czyniące zeń państwo zależne względem Kasztanowej Republiki.

Jedynie była baronowa Bursztyn, a obecna już księżna, wydawała się tryskać dobrym humorem i wręcz promieniować w nastającej nocy światłością. Srebrna obserwowała ją trochę niczym przeciwniczkę na polu walki, jak nieustannie wpatrzona była w jakby nieobecnego duchem Złotego. Spoglądała, jak karmiła go złotymi winogronami, szeptała do ucha czułe słowa, aż wreszcie pocałowała go w złocone usta, a on... odwzajemnił pocałunek.

Wtedy nie uszczknąwszy nic z kolacji, srebrzysta dziewczyna wstała z zajmowanego miejsca przy ławie i poszła odszukać Marrenga, który zdążył się od niej oddalić. Znalazła go nieopodal stojącego i rozmawiającego z baronem Ozłonem właśnie zdegradowanym z funkcji marszałka, ponieważ w nowym układzie sił w królestwie nie było już dla niego miejsca w strukturach armii. Teraz natomiast, kiedy znalazła się przy nim Srebrna, popatrzył na nią krzywo.

Zresztą nie tylko on nie darzył jej tu zbytnią sympatią. Rozniosły się już bowiem wieści, że to właśnie srebrzysta wojowniczką odnalazła w mroku Złotą, ale nie zdołała jej obronić. W konsekwencji wiele osób winiło ją za odejście ukochanej w królestwie dziewczyny. Podobnie rozchodziły się w zachodniej krainie plotki, że Srebrna miała swój czynny udział w śmierci samego króla, który skonał w jej ramionach. Ona próbowała te pomówienia jakoś znosić i nie odpowiadała na zaczepki pomna już podobnej sytuacji ze szkalowaniem jej na północy po zabiciu Fledgrała. W końcu co mogłaby zyskać, walcząc słowem w obronie swego dobrego imienia? Zdecydowanie bardziej wolała w przyszłości udowodnić swe dobre intencje odpowiednimi czynami. Takie powzięła postanowienie.

– Wybaczcie. – Skłonił się lekko na pożegnanie Ozłon, ale jedynie Marrengowi i odszedł do innych gości. Stanowiło to wyraźną jego reakcję na przybycie srebrzystej dziewczyny, w której towarzystwie najwidoczniej nie miał ochoty pozostawać.

– Nie bierz tego do siebie – powiedział do niej pojednawczo Marrengo, mając na myśli zachowanie dotychczasowego rozmówcy. Ale wojowniczką zbyła tę uwagę, zupełnie jakby sama nie zauważyła barona i zwróciła się

bezpośrednio do swego przyjaciela:

– Czy nie nadszedł już czas, abyś wyjawiał mi, kto tak naprawdę jest moim ojcem i matką? – Wbiła w wojownika harde spojrzenie. Ten przybrał kwaśny wyraz twarzy, odbierając poruszony temat, jako kłopotliwy. Tak było za każdym razem, odkąd Srebrna zaczęła dopytywać o swych rodziców. Jednak teraz bynajmniej nie zamierzała ustąpić: – Kto jest moim ojcem i matką, powiedz mi to – naciskała. – A wobec twardego milczenia Marrenga, dodała: – Umierając, Złota pragnęła mi to wyjawić, ale nie zdążyła. Ja natomiast wyruszam dalej na południe i nie wiem, kiedy oraz czy w ogóle się jeszcze spotkamy. Los bywa bowiem okrutny. Dlatego, jeżeli teraz sam mi tego nie zdradzisz, to być może nigdy się tego nie dowiem. Czy tak się godzi?

W odpowiedzi Marrengo popatrzył na zarys tarczy księżyca. Potem przeniósł spojrzenie na Srebrną, uśmiechnął się zakłopotany i rozkładając bezradnie ramiona, rzekł:

– Wiesz, że jesteś dla mnie, jak córka, a jam ci ojcem, na ile mnie stać. Ale, co do twych prawdziwych rodzicieli... to nie znam nikogo, kto by ich znał i ja także nie wiem, kim oni są.

– Nie wiesz... – powtórzyła z pewnym wyrzutem dziewczyna, ponieważ nie takiej odpowiedzi oczekiwała. A pragnęła wreszcie poznać prawdę, bo czuła się już na tyle dojrzała, że sądziła, iż jak nigdy była na nią gotowa. Dlatego postanowiła nie dawać za wygraną: – Zatem jak ja się narodziłam? Bo przecież się narodziłam, prawda? – Wskazała z wyrzutem na samą siebie.

– Tak, przyszłaś na świat, oczywiście – potwierdził wojownik, a jednocześnie wyraził wątpliwość: – Ale nie zastanawiało cię, czemu nie masz... pępka?

– Jakoś zwykłam miewać inne zmartwienia związane z urodą – rzuciła nieco wyzywająco Srebrna, wskazując na swój coraz mocniej łuszczący się policzek.

– Narodziłaś się z wody... – jęknął Marrengo i popatrzył krzywo na podopieczną, wyraźnie obawiając się, jak to przyjmie. Ona zastygła z kamiennym wyrazem twarzy, zupełnie jakby nie rozumiała treści, która właśnie dotarła do jej uszu. Dlatego wojownik, wążąc słowa, wyjaśnił: – Jak wiesz, wioska, gdzie się wychowywałaś, leży nad brzegiem wiecznie

skutego lodem oceanu. A tamtejsi mieszkańcy trudnią się w głównej mierze łowiectwem spod lodu. Lecz pewnego dnia w księżycową pełnię pochwycili oni z przerębla w sieci nie rybę, a niemowlę, dziewczynkę. Była cała w srebrzystej łusce, ale ta od niej odpadła. I choć dziecko najwyraźniej potrafiło oddychać pod wodą, to swobodnie czerpało także mroźne powietrze do płuc. I tak pozostało ono w wiosce, ponieważ ludzie zdecydowali się nie oddawać niemowlęcia na powrót wodzie.

Po wysłuchaniu tej opowieści Srebrna pogładziła swój łuskowaty policzek i wpadła w dłuższą zadumę. Aż chłodno oznajmiła:

– Więc to dlatego przezywano mnie Rybia Twarz, inni wiedzieli. I to stąd moja przypadłość skóry, która się rozwija. – Marrengo pokiwał twierdząco głową, a dziewczyna ciągnęła dalej. Ale co znamienne, objęła czule przyjaciela i wypowiadała słowa pogodniej: – To zapewne też stąd nigdy nie czułam prawdziwej tęsknoty do pierwotnej matki czy ojca. To ty od zawsze zastępowałeś mi oboje. Dlatego dziękuję ci, że zawsze przy mnie byłeś i ciągle jesteś. – Wspięła się na palcach i pocałowała mężczyznę w zarośnięty policzek. On poklepał ją po męsku po plecach i z wyraźną ulgą w głosie powiedział:

– Pamiętaj, że twoje niezwykle narodziny mają niewątpliwie związek z tym, że sama jesteś wyjątkowa, jako legendarna siostra krwi. Choć dla mnie osobiście jesteś jedyna w swoim rodzaju po prostu dlatego, że cię znam i napawa mnie dumą, widząc, kim się obecnie stałaś, jak dorosłaś. – Przyjrzał się Srebrnej z większej odległości. Uczynił to ze szczerym podziwem oraz uśmiechem na twarzy, który przez łyzy odwzajemniła jego podopieczna. Gdy wtem podbiegł do nich pucułowaty i srebrzysty chłopak w baranym kaftanie.

– Bury...? – nie dowierzała na jego widok wojowniczką. – Ty... tutaj? – dukąła naprawdę zaskoczona. Na co młodzieniec szybko pokiwał głową i już otworzył buzię, aby pospiesznie wyrzucić z siebie potok zapewne niestworzonych historii. Ale widząc jego podekscytowanie, Srebrna położyła mu palec na ustach i spróbowała go uspokoić: – Podejrzewam, że wydarzyło się coś naprawdę ważnego – zaznaczyła. – Ale zanim przemówisz, waż słowa, aby była w nich wyłącznie prawda. – W odpowiedzi Bury ponownie szybko skinął głową, po czym zaszczycił mężczyznę i dziewczynę przed sobą dłuższą niemniej ze wszech miar niezwykle

opowieścią.

Początkowo Srebrna uśmiechnęła się nawet zaciekawiona, słysząc, że chłopak poznał na północnych bezdrożach Złotego. I była skłonna dać nawet temu wiarę. Choć gdy usłyszała o alabastrowym czarowniku, który przyjął pod swe opiekuńcze skrzydła Burego, nabrała wątpliwości, czy słuchała szczerzej prawdy. Lecz w dalszej części opowieści chłopak zaczął mówić z prawdziwym przestachem, zupełnie jakby był autentycznym świadkiem opisywanych przez siebie dramatycznych zdarzeń. Te zaś, poza tym, iż rzeczywiście były naznaczone tragedią, to również niezwykle wydarzeniami przesyconymi magią:

– Właśnie tak! – zaklinał się Bury, krzyżując ręce na sercu. – Kiedy jechaliśmy z czarownikiem konno, nagle ze wszystkich stron osaczyło nas białe ptactwo. Wówczas czarownik Chamois otworzył okrągłą szkatułkę, z której wydobyła się olśniewająca poświata. Następnie zdążył mi jeszcze przekazać, abym ową szkatułkę wręczył tylko i wyłącznie księciu Złotemu, nikomu innemu. I wtedy, wtedy... – Z powodu nierównego oddechu chłopakowi odjęło głos. A zaraz z jeszcze większą pasją kontynuował: – Nagle jakby pochłoneńo mnie światło szkatułki i raptem wszystko było odmienione, a ja zostałem zupełnie sam i nad chmurami kroczyłem po niebie pod jaśniejącym słońcem! Błądziłem tam po omacku, aż znalazłem jaśniejące drzwi. Otworzyłem je, ale dalej była wyłącznie niebiańska przestrzeń. Jednak zdałem też sobie sprawę, że ciągle ściskam w ręku kulistą szkatułkę. Otworzyłem ją i wtem... – Bury raptem zamilkł, a w jego oczach pojawiły się łzy. Do tego twarz naznaczyło autentyczne przerażenie.

– Co się wydarzyło? – zapytał spokojnie, wręcz po ojcowsku Marrengo. To ośmieliło chłopaka i pewnym z trudem, ale dokończył opowieść:

– Znowu znalazłem się na porośniętej szarą trawą równinie – oznajmił. – Miałem u boku dwa konie, a u stóp białą szkatułkę. Jednak... alabastrowy czarownik. – Bury przetarł rękawem załzawione policzki. – Pocziwy czarownik, on leżał zmasakrowany, cały rozdziobany przez ptactwo. Niewiele z niego zostało...

Chłopak na dobre zaniemówił i wyciągnął przed siebie kulisty przedmiot, o którym cały czas wspominał. Obecnie już na dobre zaintrygowana Srebrna wyciągnęła po niego dłoń, ale Marrengo złapał ją za nadgarstek i z powagą przestrzegł:

– Ten dar ma otrzymać Złoty, sama słyszałaś. Taka była ostatnia wola darczyńcy.

– Oczywiście... – Dziewczyna zabrała dłoń i wskazała nią Buremu siedzącego za biesiadnym stołem księcia w czułych objęciach księżnej Bursztyn. Potem dodała: – To chyba nie jest najlepsza chwila, aby uzyskać książęcą audiencję, ale taka niebawem nadejdzie. Tymczasem chodź, zjesz coś i się napijesz z innymi, na pewno jesteś strudzony po długiej drodze. – Zaprosiła chłopka do stołu, ale stojącego bardziej na uboczu i przeznaczonego dla służby. Zresztą sama miała ochotę właśnie tam spocząć.

Bury wyraził zgodę, a srebrzysta dziewczyna pożegnała się jeszcze czule z Marrengiem, życząc mu udanej drogi powrotnej do serca północy. Bowiem przywódca wyprawy podjął już decyzję o zakończeniu kampanii wojskowej. Z kolei wojowniczką kazała mu z całych sił pozdrowić od niej jej najbliższych znajomych z Orlego Gniazda, w tym przede wszystkim zadziorną Mysię czy dzielnego Popiela, wojownika ze względu na swój wiek będącego już w stanie spoczynku.

Tym sposobem w towarzystwie Burego oraz sług, kuchcików czy lokajów zasiadła za znacząco mniej pozłacanym stołem na peryferiach głównej uczy. Tutaj, nie obserwując ciągle Złotego w objęciach małżonki, odetchnęła z ulgą i już całkiem się rozpogodziła. Swobodnie jadła, piła oraz zachęcała do tego swego nowego, choć po części i starego, kompana. Starła się, jak mogła koncentrować własne nadzieje na lepszej przyszłości. W końcu była siostrą krwi, legendarną Srebrną, a to zobowiązywało i czekał na nią jeszcze cały wielki świat do poznania, a w nim jego nieodkryte dziwy.

W konsekwencji, aby podnieść na duchu też chłopaka przybyłego z północy, wyjawiała mu, że naprawdę jest legendarną siostrą krwi. Ponadto zaproponowała mu, że jeżeli nie miał on innych planów, to po ofiarowaniu księciu tajemniczej szkatułki chętnie ponownie widziałyby go u swego boku, jako giermka. Bury ochno przystał na ten pomysł, przez co od tego czasu również on wydawał się skutecznie oddalać od siebie niedawne troski. I tak ucztując, choć nieprzesadnie huczne, powitali po uroczystej nocy jaśniejący złotem świt.

Obecnie Srebrna stała przy parze siwych koni, swoim oraz Burego i kolejno sprawdziła skórzane popręgi pod brzuchami wierzchowców. Upewniała się, że siodła były należycie umocowane przed forsowną jazdą planowaną na cały dzień. Ten wreszcie obdarzył zachodnią krainę większą ilością jasnych i ciepłych promieni słońca, co zdawało się tchnąć w tę część świata pewien optymizm po ostatnio doznanych tu porażkach. W takich okolicznościach powrócił do dziewczyny Bury, który uczynił to już bez podarowanej Złotemu szkatułki, za to z darem od niego samego i to akurat dla Srebrnej.

– Nie powinien był... – jęknęła, biorąc z chłopięcych dłoni znaną sobie perłową bransoletkę, którą specjalnie pozostawiła w namiocie u boku księcia. Ciężko westchnęła, ale założyła ozdobę na rękę. Popatrzyła przez moment na matowe perły pochodzące, zdawało się, z samego mroźnego oceanu na najdalszej północy. Potem wskazała giermkowi, że czas ruszać na południe. Taką bowiem postanowiła obrać trasę wiodącą do Kasztanowej Republiki, aby poszukiwać tam kolejnej siostry krwi tym razem o brązowej barwie skóry i podobnym kolorze życiodajnej cieczy w żyłach.

Początkowo jechali bitą dość wąską i żółtawą drogą. Po obu jej stronach sterczały dumnie słoneczniki lub kłaniały się gładzone wiatrem dojrzałe łany zbóż. Ich żółte kłosa złociły się w szczerym słońcu, które ogrzewało przestrzeń jasnymi promieniami. Te wydawały się Srebrnej nie tylko o wiele gorętsze, ale i bardziej świetliste niż na północy. Co pewien czas mijali też pojedyncze domostwa, niezmiennie pomalowane w różnorodne odcienie żółci, jak kanarkowy, cytrynowy czy bananowy. Napotykali również mieszkańców solidarnie w słomkowych kapeluszach, którzy nieufnie przyglądali się podróżnikom na siwych koniach oraz w srebrzących się włosach, a do tego zbrojnym rynsztunku.

Nie pozdrawiano ich tu, ani nie witano z otwartymi ramionami. Z tego bowiem, co Srebrna zdążyła się dowiedzieć od Marrenga, cała ta zachodnia kraina po przegranej wojnie była rozdarta. I tak niektórzy mieszkańcy cały czas nie mogli się pogodzić z klęską z Centralną Czeluścią oraz zdradą południowego sąsiada. Inni skłaniali się do zaniechania prób podważenia narzuconego pokoju przez silniejszych obecnie zwycięzców. Tak czy inaczej, przybysze kasztanowi czy też srebrzyści, bez różnicy, nie byli teraz

postrzegani jako ktoś tutaj pożądany, kto mógłby ulżyć niepewnemu losowi tubylców, a raczej widok obcych wprowadzał dodatkowy niepokój.

W kolejne dni na szerszych już wszak ciągle bitych drogach Srebrna z Buryem coraz częściej napotykała maszerujące równym krokiem oddziały brązowych żołnierzy. Wszyscy zaopatrzeni byli w oręż, o którym już wiedziała, że to muszkiety. Czyli strzelająca śmiercionośnymi ładunkami broń palna, zabijająca swymi pociskami równie skutecznie, co łuki lub kusze. Natomiast im dalej srebrzyści przybysze zagłębiali się w serce Królestwa Zachodzącego Słońca, tym więcej napotykali obcych wojsk, a także towarzyszących im cywili w tym robotników oraz górników w roboczych i również brązowych strojach. Ponadto taszczyli oni ze sobą wozy pełne wielorakiego sprzętu, nie tylko górniczego, ale też takiego, o którego przeznaczeniu Srebrna nie miała pojęcia.

Aż w pobliżu samej granicy z Kasztanową Republiką wojownicza zobaczyła coś, na widok czego srogo zmarszczyła cienkie brwi. Był to konny kondukt alabastrowych rycerzy, prowadzących pieszych jeńców w złotych mundurach. Z jednej strony ten obraz budził gorzkie wspomnienia ściany alabastrowych tarcz, która uniemożliwiła podczas ostatniej bitwy ewakuację z pola walki złotego króla. Z kolei obecność jeńców zdecydowanie raziła oczy i to bynajmniej nie od ich połyskliwych strojów na ten czas przybrudzonych przez kurz i pył. Otóż srebrzysta dziewczyna sama słyszała treść podpisanego traktatu pokojowego, na podstawie którego wszyscy wzięci do niewoli żołnierze królestwa mieli uzyskać wolność. Gdzie więc ich prowadzono ciągle skrępowanych najwyraźniej wbrew ich woli? Srebrna pogoniła rumaka, aby za moment zrównać go z przewodnikiem alabastrowej grupy i wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie.

– Proszę, proszę... a co też tutaj robi uzbrojona dziewczynka, do tego szarak z północy? – Jadący na złotym rumaku mężczyzna w białej zbroi zwrócił się do wojowniczkę lekceważącym określeniem ludzi pochodzących z północnych połaci kontynentu Unton. Poprawił na głowie hełm z odsłoniętą przyłbicą i jak gdyby nigdy nic jechał dalej.

– Mogę zapytać o to samo. Co tutaj czyni ten ktoś, kimkolwiek on jest, wszak hańbiący się walką po stronie mroku, a obecnie łamiący postanowienia pokojowe – rzuciła ze wzgardą dziewczyna i wymownie spojrzała na prowadzonych jeńców. W odpowiedzi mężczyzna obdarzył ją

widokiem znużonej już postarzałej twarzy z intensywnie pomarańczowymi oczyma i leniwie oznajmił:

– Nie każdy, szczególnie szarak, musi wiedzieć, że działamy na terenie królestwa w imieniu wielkiej księżnej Alabaster, Najwyższej Światłości, i tylko przed nią odpowiadamy.

– Zatem zdrajca chowa się za plecami zdrajczyni? – docięła Srebrna, która słysząc dodatkowo o Alabaster, naraz nie była zdolna pohamować gniewu.

– Powiedziałbym, licz się ze słowami, ale ty sama się prosisz, abym wyciął ci twój szary język... – wycedził przez zęby rycerz. A mrużąc oczy, w zadumie dodał: – Czy ja cię już gdzieś nie widziałem, szaraku? Czekał... – Naraz jakby doznał olśnienia i aż przyklasnął w dłonie: – Toż tyś jest tą poszarzałą dziewczynką, która zhańbiła się doprawdy wielkim wyczynem. Oto w przeciągu paru dni w twych wątłych ramionach zginęła zarówno święta Złota, jak i świętoszkowaty król. Przeprasza, że spytam, ale czy ty jesteś może przeklęta? Bo domniemam, że tak i sugeruję, zjeżdżaj stąd, ino chyżo, zanim ściągniesz tu kolejną klątwę – zakończył z agresją. Z kolei Srebrna z trudem, ale zdołała opanować w sobie przez moment wręcz kipiącą złość. Dlatego obecnie tylko zacisnęła pięści na wodzach i patrząc przed siebie, warknęła:

– Zamiast strzępić języki, po prostu stańmy do walki. Jeżeli przegrasz pojedynek, uwolnisz bezprawnie prowadzonych jeńców, to wszystko.

– A jeśli wygram...? – Rycerz łypnął spode łba na Srebrną.

– Wtedy... – Ta się zamyśliła. – A czego byś zażądał?

– Ciebie, droga pani, jako tej, która posłusznie dołączysz do konduktu jeńców – oznajmił pogodnie, ale, o dziwo, nie mężczyzna, z którym do tej pory prowadziła rozmowę dziewczyna, a ktoś zza jej pleców.

Szybko się obejrzała, aby zobaczyć, z kim miała do czynienia. Dostrzegła dość wyróżniającą się postać. Był to sporo starszy od niej mężczyzna, ale ciągle dość młody. Za to niezwykle wysoki i dumnie zasiadający w siodle białego rumaka. Zaś co charakterystyczne, włosy miał złote, ale poprzedzielane kasztanowymi pasemkami. Do tego na twarzy z ostrym rysami mieniła się w promieniach słońca jego ciemna skóra, ale ni to złota, ni brązowa, a wpadająca w kolor gdzieś pomiędzy tymi barwami.

– Ty jesteś... panie? – odezwała się niepewnie Srebrna, podejrzewająca,

że za plecami miała do czynienia z arystokratą, może nawet przywódcą alabastrowych rycerzy. I rzeczywiście:

– Jam ci jest Oranz, palatyn Oranz i pełnomocnik wielkiej księżnej Alabaster na ziemiach zacnego królestwa, do usług.

– Raczej z twych usług nie skorzystam... panie – stwierdziła cierpko dziewczyna, dając do zrozumienia mężczyźnie, jakie zdanie miała o jego mocodawcy. On, niezrażony, uśmiechnął się w pewny siebie sposób, pokiwał przecząco głową i tajemniczo rzekł:

– Wręcz przeciwnie, moja młoda damo. Zaręczam, że nie wywiniesz się z bliskiego kontaktu z moją skromną osobą w służbie Najjaśniejszej Jasności.

– A czemuż to...? – zapytała nieco skołowana Srebrna.

– Ano temu, że tak pięknej i szlachetnej wojownicze nie dam się pojedyńkować z kimś pośledniego rodu. – Popatrzył lekceważąco na jadącego koło dziewczyny starszego rycerza. Ten tylko machnął na odczepnego ręką, a palatyn dumnie zawyrokował: – Skoro rzuciłaś, pani, wyzwanie alabastrowym rycerzom, to stoczysz walkę z ich przywódcą, czyli ze mną we własnej osobie. Natomiast ceną będzie wspomniana wolność. Wolność twoja lub prowadzonych jeńców. Oddział stać! – zarządził donośnie arystokrata i na komendę wszyscy zbrojni wstrzymali rumaki, a za nimi zatrzymali się również skrzepowani jeńcy. Zaś Srebrna z respektem obcięła wzrokiem swego przyszłego przeciwnika i starając się nie myśleć o konsekwencjach potencjalnej porażki, zamiast tego spróbowała uwierzyć w siebie. Dlatego na tyle mężnym głosem, na jaki było ją stać, odparła:

– Niech tak będzie. Walczmy o wolność. Stawaj więc do walki. – Skierowała konia na bok, odjechała kawałek i zeskoczyła z rumaka. A za chwilę był koło niej rozemocjonowany Bury, którego stopy także już napotkały twardy grunt, a dłonie spiętych ramion srebrzystej dziewczyny.

– Imponujesz mi, pani! Nic tylko się pojedyńkujesz! – Chłopak z zapałem rozmasowywał naraz wyjątkowo spięte mięśnie dziewczęcego grzbietu. – Wiedz, że będę trzymał za ciebie kciuki, ponieważ już doszły mnie słuchy, jaka jest stawka zbliżającej się walki!

– A skąd? – jęknęła Srebrna, wodząca uważnym wzrokiem za również przygotowującym się do pojedynku przeciwnikiem.

– Skąd wiem? No, no jakże to... toż podsłuchiwałem! – wypalił bez

zenady Bury i zakwitł wielce rozbajającym uśmiechem. Na to wyznanie Srebrna tylko pokręciła głową. Ale zaraz uśmiechnęła się przyjaźnie do kompana i poklepała go po ramieniu.

– Dziękuję za masaż, przygotowanie do walki. Teraz będę po prostu niepokonana – powiedziała na pożegnanie i koncentrując w sobie siły, ruszyła do Oranza. A stawiała kroki, mając w pamięci, że ostatni pojedynek z arystokratą, choć całkiem złotym i przeprowadzony w mroku, przegrała. Jednakże teraz nie mogła sobie na to pozwolić, bowiem stawka była naprawdę wysoka.

– Walczymy do momentu poddania się przeciwnika. Przygotować tarcze! – wydał rozkaz uzbrojony w długi miecz palatyn. W efekcie w mgnieniu oka jego oraz Srebrną otoczył okazały krąg masywnych tarcz w kształcie prostokątów. Utworzyły one alabastrową ścianę od ziemi aż do torsów rycerzy i mocno odbijały światło stojącego w zenicie słońca. Czyniły to do tego stopnia silnie, że słoneczny blask oślepiał wojowniczkę. Ponieważ jej przeciwnik zawczasu zajął dogodniejszą pozycję, stając z twarzą w lekkim cieniu. – Zaczynamy! – zakomenderował.

W pierwszym momencie Srebrna chciała ruszyć do morderczej szarży, takie zachowanie podpowiadał jej temperament. Ale mając w pamięci pojedynek ze Złotym, poskromiła agresywne zapędy i starała się najpierw przyjąć atak Oranza. Ten, prezentując się odważnie bez zbroi, poza tym, że wyraźnie kwapił się do walki, obracając rękojeść złocistego miecza w dłoni, to najwidoczniej miał też ochotę uciąć sobie podczas walki pogawędkę, bowiem drwiąco zasugerował:

– Czyżbyś nagle się załękła, pani, i w sercu gołębiim odczuła strach, że tak zastygłaś w miejscu? Bo wojowniczkę północy słyną przecież z szaleńcych szarży. Ty chyba jednak nie jesteś berserką, a jedynie pragnęłabyś za takową uchodzić, zgadłem? – Srebrna zareagowała na zaczepkę, obnażając gniewnie kły, ale bardziej nie dała się sprowokować. – Tak, zdecydowanie nie jesteś berserką – kontynuował słowny atak arystokrata. – Stawiam za to, że należysz do tych płochych niewiast, które podczas prawdziwego zagrożenia preferują ucieczkę, jak choćby ze Złotą, czy też złotym królem. Także wliczasz się do tchórzy, którzy osłaniają się innymi, aby zamiast ciebie przyjmowali w swe ciała wystrzelone bełty czy kule...

– Whrrrah! – Po ostatnich szyderstwach Oranza srebrzysta wojownicza nawet się nie zorientowała, a już gnała na aroganta z uniesionym mieczem. Lecz wysoki rycerz zszedł błyskawicznie z linii ataku, a dziewczyna zastała przed sobą tylko alabastrowe tarcze, od których odbił się snop światła i całkiem ją poraził. W efekcie z zamkniętymi oczyma cięła ostrzem wokół siebie na oślep, trafiając w próżnię. Natychmiast się odwróciła i obecnie postanowiła już nie podnosić powiek. Zamiast tego szybko osiągała stan nadzmysłu. Zrozumiała bowiem, że nie było na co czekać i nie mogła lekceważyć wygadanego, ale i najwyraźniej sprytnego przeciwnika. Ten przechadzał się dumnie niczym paw po drugiej stronie krągłego pola walki ograniczonego tarczami i nonszalancko prawił dalej:

– Przepraszam bardzo, ale walczę z damą, czy też może niewychowaną dziewczką? Dlaczegoż, pani, zamykasz swe oczęta? Czyż nie jest to dowód zniewagi dla przeciwnika? Chyba że czynisz to ze strachu i zaraz być może uraczysz nas nawet widokiem swej srebrzystej głowy schowanej w piasek, jak mają w zwyczaju płochliwe zwierzęta na przeklętym południu.

Tym docinkiem Oranz wzbudził wśród swoich ludzi z tarczami tłumione śmiechy. Jednakże Srebrna, zatapiając się w jedności zmysłów, słyszała mężczyzną coraz słabiej, ale równocześnie odnosiła niepokojące wrażenie, że także coraz gorzej go widziała. Albowiem w stanie nadzmysłu postrzegała przed sobą wyłącznie tonącą w alabastrowym świetle przestrzeń, w której całkowicie ginął Oranz. Za moment wręcz rozpaczliwie próbowała go zlokalizować w całym morzu osaczającej ją świetlistości.

Gdy wtem otrzymała powalające ją na kolana uderzenie ręką miecza w kark. Wtedy gwałtownie wyszła ze stanu jedności, rozumiejąc, że jej przeciwnik posiadał na niego niewytłumaczalne antidotum. Wraz z uświadomieniem sobie tej prawdy, silny kopniak w plecy powalił ją plackiem na ziemię. Wypluła z ust chrzęszczący w nich piach i znowu usłyszała drwiące słowa:

– Ach... Ponownie zaszczyciłaś, pani, słońce swym srebrzystym spojrzeniem. To doprawdy mi schlebia. Żywię przeto szczerą nadzieję, że przed tym oto jaśniejącym słońcem zaraz przyznasz się do swej klęski. Bo inaczej zmusisz mnie, bym sprawił, że zamkniesz swe oczęta na zawsze. – Alabastrowy rycerz stanął w bojowej postawie naprzeciw Srebrnej. Ona podźwignęła się do pionu i skupiła w sobie, aby w konwencjonalnej walce

skutecznie zaatakować lub się obronić. I chociaż naprawdę pragnęłyby zachowawczo przyjąć atak przeciwnika, to raptownie rzuciła się do bezpardonowej szarży.

Niestety zrobiła zaledwie dwa kroki, a Oranż w magiczny wręcz sposób skupił na klindze swego miecza światło odbite ze wszystkich alabastrowych tarcz. Zaś uzyskany promień, niczym przedłużoną klingę, skierował wprost w atakującą wojowniczkę. Ta zamasyście spróbowała sparować świetlany cios. Ale ostre światło przeszło przez jej miecz i dosięgło twarzy, pozostawiając na policzku głęboką szramę. Wówczas wstrząśnięta takim atakiem Srebrna zastygła na środku pola walki, otarła z policzka obficie płynącą krew, a rycerz ponownie z niej szydził:

– W innych okolicznościach powiedziałbym, że to pech, tak ulec trwałemu oszpececiu podczas niewinnego pojedynku, wręcz przyjacielskiego, że tak się wyrażę. Ale w tym konkretnym przypadku, to chyba jednak nie taka wielka strata. Albowiem pod światło dostrzegam teraz, że urodą, pani, bynajmniej nie grzeszysz. Ta twoja rybia twarz i odrażająca łuska na policzku... Będę zgadywał, masz może, pani, za dalszego przodka samego srebrzystego karpia, a matką była szara flądra?

W odpowiedzi na tę z kolei drwinę kamraci arystokraty już nie tłumili śmiechu, tylko gruchnęli nim na całego. Natomiast po doznanej ranie oraz kolejnej zniewadze Srebrna nie podjęła już walki. Nagle bowiem poczuła się mała i słaba wręcz bezbronna, a także w jakiś sposób odrażająca. Bo i co z tego, że była podobno siostrą krwi, skoro już wiedziała, że ten pojedynek, jak zresztą wiele innych w swym życiu, przegra. W końcu może nie powinna się temu specjalnie dziwić, ponieważ z legendarnych sióstr miała przeżyć tylko jedna z nich. Więc czy na nią właśnie przyszedł kres, czy też może powinna się dać najpierw zakuć w łańcuchy?

Wtem szeroko otworzyła usta i zgięła się w pół, po ciosie płazem miecza w brzuch. Raptem straciła oddech i ponownie padła na kolana. Nie zdołała też utrzymać miecza, który wypadł jej z dłoni i został odkopnięty przez rywala. Ten zaraz poprawił kopniakiem w żebra, a potem w twarz Srebrnej, gdzie łuszczyła się jej skóra i miała rozcięcie. W efekcie wojowniczką potoczyła się na bok i pozostała w pozycji leżącej z twarzą na piasku. A już za chwilę tuż koło niej upadła biała płachta rzucona przez Burego, jako znak poddania zawodniczki.

– Rozsądnie, naprawdę mądrze – pochwalił taką decyzję Oranż i w swoim stylu dociął: – Kto by pomyślał, że zwykły pacholek srebrzystej pani będzie miał w głowie więcej rozumu, niż ona sama. I nawet szkoda, że swego czasu się nie zamienili rolami. – Przykleknął przy leżącej dziewczynie, ujął białą płachtę i zaczął nią sobie oczyszczać but ze srebrzystej krwi oraz łuski, do tego z odrazą mówiąc: – Co za ohydztwo, ależ zapaskudziłem sobie obuwie, zupełnie jakbym patroszył rybę, a nie pojedynkował się z berserką północy. Cóż, wstyd to i ujma na honorze dla mnie taka potyczka. Dlatego zgodnie z kodeksem światła tym radośniej przyjmuję bezwarunkową kapitulację i samodzielnie założę ci, pani, kajdany. W nich będzie ci całkiem do... twej rybiej twarzy.

– Nie... – wyrzęziła Srebrna. Ale nie ruszyła się z miejsca, nie mogąc opanować zawrotów głowy od uprzedniego ciosu w skroń. – Nie... – powtórzyła z determinacją. Na co Oranż popatrzył na nią wyraźnie zaskoczony.

– Jak to nie...? – zapytał i sam sobie odpowiedział: – Ależ tak. – I raptem zarzucił trzymaną płachtę na twarz dziewczyny, po czym zaczął biedaczkę dusić. A kiedy złuzował uścisk, pochwycił duszącą się wojowniczkę za włosy i gwałtownie uderzając jej głową o ziemię, krzyczał: – Ależ tak, tak, tak! Czas już skapitulować, nie uważasz?! – Następnie się nachylił i na tyle cicho, aby słyszała go tylko jego ofiara, wysyczał do niej: – Jak wszyscy kochałem Złotą, ale inaczej i bardziej niż inni. To ty odpowiadasz za jej śmierć, przez co powinienem bez namysłu rozplatać cię mieczem. Na nic więcej nie zasługujesz. Wszakże ze względu na pamięć o złocistej siostrze krwi i łaskę światła daję ci szansę przeżycia. Skorzystasz z niej?

– Nieee... – jęknęła bez życia Srebrna, w której w tej chwili nie pozostało już dosłownie nic poza tępym uporem. Ostatecznie bowiem zdecydowała, że nie da się zniewolić i woli już wyzionąć srebrzystego ducha w tym alabastrowym kręgu, niż od tej pory podążać przez życie w łańcuchach.

– Uparta jesteś, zupełnie jak szary osioł. Do tego osioł, który sam pcha się na rzeź – skwitował jej zachowanie rycerz. Wstał i przymierzył ostrze miecza tuż nad dziewczęcy kark. – Ostatnia szansa, by przeżyć: – zawyrokował i z całych sił posłał jej jeszcze kopniaka w żebra wojowniczkii, składając ją wpół. – Zatem...? – zapytał i ze świetlistym orężem w

gotowości zastygł w oczekiwaniu.

Z kolei poturbowana Srebrna tępo popatrzyła na swoją dłoń, gdzie pośród srebrzystej krwi otartej z policzka dostrzegła złocącą się nić. Wtedy wspomniała swą legendarną siostrę, Złotą, jak za sprawą światła otworzyła ona żelazne drzwi celi. Przypomniała sobie jej świetlistą moc, którą potem tchnęła w Srebrną i jeszcze późniejszy zawarty przez nie związek krwi oraz słowa wypowiedziane przez córkę króla: „złocista siostra wejdzie w mrok, by rozświetlić srebrnej krok”.

W wyniku tamtych wspomnień leżąca wojowniczką spontanicznie weszła w stan nadzmysłu, ale dodatkowo okraszony inną energią, mianowicie świetlistą, jaką dysonowała pierwotnie Złota. W ten sposób wszystkie jej odczucia zlały się wyłącznie w doświadczenie złotego światła, które generowała z odblaskowych tarcz w kręgu i kumulowała w rękach. Te rozgrzewały się do coraz wyższej temperatury, aż paliły dłonie. I raptem Srebrna się odwróciła na plecy, po czym całą zgromadzoną energię wyemanowała wprost w stojącego nad nią rycerza.

Nastąpił oślepiający rozbłysk i oszołomiona dziewczyna wyszła z jedności nadzmysłu. A za moment z pewnym trudem usiadła, aby zobaczyć efekt swych działań, który na dobre zaskoczył ją samą. Popatrzyła zdziwiona na swoje poparzone dłonie, a potem namierzyła wzrokiem palatyna. Ten leżał na plecach i ciężko charczał, z ust płynęła mu pomarańczowa krew, a w klatce piersiowej ziała wypalona dziura.

– Pokonałaś mnie... – wyrzeźił w szoku.

– Nie sama, a wspólnie ze Złotą – odparła w zadumie Srebrna.

– Oczywiście... gratuluję. A teraz mnie oszczędź.

– Nic z tego... – Czując w sobie nagły powrót gniewu po niedawnych upokorzeniach, wojowniczką wstała, podniosła z ziemi swój miecz i przystawiła go do serca arystokraty.

– Uwolnię więźniów... na kodeks światła, na światło słońca, poprzysięgam... – wychrypiał na dobre przerażony Oranż. Ale srebrzysta dziewczyna go nie słuchała. Za to posłuchała w sobie podszeptu swej siostry, Złotej, a także Burego, który jękliwie krzyknął:

– Pani! Na zimny honor, na mróz i lód! Tak się nie godzi! Niestety...

W odpowiedzi Srebrna z trudem jednak opanowała w sobie mroczne emocje. Schowała miecz za pas i warknęła do palatyna:

– Uwolnij więźniów, natychmiast. Pojedynek skończony.

Niedługi czas potem przyjęła wielkie podziękowania od kilkudziesięciu złotych rycerzy, którzy wyzwoleni uniknęli dzięki niej zsyłki do kopalni węgla na roboty przymusowe. Obiecali oni chwalić imię Srebrnej i wyruszyli w drogę do domu, zaś ich poturbowana wybawicielka, ze zszżytą przez Burego raną na twarzy, podążyła dalej na południe.

Przy czym czyniła to dobrze otumaniona i to nie tylko od licznych razów, jakie otrzymała także w głowę. Spoglądając co raz na swe poparzone dłonie, upewniała się, że to, czego niedawno doświadczyła, czyli emanacji światła przez jej osobę, nie było snem. Lecz wszystko wskazywało na to, że autentycznie przejęła ona jakąś część nie tylko ducha oraz krwi swej Złotej siostry, ale i jej moc. To natomiast było wielce krzepiące, a w prostej linii przyczyniło się też do uratowania samej Srebrnej, jak również więźniów.

– To ja dziękuję... – wyszeptwała, jadąca polną drogą wojowniczką, gdy wydawało się jej, że gdzieś ze świetlistej przestrzeni usłyszała takie właśnie słowa Złotej. A może jednak pochodziły one z jej własnego, teraz nie tylko już srebrzystego, wnętrza?

– Ależ to ja dziękuję, zaprawdę! – stwierdził z kolei z przekonaniem Bury, który od dłuższego czasu coś trajkotał, ale dziewczyna uciekła myślami od jego namiętnych wywodów. Lecz teraz na powrót skoncentrowała uwagę na słowach chłopaka, zapytując:

– Za co dziękujesz?

– Toż mówię. Za to, iż zostałem giermkim samej legendarnej siostry krwi, a do tego magicznej wojowniczką. Ten niesamowity atak światłem! Chociaż niczego nie umniejszam też, pani, wcześniejszemu udawaniu przez ciebie słabości.

– Udawaniu słabości... – Srebrna popatrzyła na Burego pijanym wzrokiem i z boleścią jęknęła, obmacując swą bardziej opuchniętą część twarzy.

– No a jak! Zresztą szybko przejrzałem twe zamysły i nawet wziąłem w twym przedstawieniu udział, rzucając dla niepoznaki białą płachtę.

– Ciesz się mnie to, że dobrze się bawiłeś, oglądając walkę – westchnęła ciężko Srebrna. Zaś chłopak nie ustępował i rozochocony ciągnął dalej:

– Tak też sobie myślę, że w przerwach pomiędzy dokonywaniem szlachetnych czynów, to jest uwalnianiem więźniów, więzionych w wieżach

księżniczek czy pokonywaniem smoków...

– Masz coś do smoków...? – wtrąciła, myśląc o Aezonie wojowniczką i spojrzała spode łba na chłopaka.

– Ależ nic, absolutnie! Pomyślałem tylko, że moglibyśmy wykorzystać twoje talenty, wystawiając cię w walkach na pograniczu. No wiesz, słyszałem o pojedynkach organizowanych dla pieniędzy. Oczywiście kosztownościami podzielilibyśmy się z najuboższymi. Ale też może i nam coś niecoś by skapnęło. Bo widzisz, masz naprawdę niezwykłą moc, podejrzewam, że być może kryje się ona w twych srebrzystych warkoczach, jak legendarnej Szaarszej z klanu Srebrzystych Szeptów, która wyruszyła z drużyną odkryć kraniec północy. I ciągle nie powróciła... Ale sądzę...

Bury w najlepsze nawijał dalej. Natomiast Srebrna ponownie przestała go słuchać i jej myśli na dobre przyłgnęły do Aezona. Otóż przed wyruszeniem na południe ostatecznie postanowiła pożegnać się ze smokiem i długo tłumaczyła mu, że udaje się ona do krain, gdzie mieszka wielu ludzi, którzy nie byłiby mu życzliwi. W ten sposób w końcu nakłoniła go, aby powrócił do macierzy, czyli Alabastrowych i Srebrzystych Gór. Wszak uczynił to dopiero, kiedy mu solennie przyobiecała, że się jeszcze spotkają. I naprawdę chciała w to wierzyć, podobnie jak w to, że dane jej będzie na drodze swego życia zobaczyć jeszcze inne bliskie swemu sercu osoby, jak choćby Marrenga czy księcia Złotego.

Popatrzyła z pewną nostalgią na bransoletkę na swoim ręku. Kontynuując podróż, co pewien czas zerkała na podarek, uśmiechając się ciepło, a innym razem nieco ze smutkiem.

XXIV. ZŁOTY

Miasto Słońca – miasto światła – stolica królestwa położona była na najdalej wysuniętym na zachód cyplu kontynentu Unton, a ściślej nad znajdującą się tam Zatoką Kanarków. W ten sposób odwieczną siedzibę złotych królów z trzech stron okalał złocisty ląd, a z jednej otulały oceaniczne fale.

Samo miasto stanowiło zarazem największą metropolię na całym kontynencie i pełne było wszelakich kontrastów, ponieważ tłumnie zamieszkiwała tu zarówno arystokracja, mieszczenie, jak i pospólstwo. Przy czym stan kupiecki zajmował przede wszystkim tereny portowe, dzielnicę zwaną Stare Złoto pełną doków, zacumowanych statków oraz rozległych bazarów. Zaś najlepiej urodzeni w królestwie ludzie skupiali swe okazałe rezydencje wokół zamku władców usytuowanego w samym centrum miasta.

Złoty Pałac, jak zwano siedzibę królów, posiadał jednolicie złocisty kolor i zwykle intensywnie połyskiwał w niemal zawsze świecącym za dnia słońcu. Ponadto wyróżniał go charakterystyczny kształt korony, gdzie z krągłej budowli sterczało siedem okazałych wież, a każdą z nich wieńczyła złota kula – symbol słońca. Wewnątrz owego zamku-korony rozpościerał się pełen przepychu park wypełniony urokliwymi alejkami, gustownie przyszyrzyżonymi drzewkami i trawnikami w kolorach kanarkowym, szafranowym czy bursztynu. Choć nie brakło tu także fontann, oczek wodnych czy sztucznych strumieni ze złocącą się w nich cieczą i przecinającymi je mostkami zbudowanymi z pomalowanego na żółto drewna.

Na jednym z takich łukowatych pomostów przystanął obecnie książę Złoty wraz ze swą nowo poślubioną małżonką – księżną Bursztyn. Ta, jak umiała, umiała Złotemu czas i trzeba było przyznać, że czyniła swe starania całkiem zgrabnie:

– Tylko zobacz, to właśnie my, szczęśliwa księżęca para. – Nieco starsza

od swego męża kobieta skierowała jego uwagę na ich odbicie w złocącej się wodzie i z nutą tajemnicy w głosie dodała: – Podobno w Kasztanowej Republice wynaleziono urządzenie zwane aparatem, które potrafi na śliskiej kartce papieru idealnie odmalować dany wizerunek. Co więcej, czyni to za sprawą rozbłysku światła i to dosłownie w jednej chwili.

– To... interesujące – mruknął w sumie niezbyt zainteresowany opowieściami małżonki Złoty. Jego uwagę bowiem na tle odbijających się w wodzie wizerunków przykuła pływająca w złocistej toni srebrzysta ryba. Zupełnie nie wiedzieć czemu, przypomniała mu ona o srebrnookiej dziewczynie, którą poznał niedawno w tak burzliwych okolicznościach i rozstał się z nią, nie poznawszy nawet jej imienia.

– I tylko pomyśleć, że ta piękna para, na którą teraz patrzymy, już niebawem może się doczekać potomka, który w przyszłości zostanie królem – ciągnęła z kolei z cichym entuzjazmem księżna, wyjaśniając: – Albowiem wiedz, najdroższy, że mój stryj, Tycjan, nie ma zamiaru się ponownie żenić, a nie ma on dzieci. Więc zgodnie z linią dziedziczenia tronu, jestem po nim druga w kolejce.

– To... wspaniale – powiedział trochę nieobecny Złoty, który ciągle nie mógł się przyzwyczać do tego, że posiadał już żonę. A nagle, jakby uzmysławiając sobie wynikające z tego konsekwencje, nieco przeprasząco rzekł: – Z tym potomkiem, to może się jednak jeszcze trochę wstrzymamy... Ponieważ, choć znamy się już od dość dawna. To w sumie... się prawie nie znamy.

– Ależ oczywiście, że nic nas nie goni z naszymi powinnościami wobec korony. Na wszystko przyjdzie stosowna pora... – Bursztyn przykryła ręką spoczywającą na drewnianej poręczy pomostu dłoń Złotego i uśmiechnęła się do niego ujmująco. A kiedy młodzieniec na nią spojrział, zamknęła oczy i wyduła usta do pocałunku.

Widząc skierowane ku sobie bursztynowe wargi, książę znowu złapał się na tym, że pomyślał o srebrzystej dziewczynie i ich wspólnym pocałunku, który był jego pierwszym. Ażeby zgasić w sobie tę myśl, na ten czas wielce niestosowną, czym prędko pocałował żonę. Wszak zachowawczo uczynił to w jej lekko przyprószony złotym pudrem policzek.

– Dziękuję – odparła niezrażona księżna, nie doczekawszy się już kolejnego pocałunku w usta. Natomiast Złoty popatrzył na nią nieco

zmieszany. Była bowiem naprawdę sympatyczną osobą i niewątpliwie nie zasługiwała na taką oziębłość z jego strony. Jednak sama podkreślała, że rozumie jego obecny stan żałoby po stracie najbliższych i akceptuje czasowe zdystansowanie. Tym bardziej doceniał jej współczucie i tolerancję, a ganił siebie za to, że nie stawał na wysokości zadania, jako jej mąż. Zaś swej małżonce nie mógł też odmówić wyjątkowej urody.

Młoda księżna odznaczała się wyjątkowo pięknymi złocistymi lokami, które cudnie lśniły w słońcu. Tradycyjnie przywdziewała też złociste ubranie, jak na arystokratyczną damę z królestwa przestało. Suknie nosiła szerokie poniżej pasa i w okolicach piersi, za to zwężane w talii, którą miała niczym osa. Księżną cechowały też łagodne rysy twarzy przypominającej trochę oszlifowany przez morskie fale bursztyn, co odpowiednio korespondowało z jej imieniem.

Przy czym taka akurat zbieżność nie była wcale przypadkowa, ponieważ na całym kontynencie Unton od wieków istniała silna instytucja tak zwanych mistrzów imion. Były to osoby szkolone w sztuce odczytywania już w niemowlęctwie dominujących cech ich przyszłych charakterów oraz dorosłego wyglądu w nawiązaniu do pochodzenia. Stąd ktoś z królestwa otrzymywał zaszczytne imię jak Złoty, czy właśnie Bursztyn. A inni, którzy mieli mniej szczęścia i pochodzili powiedzmy z północy mogli na ten przykład być nazywani Burym – to w odniesieniu do srebrzystego chłopaka, którego miał okazję poznać księżę, a który odjechał w nieznaną ze srebrzystą dziewczyną. Ta natomiast nazywała się...

Nagle Złoty znowu złapał się na tym, że jego myśli pod byle pretekstem lgnęły do dziewczyny z północy i za nic nie mógł ich od niej oderwać. Na moment skutecznie uczyniły to dopiero kolejne słowa księżnej Bursztyn:

– Zatem odpoczywaj, ciesz się słońcem i dobrą pogodą, mój ukochany. I nie zadręczaj się udziałem w nużącej naradzie z udziałem króla. Jak już wspomniałam, chętnie cię w tym przykrym obowiązku ponownie wyręcę. Dlatego na mnie już czas, bywaj. – Ucałowała małżonka w policzek i posławszy mu jeszcze zalotny uśmiech, zaczęła się z gracją oddalać do wewnętrznych komnat zamku.

Złoty niemrawo pomachał jej ręką na pożegnanie, po czym jego wzrok mimowolnie zawędrował do płytkiej wody w stawie. Nagle bowiem zapragnął odszukać pływającą tam srebrzystą rybę. Choć zaraz z trudem

przełknął ślinę, kiedy dotarło do niego, że tak naprawdę to nie rybę, mimo że także srebrzystą, pragnął odnaleźć.

* * *

Księżna Bursztyn skłoniła się lekko obecnym już członkom złotej rady i w imieniu swego męża zasiadła przy okrągłym stole złączonym się jak wszystko w sali narad. Następnie, niczym wytrawny gracz, z pokerową miną rozejrzała się po uczestnikach spotkania.

Poza nią było ich sześciu. Naprzeciw niej zasiadał świeżo koronowany król, jej stryj, Tycjan. Postać już daleko posunięta w latach z absurdalnie wręcz pomarszczoną skórą twarzy, co nadawało jej wiecznie smutny wyraz niczym psa buldoga. Lecz była to też wielce doświadczona persona ciesząca się znaczną estymą i to nie tylko w bursztynowym rodzie, który skupiał przodków zarówno z królestwa, ale też republiki. Ponadto z prawej strony Tycjana miejsca zajęli kolejno baron Ozłon, markiz Limon i Lady Szafran. Natomiast po lewicy monarchy usiedli palatyn Oranz oraz lady Pomarańcza.

Przy czym Bursztyn dobrze wiedziała, że nikt przy złotym stole nie znalazł się tu z przypadku. Każdy tutaj wywalczył swoją pozycję i aby ją zachować, musiał dalej czynić stosowne starania. W konsekwencji przy kolistym stole wypowiedane były kwestie odnośnie do spraw, wobec których w poszczególnych frakcjach zapadły już zwykle kularowe decyzje. I chociaż ostatnie słowo należało tradycyjnie do króla, to musiał się on liczyć z wolą doradców. Ponieważ jego władza tylko z pozoru była absolutna, a w rzeczywistości sankcjonowała ją wola większości, wobec której ryzykownie było się sprzeciwiać. Zaś bieżący układ sił w komnacie Złotej Rady przedstawiał się następująco:

Tak zwaną frakcję królewską, umiarkowaną, sprzyjającą jednak władzy republikańskiej, reprezentował król Tycjan wraz z krewną Bursztyn, która starała się trzymać męża z dala od posiedzeń, by nie tracić cennego głosu. Z kolei w opozycji do królewskich stronników stała frakcja słońca. W jej skład wchodził baron Ozłon, markiz Limon i lady Szafran. Te osoby hołdowały tradycji zachodniego królestwa i były silnie związane ze zmarłym władcą. Trzecią siłę stanowiła nowa frakcja zwana alabastrową z palatynem Oranzem i lady Pomarańczą w składzie.

W ten sposób rada mająca w swym łonie tak różnorodne gremium

bardzo rzadko jednomyślnie zgadzała się w danych sprawach, a jej członkowie dla zasady gotowi byli się spierać nawet o błahostki. W rezultacie konsensus w kluczowych kwestiach zawierano najczęściej w drodze kompromisów będących wynikiem złożonych targów.

– Jak co siódmy dzień księżycowego tygodnia, przyjmijcie błogosławieństwo złotego światła od sprawującego nad nim pieczę króla i przejdźmy do zasadniczych obrad – oznajmił z pewną ciężkością w głosie Tycjan, po czym dla podkreślenia swego majestatu poprawił na łysej głowie zdobiącą ją koronę z czystego złota. W odpowiedzi pozostałe osoby zasiadające wokół stołu opuściły, a potem podniosły powieki, otwierając ponownie oczy na światło dnia. Następnie ponownie przemówił król: – Punkt pierwszy obrad dotyczy kwestii realizacji traktatu pokojowego z republiką. Mianowicie otrzymaliśmy od ministra Palisandra mapę naszego państwa z oznaczeniami przyszłych kopalń i łączących je linii torów kolejowych. Niniejszy dokument, jak wiadomo, nie podlega renegocjacji i zamierzam go niezwłocznie podpisać. Jakies uwagi...? – zapytał władca i nie bez powodu wlepił ponure spojrzenie w barona Ozłona. Ten zadarł dumnie głowę, pogładził się po dokładnie wygolonej twarzy, od której bił wręcz jaśniejący blask i arogancko rzekł:

– Jak najbardziej trzeba wyrazić zgodę na siłą narzucone nam absurdalne w swym wymiarze roszczenia. Tak bowiem nakazuje kodeks światła, roszczenia wypełnić, jeśli podpisał się pod nimi sam następca tronu, to jest, książę Złoty, prawowity król. – Ostatnie słowa baron podkreślił z zadrą w głosie, wbijając szpilę Tycjanowi i zaznaczył: – Jednakże na ten czas nie widzę żadnych przeszkód, aby przedstawić nasze własne warunki odnośnie do poruszanej kwestii.

– Jakie warunki? – Król zmarszczył nad wyraz bujne, nieco płomienne w swej barwie brwi.

– Otóż wspomniane kopalnie oraz linie kolejowe, skoro już muszą skalać królestwo, to należycie je opodatkujmy. W końcu bogactwo będzie czerpane z naszej złotej ziemi, więc przynajmniej częściowo powinniśmy partycypować w osiągniętych korzyściach.

– A jeżeli republikanie wyrażą sprzeciw? – wyraził wątpliwość władca.

– Wtedy zwrócimy im uwagę, że część kopalń zamierzają założyć w świętych miejscach kultu słońca. One zaś są objęte ponadpaństwową

jurysdykcją i nawet sam prawowity król, nie wspominając już o obecnym uzurpatorze, nie ma prawa oddawać tych ziem komukolwiek – oświadczył z satysfakcją Ozłon i poprawił na sobie pozłacany kontusz. Zaś wobec jego słów lady Szafran, także członkini frakcji słońca, okrasiała swą promienną twarz przesłodkiemu uśmiechem i delikatnie zaklaskała.

– Kwestia grzebania w ziemi jest nam obojętna – zawyrokował z kolei palatyn Oranż ubrany w alabastrową tunikę rycerską poprzesywaną złotymi nićmi, która zakrywała jego świeżą ranę na piersi i wyniośle dodał: – Oczywiście wspomniana kwestia nie interesuje nas do czasu, aż nie uznamy, że jednak nas interesuje...

– Raczej wielką księżną Alabaster – dociał Ozłon i skrzyżował nienawistny wzrok z palatynem. Powszechna było już bowiem wieść, że to alabastrowy legion podczas ostatniej bitwy przyczyniły się pośrednio do śmierci króla. Dlatego obaj zasiadający naprzeciw siebie arystokraci bynajmniej nie pałali do siebie sympatią, za to antypatią zdecydowanie.

– Spokój – spróbował zaprowadzić porządek król, choć czynił to bez zbytniego zaangażowania i ociężale dodał: – Do sprawy kopalń i linii kolejowych jeszcze wrócimy. Teraz natomiast pragnąłbym ostatecznie wypełnić traktat pokojowy z naszym drugim sąsiadem, to jest Centralną Czeluścią. Jak wiadomo, podpisaliśmy dokument, zrzekając się wschodniego terytorium wraz z ustanowieniem nowej granicy na rzece Złocina. Jednakże zasiadający tu palatyn Oranż zwrócił ostatnio uwagę, iż wspomniana rzeka nie może być niczyja. W konsekwencji twardo stoi on na stanowisku, że ów ciek wodny, zgodnie z nazwą, powinien przynależeć do królestwa. Czy palatyn podtrzymuje swój upór, który może spowodować na nas wybuch ponownego konfliktu z mrokiem?

– Jak najbardziej – stwierdził z przekonaniem Oranż i szybko dorzucił: – Za poparcie takowego stanowiska jestem nawet skłonny przychylić się do oddania linii kolejowych oraz kopalń węgla pod całkowitą jurysdykcję republiki bez żadnego opodatkowania.

– Taką cenę postawiła wielka księżna za zwykłą rzekę? Podczas gdy dopiero co poświęciła życie złotego króla i jego armię? – Nie krył oburzenia Ozłon.

– Alabaster tak kocha rzeki... – wtrąciła się naraz z rozbrajającym uśmiechem lady Pomarańcza, opierając się ramieniem o tors Oranża i

figlarnie pisnęła: – Może to stąd bierze się owa miłość, że w wielkim księstwie w ogóle nie ma rzek, słyszeliście o tym? Więc ta miłość Alabaster jest, jakby to powiedzieć, wyjątkowa, bo jedyna...

– To bardzo interesujące spostrzeżenie, dziękujemy, lady – łagodnił rodzące się przy stole napięcie król, ponadto sugerując: – Do sprawy Złociny jeszcze wrócimy, ponieważ nie może pozostać nierozstrzygnięta. Teraz zaś poruszę ostatnią kwestię obrad, mianowicie postulat wystawienie kontyngentu złotego wojska do wsparcia na północy klanowego przywódcy imieniem Marrengo. Propozycję tę wniósł baron Ozłon, uzasadniając ją należnym podziękowaniem wspomnianemu wojownikowi za czynny udział w walce po stronie królestwa w ostatnim konflikcie. – Tycjan zrobił pauzę, popatrzył z dezaprobatą po członkach rady i określił własne stanowisko w sprawie: – Osobiście jestem zdecydowanie przeciw. Dość już bowiem złoci żołnierze przelali swej świetlistej krwi, aby sączyć ją jeszcze daleko od złotej ziemi na obcych wojnach. Powinniśmy się skoncentrować na życiu w pokoju, a nie zaogniać jeszcze okoliczne konflikty.

– A słyszeliście, że dzicy, to jest ludzie z północy, także kobiety, nigdy nie zdejmują swych brudnych futer, chyba że w okresie godowym i nawet kąpią się w odzieniu? – wtrąciła z entuzjazmem lady Pomarańcza, po czym w pośpiechu dodała: – Choć kąpieli zażywają nie częściej niż raz do roku i wyłącznie w przeręblu. A tylko nieliczni noszą imiona i rozpoznają siebie nawzajem po wydzielanym smrodzie. Do tego mało mówią, głównie chrząkają, jak dziki oraz raczą się jedynie surowym mięsem, również ludzkim i zabijają z byle powodu.

– Mimo wszystko... – palatyn Oranz spojrział wymownie na zasiadającą koło niego lady Pomarańczę i z półuśmiechem na ustach dokończył: – gotowi bylibyśmy wspomóc tych północnych barbarzyńców złotym orężem w zamian za zatrzymanie w ziemiach królestwa rzeki... Złociny.

– To... doskonale – strapił się na dobre król, świadom, że w przypadku żadnej z poruszonych przez niego spraw nie zapowiadało się na szybkie jej rozstrzygnięcie. Jednocześnie coraz bardziej marszcząc się na twarzy, próbował z trudem ogarnąć co, kto i dlaczego aprobował bądź czemu się sprzeciwiał. Wszystko to, aby zaproponować jakiś zgniły kompromis. Gdy wtem z własną propozycją ugody wyrwała się energicznie księżna

Bursztyn:

– Rzeka Złocina pozostanie w granicach królestwa, czym postawimy zdecydowaną tamę nadmiernym roszczeniom Centralnej Czeluści. W zamian palatyn Oranz i lady Pomarańcza zgodzą się na arbitralne zarządzanie kopalniami oraz torami kolejowymi przez republikanów. Natomiast baron Ozłon, markiz Cytryn i lady Szafran zaakceptują powyższe warunki za wysłanie kontyngentu złotego wojska, jako wsparcia udzielonego zacnemu Marrengowi. Tym samym podkreślimy, że królestwo dba o swych sojuszników i angażuje się czynnie w politykę zagraniczną, przez co wciąż należy się z nim liczyć. Dzięki temu uczynimy wielki krok, aby powróciły złote dni królestwa. Czasy, gdy ludzie z o brązowym kolorze skóry przybywali do państwa słońca, aby nam służyć i pracować za zboże oraz złoto. Zajmowaliśmy całe połacie klanowych ziem na północnym zachodzie. Alabastrowe księstwo słało do nas błagalne poselstwa z prośbami o wsparcie złotych rycerzy w walce z mrokiem. Sami zaś najeźdzaliśmy zwycięsko Centralną Czeluść, podchodząc aż pod Upiorną Twierdzę.

Po tym wywodzie nastąpiła dłuższa chwila ciszy, podczas której zebrane w sali narad osoby kiwały głowami z uznaniem i w zadumie nad chwalebnyymi dniami Królestwa Zachodzącego Słońca. Następnie wszyscy miarkowali zasłyszane propozycje i każdy wydawał się względnie zadowolony z zaproponowanego układu. Aż zwracając się do króla, głos ucieszenie zabrała lady Pomarańcza:

– Chyba czas abdykować, wasza światłość, toż rozświetla ci się u boku porażająca wszystkich jasnością umysłu konkurencja! – Puściła niedyskretnego całusa do księżnej Bursztyn. Z kolei raptem rozpogodzony Tycjan, ciągle nie słysząc sprzeciwu, z niekłamaną satysfakcją popatrzył na swoją bratanicę i niczym stary kocur mruknął:

– Tak więc szczęśliwie rozstrzygnęliśmy kluczowe sprawy. Jestem, że tak powiem, rad i kontent z takowej narady. Choć zostaje jeszcze jeden drobiazg, mianowicie... kto będzie dowodził złotym kontyngentem w wyprawie na północ?

W odpowiedzi przedstawiciele rady wbili pytające spojrzenia w księżną Bursztyn, zupełnie jak w największy autorytet. Ona zaś się sprytnie uśmiechnęła i gładząc na dekolcie swój gustowny naszyjnik ze złotych

perel, dźwięcznym głosem oznajmiła:

– Na ową zaszczytną wyprawę powinniśmy wysłać godną osobę. Arystokratę, który swymi czynami rozśławi królestwo i przyniesie mu zasłużony splendor, jako zaczyn wielkiego odrodzenia monarchii. Za dowódcę obierzemy więc jednego z najszlachetniejszych znanych nam mężów... mojego męża, księcia Złotego.

* * *

Jadący na czele kolumny srebrzystych oraz złocistych wojsk książę Złoty wręcz napawał się orzeźwiającym porankiem. Po doświadczanej ostatnio niedoli, gdzie przyszło mu żegnać najbliższe osoby, obecnie czuł, jakby wkraczał w nowy etap życia i z prawdziwą radością przyjmował roztaczający się przed nim krajobraz – snującą się po popielatych trawach szarą mgłę, jej osaczające go opary, które miał wszędzie wokół siebie. Otulały go niczym pierzyną, a sama mgła darzyła też chłodną wilgocią, którą odczuwał na twarzy. Cóż, pomyślał, że może i nie były to pocałunki srebrnookiej dziewczyny, ale też...

Raptem Złoty krzywo się uśmiechnął na ponowny atak jego umysłu, a może raczej serca, wspomnieniem znanej mu osoby z północy. Następnie spojrzał z ukosa na jadącego koło niego Marrenga i niby od niechcenia zagadnął:

– Ta dziewczyna... no wiesz, drogi przyjacielu, chodzi mi o tę, z którą podróżowałem na smoku. Jak ona się właściwie nazywa? Bo zupełnie nie wiem, czemu, wzbraniała się przed tym, aby mi to zdradzić.

– Początkowo sama zapewne nie była tego pewna... – stwierdził z nagle rozbudzoną nostalgią wojownik wpatrzony gdzieś w poszarzały horyzont. Wszak Złoty nie ustępował:

– Nie rozumiem. Nie była przekonania, co do tego, jakie nosi imię? – nie dowierzał. Zaś w odpowiedzi usłyszał:

– Jak dziwnie by to nie brzmiało, tak właśnie przedstawia się prawda.

– Świetnie, więc teraz możesz mi już ją wyjawić, prawdę. Zatem jak też wspomniane dziewczę się zowie? – Książę zastygł w oczekiwaniu z szerokim uśmiechem na twarzy. Jednak uniesione kąciki jego ust szybko opadły, kiedy padła wielce rozczarowująca odpowiedź:

– Nie mogę ci tego wyznać.

– A czemuż to? Tak się nie godzi! – obruszył się nagle młodzieniec. Na co

Marrengo rozejrzał się po jałowej równinie skrytej pod mglistym płaszczem poranka i swobodnie zapytał:

– Gdzie teraz jesteśmy?

– Na łące – padło bezpretensjonalne stwierdzenie.

– A... szerzej?

– Na... szerokiej łące? – zasugerował niepewnie Złoty. Z kolei wojownik tylko wywrócił oczy do góry. Wtedy księżę natychmiast się zreflektował: – Wiem, już wiem! Jesteśmy na północy!

– Doskonale – skwitował mentorskim tonem Marrengo, ale młodzieniec szybko powrócił do głównego wątku, z zadrą w głosie zapytując:

– A co to ma niby wspólnego z imieniem dziewczyny, którego nie chcesz mi złośliwie zdradzić, hm?

– Otóż wcale nie złośliwie – odparł pojednawczo przywódca Srebrzystej Stali. – Po prostu tu, na północy, jesteśmy z natury trochę nieufni. Więc jeżeli chcesz poznać czyjeś imię, to zapytujesz o to właśnie jego. Tak nakazuje zimny honor.

– Sęk w tym... że nawet nie wiem, gdzie ta dziewczyna się teraz udała. Głupiec ze mnie. – Złoty palnął się otwartą dłonią w skroń, ale zaraz z nadzieją zwrócił się do Marrenga: – A może ty wiesz, gdzie ona podążyła? – I z natarczywością naciskał dalej: – Tak, ty na pewno to wiesz, w końcu nazwała cię swoim przyjacielem. Więc... zdradzisz mi przynajmniej tyle?!

– Pewnie bym mógł... – stwierdził rezolutnie Marrengo.

– Ale tego nie zrobisz, bo jesteś złośliwym srebrzystym piernikiem – wycedził przez zęby już niemal obrażony Złoty. Jednakże szybko się przywołał do porządku, mówiąc: – Przepraszam, nie powinienem był...

– W porządku, w sumie to jestem już starym piernikiem. – Wojownik puścił do rozmówcy oko i bardziej zdecydowanie oświadczył: – Wspomniana dziewczyna jest mi niezwykle bliska i mógłbym ci o niej opowiadać przez całą podróż, do tego czyniąc to z przyjemnością. Ale... – zawiesił głos i kwaśno dokończył: – co by na to powiedziała twoja małżonka...?

Wobec tego pytania księżę wyprostował się w siodle jak struna i dłuższy czas jechał sztywno z wybałuszonymi oczyma, zupełnie jakby dopiero do niego dotarło, że był żonaty. Aż wreszcie potrząsnął głową, niby odganiając ciężący mu temat i zmienił go na inny:

– Dotarły do ciebie może jakieś nowe wieści? Jakiego konkretnie wroga,

gdzie i w jakiej sile możemy się spodziewać u celu podróży?

– Cóż... – Marrengo obecnie się zafrapował i z pewną ciężkością w głosie szerzej nakreślił sytuację: – Otóż pewna kobieta rości sobie prawo do bycia władczynią wszystkich wolnych klanów. I choć osobiście jej nie poznałem, bo pochodzi z północnego wschodu, to musi być nie byle kim. Ponieważ sprytnie skorzystała z mojego zbrojnego wypadu, w tym czasie zdobywając już niemal całe centrum północy. I o ile jej sukcesy militarne budzą spory niepokój, to jeszcze większy to, iż tak zgodnie poszli za nią wschodni przywódcy klanowi. To nie mogło się dokonać przypadkiem, dlatego będę z tobą szczery. Czeka nas ciężka przeprawa i prawdopodobnie, niestety, krwawa walka.

– Rozumiem, walka, oczywiście. – Złoty wyłowił z zasłyszanej wypowiedzi przede wszystkim to, co było dla niego najistotniejsze, ale zaraz dopytał: – A czemu wzbranasz się przed objęciem północy nadrzędną władzą? Przecież na kontynencie Unton królestwo słońca ma króla, wielkie księstwo swoją Alabaster, a republika prezydenta. Więc dlaczego północ ma być według ciebie rozdrobniona?

– Ponieważ, jeśli oddasz jednemu człowiekowi wielką władzę, ryzykujesz, że wykorzysta ją przeciw wielkiej ilości ludzi i wyrządzi tym samym wiele krzywd. Innymi słowy, kiedy wspomniana kobieta zjednoczy już klany, kto stanie jej na przeszkodzie, aby pchana dotychczasową ambicją, dajmy na to, nie najechała swych południowych sąsiadów, jak księstwa czy królestwa?

– Mogłaby też zaatakować Centralną Czeluść – zauważył z błyskiem w oku Złoty.

– Byłbyś gotów zaryzykować i zdać się na łaskę kogoś, kogo nawet nie znasz? To ją poprzyj – mówiąc to, Marrengo już na dobre spochmurniał. Na co ksiązę chwilę się zamyślił, zupełnie jakby naprawdę rozważał sojusz ze wspomnianą kobietą, po czym przedstawił swoje zdecydowane stanowisko:

– To ty jesteś przyjacielem królestwa, dowiodłeś już tego. Dlatego będę walczył po twoje stronie. To nie podlega dyskusji. Choć przyznam, że ciekaw jestem tej ambitnej... Zaraz... jak ona się właściwie nazywa, ta wojownicza siłą jednocząca klany? – zapytał raptem Złoty i przekornie dodał: – Czy jej też będę się musiał osobiście spytać o imię, aby je poznać?

– Każe się nazywać... Srebrną – oznajmił z wyraźną gulą w gardle

Marrengo.

– Srebrną...? Tą legendarną siostrą krwi?! – Na dobre zaskoczony książę spał naraz konia i kręcąc przecząco głową, jęknął: – O nie, to całkowicie zmienia postać rzeczy... Nie będę walczył z legendarną siostrą! – krzyknął wręcz dramatycznie.

– I nie będziesz musiał.

– A czemuż to? – zainteresował się.

– Bo wspomniana kobieta to uzurpatorka. Ona nie jest prawdziwą Srebrną.

– Aha... A jesteś tego pewien? – Młodzieniec spojrzał podejrzliwie na srebrzystego wojownika. Natomiast odpowiedź, która dotarła do jego uszu, sprawiła, że niemal runął z rumaka na szarą trawę.

– Jestem pewien tego, co mówię. Ponieważ to dziewczyna na smoku, o której imię wypytywałeś, to ona, jako jedyna, jest prawdziwą Srebrną. I jestem gotów to poprzysiąc na lód i mróz.

Nastąpiła dłuższa cisza przerwana dopiero zawodzeniem zimnego wiatru, rozwiewającego poranną mgłę i zdającego się jakby swym szeptem potwierdzać słowa wojownika.

– Ale... miałeś nie zdradzać imienia tej dziewczyny – wydukał niefrasobliwie Złoty, gdy po zasłyszanych rewelacjach nieco doszedł do siebie.

– Cóż... wymyknęło mi się, drogi książę. – Marrengo uśmiechnął się triumfująco do młodzieńca, ukazując w pełnej krasie swe zęby w kwadratowej szczęce. Z kolei Złoty, będący z natury dość gadatliwy, na resztę chłodnego poranka zamilkł. Musiał bowiem poukładać sobie w głowie i sercu kilka ważkich spraw, gdzie prym wiodły jego uczucia względem dziewczyny, o której się właśnie dowiedział, że nie była tylko berserką, już na pewno nie zwykłą dziewczką, za to przede wszystkim legendarną siostrą krwi – kimś absolutnie wyjątkowym.

XXV. CZARNA

Otaczana gęstym kobiercem zielonych drzew oraz krzewów rzeka była miejscami naprawdę wartka tak, że należało uważnie manewrować na spienionych kaskadach. Wtedy całe skupienie Czarnej pochłaniały jedynie woda i tratwa oraz to, aby ta ostatnia nie wywróciła się do góry dnem. Natomiast w chwilach wytchnienia i spokojniejszego spływu demonica ciągle odnosiła wrażenie, że gdzieś z leśnych kniei nad brzegiem dochodził ją szyderczy rechot jej cienia.

– Opiekunka się znalazła, piastunka. Wspomożycielka biednych i chorych... – Potem drwiny zwykły przechodzić w jawny gniew: – Zabij ją, zabij ją, zabij... Zabij i zjedz! A może już nie żyje? To zrzuć kasztanowe truchło do wody i nakarm choć rybki! – Te zachęty cienia kierowały uwagę Czarnej na spoczywającą na tratwie Brunatną. Kasztanowa dziewczyna przez większość czasu leżała kompletnie nieprzytomna. Lecz wraz z odzyskiwaniem świadomości, widząc, gdzie i w jakim towarzystwie przebywała, zaraz ponownie dostawała spazmów, dusiła się i siniała na twarzy, w końcu w ogóle nie mogąc nabrać tchu. Wówczas na ratunek szła jej demonica i własnymi ustami tłoczyła powietrze do płuc istoty, której własne płuca odmawiały spełniania swej roli.

Ten stań balansowania Brunatnej na granicy życia i śmierci trwał nieprzerwanie przez dwa dni. Tyle bowiem czasu zajęło dotarcie rzeką do Centralnej Czeluści, gdzie ciek wodny wpadał w mroku do bezdennej rozpadliny. Słyszając ze sporej odległości huczący wodospad, Czarna zdążyła zacumować tratwę na brzegu. Potem jednak nadszedł czas na rozstrzygnięcie dręczącego ją od dłuższego czasu pytania. Mianowicie – co dalej zrobić z Brunatną i przede wszystkim samą sobą?

W odniesieniu do każdego z tych dwóch dylematów widziała przeciwstawne ewentualności. Ponieważ osobiście zawiodła w misji unicestwionego już Antracyta. Teraz więc mogła powrócić do Upiornej Twierdzy i zdać się na łaskę zmrocznych magów albo też pozostawało jej

być czarną banitką. Z kolei w przypadku kasztanowej dziewczyny jedną możliwością stanowiło zabicie jej, a drugą próbą zachowania przy życiu. Ponadto zachowania przy życiu kogoś, kto jakby na to nie patrzeć, ocalił istnienie Czarnej.

Jej obecne dywagacje zawęzły się zatem do decyzji o życiu i śmierci, próbie zachowania istnienia, czy też oddania go w ręce innych. Co więc należało wybrać? Otóż w jej mniemaniu ten wybór dokonywał się sam i to na jej zmrocznych oczach. Albowiem ile razy spojrzała na Brunatną, tyle razy wzdrygała się na myśl, że istota, która ją uratowała, miałaby być przez nią uśmiercona, nie mówiąc już o konsumpcji jej brązowego ciała. Jednocześnie równie odstręczający był pomysł o ponownym zakuciu się w łańcuchy, aby zmroczni czarownicy kolejny raz dokonali nad nią sądu. Kim oni niby byli, aby decydować, co jest najlepsze dla mroku oraz Martwicy?! Otóż to, Czarna nie dawała im takowego prawa, a już na pewno nie w odniesieniu do własnej osoby. Dlatego zostało postanowione: nie wróci do Upiornej Twierdzy oraz zrobi, co w jej mocy, aby ocalić Brunatną. Zaś utwierdziwszy się w swym postanowieniu, usłyszała gdzieś z ciemności pobliskiego kanionu szydercze słowa:

– Słaba, słaba, słaba... Czarna siostra jest słaba.

– Whrrr – posykiwała w kierunku cienia, przekonana, że to od niego pochodziły drwiny. Następnie zastanowiła się, jak postawić na nogi niemogącą swobodnie oddychać kasztanową dziewczynę. I raptem doznała zmrocznego olśnienia.

Potrzebowała okazu pająka czarnego wyziewu, oczywiście odpowiednio spreparowanego. Był to bowiem gatunek pajęczaka powszechnie używany w kopalniach na terenie Centralnej Czeluści, z którego robiło się maski zatrzymujące nadmiar pyłu. Ten niósł się po całej centralnej krainie. Wszak we wspomnianych kopalniach jego stężenie w penetrowanych głębinach ziemi stawało się tak duże, że nawet zmroczne istoty nie mogły swobodnie oddychać.

Zatem demonica postanowiła nie tracić czasu i ruszyła w pobliskie zapadlisko, gdzie wpadała rzeka, by wypatrywać na pionowej ścianie pajaków. Ponieważ te lubiły się gnieździć właśnie w takich miejscach.

Na szczęście ściana, po której już zaraz się zręcznie przemieszczała w dół, była poryta sporymi wnękami. Z jednej strony rodziło to nadzieję na

szybkie odnalezienie w szczelinach pożądanych istot, a ponadto stanowiło wdzięczne miejsce do alpinistycznej wspinaczki pełne uchwytów dla rąk, czy oparcia dla stóp. Jednak taka bruzdowatość świadczyła też o tym, że ściana nie była zbyt zwarta i łatwo odkruszały się do niej fragmenty ciemnych skał. Należało więc uważać, by nie poszybować w zmroczną otchłań, której dna nie dało się nawet dostrzec.

Zresztą Czarna osobiście szybko się przekonała o niestabilności terenu, kiedy raptem wyrwała dłonią spory głaz i zawisała na drugim ręku wczepiona we wnękę jedynie za pomocą trzech palców. W dalszej części akrobatycznej wspinaczki nie było wiele lepiej i często musiała używać do stabilizacji pozycji swych chwytnych stóp.

Aż wreszcie dotarła do obszerniejszego zagłębienia w skale, które aż się prosiło o spenetrowanie, ponieważ przesłaniała je ciemna pajęczyna. Najpierw jednak głodna demonica nie omieszkała dodatkowo wykorzystać sytuacji i wyciągnęła z pajęczej sieci dwie owinięte w kokon muchy, z których nie wyssano jeszcze soków. Połknęła owady ze smakiem, po czym zdjęła pajęczynę i zagłębiła ostrożnie dłoń we wnękę.

A powinna być ostrożna, bo jak praktycznie wszystko w Centralnej Czeluści, także i poszukiwany gatunek pająka wyposażony był w skuteczne mechanizmy obronne, w tym konkretnym wypadku toksyczny jad. Wypadało więc pochwycić kosmatą istotę poniżej głowy i natychmiast oderwać ją od odwłoka, który należało zdobyć.

Niestety okazało się, że szczelina była na tyle głęboka, że Czarnej nie wystarczyło długości ręki, aby dosięgnąć potencjalną zdobycz, której wszak ciągle nie dostrzegała. Dlatego wcisnęła się mocniej w szczelinę pomiędzy skałami, wkładając w nią głowę. Kiedy zaś z trudem to uczyniła, nareszcie zobaczyła ciemny zarys pajęczaka. W skupieniu przesuwiała ku niemu z wolna górną kończynę, czekając na jego atak. Była gotowa przyjąć truciznę na swą zrogowaciałą dłoń, a przede wszystkim pragnęła chronić twarz, w tym oczy, aby po kontakcie z trucizną nie oślepnąć.

Początek swoistych podchodów szedł całkiem dobrze, bo jej rozczapierzone palce znalazły się niebawem tuż koło pajęczego ciała i demonica była gotowa je w każdej chwili pochwycić. Jednak nie czyniła tego, czekając na plunięcie jadem. Te ciągle nie następowało, więc zmroczna dziewczyna, która przyjęła niewygodą pozycję w szczelinie,

postanowiła dłużej nie zwlekać. Gwałtownie wczepiła dłoń w odwłok wielkości połączonych pięści i natychmiast uderzyła głową pająka o sklepienie szczeliny, aby uśmiercić istotę.

Lecz po pierwszym ciosie odniosła dziwne wrażenie, że jej zdobycz już była martwa i to od dawna, bowiem nawet nie drgnęła. Zastygła, zastanawiając się, co sądzić o takiej sytuacji, gdy wtem z dalszej części szczeliny rzucił się wprost na nią zmroczny wąż. Trysnął on jadem w twarz demonicy, po czym skoczył na jej gardło i zawinął się wokół niego w morderczym uścisku. Do tego zębami jadowymi kąsał dotkliwie ofiarę, gdzie popadnie.

W efekcie zupełnie zaskoczona Czarna potężnie uderzyła głową w sklepienie wnęki, co dodatkowo ją zamroczyło i jak rażona piorunem wypadła z zagłębienia. Wypuściła pająka z rąk i z duszącym ją węzem runęła w bezdenną przepaść.

Nagle została pochwyciona za kostkę. Już prawie omdlała od utraty powietrza i działania jadu popatrzyła do góry i zobaczyła szczerzący się bezczelnie jej cień. Ten był przyczepiony trzema kończynami do pionowej ściany, a czwartą trzymał demonicę za nogę, nie pozwalając, aby pochłonęła ją otchłań kanionu.

Większej pomocy Czarna nie potrzebowała. Natychmiast pochwyciła węża na swym gardle, przyciągnęła jego oślizgłe ciało przed twarz i z całych sił wpiła zęby w przeciwnika. Następnie rwała zębiskami rozplywającego się w ustach gada, aż przegryzła go na dwie połowy. To ostatecznie uwolniło jej szyję i złapała drugi oddech. Chwyciła się dłońmi najbliższej wnęki i już samodzielnie zawisła na skalnej ścianie. A zaraz była już zdana tylko na siebie, ponieważ jej cień zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Odzyskawszy nieco sił, ruszyła do wspinaczki w górę. Tym razem już nie poszukiwała pajaków, za to koncentrowała uwagę, aby nie stracić koordynacji ruchów i ponownie nie runąć w przepaść. Jad węża w jej krwi robił bowiem swoje. Jej ciało drętwiało w niektórych miejscach i odmawiało posłuszeństwa. Do tego doznawała oczopląsu oraz rozdwojonego widzenia.

W końcu z ulgą wczołgała się na poziomą powierzchnię. Wtedy stanęła na czworakach i wymusiła w sobie intensywne wymioty, aby choć trochę pozbyć się z ciała trucizny. Wydaliła ze swego wnętrza skąpą ilość

ciągnącej się i czarnej wydzieliny, ale niewiele to dało, dlatego przeklęła się w duchu. Oto postanowiła ratować życie tej Brunatnej oraz zachować własne istnienie, nie narażając się na niebezpieczeństwo powrotu do Upiornej Twierdzy. I jaki był tego efekt? Otóż żaloszny, bo kasztanowa istota i tak zginie, ponieważ Czarna nie miała zamiaru ponownie schodzić do kanionu w poszukiwaniu pajaków. Natomiast sama właśnie prawie zakończyła swe istnienie i znów ocalił ją ten cień, któremu zaczynała zbyt wiele zawdzięczać, co ją drażniło.

Wkrótce wstała na równe nogi i w paskudnym nastroju, z płaczącymi się jej kończynami, poszła dobić Brunatną, by skrócić jej męki. Słyszała, jak ta rzeźbiła w nieodległym mroku, nie mogąc nabrać swobodnie powietrza do chorych płuc.

Lecz na miejscu zmroczna dziewczyna przeżyła wielkie zdumienie. Oto półprzytomną biedaczkę z zachodniej krainy oplatał w ciemne nici kosmaty pajak czarnego wyziewu. Tkał pajęczynę na kasztanowej twarzy i wiązał nici z burzą brązowych loków na głowie. Ale niedane mu było kontynuować misternej pracy, bo został nagle pochwycony, a ostre zęby oderwały mu od odwłoka łeb. Ten został ze smakiem połknięty przez Czarną. Potem przycupnęła ona na ziemi i nie oglądając się na Brunatną, czy jeszcze żyje, czy już nie, wzięła się za patroszenie zdobyczy.

Ostryimi szponami dłoni rozcięła miękkie podbrzusze i łapczywie wyjadła do czysta pajęcze wnętrze, wylizując do cna skórzaną powłokę. Następnie poodginała na boki osiem długich odnóży. Przy czym z jednej strony ich końcówki zawinęła w haczyki, a z drugiej zaokrągliła w pętelki, co z powodu oczopląsu wcale nie było łatwe.

Dopiero wtedy zgarnęła z Brunatnej pajęczynę i założyła jej na twarz sporządzoną z pajaka maskę. Ta zakrywała prawie całe dziewczęce lico poza piwnymi oczyma. Ponadto kończyny wypatroszonego pajęczaka Czarna spięła ze sobą na potylicy kasztanowej istoty. Tak zakończyła swą pracę, wstała i z pewnej odległości przyjrzała się misternemu dziełu.

Jednak zanim zdążyła je ocenić, od krążącego w jej zmrocznych żyłach jadu, dostała nagle potężnych zawrotów głowy. W efekcie niezdarnie runęła na ziemię i uderzyła skronią w ostry kamień. Ten zalał się ciemną krwią, a demonica straciła przytomność.

Ocknęła się w pozycji leżącej w ramionach siedzącej i przytomnej już

Brunatnej. Ta ciężko oddychała przez maskę, wydając chrapliwe odgłosy. Wszak najwyraźniej dochodziła już do siebie. Dlatego Czarna wyszczerzyła się na ten widok, a zaraz skarciła w duchu, że przeżycie świetlistej istoty sprawiło jej w jakiś sposób przyjemność. W końcu mrok niewątpliwie nie pochwałałby takiej szczodroblivej postawy.

Mimo to dobrze jej było w objęciach Brunatnej, musiała to przed sobą przyznać. Odnosiła wrażenie, że przy niej szybciej odzyskiwała siły oraz względną równowagę. Zaraz spróbowała się wyprostować, ale z powodu oczopląsu i dezorientacji znowu opadła ciężko na brązowe kolana podtrzymującej ją dotąd osoby.

– Co się z tobą dzieje? – wyraziła troskę kasztanowa dziewczyna. Jej zmroczna odpowiedniczka chwyciła, jakby z boleścią za swoje kręcone rogi i warknęła:

– Mam w sobie jad, jad węża. To mnie truje i... czyni ułomną.

– Jak ci tu pomóc?

– Nie wiem. Nie ma lekarstwa. Samo musi przejść – syknęła. – Albo i nie przejdzie – dodała po chwili. Z kolei Brunatna pogładziła ją po porożu, napotykając tam jej dłoń i czyniąc to bez przesadnej słodyczy w głosie, podziękowała:

– Doskonała maska. Mogę sama oddychać i obiecuję ci się za to zrewanżować.

– Niby jak?! – krzyknęła gniewnie Czarna.

– W moim kamienistym kraju na zachodzie ukąszenia są dość częste, bo zmije i węże kryją się pod głazami. Przez to mamy dużo dobrych lekarstw na zatrucia jadem. Dlatego myślę, że będę mogła ci pomóc, ale dopiero w republice.

– Mam z tobą iść na zachód i znowu będę w pełni silna? – zapytała z pewną nadzieją zmroczna dziewczyna i ścisnęła dłoń Brunatnej na swoim rogu.

– Tak, jest takie duże prawdopodobieństwo – usłyszała w odpowiedzi. – Ale najpierw muszę powrócić do moich przyjaciół w Wielkiej Puszczy. Powinam pomóc naprawić im sterowiec, żebyśmy szczęśliwie powrócili do domu.

– A jeżeli oni będą zwlekać i do tego czasu jad strawi od wewnątrz moje ciało i przestanę istnieć? – rozbrzmiał niemal martwy, zupełnie

pozbawiony niedawnej nadziei głos demonicy.

Nastąpiła dłuższa cisza, aż Brunatna zdecydowanie przemówiła:

– Masz rację, tobie zawdzięczam najwięcej i to ty jesteś najbardziej potrzebująca. W takim razie pomoc tobie to priorytet i najpierw wyruszmy do mego kraju.

– Dobrze, to dobrze... Myślę, że będę mogła iść, tylko na czworakach – warknęła z ulgą Czarna. Natomiast Brunatna dokonała pewnych obliczeń i stwierdziła:

– Podróż do mojego domu powinna nam zająć jakieś dwa księżycowe miesiące.

– Ile?! – wydarła się wściekle zmroczna dziewczyna i obnażyła kły.

– To oczywiście przybliżone, choć raczej optymistyczne, szacunki – zauważyła przedstawicielka republiki i pojednawczo wytłumaczyła: – Zważywszy na posiadaną przeze mnie wiedzę geograficzną, piesza podróż na granicy mroku oraz kolejno Wielkiej Puszczy, księstwa Alabaster, północnych klanów oraz królestwa słońca zajmie nam mniej więcej wspomnianą ilość czasu. – A zaraz w zadumie dodała: – I to prawda, że nadłożymy szmat drogi, nie kierując się bezpośrednio na zachód przez przeklętą pustynię lub Centralną Czeluść. Ale uczynimy to ze względu na bezpieczeństwo.

– Twoje, czy moje?! – krzyknęła oskarżycielsko demonica i stoczyła się z brązowych kolan. Następnie na czworakach zaczęła się kręcić w kółko, wzniesając tumany ciemnego pyłu i fukając nosem.

– Spokojnie, spo... egh, agkha. – Brunatna zakaszłała z powodu pyłu przenikającego przez maskę. – Kiedy doszła do siebie, a Czarna się opamiętała i zastygła w siadzie skrzyżnym, kasztanowa dziewczyna przemówiła ponownie: – W początkowych obliczeniach nie wzięłam pod uwagę, że idąc okreśną drogą przez pogranicze, całe ryzyko spadnie na ciebie, to prawda. Ale warunkiem udzielenia ci pomocy w moim kraju, jest to, abym dotarła tam żywa. A jak mam to uczynić, podróżując przez niebieską pustynię pełną drapieżnych duchów albo Centralną Czeluść z jej zmrocznymi istotami?

– Obronie cię w mroku. Obronię w Czeluści! – Czarna uderzyła się kilka razy pięścią w płaską pierś i z agresją dodała: – Poza tym w pobliżu mam zmroczną pumę. Na niej pomkniemy przez ciemność bezpiecznie i szybko,

bardzo szybko.

– Jak szybko? – zaciekawiała się Brunatna.

– Dwa wyrzuty z Martwicy, to jest... pięć, sześć dni i będziemy na brązowej ziemi – padła satysfakcjonująca kasztanową dziewczynę odpowiedź. W konsekwencji wstała, rozejrzała się wokół po mrocznej matni, poprawiła na twarzy maskę z pająka i zawyrokowała:

– Zaufam ci i zrobię wszystko, aby cię uzdrowić. Zatem oddaję się pod twoją opiekę, prowadź.

Wobec tego wyznania zadowolona Czarna już miała się tarzać po pylistym podłożu, aby okazać tym swoją radość. Jednak pomna wrażliwych płuc Brunatnej poprzestała na głośnym wyciu. Następnie szła na czworakach, co pewien czas się przewracając i przecierając oczy, które pokazywały jej zwielokrotniony obraz. Lecz jednocześnie niestrudzenie prowadziła kasztanową istotę do nieodległego miejsca rozbicia sterowca.

U celu rzeczywiście czekała na nich puma. Choć ta warknęła raz i drugi w kierunku ułomnej obecnie Czarnej. Zaś wobec Brunatnej przyczaiła się wręcz do skoku na nią. Wszak, zanim się obejrzała, już miała na grzbiecie zmroczną dziewczynę. Ta mocno zagryzała drapieżnikowi kark, jednoznacznie pokazując, kto tu rządził, po czym warknęła do towarzyszki:

– Też ją ugryź. To jedyny sposób, by zaakceptowała cię na swoim grzbiecie. I nie pokazuj się bez maski. W niej wyglądasz jak zmroczna istota, tak ma pozostać. – Brunatna spełniła polecenie. Zaszła od tyłu poskramiane zwierzę, na moment ściągnęła sobie poniżej podbródka wypatroszonego pająka i wpiła niezbyt ostre zęby w kark pumy. – Mocniej, do krwi, musisz poczuć jej smak. – Nakłaniała do śmielszych poczynań Czarna, podczas gdy puma zaczęła się szarpać. Aż Brunatna pochwyciła ją mocno pod gardło i przydusiła, a do tego dała z siebie wszystko, gryząc twardą skórę z całych sił. Potem odstąpiła zwycięsko od nagle spotulniałego drapieżnika i otarła z ust ciemną krew.

Demonica skinęła jej z uznaniem głową i wskazała, aby założyła maskę, po czym zasiadła z tyłu na grzbiecie zwierzęcia. Brunatna tak właśnie uczyniła. I już niebawem, dwie ciemne dziewczyny, czarna oraz kasztanowa, pomknęły na zmrocznej pumie przez Centralną Czeluść prosto na zachód.

XXVI. SREBRNA

Złociste pola z niezmiennie dojrzewającymi na nich łanami zbóż powoli ustępowały obszarom brunatnej i niskiej roślinności prawie pozbawionej drzew w okolicy. Ponadto równinny mocno do tej pory nasłoneczniony teren przekształcał się w pagórkowaty, a niebo jakby z lekka ciemniało. Wśród widocznych zmian także piaszczysta droga przeszła niebawem w niezwykle dla Srebrnej trakt. Był on bowiem ciemny idealnie płaski i twardy niczym kamień. Za to w miejscach większego kontaktu ze słońcem ulegał częściowemu stopieniu, ponieważ pod wpływem podków na końskich kopytach nieznacznie się zapadał. Natomiast te wszystkie zaobserwowane zmiany świadczyły niezbicie o tym, że...

– Dojechaliśmy do samej Kasztanowej Republiki, naprawdę! – wypalił naraz z wielkim entuzjazmem Bury i z pasją dodał: – Nikt z północy by mi nie uwierzył, że dotarłem aż tak daleko. I czy... – zamyślił się: – ktoś srebrzystej krwi w ogóle odwiedzał te strony? A może zostaniemy nawet srebrzystymi pionierami, którzy spenetrują też przekłete południe?!

– Chcesz zasugerować, że nie masz na podorędziu żadnych niestworzonych opowieści o starożytnych podróżnikach z północy, którzy docierali w najdalsze zakątki kontynentu Unton? – Wojowniczką puściła pucułowatemu chłopakowi oko. Ten pomiętosił dolny róg baraniego kaftana i zadumał się mocniej, zupełnie jakby gdzieś w zakamarkach swego umysłu autentycznie poszukiwał wspomnianych historii. Aż przyklasnął z uciechy w dłoń:

– Ależ oczywiście, że w przeszłości nie było srebrzystych wypraw z północy na przekłete południe! Albowiem w dawnych erach południe nie było jeszcze przekłete, a dopiero, no... przeklinane!

– Kiedy dokładnie? – spytała niby obojętnie Srebrna, chcąc ukryć pobrzmiwające w jej głosie zaciekawienie.

– No wtedy! – wypalił rezolutnie Bury.

– Hę? – Skrzywiła się tylko na twarzy dziewczyna, bo w wyniku

odpowiedzi chłopaka jej wiedza bynajmniej nie uległa poszerzeniu. On nadał się z dumy i obecnie uraczył rozmówczynię już klarowniejszą wypowiedzią:

– Jak wspominał starzec...

– Ten ślepy? – wtrąciła, aby się upewnić Srebrna.

– No ta – potwierdził Bury. – Tak więc ślepy starzec razu pewnego prawil o tym, że w zamierzchłych czasach wydarzyła się kluczowa dla tego świata historia. Do tego zatarła się ona w pamięci potomnych, bo była tak straszna, że nikt nie śmiał jej zapisać, ani też wspominać o niej.

– Chyba że był ślepcem albo dzielnym giermkim – docięła wojowniczką. Choć sama poczuła cień podekscytowania z powodu nadziei zasłyszania unikatowej opowieści o wydarzeniach na pustynnym południu. Dlatego też obiecała sobie więcej już nie przeszkadzać gawędziarzowi, tylko zamieniła się w słuch.

– Otóż... – ciągnął srebrzysty chłopak: – Historia ta działa się tuż po tym, jak bogowie położyli kres tysiącletniej wojnie syren z aniołami, wypiętrzając z praoceanu kontynent Unton. Wówczas pozostawili też oni w Alabastrowych Górach strażników nowego porządku, którymi była armia gigantów. Natomiast daleko na południu stworzyli rasę ludzi o różowej skórze i czerwonej krwi, aby ci zaludnili tamtejsze przestrzenie. I rzeczywiście nowi mieszkańcy doskonale zadomowili się na podarowanych im terenach. Ponieważ w tamtych czasach południowa ziemia nie była spalana słońcem, a pokrywały ją głównie rozległe sawanny pełne wszelkiej obfitości w tym łownej zwierzyny. Z tego względu ludzie rzadko zapuszczali się do niedostępnej Wielkiej Puszczy. Podobnie niechętnie wyprawiali się na północny zachód, gdzie ziemie dzisiejszej republiki, pagórkowate i niezbyt urodzajne, zamieszkiwały głównie zwywiołaki ognia oraz kamienne golemy. Jednakże trwająca tysiące lat sielanka została w pewnym momencie przerwana. Otóż ludzkość nie stała w miejscu, tylko intensywnie się rozwijała. W konsekwencji na południu powstawały miasta i coraz bardziej złożone struktury państwowe. Zaś coraz ambitniejsi władcy, za sprawą całych zastępów ludzkich czarowników, weszli z czasem w posiadanie potężnej magii. I tak, jeden z kolejnych monarchów, aby zostać zapamiętanym po wieki, postanowił podbić dla ludzkiego rodzaju cały kontynent Unton, podporządkowując sobie wszystkie pozostałe ziemie i

zamieszkujące je różnorodne istoty. Cóż więc uczynił? Dzięki zastępom swych czarowników zgromadził on w świętym miejscu ludzkości, to jest kolebce jej narodzin, siedem podstawowych elementów, z jakich bogowie ukształtowali rodzaj ludzki. A były to: woda, powietrze, ziemia, roślinność, światło, ciemność oraz przestrzeń. W ten sposób przy współdziałaniu magii nastąpił ponowny akt stworzenia. Jednakże tym razem na świat powołany został wszechpotężny czerwony demon, który miał wystarczyć za całą najsilniejszą nawet armię i pokonać każdego potencjalnego wroga ludzkości. Od tego momentu rozpoczął się wielki podbój terenów północnych, gdzie wspomniany demon kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa, a za nim szła rzesza zasiedlających nowe terytoria ludzi. Wszakże podówczas do konfliktu włączyli się sami bogowie, którzy nie tak wyobrażali sobie świat po wojnie syren z aniołami i nie godzili się na całkowitą dominację ludzkiego gatunku na kontynencie. Tak oto rozpoczęła się wielka wyniszczająca wojna. Konflikt o absolutnym wymiarze, w którym przez wiele lat mierzyli się ludzie, demony, bogowie oraz różnorodne niezwykle istoty. To właśnie wtedy powstała między innymi tak zwana Martwica, która stanowiła swoisty portal do przenikania demonów z innych wymiarów na kontynent, aby nowe bestie mogły wziąć udział w walce. Ta zaś w czasie jej trwania zebrała żniwo w postaci nieprzeliczonej ilości ofiar po każdej ze stron konfliktu. Aż przesilenie stanowiła ostatnia wielka bitwa na południu. Podczas niej rzucono najsilniejsze czary oraz klątwy, a ze sobą starli się dosłownie wszyscy, którym dane jeszcze było istnieć na kontynencie. W destrukcyjnej walce polegli ostatni bogowie, większość ich sojuszników i przeciwników. Lecz także wszechpotężny dotąd demon został wreszcie powstrzymany, w wyniku czego zepchnięto go do podziemnych czeluści, skąd ciągle nie jest się w stanie wydostać. Natomiast co z ludzkością, a właściwie tym, co z niej pozostało? Otóż siedem elementów, z których została scalona, zostało w niej na powrót rozbitych na części składowe. W konsekwencji powstało siedem plemion, gdzie każde odznaczało się innymi cechami, posiadało odmienny kolor krwi oraz skóry czy włosów. Od tej pory plemiona te żyły wobec siebie w separacji, a nieraz toczyły krwawe boje. Niektóre z nich uległy nawet trwałemu wyniszczeniu, przekształceniu lub asymilacji, jak czarne oraz zielone plemię, a na ten przykład niebieskie uzyskało eteryczne

ciała i lotną krew. Ono też jako jedyne pozostało na południu, które od zakończenia wielkiej wojny stało się wymarłe i jałowe, gdzie jego ziemie znaczy już tylko niebieski piasek i nieliczne oazy. Z kolei co do losów plemienia srebrnego, alabastrowego, złotego czy brązowego, to ich dzieje są nam już bardziej znane, a wiążą się głównie z zamieszkanymi przez nie na stałe krainami. W ten sposób z obecnej erze ukształtował się nowy porządek rzeczy. Aczkolwiek ślepy starzec zapowiedział, że ta era właśnie dochodzi do swego kresu. Albowiem dopełnia się czas wygnania czerwonego demona, który zdoła powrócić na świat. Zgodnie ze swoją powinnością będzie on pragnął oddać kontynent w całości we władanie swych stwórców, którzy powrócą tu z zapomnianych miejsc. I w tym celu demon zechce podporządkować sobie wszystko i wszystkich. A na przeszkodzie będzie mogła mu stanąć tylko jedna z nowo narodzonych legendarnych sióstr krwi, podczas gdy pozostałe pochłonie nicość, zapomnienie i śmierć. – Po zakończeniu swej opowieści Bury, jakby nigdy nic spojrzął na kompletnie osłupiałą Srebrną i rezolutnie rzucił w powietrze: – Osobiście mogę się założyć o pieczone skrzydełka srebrzystego gołębia, że to właśnie ty przetrwasz i pokonasz wszystkich wrogów. W tym tego, no... czerwonego demona.

– I w tym celu, abym ja wygrała z kimś... niepokonanym, muszą poświęcić swe żywota wszystkie pozostałe siostry...? – zapytała z pewnym bólem dziewczyna. Na co chłopak w zadumie wykrzywił szczękę w jedną stronę, co miało chyba obrazować zgłębianie wyższej prawdy, po czym swobodnie wypalił:

– No tak. W końcu tak głosi pradawna legenda. A jak wiadomo, przeznaczeniu trzeba się podporządkować.

– Przeznaczeniu trzeba się podporządkować... – powtórzyła bez wiary wojowniczką. Lecz nie zdążyła dłużej zatrzymać się przy tej myśli, bowiem intuicja odpowiedziała jej, że gdzieś w pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo. Dlatego już chciała wejść w stan nadzmysłu, by to sprowadzić. Wszak nie zdążyła:

– Stać i ani kroku dalej. To jest napad! – Nagle tuż z za zakrętu drogi przed parę przybyszy na koniach wyjechał na gniadym wierzchowcu brązowoskóry młodzieniec z przepaską na oku. Przystanął i wycelował wprost w Srebrną bełt naładowanej kuszy.

– Jesteś tego pewien? – warknęła ostrzegawczo wojowniczką, choć razem z Burym wstrzymali rumaki. Zaś rabuś chełpliwie parsknął:

– Hah! Ależ oczywiście, że pewien. Podobnie jak tego, że spełnicie wszystkie moje żądania, ponieważ jesteście, moi mili... otoczeni.

W tym momencie pod dwóch stronach drogi na znajdujące się tu wały wspięło się w sumie kilkunastu młodych bandytów, gdzie połowa z nich także posiadała kusze.

– No to pięknie... – mruknęła do siebie pod nosem Srebrna, nie pałając ochotą na konfrontację z bronią dystansową w prezentowanej ilości. Ponadto nie była tu sama, a miała pod opieką Burego, bo jakby nie patrzeć, inaczej niż podczas spotkania z olbrzymką na północy, obecnie czuła się odpowiedzialna za chłopaka. W konsekwencji już głośno zapytała: – A jakież to żądania przedstawia przyszły trup wobec wojowników północy, he?

– Przyszły trup? – powtórzył z drwiącym uśmieszkiem herszt, poprawił sobie przepaskę na oku i lekceważąco rzucił: – Otóż w niedalekiej przyszłości ja osobiście zamierzam mieć się raczej dobrze, a wręcz wyśmienicie, dbając o swoje życie – zrymował. – Wy natomiast będziecie tu stać bez swego dobytku, w tym bez koni.

– Cóż... – Srebrna zmierzyła młodziana przed sobą wzrokiem i stwierdziła, że był na tyle blisko, że wchodząc w stan nadzmysłu, pewnie zdążyłaby go z miejsca zasztyletować. Jednak ciągle pozostawał problem z Burym, który w efekcie pewnie zostałby nafaszerowany bełtami przez pozostałych oprychów. Pojawił się więc pewien dylemat. Ażeby podjąć ostateczną decyzję, jak się zachować, wspomniała jeszcze swoją szarżę na Krwawej Przełęczy i wtedy już całkiem poskromiła w sobie mordercze instynkty. Dlatego niespiesznie zsunęła się z rumaka i uczyniła gest do Burego, by poszedł w jej ślady.

Kiedy to uczynił i razem stanęli na twardym gruncie, jeden z rzezimieszków odprowadził za uzdy ich konie. Zaś herszt rzucił do Srebrnej:

– Nie bolało, prawda? Sami widzicie, jakie to wszystko proste, jeżeli tylko pozostajecie grzeczni. Jednakże, aby dalej nam się tak świetnie układało, osobiście poproszę jeszcze o miecz. Tak, właśnie ten. – Wskazał na oręż Srebrnej. – Wygląda mi na taki, co to jest coś wart. Może nawet

więcej niż jego właścicielka. – Puścił wojownicze oko.

– A na ile wyceniasz własne życie? – syknęła ostrzegawczo. A zaraz z obojętnością w głosie odezwał się do oprychów milczący dotąd Bury:

– I tak wszyscy zginiecie, jak tylko moja pani się z wami dla zabawy podrażni. Ona już tak ma, że morduje powoli.

Po tej sugestii kasztanowy młodzieniec nieco niefrasobliwie podrapał się po karku. Ale zaraz zdawał się odzyskać pewność siebie, sprośnie proponując:

– To może zamiast miecza otrzymam jego równowartość, czyli słodkiego całusa od srebrzystej damy?

– Jesteś pewien? – Dziewczyna przekręciła głowę tak, aby ustawić się do herszta prawym profilem. Miała tam bowiem na policzku świeżą szramę, a do kompletu odpadającą łuskę.

– Odrażające... – jęknął naraz zgaszony przywódca i szybko dodał: – Jednak zostaniemy przy mieczu, zdecydowanie. Chcę go i to natychmiast.

W odpowiedzi dziewczyna wyjątkowo ciężko westchnęła, ponieważ bardzo niechętnie rozstawała się ze swym orężem. Domyślała się też przykrych konsekwencji tej kradzieży dla samego kasztanowego chłopaka. Ale wybór wydawał się prosty. Jej miecz albo życie Burego, który to chłopak, jakby nigdy nic, zastygł z niewinnym uśmiechem na twarzy. Choć w sumie to chyba nie powinno specjalnie dziwić, bo najwidoczniej przywykł już do tego, że w otoczeniu Srebrnej co raz w powietrzu wisiało krwawe starcie. Mimo to, patrząc spode łba, dziewczyna spróbowała jeszcze taniej sztuczki:

– To może tak sam weźmiesz sobie ten miecz, co? – rzekła wyzywająca. Lecz sztuczka okazała się najwyraźniej zbyt tania, ponieważ herszt wyraźnie zaczął tracić cierpliwość, powarkując:

– Dość gierek, podrzuc długie ostrze do moich ludzi albo sami je wyrwą z twojego pasa, gdy będziesz leżeć naszpikowana bełtami i broczyć srebrzystą krwią. – W tym momencie Srebrna wreszcie dała za wygraną i odrzuciła legendarne ostrze daleko od siebie. – Świetnie, zatem witamy w Kasztanowej Republice i życzymy miłego pobytu! – krzyknął wreszcie usatysfakcjonowany młodzian. Raz jeszcze poprawił opaskę na oku, co czynił podejrzanie często, po czym nawrócił konia. Zaś jego kompani przeszli na jedną stronę drogi i wszyscy razem zniknęli za wysokim wałem.

- Dlaczego ich puściłaś? – zapytał Srebrnej Bury, gdy zostali sami.
- Sądziłam, że sam obronisz niewiastę w potrzebie – odparła ze śmiertelną powagą, robiąc do chłopaka maślane oczy.
- Cóż... – Ten popatrzył na niewinny kozik za swoim paskiem. – Może następnym razem – odpowiedział bez przekonania.
- Trzymam za słowo – rzuciła rozbrojona wojowniczką, której wszak pozostały jeszcze dwa sztylety i ruszyła w stronę, gdzie straciła z oczu kasztanową bandę.
- Co zamierzasz? – zainteresował się Bury.
- No przecież nie zostawię tym łachmaniarzom mego miecza! – padła pretensjonalna odpowiedź. I tak chłopak z dziewczyną podążyli przyczajeni w ślad za domorosłą szajką. Prym w tropieniu wiodła Srebrna, która nauczana przez samego Marrenga umiejętnie odnajdywała na pagórkowatym terenie pokrytym brunatnymi krzakami odpowiednie wskazówki. Choć i Bury okazał się w tej dziedzinie nie całkiem laikiem, chełpiąc się byciem wytrawnym tropicielem srebrzystych zajęcy i śnieżnych chomików. Dzięki temu nie gubili drogi, którą przemierzali młodzi złodziejaskowie. Aż wraz ze zmierzchem dotarli do ich położonego w dzikich ustępach obozowiska.

Wokół sporego ogniska przyczajona Srebrna dostrzegła znanych sobie złodziejasków. Zasiadali w nierównym kręgu wokół płomieni i wpatrywali się solidarnie w swego herszta, którego dziewczyna miała już okazję nieco poznać. Jak zaraz podsłuchiwała, zwracano się do niego Miedziany i czyniono to ze sporym szacunkiem, co oznaczało, że posiadał autorytet w grupie. Zresztą podczas jego dłuższych wywodów wojowniczką nie doświadczyła tego, aby ktoś śmiał wchodzić mu w słowo czy się jawnie sprzeciwiać. Natomiast co do wyglądu młodzieńca, to był gdzieś w wieku Złotego, choć na pewno nie tak przystojny, jak on. Włosy miał proste średniej długości w kolorze miedzi, co akurat odpowiednio korespondowało z jego imieniem. Twarz prezentował nieco upstrzoną piegami, a w piwnym oku zdawały się tlić ogniki zdradzające ponadprzeciętną charyzmę. Z postury był raczej przeciętny i tylko trochę wyższy od Srebrnej. Do tego nosił skórzane ubrania w kolorze brązu, w tym charakterystyczny kapelusz z szerokim rondem i obecnie za pasem legendarny miecz, świeżo ukradziony, czego dziewczyna po prostu nie mogła dłużej znieść. Za to z

coraz większym zaintrygowaniem przysłuchiwała się Miedzianemu i chyba tylko niebanalna treść wypowiedzianych przez niego słów powstrzymywała ją od wejścia w nadzmysł i natychmiastowego wymierzenia sprawiedliwości:

– Dzielimy się po równo, jak zawsze po równo – oznajmił z powagą herszt bandy i zademonstrował na otwartej dłoni garstkę srebrnego pyłu. Ten należał uprzednio do okradzionej wojowniczkii, która otrzymała go na podróż od Marrenga, a teraz odnaleziony został w jukach jej wierzchowca. Jednakże Miedziany zaraz zamknął dłoń z cennym kruszcem, splunął jasnobrazowym ziele, które namiętnie żuł do tej pory i chytrze dodał: – Wszak tym razem ponownie nie podzielimy łupów pomiędzy siebie, a przeznaczymy je na zakup lepszej broni oraz żywności. Zgadza się, ta pierwsza będzie nam potrzebna, aby odbić robotników zamkniętych w fabryce przez siły rządowe. Natomiast żarcie trzeba będzie nabyć, żeby wykarmić uwolnioną biedotę. I tak, wiem, słyszałem pogłoski o zarazie i w ogóle. Zatem nie twierdzą, że nasza akcja będzie całkiem bezpieczna. Ale co mamy robić, nic mamy nie zrobić? – zadał retoryczne pytanie, zapewne zupełnie nie spodziewając się szybkiej i ostrej, a do tego dziewczęcej odpowiedzi:

– Ależ musimy coś zrobić, by pomóc innym w potrzebie. Wchodzę w to, ale najpierw oddaj mi miecz!

– Eee... – Miedziany delikatnie odjął sobie od gardła przystawiony tam nagle sztylet, po czym ostrożnie spojrział przez ramię na Srebrną. – Jak ty się tu niby... podkradłaś, hę? I w sumie kiedy?

– Powiedzmy, że mam swoje sposoby. A ty masz mój miecz. – Ciągłe trzymając nóż przy twarzy młodzieńca, wojowniczka drugą ręką zabrała mu długie ostrze. Wtedy się wyprostowała i schowała legendarny oręż za własny pas.

W tym momencie wycelowanych zostało w nią kilka naładowanych kusz trzymany przez szeregowych zbirów. Jednak ich herszt uczynił gest dłonią, aby wstrzymali się z egzekucją i zaintrygowany zapytał:

– Śledziłaś mnie i podsłuchiwałaś?

– Ależ skąd... jedynie przechadzałam się nieopodal w blasku księżyca, podziwiając kasztanowe bezdroża i przypadkiem to i owo obito mi się o uszy. No wiesz, kojoty tak lubią plotkować.

– Hm... ciekawe. – Miedziany raz i drugi zmierzył Srebrną uważnym wzrokiem i wyzywająco rzucił: – Więc kim ty właściwie jesteś i skąd, co?

– Nie widać mego pochodzenia? – Dziewczyna potargała jeden ze swych luźnych i srebrzystych warkoczy.

– Czyli kłania mi się dziewczka z północy, to już wiem. A konkretniej?

– Zdecydowanie nie kłania i raczej nie jakaś tam dziewczka. Zaś pochodzę z tak dalekiej północy, że ktoś tak bardzo z południa, jak ty nie zdoła sobie tego nawet wyobrazić. – Położyła dłoń na rękojeści miecza.

– Niech zatem będzie wojowniczką... – skwitował młodzieniec. – Więc może dowiem się chociaż, co cię w te strony sprowadza? – zapytał, a zaraz z udawanym zapałem dodał: – Czeka! Może spróbuję zgadnąć. Otóż brałaś pewnie udział w niedawnej bitwie w królestwie nazwanej starciem Dnia i Nocy?

– Tak walczyłam tam – odparła mężnie Srebrna i zadarła podbródek. Lecz zaraz zrzędała jej mina, kiedy Miedziany ripostował:

– Walczyłaś, właśnie... i chyba wiem po czyjej stronie, przegranych. Zaś uciekając, jak większość świetlistych rycerzy, zapewne w panice pomyliłaś kierunki i dezorientowana zamiast na północ trafiłaś tutaj...

– Licz się ze słowami – ucięła tylko Srebrna, której uniesiona głowa poruszyła się z góry na dół i znalazła się w naturalnej pozycji. Jednocześnie dotarło już do dziewczyny, że w słownej potyczce nie pokona młodocianego herszta bandy. Nie miała też zamiaru wyzywać go na prawdziwą walkę, ponieważ nie chciała mu już zrobić krzywdy. Teraz miała wobec niego inne plany. Dlatego nieco spuściła z tonu i pojednawczo oświadczyła: – Proponuję, abyśmy przeszli do konkretów. Mianowicie zasłyszałam, że wspaniałomyślnie szykujecie się wesprzeć potrzebujących. A jako, iż przypadkiem jestem w pobliżu, to ofiaruję swą pomoc. I rozsądnym byłoby skorzystać z oferty wsparcia mego miecza

– Tego przegranego...? – dociął Miedziany. Na co wojowniczką zmroziła go wzrokiem i syknęła:

– Przestań, wystarczy. Pokazałam moje prawdziwe intencje i zaznaczam, że możecie na mnie liczyć w walce o słuszną sprawę. Zatem...? – zawiesiła głos, dając do zrozumienia, że czas słownych utarczek się skończył. W odpowiedzi Miedziany zaplótł dłonie z tyłu głowy, zadumał się trochę i wreszcie z większą powagą rzekł:

– Dobrze, na czas akcji w fabryce możemy cię przyjąć w nasze szeregi. Ale musisz się podporządkować moim wytycznym oraz nie spodziewaj się żadnej nagrody poza zwrotem dwóch koni. To wszystko i ta oferta nie podlega targom. – W reakcji na taką propozycję Srebrna napluła na swoją dłoń i wyciągnęła ją przed siebie. – Obrzydliwe... – Skrzywił się młodzieniec, patrząc na ociekającą śliną dziewczęcą rękę. – Czy to oznacza obelgę? – zapytał całkiem serio. Natomiast wojowniczka uśmiechnęła się z przekąsem i za sprawą uścisku dłoni smarując śliną rękę chłopaka, sama docięła:

– Potraktuj to, jako północną formę pocałunku, a także akt akceptacji oraz zgody.

– Aha... więc skoro to był pocałunek północy, to chyba nie chcę wiedzieć, jak tam u was wyglądają dalsze amory... – Miedziany popatrzył zrezygowany na swą naślinioną dłoń. Zaś wojowniczka zaśmiała się w głos:

– Hah! Zatem wita was Srebrna! – przedstawiła się. – Na ten czas będą waszą siostrą miecza, a wy moimi braćmi. Dlatego trzeba to uczcić! – Wskazała na mrok, skąd zaraz wychynął Bury, ściskający pochwyconego uprzednio przez siebie całkiem tłustego świstaka w kolorze brązu.

I tak nadszedł czas sutej kolacji. Podczas niej oprócz pieczonego gryzonia srebrzysta dziewczyna miała wyjątkową okazję posilić się takimi specjałami, jak smażoną oraz suszoną na brąz cebulą czy wędzoną rybą o brzoskwiniowej barwie. Jednocześnie podczas biesiady przysłała pora na wymianę opowieści, które miały za zadanie zbliżyć do siebie osoby z północy oraz zachodniej republiki. Tutaj prym ze swoim elokwentnym językiem wiódł oczywiście nie kto inny, jak Bury, który znalazł się wręcz w swoim żywiole. Ale i Miedziany niespecjalnie ustępował mu pola, dzieląc się wyolbrzymionymi historiami o swych spektakularnych kradzieżach, a do tego, co raz zerkając na Srebrną. Ona z kolei uważnie oglądała nową grupę, do której trafiło jej się przystać. Szacowała zdolność bojową kasztanowego oddziału i odwzajemniała lekkie uśmiechy, dając wyraz swego zadowolenia z zaistniałej sytuacji.

Aż wreszcie przyszedł czas na sen pod kasztanowym niebem. I to pierwszy z kilku kolejnych w tym miejscu. Ponieważ wojowniczka została już powiadomiona, że planowania akcja w miasteczku fabrycznym miała

się odbyć za trzy dni. Tyle czasu bowiem banda Miedzianego potrzebowała, aby zdobyć dodatkową broń.

Przez to przyszło Srebrnej bardziej się zżyć z bandycką grupą w tym przede wszystkim niemal nieodstępującym jej na krok hersztem. Ten przekornie twierdził, że po prostu chciał mieć ją na oku. Lecz ona szybko się zorientowała, że w obozie była jedyną dziewczyną, przez co w naturalny sposób przyciągała wzrok i zainteresowanie. Nie przeszkadzało jej to bynajmniej, o ile Miedziany nie stawał się zbyt nachalny. Kiedy zaś przestawał taki być, sama go zaczepiała. Albowiem w jakiś sposób polubiła prowadzone z nim słowne przekomarzenie.

Stwierdziła też, że mentalnie na pewno bliżej jej było właśnie do Miedzianego niż na ten przykład Złotego. Ona i młodzieniec z republiki byli w końcu osobami z prostego ludu, bezpośredni i otwarci, a przez to dość dobrze rozumieli siebie nawzajem. Dla odmiany arystokratyczny Złoty wydawał się w jakiś sposób niedostępny, trochę jak z innego świata. Ale też Srebrna musiała przyznać, że jeżeli ktoś pozostawił jakiś ślad w jej srebrzystym sercu, to właśnie on, złocisty książę. O nim jednak, tak czy inaczej, należało czym prędzej ostatecznie zapomnieć, skoro obecnie został on mężem niejakiej księżnej Bursztyn. Cóż powiedzieć, wypadało życzyć szczęścia młodej parze, a ewentualną tęsknotę dobrze było w odczuciu Srebrnej uśmierzać sobie towarzystwem właśnie takich lekkoduchów, jak Miedziany.

Ten po trzech dniach od przybycia do obozu wojowniczkę ogłosił dość niepokojące nowiny. Mianowicie republikańscy żołnierze mieli się pośpiesznie ewakuować z robotniczego miasteczka. Zaś ich nagłe odejście nosiło ponoć nawet znamiona paniki. Mimo to rodziny robotnicze zamknięte w fabryce wcale jej nie opuściły i można było wnioskować, że ciągle oczekiwały na pomoc. Stąd przywódca ekipy ratunkowej podjął decyzję o natychmiastowym wymarszu.

XXVII. ZŁOTY

Siwy, stalowy, mysi, popielaty, gołębi, czy ciemniejszy, grafitowy. Złotemu aż mieniło się w oczach do różnorodnych odcieni szarości, których nieustannie doświadczał w północnej krainie. Trawa bowiem nie złociła się tu, jak w królestwie, tylko przypominała siwą szczecinę tutejszych szarych wilków. Podobnie brak było słomkowego koloru ściętych łąnów zbóż, a w ich miejsce sterczały tu i ówdzie krzaki o barwie platyny. Z ptaków najczęściej widywał popielate gołębie lub siwawe myszołowy zamiast znanych sobie żółtych kanarków czy złotych jaskółek. I przede wszystkim to niebo; ciężkie, stalowe, jakby autentycznie wyłożone metalem, nie jak na zachodzie niemal wiecznie złocące się oraz jaskrawe.

Tak było na północnym zachodzie, rozległych równinach. Ale już od centrum tej mroźnej krainy wypiętrzały się nieprzemierzone pasma wzgórz, które pokrywała otulina jakby z lekko zbrudzonego śniegu. Działo się tak, ponieważ w tych rejonach nie padał prawie deszcz, a i śnieg nie za często, przez co jego masy zalegały na szczytach całymi miesiącami. W konsekwencji na górach osadzał się pył nawiewany z kruszących się skał, które erodowały na zimnie i wietrze, pokrywając tę krainę swoistą szarością w odróżnieniu od bieli także mroźnego księstwa Alabaster.

Teren ogólnie nie był tu zróżnicowany, a zarazem dość niegościnnie, do tego ludzie nie zamieszkiwali go zbyt gęsto. Zaś połacie północnej ziemi stanowiły doprawdy olbrzymi obszar rozciągający się przeszło na jedną trzecią część całego kontynentu Unton, gdzie taką samą powierzchnię zajmowało pustynne południe, a centralne krainy dopełniały całość. Przez to miejsca było tu pod dostatkiem i Złoty przyznawał rację Marrengowi, że nie istniał powód, aby na północy walczyć o terytorium. Każdy mógł bowiem znaleźć tu własny zakątek i to nawet jeśli mienił się obcym. Wszak należało uszanować tutejsze prawa oraz tradycję, jak również wykazać się honorem, aby zasłużyć sobie na akceptację tubylców.

I taki właśnie cel przyświecał obecnie Złotemu. Nie tylko mężnie walczyć

u boku Marrenga i oczywiście wygrać z uzurpatorką podającą się za Srebrną. Ale też pragnął zostać na północy kimś, aby zjednać sobie srebrzystych mieszkańców. W konsekwencji zyskać szacunek także prawdziwej Srebrnej w nadziei, że usłyszy ona o jego chwalebnych czynach. Potem zaś może nawet gdzieś, kiedyś, znowu ją spotka. A wtedy? Tego nie wiedział.

Choć nawet gdyby miał jej nigdy już nie zobaczyć, z czym się w zasadzie nie godził, to i tak postawił sobie za honor zostać bohaterem północy. W końcu nie tak dawno zwiedzał tę krainę w poszukiwaniu legendarnej siostry krwi, którą, o ironio losu, odnalazł, nawet o tym nie wiedząc. Niemniej czuł się tu naprawdę dobrze i w jakiś sposób wyzwolony. Inaczej niż w królestwie, gdzie ciążyło mu brzemię dostosowywania się do oczekiwań płynących z tytułu jego arystokratycznego pochodzenia. Ostatnio zaś został tam wręcz spętany, jak źle by to nie brzmiało, węzłem małżeńskim. Dlatego bynajmniej nie spieszyło mu się z powrotem do złotego zamku w stolicy i na ten czas pragnął, aby jego domem stała się sama północ, a dom był szary. Ot przykładowo w Orlim Gnieździe, siedzibie klanu Srebrzystej Stali, do której górską przełęczą zbliżał się już zbrojny kondukt ze Złotym oraz Marrengiem na czele.

W pewnym momencie naprzeciw kolumny wojsk wyjechał galopem srebrzysty jeździec i wstrzymał rumaka przed przywódcą oddziału. Ten gestem dłoni nakazał zwiadowcy zrównać jego wierzchowca ze swoim i podczas jazdy zdać relację z wypadu.

– Orle Gniazdo – wyrzucił z siebie zdyszany jeździec i w pośpiechu dodał: – Gniazdo jest oblegane, wokół są obcy wojownicy.

– Jakie godła widziałeś? – zapytał w opanowany sposób Marrengo.

– Wiele ze wschodu. Wśród niech były Srebrzyste Fale, Szczyty, Skały i Pięści.

– Ilu wojów naliczyłeś?

– Będzie około setki.

– Czyli dość, aby bez większych strat zdobyć Orle Gniazdo, bo zostały tam prawie same kobiety i dzieci, do tego starcy – podsumował pośpiesznie Marrengo i myśląc o najeźdźcach, rzucił w powietrze: – Na co oni jeszcze czekają?

– Na nas, abyśmy ich rozgromili! Więc atakujmy natychmiast! – wyrwał

się naraz książę. – Przecież prowadzimy w sumie trzystu ludzi, dwustu srebrzystych i stu moich złotych rycerzy!

– Nie wiemy, czy mamy przed sobą główne siły wroga. Wspomniana setka może być tylko odłączoną grupą – zauważył przywódca Srebrzystej Stali i obecnie innych centralnych klanów, których wojownicy zdecydowali się pozostać pod jego komendą. Następnie popatrzył po zaśnieżonych szczytach rysujących wschodni krajobraz, zupełnie jakby chciał je przeniknąć i dokładnie oszacować rozlokowanie przeciwnika. Zaraz jednak został wytrącony ze skupienia przez szarpiącego go za ramię księcia, który z pasją rzucił:

– Zaskoczę wroga i zmiążdżę. W ten sposób odniesiemy spektakularne zwycięstwo i uzurpatorka, fałszywa Srebrna, dwa razy się zastanowi, zanim zechce kontynuować wojnę!

– To pochopny krok, którego nieroztropności możesz jeszcze bardzo pożałować – zazgrzytał zębami Marrengo. Ale młodzieniec mrugnął mu tylko okiem i już wydawał entuzjastyczne komendy do swoich ludzi:

– Złota jazda! Za mną! Broń w gotowości! Przygotować się do starcia z wrogiem! – I puścił się galopem przed siebie. Nie potrzebował przewodnika, ponieważ raz już odwiedzał przemierzane rejony, a w poszukiwaniu Srebrnej złożył nawet krótką wizytę w Orlim Gnieździe. Było to jednak w czasie, gdy tamtejsi wojownicy już wyruszyli z przywódcą ze swej osady. Lecz teraz do niej wracali, więc młodzieniec zapragnął bohatersko utorować im drogę.

Zaś galopując, aż się rozmarzył, że jego zwycięska szarża, którą zaraz poprowadzi, poniesie się szerokim echem po całej północy. I kto wie, może dotrze też do uszu prawdziwej Srebrnej taka oto wieść, że książę Złoty obronił brawurowo jej własny dom, Orle Gniazdo? Czyż nie brzmiało to dość zachęcająco, aby złocisty miecz wręcz sam się wysuwał z za pasa i gotował na wroga?!

Tuż przed wyjazdem z za skalnego masywu, za którym leżała twierdza, młodzieniec wstrzymał już na dobre zziąjanego rumaka, aby poczekać na resztę rycerzy. Następnie wydał rozkaz sformowania złotej pięści, czyli ciasnego szyku konnicy z dziesięcioma jeźdźcami w szeregu trzymającymi długie lance. Sam dobył miecz i zajął pozycję w środku pierwszej linii. Wtedy nie pozostało mu nic więcej, jak wskazać orężem właściwy kierunek

natarcia i donośnie zakomenderować:

– Naprzód! Za północ! Za zwycięstwo! Pokonajcie wszystkich, których napotkacie przed warownią!

Złota jazda ruszyła z impetem i gnając po łuku, wpadła na rozległy plac naprzeciw wjazdowej bramy do Orlego Gniazda. Tutaj rozpędzeni jeźdźcy napotkali rozłożone obozowisko, wszak wydawało się ono kompletnie opustoszałe.

– Rozproszyc szyk! Rozproszyc się! – zarządził Złoty i kawaleria rozbiegła się po całym placu w poszukiwaniu przeciwników. Podobnie uczynił Złoty, daremnie przedzierając się pomiędzy namiotami, czy płonącymi jeszcze ogniskami, by odnaleźć wroga, chociaż jednego woja. Jednak nie zastał tu zupełnie nikogo.

Wreszcie jazda całkiem wytraciła prędkość i rumaki stanęły w miejscu. Zaś przywódca chybionej szarży podjechał pod drewnianą palisadę przy samej bramie i popatrzył tuż nad nią. Stała tam dumnie niepozorna dziewczyna w baranym kaftanie imieniem Mysia w towarzystwie kilku leciwych mężczyzn.

– Pozdrawiam was! – krzyknął do nich Złoty i szybko dodał: – Przybyliśmy wam na odsiecz!

– Kto niby przybył?! – zapytała piskliwym głosem Mysia, demonstracyjnie unosząc łuk ze strzałą.

– No... królewscy rycerze przybyli! – Książę wykonał zamaszty ruch ręką, wskazując podległe mu wojsko i zaznaczył: – Na pewno mnie poznajesz! Przecież widzieliśmy się już w twierdzy. Wypiliśmy nawet wspólnie miód!

– Może i poznaję... może i piliśmy – zapiszczała dziewczyna, po czym z nutą gniewu w głosie dodała: – Ale z niektórymi z nich też piłam miód, a także mleko, a teraz to nasi wrogowie! – Pokazała łukiem na okoliczne wzniesienia. Złoty powiódł wzrokiem za gestem dziewczyny i z wrażenia szeroko otworzył szczękę, która już pozostała niedomknięta.

Oto wszędzie na wzgórzach okalających twierdzę zza głazów wyłonili się wojownicy uzbrojeni w oszczepy. Natomiast w miejscu skąd przybyła złota konnica stanęła zwarta ściana masywnych tarcz najeżona wyjątkowo długimi włóczniami. I ściana ta zdecydowanie się przybliżała.

– Falanga... – wyszeptał na ten widok nagle zdruzgotany książę.

Ponieważ słyszał już o sile takiej formacji wojskowej na niewielkiej i zamkniętej przestrzeni niezwykle zabójczej nawet wobec opancerzonej jazdy. Ponadto został jeszcze okrążony przez oszczepników. – Wpuść nas! Otwórz bramy! – Wobec diagnozy zarysowującej się strategicznie sytuacji wydarł się wręcz płacząco do Mysi.

– A skąd mam wiedzieć, że to nie podstęp i nie współpracujecie z wrogiem?! – usłyszał w odpowiedzi.

– Nie wiem skąd! Po prostu nas wpuść! Natychmiast! Błagam! No wpuszczaj no! Ty mała... – Na przemian prosił, to groził coraz bardziej spanikowany Złoty. Lecz nic tym nie wskórał, a wrogowie, w jego mniemaniu w liczbie nawet trzech setek, byli już tuż tuż. Wtedy zdał się na desperacką próbę: – Na miłość prawdziwej Srebrnej! Musimy przekroczyć bramę! – wrzasnął.

– Której Srebrnej?! – zainteresowała się Mysi.

– Tej prawdziwej! Najprawdziwszej! Waszej z Orlego Gniazda, którą kocham! – wykrzyczał z oddaniem księżę i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, co właśnie wyartykułował. Dlatego gwałtownie zamilkł. Lecz efekt jego niecodziennego wyznania szybko okazał się iście niezwykły, a wręcz niemal magiczny, bo podwójna brama została nagle otwarta. – Oto i siła miłości... – mruknął do siebie oszołomiony zarówno sytuacją militarną, jak i swymi uprzednimi słowami Złoty, po czym dał znak rycerzom, aby czym prędzej podążyli do twierdzy.

Wkrótce szczęśliwie skryli się w jej wnętrzu, a brama została ponownie zamknięta i zaryglowana. Natomiast na wewnętrznym dziedzińcu księcia przywitała grupa kilkudziesięciu starców i kobiet w szarych futrach, do tego uzbrojona w miecze i włócznie. Zaś młodzieniec z uznaniem stwierdził, że jak na cywili prezentowali się całkiem groźnie. A zaraz wyszła przed nich Mysi i z nadzieją spytała:

– Gdzie nasza Srebrna?

W odpowiedzi Złoty kwaśno popatrzył na dziewczynę, pyzată pieguskę z szarymi piegami oraz luźnymi warkoczami zaplecionymi tak samo, jak nosiła je osoba, wobec której dopiero co wyznał miłość. Na wspomnienie tej deklaracji oraz dodatkowo swej żony, niefrasobliwie podrapał się po karku i wymijająco odparł:

– Ostatnimi czasy wiele się wydarzyło. To jest, walczyłem, mając

Srebrną u boku. Ale potem nasze drogi się niestety rozeszły i ona wyruszyła gdzieś... nie wiem właściwie gdzie.

– Nie wiesz, dokąd podążyła osoba, którą kochasz? Czy ty jesteś zdrowy na umyśle? – zdziwiła się na dobre Mysia.

Złoty zdał sobie sprawę, że ta mała bezczelna osóbką przed nim trafiała w sedno. Wszak z powodu uwikłania w wielką politykę doprawdy trudno było mu unikać błędów. Dlatego, zamiast się kajać, po prostu oznajmił:

– Wszystko, także odnośnie do waszej Srebrnej, wyjaśni wam Marrengo, który podąży tuż za mną. Na pewno szybko się tu zjawi.

– Oby tylko nie w taki sposób, jak ty – docięła Mysia i dała znak Złotemu, aby zszedł z konia. Gdy to uczynił, dodała: – Niech twoi ludzie zaprowadzą wierzchowce do stajni i będą w gotowości na palisadzie przy bramie. A teraz chodź, najpierw zaznajomię cię z sytuacją.

– Wygląda źle? – zgadywał Złoty.

– Zapewniam, że wdepnęliśmy gorzej, niż wpadając w poślizg na sarnim łąjnie.

– Poślizg nie jest chyba taki straszny – zauważył rezolutnie książę.

– A i owszem, o ile w jego wyniku nie zlecisz z lodowego szczytu, skręcając sobie kark, po drodze taplając się we wspomnianym łąjnie – ripostowała ponuro Mysia. Zaś po jej obrazowym nakreśleniu ogólnego klimatu oblężonej twierdzy, Złoty tylko z trudem przełknął ślinę.

Następnie nadszedł czas na przedstawienie bardziej szczegółowego położenia, w jakim znaleźli się ludzie w Orlim Gnieździe. I tak młodzieniec, oprowadzany przez niepozorną dziewczynę po kolejnych fragmentach warowni, zaznajamiany był z tajnikami wrogiego ataku oraz tutejszej obrony.

Otóż Gniazdo, jak powszechnie nazywano siedzibę klanu Srebrzystej Stali, z północnej strony okalała wysoka skalna ściana. Do tego wokół tak stroma, że nie sposób było na nią wejść. Dlatego tamten odcinek uważano za najbezpieczniejszy. Również wschód i zachód twierdzy były trudne do podejścia, ponieważ drewnianą palisadę ustawiono tu dodatkowo na kamiennym podejściu. Natomiast dalej we wspomnianych kierunkach ciągnęły się nierówne zbocza górskie, gdzie ciężko było utrzymać równy szczyk piechoty. W konsekwencji najbardziej narażony na atak pozostawał odcinek południowy, gdzie znajdowała się brama, a po obu jej stronach

drewniany mur z zaostrzonych pali. I to na owym murze Mysia zasugerowała postawić ścianę ze złotych tarcz przybyłych rycerzy, ponieważ silny atak mógł zapewne nadejść jedynie stamtąd. Książę przyklasnął dla tego pomysłu, a podczas dalszego wywodu dziewczyny słuchał na temat sytuacji politycznej w zaistniałym na północy konflikcie.

Tą drogą dowiedział się, że naprzeciw bramy wjazdowej do Orlego Gniazda leży plac, przez który wiedzie strategiczna przełęcz ze wschodu na zachód, gdzie on sam przygalopował właśnie z zachodu. Zaś zdobycie Gniazda stanowiłoby otwartą drogę do tej części północy, gdzie na noc odchodzi słońce. Natomiast tak się składało, że uzurpatorce wierne były wszystkie wschodnie klany. Obecnie zaś zdążyła już sobie podporządkować większość centralnych ziem. Zatem otwarcie drogi na zachód prawdopodobnie oznaczałoby jej ostateczne zwycięstwo i zapanowanie nad całą północą kontynentu Unton. Z kolei konsekwencji takiej jedyno-władzy nikt nie był w stanie przewidzieć.

Wysłuchawszy powyższych kwestii, Złoty ze zrozumieniem pokiwał głową. Lecz zanim poszedł wydać swoim ludziom stosowne rozkazy, jeszcze możliwie delikatnie zagadnął dziewczynę, czemu to ona zdawała się przewodzić obronie wioski, skoro podczas ich ostatniego spotkania była tu kimś raczej mało znaczącym. Ponieważ sprzedawała mu gorące udka śnieżnego świstaka, sprawiając wrażenie zwykłej przekupki. W odpowiedzi niespodziewanie usłyszał, że od oblężenia twierdzy zostało w niej zamordowanych już sześć osób ze starszyny, które kolejno wzięły na swe barki ciężar dowodzenia. Dlatego na to stanowisko nagle drastycznie zmalał popyt i sama się czynnie zaangażowała, bo ktoś musiał.

Wnioski płynące z takich wieści były dla księcia oczywiste – w Gnieździe przebywał skrytobójca, eliminujący systematycznie tutejszych przywódców. A skoro tak, to pierwsze, co uczynił Złoty, to nie zważając na sprzeciw Mysi, przydzielił jej osobistą ochronę w postaci trzech mających jej nie odstępować na krok rycerzy. Dopiero w drugiej kolejności polecił innym zbrojnym w liczbie dwudziestu stacjonować na palisadzie po bokach bramy, a pozostali podzieleni zostali na kilka części w roli ich zmienników.

Tymczasem powoli zapadał zmierzch. Na walkę się bynajmniej nie zanosilo, a i oddziału Marrenga nie było widać na horyzoncie. Bowiem przywódca Srebrzystej Stali wykazał się najwyraźniej większą

roztropnością niż szarżujący Złoty, który niemal przypłacił swe bohaterstwo zgubą.

Choć usłyszał od Mysi, że do Gniazda wiodło też sekretne przejście znane ponoć tylko nielicznym wojownikom z klanu w tym ich przywódcy. Miało ono prowadzić gdzieś pod ziemią i przez skały za najbliższe wzniesienia. Lecz w samej twierdzy nie pozostał nikt, kto znałby alternatywą drogę, a ponadto nie sposób było stwierdzić, czy u wylotu wspomnianego tunelu przypadkiem nie obozował wróg.

Gdy zaś nastąpiła noc ze srebrzystymi gwiazdami na grafitowym firmamencie, Złotego poczęstowano pitnym miodem. Ten był w kolorze platyny, uzyskiwany z szarego miodu z dodatkiem tutejszych ziół, a teraz dodatkowo gorący, z kotła ustawionego na wewnętrznym dziedzińcu osady rozświetlanej ogniskami. Do jednego z takich jasnych palenisk księżę postanowił się przysiąść, a ściślej do takiego, gdzie zaznawała ciepła naburmuszona Mysia w obstawie przydzielonych jej sił zbrojnych.

Po zajęciu miejsca na wilczej skórze Złoty wziął z glinianego kubka łyk słodkiego napoju, który aż kleił usta. Potem wskazując na północ osady, gdzie stało kilkadziesiąt kamiennie-drewnianych domostw ze spadzistymi dachami, kurtuazyjnie zapytał dziewczynę:

– Czy tam może mieszkasz?

– No chyba że nie tam – odparła wyzywająco, spoglądając w inną stronę na zaciemniony budynek, skąd zawiewało niezbyt przyjemny zapach.

– A co tam jest? – zainteresował się Złoty.

– Obora, a co myślałeś? – padła wręcz groźna odpowiedź.

– Aha... – jęknął tylko młodzieniec. Podrapał się niefrasobliwie po podbródku i pokazując uprzedni kierunek, zasugerował:

– Ja tu mogę w sumie popilnować sytuacji, a ty może idź i... się trochę prześpij.

– Że niby... mam się przespać z nimi?! Bo wszędzie za mną łążą, więc pewnie i w wyrku mi nie odpuszczą! – Przygadała oburzona Mysia, patrząc z wyrzutem na swoją obstawę i dumnie dodała: – Nie wiem, jakie tam macie zwyczaje na słonecznym zachodzie, ale my, tutaj, na północy, nie śpimy z kim popadnie.

– Niby rycerze mogliby tylko pilnować twych drzwi... – zadumał się Złoty, ale zaraz zmienił zdanie: – Jednak to nie twoich drzwi, a ciebie mają

pilnować. Więc chyba masz rację, nie odstąpiliby od ciebie nawet w sypialni.

– A widzisz! – triumfowała Mysia. – Czyli słusznie zamierzam tu sobie podrzemać na siedząco do rana. – Mocniej opatuliła się szarym futrem z niedźwiedzia.

Z kolei ubrany jedynie w cienki materiał pod zbroją Złoty przybliżył się jeszcze do ognia, by się lepiej ogrzać. Bowiem teraz, w nocy, rzeczywiście trochę marzył. W tym samym celu, aby ocieplić swe wnętrze, wziął kolejny łyk miodu i niewinnie oświadczył do Mysi:

– To ja tu sobie też na dłużej przycupnę i dotrzymam ci towarzystwa.

Lecz postać, z którą zamierzał dzielić ciepło ogniska, najwyraźniej nie należała do osób zbyt dobrze wychowanych, bo bez ogródek wygarnęła:

– Nie wiem, czy mam być rada z takiego kompana przy ogniu. Albowiem dopiero co wysyłałeś mnie, panie, do łoża ze swymi rycerzami w liczbie trzech. A wcześniej wyznałeś miłość do naszej Srebrnej. Jednakże doszły mnie już słuchy, że świeżo poślubiłeś jakąś damę o imieniu Bursztyn. Więc ja, zwykła wieśniaczka z północy, nieznająca wielkiego świata, zapytuję: w ilu to kochasz się, Jaśnie Panie, niewiastach, jeśli można wiedzieć? I czy tak się godzi?

– To... skomplikowane – wydukał z miną zbitego psa ksiązę i jeszcze się napił, aby skryć twarz za gardą z kubka.

– Jeżeli tak bardzo skomplikowane, że serce mojej Srebrnej może na tym ucierpieć, to wiedz, że będziesz miał ze mną do czynienia! – Pызata dziewczyna gniewnie obnażyła nierówne zęby.

– To natomiast byłoby... niebezpieczne – mruknął już całkiem zgaszony ksiązę, czując, że debatę przy ognisku w obronie swego honoru oraz godności zdecydowanie przegrywał. Zaś utwierdzał się w tym, patrząc spode łba na swych rycerzy przy Mysi, którzy wobec jej słów z lekka kiwali twierdząco głowami. Za to unikali krzyżowania wzroku ze swym przywódcą. Wobec tego, aby dalej się nie pogrążyć, Złoty wymijająco oznajmił: – Już najwyższy czas na obchód, bywajcie. – Dopił miód i odłożył kubek na ziemię. Z kolei Mysia jeszcze docięła:

– Nasza Srebrna tak samo, jak ty bez pamięci lubi słodkości i bez opamiętania żłopie miód.

– Chyba pije... – poprawił Złoty.

– No przecie mówię, źłopie, a wiem, co mówię, bo siebie słyszę.

– No tak... – potwierdził tylko pojednawczo ksiązę i nie wdając się w dalsze dywagacje, ostatecznie w dyskusji skapitulował. Następnie z powodu opicia się pod brodę miodem poszedł tak naprawdę nie na obchód, a za potrzebą. W tym celu, aby zyskać dostateczną intymność, skierował swe kroki po trzeszczącym pod stopami śniegu daleko aż za ostatnie szare domostwa w północnej części osady.

Tutaj wreszcie znalazł ustronne miejsce tuż przy skale stanowiącej ścianę warowni. Opuścił nieco spodnie i już miał opróżnić pęcherz, gdy naraz usłyszał w mroku nocy niezwykle tubalny kobiecy głos:

– Uratujesz ich, czy wszystkim pozwolisz zginąć? Masz czas do jutra, ale tylko do południa.

Ksiązę dopiero teraz dostrzegł koło siebie monstrualną kobietę, na którą nierozważnie prawie zdążył oddać mocz, ponieważ jej szarą sylwetkę opatuloną w futra pomylił w ciemności z fragmentem góry. A podciągając w pośpiechu złote gacie, niefrasobliwie zapytał:

– Że co mam niby zrobić...?

– Otworzyć bramę, Wasza Słoneczność, aby mogła przez nią wjechać przyszła władczyni tego Gniazdkka, Srebrna.

– Jaka Srebrna, która Srebrna? – Ksiązę nie zdążył zapiąć rozporka, a jego dłonie pokierowały się na rękojeść miecza za pasem. Już bowiem domyślał się, którą Srebrną miała na myśli stojąca przed nim zwalista kobieta. Choć podejrzewał również, że i jej osobę zdemaskował, odkrywając w niej skrytobójczynię przywódców Gniazda. Ona nic sobie nie robiąc z bojowej postawy młodzieńca, gardłowym głosem oświadczyła:

– Jedyna Srebrna, która powinna cię teraz interesować, to ta, która właśnie stoi przed tobą i stawia ci ultimatum. Rozsądek nakazuje je przyjąć, a pycha i duma podpowiada, aby odrzucić. Co więc wybierzesz, ksiązę?

– Oto co wybieram! – Złoty bez namysłu wyciągnął miecz.

– Jesteś aż nazbyt przewidywalny. To nużące, ale na swój sposób także przydatne – mruknęła leniwie potężna kobieta, po czym energicznie klasnęła w dłonie. W wyniku tego ruchu miecz w ksiązęcych rękach zadrżał tak silnie, że wypadł Złotemu prosto na śnieg. Oręż przydepnęła olbrzymka, a grubymi palcami zimnej dłoni pochwyciła młodzieńca za

gardło. Uniosła go do góry i charczącego przyparła do skalnej ściany. Dłuższy czas trzymała go tak, bezwzględnie dusząc. Dopiero kiedy tracił już przytomność, złuzowała uścisk. Wtedy ksiązę padł na kolana i z bólem złapał za niemal zmiażdżoną grdykę. Natomiast górująca nad nim kobieta, tonem głosu nietolerującym sprzeciwu, wyjaśniła: – Od pewnego czasu korzystam z podziemnego przejścia w tej twierdzy i kolejnym tutejszym przywódcom daję propozycję poddania Gniazda w zamian za ocalenie mieszkańców. Ale ci starcy nie chcą mnie słuchać, dlatego giną jeden po drugim na własne życzenie. Lecz ja się nie ugnę i dalej będę zabijała przywódców, każdego, dzień po dniu, a jutro uduszę niejaką Mysię, jeśli mi się sprzeciwi. Potem przyjdzie czas na następnych i tak do skutku. Tobie jednak ofiarowuję możliwość przerwania tego błędnego koła. Otwórz bramę, ja zdobędę Orle Gniazdo, a mieszkańcy przeżyją, bo nie chcę ich zguby. Wszak, aby cię dodatkowo zmobilizować, to zapowiadam, że za twój sprzeciw także czeka cię rychła śmierć. Czy wyraziłam się dość jasno, Wasza Jasność? – zakończyła drwiąco olbrzymka. Na co Złoty, który już złapał oddech, pozostał na klęczkach z opadłymi do kostek spodniami i patrząc do góry na wielką kobietę, bez kropli nadziei w głosie zapytał:

– Mam uwierzyć, że jeśli otworzę bramę, to nikogo nie zgładzisz?

– Tak, masz dać wiarę moim zapewnieniom, ponieważ, gdybym chciała zdobyć Gniazdo w krwawy sposób, mogłabym zrobić to w każdej chwili. Zważ, że znam tajne przejście, którym jestem w stanie poprowadzić moich ludzi na bitwę z tutejszymi starcami i kobietami, a tego nie czynię, bo nie chcę wywołać paniki i w konsekwencji rzezi.

– Może jednak... nie robisz tego z innego powodu – wyraził wątpliwość ksiązę i jadowicie dodał: – W końcu od dawna ćwiczysz się w sztuce kłamstwa, będąc zwykłą uzurpatorką i podając się za prawdziwą Srebrną, siostrę krwi, podczas gdy nią nie jesteś. Srebrna jest kimś innym!

– Owszem, może i takowa była – rzuciła obojętnie olbrzymka, po czym przykucnęła przy Złotym i z najbliższej odległości warknęła mu w twarz: – Wiedz, że prawdziwą, czy nie, ale jestem już jedyną Srebrną, bo tę, która się za takową podawała, sama zabiłam.

– Kłamiesz... – wyszeptał na bezdechu wstrząśnięty tym wyznaniem Złoty i odruchowo zaczął gromadzić w dłoniach światło. Jednakże jego rozmówczyni tylko sobie znanym sposobem natychmiast je zgasła i z

determinacją rzekła:

– Otóż nie, nie kłamię. Za to się klnę oraz przysięgam na mróz i lód, że widziałam, jak dziewczyna z rybią twarzą podająca się za legendarną siostrę krwi spadła ze szczytu i roztrzaskała swe ciało na skałach, a obok niej spadł jej unikatowy miecz. Potem pochwyciła ją w swe zębiska srebrzysta matka smoków, aby pożywić się jej mięsem i duszą. – Po tych słowach monstrualna kobieta stanęła na prostych nogach, które Złotemu jawiły się niczym grube pnie drzew i jeszcze syknęła: – Pamiętaj, masz czas do południa albo zabiję Mysię, ciebie i nie omieszkam też uśmiercić Marrenga oraz innych, którzy staną mi na drodze. Z wami wszystkimi mogę w każdym momencie zrobić to samo, co z tamtą nieszczęsną Srebrną, przerabiając was na karmę dla smoków. Wiedźcie, że nie powstrzymacie tej, która jest potomkinią samych lodowych olbrzymów. Albowiem ich czas już nadchodzi, więc drżycie i strzeżcie się, służąc mi lub ginąc.

XXVIII. ALABASTER I BATRAS

Czerwono-czarne usta spotkały się z alabastrowymi. Jednak bynajmniej nie był to efekt miłosnego uniesienia, a pocałunek śmierci. Służka w ramionach wielkiej księżnej przestała oddychać, a jej ciało zwiotczało. Potem pokryło się czernią i jakby więdnąc, zapadło się w sobie zupełnie pozbawione życiodajnej wilgoci.

Suche pociemniałe truchło władczyni odepchnęła od siebie z pogardą i upadło ono na parkiet z kości słoniowej. Wszak uwaga Alabaster już zogniskowana była gdzie indziej. Mianowicie na jej poczerniałym zębie, który właśnie uśmiercona służąca wyszarpnęła po długich męczarniach z jamy ustnej wielkiej księżnej. Na porcelanowym stoliku wciąż leżały zakrwawione obcęgi. Co znamienne, pokryte czerwono-czarną krwią z niewielką tylko domieszką bieli. A był to widok bezwzględnie zakazany dla postronnych oczu. Dlatego wierna służka, dla dobra sprawy i bezpieczeństwa Alabaster, musiała zamknąć swe jasne oczęta na zawsze i podzielić tym samym smutny los dowódcy gwardii Perlisa. Choć może nie taki smutny, może należało się raczej radować, iż kolejne osoby oddawały swe życie ku chwale przyszłej władczyni całego kontynentu Unton? W końcu jak lepiej mogłyby się przysłużyć swym istnieniem światu oraz zapanowaniu na nim nowego ładu?

Snując takie rozważania, wielka księżna uśmiechnęła się z samozadowoleniem. Lecz zaraz jej uśmiech zrobił się nieco kwaśny, gdy popatrzyła na wyrwany ząb trzymany w ręku. Trochę zafrapowana pomyślała, że zęby nie zwykły się psuć u przedstawicieli alabastrowego ludu. Zaś ten w jej dłoni nie tyle wydawał się popsuty, co po prostu poczerniały. Do tego sprawiał ostatnio właścicielce dotkliwy ból, którego nie była w stanie uśmierzyć leczniczymi miksturami ani też zaklęciami o analogicznym działaniu. Tak czy inaczej, pozbyła się wreszcie doskwierającego problemu, a przy okazji swej służki.

Obecnie Alabaster z pewnym niesmakiem spojrzała na pokurczone ciało

służącej jej dotąd kobiety i aby nie patrzeć dalej na zwłoki, ułożyła dłonie w misterny układ mudr, po czym rzuciła zaklęcie. W ten sposób, za sprawą iluzji, truchło upodobniło się do wystroju pokoju, na ten czas przypominając po prostu ciemno-kremową szafkę pod ścianą.

Ta ostatnia była idealnie biała, podobnie jak pozostałe ściany, podłoga oraz sufit komnaty. Nieco ciemniej prezentowały się perłowe krzesła i komoda, przed którą wisiało ściennie kryształowe lustro. Poniżej zwierciadła umocowana była porcelanowa szafka z przyborami do makijażu, czyli czymś, z czym wielka księżna praktycznie się już nie rozstawiała, dbając regularnie o maskowanie prawdziwej barwy swych ust. Ponadto w pokoju, jednym z siedmiu, jakie posiadała do własnej dyspozycji Alabaster, znajdowały się jeszcze szafy w mlecznym kolorze, zawierające śnieżno-białą garderobę władczyni – jej suknie z głęboko wyciętym dekoltem. Zaś całość pomieszczenia gustownie oświetlały kości bogów, które zdobiły wysoki sufit przyozdobiony wzorami licznych słońc oraz księżyców.

Wkrótce Alabaster znalazła się już poza jaśniejącą komnatą na niemal równie mocno tonącym w bieli pałacowym korytarzu. Wszak, zanim zdecydowała się skierować swe kroki do ptaszarni, oprócz zamknięcia pokoju tradycyjnym kluczem, rzuciła jeszcze na drzwi magiczną pieczęć. Ot tak, dla pewności. W końcu przekonała się już, że nie wszyscy w pałacu jej jednoznacznie sprzyjali, słusznym więc wydawało się nie oszczędzać na dodatkowych środkach bezpieczeństwa.

W drodze do swych pierzastych milusińskich minęła opartą o ścianę i przygarbioną Kremi. Na wspomnienie hańby kobiety, jaką ta się okryła podczas niedawnego święta światłego zstąpienia, posłała jej drwiący uśmiezek i ruszyła dalej. Lecz członkini rady zaraz pobiegła za władczynią, zatarasowała jej drogę i uklękła przed nią, nisko pochylając głowę.

– Najjaśniejsza z Jasnych – oznajmiła pokornie. – Proszę... to jest, błagam, uniżenie błagam o wybaczenie mej nieudolności oraz mroku w duszy. Zawiodłam. Tak bardzo zawiodłam...

– Czyż nie za wiele pozwala sobie ta, która brukając światłość, ściągnęła ciemność na braci i siostry słońca oraz księżycy? – rzuciła wzgardliwie Alabaster.

– To prawda, jestem niegodna, aby prosić o cokolwiek. Więc nie wybacжай mi, Nasza Świetlistość, tylko wygnaj...

– Zbyt to proste wpuścić mrok w światło, a potem w beli się samej z czarnej czeluści ratować, nie uważasz?

– Zatem...? – Kremi nieśmiało podniosła naznaczoną cierpieniem twarz na władczynię. Ta popatrzyła na członkinię rady z politowaniem, po czym zawyrokowała:

– Prawdziwa jasność przerasta tę klęczącą istotę. Dała temu wyraz. Wszak to teraz jej właściwa postawa i niech się do niej przyzwyczajają, a nie zadziera więcej głowę i unosi ramiona w świątynnych komnatach.

– Nie... nie rozumiem – zająknęła się Kremi. Zaś wyjaśnienia udzielił idący kilka kroków za Alabaster nowy dowódca alabastrowej gwardii:

– Najjaśniejsza Jasność oczekuje, że dobrowolnie zrzekniesz się członkostwa w radzie i zostaniesz jej pałacową służką. Tak odkupisz swe winy, zmierzając teraz pod jedną z siedmiu komnat naszej pani i klękając przy drzwiach. Będziesz tam wiernie czekać, aż zostaniesz wezwana, by w ten czy inny sposób służyć.

– Tak... oczywiście. To będzie zaszczyt... – powiedziała łamiącym się głosem kobieta i wyciągnęła przed siebie głowę, aby na znak pokory ucałować rękę wielkiej księżnej. Lecz władczyni nieoczekiwanie zabrała dłoń. Za to wyciągnęła z białego trzewika nagą stopę i nieco wysunęła ją do przodu. – Oczywiście, Moja Jasność – szepnęła usłużnie Kremi i złożyła delikatny pocałunek na aksamitnych palcach stóp Alabaster. Ona z kolei nic więcej nie powiedziała, tylko ponownie założyła obuwie do pary i tym razem już niezatrzymywana dotarła do ptaszarni, gdzie weszła tradycyjnie sama.

Wewnątrz, widząc na drzewach odpoczywające ptaki, uśmiechnęła się z satysfakcją, po czym podeszła do znajdującej się w centrum fontanny. Ostatnio władczynię dręczyło większe niż zwykle pragnienie, dlatego nabrała w dłonie krystalicznej cieczy i napiła się kilka łyków wody. Orzeźwiona odetchnęła pełną piersią i rozpostarła ramiona, oczekując na nich ptaków, a potem wieści od nich.

Gdy skrzydlate zwierzęta się ociągały, tupnęła ostentacyjnie w parkiet, aż od magicznych wibracji w swych posadach zadrżała cała komnata, a część liści spadła z drzew. Reprimenda poskutkowało i już zaraz Alabaster

trzymała na rękach swych pierzastych przyjaciół. Oni zaś świergotali i krakali do jej wysokich uszu kolejne nowiny ze świata:

– Zatem Złota siostra krwi nie żyje, to już potwierdzone – stwierdziła w wyrachowany sposób wielka księżna i zdecydowanie podkreśliła: – Nie cieszymy się z tego powodu ani też nie smucimy. Pamiętajcie, że w ten sposób ziszcza się po prostu dziejowa misja, w której to ja, jako najwyższa z sióstr krwi, pozostaję, aby władać światem. Tak więc dzieje się, moje ptaszyny, zwyczajnie to, co nieuniknione. Cieszy mnie natomiast i to bardzo, że za waszą sprawą wchodzę w posiadanie złotej krwi mej siostry. Ta ilość powinna wystarczyć. – Popatrzyła na białego gołębia stojącego na jej ramieniu, który posiadał skrzydło umazane złocistą barwą. Następnie przystawiła ucho w drugą stronę. Na zasłyszane trele pokiwała ze zrozumieniem głową i w podobnie wyważonej tonacji, co uprzednio, oświadczyła: – Wydarzyło się to, co miało prawo się wydarzyć. Złote zastępy poniosły klęskę w bitwie z mrokiem, a złoty król zginął. I tak, przyznaję, że mam w tym własny udział. Lecz wspomnijcie, że królewskie wojska od dziesiątek lat ponosiły już same porażki. Zatem ich słabość i postępujący upadek, to w zasadzie znak czasu. Ja zaś idę po prostu z jego duchem. I nie, nie będziemy oplakiwać złotego króla. Choć słyszę, że królestwo ma już nowego monarchę, niejakiego Tycjana. Tak więc umarł król... niech żyje król! – krzyknęła energicznie władczyni i gwałtownie uniosła ręce, a spłoszone ptaki sfrunęły z jej ramion. Już oswobodzona z ptasiego towarzystwa zaczęła niespiesznie przechadzać się po ptaszarni, czyniąc mniejsze, to większe koła wokół centralnej fontanny. Gestykulowała przy tym umiejętnie i na podstawie zasłyszanych już od ptaków wieści, snuła na głos analizy bieżącej sytuacji: – Oto tysiącletnie królestwo przechodzi przez kolejne zawirowania i nieuchronnie będzie chylić się ku upadkowi. Lecz to przecież władztwo zachodniego światła. Dlaczego więc jego zdecydowanie silniejszy wschodni przyjaciel, nie miałby się zaopiekować swym ułomnym odpowiednikiem, hm? Otóż nie zaprzeczam, że za sprawą układu zawartego ze światły palatynem Oranżem rozwijam na zachodnich ziemiach siłę alabastrowych legionów. I tak, to prawda, zamierzam się w przyszłości pokusić o to, aby za ich sprawą podporządkować sobie naszego zachodniego kuzyna, Królestwo Zachodzącego Słońca. Czynię to obecnie wspólnie z niejakim Palisandrem z

Kasztanowej Republiki. Ale przecież to już wiecie, albowiem sami pośredniczyliście w zawierającym przez nas tajnym układzie. Także przyjdzie niebawem chwalebny czas, że razem z republiką odpowiednio rozparcelujemy królewskie ziemie, czyniąc to ku chwale światła, by je chronić, nie inaczej. Choć jednym z elementów dobitego targu z republikańskim ministrem jest nasza deklaracja o odnalezieniu córki niejakiego Sepi de Brutona, tamtejszego prominenta. Kasztan, tak się zwie poszukiwana przez nas dziewczyna o brązowym kolorze skóry. I to ją bądź jej brązowe kości, me ptaszyny, odnajdziecie, udając się w tym celu w najdalsze zakamarki kontynentu Unton. Wszakże pamiętajcie, że owa Kasztan najlepiej się nam przysłuży cała i zdrowa. – Po tej deklaracji Alabaster otworzyła część okien po czterech stronach świata, po czym wskazała ręką na wyselekcjonowane grupki ptaków. Te, nie zwlekając, poderwały się w powietrze i już zaraz opuściły ptaszarnię. Zaś Alabaster swobodnie kontynuowała: – Słyszę też o niepokojach na dalekiej północy. Ciekawe, doprawdy znaczne wieści mi stamtąd przynosicie o niejakiej olbrzymiej Srebrnej, która siłą jednoczy wolne dotąd klany, by zdobyć nad całą północą władanie. Kim ona jest i co w rzeczywistości sobą reprezentuje? Tego nie wiem, wszak wielce rada byłabym się dowiedzieć, by przekonać się, czy na północy wyrasta nam potencjalny przyjaciel, czy też wkrótce powitamy tam srebrzystego wroga. Chociaż, jak słyszę, charyzmy tej postaci nie brakuje. Dlatego bacznie będziemy ją obserwować i zareagujemy adekwatnie do sytuacji: – Kolejna wybrana przez wielką księżną grupa ptaków opuściła tym razem tylko północne okna komnaty. Natomiast Alabaster poruszył inny wątek: – Tak więc Ekru z rodu Ekros umiera śmiertelnie ranna i zapieczętowana w lodowej rozpadlinie. Zaś jej mąż został rozdziobany i rozerwany na strzępy przez ptasie dzioby oraz szpony. Przepraszam. – Naraz władczyni zasłoniła swe pomalowane na biało usta, z trudem tłumiąc wybuch śmiechu. Jednocześnie poparzyła po ptakach, niepewna ich reakcji na takowe zachowanie. Lecz one, odkąd tylko się pojawiła w ptaszarni, utrzymywały śmiertelną powagę. Zachowywały się zupełnie inaczej niż zazwyczaj, to jest wcale nie bez troski czy też hałaśliwie. Przez to Alabaster podejrzewała, iż właściwie odczytywały już jej przemianę i nabrały do niej należnego respektu. A skoro tak, to doszła do wniosku, że teraz nie musiała się specjalnie

krygować. W konsekwencji radośnie wypaliła: – Hah! Zaiste wspaniałe to wieści, że zdrajcom niesiona zostaje śmierć! – Następnie cierpko i z pewnym wyrzutem dodała: – Mimo wszystko pewnym rozczarowaniem jest to, że nie odzyskałam szkatułki będącej darem dla złotego króla. To doprawdy irytujące, że tak po prostu zaginęła i... nieco podejrzane. – Wbiła ostre spojrzenie w ptaki, które dokonały egzekucji na Chamoisie. – Podobnie frapuje mnie fakt, że niedane mi będzie osobiście przesłuchać tej bezpłodnej ladacznicy, Ekru. Przez to nie odzyskam skradzionego, zapewne właśnie przez nią, sercowego klejnotu lodowego olbrzyma. Ale cóż, niech zamarza w mroku, długo i powoli... zdradliwa biała suka! – podsumowała z agresją wielka księżna. Potem naraz odprężona już spokojnie skwitowała: – Wkrótce odnajdę kolejne olbrzymy, to nieuniknione. A także wybiorę się w podróż na wyspę Ptasiej Czaszki po Rozdzieracz Niebios. Ale najpierw kogoś odwiedzę... Kogoś coraz bardziej mi bliskiego – zakończyła wielce tajemniczo i miarowym krokiem opuściła pogrążoną w grobowej ciszy ptaszarnię.

Jeszcze tego samego mroźnego dnia władczyni złożyła niezapowiedzianą wizytę przy wzgórzu, które uprzednio kazała zapieczętować, by skryć tam mroczne źródło. Wówczas, po pierwszym kontakcie z nieznanym demonem, szczerze nosiła się z zamiarem trwałego zniszczenia jaskini, aby pod zwałami lodu i gruzu na zawsze pogrzebać znajdujący się tam czerwono-czarny twór. Wszak obecnie, po ostatnich wydarzeniach związanych z transformacją samej Alabaster, jej nastawienie do tajemniczego demona uległo istotnej zmianie.

Oto już do niej z całą siłą docierało, iż esencja czerwonej istoty nie opuści jej ciała. A nawet więcej, roszcząc sobie prawo do alabastrowej duszy, w znacznej mierze nią zawładnie, znacząc własną barwą. Skoro zaś nie mogła zwalczyć w sobie obcego bytu, to postanowiła spróbować wyciągnąć z tej mrocznej relacji coś pozytywnego i być może wprowadzić ją na etap symbiozy.

W końcu czemuż by nie? Przecież demon wydawał się niezwykle potężny, więc niech zdradzi, czego dokładnie chce, a w zamian użyczy swej mocy. Czyż taki układ nie brzmiał rozsądnie? Rozsądek i wyrachowanie – tego nigdy nie brakowało Alabaster, podobnie jak mądrości, magicznego talentu, czy urody i ze wszystkich tych przymiotów zamierzała stale

czerpać stosowne profity.

Po odpieczętowaniu wejścia do jaskini kazała nowemu dowódcy gwardii, Batrasowi Białemu, strzec przejścia i za nic nie przepuszczać nikogo tak długo, aż nie powróci. A zapowiedziała, że powróci na pewno. Następnie podążyła ciemnym tunelem na skaj znanego sobie źródła.

Na widok czarnej toni z odznaczającymi się w niej czerwonymi kręgami się uśmiechnęła, zupełnie jakby odwiedzała bliskiego przyjaciela, czy też pokrewną duszę i mimowolnie dotknęła swych ust. Potem jej ręka spoczęła na łonie, a zaraz wielka księżna zdjęła z siebie całe ubranie i stanęła naga.

Wówczas usłyszała przyzywający ją do głębinny znany już szept, który tym razem wydał się jej niezwykle kuszący, wręcz namiętny. Ale nim zdecydowała się wejść do źródła, jeszcze obrzuciła wnętrze groty podejrziwym spojrzeniem. Odniosła bowiem dość silne wrażenie, że ktoś ją tu obserwował. Czyżby ponownie w jej otoczeniu pojawiła się osoba jawnie sprzeciwiająca się rozkazom?

Spoglądając nieufnie w kierunku wyjścia, pomyślała o świeżo awansowanym dowódcy gwardii. Ten, będący już w sile wieku mężczyzna zwany Batras Białym, został do niej wezwany specjalnie z Zamku Mroźnych Wichrów z północnej rubieży księstwa. Albowiem ów mężczyzna słynął na równi z umiejętności walki, co ślepego posłuszeństwa wobec zwierzchniej władzy. Choć trochę inaczej niż w przypadku nieżyjącego już Perlisa, jego wierność niepodyktowana była głosem serca, a rozumu. Zaś nazywając sprawę po imieniu, nadrzędna władza zapewniała mu stosowną pozycję oraz wynagrodzenie. Zatem skłonny był ślepo służyć, byle tylko zachować, a najlepiej pomnożyć, swe przywileje. Ponadto posiadał silną odporność na magiczne zaklęcia. I właśnie suma tych cech sprawiła, że Alabaster postanowiła właśnie jemu powierzyć swoją bezpośrednią ochronę. W zamian otrzymał jedną z najokazalszych komnat w Alabastrowym Pałacu, prawo do własnej służby, czy stołowania się w kuchni księżnej oraz oczywiście stosowny żołd w postaci alabastrowych kryształów. To wszystko oczywiście jedynie jako zachętę do sumiennego wypełniania swych nowych obowiązków. Więc gdyby Batras miał ją zdradzić, to tylko w przypadku, jeśli ktoś równie wysoko postawiony, co Alabaster, zaoferowałby mu więcej. Lecz w tej chwili władczyni nie widziała nikogo takiego w swoim pobliżu, ani też nawet na odległym horyzoncie. Dlatego uspokojona takimi

wnioskami, zanurzyła bose stopy w mrocznej sadzawce.

Pierwszy kontakt z cieczą o neutralnej temperaturze okazał się tym razem całkiem przyjemny i do tego stopnia, aż władczynię przeszedł rozkoszny dreszcz. To doznanie ją tak ośmieliło, że zgodnie z pierwotnym celem wizyty całą siebie oddała czerwono-czarnej gęstej toni.

Uczyliła to ze świadomością, że czas zbliżyć się bardziej do tajemniczego demona, obecnie robiąc to z własnej woli. Albowiem ten początkowo skradł jej siłą pocałunek. W konsekwencji mogła teraz samymi ustami uśmiercać inne istoty, a mroczne byty oddawały jej cześć. Co więc otrzyma, jeżeli dobrowolnie odda demonowi całe swoje ciało i nie poprzestanie jedynie na pocałunku?

* * *

– Kasztan i orzech, orzech i kasztan iii... basta, basta, basta... I... jak tam służba, pilnujemy alabastrowej dziewczuszki, hę? – rzucił nonszalancko do Batrasa Białego przechodzący akurat w pobliżu, podśpiewujący sobie zachodni inżynier.

– Licz się ze słowami, brązowy pokurczu. Masz przed sobą samego dowódcę alabastrowej gwardii – padła wyniosła odpowiedź. Na co przybysz przystanął, rozejrzał się wokół i niby głupkowato zauważył:

– Ojoj, ale ja waszmości coś nie poznaję... Co się zatem stało z poprzednim dowódcą? Czyżby alabastrowa piękność wymieniała gwardzistów, jak alabastrowe rękawiczki, hę? – Tym razem inżynier doczekał się wręcz nienawistnego wzroku mężczyzny strzegącego przejścia i jego dłoni skierowanej na rękojeść miecza. – Spokojnie, tylko spokojnie... Nie należy się denerwować, szczególnie będąc uzbrojonym – zreflektował się, że przeciągał strunę inżynier i już pojednawczym tonem dodał: – Chciałem tylko rzec, że alabastrowa władczyni jest w porządku, naprawdę. To jest, miło zawiesić na niej oko. Ale... – zrobił pauzę i ostrzegawczo dorzucił: – te oko ona wykole albo raczej zamrozi, jeśli tylko ktoś jej podpadnie. Ot, jak choćby w przypadku mojego współpracownika. Nieszczęśnikowi zdarzyło się rozczarować wielką księżną i teraz ma ksywkę Mrożonka, bo mimo jego odmrożenia, mróz w nim pozostał i nieborak dygoce z zimna. Lecz może jednak ze strachu, hę? – zaznaczył tajemniczo i frywolnie ciągnął dalej: – A... i były dowódca gwardii, tak jakby gdzieś się zawieruszył, zgadza się? Czyżby jako zwisający gdzieś z

jakiejś góry... sopel, hm? – Inżynier podniósł z oczu na czoło ciemne gogle i powiódł wzrokiem po okolicznych wzniesieniach, zupełnie jakby naprawdę poszukiwał tam zaginionego Perlisa. Następnie, nie czekając na odpowiedź, wzruszył ramionami i stawiając ciężkie kroki w śniegu, odszedł, ponownie sobie podśpiewując: – Daj mi kochanie też tochęę... ciasta, ciasta, ciasta... Orzech i kasztan, orzech i kasztan iii... basta, basta, basta... – Zaś czynił to odprowadzany podejrzliwym wzrokiem przez Batrasa Białego. Tego bowiem aż nosiło, aby ukradkiem zajrzeć do groty w ślad za władczynią albo też udać się do niej pod byle pretekstem. Ponieważ dla własnego bezpieczeństwa wolał dobrze wiedzieć, co też się wokół niego działo i komu teraz dokładnie służył. Wszakże po uzyskanym właśnie ostrzeżeniu, stwierdził, że najroztropniej będzie jednak warować tu, na miejscu, i posłusznie oczekiwać na powrót jego dość intrygującej mocodawczyni.

XXIX. KASZTAN, RUDA I ZIELEŃ

To nic, zupełnie nic, że znaczna część skóry na tułowiu Zieleni spłonęła i ciągle nie chciała odrastać. Cierpiała Wielka Puszcza, więc i wiła mogła znosić katusze swego ciała. Byle tylko zanieść upragnione ocalenie ukochanym istotom lasu, była wręcz skłonna całe swe istnienie złożyć na ołtarzu poświęcenia i doszczętnie spłonąć. Ale niech zielony świat przetrwa – taką wyrażała niezachwianą wolę.

Utwierdzając się w takim nastawieniu, Zielen kolejny dzień prowadziła grupę przybyszy do samego serca Wielkiej Puszczy, gdzie wszystko już przygotowała do przebudzenia Malachitowego Króla. Zamierzała go ponownie powołać do istnienia wbrew wielu ostrzeżeniom, iż ów leśny władca przejawiał cechy zarówno geniuszu, jak i szaleństwa. Nieważne, Zielen ostatecznie stwierdziła, że ryzyko było tego warte. Zaś Malachitowy Król wspólnie z kasztanowymi przybyszami miał wreszcie położyć kres niszczycielskiemu najazdowi z północy.

Choć oczywiście pewne wątpliwości jej nie opuszczały, gdzie obok do pewnego stopnia nieprzewidzianego zachowania leśnego monarchy dochodziło do tej pory niecne postępowanie niejkiej Kasztan. Tej samej, z którą wiła poczuła specyficzną więź. Lecz ta istota po zwycięskiej walce nad ropniakami solennie poprzysięgła, że skonsultuje z nią wycięcie każdego drzewa, a nawet krzewu, zanim podniesie na nie piłę czy siekierę, zabójcze narzędzia.

Zielen widziała w jej piwnych oczach szczerą prawdę, gdy to mówiła, więc przystała na ten kompromis. Albowiem wreszcie do niej dotarło, że w wielkich sprawach konieczne było wielkie poświęcenie. Więc ona, jeśli trzeba, poświęci się bez reszty i odda własne istnienie. Poświęci też wielu drzewnych braci, które Kasztan zetnie, by wspierać działania wojenne. Ponadto przebudzi Malachitowego Króla, oddając Wielką Puszcę we władanie istoty, która w zamierzonych czasach miała się już przyczynić do wielkiego zamętu w leśnych kniejach. Jednakże już zostało postanowione –

poświęcenie było niezbędne.

* * *

Kasztan zatrzymała się na chwilę w oczekiwaniu na pozostających w tyle mahoniowych bliźniaków. Ci, odkąd opuściła ich Brunatna, ociągali się, byli markotni i prawie nie zabierali głosu. Przywódczyni grupy ich jednak nie upominała, ponieważ rozumiała, że wszyscy musieli przejść stosowną żałobę. Sama podobną już niegdyś przeżywała, gdy kilka lat temu zmarła jej babcia, a żona dziadka Ugiera. Wtedy było ciężko, a brązowe serce przytłaczał gorzki smutek po stracie. Lecz i teraz każdy silnie odczuwał brak dziewczyny z domu Ochra, która stanowiła dotąd głos rozsądku w grupie.

Zaś co znamienne po tragicznym zaginięciu Brunatnej Ruda o wiele rzadziej przejmowała przewodnią rolę, a prym wiodła trzymająca ją obecnie w ryzach Kasztan. A musiała tak czytać, aby Spiżowa Brac posiadała w swych szeregach kogoś roztropnego, kto zapobiegnie dalszym tragediom. Być może brzmiało to dość paradoksalnie, bo właśnie ciągnęła kompanów w niewiadomym celu aż do samego serca Wielkiej Puszczy. Ale Zieleń zdążyła już zdobyć jej zaufanie, więc Kasztan żywiła nadzieję, że współpraca z nią będzie owocna.

Ponadto, co tu dużo mówić, nagle przestało jej się spieszyć z powrotem do republiki. W końcu jak spojrzy tam w oczy Ochrom, rodzicom Brunatnej? Z drugiej strony, ociągając się z podróżą na zachód, nie przywiezie krzewu hurmabowca dla potrzebującego go dziadka. W ten sposób Kasztan miała w sumie twardy orzech do zgryzienia, jak rozplanować kolejne działania oraz określić wiodące priorytety, przez co jej przewodnictwo w grupie wcale nie stanowiło sielanki.

Choć, co także należało zaznaczyć, w Spiżowej Braci pojawił się ktoś nowy, czy może raczej coś? Na tym etapie trudno było jednoznacznie zawyrokować. Zaś był to robot, w pełni mechaniczna istota wykonana jedynie z tworzywa i metalu, a zasilana akumulatorem. Przy czym ryzykowne zabranie go na wyprawę okazało się jak strzałem w dziesiątkę z Pifa i Pafa, ponieważ w krytycznym momencie uratował on wszystkich przed demonią, która zapewne wynurzyła się z ropniakami z bagna.

Do tego robot wydawał się całkowicie posłuszny i lojalny wobec Kasztan. Co więcej, akceptował w równej mierze każdą jej osobowość. Tym samym

pod wieloma względami szybko stał się dla niej pewnym oparciem w drużynie i zaczęła mu się nawet zwierzać z trawiących ją trosk czy dylematów. On natomiast, zupełnie jak dziadek Ugier, przyjmował wszystkie jej słowa z niezmienną aprobatą, jedynie potakując. Dlatego kasztanowa dziewczyna musiała przyznać, że robot oraz dziadek mieli ze sobą coś wspólnego, a z każdym kolejnym dniem z wielkim zaciekawieniem odkrywała, iż tych punktów stycznych posiadali oni naprawdę sporo.

Tymczasem podążająca przodem kolumny Zieleń, wpadła naraz w wielką ekscytację i co raz ponaglała uczestników wyprawy, wskazując zielonkawą dłonią przed siebie. Przez to Kasztan domyślała się, że w końcu docierali do celu. Jednakże to, co nim się niebawem okazało, po wielokroć przeszło jej najśmielsze oczekiwania.

Oto stanęła jak zamurowana tuż przed kimś, kto przypominał człowieka, ale nim do końca chyba nie był. Przywodził też na myśl drzewo, a może po prostu roślinę, chociaż na równi roślinny posąg. Jak by jednak nie patrzeć, Kasztan stwierdziła, że sylwetka istoty prezentowała się, jako męska i humanoidalna, a całość postaci odziana została w arystokratyczny ubiór przypominający surdut. Za to wykonany z malachitowego w swej barwie i bardzo drobnego mchu. Ten pokrywał również w całości skórę istoty oraz jej loki związane z tyłu zieloną kokardą w kitkę. Ponadto osoba ta stała z zamkniętymi powiekami i wypiętą dumnie piersią, na otwartej polanie demonstrując wielce elegancką pozę z jedną ręką pod boki, a drugą wysuniętą na linii pasa i zwróconą dłonią do góry. W ten sposób można było odnieść wrażenie, zupełnie jakby postać ta nagle zastygła podczas wygłaszania patetycznej przemowy.

– Czy to jest misternie przystrzyżony żywopłot, jak w parkach na terenie Brunatown?

– A może śpiący krewniak naszej zielonej przewodniczki? – Zza pleców Kasztan dobieły się pytające słowa mahoniowych bliźniaków. Te oraz kolejne:

– Jeżeli śpiący krewniak, to chyba drzemie już dość długo.

– Zgadza się, trochę obrósł nieborak mchem. – Po tym ostatnim wyznaniu Mahoń podszedł do postaci na polanie i wyciągnął ku niej rękę, aby ją dotknąć. Ale jego brązowa kończyna została szybko pochwycona przez Zieleń, która skarciła chłopaka pistacjowym wzrokiem i wskazała mu

kompanów. Wycofał się do nich, dołączając do szeregu, gdzie nieco z przodu stała Kasztan, a po jej bokach robot oraz Mahoniowy.

Następnie przygarbiona Zielen zaczęła ostrożnie obchodzić postać pokrytą mchem, a równocześnie na skraj kolistej polany wychynęły nieprzeliczone gatunki zielonkawych zwierząt. Z tych większych zauroczona takim widokiem Kasztan dostrzegła trawiaste sarny i jelenie, a także oliwkowe niedźwiedzie, wilki, antylopy czy patynowe łosie. Wśród mniejszych bywalców puszczy, pomiędzy nogami wyżej wymienionych, nie zabrakło ciekawskich skunksów, wiewiórek i borsuków, świstaków oraz zajęcy w różnych odcieniach khaki. Natomiast wśród konarów drzew przycupnęły nieprzeliczone gatunki szmaragdowych i seledynowych ptaków wespół z pistacjowymi małpami, leniwcami, czy miętowymi w swej barwie lemurami.

I naraz wszystkie te zielonkawe zwierzęta zaczęły wydawać typowe dla swego gatunku dźwięki. Była to jedyna w swoim rodzaju muzyka, gdzie ptasie trele mieszały się ze skrzekiem i przekrzykiwaniem małpiatek. Zaś naziemne zwierzęta wtórowały im powarkiwaniem, chrząkaniem, czy gardłowym porykiwaniem. Do tych niskich tonów dołączyły też wyższe niewielkich zwierzątek, dodając kolorytu tej leśnej pieśni i jakby ozdabiając ją piskami, miauknięciami czy ledwie słyszalnym kwileniem.

Pośród tej rozwrzeszczanej leśnej tłuszczy jedynie wiła zachowywała ciszę i w skupieniu obsypywała postać na polanie różnorodnymi listkami o wszelkich możliwych odcieniach zieleni. Spoglądała też prosto w malachitową twarz człekokształtnej istoty.

Raptem tej ostatniej nieśmiało zadrgała zielona powieka, jedna potem druga, po czym obie, niczym kurtyny, z wolna zostały podniesione, ukazując lśniące zielone oczy. Wtedy też, dosłownie w jednej chwili, zapanowała majestatyczne cisza.

Z kolei przebudzona postać, jakby nigdy nic rozczapierzyła palce i energicznie potarła surdut z mchu, okraszając swą twarz arystokratyczną manierą pewnego niezadowolenia. Następnie z wyglądu pokryty mchem mężczyzna popatrzył krytycznie na Zielen, przykładając do oczu dwa palce połączone w koło, zupełnie jakby spoglądał przez okular. Po jego kolejnych ruchach można było odnieść wrażenie, że wyjmuje z kieszeni zegarek na łańcuszku i sprawdza godzinę. Choć takowego czasomierza, nawet

pokrytego mchem, nie posiadał. Aż wreszcie ujął tabliczkę, którą miał do tej pory zawieszoną na dłoni i stukając energicznie palcem w jej środek, dość piskliwym głosem zwrócił się z wyraźną pretensją do wiły:

– Przepraszam, ale tu jest wyraźnie napisane: „Malachitowy Król śpi, nie budzić przed nową erą”. Natomiast ja się pytam: czy to już jest nowa era? Bo dziwnym trafem wokół siebie widzę te same leśne zwierzątka, co wówczas, gdy ostatnio zamykałem oczy. Zatem kto i dlaczego śmiał mnie przedwcześnie obudzić? Na kolana i wyjaśnić to ino chyżo swemu królowi!

W odpowiedzi Zieleni nie spełniła polecenia i nie raczyła zmienić pozycji na unizoną. Za to ujęła dłoń osoby podającej się za władcę i tak dłużej trzymała. Leśny monarcha z kolei swą twarz pokrytą dokładnie mchem ozdabiał od tej pory całą mozaiką przesadnie sugestywnych min, to wybałuszał oczy, wydymał usta, czy sprawiał, że kompletnie zapadały mu się policzki. W ten sposób przywodził na myśl aktora na scenie i tymi popisami szybko wzbudził szczere śmiechy mahoniowych bliźniaków. Jednak Kasztan domyślała się, że odczytywał on w jakiś sposób wspomnienia wiły i jego nadreaktywne grymasy były efektem nadmiaru wchłanianych cudzych emocji.

W końcu energicznie wyszarpnął rękę z objęć Zieleni i teraz to brązowa dziewczyna niewinnie się uśmiechnęła, kiedy Malachitowy Król zaczął się dumnie przechadzać po polanie z założonymi do tyłu rękoma. Ponieważ czynił to zupełnie niczym sam Sepia de Bruton, przemierzający w zadumie przestrzeń salonu. Aż nagle władca zastygł w bezruchu, wbił wskazujący palec w przestrzeń właśnie w kierunku Kasztan i energicznie wypalił:

– Skandal, po prostu skandal, czego się tutaj dowiaduję! Brązowoskórzy przybysze wycięli w pień piękny areał lasu, a potem podpalili polanę! Zatem werdykt może być tylko jeden. Teraz to siła lasu wytnie ich w pień, a później podpali, aby ich popiołami należnie użyźnić zniszczoną ziemię! – Po tym wyznaniu zarówno uśmiech Kasztan, jak i mahoniowych bliźniaków w jednej chwili zgasły. Wszakże na ich szczęście szybko się okazało, że Malachitowy król był zręcznym dyplomata, dostrzegającym zagrożenia, ale i otwartym na możliwości. Czyli zupełnie jak wspomniany już ojciec Kasztan, bowiem zaraz pograżył się on w paraliżującym wręcz dyletanctwie: – Lecz z drugiej strony rozumiem też, że dokonana wina brązowoskórzych na południu jest niewspółmierna wobec zbrodniczej

grabieży na północnych połaciach Wielkiej Puszczy. Jeżeli więc kasztanowi rzeczywiście zdecydowałiby się nas wspomóc, to być może nie wypada z miejsca przerabiać ich na ściółkę, tylko wykorzystać. To jest, oczywiście, skorzystać z ich pomocy – poprawił się i dalej mnożył wątpliwości: – Czy jednak naprawdę, aby chronić nasz wieczny las, musimy się uciekać do pomocy obcych przybyszy, nie lepiej ich po prostu ściąć? Otóż być może, ale czemu nie mielibyśmy ich brązowymi rękoma utorować sobie drogi do zwycięstwa na północy? – zapytał i sam sobie odpowiedział: – Ano dlatego, że sami zwykle bierzemy spraw w nasze zielone ręce! Wszak czy jako jedyni chcemy mieć srebrzystą i alabastrową krew na rękach?

Wywód Malachitowego Króla trwał jeszcze dłuższy czas. Jednak niezależnie od jego finalnego efektu, na który ciągle się nie zanosilo, Kasztan już wiedziała, że kolejne kłopoty wisiały w powietrzu. Albowiem najwyraźniej zostali tu sprowadzeni przez Zieleń z tego samego powodu, dla którego obudzono leśnego władcę. Mianowicie na pograniczu z Wielkim Księstwem Wschodzącego Słońca i Księżycy szykował się zbrojny konflikt. Być może wybuchnie tam nawet najprawdziwsza wojna, w którą, o ile dane im będzie przeżyć sąd na polanie, zostanie wplątana Kasztan z kompanami.

– A teraz czas na herbatkę! W końcu mamy już popołudnie! – krzyknął naraz entuzjastycznie Malachitowy Król. I nie dochodząc ostatecznie do konsensusu z własnymi, sprzecznymi wywodami, rozejrzał się podejrzliwie po zgromadzonych. – Tylko mi nie mówcie, że nie macie ze sobą zielonej herbatki... – zazgrzytał pokrytymi mchem zielonymi zębami.

– Mamy herbatę, ale tylko w torebkach i brązową. Może być? – rzucił bez troski Mahoń. Na co władca wbił w niego przenikliwe spojrzenie.

– Brązowa... – powtórzył w głębszej zadumie i pomlaskał w ustach zielonym językiem, jakby coś smakując, po czym wyciągnął ku kasztanowym istotom otwarte ramiona i wszem wobec zawyrokował:

– Niniejszym brązowi przybysze zostają ułaskawieni! A swe przeszłe winy odkupią walką u naszego boku na pierwszej linii frontu na północy. Wypijmy za to! Uczcijmy nasz sojusz herbatką!

I tak sąd na polanie dobiegł niespodziewanie końca, podobnie podjęta została pochopna decyzja o rozpoczęciu przygotowań do działań zbrojnych. Zaś to wszystko przypieczętowane zostało, nie inaczej, tylko wspólnym

piciem brązowej herbaty zabranej z domu przez Kasztan. Z kolei ona sama czuła tym razem wyjątkowo cierpko-gorzki posmak degustowanego napoju. Zauważyła już bowiem, że Malachitowy Król cieszył się niepodważalnym autorytetem wśród istot lasu. Zatem niedane im będzie się wykić tanim kosztem z nadchodzącego konfliktu i trzeba będzie czynnie wziąć w nim udział. Były to oczywiste wnioski, choć konsekwencje tych czynów wcale nie były takie jasne i budziły naturalny niepokój.

* * *

Wkrótce rozpoczęły się zaawansowane przygotowania do nadchodzącej konfrontacji, gdzie Kasztan wraz ze swą Spiżową Bracią miała być wciągnięta w wir morderczej potyczki. Albo też z jej udziałem mógł zostać przeprowadzony fortel, dzięki któremu uniknęłoby się krwawego starcia. I to właśnie na tę drugą opcję zdecydowanie stawiała Kasztan. Żeby ją zaś skutecznie przeforsować, oddała palmę pierwszeństwa Rudej, by ta swą charyzmą odpowiednio wpłynęła na Malachitowego Króla.

Nie zawiodła się i tak dowodzenie nad akcją wypędzenia przybyszy z północy otrzymała zaszczytnie właśnie Ruda. Przy czym pod jej komendą znalazła się nie tylko Spiżowa Brać, ale także leśne zwierzęta, jak również istoty, które stanowiły formę pośrednią pomiędzy ludźmi, a przedstawicielami tutejszej fauny.

– Te, Kwaczka. – Kasztanowa dziewczyna rzuciła lekceważąco do człekokształtnej postaci. Ta posiadała ludzki tułów oraz kończyny. Za to cała pokryta była zielonkawym pierzem. Natomiast jej głowa prezentowała się, jako kaczka z niezwykle wydatnym dziobem, do tego przesadnie długimi rzęsami, co upewniało Rudą w przekonaniu, że nie miała do czynienia z kaczorem.

– W czymś pomóc? – zwróciła się do przywódczyni zdezorientowana drobiowo-ludzka istota, wyraźnie nie mogąc sobie znaleźć miejsca na nadmorskiej polanie. Tu bowiem trwały przygotowania do przejęcia pobliskiego portu oraz miejsca, gdzie najeźdźcy z północy karczowali las.

– Ależ oczywiście, że będziesz pomocna. – Ruda uśmiechnęła się złośliwie i zaczęła nakreślać rekrutce związane z nią palny: – Tak więc... za twoją sprawą posłużymy się dywersją!

– Dywer... czym?

– Dla ciebie niczym! – ucięła ostro przywódczyni. – Nam natomiast tve

heroiczne zachowanie na polu walki utoruje drogę do śmielszych poczynań.

– Zatem... co mam robić?

Wobec tego zapytania Ruda poszerzyła złośliwy uśmiech. Wskazującym palcem przyzwała do siebie pół-kaczkę, aby stanęła jak najbliżej niej, po czym długo i namiętnie szeptała jej coś do ucha. Zaś w miarę, jak to czyniła drobiowo-ludzkiej istocie coraz szerzej rozdziawiał się dziób i stroszyły zielonkawe pióra.

* * *

Przyczajona i leżąca na linii ściętych drzew Ruda przełknęła ziarna zielonego kakaowca grubo posmarowane seledynowym miodem. Jedzenie tego wciąga jak bagno – pomyślała, ze smakiem oblizując mięsiste usta. Następnie strzepnęła sobie z ramienia oliwkowego motyla, który ją laskotał i lecącego w powietrzu spróbowała pochwycić, aby zgnieść intruza. Ten szczęśliwie zdołał umknąć. A brązowa dziewczyna z pewną niechęcią pomyślała, że otaczająca ją zielona przestrzeń, czysta natura, w sumie tylko ją drażniła. Zupełnie inaczej niż Kasztan, która wylegując się w cieniu tutejszych drzew na miękkiej trawce, zwykła wpadać w prawdziwy zachwyty. Jednak Kasztan teraz tu nie było, zastępowała ją Ruda, ponieważ tylko ona mogła skutecznie przeprowadzić nadchodzącą akcję, gdzie w grę wchodziła przemoc.

– Chcesz popatrzeć? – zagadnęła i nie czekając na odpowiedź, wręczyła lunetę leżącemu koło niej robotowi. Ten przejął przedmiot i spojrział przez niego sztucznym okiem na niewielki port, gdzie w wodzie stało długie molo, choć obecnie bez zacumowanych tam statków. Natomiast w głębi lądu znajdowała się drewniana stocznia oraz z tego samego materiału baraki mieszkalne. Z kolei za zurbanizowanym terenem, w kierunku widniejących na horyzoncie Alabastrowych Gór, rozciągał się wielki obszar ziemi pokryty jedynie trawą i pościnanymi pniakami. – Obrazki jak w Kasztanowej Republice – skwitowała Ruda, mając na myśli widok wykarczowanego lasu. A zaraz, patrząc już bliżej, pomiędzy zabudowania, dodała: – Kolejny dzień widać tu tylko alabastrowych robotników i drwali. Do tego raptem kilku srebrzystych wojowników w roli obstawy. Więc biorąc pod uwagę nasz potencjał zwierzęcego rażenia, zwycięstwo nad obcymi nie powinno nastęrczać dużego problemu.

– Drwale trzydzieści pięć sztuk, robotnicy siedemdziesiąt dwie sztuki.

Wojownicy sześć sztuk. Szanse na bezproblemowe zwycięstwo nad obcymi przez Kasztan dziewięćdziesiąt dziewięć procent – dobył się metaliczny głos z lekko rozwartych i syntetycznych ust robota.

– Tak do mnie mów – słysząc te słowa, aż przyklasnęła z uciechy dziewczyna i spontanicznie złożyła pocałunek na blaszanym policzku metalowego kompana, po czym pochwaliła swego sztucznego druha: – Świetnie mi się z tobą współpracuje. Żadnych fochów, dąsów, dylematów, czy strojenia dziwnych min. Także brak bezproduktywnych pytań, a tylko konkrety. Chyba mogłabym się wręcz w tobie zakochać: – Puściła sztuczniemu człowiekowi całusa. Ten z niezmienną powagą odpowiedział:

– Szanse na zakochanie przez Kasztan w sztucznej istocie jeden procent.

– Ha, to już coś! – podchwyciła radośnie Ruda i przekornie dopytała: Czy wspomniany jeden procent, to właśnie ten, którego brakuje do stu, abym w nadchodzącej konfrontacji z obcymi nie odniosła sukcesu?

– Nie, to inny procent – odparł mechanicznie robot. Na co kasztanowa dziewczyna nie mogła się powstrzymać i aż go uściskała. Następnie z zadowoleniem popatrzyła na niego z pewnego dystansu.

Cały pokryty był brązową farbą, tu i ówdzie nieco pociemniałą od kontaktu z ogniem na Płonącej Polanie, jak Ruda nazwała niedawne miejsce konfrontacji z ropniakami. Ponadto sztuczna postać była łysa, a poszczególne części jej ciała składały się z owalnych elementów i na ten przykład głowę śmiało można było wziąć za odwrócone do góry dnem wiadro. Zaś w twarzy owego wiadra, poza ustami skąd dobywały się słowa i oczyma, które świeciły na pomarańczowo, były jeszcze otwory po bokach, stanowiące aparat słuchowy. Do kompletu dwie dziurki zamiast nosa stanowiły gniazdko.

I Ruda odkryła już, do czego ono służyło. Mianowicie do ładowania robota. A energii do pełnego funkcjonowania nie pozostało mu już wiele. Przekonała się o tym, kiedy odkręciła jego klapę na torsie, gdzie odnalazła stosowną kontrolkę. Ze znajdujących się tam w rzędzie siedmiu diod paliły się już tylko trzy. Z tego względu ostatnio Ruda nieraz spoglądała na robota wręcz oczyma Kasztan, szczerze się martwiąc, że niedługo mechaniczna istota przestanie działać. Ponadto, iż nie będzie jej potrafiła naładować. Przez to robot jeszcze bardziej przypominał jej ukochanego dziadka Ugiera z jego także, jakby na to nie patrzeć, problemami z

prawidłowym funkcjonowaniem. W konsekwencji, leżąc w ukryciu i cieniu drzew, nagle wypaliła do sztucznego człowieka:

– Ugier. Tak będę cię odtąd nazywała. Zapamiętaj to, Ugierze, to teraz twoje imię.

– Imię Ugier, przyjąłem. Ugier pozdrawia Kasztan. Kasztan podarowuje imię Ugier, zakodowane.

– Dokładnie tak – uśmiechnęła się usatysfakcjonowana Ruda, po czym ostentacyjnie zakwakała: – Kwa, kwa! – Albowiem nadszedł już najwyższy czas na wcielenie w życie jej planu bezkrwawego przejęcia portu, gdzie główne zadanie powierzyła nie komu innemu, jak tylko człekokształtnej kacze.

Ta, na umówiony dźwięk, wyszła z lasu, zatrzepotała zalotnie długimi rzęsami i swobodnie ruszyła pomiędzy robotników pracujących przy szkielecie budowanego statku. Ze sporej odległość Ruda obserwowała, jak wszyscy robotnicy, jak jeden mąż, przestają pracować i odprowadzają ciekawskim wzrokiem pierzastą istotę. Ona z kolei zatrzymała się przy grupce srebrzystych wojowników i coś im mętnie tłumaczyła.

Nagle kasztanowa dziewczyna zamarła i mocniej ścisnęła w dłoni rękojeść pistoletu, kiedy potężna ręka jednego z północnych zacisnęła się na kaczej szyi. Na szczęście uścisk został zaraz zluzowany, a ludzka kaczka wskazała ręką, nie skrzydłem, wprost na teren lasu tuż koło Rudej.

Potem wszystko szło już zgodnie z planem. Pół-drobiowa istota bowiem, jak kuriozalnie by to nie brzmiało, miała się podać za obwoźną handlarke drobiem. Następnie zaproponować wojownikom poczęstunek mięsiwem w zamian za pomoc w wyciągnięciu z błotnej sadzawki wózka z pieczonymi kurczakami. Zaś absurdalnością oferty, jak i niedorzecznym wyglądem składającej ją istoty, Ruda się zupełnie nie przejmowała. Ważne było jedynie to, aby wzbudzić niezdrową ciekawość wśród bandy osiłków, po czym zwabić ich do leśnych kniei. I tak właśnie się działo.

– Rzucić broń! Poddajcie się! – krzyknęła naraz kasztanowa dziewczyna, stając już w lesie za plecami wojowników. Przy czym uczyniła to uzbrojona w Pifa i Pafa, a mając u boku jeszcze robota Ugiera. Lecz jej widok wywołał wyłącznie pełne politowania uśmiechy na surowych twarzach ludzi północy. Wszak tylko do czasu, kiedy szczelnym kordonem otoczyła ich jedyna w swoim rodzaju armia. Dziki stały tu grzbiet w grzbiet z

panterami, te z jeleniami, wilkami czy łosiami. Pod stopami większych zwierząt zaroiło się od agresywnych jaszczurek, węży oraz gryzoni. Do kompletu drzewa obsiadły ptaki i małpy, a te ostatnie ostrzegawczo zbombardowały wojowników zgniłymi owocami.

Po tej kanonadzie i przede wszystkim demonstracji zjednoczonej siły Wielkiej Puszczy północni zdali broń i się poddali. Wówczas Ruda z pewnym siebie uśmiechem dała sygnał mahoniowym bliźniakom, aby z linii drzew odpalili działo wprost w prawie ukończony statek. Rozbrzmiał huk, a zaraz za nim w górę wzbiła się chmura desek z wyrwy powstałej w kadłubie okrętu. I tak w oparach opadającego kurzu przywódczyni przeprowadzanej akcji wyszła z lasu, a za nią wysunęła się cała rzesza leśnych zwierząt.

W tym momencie Ruda dała sygnał ustawionym na flankach gepardom, wilkom oraz panterom, aby błyskawicznie oskrzydliły zdezorientowanych robotników i zamknęły ich w okrążeniu. Dla własnych celów postanowiła bowiem nie tyle przegnać przybyszy, co wziąć ich do niewoli. Cel był prosty – potrzebowała wykwalifikowanej siły roboczej, ponieważ z tym miejscem wiązała obecnie własne ambitne plany, a Wielkiej Puszczy postanowiła się na dłużej zadomowić.

* * *

Zwycięstwo! Wygrana! Obserwująca w napięciu całą scenę, jaka rozegrała się w okolicach portu, Zieleń aż zakwitła z radości. I to dosłownie, ponieważ jej spaloną skórę nagle pokryły seledynowe i oliwkowe kwiaty. Natomiast sama wiła porwała się w szalony tan ze swymi ulubieńcami, czyli mieszkańcami wielkiego lasu, jak zającami, borsukami, susłami czy wiewiórkami. Choć podczas swych żywiołowych płaśów spoglądała też pod nogi, aby przypadkiem nie nadeptać dokazujących skrzatów czy rusalek. Wszak jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości – Wielka Puszcza została ocalona, dlatego Zieleń była po prostu przeszczęśliwa! I swoją bezkresną radością dzieliła się z każdą zieloną istotą!

XXX. CZARNA

Zmroczonej dziewczynie zawirowało w głowie, dostała skurczów lewej części ciała, po czym znowu runęła z gnającej pумы prosto na twarz. Wyhamowała licem na chropowatym żwirze, a jej policzek pokrył się dodatkową warstwą krwi na zdrapanych strupach.

– Wszystko w porządku? – zapytała, siedząca na drapieźniku Brunatna.

– Nie... nie jest w porządku. – Czarna splunęła ze złością ciemną śliną wymieszaną z krwią z rozciętych ust i pomasaowała się po poranionym ciele. Zdegustowana na czworakach podreptała do pумы. Lecz zaledwie oparła o nią dłonie i syknęła do Brunatnej: – Spróbuj ty powozić, ja... ja mam już dość.

– Spróbuję – oznajmiła rezolutnie kasztanowa dziewczyna i mocno poklepała zwierzę po łbie, dając mu do zrozumienia, kto teraz przejmował nad nim przewodnią rolę. Z kolei demonica wdrapała się za plecy towarzyszki, objęła ją mocno dłońmi za brzuchu, a głowę oparła o bark. Wtedy Brunatna pogoniła drapieźnika do przodu. Zaś w trakcie jazdy w bezkresnym mroku niebawem zanuciła rzewną melodię: – Poduszka... do uuuszka... Brązowa poduszka do uuuszka...

– Co to znaczy... brązowa poduszka do uszka? – zagadnęła Czarna.

– Śpiewała mi tak matka, gdy byłam mała i przychodziłam do niej z jakimś skaleczeniem albo wystraszona. Wtedy przytulała mnie do swej brązowej piersi i tak nuciła, aby mnie ukoić. A jako że ramiona też mam brązowe, to pasuje to także w odniesieniu do...

– Rozumiem – ucięła Czarna i aby zachować równowagę z powodu zawirowań w głowie, wtuliła się jeszcze mocniej w Brunatną, po czym sama spróbowała zanucić, co wyszło jej raczej kiepsko: – Brązowa poduuuszka do uszkaaa... – A zaraz zapytała: – Czemu przychodziłaś do matki wystraszona? Czego się bałaś?

– Cóż... – mruknęła kasztanowa dziewczyna. – Jak byłam dzieckiem, często śniły mi się... czarne potwory.

– Ja jestem czarnym potworem – zauważyła z powagą demonica. Na co obejmowana przez nią osoba zaśmiała się w głos:

– Hah! Ale za to ja nie jestem już dzieckiem! A ty mnie wcale nie przerażasz! – Następnie z pewnym uwielbieniem w głosie dodała: – Ty mnie fascynujesz. Uczyłam się tak wiele o wszystkim ludzkich rasach na kontynencie Unton, także o zwierzętach, jak również eterycznych nomadach czy stworach z Centralnej Czeluści. Ale o kimś takim, jak ty, nigdy nie słyszałam. – Wychyliła do tyłu rękę i pogładziła Czarną po jednym z rogów. Ta ponuro odparła:

– Jestem inna, jedyna. Taką stworzyła mnie sama Martwica.

– Chyba raczej taka dojrzałaś w kokonie i jestem ciekawa z jakiej krwi – poprawiła Brunatna. Ale zmroczna dziewczyna nie ustępowała:

– Przecież powiedziałam, że jestem inna! Nie pochodzę z kokonu, nie dojrzewałam podlewana krwią. – Ściągnęła sobie kasztanową dłoń z poroża i nieco odchylił się od Brunatnej. Podczas szybkiej jazdy nastąpiła dłuższa chwila ciszy, aż powożąca dziewczyna ponownie zanuciła:

– Brązowa poduszka pod uuszka... Nastaw mi swe mroczne uuszka...

Jakby uwiedziona melodią Czarna wkrótce znowu przyłgnęła mocniej do przedstawicielki zachodniego ludu. Dzięki temu znajdowała trwałe oparcie i miała pewność, że od zawrotów głowy nie runie zaraz boleśnie na ziemię. Ale też przytulanie się dawało jej inny rodzaj poczucia bezpieczeństwa, którego dotąd nie знаła i nie rozumiała. Lecz bynajmniej nie zamierzała się tej tendencji w sobie sprzeciwiać. Chociaż jej cień miał na zacieśniającą się więź z Brunatną zdecydowanie inne zapatrywanie. Ponieważ co pewien czas odnosiła wrażenie, że z jednej, to drugiej strony mroku, słyszała ku sobie drwiące ubliżanie:

– Słaba, słaba, słaba... jesteś słaba.

Jednak nie zwracała na to większej uwagi. Szczególnie że w swoim ułomnym stanie czuła się z Brunatną silniejsza. Ponadto ufała jej bardziej niż cieniowi i z otrzymywanej pomocy nie zamierzała rezygnować.

Pod koniec trzeciego dnia podróży, czyli pierwszego wyrzutu z Martwicy, para dziewczyn na pumie mijała akurat posępną budowlę. Była to położona nad bagniskiem i częściowo w nim zatopiona świątynia upadłej bogini ciemności, której od dawna nikt już nie czcił, a jej imię zostało zapomniane. Zresztą i o ruinie świątyni mało kto jeszcze pamiętał, ponieważ stała ona

zupełnie opuszczona. Zaś tam, gdzie nie pochłaniało jej w swe odmetry bagno, mocno przysypywał ją grubą warstwą pyłu, a większość ledwo widocznych kolumn była spękana albo w ogóle powalona. Do tego cała budowla o pierwotnym kształcie trapezu zdawała się niebezpiecznie przechylać w jedną stronę. Natomiast tuż nad przysypanym pyłem i częściowo zatopionym wejściem dało się zauważyć spękany napis w starożytnym języku Astrix, który Brunatna potrafiła przeczytać:

– „W domu Nieskończonej Nocy poznasz cień, twój mroczny cień, który zechce pochłonąć cię”... Czy jakoś tak, to trudny język – oznajmiła kasztanowa dziewczyna, spoglądając na napis i wstrzymała pumę.

– Czemu robimy postój? – zagadnęła Czarna. W odpowiedzi usłyszała sennie wypowiedziane słowa:

– Jestem już naprawdę bardzo znużona i potrzebuję trochę snu. Poza tym mam dość oblażących mnie ze wszystkich stron robaków podczas drzemek na pustkowiach. A tutaj widzę coś na kształt opuszczonego domostwa i nawet ma ono dach... Rozumiesz, liczę na jakieś przyzwoite schronienie, gdzie będę mogła bardziej wypocząć.

– A musisz wypoczywać? – warknęła z pretensją demonica, która wcale nie czuła się zmęczona. Za to chora jak najbardziej, przez co ciągnęło ją wyłącznie na zachód. Jednak kasztanowa dziewczyna już schodziła ze zmrocznego zwierzęcia, mówiąc:

– Może i mam na twarzy maskę, za którą dziękuję. Ale nie chcę z wyczerpania paść w niej z pумы na twarz. Dlatego chodźmy zwiedzić nasze nowe lokum. A ty tu zostajesz, pilnuj wejścia: – zwróciła się kategorycznie do drapieznika, który posłusznie spełnił polecenie.

Wkrótce Brunatna zanurzyła nogi po kolana w mrocznej brei, a rękoma odgarnęła z przysypanego wejścia hałdę ciemnego pyłu. Wówczas udało się jej razem z Czarną precyzyjnie przycisnąć do wnętrza świątyni. Tutaj przeżyła spore zaskoczenie, bo nieoczekiwanie przywitało ją całkiem dużo przyciemnionego światła, ilość wręcz niespotykana w Centralnej Czeluści.

– To chyba... tak, to najprawdziwsze kości bogów, są też księżycowe łyżki. Tyle że wyglądają one na szkielety mrocznych bóstw i ich łyżki, ponieważ poświęta jest mocno przygaszona – oznajmiła zaintrygowana odkryciem Brunatna i coraz bardziej zaciekawiona rozglądała się po nietypowym wnętrzu.

Podobnie jak zewnętrzna struktura świątyni, tak i jej środek stanowił w swej istocie trapez. W jego centrum znajdowała się mroczna sadzawka, także w formie wspomnianej figury geometrycznej. Parkiet wyłożony był splekanymi płytkami, tak samo sufit, który dodatkowo pokrywały czarne odrosty. Jednakże najciekawiej prezentowały się cztery spadziste ściany. Albowiem każda z nich przedstawiała obraz czerwonego demona i na każdej walczył on z inną, za to niezwykłą istotą.

I tak na ścianie, w której znajdowało się wejście pierwsza walcząca istota była humanoidalna, kobieca oraz srebrzysta, a dodatkowo wydawała się płaszc w wodzie. Na lewo widniała także ludzka postać, ale o nieodgadnionej płci, złota i mocno opancerzona lśniąca zbroją. Na prawo była znowu kobieta, wszak alabastrowa, skrzydlata i z jakby z zamarzniętym mieczem. Natomiast naprzeciw wejścia istota mieniła się błękitem i przypominała kobiecego ducha uzbrojonego w bitewne sierpy. Dopiero wraz z kroczeniem do przodu Brunatna dostrzegła, że roślinne pnącza na górze niemal dokładnie pokrywały wizerunek zielonej postaci oplecionej lianami. Zaś pod stopami zauważyła zarys brązowej kobiety. Wszak ten ostatni obraz był już tak zniszczony, że nie dało się z niego wyłowić istotniejszych szczegółów. Ponadto, co niezwykle charakterystyczne, wszystkie ukazane postacie walczące z czerwonym demonem w liczbie sześciu miały szkielety wyłożony właśnie kośćmi bogów. A od ich oczu odchodziły księżycowe łzy w kształcie kropli, przez co osoby te wglądały zupełnie tak, jakby tocząc walkę, płakały.

– Co to jest...? – wydusiła z siebie wręcz wstrząśnięta spektakularnym odkryciem Brunatna. Była bowiem w szkole prymuską również z historii, a mimo to nie miała żadnego pojęcia, do czego odnieść wizerunki na sześciu płaszczyznach wnętrza świątyni. Przeszukiwała zakamarki pamięci w celu odnalezienia jakichkolwiek wiadomości o czerwonym demonie. Ale ich nie odnajdywała, ponieważ jej o takowym stworze nigdy nie nauczano. Podobnie nie wiedziała, kim były walczące z nim istoty. Chociaż swymi dumnymi wizerunkiem wyraźnie coś jej sugerowały: – Czy to... aby nie dawni upadli bogowie? A raczej boginie... Choć może ich potomstwo? – zawiesiła pytania w przestrzeni i dodała: – Jeżeli zaś byłyby to boskie istoty, to gdzie właścicielka tej świątyni? Czyżby sama Czarna Nieskończona Noc, której nie ma na żadnym obrazie?

– A zgadnij... – Wtem rozbrzmiał pusty głos, mający swe źródło w samym centrum komnaty w znajdującej się tam mrocznej brei. Następnie gęsta maź uległa wybrzuszeniu, po czym pęczniejący bąbel zaczął się formować w kobiecą postać. Aż na tafli ciemnego bajora stanęła cała ociekająca smolistą mazią istota.

– To ty... – syknęła do niej Czarna. – Ty jesteś moim cieniem – dodała, rozpoznając tajemniczy byt. Na co ten demonstracyjnie rozpostarł ramiona i drwiąco rzekł:

– „W domu Nieskończonej Nocy poznasz cień, twój mroczny cień, który zechce pochłonąć cię”... Czyż nie? – powiedziawszy to, istota niesamowicie wydłużyła swe ręce i pochwyciła w nie demonicę, ciągnąc ku sobie. Zaś czyniąc to, mówiła: – W naszym domu jesteśmy silniejsze od ciebie, siostrze, i właśnie tu nasze role odwrócą się. Zaraz cię pożremy i od tej pory to ty będziesz naszym ciałem, a nie my twoim cieniem... whraaah! – W odpowiedzi Czarna się szamotała, by wydostać z potężnego uchwytu, ale na próżno, bo obce kończyny oplatały ją niczym dwa oślizgłe węże, ścisnęły i z każdą chwilą zbliżała się do swego cienia. Ten nie przestawał złorzeczyć: – Jesteś słaba, słaba, słaba... słaba. Dlatego to my musimy, siostrze, przewodzić, właśnie my, nie ty! – Pochwycona demonica zaparła się nogami na krawędzi sadzawki, ale jej ciało już było pochłaniane i stapiało się w eteryczną jedność z obcym bytem. Gdy wtem cała powierzchnia basenu w kształcie trapezu zakwitła okazałymi jezorami ognia, które pochłonęły stojący tam cień, jego wydłużone kończyny, wiotki korpus oraz nienaturalnie rozdętą głowę – Nie... nie. Nie! Tylko nie ogień! Nie chcemy płonąć. Siostrze, prosimy cię, błagamy, Siostrzoo... – Naraz tajemniczy byt cały zniknął w płomieniach i odmętach sadzawki, która nie przestawała się palić.

Wtedy uwolniona niespodziewanie Czarna przycupnęła rozdygotana na posadzce. Wskazała na trzymane przez Brunatną pudełeczko i z trudem z siebie wydusiła:

– Ty to zrobiłaś i właśnie tym. To twoje czary?

– Nie, to żadne czary, tylko zwykłe pudełko zapalek, a tutejsza ciecz okazała się ropą naftową. Ot szczęśliwe połączenie – odparła także dochodząca do siebie kasztanowa dziewczyna, w której piwnych oczach intensywnie mieniły się płomienie i która od nadmiaru wrażeń mocno

zakaszłała. Następnie schowała zapalki do kieszeni, wzięła Czarną za rękę i ciągnąc ją za sobą w kierunku wyjścia, powiedziała: – W trakcie snu wolę chyba jednak towarzystwo robaków niż tego twojego... cienia. – Rozejrzała się z niechęcią po półmrocznym wnętrzu.

– A może chcesz... czarną poduszkę do uszka? – wypaliła nagle zupełnie poważnie zmroczna dziewczyna. Wtedy jej kasztanowa odpowiedniczka się zatrzymała, pogładziła ją po rogach i wyszeptała:

– Byłoby mi niezmiernie wygodnie, ponieważ dość mam już odgniatania sobie twarzy żwirem.

– Dobrze, czarna poduszka do uszka – potwierdziła demonica i w drodze do wyjścia jeszcze obejrzała się w ślad za miejscem, gdzie napotkała swój cień. Obecnie zobaczyła tylko ciągle płonąca sadzawkę, ale jej to bynajmniej nie uspokoiło. Zupełnie bowiem nie rozumiała natury tego czegoś, co jak się właśnie okazało, raz stanowiło jej wybawcę, a innym razem zdecydowanie prześladowcę.

Musiała też przyznać, że w odniesieniu do sprzecznego zachowania tajemniczego bytu Brunatna wypadła wyjątkowo dobrze. Ponieważ Czarna praktycznie na każdym swym kroku i to często chwiejnym, przekonywała się, że mogła na tę istotę naprawdę liczyć. Posiadała ona stabilność charakteru oraz rozliczne talenty. Do tego wcale nie była taka świetlista, jej skóra wyglądała na całkiem ciemną, podobnie oczy się nie świeciły za bardzo. Dlatego demonica coraz bardziej akceptowała kasztanową dziewczynę w swym otoczeniu i też chciała być przydatna, przez co zapragnęła się odwdzięczyć, ot choćby czarną poduszką pod uszka, bo czumu nie?

Z tą myślą wyszła razem z Brunatną z wielce podejrzanej świątyni. Lecz napotkany na zewnątrz widok rozczarował i od razu wyzwolił mordercze instynkty oraz praktycznie nieznaną Czarnej uczucie – mianowicie lęku. Wszak nie o samą siebie, a kasztanową dziewczynę.

– Zmroczna horda... – wycedziła gniewnie przez zęby, widząc przed sobą dziewięciu zmroczniaków w tym dwóch zziajanych tropicieli.

– Sądziłaś, że złamiesz nakaz starszego łowcy, pozbędziesz się go podstępem i swobodnie będziesz sobie istnieć w mroku? Ha! A powiadali, że należysz do tych, którzy potrafią myśleć. Zresztą to już bez znaczenia. Unicestwić ją! – zarządził jeden ze zbrojnych w pordzewiałym opancerzeniu

i podobnie jak inni wymierzył w Czarną bełt z kuszy.

Z kolei demonica chciała się z miejsca rzucić na oddział i nafaszerowana bełtami przynajmniej skonać z rogami zatopionymi w ciele wroga. Lecz w wyniku zatrucia poplątały się jej nogi, straciła koordynację ruchów i runęła jak długa na ziemię. Wszak szczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie w ten sposób uniknęła wystrzelonych pocisków w ciele, ponieważ poszybowały tuż nad nią. Odwróciła się i z ulgą zobaczyła, że Brunatnej nic się nie stało. Wtedy już chciała poderwać się do kolejnej próby ataku. Ale zamiast tego jedynie niemrawo pełzła przed siebie. Do tego dwoiło i troiło się jej przed oczyma tak, że raptem widziała przed sobą wręcz nieprzeliczonych przeciwników. A mimo to rzeźbiła w ich stronę:

– Załatwię... unicestwię was wszystkich.

– Po prostu żalosne... – splunął w jej kierunku wypowiadający się uprzednio zmroczniak. Założył na mechanizm kuszy drugi bełt i razem z kompanami ponownie wycelowali w Czarną. Ona tylko gniewnie obnażyła zęby, a wraz z jej gestem rozbrzmiało kilkanaście pojedynczych huków. Co znamienne, dobyły się one zza pleców demonicy, a ich efektem było ścięcie z nóg całej hordy.

Zdezorientowana Czarna spojrzała przez ramię i dostrzegła Brunatną z nieznanymi jej przedmiotami w dłoniach. Zrozumiała jedynie tyle, że to kasztanowa dziewczyna znowu uratowała ją swą niezwykłą mocą. Na dobre oszołomiona podpełzła do wijących się w przedśmiertnych konwulsjach wrogów. Jednemu z nich wyszarpnęła zza paska sztylet i z zimną krwią okaleczała ich twarze oraz dobijała, podrzynając gardła.

– Czarna poduszka do uszka... Czarna nożem odetnie ci uszka... – powtarzała, bezczeszcząc zwłoki. Aż cała wytaplała się w ciemnej krwi i rzuciła pod nogi Brunatnej kilkanaście odciętych uszu. – Zrobię ci z tego naszyjnik mocy – syknęła. – Powinnaś taki nosić, jak najwięksi czarownicy.

– To znowu nie były czary, tylko rewolwery. – Kasztanowa dziewczyna kaszlnęła w dłoń i wyjaśniła: – Moja rodzina produkuje muszkiety, ale ostatnio też patentuje nowocześniejszą broń. I ojciec kazał mi się szkolić w strzelaniu z tego czegoś. – Zręcznie okręciła pistolety na palcach, po czym ze smutkiem dodała: – Jednak nie sądziłam, że kiedyś ich użyję, aby zabić. Nawet mojej znajomej Kasztan nie wspominałam o tej broni i zawsze zakrywałam ją dokładnie koszulą. A teraz... – Podeszła do trupów i

podłamana popatrzyła na nie, to na swoje drżące ręce. Na co Czarna zgarnęła odkrojone kawałki ciała pod jej stopy, by zaraz zdecydowanie przemówić:

– Odebrałaś istnienie, które zostało podarowane na krótki czas przez Martwicę. Spełniłaś tylko jej wolę. Bo jesteśmy w Centralnej Czeluści i istnienie tyle tu znaczy. – Podrzuciła do góry odcięte uszy i z siłą w głosie podkreśliła: – Kto nie unicestwia, sam zostaje unicestwiony. Tak głosi pierwsze prawo matki Martwicy, a teraz także ty godna jesteś mienić się jej córką.

– Być może... – powiedziała bez przekonania Brunatna. Przykucnęła i tak, jak uczył ją ojciec, ponownie naładowała rewolwery. A miała czym, ponieważ jej brązowe spodnie opasał zasłonięty koszulą podwójny pas z nabojami.

Niedługi czas potem Czarna z dumą podarowała swej wybawczyni naszyjnik z ciemnych uszu. Żeby go sporządzić, użyła sznurka, do którego przywiązane były kajdany przy pasie jednego z zabitych zmroczniaków.

Ku jej wielkiemu zadowoleniu podarek został przyjęty i demonica musiała przyznać, że wraz z maską z pająka sprawiał, że Brunatna prezentowała się doprawdy zmrocznie. Kiedy zaś do kompletu zasiadła na pumie, Czarna nie mogła się wręcz powstrzymać i zajmując miejsce z tyłu na grzbiecie zwierzęcia, zagryzła kasztanową dziewczynę w kark. Zrobiła to na tyle delikatnie, aby tylko odrobinę ją zranić i posmakować jej krwi.

Gdy oblizywała czubki palców z brązowej cieczy, zaskoczona Brunatna odwróciła się do niej. Wtedy demonica skaleczyła zębami własną dłoń i z uśmiechem na ustach odwdzięczyła się ciemną cieczą. Istota z zachodu zrozumiała ten gest i spiła kilka czarnych kropel. Potem obie dziewczyny popatrzyły sobie wymownie głęboko w oczy, zupełnie jakby właśnie zawarły braterstwo krwi i ruszyły na pumie w dalszą drogę.

XXXI. SREBRNA

Zbrojewo. Tak nazywała się niewielka miejscowość położona w pobliżu granicy z królestwem, gdzie, jak się dowiedziała Srebrna, wytwarzano poznaną już przez nią broń palną zwaną muszkietami. I to właśnie w tym leżącym na pustkowiach miasteczku miały się dzieć wielce niepokojące rzeczy.

W samo południe srebrzysta wojowniczką oraz Miedziany przyczaili się za porzuconym wozem. Stał on w poprzek wjazdu do głównej ulicy miasta. Ta była szeroka i asfaltowa. Zaś po jej dwóch stronach w ciasnych rzędach stały opuszczone sklepy oraz budynki użyteczności publicznej. Natomiast daleko na końcu drogi znajdowała się fabryka, gdzie miały przebywać rodziny robotnicze. Ponadto tuż za Srebrną oraz Miedzianym przycupnęło w gotowości dwunastu młodocianych opryszków, każdy wyposażony w kuszę i nóż. Bury pozostał bardziej z tyłu i zadeklarował się bohatersko pilnować trzech koni, jakimi dysponowała ekipa ratunkowa.

Jej przywódca, podczas dokładnych oględzin, wydawało się, kompletnie wyludnionego miasteczka, w pewnym momencie głęboko westchnął, po czym wypluł dobrze przeżutą kulkę brązowego ziela.

– Ciągle to ssiesz. Co to właściwie jest? – zapytała Srebrna, wskazując na naślinioną roślinę, która dopiero co opuściła usta kompana. Ten wzruszył obojętnie ramionami i nieco sennym głosem odpowiedział:

– To zioło...

– Jakie zioło?

– Sjena Palona.

– Palona?

– No tak... Bo im bardziej jest... palona, tym podczas żucia mocniej odpręża...

– I już się zrelaksowałeś? – zapytała z pewnym wyrzutem dziewczyna. Na co młodzieniec uśmiechnął się szelmowsko i niespodziewanie pocałował Srebrną w usta.

– Teraz już tak – stwierdził z zadowoleniem.

– No wiesz?! – zachnęła się z kolei zaskoczona wojowniczką, robiąc wielkie srebrzyste oczy.

– To było dla pełnego odprężenia, ale i na szczęście – zaznaczył Miedziany.

– Gdzieś już to słyszałam... – Dziewczyna wspomniała podobną scenę ze Złotym, ale tym razem nie zdecydowała się odwzajemnić pocałunku. Zamiast tego, wskazując na oszpecającą ją połowę łuskowatej twarzy, która łuszczyła się coraz bardziej, z wyrzutem zapytała: – Już się nie brzydzisz?

W odpowiedzi chłopak podrapał się niefrasobliwie po brodzie i reżolutnie odparł:

– Po naszym pierwszym pocałunku... już w sumie trochę mniej.

– Pierwszym pocałunku? – zdziwiła się Srebrna.

– No tak. – Miedziany wymownie napluł sobie na dłoń i dodał: – Nagle zaciekawilem się, jak tam u was na północy wyglądają dalsze kroki w amorach. Więc oto zademonstrowałem własną gotowość do takowych, pokazując ci, jak to się robi tu, na zachodzie.

– Aha... dobrze wiedzieć – zbyła tę uwagę wojowniczką, w sumie nie wiedząc, czy młodzieniec mówił poważnie, czy sobie kpił. A spoglądając na niego, jeszcze drwiąco zapytała:

– Czy z kolei tu, na zachodzie, normalną sprawą jest też to, że kasztanowi chłopcy pod wpływem amorów nagle odzyskują wzrok?

– He, he... – Miedziany pomrużał wymownie oczyma, przetarł dłońmi twarz, na której nie było już opaski i wyjaśnił: – Teraz nie wzbudzanie respektu jest najważniejsze, a kluczowe może być odpowiednie celowanie z kuszy. – Położył rękę na swojej broni dystansowej.

– No jasne – ucięła Srebrna i nawiązując do problemu w miasteczku, powiedziała: – A nie uważasz, że twój plan pchania się środkiem drogi na otwartym terenie jest, delikatnie mówiąc... głupi?

– To nie było powiedziane delikatnie – uśmiechnął się zawadiacko Miedziany.

– Niech będzie, że ujęłam to dosadnie. Czyli tak, jak ten twój kulawy plan na to zasługuje.

– Więc co sugerujesz? – rzucił herszt.

– Cóż... – Wojowniczką obrzuciła wzrokiem zurbanizowaną przestrzeń,

którą od dłuższego czasu analizowała wręcz do znudzenia. Aż zatrzymała spojrzenie na dachach dwupiętrowych domostw po jednej stronie ulicy. Dachy budynków były tu bowiem ustawione bardzo ciasno i praktycznie przylegały do siebie, tworząc swego rodzaju drewniany most.

– Że niby mielibyśmy się wspinać po ścianach, jak jakieś koty... a potem pełznąć górą? – Spróbował przejrzeć zamysł dziewczyny młodzieniec. Następnie popatrzył na nią z politowaniem i jakby nigdy nic zwyczajnie wstał. – Zapraszam srebrzystą panią do tańca, a to będzie nasz parkiet. – Wskazał szarmancko drogę wiodącą prosto do fabryki.

– To nie jest roztropnie – zauważyła kwaśno Srebrna.

– Ale jakże romantyczne! – wypalił radośnie Miedziany i dalej naciskał: – No chodź, nie daj się prosić. Po prostu skryj się w cieniu mej odwagi, jeżeli takowej ci zbywa i twe niewieście serce nagle ogarnął lęk.

– Lęk... niewieście serce... brrr – burknęła w odpowiedzi wojowniczką, której duma nie pozwoliła dłużej pozostać schowanej za wozem. W konsekwencji stanęła ramię w ramię z Miedzianym.

– To rozumiem, zatem ruszajmy! – Ten przyklasnął w dłonie. – Coś czuję, że to będzie dziecinna igraszka. Ale tak na wszelki wypadek... – uciał zdanie i zdjął z pleców kuszę. Założył z pietyzmem bełt, po czym tak uzbrojony kroczył niespiesznie razem z wojowniczką prosto w kierunku fabryki.

W południe słońce paliło dość mocno, stojąc w samym zenicie. Choć jak to w zachodniej republice bywało, tarcza słoneczna została z lekka przysłonięta rdzawą mgiełką. Nie zmieniało to faktu, że widoczność była całkiem przyzwoita. Prawie też nie dało się wyczuć wiatru i trwała praktycznie permanentna cisza, co jeszcze potęgowało atmosferę stagnacji oraz specyficznego napięcia. Ponieważ gdzieś tutaj pomiędzy tymi miejskimi zabudowaniami miało się ponoć skrywać tajemnicze niebezpieczeństwo.

Wtem Srebrna zatrzymała się przed porzuconą na środku drogi belką drewna. Za nią bowiem leżały brązowo-czarne niekompletne zwłoki, którym brakowało głowy oraz nóg.

– Dziecinna igraszka...? – Wyjmując zza pasa miecz, teraz to wojowniczką popatrzyła z politowaniem na Miedzianego. Ten naraz całkiem spoważniał i z trudem przełknął ślinę, do tego zasłaniając sobie

usta. Z kolei dziewczyna odkopnęła trupa tak, że z brzucha przetoczył się na plecy. W efekcie pozostawił na drodze czarną i tłustą plamę.

– To istota mroku? – zapytał zdezorientowany herszt, który obecnie już tak się nie kwapił, aby podążać beztrąsko naprzód i sam jakby chował się w cieniu Srebrnej.

– Wyglądają trochę jak mroczniaki – przyznała po oględzinach wojowniczką. Ale z rosnącymi wątpliwościami dodała: – Jednak ta czarna krew jest zbyt lepka i tłusta. A przede wszystkim na niebie świeci słońce i jesteśmy dość daleko od granicy z Centralną Czeluścią. Więc to chyba inny wróg.

– Jaki? – rzucił Miedziany, który nagle zaczął traktować Srebrną jak prawdziwą ekspertkę w dziedzinie potworów i monstrów wszelakich. Dlatego ona, wspominając nazwę pewnej ponoć mądrej księgi, o której wspominał Bury, warknęła:

– Nie jestem encyklopedią. Nie wiem, z czym mamy do czynienia.

– Grunt, że z czymś martwym i teraz pewnie jest już tutaj bezpiecznie – próbował nieść otuchę młodzieniec. Lecz zaraz jego słowa zabrzmiały nad wraz mało przekonująco, kiedy z okolic fabryki wychynęła ku przybyszom poczerniała człekokształtna istota. Przy czym powłóczyła niemrawo nogami, z których jedna była nienaturalnie wykręcona w stawie kolanowym, a sylwetka prezentowała się jako mocno przygarbiona. Ponadto istota wydawała zdecydowanie wrogie charczące odgłosy i ścisnęła w dłoni ludzką rękę.

– Załatwię to coś. – Na widok potencjalnego wroga uzbrojona Srebrna zrobiła krok do przodu. Ale odzyskujący już zimną krew Miedziany, złapał ją za ramię i z pewnym napięciem w głosie rzekł:

– Nie ryzykuj, pozbędę się intruza z dystansu – mówiąc to, błyskawicznie złożył się do strzału, zwolnił mechanizm kuszy i wystrzelony bełt celnie przeszył samo serce istoty.

– Ups... – jęknęła wojowniczką, widząc, że to trafienie bynajmniej nie uśmierciło pełznącego osobnika, który dalej w najlepsze człapał, do tego z drzewcem sterczącym z piersi.

– Czekał – syknął coraz bardziej poddenerwowany kusznik. Nałożył drugi pocisk i tym razem posłał go wprost w głowę istoty. Grot wbił się głęboko w jej czoło, w wyniku czego się zachwiała i przystanęła. Jednakże

potem, zamiast paść na drogę, jak oszalała pędem rzuciła się na parę śmiałków. – Podwójnie zraniony pełzacz dostał przyspieszenia. To nie ma sensu. Zabierajmy się stąd! – zawył desperacko Miedziany, patrząc wytrzeszczonymi oczyma, jak przeciwnik błyskawicznie skracał do niego dystans.

W odpowiedzi Srebrna sama natarła na wroga i kilkoma zręcznymi cięciami mieczem rozplątała go wzdłuż na linii pępka oraz do kompletu pozbawiła głowy. Mimo to ten pełzył okaleczony, czyniąc to obecnie w dwóch kierunkach, oddzielnie za pomocą rąk i nóg. Jednocześnie z jego karku oraz trzewi wylewała się fontanna czarnej cieczy, która ze względu na swą gęstość nie do końca przypominała krew. Aż po sporej utracie płynów, istota znacząco zwolniła, by zaraz całkiem zastygnąć w bezruchu.

– Wykrwawił się. A w każdym razie stracił sporo tych swoich mazistych płynów. Czyli tak można te maskary zabić – skwitowała pokonanie przeciwnika wojowniczką, patrząc dumnie na swój ociekający czernią miecz. Dla odmiany spoglądający na swą kuszę, jak na bezużyteczną zabawkę, Miedziany, ozdobił swą twarz kwaśnym uśmiechem.

– I co dalej? – zapytał bez przekonania. – Może być tutaj więcej tych pełzaczy. – Nieufnie obrzucił wzrokiem fabrykę, do której zdążyli pokonać ulicą mniej więcej połowę dystansu. Następnie, wskazując na zaszlachtowaną istotę, równie markotnie dodał: – Nie podoba mi się też to, że zakatrupione ścierwo ma na sobie roboczy strój. Niby czemu przebrało się za robotnika?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi i tak zapadła dłuższa cisza. Gdy wtem przerwało ją zbitcie szyby w witrynie jednego ze sklepów. Temu zdarzeniu odpowiedziało analogiczne po drugiej stronie jezdni, a z wystawy sklepowej wypadł poczerniały pełzacz. Za nim widać już było kolejne podobne osobniki. A zaraz na całą ulicę zaczęły wylegać przygarbione i porykujące gardłowo istoty. W efekcie Srebrna z Miedzianym zostali szybko osaczani przez dwie grupy nietypowych przeciwników.

– Cóż, próbowaliśmy, ale teraz czas wiać i to natychmiast! – wrzasnął w obliczu śmiertelnego zagrożenia młodzieniec i pociągnął dziewczynę za rękę. Wojowniczką jednak się zaparła, sama pochwyciła za ramię kompana i wskazując mieczem na fabrykę, warknęła:

– A zamknęci ludzie? Kobiety i dzieci?!

– Są wyjątkowo bezpieczni. I sam chciałbym być na ich miejscu. Tylko się rozejrzyj dookoła, idą po nas potwory!

– A potem przyjdą po tych, którzy ocaleli w mieście. Dlatego na to nie pozwolimy! – upierała się Srebrna.

– Więc co niby zamierzasz?! – gorączkował się Miedziany. Na co dziewczyna pospiesznie wyjaśniła:

– Daj znak swoim ludziom, aby narobili trochę hałasu. W ten sposób odciągną stąd stwory, a my skorzystamy z ich rozluźnionego szyku i pobiegniemy do tej, no...

– Fabryki... – podchwycił przywódca. Szybko zerknął na tyły wprost na pozostałych członków grupy, którzy widząc, co się dzieje, sami się wycofywali. Następnie donośnie zagwizdał na palcach i wykonał ku nim kilka gestów. Odpowiedzieli nieśmiało krzykami i ostrzelali z bełtów pełznące maski. W konsekwencji część pełzaczy zmieniła kierunek chwiejnego chodu. Zaś te, które oberwały drzewcami dostały nagłego przyspieszenia i w te pędy pognały na śmiałków, którzy byli sprawcami zadanych ran. – Gotowe, teraz czas na nas – rzucił Miedziany i razem ze Srebrną porwali się ulicą prosto do fabryki.

Wkrótce dopadli na pełnym biegu do wielkiej prostokątnej budowli z beżowej cegły. Z przodu miała żelazną bramę, po bokach wysokie okna zasłonięte deskami, a jej tylną ścianę stanowił mur. Para przybyszy zaczęła pospiesznie stukać pięściami w zamknięte przejście, w miarę nerwowego oglądania się za plecy, czyniąc to coraz mocniej – wrogowie zbliżali się bowiem i to z każdą chwilą. Jednak wejście do fabryki pozostawało zamknięte.

– Robimy za dużo hałasu, to wabi potwory – warknęła zdenerwowana Srebrna. Jej kompan zrozumiał ją chyba bardzo opacznie, ponieważ swoją kuszą zaczęła bez litości okładać żelazną bramę, czym wywołał metaliczny rezonans i wzbudzał wyjątkowo ogłuszający dźwięk. – Oszalałeś?! – krzyknęła do niego już na dobre wyprowadzona z równowagi wojownicza.

– Wręcz przeciwnie. W obliczu zagrożenia życia myślę trzeźwo, jak nigdy! – rzucił Miedziany i wniebogłosey się wydarł: – Jesteśmy z armii republikańskiej i nakazujemy natychmiast otworzyć! To rozkaz! Przybывamy uzbrojeni i z odsieczą! Proszę otworzyć bramę, która jest własnością państwową! Albo wyciągniemy daleko idące konsekwencje!

– Eee... – Zdezorientowanej Srebrnej chwilę zajęło, zanim pojęła fortel kompana. Kiedy zaś do niej wreszcie dotarło, co zamierzał, żelazna brama żałośnie zaskrzypiała i wewnątrz obszernej hali produkcyjnej stanęło otworem. W powstałą wnękę od razu wepchnął się Miedziany. Tuż za nim wśliznęła się wojowniczką. Natomiast para robotników, którzy otworzyli przejście, na widok zbliżającej się upiornej hordy, od razu ponownie zamknęła dostęp do fabryki.

Tymczasem para przybyszy była na równi przerażona tym, co zastała na zewnątrz fabrycznej hali, co i w jej wnętrzu. Albowiem w półmroku dosłownie wszędzie pod ścianami siedziały zabiedzone kobiety z dziećmi, także trochę mężczyzn, a wszyscy niezwykle brudni i wychudzeni. Do tego ze strachem i cierpieniem wypisanym na twarzy. Zaś w przestrzeni dusznego pomieszczenia rozlegały się rwane odgłosy ostrego kaszlu.

– Kim wy, kasztaniarze, na zgniłe orzechy jesteście?! – ryknął naraz z pretensją jeden z robotników, który wcześniej otworzył bramę. Niski, zwalisty osobnik w brązowym robotniczym ubraniu wyróżniający się głęboką bruzdą na czole. Do kompletu drugi z odźwiernych, chudy jak szczapa rachityczny jegomość, na którym ubranie wisiało zupełnie niczym na wieszaku, także przemówił:

– Srebrzysta dziewczyna...? – Wybałuszył oczy na Srebrną. – Wy nie... nie jesteście żadnymi żołnierzami, okłamaliście nas... – jęknął.

– Powiedzmy, że w krytycznym momencie nieco nagięliśmy prawdę. Ponieważ jakkolwiek rzeczywiście nie należymy do ścisłych sił wojskowych, to jednak przybywamy uzbrojeni, aby zanieść wam pomoc – oznajmił rezolutnie Miedziany.

– My tu dogorywamy, a ty kpisz sobie, kasztaniarzu? – warknął gniewnie mężczyzna z bruzdą. – Do tego wprowadzasz się tu podstępem z jakąś szarą panienką?!

– Spokojnie, tylko spokojnie... – próbował łagodzić rodzący się konflikt kompan Srebrnej. Pokazał wszystkim otwarte dłonie, co miało oznaczać, że miał jak najbardziej dobre zamiary, po czym przeszedł do rzeczy: – Lepiej docenicie, że się tu do was przedarliśmy, bo prawdziwe wojsko porzuciło was na pastwę losu. My natomiast bynajmniej nie przybyliśmy do miasteczka w celach turystycznych. Byliśmy już świadkami zagrożenia, z jakim się zetknęliście. Zabiliśmy nawet jednego potwora, a jesteście tu, by

jakoś wspólnie się stąd wykaraskać.

W odpowiedzi z różnych stron półmrocznego pomieszczenia dobyły się żałobne jęki:

- Wojsko nas porzuciło...
- Jesteśmy zgubieni...
- Jesteśmy przeklęci...
- Srebrna dziewczyna to zwiastun naszej śmierci...
- Zginjemy.

A zaraz także:

- Zabili potwora...
- Ale przecież te potwory, to jedni z nas...

Ostatnie zdanie podchwyciła Srebrna i zwróciła się do kasztanowej kobiety, która je wypowiedziała:

- Co przez to rozumiesz, że monstra są jednymi z was?

Zanim zabiedzona kobiecina zdążyła coś odpowiedzieć, przemówił za nią mężczyzna z bruzdą:

– Zostaw moją żonę w spokoju, szaraku, ma z głodu i pragnienia słaby umysł, jak my wszyscy zresztą! – zakończył gniewnie, po czym przykucnął przy leżącym na ziemi robotniku, który zaniósł się koszmarnym kaszlem. – Już dobrze, bracie, masz tu jeszcze kroplę wody, ale to już ostatnia. – Podał potrzebującemu manierkę. Ten nie zdołał jej pochwycić w dygoczące ręce i pojemnik upadł z brzdękiem na kamienną podłogę.

- Nieźle wdepnęliśmy – mruknął dyskretnie do Srebrnej Miedziany.

– Te potwory to my... – powtarzała z kolei jak w transie żona mężczyzny z bruzdą.

– Znowu tu są, to obcy ich tu zwabili... – dało się też słyszeć spod ścian ściszone głosy ludzi. A odpowiadało im dudnienie pięściami z zewnątrz w żelazną bramę przez pełzaczy.

Natomiast Srebrna obecnie koncentrowała uwagę jedynie na spragnionej osobie, której przystawiono do twarzy manierkę i ta z trudem łapała krople wody do spierzchniętych ust. Dziewczyna z pewnym niepokojem zauważyła, że pojonemu osobnikowi ściekała z warg gęsta i czarna maź, przywodząca na myśl tę z rozplatanego mieczem potwora. Ponadto na brązowych policzkach tej postaci odznaczały się czarne plamy, a oczy były wyjątkowo pociemniałe.

Gdy nagle ów niemal omdlały robotnik zacharczał gardłowo, jego oczy kompletnie poczerniały, po czym w istnym amoku rzucił się na podającego mu manierkę męczyznę z bruzdą na czole. Zanim ten zdążył zareagować, już miał zęby wbite w szyję, która rwana była dosłownie na strzępy.

– Te potwory to my! – wrzasnęła jak oszalała, pojękująca do tej pory kobieta. I już zaraz kotłowała się ze stworem, który po uśmierceniu poprzedniej ofiary skoczył właśnie na nią. Za nim rzuciła się Srebrna z mieczem w gotowości. Lecz jednocześnie w innej części fabrycznej hali też rozległ się rozpaczliwy wrzask, a ktoś pobiegł otwierać bramę.

– Miedziany! Chronź przejście! – krzyknęła jak w ukropie Srebrna i sama ruszyła na ratunek atakowanej tuż koło siebie kobiecie. Zobaczyła, że biedaczka miała już koszmarnie okaleczoną twarz, a potwór wgryzał się głęboko w jej wnętrzości. Dlatego zacisnęła zęby i zamasyście siekła oba ciała naraz, zabijając zarówno monstrum, jak i dobijając konającą ofiarę, by skrócić jej męki. Potem błyskawicznie się okręciła na pięcie.

Ze zgrozą dostrzegła, że brama została otwarta przez pełzacza z fabryki i już wsypywały się do wnętrza inne potwory. Dziewczyna wiedziała, że jeżeli na to pozwoli, to wszyscy ludzie w hali produkcyjnej zginą, nie wyłączając jej samej.

Wejście w stan nadzmysłu zajęło jej dosłownie chwilę i w kilku susach dopadła do przejścia. Tutaj, będąc w stanie jedności, odczytywała jakby wlewający się do fabryki odrażający brud pełen trupiej aury. Cięła w tę mroczną otchłań raz za razem srebrzystym mieczem, a równocześnie spontanicznie wyemanowała z siebie złocisty rozbłysk światła. To wystarczyło, aby skutecznie odrzucić pełzacze za bramę, którą natychmiast zaryglowała służącym do tego stalowym prętem. Tak oto przejście zostało obronione, a ona powróciła do naturalnego stanu.

Szybko oddychając, odwróciła się i powiodła rozbieganym wzrokiem po wnętrzu pomieszczenia, gdzie zapadła martwa cisza. Wśród przerażonych ludzi, którzy ocaleli, naliczyła cztery świeże ofiary – dwie kobiety oraz dwóch męczyzn. Ponadto uśmiercone zostały dwie bestie, gdzie drugą wciąż jeszcze szatkował nożem przykucnięty na podłodze Miedziany.

– Przestań, już po wszystkim – rzuciła do niego lodowato Srebrna.

– Tak, po wszystkim, już po wszystkim... – powtarzał, ciągle będący pod wpływem silnych emocji chłopak. Aż wreszcie przestał wykrwawiać

potwora, z którego otwartych ran wypłynął cały ocean cuchnącej mazi.

Następnie tu i ówdzie znowu dało się słyszeć rwany kaszel. Zaś każdy, kto wydawał obecnie z siebie takie odgłosy, zostawał zaraz zupełnie sam, ponieważ inni, z wiadomych już względów, odsuwali się na większą odległość.

Srebrna natomiast nie traciła czasu. Kazała Miedzianemu pilnować bramy, a sama dyskretnie porozmawiała z robotnikami. Chciała się bowiem dokładnie dowiedzieć, co znajdowało się na dachu budynku i czy można było się z niego przedostać w inne miejsce. Analogicznie interesowała ją piwnica oraz grubość tylnej ściany fabryki.

Niestety wszystkie zebrane wiadomości szybko pozbawiły ją złudzeń, że z hali można się było w jakikolwiek sposób bezpiecznie wydostać. Dlatego usiadła koło Miedzianego, który zdążył już ochłonąć i zwróciła się do niego ściszym głosem:

– Mamy do rozwiązania dwie palące sprawy.

– Mianowicie? – zapytał z nietypową sobie powagą młodzieniec.

– Pierwsza kwestia to trzeba znaleźć sposób, aby wyprowadzić stąd zdrowych ludzi. Druga, nie mniej istotna, to... – Srebrnej zadrgał głos i urwała zdanie, które grobowym tonem dokończył Miedziany:

– Trzeba zabić chorych. Bo musimy ich zabić, zanim przekształcą się w potwory – zaznaczył z nutą paniki w głosie.

– Możemy ich też po prostu tutaj zostawić... – zauważyła wojowniczką.

– W porządku – przyznał chłopka i zasugerował: – Ale tylko, o ile ewakuujemy się stąd dość szybko. Inaczej nie będzie stąd kogo wyprowadzać, ponieważ wszystkich zeżrą przebudzone bestie.

– Tu pełna zgoda, zatem nie ma co zwlekać.

– Masz jakiś plan? – zagadnął z nadzieją młodzieniec. Na co dziewczyna położyła mu krzepiąco dłoń na ramieniu, jak zwykł czynić Marrengo i starając się naśladować jego mentorski głos, w opanowany sposób oświadczyła:

– To fabryka broni, więc są tu muszkiety. Ale przeciw pełzaczom to nieskuteczny oręż, bo kule robią za małe dziury i nie wykrwawiają przeciwników. Dlatego walka odpada, a pozostaje ucieczka – zaznaczyła i tłumaczyła dalej: – Z piwnicy nie ma żadnego przejścia do innych budynków, więc ten kierunek jest zamknięty. Podobnie z dachu nigdzie nie

przeskoczmy, za duża odległość. Teoretycznie moglibyśmy się przebić przez tylną ścianę, ale to by potrwało, a hałas zwabiłby tam bestie.

– Zatem?! – ponaglił Miedziany.

– Zwabić bestie. – Srebrna uśmiechnęła się znacząco. – Taki właśnie mam plan. Ale chcę ściągnąć potwory nie na tyły budynku, tylko szybciej i skuteczniej na jego boki. Wtedy otworzy się bramę i ludzie będą mieli otwartą drogę ucieczki główną ulicą.

– Jak zwabisz pełzaczy na boki fabryki? – Chłopak popatrzył na dziewczynę z miną zbitego psa.

– Otóż okna w budynku są zasłonięte deskami, ale większość ma jeszcze szyby. Więc wyjmemy wszystkie szyby z okien, by kolejno je tłuc na samym końcu pomieszczenia. W ten sposób przyciągniemy pełzaczy w pożądane miejsce, a brama opustoszeje. Wówczas po cichu się ją otworzy i ludzie pobiegną poza miasto. Natomiast, żeby monstra ich nie goniły, szyby w fabryce będą tłuczone dalej.

– Rewelacyjny plan. – Miedziany zakwitł szczerym uśmiechem, który jednak szybko stężał mu na twarzy. – Pozostaje zasadnicze pytanie, kto pozostanie w fabryce, aby tłuc szyby... – jęknął.

– Ja – szepnęła tylko Srebrna. A po dłuższym czasie spotkała się ze zrozumieniem w postaci twierdzącego kiwnięcia głową młodzieńca, który wszak nie zdobył się, aby coś powiedzieć.

Wkrótce wszyscy w pomieszczeniu zostali obeznani z zaproponowanym przez srebrzystą wojowniczkę planem. Ten nie został przyjęty bez oporu, gdzie jawny sprzeciw wyrażali chorzy, którzy także pragnęli opuścić halę i zgodnie nie wierzyli w swą rychłą przemianę w potwory. Jednak byli oni zbyt słabi, a do tego w mniejszości, by walczyć o swoje. Dlatego sugestie Srebrnej ostatecznie zaakceptowano i zdrowi przedstawiciele robotniczego stanu wzięli się do demontowania szyb z okien oraz składowania ich na końcu pomieszczenia. Gdy ukończyli swe dzieło, zebrali się przy bramie pod przewodnictwem Miedzianego, a Srebrna została sama w otoczeniu stosu szkła i chorych ludzi.

Rozbrzmiał donośny dźwięk tłuczonej o kamienną podłogę szyby. Zaraz na drobne kawałki rozleciała się z hukiem druga i w ruch poszły kolejne. Tym odgłosom szybko zaczęły towarzyszyć inne, gardłowe, po bokach fabryki. Potem dołączyło do nich bicie pięściami o zasłonięte deskami okna.

Choć dało się też słyszeć zjadliwe uwagi leżących na podłodze chorych. Ci, pokasłując, rzęzili, że Srebrna sama była chora, ponieważ na twarzy nosiła ślady odpadającej łuski.

Wojowniczką nie zwracała na te zaczepki uwagi. W jej mniemaniu pochodziły one już od przyszłych potworów, a istotom w obecnie jeszcze ludzkich ciałach i umysłach, tak czy inaczej, należało się jedynie współczucie. Natomiast zdrowym postara się zanieść ocalenie, nawet jeśli sama miałaby przez to zginąć. Bo skoro, jak prawili Bury czy Marrengo, a poniekąd ślepy mędrzec, tylko jedna z legendarnych siostr miała szansę przeżyć, to zapewne jej los został już przypieczętowany przez samo przeznaczenie. Więc jeśli tak właśnie miało być, to dokona żywota tu, w tym fabrycznym miasteczku. Ale wcześniej zrobi przynajmniej coś przyzwoitego, by nie odejść na darmo.

Myśląc tak, rozbiła jeszcze jedną szybę i skinęła porozumiewawczo głową do Miedzianego, aby otworzył bramę. Kiedy to czynił, aby nie było słychać skrzypienia zawiasów, dziewczyna znowu z hukiem potłukła szkło, od którego odłamków było już wokół niej aż gęsto. Następnie lekko się uśmiechnęła.

Oto jej kasztanowy kompan już wyprowadzał na zewnątrz sporą grupkę kasztanowych cywili, w tym kobiet i dzieci. Zatem zgodnie z przewidywaniami Srebrnej droga naprzeciw bramy musiała zostać oczyszczona, a większość potworów została zwabiona hałasem. W ten sposób odniosła małe zwycięstwo. A było to naprawdę pocieszające, gdy wspomniała ogrom poniesionych w ostatnim czasie porażek. Wszak tych postanowiła nie rozpamiętywać. Za to rozbijała w drobny mak kolejne szyby, z tym że teraz czyniła to wolniej, aby przedwcześnie nie skończył się jej szklany materiał.

Aż wreszcie uniosła ostatnią szybę. Lecz zanim zdecydowała się ją zniszczyć, przejrzała się jeszcze w lustrzanym odbiciu i wtedy kwaśno się do siebie uśmiechnęła. Zapewne w obliczu cierpienia i śmierci innych, a także swej prawdopodobnej rychłej śmierci, było to głupie koncentrować uwagę na własnej urodzie, niewątpliwie tak. Ale patrząc na swe obecne wyjątkowo oszpecone łuską lico, przeżywała tak wiele sprzecznych uczuć.

Mimo woli wspomniała, że była tą, która niczym ryba została wyłowiona z przerębla i wraz z wiekiem rzeczywiście coraz bardziej upodabniała się do

wodnej istoty. Więc chyba jej związek z ziemią i samym kontynentem Unton nie był dość mocny, aby to ona została wybawicielką lądowych istot i tą legendarną siostrą, która miała szansę przetrwać. Wraz z tymi wnioskami przyszły kolejne, boleśniejsze myśli. Choćby te, że zamiast Złotej, to właśnie ona, Rybia Twarz, powinna zginąć w Centralnej Czeluści. Choć może jeszcze lepiej byłoby, gdyby uśmiercił ją już Feldgrau i nie wycięłaby w pień połowy jego w sumie niewinnych wojowników. Wtedy Aezon nie zostałaby smokiem, a pewnie w Orlim Gnieździe właśnie brałby ślub. Ot, na ten przykład z zadziorną Mysią i zakładał z nią rodzinę. Rodzinę, o której sama Srebrna mogła tylko pomarzyć, ponieważ nie знаła ojca ani matki. Zaś młodzieniec, do którego może i coś poczuła, Złoty, miał już inną wybrankę.

Czy doprawdy było to jeszcze mało klęsk i rozczarowań, aby kurczowo trzymać się życia? – pomyślała naraz zupełnie zrezygnowana Srebrna, z której kompletnie uszło powietrze i zastygła z trzymaną szybą. Gdy wtem nie wiadomo skąd, odbiło się od powierzchni szkła złociste słońce, a jego jasny promień uderzył wprost w pierś dziewczyny. Wtedy w jednej chwili wszystkie jej troski, zupełnie niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, od niej odstały. Jej serce oraz umysł zostały rozświetlone i opuścił je mrok.

– Złota, to ty... dziękuję, że ciągle jesteś ze mną. I... nie zawiodę cię – powiedziała naraz dla odmiany jak natchniona Srebrna. Wzięła do płuc głęboki ożywczy oddech i z nową energią trzymaną szybą intuicyjnie wykonała gwałtowny wymach w bok: – Whraaah! – krzyknęła wojowniczo, ścinając głowę potworowi, który właśnie przekształcił się z kaszłającego robotnika i rzucił na nią. Kolejna bestia natarła z drugiej strony i natychmiast spotkał ją taki sam los: – Grhhha! – dodawała sobie animuszu dziewczyna, zadając cięcia szkłem aż do zwycięskiego końca. Następnie odrzuciła szybę na podłogę, dobyła miecz i popatrzyła po pozostałych chorych ludziach, po czym powiedziała do nich: – Wybaczcie albo przeklnijcie, ale tutaj nasze drogi się rozchodzą. Niech srebrzyste smoki wysokich gór mają wasze dusze w opiece. – Po tych słowach porwała się w te pędy do otwartej bramy, gdzie zauważyła pierwsze wpełzające do fabryki monstra.

Na pełnym biegu staranowała je barkiem i przewróciła kilka z nich.

Sama także upadła, ale szybko wstała i tnąc na wszystkie strony mieczem, próbowała ruszyć główną ulicą. Na drodze stanęła jej jednak cała armia potworów. Dlatego zdecydowanie skrzyła, by pobiec po prostu tam, gdzie przestrzeń była najbardziej wolna od pełzaczy. Choć od tych roilo się dosłownie wszędzie. Przez co nie zastanawiała się dłużej, tylko postanowiła wykorzystać resztę duchowej energii i już była w stanie nadzmysłu.

Obecnie ponownie doświadczała wokół siebie jedynie odrażającej zgnilizny i brudu, które zalewały ją dosłownie ze wszystkich stron. Ona natomiast była niczym srebrzysta łódka miotana okrutnie po czarnym oceanie. Lecz czyniła, co tylko w jej mocy, aby ta świetlista łupina w mrocznej otchłani się nie przewróciła. Przeto młóciła mieczem z absurdalną prędkością, wręcz karczując sobie drogę pomiędzy obłapiającymi ją przeciwnikami. Momentami kumulowała nadsię w nogach i wyskakiwała ponad pełzaczy, by spaść na nich z góry i z zaskoczenia zaatakować. Potem, stojąc już na nogach, znowu torowała sobie drogę świetlistą klingą, na której intensywnie lśnił srebrzysty oraz złocisty symbol.

Aż nagle, ciągle będąc w stanie jedności, dostrzegła, jakby rzuconą ku sobie świetlistą linię. Ta była dość daleko, ale jej pochwycenie wydawało się jedną możliwością na ocalenie. Ponieważ ze względu na ilość przeciwników dalsza walka była skazana na klęskę. Dlatego wojowniczką schowała miecz, by raz jeszcze skumulować nadsię w nogach, po czym wyskoczyła ponad potwory i wirując w powietrzu, poszybowała do świetlistej liny. Szczęśliwie ją pochwyciła, wyszła z nadzmysłu i wtedy już naturalnym wzrokiem zobaczyła, że dosiadła płowego rumaka, siedząc na nim tuż za Burym.

Zaraz potem zmęczona walką i wczepiona w plecy chłopaka gnała już na wierzchołcu gdzieś na peryferiach miasteczka. Byli już bezpieczni. Za to pod wieczór powrócili w miejsce obozowiska i zgodnie z oczekiwaniem spotkali tu uciekinierów z fabryki. Tutaj nikt jednak nie świętował. Albowiem każda z rodzin robotniczych pozostawiła w miasteczku krewnych skazanych tam na śmierć bądź już przekształconych w żadne krwi monstra. Ponadto z szajki Miedzianego kilku chłopaków zostało przez pełzaczy rozerwanych na strzępy, więc wśród ich kamratów atmosfera była po prostu podła.

W konsekwencji Srebrna usiadła z dala od wszystkich, stroniąc od

głównego ogniska. Chciała zwyczajnie odpocząć. Ale niedane jej było zbyt długo pozostawać samej, ponieważ wkrótce przysiadł się do niej Miedziany i bez słowa poczęstował bukłakiem. Dziewczyna wzięła spory łyk ze skórzanego naczynia, ale wobec dość cierpkiego smaku skrzywiła się na twarzy.

– Co to jest? – zapytała głosem wyzutym z emocji, mając na myśli podarowaną jej ciecz.

– Truczna – odparł młodzieniec, zachowując wielką powagę. Dziewczyna wzięła to za oczywisty żart. Ale po dzisiejszych doświadczeniach, gdzie uczucie wygranej mieszało się u niej z poczuciem porażki, nie chciało się jej śmiać. Więc tylko krzywo się uśmiechnęła i dalej piła w milczeniu. Jednocześnie spoglądała z ukosa, jak Miedziany miętosił w dłoniach rulon papieru.

– A co to takiego? – zadała drugie pytanie, ot tak, aby przerwać martwą ciszę.

– To wyrok – padła równie bezemocjonalna, co przedtem, odpowiedź.

– Kolejny żart, nigdy nie masz dość? – Tym razem Srebrna wymusiła na twarzy lekki uśmiech, ponieważ taka powaga Miedzianego w ogóle do niego nie pasowała i czekała aż sam podniesie kąćki swych ciemnych ust. Jemu jednak nie drgnęła nawet powieka, a brązowe wargi pozostały w jednej linii. Za to rozwinął trzymany rulon i przeczytał zapisaną tam treść:

– „Srebrna poszukiwana żywa albo martwa. Nagroda sto sztuk srebra lub dziesięć alabastrowych kryształów”.

– Kiepski żart – burknęła tylko dziewczyna.

– Sama przeczytaj. – Młodzieniec podał jej dokument.

– Nie umiem czytać – rozbrzmiała obojętna odpowiedź, ale okraszona chwyceniem się z boleścią przez dziewczynę za brzuch. Wtedy jak grom z jasnego nieba dotarło do niej, że Miedziany bynajmniej nie raczył sobie żartować i to w żadnej kwestii. – Truczna... ale, dlaczego? – wyrzęziła wojowniczką, tocząc srebrzystą pianę z ust.

– W końcu jestem zbójcekim hersztem. A za sto sztuk srebra będę dodatkowo najbogatszym zbójcekim hersztem stąd aż do Brunatown. Więc nie bierz tego do siebie, to nic osobistego – padła niezwykle wyrachowana, a przez to tym bardziej bolesna odpowiedź.

Ostatkiem sił tracąca przytomność Srebrna, dostrzegła jeszcze

szamoczącego się z wyciągniętym kozikiem Burego, pochwyconego przez kamratów Miedzianego. Ponadto jak przez mgłę zauważyła dwa lądujące w pobliżu gryfy, a potem kroczące ku niej alabastrowe łuczniczki. Później pochłonęła ją ciemność.

XXXII. ZŁOTY

Po nieprzespanej nocy, podczas której Złoty, niczym zbłąkany pies, tułał się bez celu po Gnieździe, oplakując Srebrną, to bijąc się z myślami, jak powinien teraz zareagować, przyszedł blady srebrzysty świt. Ten jednak ani do umysłu, ani też złamanego serca księcia nie wniósł niczego nowego. Młodzieniec pograżył się w niemocy i nawet nie chciał podejmować ważkich decyzji, nie w obliczu wieści o śmierci osoby, którą dopiero co nazwał swą ukochaną. Zaś nie tak dawno jasnym promieniem światła oddał ciała siostry i ojca, przez co wobec wszędobylskiej śmierci jego własne życie jawiło mu się nagle takie nietrwałe, a co za tym szło niewiele warte. Wszak wraz ze zbliżającym się południem z dojmującym smutkiem popatrzył nie tylko na siebie, ale i na niewinnych mieszkańców osady, w tym również Mysię.

Tę dzielną dziewczynę, która wzięła na swe wątłe barki ciężar przewodnictwa, sen zmógł dopiero nad ranem i zasnęła, czyniąc to z głową na kolanach jednego z pilnujących ją rycerzy. Więc miał pozwolić, aby wraz z nastaniem nocy została zamordowana z zimną krwią przez potężną olbrzymkę? A potem następni, niewinni, tacy, jak ona?

Nie, oczywiście, że nie mógł na to pozwolić. Ponieważ choć wzgardził własnym istnieniem, to miał w obowiązku troszczyć się szczególnie o tych, którzy nie potrafili o siebie należycie zadbać. I nie chodziło tu jedynie o wypełnianie chwalebnych postanowień kodeksu światła stworzonego przez legendarnego założyciela królestwa – króla zachodzącego słońca z rodu, z którego wywodził się sam Złoty. Albowiem osobiście poznał już świat na tyle dobrze, iż wiedział, że wojna była domeną wielkich tego świata, ale cierpieli na niej głównie zwykli ludzie. Natomiast ich los został niejako złożony w jego rękach i skoro czuł, że nie może ich wesprzeć za pomocą oręża, to nie pozostało mu nic innego, jak oddać ich w niewolę, by przynajmniej ocalić im życie. Potem zaś wróci do swej żony Bursztyn, by wieść smętny żywot w złotej stolicy i na dobre porzuci myśl o rycerskiej

chwale.

W tej chwili, dla niego osobistej porażki i smutku, autentycznie przeklinał wojaczkę, a także swój miecz czy zbroję na sobie. W końcu to walka odebrała mu wszystkich najbliższych, jednego po drugim, a ostatnią ofiarą stała się Srebrna. Ta zapewne opuściła królestwo właśnie na wieść o uzurpatorce, aby ją zgładzić. Lecz osoba podająca się za potomkinię olbrzymów była najwidoczniej silniejsza, co go nie dziwiło i zabiła legendarną siostrę krwi tak, jak to opisała Złotemu.

Tuż przed południem książę wezwał do siebie swych wyższych rangą ludzi i polecił im bezzwłocznie wydać wszystkim rycerzom nowe rozkazy. Sam zajął pozycję z mieczem przed bramą, aby nikt nie stanął mu na drodze do jej otwarcia. Za moment był już gotowy to uczynić i wskazał dwójce żołnierzy, aby chwycili za żelazną zasuwę i wysunęli ją z masywnych wrót, tym samym je otwierając.

Jednak ludzie w osadzie zauważyli już, na co się zanosilo. We własnym gronie szybko podnieśli alarm i kilka dziesiątek uzbrojonych kobiet oraz starców stanęło naprzeciw już otwartej bramy. Przed tą grupę wyszła jeszcze bardziej niż zwykle poważna Mysia, która wycelowała strzałę z łuku wprost w księcia. Ten popatrzył na nią ponurym wzorkiem i ze smutkiem przemówił:

– Wiem, że ocenicie mnie bardzo surowo, a w waszej pamięci pozostanę, jako zdrajca. Ale... przynajmniej zachowacie pamięć, zachowując swe życie.

– Tak, jesteś tchórzem i zdrajcą, bo niby kim?! – wrzasnęła wzburzona Mysia. Choć nie wypuściła strzały. Książę domyślał się dlaczego. Pomyślał, że za tą maską twardej przywódczyni, kryła się po prostu ciągle mała dziewczynka i tym bardziej utwierdził się we własnej decyzji. Gdy wtem Mysia wypuściła strzałę, której grot prześlizgnął się ze zgrzytem po metalowym naramienniku młodzieńca, niemal trafiając go w gardło. Wobec tego ruchu zareagowali zgromadzeni przy bramie rycerze, przyjmując jak jeden mąż bojową postawę.

– Stać! – krzyknął do nich Złoty, któremu mimo panującego zimna wystąpiły nagle kropelki potu na czoło. Lecz był zdeterminowany, aby nie dopuścić do zbrojnej konfrontacji, przez co szybko zakomenderował: – Tarcze w gotowości i formacja obronna. Nie atakować, osłaniać wkroczenie do twierdzy obcych wojsk!

– Ty, ty... – szukała jakiegoś dosadnego przekleństwa Mysia. Zamiast tego znalazła drugą strzałę w kołczanie na plecach. A zakładając ją na cięciwę łuku, z całych sił wykrzyczała: – Nasza Srebrna za tak haniebną czyn by cię znienawidziła i nawet nie raczyłaby w twoim kierunku splunąć srebrzystą śliną. Dlatego nie wierzę ci, że kiedykolwiek ją poznałeś! Wszyscy złoci są kłamliwymi parszywcami, niegodni kłaść północnej ziemi! Do broni! Będziemy walczyć o naszą ziemię! Do broni! – Wycelowała strzałę prosto w złocistą twarz księcia.

W sukurs poszli jej srebrzyści starcy oraz kobiety i zademonstrowali dumnie wzniesiony oręż. Zaś Złoty się zorientował, że chyba nie docenił nastoletniej przywódczyni, a ona nie bez powodu nią została. I już miał wydać polecenie do rycerzy, aby przygotowali się do odparcia spodziewanego ataku, ale naraz zagrzmiął za plecami gawiedzi potężny męski głos:

– Niech złoty chłopak broni otwartej bramy, skoro taką podjął decyzję. Znam go i widocznie ma ku temu powody. Ja natomiast przybywam tu nie po to, abyście chronili to miejsce za cenę życia. Przybywam po was, mieszkańców tej osady, bo to wy jesteście najważniejsi, nie twierdza. Zatem chodźcie za mną, tajne przejście w północnej skale jest odsłonięte i nie ma już czasu, by zwlekać. – Wypowiadającym się mężczyzną był nie kto inny, jak Marrengo, wokół którego ludzie się rozstąpili. Natomiast Złoty przyjął jego słowa z niewymowną wręcz ulgą i raptem podniesiony nieco na duchu z nadzieją przemówił:

– Nikt nie musi opuszczać Orlego Gniazda. Uzurpatorka obiecała mi zachować wszystkich przy życiu. Będziecie tu bezpieczni! – Rozpostarł szeroko ramiona, zupełnie jakby chciał objąć tubylców. Lecz przywódca Srebrzystej Stali szybko i boleśnie pozbawił go złudzeń:

– Czynisz błąd, zawierając tej, która na co dzień używa kłamliwego języka i przywdziewa obcą skórę, podszywając się pod kogoś, kim nie jest.

– Ale... olbrzymka już mogła zdobyć krwawo osadę. Ona zna tajemne przejście. A mimo to nie dopuściła do rzezi – zauważył książę.

– Posłuchaj! – warknął Marrengo, poganiając mieszkańców, aby czym prędzej podążali do na północ osady, a jednocześnie twardo wyjaśniał: – Uzurpatorka rzeczywiście nie zabija cywili na zajętych terenach. Wszakże czyni to nie z litości, a chęci zysku. Ona zakuwa ludzi w żelazne kajdany,

prawie wszystkich: kobiety, starców i dzieci. Potem każe im ponad siły pracować w kopalniach na północy albo przy rozkuwaniu gór w poszukiwaniu lodowych olbrzymów. Zaś nadmiar ludzi wysyła przez Centralną Czeluść aż do republiki, gdzie czeka ich nie lepszy los, wyłącznie niewolnicze łańcuchy. Więc... lepiej zamilcz – podsumował ostro Marrengo.

Z kolei Złoty stał dłuższy szans z rozdziawioną szczęką, ponieważ wszystkie argumenty na usprawiedliwienie działań własnych czy uzurpatorce, niczym oręż, zostały mu nagle odebrane. W ten sposób w kwestii obrony swego stanowiska pozostał zupełnie bezbronny. Także nie miał już żadnego powodu, aby bronić otwartej bramy, a wręcz przeciwnie, dlatego naraz gwałtownie zakomenderował do rycerzy:

– Zamknąć wrota! Natychmiast! Stawić czynny opór zewnętrznym najeźdźcom i chronić Gniazdo! – Jednak było już na to po części za późno. Pierwsze jednostki wroga w postaci toporników z tarczami właśnie wkraczały do warowni, a za nimi widać było całe zbrojone zastępy. – Wobec tego kolejne słowa księżę skierował do Marrenga: – Wyprowadź stąd wszystkich mieszkańców. Ja! Ja muszę coś naprawić... Będę was osłaniał! – Po tej deklaracji Złoty wspólnie z rycerzami napał na przeciwnika kotłującego się w bramie. Choć zanim skrzyżował oręż, jeszcze spojrzał przez ramię.

Mieszkańcy osady zgodnie z poleceniem przywódcy klanowego znikali kolejno pomiędzy zabudowaniami. To go pokrzepiło i poczuł, że teraz bez reszty mógł oddać się już tylko walce. Więc walczył za tych, którzy jeszcze żyli, aby pozostali wolni oraz ścierał się z wrogiem za innych, już poległych, jak Srebrna, by uczcić ich pamięć. Zatem walczył za wszystkich!

W początkowej fazie bitwy młócił mieczem do tego stopnia sprawnie i energicznie, iż rzeczywiście można było odnieść wrażenie, że wystarczało mu zapału za wielu bohaterów. Wszak większość wymierzany przez niego ciosów nie dosięgała bezpośrednio wroga, a trzymany przez niego tarcz z drewna oraz stali. Do tego przeciwnik napierał bez ustanku i w efekcie zdobywał coraz więcej pola. Szybko więc stało się jasne, że bramy nie uda się odbić, a wróg nie ustąpi. Dlatego wszystko, co mógł obecnie uczynić Złoty, to spróbować jak najdłużej powstrzymać napastnika.

– Wszyscy przed bramą! Nie dajcie nikomu się przedrzeć! – krzyczał i obserwował z zacięciem, jak zaopatrzeni w prostokątne tarcze i krótkie

miecze oddani mu ludzie formują prawdziwą złotą ścianę. A że było ich kilka dziesiątek, gdzie reszta zajęła stanowiska na palisadzie, złocisty kordon był szczelny i skutecznie powstrzymywał nacierających toporników. Lecz tylko do czasu, gdy w bitwie o bramę decydującą różnicę zrobiła zaledwie jedna, za to monstrualna, osoba.

Oto na kładkę nad otwartymi wrotami, tylko sobie znanym sposobem, wskoczyła poznana już przez Złotego olbrzymka. W świetle srebrzystego dnia prezentowała się jeszcze okazalej i ze względu na potężną posturę doprawdy można było mieć wątpliwości czy była ona w pełni człowiekiem. Przywdziewała szare niedźwiedzie futro, a dodatkowo jej głowę osłaniał otwarty hełm z czaszki morskiego nosorożca z dumnie sterczącym kłem. Jej pierś zdobiły naszyjniki z antracytowych i grafitowych w swej barwie kłów oraz pazurów drapieżnych zwierząt północy. Ponadto kobieta, co ciekawe, w ogóle nie była uzbrojona w broń białą. Lecz bynajmniej nie musiała, ponieważ szybko uzyskała inną, drzewcową.

Nagle z dziecinną wręcz łatwością wyrwała z palisady zaostrzony pal, po czym dwoma wymachami w prawą i lewą stronę strąciła nim rycerzy po swych bokach. Następnie rzuciła zaostrzonym drzewcem, niczym pociskiem z balisty, wprost w grupę królewskich zbrojnych przed bramę. Ci, w liczbie czterech, zostali dosłownie zdmuchnięci z pola bitwy i od morderczego uderzenia rozsypali się na opustoszałym placu za plecami walczących. Z kolei olbrzymka już ważyła w rękach kolejny pal, aby zaraz poczynić nim jeszcze większe spustoszenie w złotych szeregach.

W tym momencie książę ostatecznie zrozumiał, że nie było już co zwlekać i wykrzyczał to, co w tych okolicznościach nieuniknione:

– Odwrót na całej linii! Wszyscy do północnej ściany! – Tam liczył na wyrwanie się z twierdzy dzięki temu, że Marrengo wskaże mu w tym celu sekretne przejście.

Ponadto, zanim rycerze wykonali nawrót, aby podążyć we wskazaną im stronę, młodzieniec wyemanował ze swego złocistego ciała oszałamiający blask wprost w kierunku wroga. Tym samym oślepił go i zdeorientował, dając swym kompanom szansę na skuteczną ucieczkę. Sam pobiegł w te pędy razem z nimi.

Wkrótce doszło do chaotycznej bitwy pomiędzy domostwami, gdzie niedowidzący przeciwnicy ścigali pierzchających rycerzy. Książę

zaopatrzonego w dwuręczny miecz co raz wymachiwał za siebie orężem, trzymając wrogów na dystans, to boleśnie ich ranił, a chwilami poruszał się nawet tyłem. W końcu był mistrzem walki defensywnej, co, jak szybko zauważył, szczególnie skutecznie sprawdzało się w potyczce ze srebrzystymi wojownikami. Oni bowiem, gdy walczyli indywidualnie, zdecydowanie preferowali brawurowy atak. Dzięki temu obecnie niemal każdy sparowany cios topora kończył się poprawką Złotego, który ostrą klingą skutecznie kontratakował. Wsuwał miecz pod tarczę i rozcinał uda, to prowadził broń z boku, dosięgając opatulonego futrem ramienia czy barku.

Lecz z czasem wokół coraz bardziej przybywało toporników, a ubywało rycerzy. Dlatego w pewnym momencie książę zaprzestał czynnej walki i zdecydowanie pobiegł zygzakami pomiędzy zabudowaniami. Przeskakiwał konających i rannych oraz porzucony sprzęt gospodarski, jak taczki czy wózki. Odganiał też od siebie spłoszony drób, który w panice wzlatywał nad ziemię, obficie syjąc szarym pierzem. Aż młodzieniec szczęśliwie dopadł do północnej ściany.

Tutaj z radością powitał Marrenga, który stał w skalnej wnęce i podawał dłoń nadciągającym rycerzom, pomagając im się wspinać, by dalej podążali wydrążonym we wzniesieniu tunelem. Natomiast koło niego oparta była o skałę olbrzymia tarcza z drewna z wymalowanym herbem klanu Srebrzystej Stali, która dotąd zasłaniała sekretne przejście. A już zaraz Złoty pochwycił żyłastą dłoń Marrenga i został przez niego podciągnięty do góry, po czym nie zwlekając, rzucili się wspólnie do dalszej ucieczki.

Ciemnym zygzakowatym tunelem, oświetlanym pochodnią trzymaną przez przywódcę Srebrzystej Stali, biegli naprawdę długo, co raz schodząc ku dołowi, to wspinali się po nierównym gruncie. Było tu zimno, śmierdziało stęchlizną, a poza piszczeniem pierzchających spod stóp szczurów rozchodziło się echo gniewnych wrzasków, które wzbudzały ciarki na plecach. Złoty bowiem rozpoznawał źródło tych wściekłych krzyków, którym była mocarna olbrzymka, darcie gardła do sekretnego przejścia najwyraźniej odreagowująca frustrację z powodu ucieczki jej ludzkiego inwentarza.

Aż precyzyjnie się przez raptem zwężone mocno przejście, uciekinierzy ponownie powitali jasne światło dnia u wylotu tunelu.

Jednakże tutaj miejsce ulgi szybko zajęła groza, ponieważ natrafili na rozgorzałą już bitwę.

Zaskoczony Złoty potrzebował dłuższej chwili, aby się należycie rozeznać gdzie, kto i z kim tutaj walczył. Wkrótce skonstatował, że wyjście leżało w niewielkiej kotlinie otoczonej sporymi wzniesieniami, które całe naszpikowane były szarymi głazami. I to właśnie zza okazałych kamieni wychylali się wrodzy wojownicy, posyłając strzałę lub ciskając oszczepem. W efekcie w całej kotlinie leżały liczne ofiary i to zarówno po stronie cywili z osady, jak i królewskich żołnierzy. Zaś ich reszta tłoczyła się dalej przy wąskim wyjściu z niecki. Jednak sytuacja na polu bitwy ulegała już diametralnej zmianie, ponieważ z wyższych partii gór nacierali na wroga srebrzyści wojownicy Marrenga i wywiązywała się tam bezpośrednia walka.

W pierwszym odruchu Złoty chciał włączyć się do bitwy, ale przywódca Srebrzystej Stali szybko skierował jego uwagę na grupę głazów nad przejściem. Książę w lot zrozumiał, co było priorytetem – należało jak najprędzej spuścić z góry małą lawinę, aby zabezpieczyć wylot tunelu.

W rezultacie, gdy inni wojownicy toczyli na wzgórzach twardy bój, on na czworaka wspiał się pospiesznie z kompanem nieco wyżej. Wybrali okazały blok skalny w kształcie nieforemnego prostokąta, po czym wspólnie natarli na niego ze wszystkich sił.

Ten początkowo stawiał opór niczym kolejny trudny przeciwnik w prowadzonym boju. Lecz w końcu dał się pokonać i runął w dół, w chmurze pyłu oraz gruzu ciągnąc za sobą całe rumowisko, które z hukiem dokładnie zasypało wylot tunelu.

Jednocześnie potyczka na wzniesieniach dobiegła już zwycięskiego końca. Dlatego zgodnie z następnymi wskazaniem Marrenga nie pozostało obecnie nic innego, niż zabrać ze sobą rannych z kotliny i nie zwlekając, wycofać się na zachód. Tak też zostało niezwłocznie uczynione.

XXXIII. KASZTAN, RUDA I ZIELEŃ

Zieleń patrzyła na dynamiczny rozwój wypadków w Wielkiej Puszczy z dużym pomieszaniem. Albowiem Malachitowy Król w sojuszu z brązowymi istotami rzeczywiście skutecznie pokonał północne zagrożenie. Jednakże z drugiej strony zaprowadzane obecnie w zielonym królestwie apodyktyczne rządy budziły oczywisty sprzeciw. Ponieważ co z tego, skoro na północy już nie wycinano Wielkiej Puszczy, jeżeli pojmani robotnicy oraz drwale zostali zniewoleni i zmuszeni do pracy w samy sercu lasu? A jakże, właśnie przy jego wycince. Malachitowy Król otoczył się bowiem wiernymi dworzanami i zarządził wybudowanie dla siebie monumentalnej siedziby – Drewnianego Pałacu. Zatem ogołacane z gałęzi drzewa znów zapłakały, a potem oddały swój żywot na ołtarzu wygórowanych ambicji zielonego władcy. W ten sposób Wielka Puszcza, która od wieków skutecznie obywała się bez naczelnej władzy, teraz doznawała zarówno blasków, jak i cieni związanych z nową dyktaturą. Podobnie swoistemu rozdarciu uległo też zielone serce wiły.

* * *

Po ostatnim paśmie sukcesów Ruda była zdeterminowana, by twardo negocjować z Malachitowym Królem warunki nowego kontraktu. Już jej bowiem zapowiedziano, że władca tych kniei uważał ją za postać niezbędną w Wielkiej Puszczy i to zarówno do zaprowadzenia ładu, utrzymania go w ryzach oraz wprowadzenie adekwatnych zmian. Niewątpliwie będzie więc mogła wymusić liczne gratyfikacje w zamian za swe dalsze usługi. Także za użyczenie talentów całej Spiżowej Braci, gdzie Mahoniowi bliźniacy byli na ten przykład całkiem biegli w rysunku technicznym i zostali głównymi inżynierami wznoszonej w lesie monumentalnej budowli z drewna. Podobnie robot Ugier okazywał się niezwykle przydatny, przeprowadzając w mgnieniu oka zaawansowane obliczenia, dzięki którym wspomagał kasztanowych braci elektronicznym umysłem.

Wszakże jedynie umysłem, ponieważ pomna jego wyczerpującego się akumulatora Kasztan, kategorycznie zabroniła mu zużywać większe pokłady energii na pracę fizyczną. Zresztą i Ruda stała na takim samym stanowisku, bo chciała jak najdłużej zachować przy sobie coraz bliższego jej sztucznego przyjaciela, chyba najlepszego, jakiego dotąd miała. Ponieważ z nim, co tu dużo mówić oraz psem Umbrą, rzecz jasna, najchętniej spędzała czas i nieważne czy ten poświęcony beztroskiemu relaksowi, czy wyteżonej pracy. Teraz jednak jedno i drugie poszło w odstawkę, albowiem nadchodził moment kluczowych negocjacji, w których postanowiła wziąć udział samodzielnie.

Obecnie Ruda dumnie przemaszerowała przez plac budowy w samym sercu Wielkiej Puszczy, gdzie wycięto już wielki areał drzewostanu i w najlepsze trwała dalsza wycinka. Po drodze alabastrowi robotnicy kłaniali jej się w pół, ponieważ dała się już poznać, jako bezwzględna nadzorczyńi i w razie niesubordynacji kategorycznie podwyższała limity pracy, za to obniżając racje żywnościowe i czas wypoczynku. W końcu musiano się z nią liczyć. Następnie przez jeszcze nieukończoną bramę wejściową dziewczyna w luźnym brązowym ubraniu i pirackiej czapce pofatygowała się do wnętrza drewnianego pałacu, którego postawiono dopiero parter. Tutaj zmysł powonienia drażnił ostry zapach żywicy pochodzący ze świeżo pociętych jeszcze niepolakierowanych desek. Natomiast sala, gdzie Malachitowy Król przyjmował gości, co prawda prezentowała się, jako odpowiednio obszerna, jednak jej wystrój był ciągle dość ubogi i poza tronem skleconym z kilkunastu rodzajów drewna widniały tu tylko drewniane kolumnady. Przy czym usytuowane w dwóch szpalerach, stanowiły one zarazem przyszłe podpory dla całej konstrukcji i jak wszystko były w stanie surowym bez zdobień, a nawet nie do końca oheblowane i z elementami kory.

Wszak Ruda bynajmniej nie przybyła tu, aby podziwiać wschodnie dzieła architektury, a wynegocjować dla siebie jak najlepsze warunki pobytu w Wielkiej Puszczy. Dlatego dumnie zajęła miejsce w pierwszym rzędzie przed samym tronem. Zaś w szeregu towarzyszyła jej jedyna w swoim rodzaju zbieranina sługusów leśnego monarchy. Pogardliwie nazywała ich bandą kuriozum i nie darzyła szacunkiem. Podobnie zresztą jej członkowie sami patrzyli na nią z góry, więc pełna rezerwy relacja była

tu obustronna.

I tak z prawej strony Rudej stała Hipciokryzja. Kobieta z głową hipopotama, która przewodziła pałacowej dyplomacji i podczas dyskusji potrafiła jak nikt odwracać kota ogonem. Natomiast co do kotów z ogonami, to takowy, ale drapieżny i z ludzką sylwetką, do tego konkretnie umięśniony, zajmował miejsce po lewej stronie dziewczyny. A był to budzący powszechny respekt Tygryzator – postać mianowana przez Malachitowego Króla na dowódcę leśnego wojska. Następnie w linii z głównodowodzącym znajdował się Aliarogantor. Wyniosły typ z paszczą aligatora, który otrzymał zadanie nadzorowania budowy pałacu i ciągle patrzył na ręce mahoniowym bliźniakom. Poza tym były tu mniej znaczące królewskie dwórki jak Lewkonia, nawiasem niezbyt urodziwa dama z głową lwa oraz Słonina, która, co tu dużo mówić, według Rudej powinna zdecydowanie schudnąć. Choć z drugiej strony jej otyła figura całkiem dobrze komponowała się z głową słonicy o ludzkiej sylwetce. Ponadto nieco dalej, obserwujący wszystkich podejrzliwym wzrokiem, przycupnął Żyrafon. Mężczyzna z niebotycznie długą szyją i łbem żyrafy, będący obserwatorem i sprawozdawcą bieżących wydarzeń na królewskim dworze. Zaś sam król... Ten kazał na siebie czekać i obecnie jego koślawy tron z wystającymi tu i ówdzie drzazgami ział pustką.

Chwila absencji władcy się przeciągała, przez co zgromadzeni dworzanie niebawem rozluźnili swe szyki i podobierali się w mniejsze i większe grupki. Ruda zrozumiała, na co się zanosilo – kularowe rozmowy – w końcu podobne zachowanie oglądała już w budynku senatu, do którego zabrał ją kiedyś ojciec. Dlatego nie zdziwiło jej, że korzystając z okazji, podeszła do niej Hipciokryzja i niby od niechcienia zagadnęła:

– Więc pochodzisz, zacna panienko, z zachodniej krainy. Zaiste to wspaniałe państwo, winszuję.

– Co w nim takiego wspaniałego? – rzuciła wyzywająco Ruda, przekonana, że kobieta z głową hipopotama nie miała zielonego pojęcia o Kasztanowej Republice. I rzeczywiście...

– Cóż... co wspaniałego? Zamierzałam to właśnie usłyszeć z twych brązowych ust, kasztanowa panienko – wywinęła się zręcznie dyplomatką i sama docięła: – Choć twe beżowe wargi wyglądają trochę, jak drzewna kora.... Jesteście tam, w tej republice, spokrewnieni może z entami?

– Nie – warknęła podirytowana dziewczyna: – Za to wśród naszych przodków zdecydowanie dominują łowcy hipopotamów! A mój domowy kominek zdobią ich okazałe łby!

– Kto, kto się bierze za łby? – wtrącił się naraz Tygryzator, a Hipciokryzja się dyskretnie ulotniła.

– Nikt się nie bierze, na razie – ucięła ostrzegawczo Ruda, mierzona krytycznym wzrokiem przez drapieżnego osiłka. Ten dodatkowo obnażył ku niej potężne kły. Ale jego równie potężną sylwetkę przysłonił zaraz Aliarogantor, który chętnie zaznaczył:

– Tylko spokojnie i niech kasztanowa dziewczyna zna swoje miejsce w Wielkiej Puszczy. Albowiem jest tu tylko gościem i chociaż, jak do te pory, względnie mile widzianym, to się może szybko zmienić, wręcz w mgnieniu oka. – Łypnął na Rudą krokodylim ślepiem, iskrzącym się zielenią. Zaraz jednak razem z Tygryzatozem został zapobiegawczo odprowadzony na bok przez Słoninę. Za to jego miejsce koło dziewczyny zajęła Lewkonia. Ta uśmiechnęła się dla odmiany całkiem przymilnie i pogładziła swój dość ordynarny naszyjnik, gdzie na lianie zwisało jaskrawozielone jajo. Co więcej, było ono przezroczyste, a w jego wnętrzu wydawały się pomykać fluorescencyjne iskierki.

– Co to takiego? – zainteresowała się Ruda i nie czekając na odpowiedź, dotknęła niezwykłego przedmiotu. – Ajć! – Zabrała gwałtownie palec, który został konkretnie popieszczony prądem. Zaś kobieta z lwią głową popatrzyła z dumą na swoją biżuterię i z uczuciem powiedziała:

– Śliczne, nieprawdaż?

– Prawdaż, ale i elektryczne zarazem! – zauważyła z rodzącym się entuzjazmem Ruda i łakomie naciskała: – No nie daj się prosić, wyjaw mi, co takiego nosisz na szyi?

– Ależ... to oczywiście tylko rdzeń jaja omatomby – oznajmiła z udawaną skromnością Lewkonia, poprawiając lwią grzywę, która stanowiła perukę. – Jedynie z nadania Malachitowego Króla jego ulubione dwórki mogą nosić takie ozdoby – stwierdziła dla odmiany nieco zazdrośnie, widząc, jak Ruda wręcz pożerała wzrokiem elektryczną błyskotkę. Potem przekierowała uwagę rozmówcy na drewniany tron: – A oto i Nasza Roślinność, zielony władca, pokłońmy się. – Po tej sugestii Lewkonia obniżyła znacząco swoją lwią głowę i do kompletu zgięła ludzkie plecy. Podobnie uczynili pozostali

dworzanie, choć nie Ruda, która przekornie wypięła pierś.

Z kolei przybyły Malachitowy Król rozsiadł się nonszalancko na tronie, zakładając na siebie nogi i podpierając drewnianą laseczką. Następnie zastukał nią dwa razy i chrząknął w dłoń, żądając w ten sposób dla siebie należnego posłuchu. Kolejnym zaś jego gestem było wskazanie laską wprost na Hipciokryzję, czym dawał do zrozumienia, że ta przemówi w jego imieniu. Ona nie dała na siebie długo czekać, tylko otworzyła potężną paszczę hipopotama i tubalnym głosem oświadczyła:

– Jak powszechnie już wiadomo, za sprawą naszego szlachetnego władcy udało się nam położyć tamę absolutnemu barbarzyństwu, to jest wycinie lasów na północnych połaciach Wielkiej Puszczy. Za to obecnie, ku czci tego wspaniałego zwycięstwa, wycinamy drzewa w sercu wiecznego lasu, czyniąc to w słusznej sprawie, również ku chwale zielono nam panującego króla. Oby jego Roślinna Malachityczność kwitła wiecznie. – Po tej deklaracji dyplomatka ukłoniła się w pół.

– Hipokrytka... – syknęła do niej Ruda, a władca, którego duma została właśnie należycie połączona, wskazał laseczką na Żyrafona. Te wyprostował się tak, że dzięki niezwykle długiej szyi niemal dwukrotnie górował wzrostem nad pozostałymi bywalcami drewnianej komnaty i nosowym głosem zakomunikował:

– Wypada wszak nadmienić, że na pograniczu z wielkim księstwem Alabaster zaobserwowano wzmożone ruchy obcych wojsk. W tym zarówno pieszych, jak i skrzydlatych.

– Podglądacz... – docięła kasztanowa dziewczyna, która w zasadzie każdemu, tylko nie sobie, miała coś do zarzucenia. Natomiast teraz, za wskazaniem władcy, głos zabrał Tygryzator:

– Wśród namierzonych nieprzyjaciół zidentyfikowaliśmy już wojownicze gryfy z łucznikami na ich grzbietach oraz znaczną ilość srebrzystej piechoty. To kilka dziesiątek intruzów, z których siłą należy się liczyć. – Muskularny mężczyzna z głową tygrysa zagryzł masywne szczęki i zacisnął w pięści dłonie zaopatrzone w długie pazury.

– Tępy mięśniak – warknęła ku niemu Ruda. A zaraz już wsłuchiwała się w wyniosły głos Aliarogatora:

– Niezależnie od wydarzeń na północy nie może nam umknąć kwestia utrzymania intensyfikacji prac przy budowie Drewnianego Pałacu. Dlatego

nawet nie ma mowy o negocjacjach pokojowych z księstwem Alabaster i potencjalnym zwolnieniu jeńców. Wręcz przeciwnie, uważam, że...

Naraz Malachitowy Król wznosił dłoń i pokazał laseczką na Hipciokryzję, aby to ona dokończyła wątek. Ta ukloniła się ponownie i już wyprostowana kontynuowała:

– Uważamy, że dla dobra Wielkiej Puszczy przyda się na jej usługach więcej ludzkich niewolników. Ponadto za niezbędne uznajemy zacieśnienie współpracy z zacieźną Spiżową Barcią pod przewodnictwem obecnej tu Kasztan. – Tym razem ukłon Hipciokryzji powędrował do nadymającej się z dumy Rudej, po czym kobieta z głową hipopotama przedstawiła konkretną ofertę: – W zamian za dotychczasowy wkład we wsparcie Wielkiej Puszczy niejaka Kasztan może otrzymać w dzierżawę wielkie połacie lasu. Granica podarowanego terytorium przebiegałaby od Spalonej Polany wzdłuż rzeki Mroczniak płynącej aż do Centralnej Czeluści. Jednakże warunkiem otrzymania tego zielonego skarbu jest zapuszczenie korzeni w Wielkiej Puszczy i dalsza służba na jej rzecz.

– Zapuszczenie... korzeni? – zapytała nieco zdezorientowana Ruda, spoglądając na Malachitowego Króla, to Hipciokryzję. Ta wyjaśniła:

– Mamy tu na myśli oczywiście trwałe osadnictwo. Innymi słowy, prawo do nadanych ziem zostałoby utracone wraz z samowolnym opuszczeniem terytorium Wielkiej Puszczy bądź niepodporządkowaniu się wytycznym roślinie nam panującego monarchy.

– Aha... – zadumała się na moment kasztanowa dziewczyna, rachując za i przeciw przedstawionej ofercie. Przy czym autentycznie pożałowała, że nie miała u boku zaufanego robota Ugiera, który szybko policzyłby w procentach sensowność wikłania się w zaproponowany układ. Choć zaraz się okazało, że przywódczyni Spiżowej Braci nie zostały do tej pory przedstawione wszystkie zmienne potrzebne do wnikliwych obliczeń:

– Ponadto wypadałoby nadmienić, że odmowa przyjęcia udzielonej szcudrobliwie łaski roślinie nam panującego może zostać odczytana za obrazę stanu, majestatu, w tym także flory oraz fauny i w ogóle wszech zieleni.

– No i...? – dopytała z krzywym uśmiechem Hipciokryzji Ruda. Zaś uzyskana odpowiedź sprawiła, że jej uśmiech na brązowym licu całkiem skwaśniał niczym po przeżuciu tutejszego owocu, cytryny.

– Występek przeciw roślinnemu majestatowi może w prostej lianie, to jest linii... prowadzić do włączenia kasztanowych istot w poczet ich srebrzystych oraz alabastrowych odpowiedników.

– Czyli?!

– Niewolników – podsumowała dobitnie kobieta z głową hipopotama. W tym momencie Ruda zrozumiała, że w toczącej się debacie została właśnie przyparta do drewnianego muru i aby uzyskać lepszą pozycję negocjacyjną, natychmiast przeszła do słownej kontrofensywy:

– Wszystko zieloniutko pięknie, wręcz liściasto wybornie... ale, na spróchniałe kasztany i zgniłe orzechy! – Podniosła palec, jak i głos, po czym dumnie oświadczyła: – Żeby należycie wspomóc północną granicę, cały czas muszę przebywać właśnie tam, a nie w okolicach Płonącej Polany. Stąd żądam dla siebie ziem z północnego pogranicza, a mianowicie zbudowanego przez wroga portu. Do tego zajmę w wieczyste użytkowanie tereny, na których alabastrowi ludzie wycięli już drzewa oraz pragnę takiej samej ilości zalesionego areału! – Dziewczyna zrobiła pauzę i z satysfakcją przyjrzała się skonfundowanej Hipciokryzji, a kiedy nasyciła się tym widokiem, dodała: – W zamian proponuję więcej, niż możecie sobie wyobrazić. Mianowicie postawię na północnym odcinku granicy warowny fort, który będzie... nie-do-zdo-by-cia! I oprze się wszelkim najazdom barbarzyńców. Ponadto wyszkolę garnizon leśnych wojsk, aby obsadzić nim twierdzę. W ten sposób chroniąc siebie, będę chronić również wasze zielone tyłki, jak i pozieleniałe dupsko całej Wielkiej Puszczy. Co wy na to?! – zakończyła wyzywająco, wspierając swe boki pięściami.

W odpowiedzi kobieta z hipopotamią głową nachyliła się nad wyraźnie zaniepokojoną propozycją Malachitowym Królem. Następnie toczyła się przy nim, prowadzona szeptem, dłuższa wymiana zdań. Do niej zaś zaproszeni zostali kolejno inni przedstawiciele zgromadzenia, jak Żyrafon, Tygryzator, Aliarogantor, czy nawet dwórki, Lewkonie oraz Słonina. Słowem, wszyscy poza Rudą, która pozostała samotnie naprzeciw tronu.

Aż wreszcie człekokształtne istoty zwróciły się ku niej przodem i uroczyście przemówiła Hipciokryzja:

– Mam zaszczyt ogłosić, iż Nasza Roślinność, Malachitowy Król, wyraża na zaproponowany układ zgodę!

– To świetnie – ucięła tylko Ruda, spodziewając się takiego rozwoju

wypadków. Przekrzywiła głowę w bok, splunęła bezczelnie przez szparę między zębami i patrząc spode łba na radę króla oraz jego samego, złośliwie docięła: – Zupełnie przypadkiem zapomniało mi się dodać, że za mój dalszy wkład w ocalenie Wielkiej Puszczy. Ocalenie jej przed nieuchronnym zniszczeniem, śmiercią i pożogą – zaznaczyła. – Oczekuję jeszcze tego. – Wbiła pożądliwe spojrzenie w jarzący się jaskrawą zielenią klejnot zwieszony na szyi Lewkonii. W odpowiedzi kobieta z głową lwa, niczym prawdziwa lwica, obnażyła gniewnie imponujące zębiska, a w jednej linii razem z nią stanął gotowy do konfrontacji Tygryzator. Jednak Słonina wespół z Hipciokryzją szybko tamowały bojowe nastroje pary drapieżnych dworzan, podczas gdy Żyrafon oraz Aliarogantor pozostali niewzruszeni.

A zaraz energicznie zastukał laseczką w podłogę sam Malachitowy Król, czym skutecznie zwrócił na siebie uwagę i królewska rada ponownie rozpoczęła ściszym głosem debatę. Choć tym razem co raz przerywaną pretensjonalnymi miauknięciami, groźnym porykiwaniem, złowieszczym trąbieniem czy żalonym wyciem oraz posykiwaniem.

W tym czasie Ruda zaplotła ramiona na klatce piersiowej i pogwizdując, spokojnie czekała na wynik prowadzonej rozmowy, pewna, że zakończy się ona po jej myśli. W końcu zdawała sobie sprawę, że mieszkańcy Wielkiej Puszczy byli pod presją wielkiego księstwa Alabaster. Zaś o tym władztwie dziewczyna pamiętała z lekcji historii tyle, że należało się z nim liczyć. Zatem władcy lasu potrzebowali pomocy i musieli jej szukać właśnie u niej.

I nie inaczej, już wkrótce przywódczyni Spiżowej Braci w świetnym humorze opuściła fundamenty Drewnianego Pałacu, do tego nonszalancko podrzucając jaskrawo-zielone jajo omatomby. Chociaż teraz, nauczona doświadczeniem, czyniła to w wyciągniętych z kieszeni rękawicach roboczych.

Natomiast ze zdobytym przedmiotem wiązała wielkie nadzieje, ponieważ najwyraźniej było to w tej prymitywnej krainie źródło najprawdziwszego prądu. A skoro tak, to nie pozostawało nic innego, jak umiejętnie wkomponować jajo w elektroniczną strukturę robota Ugiera.

Z kolei na samą myśl, że być może zdobyła źródło stałego zasilania dla swego nowego ulubieńca, z radością podrzuciła zdobycz wysoko aż pod konary drzew. Tam błyskotka została pochwycona przez ciekawską małpę.

– Grrrr... – Zirytowana kradzieżą dziewczyna wyciągnęła zza pasa Pifa oraz Pafa, po czym bezwzględnie przymierzyła w bezczelnego małpizona. I już zaraz ponownie mogła się cieszyć jajem w swych rękawicach, gdy wystraszony zwierzak wybałuszył ze strachu oczy, po czym natychmiast wypuścił zdobycz z popieszczonych prądem dłoni. Zaś jego strach był jak najbardziej uzasadniony, bowiem Ruda co i rusz demonstrowała swe strzeleckie popisy, mierząc do wiszących na drzewach soczystych owoców i czyniąc to z wiadomym skutkiem. Zatem mordercze możliwości jej broni były tu już powszechnie znane.

Zresztą w ogóle stawała się coraz bardziej znamienitą personą w Wielkiej Puszczy i mało kto tutaj o niej jeszcze nie słyszał. Albowiem poszła już po leśnych kniejach fama, że to przede wszystkim ona obok Malachitowego Króla przyczyniła się do obrony północnego lasu. Czuła się przez to pewnie, coraz pewniej i dlatego wcale się nie liczyła z królewską radą, a i z samym władcą też nie za bardzo. W końcu była tu teraz z wielu względów nie do zastąpienia, a zdając sobie z tego doskonale sprawę, zamierzała czerpać z tego tytułu należne profity.

W tym właśnie celu wynegocjowała dla siebie korzystniejszą w jej mniemaniu placówkę. Albowiem może i leżała ona na spornym terenie, ale nie umniejszało to faktu, że na ogołoczonej już z drzew ziemi, pod jej wierzchnią warstwą, odkryła roponośne źródło. A dodatkowo miała już w okolicy zbudowane całe zaplecze niezbędne do załadowania czarnego skarbu na statki i nimi właśnie pragnęła otworzyć szlak morski południem kontynentu aż do Kasztanowej Republiki. Stwierdziła bowiem, że podróż sterowcem była zbyt ryzykowna, zresztą sama się o tym już przekonała. Za to morze wydawało się w tym względzie o wiele bezpieczniejsze i to nad nim chciała na dobre zapanować Ruda, jak na herszta piratów przystało.

W konsekwencji czym prędzej przystąpiła do budowy wokół portu masywnych fortyfikacji, a jednocześnie wytrwale szkoliła zwierzęce wojsko, aby te skutecznie oparło się nadciągającemu wrogowi. W ten sposób, zgodnie z zapowiedzią, chroniła swoje, jak i swego malachitowego zwierzchnika, włości.

XXXIV. SEPIA DE BRUTON

Brunatown – stolica Kasztanowej Republiki ucieleśniająca jej wszelakie blaski i cienie, zarówno spektakularne osiągnięcia, jak i te elementy, które władcy tej krainy pragnęliby skryć skrzątnie przed światem. Zaś jadący koleją do centrum miasta na obrady senatu Sepia de Bruton miał okazję podziwiać wszystko, co składało się na republikańskie osiągnięcia technologicznego rozwoju. Trasa linii kolejowej wiodła bowiem do bogatego serca miasta przez peryferia stolicy, czyli dzielnice robotnicze, a nazywając rzecz po imieniu – slamsy.

I tak z ekskluzywnego wagonu, gdzie Sepii narzucał się usługujący mu lokaj, obecny minister spraw wewnętrznych spoglądał przez okno na kolejne zmieniające się szybko obrazy. Mijał kilkupiętrowe kamienice z rudej cegły, gdzie straszyły szczerbate ściany, a brązowe lekko spadziste dachy były często dziurawe. Zaś z każdego sterczał dumnie komin, z którego wydobywały się kłęby gęstego dymu w hebanowym kolorze. W konsekwencji nad całym miastem snuła się jakby miedziana mgła odcinająca w dużej mierze jasne promienie słońca. Z tego względu stolica była też nazywana potocznie Ciemnymtown lub pogardliwie Republikańską Czeluścią w nawiązaniu do centralnej krainy, gdzie wiecznie panował mrok. I w szczególności w odniesieniu do robotniczych przedmieść, nie bez wstydu, Sepia przyznawał poniekąd takiemu nazewnictwu rację. Ponieważ dodatkowo na ścianach mijanych budynków osadzało się wyjątkowo dużo ciemnej sadzy, a sami tutejsi robotnicy nie grzeszyli czystością, paradując w pobrudzonych ubraniach roboczych. Zresztą również ulice przedmieść pełne były odpadów, jak zbędnego żelastwa z fabrycznych urządzeń, które taniej było po prostu wystawić na ulicę niż wywieźć z miasta. Podobnie metalowe kontenery na śmieci opróżniano zbyt rzadko i po niezamiatanych chodnikach walało się wiele zniszczonego sprzętu domowego, czy szmat pokrytych brązowymi smarami.

– Nalegam na skosztowanie orzechowego deseru. To tak zwane lody

prosto z nowego cudu techniki, który pozwala zachować w pudełku mroźny klimat rodem z samych Alabastrowych Gór. I... uprzejmie zaciągnę jeszcze zasłonę na okno. Widok za nim jest, cóż... proszę, oto lody – uciał lokaj, który kolejny raz przystanął przy Sepii, tym razem kładąc na stoliku salaterkę z łyżeczką wbitą w, zdawałoby się, śnieżną substancję o kolorze palonego orzecha.

Z kolei minister, przyglądając się lokajowi, stwierdził, że jego nienaganny brązowy strój kamerdynera silnie kontrastował z obrazem za oknem. Następnie gestami dłoni dał znak, że godził się w końcu na deser, choć nie życzył sobie pozbawiania go widoku zza szyby pociągu. Na co służący się uklonił w dystyngowany sposób i wyjmując z kieszeni surduta płaskie pudełeczko, jeszcze zasugerował:

– Tabaki? A może cygaro?

Jednak Sepia zdecydowanym ruchem ręką dał do zrozumienia, że niczego więcej nie potrzebował i na pewien czas udało mu się pozbyć natręta. Gdy został sam, nawet z pewnym zaciekawieniem uszczknął łyżeczką deser, który został mu zaprezentowany, jako lody.

Były naprawdę zimne, wręcz lodowate, co minister przyjął z przyjemnością, albowiem w przedziale dla prominentów, gdzie przebywał, zrobiło się naprawdę gorąco z powodu podgrzewanych foteli. Dlatego rozwiązał sobie jeszcze muchę pod brodą, aby swobodniej oddychać i chłodząc się orzeźwiający deserem, kontynuował oglądanie miejskich pejzaży.

Obecnie pociąg wjechał już w bogatszą dzielnicę miasta, gdzie gmachy były okazalsze, a przede wszystkim solidarnie otynkowane różnymi odcieniami brązu. Także mieszkańcy prezentowali się schludniej. Damy przechadzały się w garsonkach lub sukniach, do tego z parasolkami w dłoniach, a mężczyźni paradowali we frakach oraz surdutach. Na ulicach zaś jechały bryczki, a także dało się zauważyć swoiste nowum, czyli czterokołowe pojazdy zasilane jedynie silnikami spalinowymi. Były to kolejne już cuda techniki i prawdziwa perełka dynamicznego rozwoju przemysłu w stolicy.

Niebawem skład pociągu zatrzymał się na stacji w samym centrum metropolii i Sepia de Bruton, po posileniu się uprzednio orzechowym deserem, który spałaszował do końca, wyszedł na zatłoczony peron. Dzięki

temu, że zabrał ze sobą tylko podręczną teczkę z dokumentami, zdecydował się udać pieszo do pobliskiego gmachu senatu, gdzie wkrótce zawitał.

Odwiedzany budynek ze względu na swój wiek cechował się dawniejszym typem architektury. Mianowicie zawierał tylko parter i poza przedsionkiem w swym wnętrzu prezentował wyłącznie jedną siedmiokątną salą. Jej ściany okalało siedem spiralnie wznoszących się rzędów ław, a zasiadali w nich szeregowi posłowie partii republikańskich. W tym przede wszystkim Orzechowego Postępu, Kasztanowej Równowagi oraz nieliczni deputowani nowej formacji politycznej z tak zwanego Kręgu Siedmiorakiej Odnowy.

Sam Sepia de Bruton, czym się zresztą szczycił, przynależał do Kasztanowej Równowagi i obok pozostałych sześciu ministrów zajmował miejsce za wydzieloną samodzielnie ławą usytuowaną w samym centrum sali. Tam też stało biurko, gdzie swoje siedlisko miał wybierany co siedem lat prezydent, którym obecnie mienił się Bronz de Herban także z Równowagi.

Nastało już późne popołudnie, kiedy w holu gmachu senatu minister spraw wewnętrznych pozostawił portierowi na przechowanie melonik oraz laseczkę, po czym poszedł zasiąść na przynależnym mu miejscu. Gdy to uczynił, natychmiast rozpoczęto obrady. Wszyscy bowiem byli już obecni, zaś Sepia nieco się spóźnił. Wszak nie z własnej winy, a z powodu opóźnienia pociągu.

Na początku głos zabrał minister spraw zagranicznych, czyli Palisander z Orzechowego Progresu. Albowiem w planie obrad na dziś wieczór znalazło się przede wszystkim zajęcie wspólnego stanowiska wobec ostatnich spektakularnych wydarzeń w Królestwie Zachodzącego Słońca.

Tytułem wstępu Palisander kurtuazyjnie pochwalił kolejno generalicję, kadre oficerską oraz szeregowych żołnierzy Kasztanowej Republiki, którzy niemal bez strat własnych przeszli zwycięsko przez całą kampanię wojenną w królestwie. Ponadto minister zaznaczył, że wszystkie główne cele kampanii zakończono osiągnięciem sukcesu. W tym, co najistotniejsze, wojna została błyskawicznie rozstrzygnięta bez uszczerbku dla gospodarek zwaśnionych stron oraz koronowano na króla Tycjana, osobę zdecydowanie sprzyjającą republice. Potem Palisander zwrócił się do prezydenta, jak i deputowanych o przedłużenie mu uprzednio przyznanych specjalnych

prerogatyw w kwestii ostatecznego rozwiązania kryzysu z północnym sąsiadem. Wtedy jednak do głosu doszli jego oponenty i tak rozpoczęła się tradycyjna w gmachu senatu zażarta debata:

– Ależ, o czym my tu w ogóle prawimy?! – przemówił z pretensją mecenas Ochra, ojciec Brunatnej, a deputowany z ramienia Kręgu Odnowy. – Toż nazwijmy poruszaną kwestię po imieniu. Otóż minister spraw zagranicznych pragnie usankcjonować swą namiestnikowską władzę na bezprawnie okupowanym przez republikę terenie naszego południowego sąsiada. Do tego sąsiada, z którym od wieków żyliśmy w komitywie. A teraz? – Zrobił pauzę i wygrażając pięścią, wzburzony zagrział: – Przecież podstępnie wbiliśmy królestwu nóż w plecy, obiecując pomoc w walce z mrokiem, a finalnie stając po stronie Centralnej Czeluści. To skandal! Żądam natychmiastowej dymisji szacownego Palisandra!

W odpowiedzi z nielicznych miejsc zajmowanych przez członków Kręgu Siedmiorakiej Odnowy rozległy się energiczne oklaski. Dla odmiany w licznych rejonach przedstawiciele Kasztanowej Równowagi nie nastąpiło żadne poruszenie, a wśród zwolenników z partii Progresu rozbrzmiało pretensjonalne buczenie. Z kolei obecny przewodniczący tej ostatniej formacji, Palisander, wypiął dumnie pierś, poprawił klapy beżowego fraka, w który był ubrany i dumnie odparł:

– Pragnę zauważyć, że od samego początku w kampanii na północy działałem i nadal działam w imieniu oraz dla dobra republiki, jako jej lojalny urzędnik. Przypominam też, że zadeklarowałem się interweniować w królestwie, mając na względzie przede wszystkim rację stanu i zgodnie z nią ostatecznie postąpiłem. Ponadto memu działaniu przyświecał również czysto altruistyczny cel, który pozostaje niezmienny. Mianowicie niesienie kaganka postępu, rozwoju i oświaty także do sąsiednich krain, a nie zachowywanie całego dobrodziejstwa republikańskich zdobyczy wyłącznie w jej ciasnych granicach.

– I w tym celu musisz pan, panie Palisander, odbierać suwerenność obcemu państwu?! – nie ustępował deputowany Ochra, przekrzykując nagle wręcz ogłuszający aplauz przedstawicieli Progresu.

– Czasowe ograniczenie suwerenności można uznać za mniejsze zło poczynione wobec zanieśienia większego dobra w postaci cywilizacyjnego rozwoju – stwierdził tylko wymijająco Palisander. Na co ojciec Brunatnej

szybko ripostował:

– Może więc należałoby tu dodać, iż wraz z dobrodziejstwami technologii zaniesiemy do naszego sąsiada smog, choroby płuc, a także fabryki z robotniczą pracą ponad siły. Również kopalnie, gdzie wydobycie węgla nieraz przyplacane jest ludzkim życiem. Zaś wszystko to stanowi jawny wyzysk w imię nabijania kabz takich krwiopijców, jak wy, panie Palisander!

Nastąpiła dłuższa chwila konsternacji i mrużenia pomiędzy sobą deputowanych. Aż w opanowany sposób przemówił minister spraw zagranicznych:

– Pragnę zauważyć, że sprawy zdrowia oraz gospodarki nie stanowią mojej domeny. Zgodnie z przyznaną mi teką i powierzonym zadaniem, które pragnę kontynuować, zamierzam zaprowadzić w królestwie stabilizację polityczną. Lecz na takich warunkach, które będą oznaczać progres, znaczący oraz trwały progres dla całego regionu. Mam tu na myśli cały zachód kontynentu Unton, który sumarycznie tylko na tym skorzysta wraz ze wszystkimi jego obywatelami.

– Progres!

– Rozwój! – rozbrzmiały gromko zachęcające okrzyki zwolenników ministra spraw zagranicznych, a wielu z nich wstało, aby podkreślić swój entuzjazm dla właśnie zasłyszanych słów. Choć także wśród przeważających na sali przedstawicieli Równowagi posypały się liczne oklaski. W ten sposób osamotniona grupa Odnowy znalazła się podczas debaty w zdecydowanej defensywie. I kiedy wydawało się, że nie pozostało nic więcej, jak przegłosować specjalne prerogatywy Palisandra, który już odbierał liczne gratulacje, ściskając dłonie swych zwolenników, głos raz jeszcze zabrał Ochra:

– Czy zatem my, światli obywatele republiki, mamy oddać temu tu ministrowi spraw zagranicznych nadrzędną władzę w królestwie, aby ten wprowadził na jego, jak i na naszej ziemi, niewolnictwo?

Po tym śmiałym zapytaniu cała sala nagle zamarła. Zaś w powstałej ciszy Ochra zaszeleścił w górze trzymanym w dłoni dokumentem. W tym momencie jakby przebudził się nieco przysypiający w fotelu za biurkiem prezydent i wezwał do siebie przedstawiciela Kręgu Siedmiorakiej Odnowy. A już zaraz wczytywał się w zaprezentowany dokument.

– Zarządzam godzinną przerwę... – oznajmił ciężkim głosem, po przewertowaniu zapisanej treści. Odpowiedziały mu głosy pełne niepokoju oraz niedowierzania, albowiem do wszystkich zebranych już dotarło, że najwyraźniej coś było na rzeczy. Natomiast kwestia niewolnictwa od wieków nie podlegała w Kasztanowej Republice dyskusji. Było ono już od dawna napiętnowane, kategorycznie zabronione i wydawało się, że nikt nie wyobrażał sobie do niego powrotu.

To jest prawie nikt, a wyjątek stanowił właśnie Palisander, prawdziwy jastrząb nawet wśród przedstawicieli swej agresywnej partii Progresu. Lecz z kwestią restauracji niewolnictwa został już swego czasu zaznajomiony też Sepia de Bruton. Teraz zaś minister spraw zagranicznych przydybał go stojącego pod ścianą podczas przerwy i nie pozostawił mu złudzeń, jak ma się zachować podczas wznowienia obrad. Oto bowiem przekazał mu wieści, że w kwestii odnalezienia zaginionej Kasztan zawarł stosowne porozumienie z samą wielką księżną Alabaster. Ona z kolei miała poruszyć cały wschód kontynentu Unton, aby odnaleźć młodą de Bruton. Ponieważ pojawiły się znaczące przesłanki, że dotarła ona sterowcem przez przekłute południe aż do Wielkiej Puszczy. Natomiast warunek realizacji poszukiwań Kasztan był prosty – pozytywna ekspertyza Sepii na temat okresowego przywrócenia niewolnictwa w ograniczonym wymiarze.

– Ogłaszam, iż decydujący głos zabierze minister spraw wewnętrznych, który zdążył się już należycie zaznajomić z bulwersującą nas wszystkich kwestią poruszoną przez deputowanego Ochre – oświadczył po wznowieniu obrad prezydent Bronz de Herban i dodał: – Zaznaczam, że ekspertyzę ministra, w dowód uznania dla jego wieloletniej nienagannej służby na rzecz republiki, należy uznać za wiążącą.

– Otóż... – Dobrze nawykłemu do wystąpień publicznych Sepii zabrakło nagle właściwych słów i zaschło mu w gardle. Dlatego skorzystał z okazji i niespiesznie sięgnął po szklankę wody, po czym równie powoli zgasił pragnienie. W ten sposób zyskiwał na czasie, odwlekając przekazanie do publicznej wiadomości dość nagiętej prawdy, przed czym się wzdrygał. Lecz dobrze wiedział, że jeżeli nie ulegnie Palisandrowi i nie zgodzi się na jego warunki, szanse na odnalezienie Kasztan będą znikome, a on nie będzie miał po co wracać do domu, ponieważ nie spojrzy w oczy żonie. – Tak

więc... – mruknął ponownie i wstał, dzięki czemu też zyskał kilka cennych sekund. Aby się w tym upewnić, nawet wyjął z kieszeni zegarek i przyjrzał się nie tylko jego wskazówkom, ale i misternemu wykonaniu. Następnie już chciał poprosić o możliwość skorzystania z toalety, ale ponaglił go sam prezydent:

– Szacowny panie de Bruton, czekamy...

– Oczywiście... – zreflektował się przywołany do porządku Sepia. A mimo to i tak jeszcze chrząknął w dłoń. Wszak rozumiał, że nie mógł odwlekać w nieskończoność tego, co nieuniknione i nadszedł czas, by w imię interesów własnej rodziny poświęcić los setek ludzi, ściągając na nich cierpienie i zakładając im niewolnicze łańcuchy: – Zatem jak powszechnie wiadomo... – zaczął opłotkami. Popatrzył jeszcze na Palisandra, ale widząc jego nieczułe oblicze, szybko uciekł spojrzeniem i nie ogniskując go na niczym konkretnym, już pewniej kontynuował: – Jak powszechnie wiadomo, w naszym kraju na potęgę szerzą się choroby płuc. W tym nie tylko astma, gruźlica, czy pylica. Ostatnio dochodzi również do wybuchów groźniejszych infekcji, wobec jeszcze nienazwanej przez naszych lekarzy plagi, co może potwierdzić minister zdrowia. W konsekwencji wiele obszarów podmiejskich, w tym przemysłowych, zostało objętych kwarantanną, liczne rodziny robotnicze są izolowane, a ich męscy członkowie, to jest robotnicy, są niezdolni do pracy. Kładzie się to oczywiście cieniem na produkcji przemysłowej oraz wydobywaniu ropy czy węgla. I obecnie... – Sepia de Bruton spuścił nisko wzrok i jakby ze wstydem piskliwie dokończył: – Obecnie uważam, że czasowe wprowadzenie pracy przymusowej wśród więźniów na terytorium królestwa, jak i republiki, znacząco podtrzymałoby rozwój gospodarki do momentu opracowania skutecznego lekarstwa. Takie rozwiązanie uznaję wręcz za doraźną konieczność. Podsumowując, panie Palisander, partia Kasztanowej Równowagi udziela panu... całkowitego poparcia.

Wraz z ostatnim zdaniem Sepia ze zwieszoną głową opuścił salę senatu. Zaś czynił to w oparach wzburzenia i krzyku deputowanych, z których prawie każdy wstał i olbrzymia większość jednocześnie postanowiła dojść do głosu, by wyrazić swój sprzeciw, aprobatę bądź przedstawić własne stanowisko w kwestii niewolnictwa.

To wszystko nie zmieniło faktu, że jeszcze tej samej nocy przegłosowano

przyznanie Palisandrowi specjalnych prerogatyw w celu zaprowadzenia stabilnych rządów w królestwie. Natomiast Sepia de Bruton otrzymał zadanie zorganizowania na republikańskich ziemiach obozów pracy przymusowej oraz transportu więźniów, którzy w swym obecnym statusie stawali się praktycznie niewolnikami pozbawionymi wszelkich praw.

Aby poprawić sobie wisielczy nastrój, minister spraw wewnętrznych udał się do restauracji w centrum miasta na późną kolację. Wcześniej zaprosił na nią obu swoich synów zamieszkujących na stałe w stolicy. Na ten czas pragnął jednak, aby opuścili oni Brunatown i wstąpili do służby cywilnej.

Co tu dużo mówić, w powstałym trudnym okresie potrzebował koło siebie jak najpewniejszych ludzi. O tych zaś w jego mniemaniu było coraz trudniej. W końcu właśnie stracił kolejną zaufaną osobę, a także do niej szacunek, choć bynajmniej nie należała ona do jego najbliższego otoczenia. Oto stracił zaufanie do samego siebie. Jednakże ze względu na Kasztan nie mógł złożyć teki ministra. Spiżja miała bowiem rację, Kasztan była ich córką. Chociaż prawda o tej dziewczynie przedstawiała się tak, że jako niemowlę wydobyto ją z głębi ziemi, a ściślej spomiędzy rudy żelaza i brunatnego węgla – największych skarbów zachodniej republiki.

XXXV. SREBRNA I ALABASTER

Gdyby była to śmierć, miałyby na imię Alabaster i doprawdy raziła wręcz białością. Wszak Srebrna wiedziała, że to nie śmierć, a przebudzenie do życia w jednej z komnat najwznioślejszego pałacu Wielkiego Księstwa Wschodzącego Słońca i Księżyca. Taką wiedzę czerpała ze swoich mglistych przebłysków świadomości, kiedy na moment odzyskiwała ją, aby wic się z bólu trawionych żywcem wnętrzości i skąpo wymiotować żółcią. Ale lecąc uprzednio w sieci zawieszanej pomiędzy dwoma gryfami, dobrze zapamiętała wycinki jawiącej się wokół przestrzeni. Ta najpierw była czarna, to mieniła się złotem. Potem czerń nie ustępowała, a w miejsce złota zawitało srebro. Kiedy zaś te barwy odeszły, nastąpiła powszechna biel i tak już pozostało aż do teraz. Zatem otruta Srebrna musiała podążać pograniczem Centralnej Czeluści oraz kolejno ziem królestwa oraz północnych klanów, po czym dotarła do władztwa Alabaster, gdzie podróż w niewoli dobiegła kresu.

Jednakże co dalej? Biorąc pod uwagę jej dotychczasową wiedzę o poczynaniach wielkiej księżnej, nie spodziewała się po swoim pobycie w pałacu niczego dobrego. Przez to autentycznie zdziwiło ją, że nie wylądowała w ciemnym lochu, a jej trwałe przebudzenie nastąpiło na miękkim łóżku w pięknej komnacie, która była czysta i jasno oświetlona księżycowymi łzami.

Ponadto Srebrna ze zdumieniem się zorientowała, że nawet jej nie skrupowano, ani nie unieruchomiono w jakikolwiek inny sposób, przykładowo za pomocą czarów. Ponieważ takie ugoszczenie jej tutaj doprawdy silnie kontrastowało, a właściwie kolidowało, z brutalnym sprowadzeniem do tego miejsca – wspomniała cały ból i wycieńczenie ciała, jakie z trudem zdołała przetrzymać. Lecz wówczas w pamięci dziewczyny pojawił się też moment podania jej już tu, w pałacu, białego płynu, po którym poczuła się lepiej. Czyżby otrzymała odtrutkę?

Wtem rozległo się delikatne pukanie do drzwi, a leżąca w łóżku

wojowniczką zareagowała, czujnie poszukując wzrokiem swego miecza. Jej zdumienie było nie do wyobrażenia, gdy dostrzegła legendarny oręż oparty o porcelanową półkę. Przeto pochwyciła go, po czym utuliła i nawet ucałowała, jak prawdziwego kochanka. Ponieważ być może właśnie nim był. Kimś, kto zawsze czuwał przy niej i na kogo zawsze mogła liczyć. Następnie, będąc już uzbrojona i nabrawszy dzięki temu pewności siebie, odważnie przemówiła:

– Wejść!

W otwartych drzwiach stanęła młoda kobieta o bardzo delikatnej urodzie i z alabastrowymi włosami zaczesanymi do tyłu za uszy. Ponadto ubrana była w nieskazitelną szatę o dość prostym kroju. Osoba ta skłoniła się lekko i drobiazgi małymi kroczkami, podeszła bezszelestnie do łóżka, gdzie zastygła w oczekiwaniu.

– Pani... – szepnęła tylko i spuściła nisko wzrok. Na co Srebrna ścisnęła mocniej rękojeść miecza, zmarszczyła brwi i z zadrą w głosie zapytała:

– Czy mam może przed sobą wielką księżną Alabaster?

– Ależ... ależ skąd. – Dygnęła naraz wyraźnie zmieszana kobieta. Na chwilę podniosła wzrok i się przedstawiła: – Moje imię brzmi Kremi i jestem członkinią... to znaczy. – Znowu się zmieszała, ponownie wbiła spojrzenie w białą posadzkę i ledwie słyszalnym głosem dokończyła: – Jestem zwyczajną służką naszej Najjaśniejszej Jasności, która poleciła mi zadbać o twoje wszelakie wygody, pani.

– Nie powiem, jest mi wygodnie. – Srebrna z uznaniem poklepała wolną ręką puchową poduchę pod głową. Ale zaraz cierpko docięła: – Za to nie było mi wygodnie podczas podróży w siatce, z której rzygałam jak kotka.

– To kotki... rzygają? To znaczy, wymiotują? Nigdy nie widziałam żadnej. – Kremi podniosła nieśmiało głowę, a wojowniczką z niedowierzaniem spostrzegła, że młoda kobieta sobie bynajmniej z niej nie dworowała. To ją jeszcze bardziej ośmieliło, podobnie jak zasłyszane dotąd słowa, że właśnie otrzymała służbę. Dlatego zdecydowała się wydostać spod kołdry i wstać. Niestety nagłe przyjęcie pozycji pionowej prawie przyplącała przewróceniem się twarzą na parkiet. A przed niechybnym upadkiem uratowała ją służka.

– Dziękuję – powiedziała pochwyciona wpół Srebrna, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że była całkiem naga, a wnioskując po zapachu swego ciała,

wcześniej musiał zostać też umyty. Zaraz jednak, choć z pewnym trudem, to stała już o własnych siłach.

Równocześnie zrozumiała, że inaczej niż po swojej przegranej walce z olbrzymką, podczas niedawnego zatrucia nie zdołała wejść spontanicznie w stan nadzmysłu i jej organizm się nie zregenerował. Musiała więc na siebie bardziej uważać i nawet z przyjemnością przyjęła pomoc Kremi w przywdzianiu swego pełnego rynsztunku, który leżał schludnie ułożony w kostkę na półce z boku.

– Doskonale, znowu czuję, że żyję – westchnęła z zadowoleniem srebrzysta dziewczyna, wieńcząc przywdzianie stroju włożeniem miecza za pas.

– Ciszy mnie pani, że odczuwasz należny ci komfort. – Dygnęła Kremi. – Czym mogę ci teraz służyć? – zapytała nieśmiało.

– Cóż... – zamyśliła się wojowniczką. – A czym ja mogę służyć tobie? – postawiła pytanie zupełnie szczerze, bo zwyczajnie zapragnęła się odwdzięczyć za pomoc. Zaś udzielona z wyraźnym smutkiem odpowiedź ją zaskoczyła:

– Mi... mi nie można już pomóc. – Kremi otarła z oka naraz połyskującą tam łzę, po czym odwróciła się i samowolnie zaczęła oddalać. Srebrna wyciągnęła rękę, zupełnie jakby chciała ją pochwycić, ponadto otworzyła usta, aby zatrzymać służkę za pomocą polecenia. Ale ugryzła się w język i dała młodej kobiecie spokojnie odejść.

Tak oto została w komnacie sama, a nie widząc sensu pozostawania tu dłużej w bezczynności, niebawem ruszyła do drzwi zamkniętych za sobą przez Kremi. Wrota były otwarte i już zaraz przed Srebrną ukazał się niebotyczny korytarz, który imponował szerokością, ale przede wszystkim zdawał się nienaturalnie wysoki. Przez to dziewczyna czuła się na nim jak jakiś srebrzysty skrzat. Wtedy też przypomniała sobie opowieści Burego o tym, że alabastrowy pałac miał stanowić podarunek samych bogów dla rasy lodowych gigantów. I w tej chwili, przemierzając te niezwykle obszerne przestrzenie, była się skłonna zgodzić z druhem, którego kolejny już raz przyszło jej opuścić. Ponadto przeszedł ją nagle dreszcz niepokoju na myśl, że także inne opowieści gadatliwego chłopaka mogły być bliższe niż dalsze prawdy.

Z takimi myślami i pełna podziwu dla zwiedzanego przybytku, dotarła

do otwartego okna, przez które wyglądał szczupły i chudy alabastrowy mężczyzna w starszym wieku. Ubrany był bardzo podobnie do poznanej już służki w luźne białe szaty i również szczyił się alabastrowymi włosami zaczesanymi na tył głowy. Choć dominujące męskie rysy twarzy nie pozostawiały wątpliwości, iż był to mężczyzna.

– Piękny mamy dziś dzionek, taki mroźny i w ogóle brrr – zagadnęła rezolutnie do amatora górskich widoków Srebrna. Ten jednak, zamiast coś odpowiedzieć, tylko zmienił kąt nachylenia głowy i przyjrzał się dziewczynie z profilu jednym okiem. W takim postępowaniu zdecydowanie przywodził na myśl ptaka i w mimice jego twarzy rzeczywiście dało się odczytać więcej ptasich cech. Szczególnie gdy ciągle milcząc, jedynie złożył buzię w ciup, upodabniając tym samym swe ust do dziobu. – W porządku, nie chciałam przeszkadzać w... gniazdowaniu – zażartowała nieco zdezorientowana takim zachowaniem wojowniczką i bez pożegnania ruszyła dalej korytarzem.

Szła dłuższy czas samotnie, wodząc dłonią po płaskich marmurowych powierzchniach poprzeplatanych księżycowymi łzami, których jasnością była doprawdy zauroczona. Zaś do tej pory znała je tylko z opowieści. Co pewien czas wyglądała też ze strzelistych okien na zaśnieżony krajobraz pełen majestatycznych gór, to wodziła wzrokiem po łukowatym sklepieniu, zadzierając wysoko głowę.

Aż naprzeciw niej wyszedł zza zakrętu kolejny alabastrowy jegomość. Co charakterystyczne wydawał się bardzo podobny do już poznanego. Dlatego, kiedy mijał dziewczynę, ta nie spodziewając się po nim ludzkich odruchów, nieco bezczelnie pomachała rękoma, imitując tym samym ptasie skrzydła. Lecz takim gestem zwróciła na siebie baczniejszą uwagę, bowiem mężczyzna się zatrzymał, popatrzył na nią i po chwili wahania zapytał:

– Jesteś może srebrzystą najemniczką, siostrą miecza? Jedną z tych, które udają się walczyć do Wielkiej Puszczy? – A zanim dziewczyna zdążyła zaprzeczyć, dodał: – Niewątpliwe jesteś wojowniczką z północy zwerbowaną przez Alabaster, bo inaczej by cię tu nie było. Zatem posłuchaj... – Rozejrzał się na boki, aby upewnić się, że byli tu sami i kontynuował: – Jeżeli znajdziesz jakiegokolwiek wieści o mojej siostrzenicy, Ekru, dom ci za to aż dziesięć sztuk srebra, obiecuję. To dobra, wspaniała kobieta, ale zaginęła w wielkim lesie. A być może nawet tam nie dotarła,

nie wiem tego. W każdym razie to na zachętę. – Ujął dłoń wojowniczkę i wcisnął jej pomiędzy palce srebrną monetę z wygrawerowanym smokiem. Następnie, zanim puścił dziewczęcą dłoń, zaznaczył: – Wraz z powrotem do pałacu pytaj o Ekronisa z rodu Ekros, to moje imię. I... – zawiesił głos – przyjmę także smutne wieści o córce mej siostry i za nie również zapłacę. Słowem, ponad wszystko pragnę poznać prawdę...

– Wielka księżna Alabaster oczekuje cię, pani. – Tuż za Srebrną rozbrzmiał naraz kolejny męski głos. Obecnie zdecydowanie tubalny, jakby pochodził od osoby służącej w wojsku. I nie inaczej, odwróciwszy się, dziewczyna dostrzegła starszego już mężczyznę w białej pelerynie i napierśniku z alabastrowego metalu oraz z mieczem za pasem. Za to poniżej pasa nosił strój przypominający białą spódnicę do kostek. Wojowniczka słyszała z opowieści, że tak prezentowali się gwardziści z Pałacu Alabaster, czyli tutejsi najwyżsi rangą wojownicy. Dlatego odruchowo się ukloniła. Choć zaraz przypominała sobie o poprzednim rozmówcy. Poszukała go wzrokiem, ale zobaczyła już tylko plecy oddalającego się Ekronisa z rodu Ekros. – Chodźmy, pani, nie wpada zwlekać, kiedy Najjaśniejsza Jasność wzywa – przemówił z kolei ponownie gwardzista. Srebrna skinęła mu głową i dała się poprowadzić.

Szli obok siebie i bez słowa miarowym krokiem. Zaś dziewczyna odczuwała autentyczną treść przed spotkaniem z wielką księżną. Była to bowiem nie tylko legendarna siostra krwi, ale równie legendarna już władczyni znamienitego władztwa. Postać, która budziła podziw i zdążyła się wslawić odparciem licznych najazdów sił mroku. Ale także był to ktoś, kto zgodnie z wiedzą Srebrnej knuł za plecami świetlistych władców i przyczyniał się do ich zguby. Zresztą z nią samą Alabaster też nie obeszła się zbyt łagodnie. Kogo więc powinna się spodziewać? Wyrachowanej monarchini, zamierzającej z nią coś negocjować? A może raczej alabastrowej modliszki, która pochyci ją w swe szpony i zechce żywcem pożreć? W bieżącej chwili każda ewentualność wydawała się jej równie prawdopodobna, a o stanie faktycznym miała się już wkrótce sama przekonać.

W momencie, kiedy stanęła z gwardzistą przed drzwiami z rzeźbieniami skrzydeł, podwójne wrota zaczęły się samoistnie rozsuwać. Wówczas zbrojny uczynił krok do tyłu i wskazał dziewczynie, by już samodzielnie

postąpiła do przodu. Tak też uczyniła, wkraczając po zdobnej posadzce do obszernej komnaty w kształcie okręgu i zwieńczonej kopułą. Ponadto pomieszczenie ozdabiał wianuszek białych drzew pełen równie białych ptaków na konarach, a w centrum stała fontanna ze źródłem.

Jakby zwabiona szmerzącą wodą, Srebrna, rozglądając się dookoła, podeszła do fontanny i zanurzyła w niej dłonie. Woda była orzeźwiająca i wojowniczką skorzystała z okazji, aby przemyć sobie twarz. Uczyniła to, a wtedy spojrzała zafrapowana na ręce – pozostała na nich szara łuska.

– Witam w mojej ptaszarni. – Naraz dziewczyna usłyszała dobywający się gdzieś z góry głos. Zadarła głowę i aż otworzyła ze zdumienia usta. Oto spod samego sufitu zlatywała ku niej iście majestatyczna postać. Jej rozłożyste skrzydła były wręcz monumentalne, a sylwetka niezwykle wysoka i smukła. Rozpuszczone białe włosy sięgały stóp, a całą osobę spowijała delikatna aura z płatków śniegu.

– Alabaster... To ty jesteś wielką księżną – wydukała Srebrna, ciągle będąca pod wielkim wrażeniem wizerunku władczyni, a także jej imponującej prezentacji. Ona dosięgła lotosowymi trzewikami posadzki i stając w bliskiej odległości od swego gościa, aksamitnym głosem przemówiła:

– Oto masz przed sobą twoją Najjaśniejszą Jasność, przed którą winnaś zgiąć swe srebrzyste kolana.

– Nie... nie uklęknę przed tobą – odparła hardo Srebrna i demonstracyjnie położyła dłoń na rękojeści miecza. Tym ruchem wydawała się wzbudzić na alabastrowym licu władczyni pełen pobłażliwości uśmiech. A zaraz dźwięczne słowa wielkiej księżnej rozbrzmiały ponownie:

– Wiedz, że spotyka cię prawdziwy zaszczyt, ponieważ nikogo jeszcze nigdy nie raczyłam zaprosić do mej ptaszarni. – Wykonała płynny kolisty ruch ręką. – Zatem w tym miejscu zaszczycę cię także mową, jaką zwykłam się zwracać tylko do mych pierzastych milusińskich.

– To znaczy? – dopytała dziewczyna.

– To znaczy, że porozmawiam z tobą otwarcie. Tak, abyś podczas naszego spotkania wyciągnęła z mych słów jedyne słuszne wnioski.

– Zatem mów – rzuciła Srebrna, ciągle nie wiedząc, czego się spodziewać. W odpowiedzi Alabaster odetchnęła głębiej, powachlowała przestrzeń wokół siebie skrzydłami i umiejętnie gestykułując, spokojnie

oświadczyła:

– Zaczniemy może od tego, iż wyczuwam w tobie, że twoja prawdziwa natura jest ci w większości znana. Czyli zdajesz sobie sprawę, że jesteś jedną z nas, legendarnych sióstr krwi. I przyznaję, że to właśnie był powód, dla którego cię porwałam. Nie ukrywam też, że pierwotnie planowałam cię po prostu zgładzić.

– Czemu? – wyrwała się wojowniczką.

– Otóż, jak ci zapewne już wiadomo, ostatecznie może przerwać tylko jedna z sióstr krwi. Więc skoro pozostałe i tak mają zginąć, zapragnęłam mieć dowód w postaci śmierci mych sióstr, że pozostałam tą jedyną. Albowiem zapewniłoby mi to zdrowy spokojny sen i znacząco zwiększyło szansę na moją świetlaną przyszłość, nie uważasz?

– A co się zmieniło? Bo ciągle żyję.

– Tak, żyjesz – przyznała Alabaster i zdecydowanie dodała: – Ale wiedz, że twoje istnienie jest teraz na mojej łasce. Oto stałam się panią twego życia i śmierci.

– Więc jaki werdykt... siostró? – Srebrna wyjątkowo cierpko zaakcentowała ostatnie słowo, a jednocześnie mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści swego oręża, gotowa na konfrontację. Wszak wielka księżna zupełnie nie wyglądała na kogoś, kto miałby się na nią rzucić. Już prędzej wydawała się kimś, kto zagłaskałaby ją łagodnymi słowami na śmierć. Do takich zdążyła dojść wniosków i obecnie słuchała władczyni dalej:

– Jak zauważyłaś, nie jesteś skrepowana, ani nawet nie przydzieliłam ci straży. Przyjrzałam ci się bowiem i stwierdziłam, że jesteś w swej istocie niegroźna. Tak, nie zagrażasz mi, a co najwyżej samej sobie.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała, czyniąc to z nutą niepewności w głosie dziewczyna.

– Cóż... tylko spójrz na swą przeszłość. Oto mocą swej magii wspaniałomyślnie ukażę ci ją, jak również twą przyszłość, jeśli dalej będziesz podążać jedynie własną wyboistą drogą:

Nagle tuż koło wojowniczką zmanifestowało się w przestrzeni lustro ze srebrzystą ramą. Zaskoczona dziewczyna przejrzała się w nim i zauważyła swą obecną postać z oszpeconą twarzą, gdzie wokół blizny na policzku nachodziła na siebie srebrzysta łuska i po części odpadała, niemal odbierając właścicielce ludzki wygląd. Zaraz potem Srebrna zobaczyła w

lustrzanym odbiciu siebie w wieku zaledwie kilku lat w swej rodzimej wiosce, jak goniła z patykiem wyśmiewające się z jej wyglądu dzieciaki. Te ucieszenie krzyczały: „Rybia Twarz, Rybia Twarz”! Potem ukazane zostały dziewczynie kolejne etapy rozwoju jej przypadłości. To jak w wieku dojrzewania zaczęła ją swędzieć skóra i ciągle się drapała czasem aż do krwi. Następnie skóra na niej się łuszczyła i obłaziła całymi płatami. Aż wreszcie w ostatnim czasie na dziewczęcej twarzy wyrosła srebrzysta łuska. W tym momencie obraz uchwycił uśmiechającego się do Srebrnej Złotego, który wszak z grysem obrzydzenia odwrócił od niej wzrok, kiedy zwróciła się do niego łuskowatym profilem. Działo się to w namiocie po przegranej bitwie z mrokiem i republiką. Później obraz przeskoczył najwyraźniej w przyszłość, bo dziewczyna zobaczyła siebie już jako kobietę. Obecnie jej twarz w połowie pokrywała łuska, a część ust spuchła tak, że wyglądały, zupełnie jak rybie, podobnie kształt zmieniło jedno oko. Dostrzegła też błonę pomiędzy palcami prawej dłoni. Zaś swój wizerunek w lustrze oglądała, gdy jej postać szła bezbronna i w obszarpanym ubraniu w jakieś zapadłej wiosce na północy. Mieszkańcy opluwali ją i pogardliwie ciskali w nią obelgami, krzycząc, aby jako koszmar z morskich głębin zeszła im z widoku. Dzieciom kazali uciekać i się skryć przed nadchodzącym potworem. Naraz ktoś ją popchnął, przez co upadła w błoto, a potem pospólstwo rzuciło się na nią gromadnie, zasypując kopniakami.

– Wystarczy...? – zapytała z przesadną słodyczą w głosie Alabaster. Uczyniła to w momencie, kiedy Srebrna dotknęła oszpeconej części swej twarzy, a w jej oczach zasrebrzyły się łzy. – Tak wiem, to okrutne, co ci pokazałam. Ale świat taki właśnie jest, bezwzględny i nie oszczędza nawet swych legendarnych sióstr – ciągnęła obecnie bez drwiny, a z pewnym współczuciem władczyni. – Wiedz bowiem, że szczęście to tak naprawdę nie tyle zdobywanie kolejnych zaszczytów, czy pokonywanie następnych wrogów, co przede wszystkim unikanie cierpienia. Cieszenie się tymi chwilami, gdy ma się zapewniony byt oraz szacunek u boku najbliższych i to właśnie w swej szczodrobliwości mogę ci ofiarować. Choć w zasadzie, to dzięki mnie możesz uzyskać nawet o wiele więcej:

Wtem z drugiej strony Srebrnej zmanifestowało się jeszcze jedno lustro tym razem z alabastrową ramą. Dziewczyna spojrzała w nie z odrazą. Lecz zaraz się niemal wzruszyła, gdy ponownie zobaczyła siebie, jako kobietę,

ale za to z przepięknym licem bez najmniejszej skazy. Odruchowo przeniosła dłoń na swój dotąd zrogowaciały policzek i zaskoczona wymacała czystą delikatną skórę. Jednocześnie w lustrzanym odbiciu pojawił się książę Złoty. Ucałował on cudną wojowniczkę w jej gładką twarz i objął czule jedną ręką. W drugiej trzymał niemowlę o srebrzysto-złotej karnacji oraz dwubarwnych włosach. Następnie obraz podążył dalej w przyszłość, gdzie olśniewająca Srebrna w połyskującej zbroi stała na wzgórzu z uniesionym mieczem, ociekającym czernią. Zaś u podstawy owego wzniesienia leżały puste zbroje trzech czarnych lordów w otoczeniu pokonanych berserków ciemności. W kolejnej wizji srebrzysta dziewczyna była już bardzo dojrzałą kobietą i ze swym mieczem u boku spoczywała martwa ułożona na marmurowym podeście. Tuż koło niej stał książę złoty obejmujący trójkę srebrzysto-złotych dzieci. Z kolei wszędzie wokół zebrała się niezliczona liczba żołnierzy i powiewały nieprzeliczone złote oraz srebrzyste chorągwie. Wśród nich także sztandar Srebrzystej Stali, który trzymał mocno postarzały i klęczący Marrengo.

Ten ostatni widok w zestawieniu go z uprzednią wizją, gdzie Srebrna była obszarpana, wyszydzana i opuszczona przez wszystkich, łamał jej serce i nie zdołała go wytrzymać. W efekcie padła na kolana, schowała twarz w dłoniach, a z oczu trysnęły jej łzy. Wtedy usłyszała nad sobą czuły wręcz matczyzny szept Alabaster:

– To ja przetrwam, jako jedyna siostra krwi. Ale to, jak sama przeżyjesz swe życie i jak odejdiesz z tego świata, zależy wyłącznie od tego, jaką teraz podejmiesz decyzję. Mianowicie możesz dobrowolnie opuścić mój pałac i zaznać w okrutnym świecie prawdziwego cierpienia. Wszak widziałaś, co cię w nim czeka. Jednakże możesz też poprzysięgnąć mi wierność i pod moimi alabastrowymi skrzydłami dokonać czegoś wielkiego, naprawdę wielkiego oraz pozostawić po sobie coś wyjątkowego nie tylko dla siebie.

XXXVI. EKRU

Mijały dni, wiele dni w zimnie, gdzie Ekru nie miała wyboru, musiała się przemóc, by jeść surowe ryby przegryzane wodorostami. I choć do surowych smaków owoców morza ciągle nie mogła przywyknąć, to przyznawała, że ten pokarm dodawał jej sił oraz jakimś cudem pomagał nie zamarznąć. Wszak kobieta z rodu Ekros była absolutnie zdeterminowana, aby już niebawem poszerzyć swój jadłospis. To jest, wreszcie dociec, czego chciały od niej syreny, umieszczając ją w jedynym w swoim rodzaju koralowym archiwum, a w zamian uzyskać wolność.

Aczkolwiek samo w sobie przebywanie w tym niezwykle miejscu było doprawdy fascynujące. W konsekwencji Ekru, jako zacięta archiwistka, w innych okolicznościach spędziłaby tu choćby wieki i to z własnej woli, poznając historię umęczonego kontynentu Unton. Lecz przecież tam, na powierzchni, wciąż miała tyle do zrobienia, przede wszystkim, jeśli chodziło o zdemaskowanie działań zwodniczej Alabaster. Ale niezmiernie tęskno jej było także do Chamoisa. A w lodowych czeluściach pozostawał też Perlis Młodszy, do którego obiecała powrócić. Zaś absolutnie musiała to uczynić, zważywszy choćby na fakt, że sama uzyskała w tej komnacie dowód, iż towarzyszący jej pod lodem chłopak był już tak naprawdę sierotą. A kto się okazał bezwzględny mordercą jego ojca, no kto?

– Przeklęta wielka księżna – syknęła sama do siebie Ekru, rozcierając dłońmi zmarznięte ramiona, po czym raz jeszcze wbiła ostre spojrzenie w białą część sześciokątów. Szczególnie zogniskowała wzrok na jednym z nich, który ukazywał widok ptaszarni Alabaster, czyniąc to z poziomu znajdującej się tam fontanny ze źródłem.

Gdy wtem zaskoczona dostrzegła przy tryskającej wodzie nie tylko władczynię, ale też nieznaną sobie srebrzystą wojowniczkę. Ta ostatnia miała smutny wzrok i mocno oszpeconą twarz pokrytą łuszczącą się łuską. Taką samą, jak u poznanych przez Ekru syren.

Uświadamiając sobie tę prawdę, przez umysł alabastrowej kobiety

przebiegło szereg niepokojących myśli. Jednakże były one niczym wobec wymowy tego, co zaraz odczytała z ruchu ust obserwowanej pary postaci. A dobrze posiadała tę sztukę, porozumiewając się swego czasu tym sposobem z eterycznymi nomadami, którzy nie potrafili wypowiadać głośno słów:

– „Zatem, czy podjęłaś już decyzję, moja srebrzysta siostrzo, siostrzo krwi?” – przemówiła dumnie Alabaster. – „Uklęknieś przede mną i poprzysięgniesz mi dozgonną służbę, stając się wielką wojowniczką oraz zachowując nieskazitelną urodę, którą ci podaruję, czy już teraz w to miejsce wybierzesz dla siebie jedynie pustkę, zapomnienie i śmierć”?

W odpowiedzi srebrzysta dziewczyna z trudem przełknęła ślinę i popatrzyła na swe odbicie w wodzie, przekrzywiając głowę tak, aby widoczny był jej naznaczony łuską profil. Następnie pogładziła się po oszpeconej twarzy, gdzie widniała też znacząca blizna na policzku. Smutno się uśmiechnęła do samej siebie, położyła dłoń na rękojeści miecza za pasem, po czym odwróciła się przodem do Alabaster. Zaś stojąc przed nią, zgięła najpierw jedno, a potem drugie kolano. Będąc już na klęczkach, nisko pochyliła głowę i posepnie wyrecytowała:

– „Ta siostra krwi, Srebrna, uznaje twoją przewodnią rolę w świecie, pani. Mój miecz, moje życie, moja dusza i... krew należą teraz do ciebie. Przeto rozkazuj mi”.

– „Przysięgnij na lód i mróz” – oznajmiła władczyni.

– „Na lód”... – szepnęła wojowniczka – „i mróz”... – dodała.

– „Wobec blasku słońca i księżyca oraz na pryncypia blasku przyjmuję złożoną przysięgę” – odparła wielka księżna i podała swą alabastrową dłoń klęczącej dziewczynie. Ona ją ucałowała, pieczętując tym samym akt poddaństwa. – „Słuszna decyzja młodszą siostrzo. Zatem szczęśliwie się dokonało” – stwierdziła usatysfakcjonowana Alabaster, rozpostarła szeroko skrzydła i dumnie podsumowała: – „Tak więc obecnie nie pozostaje nam nic innego, jak wspólnie wyruszyć na morską wyprawę, aby na wyspie Ptasiej Czaszki zdobyć wiecznie iskrzący się lodem miecz, Rozdzieracz Niebos, którym rozetnę nieboskłon i uwolnię z niebiańskiego więzienia me ukochane anioły. Lecz wcześniej”... – Spojrzała z góry na klęczącą pokornie dziewczynę. – „Tak... najpierw otrzymasz pomniejszą misję, by się należycie wykazać, dając dowód wierności złożonej przysięgi. Mianowicie odbijesz mój pomniejszy port założony na terenie Wielkiej Puszczy”.

– „To będzie zaszczyt”... – powiedziała, nie podnosząc głowy wojownicza.

– „Tak, niewątpliwie” – potwierdziła ze swadą wielka księżna i z przekonaniem dodała: – „Przy okazji, za sprawą swego miecza, dobrze nauczysz leśne istoty szacunku dla wielkiej księżnej Alabaster. To tyle, idź już, i niech moja łaska ci sprzyja srebrzysta służko nowego świata. Wiedz, że twe przyszłe zasługi nie będą ci zapomniane”. – Władczyni wykonała subtelny gest dłońmi i mocą iluzji sprawiła, że łuskowaty policzek klęczącej dziewczyny stał się dla postronnych obserwatorów nieskazitelnie gładki.

Wojownicza poczuła tę odmianę, a dotykając swego lica, nie odebrała pod opuszkami palców dotąd chropowatej powierzchni. Uczyniła jedyny w swoim rodzaju grymas twarzy, gdzie widoczny smutek mieszał się z uczuciem ulgi, po czym nie podnosząc wzroku, wstała i udała się do wyjścia z ptaszarni.

W tym momencie Ekru gwałtownie odskoczyła od sześciokąta, który pokazał jej coś, co autentycznie nią wstrząsnęło. Naraz ogarnął ją nieposkromiony gniew i dając wyraz swej narastającej frustracji, wrzasnęła:

– Dość tego! Dość, dość, dość! Czego wy ode mnie chcecie, wodne stwory! Nie mogę dłużej sterczeć pod wodą. Moje miejsce jest na powierzchni, nie tutaj! A wasze! Wasze miejsce... – Raptem kobieta z rodu Ekros zastygła w szoku, uświadamiając sobie pewną niezwykłą prawdę. Otóż w tym koralowym archiwum cały czas doświadczała obrazów jedynie z wodnych źródeł terytorium kontynentu Unton. Ale co z wielkim oceanem otaczającym kontynent oraz archipelagami wysp? Dlaczego wizje z tamtych obszarów były niedostępne? I czemu Ekru nigdy nie słyszała o żywych syrenach, które stanowiły już tylko legendy i których nikt nie widział od tysięcy lat? Natomiast jak właśnie odczytała z ust Alabaster odpowiedniki wodnych stworzeń w powietrzu, anioły, były uwięzione w niebiosach.

Odpowiedź wydała się nagle tak prosta i oczywista zarazem. I to do tego stopnia, że kobieta wykrzyczała ją triumfalnie w przestrzeń:

– Jesteście... jesteście tu, jak w więzieniu! Otoczone przez lód i skały, zamknięte od tysięcy lat i nie możecie wypłynąć na szeroki ocean, gdzie jest wasz prawdziwy dom! A to, tutaj, to wasze więzienie, po prostu więzienie! – Raptem Ekru zamilkła, zdając sobie wagę ze swego wielkiego odkrycia, a

następnie z równą pasją krzyknęła: – Pomóżcie mi wydostać się na powierzchnię, a klnę się na blask słońca i księżyca, że nie spocznę, dopóki was nie uwolnię! Zrobię też wszystko, co w mojej mocy, aby powstrzymać anielską Alabaster przed zawładnięciem kontynentem Unton! Wszystko to uczynię, naprawdę, tylko zwróćcie mi wolność, abyście same mogły być wolne! – Wyrzuciwszy z siebie te wszystkie szczerze obietnice, Ekru zastygła w uniesieniu, oczekując, że tym razem musi się wydarzyć coś więcej niż tylko rzucony jej pod zmarznięte stopy rybi filet z wodorostami.

I rzeczywiście, najpierw ponad powierzchnię wody wzniosła się jedna łuskowata ręka, potem druga. A zaraz w pomieszczeniu było aż gęsto od syrenich dłoni wyciąganych ku alabastrowej kobiecie. Ona zaś, z poszerzającym się jej na ustach dumnym uśmiechem, położyła się plecami na dłoniach wodnych stworzeń i dała pochłonąć w głębinę. Wszak, zanim zapadła się w wodną toń, jeszcze oświadczyła:

– Zabierzcie mnie najpierw do chłopca, z którym tu przybyłam. Opuścić wasze więzienie muszę razem z nim, to niezbędne. – I tak otulona syrenami, niczym łuskowatym gorsetem, z ustami jednej z nich przy swych wargach, popłynęła w powrotną drogę do miejsca, z którego wyruszyła wiele dni temu.

Wraz z dotarciem do celu wynurzyła się i dzięki pomocy wodnych istot zaraz stała już na znanej sobie lodowej półce. Natomiast na zastany tu widok czule złożyła ręce na łonie, ponieważ obraz całego i zdrowego Perlisa Młodszego naprawdę ją w tej chwili roztkliwiał. A pomna tego, że nie miał on już obojga rodziców, sama postanowiła być dla nie go, jak matka. I właśnie z taką matczyną czułością w głosie łagodnie do niego przemówiła:

– Widzę, że sobie świetnie radzisz. – Pochwaliła młodzieńca, wskazując na lodowy próg, na którym zasiadał, a który stanowił wejście do jaskini wydrążonej w lodowym bloku.

– Wewnątrz są dwa pokoje, dla ciebie i dla mnie... – powiedział niby obojętnie chłopak, zerkając za plecy. Ale zaraz zaszklify mu się oczy. Pobiegł prosto do Ekru, zupełnie nie zważając na to, że wyszła z wody całkiem naga. Wtulił się w nią mocno i wyszeptał: – Bałem się, że nie wrócisz. – Kobieta poczuła na ramieniu chłodne łzy, a sama czule pogłaskała młodzieńca po białych włosach i łagodnie wyszeptała:

– Przecież obiecałam, że wrócę. Co więcej, zabiorę nas stąd na

powierzchnię i to już wkrótce.

– Naprawdę? – Niedowierzający chłopak odchylił się od Ekru, aby popatrzeć jej w oczy i upewnić, że nie żartowała. Lecz zamiast na twarzy kobiety, jego wzrok spoczął na jej nagości. – Najmocniej przepraszam. – Dopiero teraz się opamiętał i natychmiast opuścił powieki, po czym potykając się, na oślep trafił do wyrzeźbionego przez siebie w lodzie domostwa. A już zaraz powrócił z niego, ciągle nie podnosząc powiek, za to ściskając w dłoniach białe szaty, które pozostawiła tu Ekru.

– Dziękuję, że zaopiekowałaś się moją garderobą – oznajmiła bez żenady alabastrowa kobieta, ponieważ stając przed młodym Perlisem naga osobiście nie czuła wstydu. W końcu do wielu rytuałów i świąt w wielkim księstwie podchodziło się zupełnie bez ubrania, co symbolizowało alabastrową czystość i niewinność. Dlatego kobieta rodem z Ekros nawykła już do oglądania swej osoby pozbawionej odzienia nawet przez bardziej obcych jej ludzi.

Obecnie spokojnie założyła suknię i wreszcie odsapnęła z ulgą, czując rozlewające się po ciele ciepło, którego nie doświadczała od wielu dni.

– Zanim wyruszymy na powierzchnię, muszę się dobrze rozgrzać. Zatem zaprowadź nas na nasze włości, paniczu – powiedziała rezolutnie do Perlisa Młodszego. Ten nieśmiało zapytał:

– Już mogę...?

– A cóż takiego? – zaciekawiała się Ekru.

– Otworzyć oczy... – wystękał młodzieniec i przepraszająco dodał: – Przysięgam, że zapomniałem już, pani, jak wygląda twa nagość. Nic nie pamiętam, tak, jakbym w ogóle niczego nie widział – zarzekał się. Na co kobieta wzruszył tylko ramionami i zawadiacko skwitowała:

– Przyjmijmy więc, że od naszych uroczych syren uzyskałam czasowo dar niewidzialności. Albo też, iż to, co widziałeś, ale raczyłeś już zapomnieć, było wyczarowaną iluzją, a zjawiłam się tu tak naprawdę w gorsecie z syrenich łusek – mówiąc co dla rozluźnienia atmosfery, Ekru mimowolnie wspomniała transformację obrazu twarzy srebrnej siostry krwi i kwaśno się uśmiechnęła.

Z kolei na jej sugestię młodzieniec ozdobił swą twarz promiennym uśmiechem i wreszcie otworzył oczy. Następnie z uwagą przyglądał się kobiecie, zupełnie jakby rzeczywiście doszukiwał się na jej ciele ubioru ze

srebrzystej łuski. Choć jego wzrok szybko zawędrował na kobiecy biust i tam dłużej pozostał.

„Więc jednak nie zapomniał” – skwitowała tylko w myślach Ekru i poczochnała pocieszenie Perlisa Młodsze po włosach, z premedytacją niszcząc mu fryzurę. Potem ruszyła do lodowego mieszkania.

Niebawem znajdowała się już wewnątrz i na widok tego, co zastała, z uznaniem pokiwała głową. Było tu bowiem bardzo przestronnie, szczególnie w środkowym pomieszczeniu. Chociaż i pokoje po lewej oraz prawej stronie stanowiły obszerne komnaty, gdzie swobodnie dało się utrzymać pionową postawę ciała. Ponadto w każdym z bocznych pomieszczeń stało wyrzeźbione z lodu łóżko nakryte, nie inaczej, tylko lodową kołdrą z poduchami, a z boku dumnie prezentowały się stoliki otoczone wianuszkami krzesel. Wszystko z krystalicznego lodu.

– Brrr... Nie powiem, postarałeś się – powiedziała z podziwem Ekru, podczas gdy chłopak za nią pochłonięty był poprawianiem swej sfatygowanej fryzury. Natomiast kobieta okręciła się na pięcie i delikatnie zasugerowała: – Wiesz co, w wodzie jest jednak cieplej niż tutaj, nawet w ubraniu, a ogniska domowego raczej nie uda się nam rozpaść. Więc co ty na to, abyśmy nie zwlekali i ruszyli już na powierzchnię? – Wobec tej propozycji Perlis Młodszy wydawał się raptem zapomnieć o swej fryzurze oraz całym lodowym świecie i z wielkim entuzjazmem pokiwał głową. – Świetnie, zatem nie traćmy czasu, tylko ruszajmy w drogę. Ale obiecaj mi jeszcze, że zachowasz zimną krew pod wodą i nie będziesz miał nic przeciwko długiemu pocałunkowi z... syreną. – Tę akurat sugestię młodzieniec przyjął dziwnie spokojnie. Zaś obserwująca go nieco podejrzliwie Ekru, wyjaśniła: – Syreni pocałunek to jedyny sposób, aby móc oddychać pod wodą, więc cóż... tak właśnie wygląda przepustka do powrotu na powierzchnię.

– Wyrażam zgodę – odparł wyjątkowo pewnie chłopak, co w sumie dziwnie korespondowało słyszającej go kobiecie z jego wcześniejszym krygowaniem się wobec jej nagości.

– Ech, młodzi... – skwitowała tylko, wspominając swe pierwsze pocałunki z Chamoisem. Potem chwyciła młodzieńca za rękę i za moment stali już razem na brzegu lodowego cypla. Stąd Ekru przyzywała do siebie syreny, oznajmiając im wszem i wobec, że pragnie, aby udali się już na

powierzchnię. Jej życzenie zostało szybko spełnione i za chwilę ona oraz młody Perlis, zostali pochyceni w chłodnej toni przez wodne istoty.

Od tej pory kobieta z rodu Ekros na długi czas traciła z oczu młodzieńca, przesłanianego jej syrenimi sylwetkami, to na mgnienie oka zauważała go z zamglonymi oczyma i całkiem pochłoniętego w syrenim pocałunku. Widząc to, tłumiała tylko na twarzy uśmiech, mając wszakże nadzieję, że młodzieńcowi nie przyjdzie się zaraz zakochać.

W ten sposób przemierzili znaczną część podwodnego akwenu, a ku radości Ekru, czynili to, kierując się przez większość czasu w górę. Wszystko szło więc płynnie i zgodnie z pierwotnymi przewidywaniami. Aż nagle grupa syren otaczających kobietę oraz chłopaka rozplynęła się gwałtownie na boki.

W pierwszym momencie Ekru nie zrozumiała, co się dzieje, ale rozglądając się wokół, wyczuwała, że coś było nie tak, wręcz odbierała zagęszczającą się w wodzie złowrogą aurę. I naraz dostrzegła kątem oka szarżującego wprost na Perlisa Młodszego morskiego potwora.

Bestia o antracytowej barwie przypominała rybę, ale wielkością kilkakrotnie przewyższała syreny, jej boczne i górne płetwy przywodziły na myśl miecze, a niezwykle szeroka żuchwa zaopatrzona była w dwie pary najeżonych zębiskami szczęk. I to coś rozerwałoby jasnowłosego młodzieńca na strzępy, gdyby trzymająca go w objęciach syrena, nie wykonała z nim gwałtownego skrętu w bok. Dzięki temu głębinowy potwór jedynie trącił cielskiem parę, która w wyniku uderzenia się rozłączyła. Następnie monstrum wykonało błyskawiczny nawrót i ponownie natarło na namierzone przez siebie ofiary.

Jednak obecnie Ekru ze zdumieniem zobaczyła, że syrena własnym ciałem zasłoniła młodego Perlisa. A będąc bezbronną, niechybnie musiało się to skończyć jej straszną śmiercią w rozwartych szczękach. To znaczy, musiałyby, gdy tak odmienne istoty, jak syrena oraz człowiek ze sobą nie współpracowały. Ponieważ w kluczowym momencie młodzieniec uczynił wypad zza pleców swej opiekunki i czubkiem miecza dźgnął stwora w łeb.

W wyniku tego ataku w wodzie rozeszła się szara mgiełka, jako zawiesina z krwi potwora. On sam zatoczył obszerniejsze półkole, jakby nabierając respektu dla przeciwników i tym razem za cel obrał postać chłopaka z mieczem. Natarł na niego z większej odległości, tak, aby

uzyskać odpowiednią prędkość, nie dając człowiekowi szans na obronę. I ten rzeczywiście nic nie mógłby uczynić, bo w wodzie jego ruchy były spowolnione. Wszak teraz to syrena przyszła mu w sukurs i raptownie chwyciła za górną płetwę monstrum, znacznie je spowalniając. Zaś niemal zastopowanego potwora młody Perlis skutecznie ciął mieczem tuż pod łbem.

Ten cios okazał się już na tyle obszerny i głęboki, że dotkliwa rana w ciele bestii skutecznie zniechęciła ją do ponawiania ataków. Te zresztą nie miały prawa nastąpić, ponieważ pozostałe syreny, już ośmielone, liczną grupą przypuściły szturm na wroga i wspólnie zakłuły go trójzębami. W efekcie cała przejrzysta dotąd woda zmętniała od srebrzystej krwi sączonej z cielska bestii, która martwa powoli opadała na dno.

Kiedy widoczność zaczęła powracać do naturalnego stanu, Ekru nieco się skrzywiła na twarzy, obserwując serwowany jej widok. Otóż młody Perlis i syrena ponownie się połączyli ustami. Ale alabastrowa kobieta dobrze potrafiła rozpoznać ten rodzaj pocałunku. Nie była bowiem świadkiem jedynie przekazywania życiodajnego powietrza, lecz także płynącego z serca uczucia. Jak to w ogóle możliwe i jakie mogły się z tym wiązać konsekwencje? Na pierwszy rzut oka mogło się to wydawać nawet piękne. Jednakże daleko posunięta intuicja Ekru podpowiadała jej, że z tej nagle rozbudzonej i zakazanej miłości nie wyniknie nic dobrego, a wręcz będzie ona zacznem prawdziwego cierpienia.

Nie zmieniało to jednak faktu, że potwór z głębin został poniekąd siłą tego uczucia pokonany. Dzięki temu dalsza droga na powierzchnię stanęła otworem i przebiegała już bez przeszkód. Lecz na powierzchni sprawy znowu się skomplikowały.

Alabastrowa kobieta w przemoczonym ubraniu jako pierwsza wydostała się na suchy ląd i z zaciekawieniem obrzuciła wzrokiem nowe otoczenie. A zdawszy sobie sprawę, gdzie się znalazła, jej radość płynąca z ponownego przebywania pod blaskiem jasnego słońca została szybko zmaćcona. Otóż najwyraźniej wyszła na brzeg wprost ze Źródła Oczyszczenia. Lecz ono, zgodnie ze znaną jej już wizją z sześciokąta, było zbrukane mroczną czernią i budzącą niemniejszą grozę czerwienią. Natomiast okolica w podobnych barwach wydawała się martwa i prezentowała sterty kości. Do tego panowała tu śmiertelna cisza i padał czerwony śnieg.

Po tych oględzinach Ekru spojrzała przez ramię i jeszcze bardziej się zaniepokoiła. Albowiem zauważyła, że młody Perlis nic sobie nie robił ze złowrogiego otoczenia, tylko długo się zegnał z syreną, nie inaczej, tylko czułym pocałunkiem.

– Chodźmy już! – skarciła go zdecydowanie kobieta z rodu Ekros, aby wreszcie przerwać te amory. Młodzieniec niechętnie, ale w końcu dał się oderwać od istoty będącej, z niezrozumiałych dla Ekru przyczyn, wybranką jego serca. Następnie stanął koło przyzywającej go osoby, a wtedy także on spochmurniał.

– Co to jest...? Gdzie my jesteśmy? – zapytał zdezorientowany.

– Po prostu idź za mną i się nie rozglądaj na boki, rozumiesz? – Ekru chwyciła go za bark i surowo spojrzała mu w oczy.

– Dobrze, rozumiem, ale...

– Żadnych, ale – rzuciła kategorycznie alabastrowa kobieta i potrząsnęła chłopakiem. – Nie jesteś jeszcze gotowy na to, co możesz tu zobaczyć. Dlatego patrz wyłącznie na moje plecy, potwierdź – zarządziła.

– Potwierdzam... – oświadczył bez przekonania. I już chciał się obejrzeć za syreną, ale Ekru mu na to nie pozwoliła, przytrzymując go mocno i niemal z agresją warknęła:

– Dość tego! Jesteś podobno gwardzistą. A skoro tak, to czas stanąć na wysokości zadania i należycie wypełniać obowiązki. Nie zapominaj, że przed wyprawą przysięgałeś na blask słońca i księżycy mnie strzec oraz mi się podporządkować. Zatem to ja tutaj dowodzę, a ty bez szemrania wykonujesz rozkazy. – Po tej apodyktycznej reprimendzie Perlis Młodszy ukłonił się na potwierdzenie słuszności zasłyszanych słów i więcej nie śmiał zadawać pytań, ani też nie rozglądał się na boki. – Doskonale – skwitowała jego ogarnięcie się Ekru, ciężko westchnęła od nadmiaru emocji, po czym poszła na południe, aby wydostać się z miejsca zwanego Magiczną Kotliną.

Niestety na zewnątrz wiodła tylko jedna droga, która, jak na złość, prowadziła tuż przy zwłokach dotychczasowego dowódcy gwardii, czyli ojca Perlisa Młodszego. I to dlatego kobieta tak strofowała młodzieńca, aby ten nie spojrzał na poczerńiałe truchło rodziciela. Uznała bowiem, że mimo deformacji zwłok i tak mógł je rozpoznać po oblekającej je charakterystycznej zbroi, a według niej nie był to jeszcze czas na poznanie

przez chłopaka okrutnej prawdy.

Kroczyli więc traktem śmierci, który nie zmieniał się ani na jotę, choć przecież w tym miejscu krajobraz powinien aż tętnić i kipieć dynamiczną transformacją. Było to nie do pomyślenia, ta przytłaczająca martwota. Lecz ponadto ten niespotykany tu zastygły widok w umysł Ekru wlewał narastającą obawę, którą podsuwała jej własna przewidywalność. Czyżby bowiem oglądała właśnie zaczyn nowego świata pozbawionego zmiany, gdzie śmierć i zniszczenie zastygną w swoistym marazmie, jako jedyna manifestacja rzeczywistości? Nic nie mogło brzmieć gorzej. Ale to wszystko, co się tutaj wydarzyło oraz trwało odkąd przybyła tu Alabaster i skalała źródło, nie mogło też przecież nic nie znaczyć.

Wtem zapatrzona w złowieszczą okolicę Ekru się zorientowała, że nie miała za plecami młodego Perlisa. Zdenerwowało ją nie tyle to, że chłopak nie wypełniał jej poleceń, ale fakt, iż właśnie mógł odkryć coś, przed czym pragnęła mu oszczędzić widoku, aby nie przysparzać przedwczesnego bólu. Jednak wraz ze spojrzeniem za siebie załamała ręce, widząc, że było już na to za późno:

– Ta zbroja... ta poczerniała zbroja – szeptał rozdygotanym głosem młodzieniec, klęcząc przy ciemnym truchle. – To jego, mojego ojca – powtarzał.

– To nie jego – syknęła w odpowiedzi Ekru, naiwnie się jeszcze łudząc, że zdoła wpłynąć na chłopaka. Bez powodzenia.

– Przecież ją rozpoznaję. Te jedyne w swoim rodzaju zdobienia i herb słońca oraz księżycy na plecach, który sam tyle razy polerowałem, by lśnił, a teraz... – Naraz Perlis Młodszy urwał zdanie i ściągnął sygnet z poczerniałego palca nieboszczyka, którego twarz zapadła się w sobie i nie dało się jej rozpoznać. Lecz młodzieniec najwyraźniej rozpoznawała ojcowski sygnet, ponieważ nagle wbił oskarżycielski wzrok w Ekru, zupełnie jakby to ona była przyczyną całego nieszczęścia, po czym z rozpaczą w głosie wrzasnął: – To jest mój ojciec! To coś, co z niego zostało! Ale... to niemożliwe. Gdzie my trafiliśmy... Co tu się dzieje?! – Chłopak zaczął się trwożnie rozglądać dookoła, jednocześnie ocierając zły zalewające mu drżące policzki.

Ekru podeszła do niego ze spuszczoną głową i zaciętym wyrazem twarzy. Chwyliła go za ramiona i zmusiła, aby na nią spojrział. Gdy to uczynił,

samemu oddychając szybko i pociągając nosem, ona ze śmiertelną powagą w głosie do niego przemówiła:

– Dzień w dzień żyjemy pod jasnym słońcem, doświadczając jego świetlistej ochrony. Kiedy zaś nadchodzi noc, zamykamy na nią nasze oczy, kładąc się do snu i traktujemy ciemność, jakby jej nie było. Wszak ona trwa i pomimo blasku księżyca niczym pająk tka wokół nas swe ciemne nici. My z kolei w jaśniejącym świetle ich nie zauważamy, wraz z przebudzeniem pochłonięci radością dnia. Jednak, gdy czarny kokon jest gotowy, wtedy staje się już za późno. Jesteśmy omotani i w pułapce ciemnej nocy. Nie możemy się już wydostać, a światło dnia zostaje od nas odcięte. Wtedy nadchodzi cierpienie.

– Nie rozumiem... – jęknął tylko płaczliwie młody Perlis.

– Więc zrozum i wykaż się w tym zrozumieniu siłą. To Alabaster jest ubraną w iluzję dnia ciemną nocą, która zwiodła wiele jasnych istnień za dnia, w tym ciebie i twego ojca. On zapłacił za to najwyższą ceną, życiem, ty zaś płacisz teraz cierpieniem. Albowiem to Alabaster zabiła twego ojca.

– Kłamiesz! – Chłopak naraz gwałtownie się wyrwał z objęć Ekru i położył dłoń na rękojeści miecza. – Kłamiesz! – wrzasnął jeszcze bardziej zajadle.

– Osobiście widziałam morderstwo dowódcy gwardii dokonane za sprawą wielkiej księżnej. On zobaczył, jak Alabaster zmieniała to miejsce w koszmar i stał się niewygodnym świadkiem manifestacji jej ciemnej mocy – powiedziała w opanowany sposób kobieta i z przekonaniem dodała: – To syreny pokazały mi tę prawdę, gdy byłam daleko od ciebie. Obecnie przekazuję ją tobie, choć pierwotnie pragnęłam z tym poczekać.

– Nieprawda, to wszystko nieprawda... nie. – Młodzieniec puścił miecz i padł na kolana, po czym schował twarz w dłoniach. Coś mówił, jakby słowa modlitwy, ale do tego stopnia cicho, że kobieta go nie słyszała i bynajmniej nie zabiegała o to. Albowiem stało się. Chłopak w wieku zaledwie kilku lat stracił niegdyś matkę, a teraz Ekru była tą, która utwierdziła go, że mając lat siedemnaście, został sierotą. Dała mu więc przeżywać żalobę i w niej nie przeszkadzała. Jak na ironię, miejsce było ku temu aż nazbyt adekwatne.

Minęło jeszcze sporo czasu, zanim młody Perlis wreszcie opłakał ojca i wstał. Wówczas wyjął zmumifikowane zwłoki z ubrania oraz zbroi, po czym

poniósł ze sobą. Potem kiedy już opuścił Magiczną Kotlinę, wyłobił dla ojca prostokątną wnękę w czystym lodzie i tam złożył ciało, przykrywając lodowymi płytkami, by oddać je na zawsze lodowej górze.

Pochówek dokonany został zgodnie z tradycją alabastrowego ludu. To jest, na północno-wschodniej stronie zbocza, tak, aby na zamarznięte zwłoki wraz z każdym świtem padały jasne promienie słońca, ale później następował długi okres zacienienia. Symbolizowało to samo ludzkie istnienie, gdzie ulotne i kruche życie było jednakże skąpane w świetle dającym radość oraz nadzieję. Za to potem przybywała nieuchronna śmierć – długi smutny cień.

– Co dalej? – zapytał pustym głosem po krótkiej ceremonii pogrzebowej chłopak. Ekru rada była, że w końcu sam przemówił i korzystając z okazji, że mogła skierować myśli kompana w inną stronę, niż przeżywanie żałoby, szerzej wyjaśniła sytuację:

– Musimy przede wszystkim pokrzyżować plany wielkiej księżnej Alabaster. Lecz do pałacu nie powrócimy, bo władczyni już wie, że zamierzam zdemaskować jej knowania. A i ty nie jesteś tam bezpieczny, ponieważ łowczynie, które nas zaatakowały, łączą cię teraz z moją osobą. Ale się nie przejmuj, znajdziemy jeszcze silnych i lojalnych sojuszników, którzy pomogą nam zrzucić wielką księżną z piedestału władzy oraz należycie ją ukarać. Dlatego wyruszymy tam, gdzie pierwotnie mieliśmy dotrzeć, do Wielkiej Puszczy. Na miejscu odszukamy legendarną siostrę krwi, Srebrną. Musimy ją przeciągnąć na naszą słuszną stronę, to absolutny priorytet. Za nic nie możemy pozwolić, aby tak ważna osoba pozostała w szponach drapieżnej władczyni i na jej usługach.

– Zatem w drogę, na południe – oświadczył w zlodowaciały sposób Perlis Młodszy. Wyminął Ekru i samodzielnie ruszył przodem. Kobieta dłuższy czas patrzyła za nim, zastanawiając się nad jego obecnym stanem ducha, a zaraz pobiegła dotrzymać mu kroku.

I tak rozpoczęli mozolną wędrówkę przez serce mroźnej krainy Alabaster. Wiodła przez białe kotliny niczym głębokie rondle trzymane przez śnieżnych kucharzy oraz przełęczę przywodzące na myśl mleczone węże wijące się zygzakami. Przemierzali też kremowe wąwozy przysypane po części piaskiem w perłowym kolorze. Szli w blasku jasnego słońca bądź w cieniu wyniosłych alabastrowych szczytów, które czasem raziły oczy

białością, to były ciemniejsze, jakby porcelanowe. Księżycowe noce spędzali w wykopanych przez siebie śnieżnych jamach, a za posiłki służyły im zamrożone ryby, które Perlis Młodszy dostał na pożegnanie od faworyzowanej przez siebie syreny.

Przez całą drogę Ekru nie pytała chłopaka o nietypowy związek z morską istotą. Stwierdziła, że najlepiej będzie przemilczeć ową znajomość i w ten sposób nie podsycać miłosnego uczucia w sercu młodzieńca. W konsekwencji prawie w ogóle nie rozmawiali, wymieniając czasem tylko prozaiczne uwagi.

Aż kolejnego już dnia podróży dotarli do miejsca, które w odróżnieniu od uprzednio mijanych nie było bezludne. Kręcili się tu bowiem brązowoskórzy robotnicy, a nie brakowało też alabastrowych gwardzistów oraz gryfów.

– Nie pokazujmy się. Nie możemy – ostrzegła Ekru, przytrzymując przy sobie Perlisa Młodszego. Oboje spoglądali z ukrycia na niewielki obóz w dole góry mieniącej się kolorem wyjątkowo ciemnej porcelany, a sami stali za zboczem tegoż wzniesienia.

– Więc co zrobimy? Mamy ich tak po prostu wyminąć, bo tak nakazują nam pryncypia blasku? Przecież to teraz nasi wrogowie – rzucił z jawną wrogością chłopak i wyszczerzył gniewnie zęby w kierunku obcych ludzi. Na co jego towarzyszka uśmiechnęła się kwaśno i patrząc na wyselekcjonowaną część obozowiska, ze zrozumieniem oznajmiła:

– Masz rację, czasem trzeba schować światło do kieszeni.

– To znaczy? – dopytał młodzieniec.

– Kiedy nadejdzie zmierzch, porwiemy jednego z gryfów i dalej polecimy na jego grzbiecie.

– To mi odpowiada – odparł z powagą Perlis Młodszy. Zaś po opanowanym i prawie bezemocjonalnym tonie jego głosu do Ekru z pewnym smutkiem dotarło, że bynajmniej nie był on już taki młody. A do tego, aby szybko dorósł, zmusiły go ostatnie trudne okoliczności. Jednakże najbliższy czas dla tegoż młodzieńca też nie zapowiadał sielanki. Dlatego kobieta z aprobatą poklepała go po plecach, akceptując jego mężną postawę.

Wszak, zanim nastąpiła noc, przyczajona z zainteresowaniem obserwowała nietypową górę, do której wejścia pilnowali gwardziści

Alabaster. Otóż wejście do wzniesienia było zapieczętowane kolistą bryłą lodu, otoczoną zestawem luster ustawionych tak, aby kierowały na lodową zasłone światło słońca. Ale to, co szczególnie intrygowało, a zarazem niepokoiło, to jakby czerwono-czarna poświata niemal przebijająca przez ściany wzgórza, zatem niewątpliwie aż buzująca w jego wnętrzu. Co zatem mogło się znajdować w środku? Wspominając obecny wygląd Magicznej Kotliny, można było wysnuć podejrzenie, iż nie znalazłoby się tam nic dobrego. W konsekwencji także i to miejsce Ekru łączyła z wielką księżną, choć nie miała pojęcia, jaki mogła mieć ona bezpośredni związek z podejrzaną czerwienią oraz czernią, skoro sama była ponoć alabastrowym aniołem. Niemniej sądziła, że i te prawdy niebawem dane jej będzie odkryć. Natomiast obecnie, wraz z ostatnimi promieniami słońca ginącymi na zachodnim horyzoncie, ukradkiem ruszyła z kompanem do stajni gryfów.

Te mądre zwierzęta, od wieków świadomie sprzyjające alabastrowemu ludowi i z nim związane, nie musiały być nawet spętane, a i tak posłusznie stały w zadaszanej okolicy, gdzie pozostawili je ich jeźdźcy. Dzięki temu zadanie przed Ekru oraz Perlisem było ułatwione, ponieważ wystarczyło wdrapać się cichcem na grzbiet któregoś ptaszyska, po czym w mroku nocy dyskretnie się ulotnić.

Początkowo wszystko przebiegało zgodnie z planem. Para przybyszy ominęła szerokim łukiem strzeżone nieustannie wejście do góry oraz igloo, w których skoszarowani byli gwardziści. I tak, stąpając ostrożnie po chrzęszczącym pod stopami zamrożonym śniegu, dotarli do przysypiających gryfów. Lecz w tym momencie cisza nocy została radykalnie zakłócona. A dokonało się to za sprawą zbliżających się w tę samą stronę podchmielonych i gromko podśpiewujących sobie przedstawicieli kasztanowej nacji:

- Kasztan i orzech, orzech i kasztan iii... basta! Basta! Basta!
- My lub uformowany z brązu jaaak ... z ciasta! Ciasta! Ciasta!
- Orzech i kasztan, orzech i kasztan iii... basta! Basta! Basta!
- A skąd ty jesteś? Bo my tooo... z miasta! Miasta! Miasta!
- Ze smogu i pyłu, pracy i znoju.
- Z łoskotu kilofa, stukotu młotów iii... basta! Basta! Basta!
- Kasztan i orzech, orzech i kasztan.
- Daj mi kochanie też trochęęę... ciasta! Ciasta! Ciasta!

- Orzech i kasztan, orzech i kasztan.
- Dla ciebie będzie pyszna ooo... masta! Masta! Masta!
- Kasztan i orzech, orzech i kasztan.
- Orzech i kasztan, orzech iii... kasztan! Kasztan! Kasztan!
- Iii... kasztan! Kasztan! Kasztan!

Następnie fantazyjne przyśpiewki zastąpiła chełpliwa wymiana zdań:

– Co sobie w ogóle myśli ta cała Alabaster, co? Fakt, płaci dobrze, nawet bardzo dobrze i to północnym srebrem czy tymi kryształkami. Ale ta kobieta jest zimniejsza niż lód, a nas traktuje niczym swoje sople. Zamraża, to karze rozmrażać i tak na okrągło!

– Mnie tak zmroziła na kość, że ciągle nie mogę dojść do siebie, brrr – odezwał się drugi głos.

– No właśnie! – zagrzemiał pierwszy i jakby w pewnej tajemnicy ciągnął dalej: – Ale powiem ci, tylko pssst... że ta Alabaster, to całkiem niczego sobie jest. I ten tego...

– No co...? – zainteresował się drugi głos. Na co pierwszy wyjaśnił:

– Bo widzisz... Po tym, jak nie zapłaciła nam za ostatnie znalezisko w ciemnej górze, a kazała je zapieczętować, to zanim zabraliśmy stamtąd sprzęt, odkryłem tam drugie przejście. Taaajne przejście, rozumiesz.

– No ciekawe...

– Wręcz arcyciekawe było to, jak tam ostatnio zajrzałem i wyobraź sobie, nakryłem naszą mocodawczynię. A ona... na dorodne Kasztany! Nie uwierzyłybyś...

– No co, co?

– Otóż... rozebrała się do naga, caluteńka i takaśna nagusieńka nachyliła się nad tamtym ciemnym źródłem. Wtedy wychynęły z niego czerwone skrzydłiska, takie jak u nietoperza. A ona dała się pochwycić, rozumiesz, nawet nie zgrywała trudnej...

– Gadasz...

– No powaga! I potem w tę głębinę tam chlupnęła, plum. A jakie stamtąd jęki zaczęły dochodzić... uuu.

– Mów dalej... – rozochocił się właściciel drugiego głosu. Gdy wtem obaj przedstawiciele kasztanowej nacji stanęli jak wryci.

– A przepraszamy bardzo szacownego gwardzistę i... gwardzistkę? – pierwszy mężczyzna, którym był niczym niewyróżniający się górnik z

zachodu popatrzył podejrzliwie pod światło księżyca na Ekru. Następnie zmrużył piwne oczy, później je wybałuszył, aż wreszcie podejrzliwie zapytał: – Czy my się nie wiedzieliśmy jakiś czas temu w... No gdzie też to mogło być, he? Zaraz sobie przypomnę... – Głowił się. Zaś alabastrowa kobieta nie traciła czasu, lekceważąco mówiąc:

– Niewątpliwie znamy się z widzenia, ponieważ jestem dwórką wielkiej księżnej i nieraz z nią podróżuję, także, aby odwiedzać miejsca wykopalisk. A tak na marginesie...

–Ta...? – zaciekawiał się górnik. Natomiast Ekru przyzwała go do siebie gestem ręki i sama, jakby w tajemnicy wyszeptła:

– Zgadza się, że z naszej pani jest niezła soplica, cóż poradzić. Ale płaci sownie, a ciało też ma niczego sobie. Ech tylko pozazdrościć i nawet do tutejszej groty uczęszcza ona na tajne schadzki... – westchnęła głęboko, spoglądając na swoją sylwetkę, której nieco brakowało do ideału. Potem zalotnie puściła całusa do słuchającego ją kasztanowego mężczyzny.

– No ta... he, he. – Ten się naraz rozpromienił. – Sam cmoknął w kierunku Ekru i już odprężony rzucił: – To my tu sobie jeszcze trochę pospacerujemy. Tak... dla relaksu. Wy zaś, cokolwiek was tu sprowadza, he, he... no nie przeszkadzajcie sobie. – Mrugnął wymownie okiem do Perlisa.

I już wyglądało na to, że wszyscy rozejdą się w dobrej komitywie. Lecz młody gwardzista niespodziewanie dla wszystkich wyciągnął nagle miecz, po czym z miejsca przeszył na wylot trzewia wypowiadającego się mężczyzny. Szybko wyszarpnął z napęczniałego brzucha ociekającą brązem klingę i z zaciętym wyrazem twarzy zaatakował drugiego robotnika, który zastygł zszokowany. Ten padła zaraz z rozciętą szyją i szybko wykrwawiał się koło konającego kamrata.

– Co ty, żeś, zrobił... na miłość światła – jęknęła kompletnie przerażona atakiem młodzieńca Ekru i uklękła przy ofiarach. Gdy upewniła się, że obaj przedstawiciele republiki są martwi, wstała i zamachnęła się, aby uderzyć Perlisa w twarz. On jednak pochwycił jej rękę w przegubie i warknął:

– Brązowi pracowali dla przeklętej Alabaster, więc właśnie pomściłem mego ojca. Choć mojej wendety to dopiero początek. Zaś następna na mojej liście będzie wielka księżna. A teraz wsiadaj na gryfa, kobieto. Lecimy po

tę Srebrną. I lepiej mi się nie sprzeciwiaj, bo sytuacja uległa zmianie i teraz to ja dowodzę.

Po tym wyznaniu Ekru jeszcze dłuższy czas spoglądała z niedowierzaniem na młodzieńca. Wszak szybko docierało do niej, że po tragicznej utracie ojca jego żałoba przekształciła się w czysty gniew, nienawiść i pragnienie zemsty. Zatem morderstwo Alabaster było jak rozsypane ziarna zła, z których jedno już kiełkowało w ciemniejszym sercu chłopaka. Tak więc działo się to najgorsze, a Ekru właśnie czyniła sobie wyrzuty, że na to pozwoliła.

– Wsiadaj na gryfa! – syknął ponownie Perlis, czyniąc to tak głośno, że mogli go już usłyszeć pobliscy gwardziści. Dlatego alabastrowa kobieta dłużej nie zwlekała, tylko z dezaprobatą pokręciła głową i dosiadła wielkiego ptaka o korpusie lwa. Za moment siedział już przed nią młodzieniec i poderwał do góry majestatyczne zwierzę, kierując je prosto na południe.

Lecieli całą noc, zupełnie bez słowa, aż nad samym rankiem Ekru z boleścią jęknęła zza pleców chłopaka:

– Musimy się choć na trochę zatrzymać...

– Po co? Przecież możesz drzemać, opierając się o moje plecy – usłyszała oschłą odpowiedź.

– Nie o to chodzi... Mam wyjątkowo silne mdłości. To od lotu na gryfie – wyjaśniła. Na co Perlis zadał wyjątkowo dziwne w jej mniemaniu pytanie:

– Czy podczas pobytu u syren myślałaś z miłością o swoim mężu?

– Tak... oczywiście – oznajmiła nieco zmieszana.

– W takim razie masz niedyspozycję z żołądkiem wywołane inną przypadłością niż lot na gryfie.

– Niby jaką? – Na dobre zdumiała się kobieta. Z kolei odpowiedź sprawiła, że potężnie zawirowało jej w głowie i nieomal runęła w przestrzeń z pierzastego grzbietu:

– Nie zastanawiało cię może, skąd u syren biorą się dzieci, skoro nie ma u nich męskich przedstawicieli? Otóż ślepy starzec zdradził mi, że aby taka wodna istota stała się brzemienna, potrzebuje ona po prostu zaznać miłości w sercu. Ty natomiast byłaś w sanktuarium syren, gdzie ich moc dominuje nad ludzką. Zatem jeśli myślałaś z prawdziwym uczuciem o swoim mężu, to masz teraz z nim dziecko. Przyjmij ten dar i ciesz się nim. A

zatrzymamy się, kiedy sam tak zarządę, nie wcześniej.

XXXVII. CZARNA I BRUNATNA

Granica z Kasztanową Republiką była coraz bliżej, a od opuszczenia świątyni Nieskończonej Nocy podróż wiodła już bez większych niespodzianek. No może poza taką, jak na przykład ta, że Czarnej udało się w końcu nakłonić Brunatną do degustacji zmrocznych dżdżownic. Zresztą wielce jej to nie zdziwiło, ponieważ sama wygrzebywała je z ziemi, a do tego należycie oczyszczała, dokładnie oblizując. Podawane więc były na dłoni, jak na tacy: czyściutkie, wilgotne i tłusciutkie, że aż zmroczne palce lizać. I rzeczywiście doczekały się one oblizania przez kasztanową dziewczynę, bo w ten sposób nie omieszkała okazać swej wdzięczności. Zaś ośmielona demonica w rewanżu nakarmiła ją jeszcze chrupiącymi chrząszczami oraz pajęczą zawiesiną nadziewaną muchami. Jedynie ciemny żuk gnojak doczekał się wzgardy. Wszak Czarna sama przyznała, że jego aromat był nieco zbyt intensywny. Co nie przeszkodziło jej samej go pożreć.

Aż podczas dalszej drogi przedstawicielka Centralnej Czeluści zaproponowała przed wkroczeniem w światło jeszcze błotną kąpiel. Brunatna przyklasnęła dla tego pomysłu, wspominając, że takowa pluskanina mogła mieć nawet zbawienne właściwości i korzystnie wpłynąć na zatrute ciało Czarnej. Ona z kolei, cóż powiedzieć, czuła się nieco jak przewodniczka kasztanowej dziewczyny i zwyczajnie chciała jej zaprezentować kolejną zmroczną atrakcję.

W celu zażycia wspomnianej kąpieli wybrała bajorko dodatkowo z gorącym i kipiącym źródłem. Najpierw oczywiście sama w nim zanurkowała i dokładnie sprawdziła, czy nie czaiły się tam jakieś potwory. W efekcie stoczyła krótką walkę z młodą mątwą, którą to potyczkę w swoim obecnym stanie niechybnie by przegrała. Lecz od czego były magiczne rewolwery Brunatnej?

I tak na brzegu spoczęła zastrzelona mąтва, która według Czarnej miała stanowić wkrótce pożywną kolację. Wcześniej jednak zaprosiła do

bajora swą towarzyszkę podróży. Ona zdjęła ubranie, w tym maskę, po czym bez żenady dołączyła do nagiej demonicy w błotnej kąpeli. I nie minęła chwila, a dwie dziewczyny, czarna oraz kasztanowa, stoczyły ze sobą beztroską bitwę na błotniste piguły. Potem przyszedł czas na pełne krzyków i śmiechów błotne zapasy.

Aż dobrze zmęczona para legła na wznak w zmrocznym bajorku. Te było przyjemnie ciepłe i tak gęste, że bez przeszkód dało się unosić na jego powierzchni. Do tego ciało przyjemnie masowały co raz powstające w błocie pęcherze. Słowem, pełen komfort i sielanka.

– Musimy tu częściej przyjeżdżać... tu jest po prostu wspaniale... – mruknęła rozkosznie zrelaksowana Brunatna i od niechcienia pogładziła miękkie błocko. A zaraz wręcz rozmarzona dodała: – I nigdy nikomu nie powiemy o tym miejscu, będzie tylko nasze, jedynie dla nas...

– A co z resztą kasztanowych? Co z tymi z Wielkiej Puszczy? – rzuciła zazdrośnie Czarna, przez co Brunatna nieco spoważniała. Zaś po chwili namysłu, spoglądając z ukosa na demonicę, zasugerowała:

– Tak sobie ostatnio pomyślałam, że jak już cię całkiem wyleczymy, to może pojedziemy na pumie do Wielkiej Puszczy po moich znajomych?

– Więc wolisz ich – warknęła naraz zirytowana demonica.

– Nie... to nie tak – usłyszała zaprzeczenie, za którym poszły dalsze wyjaśnienia: – Po prostu czuję się za tamtą grupę odpowiedzialna. I sumienie nakazuje mi pomóc, choć to nie ja wpakowałam ich w tarapaty. Jeżeli natomiast chodzi o to, kogo wolę... – Brunatna dosięgła zanurzonej w błocie dłoni Czarnej, ścisnęła ją i zdecydowanie oświadczyła: – Dotąd poza rodziną nie miałam właściwie nikogo bliskiego i większość czasu spędzałam na nauce. Niby należałam też do Spizowej Braci, ale mahoniowi bliźniacy byli dla mnie zbyt dziecinni, a Kasztan... – zamyśliła się dłużej. – Kasztan jest dziwna, bo czasem, a właściwie to nawet bardzo często, robi się okropnie kłótniwa i złośliwa. Dlatego zdecydowanie najlepiej dogaduję się właśnie z tobą i chcę... Chcę, żebyś była moją jedyną najprawdziwszą przyjaciółką.

– Co to znaczy być przyjaciółką? – zapytała ze śmiertelną powagą Czarna. Zaś Brunatna z ujmującym uśmiechem na ustach zaczęła skrupulatnie wymieniać:

– To znaczy... że zawsze będziemy wobec siebie szczerze i wyjawimy sobie

wszystkie nawet najskrzętniej skrywane tajemnice. Zawsze jedna z nas będzie mogła liczyć na drugą i oddamy za siebie życie. Już zawsze będziemy się ze sobą spotykać i pomagać sobie we wszystkim. Słowem, będziemy jak jedna osoba, choć ciągle dwie. Ty i ja, czarna i kasztanowa dziewczyna. Potem takowe kobiety, staruszki... i tak dalej – zakończyła z szerokim uśmiechem na ustach Brunatna.

– Zostanę twoją przyjaciółką – odparła z oddaniem demonica.

– A ja twoją... – przedstawicielka republiki potarła Czarną po porożu. Z kolei jego właścicielka złapała za swój kolczyk w nosie, siłowała się z nim dłuższą chwilę, aż udanie go sobie wypięła. Zademonstrowała go dumnie na dłoni niczym wielce wartościowy amulet i grobowym tonem oznajmiła:

– Wyłoniłam się z tym z Martwicy i dotąd nigdy tego nie zdejmowałam. Sądzę, że to coś ważnego, cennego i bardzo mojego, jak część mnie... Teraz ofiaruję to tobie.

– Będę zaszczycona... – Brunatna przysunęła głowę do czarnego kolczyka. Ten, za sprawą demonicy, ostrą końcówką przebił się przez kasztanową przegrodę nosową i został zapięty, po czym zawisł tuż nad brązowymi ustami. – Solidnie bolało... – syknęła po skończonej procedurze dziewczyna z republiki. – I jak wyglądam? – zainteresowała się.

– Wyglądasz upiornie – usłyszała w odpowiedzi, co miało stanowić zmroczny komplement. Obdarowana osoba odebrała go właściwie, mówiąc zadziornie:

– Chciałabym jeszcze twoje rogi i ogon... – Następnie uśmiechnęła się rozbijająco, a Czarna starła jej spod nosa brązową krew i ze smakiem oblizwała. – Smacznego – powiedziała rezolutnie Brunatna. Lecz już zaraz można było odnieść niepokojące wrażenie, że tonie ona w błotnej sadzawce, aż cała się w niej pogrzyżyła.

Zdenerwowana takim widokiem demonica nerwowo wodziła wzrokiem po powierzchni bajorka za przyjaciółką. Gdy wtem została od dołu pochwycona za tułów i na moment wciągnięta w całości w błotną matnię. Nie minęło wiele czasu, a obie dziewczyny gwałtownie z niej wyskoczyły, Brunatna się śmiejąc, zaś Czarna, wytrzeszczając oczy. Wszak za chwilę rolę się odwróciły i to demonica natarła na przyjaciółkę, po czym dała radę ją przytopić. Potem płytko zatopiła zęby w jej karku i z nutą agresji w głosie warknęła:

– Chcę cię gryźć!

– Tylko nie za mocno – mówiąc ostrzegawczo, Brunatna sama odchyliła głowę, dając się pokąsać. Zaraz jednak pochwyciła Czarną, by wykonać nią zapaśniczy rzut w błocie i przejąć dominującą pozycję.

Tak wznowiona została druga runda błotnych zapasów. Później znowu zastąpiła je sielanka, odpoczynek i beztroskie wylegiwanie się na miękkim ciepłym podłożu. W końcu cały relaks został zwieńczony zjedzeniem pokaźnej części zmroczonej mątwy, gdzie Brunatna, niczym prawdziwa demonica, z własnej inicjatywy przełknęła część surowego serca oraz krwistej wątroby.

* * *

O dziwo dla samej Czarnej, przyjęła to nawet z aprobatą. Fakt, że na pograniczu z Kasztanową Republiką zmroczona puma słuchała już tylko Brunatnej i to na jej polecenie miała warować po wschodniej stronie kamiennego wału. Za nim znajdowało się już zachodnie władztwo, gdzie docelowo zmierzały obie dziewczyny.

Niestety dość strome i naprawdę wysokie podejście, niczym na szczyt murów Upiornej Twierdzy, nastęrczało demonicy sporo problemów. Ciągłe bowiem miewała napady nieskoordynowanych ruchów, a dodatkowo irytującego oczopląsu. Jednak z nieodzowną pomocą przyszła jej postać z maską pajaka na twarzy, kolczykiem w nosie i naszyjnikiem z ciemnych uszu – z wyglądu prawdziwa upiornica, a w rzeczywistości jej kasztanowa przyjaciółka.

W ten sposób, co raz staczając za siebie małą lawinę kamieni, która mknęła do dołu w chmurze ciemnego pyłu, obie dziewczyny udanie zwieńczyły wspinaczkę na szczyt wału i tu trochę odsapnęły. Zaś Czarna, obecnie odzyskując chwilowo kontrolę nad wzrokiem, przyzwyczajała oczy do większej ilości światła.

Z przyjemnością szybko dostrzegła, że niebo nad republiką było zdecydowanie ciemniejsze niż w znanych jej dotąd krainach światła. Ucieszyło ją to tym bardziej, że jej peleryna zmroczonej łowczyni była już na niej mocno sfatygowana, a w niektórych miejscach wytarte zostały pokaźne dziury. Ale zasnuta jakby brązową zawiesziną przestrzeń nieba rokowała nadzieję, że światło słońca i tak nie będzie jej tu zbyt doskwierać. I wobec zastanego widoku z tym większą akceptacją spojrzała na

przyjaciółkę, ponieważ nawet jej kraina zdawała się nieco zmrocza. Miały więc więcej wspólnego niż mogłaby na początku ich znajomości przypuszczać. Jednakże Brunatna szybko nakierowała jej zainteresowanie z własnej osoby na malujący się przed nimi pejzaż zachodniej krainy, tłumacząc:

– Wyszliśmy dość daleko na północnym odcinku pogranicza. To oznacza, że czekać nas będzie spora wycieczka do mego domu. Na szczęście zawsze zabieram ze sobą trochę pieniędzy, więc wystarczy, że dojdziemy do najbliższej stacji kolejowej. – Wskazała widoczny w dali zarys ciemnych torów. – Tam kupimy dwa bilety i już nic nie będziemy musiały robić, trafimy pociągiem tam, gdzie trzeba, abyś otrzymała stosowną pomoc.

– A... kasztanowi mnie nie unicestwią? Jestem przecież z Czeluści – wyraziła naraz obawy demonica. Lecz przyjaciółka spróbowała ją szybko uspokoić:

– Mój ojciec kilka lat temu sam złożył do senatu ustawę traktującą o uznaniu praw demonicznych istot na terytorium Kasztanowej Republiki. Dzięki temu o ile nikogo tutaj nie skrzywdzisz, nikt nie ma prawa skrzywdzić ciebie.

– Czyli mnie obronisz. – Chciała się upewnić Czarna, choć poczuła pewien wstyd, że sama nie była w stanie o siebie całkiem zadbać. Jednocześnie rozejrzała się nerwowo wokół, czy zaraz nie dostrzeże gdzieś swego prześmiewczego cienia, jak ten z niej szydzi: „słaba, słaba, słaba... jesteś słaba”. Ten jednak od czasu ukazania się w świątyni Nieskończonej Nocy był nieobecny. Być może więc rzeczywiście spłonął za sprawą Brunatnej. Ta zaś, planując najbliższe kroki, ponownie nakierowała uwagę Czarnej na zachodnią scenerię:

– Zejdziemy teraz ostrożnie wałem i pójdziemy tym kamienistym polem. Potem wystarczy przekroczyć tamten rdzawy strumień i już będziemy na asfaltowej drodze, a ona zapewne prowadzi aż na stację. – W odpowiedzi demonica tylko skinęła głową i pierwsza uczyniła krok na dół, po czym podwinęła się jej niesprawna noga i zmrocza dziewczyna runęła na łeb na szyję. – Uważaj! – krzyknęła za nią Brunatna, ale było już za późno. Czarna z wielką prędkością pokoziołkowała po kamienistym podłożu, co raz robiąc bezwładne fikołki. Aż po dłuższym czasie padła na wznak u stóp wzniesienia.

Niebawem zeszła do niej przyjaciółka. Nic nie powiedziała, co demonica przyjęła z ulgą, drażniły ją bowiem ciągle pytania typu: „jak się czujesz”, „czy wszystko w porządku”. Otóż nie było w porządku, a ona nieraz czuła się naprawdę podle, tracąc kontrolę nad swym do tej pory tak sprawnym ciałem.

Następnie trochę pokuśtykała podtrzymywana przez Brunatną, aż odepchnęła ją od siebie, gdy znowu odniosła wrażenie, że mogła iść sama. Wszak było ono mylne i na kamienistym polu padła na brzuch. Postanowiła więc nie przyjmować już pionowej pozycji, tylko fuknęła gniewnie i dalej szła na czworakach, co zapewniało jej pewną stabilność. Ponadto z zadowoleniem przyjęła to, że i Brunatna zniżyła się do jej poziomu i także drałowała na czterech kończynach.

Pocieszona w ten sposób demonica z żywym zaciekawieniem przyglądała się nowemu otoczeniu, ponieważ okoliczne tereny coraz bardziej przywodziły jej na myśl ziemie Centralnej Czeluści. Nie napotykała tu żadnych drzew, niewiele krzewów, za to sporo z nich było sympatycznie obumarłych. Na twardej glebie co prawda brakowało czaszek i fragmentów szkieletów, ale za to dobrze imitowały je różnorodne głązy. I ten pył w powietrzu, zupełnie jak w domu, tyle że tu był brązowy, nieco mniej ciemny.

Tymczasem po dłuższej wędrówce na czworakach dziewczyny przekroczyły rdzawy strumień i dotarły do asfaltowej drogi. Na idealnie płaskiej powierzchni Czarna poczuła się pewniej i raz jeszcze spróbowała przyjęć pionową postawę. Uczyniła to z sukcesem i zorientowała się, że obecnie dotkliwsze symptomy zatrucia ją opuściły. Poprawiło jej to humor i Brunatną, która też szła już na dwóch kończynach, zaczepiła, popychając ją i przezywając:

– Brązowa...

– Czarna... – Nie pozostała dłużna kasztanowa dziewczyna i z uśmiechem na ustach szturchnęła przyjaciółkę. Ta też ozdobiła podrapane lico kąśliwym uśmieszkiem, do kompletu obnażając długie kły.

– Brązowa!

– Czarna... Czarna!

– Brązowa! – dokazywały w najlepsze dziewczyny, zataczając się jak pijane po jezdni od nawzajem wymierzanych sobie kuksańców. Aż naraz

rozbrzmiał przed nimi tubalny męski głos:

– Ani kroku dalej, demony! Zostajecie aresztowane.

W tym momencie Czarna spojrzała na wprost i zobaczyła grupę siedmiu kasztanowych mężczyzn w brązowych dość luźnych ubraniach. Zaś każdy z nich miał wymierzony przed siebie dziurawy kij. Spodziewała się, że to pewien rodzaj broni, być może magicznej, dlatego nerwowo spojrzała na Brunatną. Ta ściągnęła sobie pod brodę maskę z pająka i zakrztusiła się brązowym pyłem. Lecz zaraz przeszły jej spazmy, a wtedy zdecydowanie przemówiła do mężczyzn:

– Nie rozbiłyśmy nic niewłaściwego. Tylko idziemy drogą. Więc nie macie prawa nas zatrzymywać.

– Człowiek...? – Żołnierz przyjrzał się z niesmakiem Brunatnej, a utwierdziwszy się, że nie miał przed sobą istoty z Centralnej Czułości, rzucił do kompanów: – Człowieka zostawcie, a demonicę zakujcie w kajdany.

– Co to ma niby znaczyć?! – oburzyła się raptem kasztanowa dziewczyna. – Zgodne z przepisami nie możecie aresztować istoty z Czułości, jeżeli niczym nie zawiniła. Szargacie prawe imię republiki!

– Sama je szargasz, kasztanowa panienko, szlajając się z demonicą – odpysknął żołnierz i z drwiąco dodał: – Przepisy właśnie uległy zmianie i obecnie każdą istotę z centralnego władztwa, która bezprawnie przekracza granice republiki, mamy nakaz zatrzymać i skierować do pracy przymusowej w kopalni. Natomiast co do ciebie... – Przyjrzał się krytycznie wyglądowi Brunatnej. – Ciebie w sumie możemy chyba zaklasyfikować, jako pół-demonicę i też zatrzymać. No przyznaj się, masz ochotę pomachać sobie trochę kilofem? He,he...

– Tylko mnie tknijcie! Jestem z domu Ochra i moim ojcem jest deputowany do senatu, a do tego właściciel fabryki broni. Zresztą macie w rękach muszkiety ze znakiem naszego rodu. I bardzo ciekawe, jak będziecie się przed moim ojcem tłumaczyć w sądzie, że zaginioną córkę zesłaliście mu do kopalni?!

– Ochra...? Ta... No dobra, powiedzmy – mruknął bez przekonania żołnierz, patrząc na swoją broń. Wszak nabrał pewnego respektu względem kasztanowej dziewczyny. Za to z tym większym zaciętrzewieniem wskazał na Czarną i ryknął do pozostałych żołdaków: – No, na co jeszcze czekacie,

brązowe wiarusy?! Damonica ma już być w łańcuchach! W razie oporu użyjcie bata i go nie szcędźcie!

Zdezorientowana całą sytuacją Czarna, gdzie mówiono o prawach i przepisach, patrzyła tylko bezradnie na przyjaciółkę, czekając, aż ta wreszcie wyciągnie magiczne rewolwery z pozabija bezczelnych kasztanarzy. Lecz ta, ku wielkiemu rozczarowaniu demonicy, stroiła tylko bolesne miny. W tym czasie żołnierze zakuli ręce i nogi Czarnej w żelazne kajdany, a dodatkowo założyli jej obrozę z łańcuchem na szyję. Potem przewrócili ją na czworaka i pociągnęli ze sobą. Zaś ona, ciągle nie dowierzając, że Brunatna w ogóle nie reagowała, w końcu zrozumiała, że została porzucona i znowu była zupełnie sama.

– Ty kłamliwa brązowa! – wydarła się do kasztanowej dziewczyny, płonąć wręcz czystym gniewem. – Ty zakłamana kasztanowa! Nie jesteś przyjaciółką Czarnej! Nigdy nią nie byłaś! Zdradziłaś! Zdradziłaś! I nienawidzę cię! Już lepszy jest mój cień! Mój cień! On jest lepszy, a ciebie nienawidzę i... zabiję cię! – Jednak zaraz, wyraźnie cierpiąc z powodu porzucenia, rozpaczliwie zawyła: – Brązowa poduszka do uszka... Czarna poduszka do uszka! Czarna poduszka do uszka... Brązowa poduszka do uszka!

* * *

Brunatna otarła z oczu łzy i z rozdzierającym smutkiem, ale też gniewem, spoglądała, jak żołnierze okładają kopniakami rzucającą się Czarną. Tak chciałyby jej pomóc, ale szybko zdała sobie sprawę, że zastrzelenie ludzi było dla niej zupełnie czymś innym niż uśmiercenie mroczniaków. Miała bowiem przed sobą swych pobratymców i nawet w obronie przyjaciółki nie mogła tak po prostu nacisnąć spustu. Więcej, nie była nawet w stanie sięgnąć po broń.

Lecz nie zmieniało to faktu, że absolutnie nie zamierzała tej sprawy tak pozostawić, co to, to nie. Choć na podstawie tego, co powiedział żołnierz, już do niej dotarło, że ojciec jej tutaj nie pomoże, skoro zostało zmienione prawo. Zatem w celu ratowania Czarnej zmuszona będzie działać poza prawem i zaciskając dłonie w pięści, zapowiedziała sobie, że tak właśnie uczyni.

– Jakież kłopoty...? – W pewnym momencie Brunatna usłyszała za sobą stukot końskich kopyt i wyrażające troskę słowa. Spojrzała w bok.

Dostrzegła płowego rumaka, a na nim dobrze ubranego kasztanowego młodzieńca z pewnym siebie uśmiechem i przepaską na oku. Ów młodzian z zaciekawieniem powiódł wzrokiem w kierunku odchodzących żołnierzy ciągnących Czarną. Następnie przeniósł spojrzenie na Brunatną, wypluł dobrze przeżute ziło i się przedstawił: – Miło mi poznać, jestem Miedziany i... być może będę mógł pomóc – dodał ze sprytem w głosie.

XXXVIII. ZŁOTY

Wszyscy, którzy zdołali uciec z Orlego Gniazda, a także srebrzyści wojownicy osłaniający ich odwrót, w pośpiechu opuścili Srebrzyste Góry. Zatrzymali się u ich podnóża na północnym zachodzie pośród rozległych równin porośniętych poszarzałą trawą i z lekka przyprószonych śniegiem. Tutaj, na otwartym terenie, nie obwiali się bowiem ataku z zaskoczenia. W te rejony ścigali też ci wojowie z centralnych klanów, którzy dotąd nie należeli do armii Marrenga, a zdołali uciec przed agresorką i pragnęli walczyć przeciw niej. Podobnie szeregi przywódcy Srebrzystej Stali zasilali, choć nieliczni, ochotnicy z jedyne go klanu na zachodzie, mianowicie Srebrzystych Traw. Ten klan zajmował największe przestrzenie i był najbardziej liczny. Jednak jego członkowie różnili się mentalnością od bitnych górali z centrum i ze wschodu, przez co w większości nie przejawiali zbytnej ochoty do walki, ignorując nadciągające zagrożenie. Tak czy inaczej, z jednej strony uszczuplone po wyprawie do Gniazda siły, obecnie wzmacniane były zaciąganiem nowych wojowników. Oczywistym więc wydawało się przegrupowanie wojska i przygotowanie gruntu pod opracowanie skutecznego plan ataku czy też obrony.

Tymczasem od momentu odwrotu Złoty unikał Marrenga, podobnie Mysi, pomny tego, że to właśnie on otworzył bramę do twierdzy, więc miał prawo budzić powszechną niechęć. Ponadto wciąż tęsknie wspominał Srebrną i ciągle nie mógł się pogodzić z tym, że srebrzysta dziewczyna, przy której spędził tyle niezwykłych chwil, odeszła na zawsze. Do tego gdzieś w głębi niego wciąż pobrzmiwała pieśń zanucona mu przez osobę, której skradł pocałunek. I ta rzewna melodia jeszcze wzmagała w nim poczucie bolesnej straty. W konsekwencji sam chętnie przebywał na uboczu. Wszak kodeks światła, a ściślej jego punkt traktujący o konieczności walki do końca, zakazywał mu powrotu do królestwa. Przez to księżę wreszcie przełamał swe opory i skierował kroki do przywódcy zacieśniającego się sojuszu przeciw uzurpatorce.

Był już późny dość mroźny wieczór. Na zachodzie reszta bladej tarczy słońca leniwie stapiała się z ciemnoszarym, jakby brudnym horyzontem, a okolicę zalewały ciemne wręcz grafitowe barwy otoczenia. Tu i ówdzie pojawiały się na namiotach czy szałasach antracytowe cienie ludzi przemykających w dominującej ciszy po pogrążającym się w mroku obozie.

Marrengo zasiadał przy niedawno wznieconym ognisku i sprawiał wrażenie dość strapionego. A może po prostu pogrążony był w głębszej zadumie? Księżę tego nie wiedział, więc ostrożnie zajął miejsce naprzeciw starszego mężczyzny i przyglądał mu się, próbując odczytać z jego twarzy targające nim aktualnie emocje. Lecz zamiast odgadywać stan jego ducha, szybko skoncentrował uwagę na posepnym obliczu samego Marrenga, człowieka, który dotąd zastępował Srebrnej ojca i stanowił prawdziwe ucieleśnienie wojownika północy z dawnych czasów.

Zakryta w dużej mierze srebrzystą brodą i wąsami twarz, do tego naznaczona siateczką głębokich zmarszczek, przywodziła na myśl niedostępny górski szczyt, na który można było z podziwem spojrzeć, ale nawet nie było co marzyć o tym, aby się nań wspiąć. Tym samym przeniknąć umysł tego czempiona północy. Dlatego czując autentyczną siłę Marrenga, także duchową, Złoty miał wobec niego duży respekt i zdecydował się po prostu poczekać, aż mężczyzna sam przemówi. Jednakże już wkrótce wrodzona zapalczywość nie dała mu dłużej trzymać języka za zębami i czyniąc to przepraszającym tonem, osobiście zabrał głos:

– Nienawidzisz mnie, jak inni w obozie, za to, że otworzyłem bramę? – zapytał. Ale wojownik dłuższy czas nie odpowiadał, ani nie czynił żadnego gestu, wpatrując się jedynie w blask ogniska pochłaniającego łąpczywie szare gałęzie. W końcu spojrzał na księcia i z ciężkością w głosie przemówił:

– Jestem co najwyżej zły tylko na siebie, że zamiast natychmiast wyprowadzić ludzi z Gniazda, to szacowałem siłę przeciwnika i zbierałem o jego poczynaniach wieści. Zastanawiałem się, czy utrzymując twierdzę dzięki obecności tam złotych rycerzy, nie damy rady tym samym najskuteczniej pokonać wroga. Jednak się pomyliłem i wielu niewinnych ludzi przypłaciło to życiem, którego nikt im już nie zwróci. To mnie obciąża, nikogo innego. Natomiast co do ciebie... – Uśmiechnął się lekko: – Miałeś czyste intencje i nie mogę cię winić za efekt. Zaś twoja brawura

przypomina mi... Srebrną, właśnie ją. – Rozpogodził się jeszcze bardziej. – Tak... twoje zachowanie było w jej stylu i traktuj to porównanie, jako wyróżnienie. Szczególnie że ostatecznie skierowałeś oręż we właściwą stronę i w odpowiednim momencie, co nie zawsze było domeną mojej podopiecznej. – Przywódca Srebrzystej Stali nieco zmarszczył brwi.

– Srebrna, ale ona... – Złoty już chciał wyjawić wojownikowi straszną prawdę o srebrzystej dziewczynie. Lecz ugryzł się w język, dochodząc do wniosku, że na tego typu wyznanie zaistniał fatalny moment.

– Tak, co z naszą Srebrną? – dopytał z kolei z pewną nadzieją w głosie Marrengo.

– Nie, nic... Chodziło mi o tę... uzurpatorkę – skłamał pokrętnie księżę i żeby przykryć swe lawirowanie, zdecydowanie dodał: – Po prostu pomyślałem, że powinniśmy zgładzić fałszywą Srebrną. Uważam, że na tym należy skoncentrować wspólne wysiłki.

– Całkiem słuszna uwaga, tak właśnie zamierzam uczynić – podchwycił Marrengo.

– Naprawdę? – nie dowierzał w pierwszej chwili młodzieniec, wspominając potęgę olbrzymki. Ale wobec surowego wyrazu twarzy przywódcy zrozumiał, że ten bynajmniej nie raczył żartować. A skoro tak, to wyraził swoją wątpliwość: – Zdradzisz mi, jak chcesz ją pokonać, jeśli ona wydaje się wręcz niezwyciężona?

– Też mam swoje atuty. – Wojownik oparł dłoń na głowicy topora za pasem.

– Tak, oczywiście, jesteś silny – przyznał Złoty, ale nie dając się łatwo przekonać, zauważył: – Lecz ta nienaturalnie wielka kobieta posiada nie tylko wielką siłę fizyczną, ale przede wszystkim dysponuje też niezwyklej rodzajem magicznej mocy.

– Jakiej? – Zaciekawiony mężczyzna zmarszczył krzaczaste brwi.

– Nie wiem, jak ta magiczna sztuka się zowie. Wszak władająca nią postać, samym kłaśnięciem wytrąciła mi miecz z dłoni, a wierz mi, że potrafię należycie ścisnąć w rękach oręż. Ponadto siłą woli zgasiła światło życia w mych dłoniach, co jest doprawdy nie lada wyczynem. – Po tej wykładni zdolności uzurpatorki Złoty stwierdził, że wyniosły szczyt, który do tej pory przypominał mu Marrengo, jakby oklapł, się spłaszczył, a lód i śnieg na nim stopniały. – Jak bardzo jest źle? – zapytał młodzieniec,

rozumiejąc już, że posępny wojownik nabrał nagle sporego respektu wobec olbrzymki, a nawet zaczął się jej obawiać. Zaś jako potwierdzenie swych domysłów usłyszał.

– Jest bardzo źle.

– Więc... co w związku z tym?

– Przede wszystkim w przyszłości trzymaj się od tej kobiety z daleka i zostaw ją mi. Ona nie jest do końca człowiekiem.

Na wieści na temat niehumanoidalnego pochodzenia przeciwniczki Złoty z trudem przełknął ślinę i zaznaczył:

– No tak... wspominała coś, że jest potomkinią olbrzymów.

– To nie wszystko, ponieważ najwyraźniej dysponuje też ich unikatową magią – strapił się Marrengo. – To zaś oznacza, że może mieć w sobie krew samej Pramatki. W tym kontekście rzeczywiście byłaby Srebrną, tylko inną, a do tego również legendarną siostrą krwi, ponadto w skład jej przybranego rodzeństwa wchodzi też arcyniebezpieczny brat... – mówiąc to, coraz bardziej zmartwiony mężczyzna pokręcił głową, zupełnie jakby sam jeszcze nie do końca wierzył we własne słowa.

– Eee... – Kompletnie skołowany tym wywoodem Złoty pozostał z szeroko wytrzeszczonymi oczyma i równie mocno rozwartą szczęką, czekając na dalsze wyjaśnienia. Te jednak nie padły, ponieważ wojownik naraz zebrał się w sobie i uciął dotychczasowy temat, jednocześnie rozpoczynając kolejny:

– Oszczędzę ci trudnych opowieści z minionych er o tym, co zrodzone zostało z miłości, a co z nienawiści...

– Co zostało zrodzone z miłości, a co z nienawiści... – powtórzył w zadumie książkę.

– Dokładnie tak i jakie przyniosło to dla świata konsekwencje – potwierdził Marrengo, po czym ciągnął dalej: – Niezależnie bowiem od skali potęgi przeciwnika i tak musimy się skoncentrować na jego pokonaniu. Na szczęście poczyniłem już stosowne przygotowania, abyśmy i my mieli asa w rękawie, dzięki któremu zwycięstwo będzie, jak sądzę w naszym zasięgu.

– Jaki to as? – zaciekał się młodzieniec.

– Alabastrowy – uśmiechnął się przyjaźnie starszy mężczyzna i wyjaśnił:

– Jeżeli północ jest naprawdę zagrożona, od wieków zwraca się o pomoc do

Wielkiego Księstwa Wschodzącego Słońca i Księżyca. Zawsze otrzymywaliśmy stamtąd w krytycznym momencie pomoc i tym razem też liczę, że się nie zawiedziemy. A mówiąc wprost, wysłałem prośbę do wielkiej księżnej o przysłanie nam do walki niezrównanych jeźdźców gryfów.

– Sam nie wiem... – zamyślił się Złoty, który aż do tej pory nie podzielił się z Marrengiem swoją wiedzą na temat niecnych knowań Alabaster. A jak się właśnie domyślił, także Srebrna musiała milczeć na ten temat. Tak oto przywódca klanowy pozostawał w błogiej nieświadomości, co do prawdziwej natury obecnej przywódczyni alabastrowego ludu. Z drugiej strony księżę zaraz pomyślał, że być może było to akurat błogosławieństwo, bo czemuż by nie wykorzystać militarnej potęgi wspomnianej władczyni?

– Czy powinienem o czymś wiedzieć? – zapytał naraz wojownik, widząc wyraźnie rozważającego coś głębiej młodzieńca. Ale ten, jakby raptem obudzony ze snu, machnął tylko niedbale ręką i uśmiechnął się rozbrajająco, po czym z przekonaniem rzekł:

– Wezwijmy na pomoc wojska wielkiej księżnej. Oczywiście, jak najbardziej taką opcję popieram.

Wraz z tą deklaracją nastąpił kres narady przy ognisku. Natomiast na kolejną, już w towarzystwie alabastrowego oficera, przyszło czekać zaledwie kilka dni, bowiem granica wielkiego księstwa nie była stąd zbyt odległa. Wszak obok dwudziestu łuczników na gryfach przybyły do wojskowego obozu także żądania Alabaster przedstawione w zamian za udzielone wsparcie. Otóż postawiła ona warunek w postaci długu wdzięczności, jaki będą mieli wobec niej zarówno Marrenko, jak i Złoty. Pierwszy z nich musiał złożyć przysięgę na lód i mróz, a drugi na światło słońca, że nigdy nie staną przeciw wielkiej księżnej, a odtąd będą się mienić jej sojusznikami. Ci wyrazili aprobatę, bo przyparciu do muru pragnęli mieć gryfy po swojej stronie. Tym sposobem nadchodził czas, aby z nowymi sprzymierzeńcami dać należyty odpór wrogowi, który schodził właśnie z górskich przełęczy na północno-zachodnią równinę i także gotował się do walki.

Decydująca narada w ścisłym gronie trójki dowódców wojskowych została przeprowadzona na otwartej przestrzeni tuż przed zmierzchem. Kreśląc ostrzem topora na piasku symboliczne linie wojsk i w ten sposób

zaznaczając na ziemi poszczególne oddziały, Marrengo objaśniał stworzony przez siebie plan bitwy, do którego pozostali mieli się ustosunkować. Zaś byli nimi książę Złoty oraz kapitan jeźdźców gryfów – Albin.

Fortel klanowego przywódcy zakładał ustawienie piechoty w jednej linii, ale podzielonej na dwie flanki oraz środek. W takiej formacji wojsko miało oczekiwać wroga, którego liczebność zwiadowcy szacowali na mniej więcej pięciuset wojów i wojowniczek wobec trzystu ludzi pod komendą Marrenga. Ten zaznaczył, że wraz z frontalnym starciem formacja na prawym skrzydle powinna za wszelką cenę utrzymać pozycję, środek ma powoli ustępować pola. Natomiast lewe skrzydło zobowiązane zostanie, aby się dość szybko cofać. W ten sposób w początkowej fazie bitwy wróg nie przełamie szyków wojsk, a jedynie znacząco przesunie się na lewym skrzydle. Tam z kolei leżały bagniste tereny, a wojowie Marrenga mieli zaopatrzyć swe buty w palety, takie same, jakich używano do chodzenia po wysokim śniegu. Dzięki temu zachowają oni mobilność w przeciwieństwie do przeciwnika, który ugrzęźnie na podmokłym terenie. Kiedy zaś zostanie zatrzymany, na jego tyły ruszą ukryte dotąd gryfy, a z przodu ponownie uderzą wojownicy Marrenga. W konsekwencji wróg na lewej flance będzie wzięty w dwa ognie i tam pokonany. Wówczas zwycięskie jednostki uderzą na tyły przeciwnika napierającego na środku, czyniąc to z analogicznych skutkiem i nie pozostanie nic innego, jak wspólnymi siłami zaatakować prawe skrzydło.

Zarówno Złoty, jak i alabastrowy przywódca, zgodnie przyklasnęli dla takiego zamysłu poprowadzenia potyczki. Pozostało więc jedynie określić, które oddziały zajmą dane pozycje na polu bitwy. W tym przypadku propozycje Marrenga także spotkały się z aprobatą. Zatem książę wraz z siedmioma dziesiątkami swych ocalałych i obecnie pieszych rycerzy miał za wszelką cenę utrzymać prawą flankę i nie ustępować ani na krok. Analogiczna ilość wojowników Srebrzystej Stali oraz Srebrzystych Ostrzy pod osobistym dowództwem głównodowodzącego razem z jeźdźcami gryfów otrzymała zadanie pokonania przeciwnika na lewej flance. Natomiast środek linii wojsk miało stanowić stu sześćdziesięciu wojów z pozostałych sprzymierzonych klanów. Takie zapadły ostateczne decyzje i zgodnie z nimi skoro świt wszyscy zbrojni z wojskowego obozu mieli się przebudzić, aby zająć wyznaczone im miejsca przed bitwą.

Aczkolwiek trawiony przez wewnątrz niepokój księżę i tak wiedział, że tej grafitowej nocy niedane mu będzie zasnąć. A że szczerze się obawiał nadchodzącej konfrontacji z silnym wrogiem, postanowił poszukać jeszcze nietypowego wsparcia. W każdym razie dla własnego umysłu. Mianowicie udał się do namiotu wiedźmy z klanu Srebrzystych Szeptów, o której zasłyszał, iż ta, jak nikt inny potrafiła przepowiadać przyszłość. Czy to bowiem nie byłoby piękne, gdyby jeszcze przed brzaskiem się dowiedział, jak zostanie rozstrzygnięta nadchodząca walka, oraz, co dla niego równie istotne, czy w jego przypadku przeżycie w ogóle miało sens? Ponieważ miał spore wątpliwości, czy w jego obecnej egzystencji czekało go jeszcze w ogóle coś dobrego.

Jak postanowił, tak też uczynił. Po wyminięciu szerokim łukiem Mysi i wskazaniu mu na obrzeżach obozu poszukiwanego namiotu w kolorze marengo odsłonił jego połę. Potem wkroczył do jedyne w swoim rodzaju wnętrza.

W mglistym świetle tłącego się na środku ogniska dostrzegł przez kłęby szarego dymu przeróżne przedmioty i to bynajmniej nie tylko z rodowitej północy. Oprócz srebrnych kamyków na ziemi były tu i złote samородki, kawałki bursztynu, czy czarne głązy zwane węglem leżące na niebieskim piasku w otoczeniu alabastrowych kryształów oraz mrocznego pyłu. Z góry zwisały na sznurkach mysie ogonki, skrzydła śnieżnego nietoperza czy suszone łby szmaragdowych węży. A dało się też zauważyć złote światło zamknięte w szklanej kuli, czarne poroże, czy połyskujący jasnością klejnot w kształcie serca. Do tego znajdowało się tu jeszcze wiele innych dziwów z całego kontynentu Unton, od których różnorodności w namiocie można było dostać zawrotów głowy.

W tej niezwyklej scenerii najbardziej powszednia wydawała się zasuszona starowinka, zajmująca przy ogniu pozycję w siadzie skrzyżnym. Nosila niemiłosiernie wytarte poszarzałe skóry w wielu miejscach wręcz przetarte i ukazujące pomarszczone ciało kobiety na jej łonie, ramionach czy udach. Włosy miała długie, proste i srebrne, ale tak przeredzone, że wydawało się, iż dałoby się je z łatwością dość szybko policzyć. Zaś okrutnie poryta bruzdami twarz prezentowała mętne oczy wpatrzone gdzieś w pustkę, sugerujące, że umysł ich właścicielki, jakby nie do końca przebywał tylko w tym namiocie.

Zgodnie z pierwotnym zamiarem Złoty ukucnął i położył na ziemi siedem złotych monet, jako zapłatę za wróżbę. Choć nagle poczuł się nad wyraz niepewnie i na dobre zastanowił, czy jednak nie powinien starszej kobiety przeprosić i zostawić w spokoju. Lecz ku jego sporemu zdziwieniu, nawet się nie zorientował kiedy, a już siedział naprzeciw wiedźmy. Zaś sprawiły to jej niezwykle słowa, które skrzypliwie zanuciła ze swych spękanych ust:

– – Ente soonte maanto siinti... Ente sonnte maanti sento... Ento soto miino maana... Anto minto seen miseento...

– Skąd to znasz? – Książę uśmiechnął się mimowolnie na dźwięk znanej sobie tak bliskiej jego sercu pieśni Srebrnej. Z kolei starowinka, jakby jedynie sama do siebie rzekła:

– To będzie dobra wróżba. – I zaraz skrzypliwie powtórzyła: – O tak, dobra wróżba... – Następnie nie patrząc na Złotego, chwyciła go za dłoń i szponem wskazującego palca skaleczyła jego kciuk. Wycisnęła z rany złocistą krew i jej skapujące krople skierowała wprost do ogniska, z którego buchnęły raptem złote iskry. – To będzie dobra wróżba... – utwierdzała się w swych pierwotnych słowach wiedźma. Z kolei Złoty na dobre zaniemówił i z napięciem patrzył, jak starsza kobieta otwiera drewniane pudełko z szarego drewna, wyjmując z niego złote opiłki i szczyptę sypie w płomienie. W tym momencie w kłębach złocistego dymu zaskoczony książę zobaczył całkiem wyraźne obrazy. Coraz bardziej zdumiony powoli rozpoznawał kolejne postacie oraz miejsca. W tym czasie wiedźma skrzypliwie mówiła:

– „Jeśli zdradzisz kamień złoty, to dla świata są kłopoty”... – A zanim młodzieniec zdążył przetrwać zasłyszana treść, do ogniska już powędrował kasztanowy pył, a wraz z nim dym zmienił barwę na brązową, racząc Złotego innymi wizjami. – „Źródło życia, źródło śmierci. Co wypijesz, to poświęcisz”. – Po kontakcie z malachitowym proszkiem pojawił się dym zielony: – „Złoty książę, lecz z cierni korona, za dawne przysługi przelana krew zielona”. – Potem padły następne sentencje związane odpowiednio z powstającym dymem alabastrowym, czarnym, niebieskim oraz srebrzystym: – „Serce lub umysł, miłość lub zemsta, co wybierzesz, wygrasz albo czeka cię sromotna klęska... Światło i mrok w sojuszu albo czerwień na twym kontuszu... Z nienawiści wyjdzie miłość, a z rozpaczyny łyżki wzruszenia, gdy śmierć stanie się zacynem odrodzenia... Jeśli w niebie wyzwolisz ją z okowów, znajdziesz w niej światło i zbudujesz wam srebrny

dom wiecznego spokoju”...

Po ostatniej wróżbie dym ze srebrzystego ponownie stał się szary. Lecz nie, jak pierwotnie, ponieważ obecnie gęstniał coraz bardziej i to do tego stopnia, że oszołomiony Złoty za moment nic już nie widział. Poczł się całkiem oślepiiony, zaczął krztusić i coraz gwałtowniej wymachiwał rękoma, aby rozwiać kłębiaste obłoki.

Początkowo nic to nie dawało, aż raptem przestrzeń się przejaśniła. Wtedy Złoty zdał sobie sprawę, że nie przebywał już w żadnym namiocie, a na skraju obozu zasiadał samotnie na zimnej ziemi. Ponadto właśnie wstawał srebrzysty świt i rozbrzmiało donośne dęcie w róg, stanowiące sygnał do ustawiania wojska przed bitwą. Przeto księżę nie miał już nawet chwili na próbę zrozumienia wróżb, które usłyszał, wizji, które zobaczył, ani też możliwość odgadnięcia, co się tak na dobrą sprawę wydarzyło. Teraz musiał przede wszystkim czym prędzej udać się do swych ludzi i wydać im odpowiednie polecenia.

* * *

Ranek był rzeński i mroźny, jak zresztą zwykle na północy, przez co złociste zbroje stały się lodowate i pokryły warstewką szronu. Po przysłym polu bitwy snuły się też poranne mgły, które po mroku nocy skrywały w swych szarych obłokach rozstawiające się naprzeciw siebie wojska. Zaś z obu stron, ze wschodu oraz zachodu, dotychczasową ciszę coraz częściej przerywały gardłowe nawoływania wojowników, stanowiące sygnały do formowania w zorganizowanym szyku poszczególnych oddziałów. W takich okolicznościach Złoty z wielkim trudem wreszcie zgasił w umyśle pobrzmiewające w nim ciągle słowa znikającej wiedzy i skoncentrował uwagę już tylko na ustawianiu własnych ludzi.

Z przodu nakazał stanąć w jednej linii dziesięciu najsilniejszym i najroślejszym rycerzom. Za ich plecami znalazły się pozostałe dziesiątki zbrojnych. Przy czym królewscy żołnierze na bokach mieli ustawić tarcze odpowiednio w prawo i w lewo, aby rycerski szyk był szczelny nie tylko z przodu. Sam księżę wcisnął się w środek pierwszej linii i nerwowo spoglądał z ukosa ku centrum sprzymierzonych wojsk, to kierował wzrok prosto przed siebie.

Naprzeciw ciągle widział tylko zawiesinę z szarej mgły, która jednak systematycznie się rozrzedzała szczególnie w wyższych partiach stalowego

nieba. Aż w pewnym momencie na dalekim horyzoncie zamajaczył zarys zaśnieżonych szczytów. Potem nie minęła dłuższa chwila, a z mglistej poświaty wyłonił się wróg, który zgodnie z przewidywaniem Marregna atakował i także podzielił się na trzy zasadnicze grupy, mianowicie mniej liczne flanki oraz najmocniejszy środek.

Lecz będąc już na odległość rzutu oszczepem, na skrzydłach przeciwnika doszło do dodatkowego przetasowania. W efekcie boczne prostokąty wojowników schowanych za masywnymi tarczami uległy podziałowi na dwie pary kwadratów. Zaś coraz bardziej zdenerwowany książę szybko skonstatował, że wróg nie szedł już z nim na czołowe stracie, a jego dwie powstałe na prawym skrzydle części niebezpiecznie zachodziły złotą formację z boków.

– Dziesięć kroków w lewo ku centrum! – krzyknął Złoty, a jego zdyscyplinowani żołnierze, jak jedna istota przesunęli się w zorganizowany sposób w odpowiednie miejsce. Taką korektą ustawienia królewski dowódca chciał się ustawić frontem przynajmniej wobec jednego z nadciągających kwadratów ze ścianą tarcz i połyskujących toporów w swej strukturze. Ale w odpowiedzi wróg jeszcze bardziej rozciągnął szyki, zwiększając przestrzeń pomiędzy formacjami, aby wziąć przeciwnika w kleszcze. Dlatego zaraz padł drugi nakaz: – Piętnaście kroków w prawo! W prawo! – Nastąpiło ponowne przesunięcie złotego wojska. Wszak zaraz książę zauważył, że za bardzo zwiększył lukę od środka sprzymierzonych oddziałów i skorygował polecenie: – Pięć! Pięć kroków w lewo! – W efekcie się zorientował, że jego trud zajęcia dogodniejszej pozycji był daremny, bo niczym zbrojna baletnica tylko tańczył z rycerzami po polu bitwy, a w rezultacie powrócił do pierwotnego miejsca. W konsekwencji już do niego dotarło, że nie uniknie sytuacji, w której dwa atakujące go zbrojne kwadraty uderzą na boki jego formacji, biorąc ją w klinch. Przeklął więc w duchu przebiegłość wroga i wydał, jak sądził, ostatni rozkaz: – Przygotować formację obronną! Przygotować do starcia! – Na tę komendę złociste tarcze w kształcie prostokątów wzniesione zostały tak, że szczelnie przylegały do siebie, chroniąc korpusy rycerzy, a przed nimi wysunięte zostały czubki krótkich mieczy.

Od tej pory książę już tylko w napięciu obserwował dwie zbliżające się grupy przeciwników. Ci także zasłonięci byli szczelnie tarczami, tyle że

srebrzystymi, masywniejszymi i w kształcie okręgów. Ponadto nad poszczególnymi grupami powiewały na lekkim wietrze dwa sztandary. Ten bardziej na prawo przedstawiał zarys klingi zatopionej w falach. Drugi prezentował tonący w chmurach szczyt.

– Wschodnie klany Srebrzystych Fal oraz Srebrzystych Szczytów... – wycedził przez zęby Złoty, który podczas swych podróży po północy poznał już trochę klanowych ziem i kojarzył niektóre proporce. Teraz zaś przychodziło mu na obcej ziemi skrzyżować z północnymi wojownikami oręż, czyniąc to kolejny już raz. Ale w końcu po to właśnie wysłał go tu obecny król. A poczciwa żona Bursztyn, martwiąca się bardzo o jego los i żegnająca go ze łzami w oczach, życzyła mu powodzenia na wojnie. Choć on wyruszył nawet z pewną radością, ponieważ miał tu do załatwienia jeszcze prywatną sprawę, a było nią skryte pragnienie odnalezienia Srebrnej. Obecne natomiast, co jego osobiście trzymało na polu bitwy oko w oko ze śmiertelnie groźnym wrogiem? „Pragnienie dokonania pomsty za Srebrną” – odpowiedział sam sobie w duchu, czując, że teraz prowadził także własną wojnę w imieniu srebrzystej dziewczyny. A uświadamiając sobie tę prawdę, nagle poczuł słuszny gniew i zawrzała w nim bitewna krew. Przeto zupełnie niespodziewanie dla samego siebie raptem zmienił założenia potyczki i samowolnie wyłamał się z narzuconej mu przez Marrenga roli, wniebogłose krzyząc: – Niech się stanie światłość! – I wyemanował z ciała oślepiającą świetlistość, czyli użył sztuki, w której od dziecka szkolili go Złota siostra. Następnie dając sygnał do bezpardonowego szturmu, wściekle wrzasnął: – Rozgromić Srebrzyste Szczyty! Rozgnieść je! – Wskazał mieczem na bardziej wewnętrzną grupę toporników. – Potem atakujemy Fale! – dodał, myśląc o przeciwniku zachodzącym go z prawej strony i już gnał na czele swych rycerzy nieco w lewo na oślepionych wrogów i trzymany przez nich obecnie wyjątkowo nierówny mur tarcz.

Korzystając z powstałego wyłomu w obronie, Złoty ciął mieczem pomiędzy osłony i zanurzył klingę w ciele okrytym futrem. Wyciągnął ostrze zroszone srebrzystą krwią i dalej atakował. Podobnie z sukcesem czynili jego rycerze i szybko wbijali się w zastępy zdezorientowanych od eksplozji światła wojów Srebrzystych Fal. Królewscy zbrojni walczyli nad wyraz skutecznie, co świadczyło o tym, że wojownicy Srebrzystych Szczytów też jeszcze nie zdołali się pozbiierać. Zaś młócający mieczem księżę,

nie dbał o to, że zamiast utrzymać pozycję, to jeszcze przesuwał ją do przodu. W końcu, jeżeli sam zniszczy prawą flankę wroga, a Marrengo odniesie podobny sukces na lewej, to w środku ziszczą prawdziwy pogrom.

Myśląc tak, właśnie skrzyżował miecz ze stalowym toporem i natychmiast zwolnił napór, nie próbując przełamać siłowo przeciwnika. Ten machnął bronią sieczną i nie trafił, a od siły wypadu niemal upadł do przodu, samemu nadziewając się na czubek książęcego ostrza. A zaraz kolejny topornik padł na kolana, z chwilą rozcięcia mu gardła klingą Złotego. On z kolei cofnął się dwa kroki, ponieważ ktoś zaatakował go tarczą, po czym błyskawicznie uskoczył w bok i z tej pozycji ciął przeciwnika w zębra. Wyszarpnął ze srebrzystego ciała krwawy miecz i skrzyżował go z toporem jeszcze jednego wroga, by jak zwykle zluzować napór, stwarzając sobie okazję do kontrataku.

Tak oto skutecznie prowadził walkę na prawym skrzydle, gdzie poszczególne formacje zarówno obrońców, jak i atakujących kompletnie się rozsypały i przemieszały ze sobą. Zaś bitwa opierała się tutaj już tylko na serii indywidualnych pojedynków. A te, w obliczu niedowidzącego przeciwnika, były domeną królewskich rycerzy, którzy skutecznie zdobywali coraz więcej pola, krocząc po trupach północnych wojów.

* * *

Pośród bitewnej wrzawy Marrengo wytarł dłonią srebrzystą krew z twarzy, wszak nie swoją, a pokonanych wrogów i wyszarpnął topór z rozplątanej czaszki uśmierconego przeciwnika. Otarł o przedramię ostrze, oczyszczając ostrą stal z kościstych drzazg oraz mózgowia, po czym łapiąc chwilę oddechu, rozejrzał się wokół, aby ocenić aktualną sytuację na lewym skrzydle.

Z satysfakcją stwierdził, że po niespodziewanym ataku gryfów ostatni wrogowie na tym odcinku bitwy wreszcie złamali swój szyk, poszli w rozsypkę i ruszyli do chaotycznego odwrotu. Zgodnie z wydanymi wcześniej rozkazami mieli być oni cały czas ścigani przez pięciu jeźdźców na gryfach, aby nie zdołali się przegrupować. Natomiast pozostałe gryfy i wojownicy Srebrzystej Stali oraz Ostrzy właśnie opuszczali mokradła i zdejmowali palety z butów, aby pobiec po łuku na tyły wroga, który dotkliwie objął centrum.

Po dokonanych oględzinach Marrengo doszedł do wniosku, że jeżeli tylko

Złotem uda się utrzymać pozycję na prawej flance, to zwycięstwo naprawdę było w zasięgu. Tak pokrzepiony, pognął po grząskim gruncie i w pośpiechu dołączył do swoich ludzi.

Lecz nagle stanął, jak wryty. On, jak i jego wojownicy. Zaś powodem raptownego wstrzymania natarcia okazało się coś, co zdawało się przeczyć rozsądkowi i czemu doprawdy trudno było dać wiarę. Oto odnosiło się wrażenie, że na pole bitwy nadciągały od wschodu trzy masywne góry. Jednakże po dokładniejszych oględzinach owe wzniesienia nabierały humanoidalnych kształtów absurdalnych w swych rozmiarach istot, mianowicie niewidzianych na kontynencie Unton od minionej ery lodowych olbrzymów.

Zdając sobie sprawę z tego, na co spoglądał i rozumiejąc, że nie doświadczał złudzenia, Marrengo w jednej chwili opuścił bezradnie topór, ponieważ dotarło do niego, że bitwa została już przegrana. Albowiem wiedział, iż wobec potęgi gigantów nie pomoże największe nawet bohaterstwo, wymyślana taktyka czy jeźdźcy gryfów. To był koniec i jedyne, co leżało teraz w gestii głównodowodzącego, do chwycić zawieszony na torsie róg i wydobyć z niego wyjątkowo niski dźwięk – sygnał to natychmiastowego odwrotu.

Wszak Marrengowi niedane było wydać rozkazu, bo jak spod ziemi wyrosła przed nim monstrualnych rozmiarów kobieta w niedźwiedzim futrze i z hełmem z morskiego nosorożca. Wojownik znał ją z opisu Złotego i domyślał się kogo miał naprzeciw. Osobę zapewne nieomal niepokonaną. Ale też kogoś, kto zapewne przewodził lodowym gigantom i mogły one poskromić swe mordercze instynkty po wyeliminowaniu ich domniemanej przywódczyni. Dlatego naraz zwietrzył jedyną szansę na zwycięstwo i postanowił za wszelką cenę po nie sięgnąć – natychmiast osiągnął trzeci stopień jedności, po czym z determinacją zaatakował.

Z chwilą zlania się zmysłów w jeden uniwersalny bitewna wrzawa od niego odstąpiła, podobnie jak widok walczących. Wyłącznie, czego teraz doświadczał, to tuż przed sobą zarysu gigantycznej lodowej góry, o której wiedział, że była olbrzymką, z którą się mierzył. Lecz nagle w jego niewzruszonej woli pojawił się wyłom. Zaś stanowiło go pytanie: w jaki sposób można pokonać górę? Nie wiedział tego, ale i nie miał czasu poszukiwać odpowiedzi, nadszedł bowiem czas bezwzględnej walki.

Uniósł topór i w mgnieniu oka przeniknął przestrzeń. Wszak, zanim opuścił wzniesiony oręż, aby umieścić ostrze w sercu góry, ta się zatrzęsła. W efekcie wywołane zostało prawdziwe trzęsienie ziemi, a Marrengo stracił równowagę i upadł. Szybko się jednak pozbierał i za pomocą nadsiły wykonał niebotyczny skok na jawiący się przed nim szczyt. Udało mu się w weń wczepić, ale zaraz zeszła z niego potężna lawina śnieżna i pochłonęła wojownika. W ten sposób znowu znalazł się na ziemi u stóp wrogiego wzniesienia. Następnie spróbował je obiec, licząc na to, że z drugiej strony podejście będzie łatwiejsze, a atak skuteczniejszy. Ale na swe nieszczęście spotkał się ze schodzącym z góry huraganowym wichrem, do tego niezwykle mroźnym. W efekcie uległ unieruchomieniu i częściowo zamrożeniu. Wtedy szczyt eksplodował, zupełnie niczym wulkan, tyle że zamiast zalewu ognia przywódcę Srebrzystej Stali zasypały lodowe sztylety i kolce.

W tym momencie Marrengo został wyrwany ze stanu nadzmysłu. Zorientował się, że klęczał, jego topór leżał na szarej trawie, a on sam cały poprzesywany był ostrym lodem. Dwie lodowe lance przebijały mu tors i wychodziły plecami. Kilka kolców sterczało wbitych w twarz, a jeden w oko. Inne mroźne pociski tkwiły głęboko w udach, brzuchu i barkach. Zaś z całego potężnego ciała okrytego szarym futrem gęsto płynęła srebrzysta krew.

– Na mróz i lód poprzysięgam, że zabiję tego, który pokrzyżował mi plany w Orlim Gnieździe, zatem giń! – wrzasnęła olbrzymka, sprawczyni klęski Marrenga. Wczepiła mu masywne dłonie w tors, zagłębiając w nim swe mocarne palce, po czym zaczęła rozrywać postać mężczyzny na dwie połowy. On ostatkiem sił dostrzegł jedynym okiem przyglądającego się tej upiornej scenie Złotego i jeszcze zdołała do niego wyrzeźbić:

– Chroni... naszą Srebrną.

– Wraaah! – Z tą chwilą, przy wtórze dzikiego wrzasku rozdzierającego wręcz przestrzeń, olbrzymka własnymi rękoma rozerwała wojownika na dwie części i odrzuciła na boki zmasakrowane truchło. Następnie cała zalana srebrzystą krwią szyderczo popatrzyła na zszokowanego księcia. Ten, cofając się, potknął o własne nogi, upadł i dalej pełził niezdarnie na siedząco. Zaś monstrualna kobieta z kąśliwym uśmiechem na ustach kroczyła ku niemu, gniewnie cedząc przez zęby: – Czas teraz przelać

złocistą krew... No chodź, nie uciekaj, przecież i tak już wiesz, że to twój koniec, jak zresztą wszystkich, którzy w swej głupocie stają przeciw potomkini lodowych olbrzymów.

Wtem na pewną siebie kobietę spadł ranny gryf i swym masywnym cielskiem lwa obalił ją na ziemię. To była szansa na przeżycie podarowana Złotemu, której nie zamierzał zmarnować.

Odwracając głowę, zobaczył jeszcze, jak wszechmocna kobieta zmiażdżyła w morderczym uścisku majestatyczne zwierzę, a potem oderwała mu łeb. Księżę natomiast uciekał, jak oszalały z pola bitwy, po drodze pozbywając się miecza oraz zbroi, aby go nie spowalniały. Podobnie zresztą czynili wszyscy niedawni podkomendni Marrenga, gnając w popłochu w zachodnią stronę. Albowiem klęska była całkowita, a odbywała się przy wtórze coraz mocniejszego dudnienia ziemi od stóp stawianych przez trzech nadciągających ze wschodu olbrzymów.

XXXIX. SREBRNA, KASZTAN, RUDA I ZIELEŃ

To wszystko było takie dziwne, nie do końca zrozumiałe i budzące tyle sprzecznych uczuć w zielonym umyśle. Choć ślepy mędrzec zaznaczał, że siostry krwi są szczególnie doświadczane przez los i Zieleń musiała być przegotowana na to, iż jej życie dalekie będzie od sielanki.

Ona mogła to zaakceptować, fakt, że sama będzie wieść żywot pełen walki oraz niepokoju. Jednakże dla Wielkiej Puszczy pragnęła ponad wszystko idyllicznego szczęścia, przez co nie mogła się pogodzić z żadną alternatywą dla takiego stanu. Natomiast wytęskniony stan spokoju wydawała się w leśnych kniejach coraz bardziej odległy i to jak na ironię w dużej mierze także z winy samej wiły.

Obecnie siedziała na północnym pograniczu w cieniu drzew i obgryzała zawzięcie seledynowe paznokcie, co podkreślało jej zdenerwowanie. Zaś miała się czym martwić, ponieważ sprowadzona tu przez nią kasztanowa istota na potęgę kontynuowała wycinkę drzew, czyli realizowała okrutne działanie alabastrowych oraz srebrzystych istot. Zresztą z powodu nieroztropnych działań Zieleni również w samym sercu Wielkiej Puszczy nie działo się wcale lepiej. Tam powstawał ze szkieletów niewinnych drzew olbrzymi pałac Malachitowego Króla.

Z kolei sam udzielny władca wprowadzał na podległych mu włościach coś zupełnie tu dotąd nieznanego, a mianowicie restrykcyjne prawa. Rzecz, bez której wszyscy w lesie świetnie się dotąd obywali, bo od wieków obowiązywało tu wyłącznie jedno prawo – natury. Było ono harmonijne i pozwalało żyć wszystkim istotom lasu w zgodzie. Dla odmiany forsowane przez króla dyktaty były chaotyczne, niezrozumiałe, a przede wszystkim wydawały się niezmiernie okrutne i niesprawiedliwe.

Ot chociażby zwierzęta, zamiast zajmować się po prostu swymi sprawami musiały płacić tak zwaną daninę. Wiewiórki znosiły więc królowi ustalone ilości żołądździ oraz orzechów, bobry pracowały niestrudzenie przy wycince lasu, patki wiły dachy Drzewnego Pałacu, w tym dzięcioły zdobyły

rzeźbieniami jego ściany. Ponadto łosie były zaprzęgane do ciągnięcia zwalonych pni, a mięsożerne zwierzęta musiały odsłużyć swoje w szeregach tak zwanej zielonej armii, której dowodził Tygryzator.

Co zaś spotykało tych mieszkańców kniei, którzy nie wywiązywali się z narzuconych im obowiązków? Tu wiła tylko łapała się za swą zieloną głowę zwieńczoną obecnie wiankiem z zasuszonych, jakby smutnych kwiatów wyłącznie w ciemnych odcieniach zieleni. Albowiem Malachitowy Król wprowadził drastyczne kary surowo egzekwowane przez Aliarogantora, gdzie tutejsza fauna zaplątywana była w liany, niczym w niewolnicze łańcuchy, by pod przymusem służyć. Ponadto, co już całkiem napawało grozą, najbardziej odporne zwierzęta, jak dzikie osły, wręcz zarzynano na mięso i ich truchła dostarczano do mięsożernych oddziałów wojskowych wilków, panter czy tygrysów, strzegących na ten czas północnych rubieży Wielkiej Puszczy.

Czy więc Zieleń mogła na te wszystkie okrucieństwa dalej przemykać swe pistacjowe oczy? Otóż nie, nie mogła, absolutnie musiała coś zrobić. Tylko cały szkopuł polegał na tym, że do jej zielonej głowy ciągle nie przychodził żaden błyskotliwy pomysł.

* * *

Dzień był dość pogodny i ciepły, mimo że z widocznych na północnym horyzoncie Alabastrowych Gór nadciągały momentami lodowate podmuchy wiatru. Z tego samego kierunku sunęły po niebie kłębiaste obłoki przypominające swymi wymyślnymi kształtami pierzaste stworzenia czy spienione fale.

W takim klimacie nadęta z dumy Ruda przechadzała się po świeżo postawionej palisadzie obronnego muru. Wreszcie cały teren portu wraz ze strategicznymi zabudowaniami, jak tartak czy stocznia został według jej wskazań należycie obwarowany. Półkolisty płot z dwóch stron dosięgał morza i był równomiernie wysoki na czterech dorosłych ludzi, a pale wieńczyły zaostrome kocówki. Te sięgały przechadzającej się po kładce dziewczynie do pasa i niemal całkiem skrywały kręcące się tu wilki w roli strażników.

Naraz jeden z futrzanych drapieżników zaczął intensywnie węszyć w kierunku północy, po czym usiadł, ustawił łeb do góry i przeciągle zawył:

– Ałuuu!

Ruda natychmiast zareagowała na ten ostrzegawczy sygnał, wyjmując z pasa lunetę i uzbroiła w nią swe piwne oko. A już zaraz uśmiechnęła się z drwiną, widząc kroczące od strony gór obce wojska. Naliczyła jedenaście wojowniczek i tyleż samo srebrzystych wojowników odzianych w futra. Jednak dobry humor jej nie opuszczał, ponieważ odnośnie ataku na twierdzę obawiała się co najwyżej gryfów. Srebrzysta piechota nie robiła na niej żadnego wrażenia.

Mimo to włożyła palce do ust i gwizdnęła przeciągle, co sygnalizowało pełną gotowość do odparcia wroga. Zawtórowało jej groźne powarkiwanie obecnego na dziedzińcu twierdzy Tygryzatora, a poszczególne drapieżniki w szeregach armii Wielkiej Puszczy zajęły przydzielone im stanowiska. Mianowicie wataha wilków ustawiła się przy północnej bramie, gotowa na rozkaz kontratakować. Na palisadę wkroczyły pantery oraz pумы, mające za zadanie odeprzeć ewentualny szturm. Do tego w odwodzie pozostały najmasywniejsze zwierzęta, jak niedźwiedzie, lwy, czy tygrysy.

Z kolei Ruda miała dziś wyjątkowo dobry dzień, bowiem w zmilitaryzowanym porcie Kasztan nawet nie próbowała przejmować przewodniej roli. Dlatego wspaniałomyślnie postanowiła najpierw rozmówić się z przybyszami z północy, zamiast na ten przykład poszczuć ich na powitanie wilczą sforą.

Jak postanowiła, tak nie omieszkała wkrótce uczynić i już za chwilę kroczyła swobodnie naprzeciw wojowników oraz wojowniczek. Jej uwagę szczególnie przykuwała jedna ze srebrzystych kobiet, właściwie, to ze względu na wiek, jeszcze raczej dziewczyna. Szła bowiem zdecydowanie z przodu. Zatem wydawała się przywódczynią grupy, z którą należało negocjować. I bardzo dobrze, bo Ruda, która czuła się nad wyraz pewnie, nie zamierzała strzępić języka na dyskusję z każdym z północnych.

– Spadajcie stąd, ale już! – wypaliła bez ogródek, gdy tylko zatrzymała się przed przybyszami.

– Ty tu przewodzisz? – zapytała ją chłodno srebrnooka przywódczyni z dość nietypową twarzą. Na co Ruda odpysknęła:

– Tak, a co, Rybia Twarzo?

Wobec tego przezwiska, najwyraźniej trafionego, srebrnowłosej zadrgał nerwowo mięsień na policzku. Następnie pogłaskała swe gładkie lico i jakby uspokojona, w wyjątkowo opanowany sposób odpowiedziała:

– Moje imię brzmi Srebrna i z rozkazu Najjaśniejszej Światłości, wielkiej księżnej Alabaster, władczyni Księstwa Wschodzącego Słońca i Księżyca, a także najwyższej z legendarnych sióstr krwi, zajmuję ten port oraz tereny przyległe.

– Ble, ble, ble... – przedrzeźniała tylko z cynicznym uśmiechem na ustach swą rozmówczynię Ruda, opierając pięści na biodrach. Na co jeden z wojowników wyciągnął topór i z wyrazem gniewu na swym posepnym obliczu postąpił krok naprzód.

– Ani kroku – syknęła dziewczyna, która przedstawiła się, jako Srebrna i nawet nie spoglądając na topornika, wysunęła przed niego rękę, by zagrozić mu drogę. Ten, po krótkiej walce, ale tylko z samym sobą, dał za wygraną. Wobec tej scenki Ruda jedynie przeciągle ziewnęła, przysłaniając sobie ręką otwartą buzię i mrużyła oczy, aż do ich zamknięcia, co miało obrazować dojmujące znużenie. A kiedy ponownie spojrzała przed siebie, znudzona jęknęła:

– Jeszcze to stoicie...?

– Teraz stoimy tu. Ale jeżeli się natychmiast nie wycofacie, wkrótce będziemy stać tam. – Srebrna wskazała na port. – Do tego staniemy tam pomiędzy waszymi stygnącymi truchłami. Zaś rozlewu krwi pragnęłabym uniknąć, dlatego w ogóle rozmawiamy.

– Więc niech przemówi... siła! – warknęła gniewnie Ruda i uniosła rękę. Był to umówiony sygnał dla obsługujących działo mahoniowych bliźniaków. W rezultacie rozbrzmiał huk i doszło do silnej eksplozji tuż koło srebrzystych wojowników. Ci skulili się nisko przy ziemi. Wszyscy poza Srebrną, która hardo oświadczyła:

– Domyślam się, że to nie czary, a broń podobna do tak zwanych muszkietów. Wiedz, że mierzyłam się już z tym przeklętym orężem i nie ulegnę. A osobiście też mam asa w rękawie. – Teraz to przywódczyni północnych uniosła rękę.

– Gryfy... – mruknęła niepokieszona Ruda na widok podrywających się z ziemi zza pleców przybyszy skrzydlatych istot. Zwierzęta zostały sprytnie pokryte ziemistym kolorem, przez co naczelna Spizowej Barci do tej pory ich nie dostrzegła. Poczowała przez to nagły przypływ złości, ponieważ zrozumiała, że jednak musiał się liczyć z przeciwnikami. I żeby dać upust powstałemu w niej raptem ciśnieniu, syknęła:

– To przyjdźcie do nas i weźcie sobie swój port, jak nie tchórzycie, wy, wy szare sługusy tej... Alabaster!

W tym momencie wojownik, który wcześniej wyjął topór i ciągle go nie schował, rzucił się z nim na Rudą. Ona zdążyła raptem położyć dłoń na rękojeści szpady, a srebrzyste ostrze już szybowało na środek jej czoła. Gdy wtem wymierzony w kasztanową twarz topór wytracił impet i minimalnie minął skroń Rudej. Kompletnie zaskoczona zobaczyła przed sobą padającego na brzuch wojownika z raną w plecach zadaną mieczem. Miecz, obecnie ociekający srebrzystą krwią, trzymała Srebrna.

– Nie tak załatwiamy nasze sprawy. Może i jesteście najemnikami, walczącymi na południu, wszak także tutaj obowiązuje nas zimny honor – przemówiła do pozostałych wojowników. Ci wyraźnie niechętnie, ale skinęli na zgodę głowami. Wtedy ich przywódczyni zwróciła się lodowato do Rudej: – Macie czas, aby wycofać się z portu, do południa. Czyli nie pozostało wam wiele czasu. – Popatrzyła na będące prawie w zenicie słońce i warkliwie dodała: – Potem nie będzie już żadnych słów, a jedynie poleje się krew.

Brązowoskóra dziewczyna, ciągle wstrząśnięta gwałtownym wydarzeniem z udziałem martwego obecnie topornika, nic nie odpowiedziała i już bez prezentowanej dotąd beztroski, w pośpiechu powróciła do warowni. Po drodze Kasztan podpowiadała jej, że walka o port z gryfami oraz bitnymi wojownikami północy to czyste szaleństwo i należało ustąpić. Jednakże duma i arogancja Rudej kazały jej zdusić te głosy rozsądku. W pobliżu nie było też Brunatnej, która mogła na nią wpłynąć, aby wymusić ugodę. Dlatego zostało postanowione – zbliżała się krwawa batalia o port i wypadało się do niej jeszcze solidniej przygotować.

* * *

– Nie żyje – ocenił obojętnie srebrzysty wojownik, zupełnie jakby spoglądał na zaszlachtowane zwierzę. Następnie podźwignął się z kolan i przeniósł wzrok z zabitego mieczem mężczyzny na kompanów.

– Zawsze był zbyt porywczy. Ale nie podejrzewałam, że aż tak głupio skończy – rzuciła od niechcienia jedna z siostr miecza i zajęła się przegłądaniem w klindze swego lśniącego ostrza.

– Zabierzcie ciało, oddamy je smokom – zawyrokowała z kolei Srebrna i ruszyła do odwrotu.

– To tak daleko na południu też są smoki? – zagadnęła, wypowiadająca

się uprzednio wojowniczką. A wobec braku odzewu, dodała: – Dobra, chwycę nieszczęsnego Pantyna za ręce, a nich ktoś inny złapie za jego przykrótkie nóżki. – Pantyn głupek – burknęła niezadowolona pod nosem.

– Jak go nazwałaś? – Na dźwięk znanego sobie imienia Srebrna przystanęła.

– Spokojnie! – zachnęła się wojowniczką, puściła trupa i położyła dłoń na rękojeści schowanego już miecza.

– Nie chodzi o zniewagę. – Zbyła jej gest młoda przywódczyni. – Powtórz imię – zażądała.

– Pantyn – padło oschłe potwierdzenie, a za nim dodatkowo wyjaśnienie z kim takim się wiązało imię zabitego mężczyzny: – Zwerbowaaliśmy go na pograniczu z księstwem, jak grabił z innymi wieśniaków. A sam coś wspominał, że jest synem oberżysty. Cóż, tak czy inaczej, matka też go już nie zobaczy na swe srebrzyste oczy.

– Myszelda... – powiedziała bez wyrazu Srebrna. Popatrzyła jeszcze przez chwilę na zabitego przez siebie młodego mężczyznę, jednocześnie tłumiąc w sobie nagle powstałe wyrzuty sumienia. Potem szorstko rzuciła: – Chodźmy przygotować się do walki, istoty z portu nam go nie oddadzą. – I poszła dalej w kierunku gór, już się nie oglądając.

– Tak jest, nasza herosko, ty tu dowodzisz! – usłyszała za sobą gromkie zawołanie jednego z wojowników, a zaraz wyłowiła uchem ciche syknięcie. – Nie ma to, jak mieć koneksje w wyższych sferach. Młódka sobie dowodzi, zaszlachtowała jednego z naszych, a za akcję w porcie dostanie pewnie jeszcze górę srebra albo alabastrowych kryształów. Nie to, co my, po garstce srebrzystego proszku. – Tym pełnym wyrzutów słowom odpowiedziały potakujące pomruki, na które oddalająca się dziewczyna postanowiła nie reagować.

* * *

W samo południe Ruda stanęła w gotowości na północnym odcinku palisady i uważnie lustrowała przez lunetę horyzont. W pewnym momencie dostrzegła grupę dziesięciu srebrzystych wojowników. Szli równą ławą z ustawionymi przed sobą masywnymi tarczami srebrzącymi się w ostrym słońcu. Za nimi maszerowało dziesięć sióstr miecza, a każda ich piątka niosła drabinę. Lecz ludźmi Ruda się bynajmniej nie przejmowała, za to zawzięcie wodziła okiem lunety za gryfami. Niestety tych ciągle nie mogła

namierzyć. Aż znieczcierpliwiona energicznie machnęła ręką. W reakcji na ten gest mahoniowi bliźniacy odpalili działo i kula armatnia eksplodowała w pobliżu maszerujących wojowników. Ci przystanęli na chwilę, ale zaraz wznowili swój pochód.

– Ogień ciągle na środek szyku! – krzyknęła zawzięcie kasztanowa dziewczyna do obsługi armaty. – Wilki przygotować się! – Spojrzała na dół przed zamkniętą bramę. – Pумы oraz pantery w gotowości! – zerknęła na boki, gdzie na drewnianym rusztowaniu przeżyły się wspomniane zwierzęta. Następnie puściła oko do stojącego koło niej Ugiera, zapytując: – I jak?

– Jak flak – zrymował beczelnie robot, w sposób identyczny, jak czynił to dziadek Ugier, kiedy nie był zadowolony. – A wobec takiego wyznania dziewczyna popatrzyła na robota wielce podejrzliwie. Wszak zaraz się rozpogodziła, kiedy swym zwyczajem mechanicznie dodał: – Chronić Kasztan. Chronić Kasztan.

Gdy nagle od metalowej głowy Ugiera odbiła się płonąca strzała. Druga, również z grotem w ogniu, utkwiała w palisadzie tuż koło Rudej. Jednocześnie wokół rozbrzmiało kilka żałosnych skowytów, najwyraźniej od trafionych żołnierzy leśnej armii.

– Co, gdzie, jak?! – gorączkowała się raptem kasztanowa dziewczyna, która nie miała pojęcia, skąd przyszedł niespodziewany atak. Z szybką odpowiedzią przyszedł niezawodny Ugier. Ten okręcił swoją głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni, uzyskując pełne spektrum widzenia. A kiedy jego walcowata łepetyna powróciła do pozycji wyjściowej, metodycznie wyartykułował:

– Nowy skrzydlaty wróg atakuje od południa. Chronić Kasztan, chronić Kasztan. – I stanął od wspomnianej strony tak, aby blaszanym ciałem osłaniać Rudą. Ona naraz z płaskim uderzyła się otwartą dłonią w czoło. Nagle bowiem dotarło do niej, jak dziecinnie dała się podejść, bo właśnie została wzięta w kleszcze.

Ponadto z niechęcią zmierzyła wzrokiem odległość do atakujących z południa ptaków i się upewniła, że przygotowana na nie broń posiadała za mały zasięg. A tajnym orężem były dwie stojące koło Rudej katapulty, strzelające przepołowionymi orzechami kokosowymi wypełnionymi podpalaną ropą. Choć dziewczyna zaraz oceniła, że nawet, jakby płonące pociski mogły niebawem dosięgnąć zbliżających się gryfów, to kierowane do

wnętrza twierdzy kokosy równie dobrze miało prawo wzniecić pożary, a nie podpalić skrzydlate zwierzęta. Więc ten kierunek ataku ogniem odpadał. Jednakże przywódczyni zielonej armii szybko postarała się ogarnąć i już wydawała nowe wytyczne:

– Grupa bojowa wilków! Rozkazuję zaatakować srebrzystego wroga na przedpolach twierdzy! Musimy go trzymać na dystans, zanim nie uporamy się z ptaszyskami! – Kolejne polecenie skierowała do bliźniaków: – Ogień zaporowy na gryfy! – Wreszcie zwróciła się do Tygryzatora: – Niech większe zwierzęta chronią się za drewnianymi budynkami, dopóki gryfów nie strącimy... kulami – dokończyła cienko, nie dowierzając temu, co dostrzegła na wewnętrznym placu. Oto naszpikowany płonącymi strzałami Tygryzator leżał już martwy z wywalonym na wierzch zielonym jęzorem. Natomiast masywne zwierzęta, w większości płonąc, biegały po centrum twierdzy i tratowały się nawzajem. Do tego własnym ciałami podpalały drewniane budynki i wzniecały coraz to nowe pożary. A jakby tego było jeszcze mało, to zza swych pleców Ruda usłyszała wilcze skowyty.

Błyskawicznie się odwróciła, aby zbadać sytuację i już kompletnie zrzęda jej mina. Ponieważ wilcza wataha została skutecznie zamknięta w trójkącie, który tworzył mur tarcz wojowników oraz dwie drabiny trzymane przez siostry miecza. Kiedy zaś drapieżniki podskakiwały do którejś z zapór, były bezlitośnie obijane stalowym orężem.

– Sprytnie, bardzo sprytnie, a nawet... zbyt sprytnie – jęknęła naraz zgaszona Ruda. Zdała sobie bowiem sprawę, że o żadnym desperackim szturmie na port od początku nie było mowy i zostanie po prostu podstępem usmazona w swej twierdzy. – Przeklinam cię! Ty srebrzysty szaraku, przeklinam! – wydarła się w przestrzeń, myśląc o Srebrnej. Gdy naraz zrobiła wielkie oczy, zastanawiając się, gdzie właściwie była teraz wspomniana osoba. Przeto ponownie przystąpiła do gorączkowego lustrowania pola bitwy. Zaś to, co za moment ukazało się jej oczom, sprawiło, że ze złości niemal wyskoczyła ze swej brązowej skóry: – Nie! Nie! Nie! – wrzasnęła na widok okrętu pod banderą alabastrowego słońca i księżyca, który jak gdyby nigdy nic przybijał do molo i właśnie schodzili z niego kolejni wojownicy, w tym ich przywódczyni. – Zabiję cię, zastrzelę... – syknęła wręcz płonąca nienawiścią Ruda, która zdała już sobie sprawę, że przegrała batalię o port i obecnie napędzało ją jedynie pragnienie zemsty

na sprawczyńi swego upokorzenia.

W celu wymierzenia słusznej kary zbiegła pospiesznie po drewnianych schodach na wewnętrzny plac, po czym puściła się slalomem pomiędzy płonącymi budynkami i zwierzętami prosto nad brzeg morza. Wkrótce dotarła na molo. Zastała tam już tylko Srebrną, która spokojnie przyglądała się dogasającej potyczce, gdzie resztki ocalałych zwierząt skakały z każdej strony palisady na zewnątrz obwarowań. Te zaś, które nie połamały sobie nóg, biegły w panice do lasu, a pozostałe rozpaczliwie do niego pełzły.

Wszak wściekła Ruda nie zamierzała rozpaczać nad ich losem, ani też martwić się o kogokolwiek innego. W tej chwili istniała dla niej tylko zemsta, nic więcej. Dlatego wyciągnęła przed siebie pistolety, wymierzyła prosto w Srebrną i szła prosto na nią, aby z najbliższej odległości wpakować w jej rybią twarz dwie kulki. Z kolei wojowniczką stała jakby w jakimś transie z zamglonymi oczyma i patrzyła przed siebie, równocześnie wydając się wcale nie patrzeć. Ale ta dziwna poza nie robiła na Rudej żadnego wrażenia.

– Pożegnaj się ze swym srebrzystym życiem! – wrzasnęła triumfalnie i z bliska wystrzeliła z obu sztuk broni palnej. Lecz w tym samym momencie przestrzeń rozświetlił złocisty rozbłysk. Był tak silny, że Ruda aż się skuliła, przysłaniając twarz dłońmi. A kiedy odjęła je od kasztanowego lica, pierwsze, co zobaczyła, to dwie kule pod własnymi stopami. Potem zerknęła przed siebie i skamieniała na widok idącej ku niej swobodnym krokiem srebrzystej przywódczyni z mieczem w dłoni. – Przeklęta Rybia Twarz... – zdążyła jeszcze wymamrotać zrezygnowanym głosem kasztanowa dziewczyna. Wtedy Srebrna zamachnęła się na nią mieczem, po czym wojowniczką gwałtownie runęła z pomostu do wody, po potężnym ciosie zadany jej młotem w głowę przez wyrosłą jak spod ziemi wiłę.

Po tym zdarzeniu Zieleń oraz Ruda wspólnie patrzyły, jak nieprzytomna dziewczyna z północy wypuszcza z ust pęcherze powietrza i z gracją opada na płytkie dno, aż zatrzymała się na nim bez życia.

– Spadaj, zdychaj, nie oddychaj! – wrzasnęła gniewnie za topielicą Ruda. Zaraz jednak zaczął z niej uchodzić nadmiar emocji, przez co z ulgą dodała: – No i się utopiła... Całe szczęście, ale mało brakowało. Ja w każdym razie mam na jakiś czas dość... – Na siłę oddała przewodnictwo Kasztan. Ona z

kolei całkiem inaczej zapatrywała się na całą sytuację ze Srebrną, ale też na inne sprawy. Dlatego nie śmiała spojrzeć w oczy Zieleni i ciągle patrząc na leżącą na dnie wojowniczkę, po dłuższej chwili ciszy, jakby żałoby, ze smutkiem przemówiła:

– Jest we mnie coś takiego, co ciągle każe mi stawać się kimś inny, aroganckim i trochę... złym. W konsekwencji cierpią ludzie, zwierzęta, roślinność. Nie chcę tego, ale to się po prostu wydarza. Przez to bardzo pragnęłabym poprzysiąc, iż zrobię wszystko, aby pomóc Wielkiej Puszczy. Jednak bolesna prawda wygląda tak, że chyba więcej mogę tak naprawdę popsuć niż naprawić. Zatem już postanowiłam. Powrócę do mojej ojczyzny. Tobie zaś dziękuję, dziękuję za wszystko – zwróciła się bezpośrednio do wiły. – Jesteś wspaniała i cudownie troszczysz się o leśny świat, a mi dwukrotnie uratowałaś życie. Dlatego, jeżeli ktoś naprawdę zasługuje na to, aby władać leśną knieją, to właśnie ty, nikt inny. – Kasztan wreszcie oderwała wzrok od leżącej na dnie wojowniczkę i popatrzyła w zaszklone oczy Zieleni, po czym podsumowała: – Bez wątpienia powinnaś być Zieloną Królową Wielkiej Puszczy i jako takowej oddaję ci hołd. – Pokłoniła się, a potem, niczym koronę, poprawiła wianek na głowie wiły, szeptem dodając: – Chciałbym, abyś była moją siostrą, prawdziwą siostrą. Byłoby tak cudownie, prawda? – roztkliwiła się na dobre Kasztan i sama powitała w oczach kasztanowe łzy.

Gdy wtem na jej twarz chlusnęła zielona ciecz. Nagle wystraszona odsunęła się od wiły i w absolutnym przerażeniu zobaczyła nad nią ociekającą wodą Srebrną, która szybko oddychała, trzymając w dłoniach dwa sztylety. Natomiast Zieleni miała głęboko rozcięte gardło, z którego wylewała się cała fontanna zielonej krwi i istota lasu właśnie umierała.

– Nie... Nie. Nie! Co ty zrobiłaś?! Nie! – zaczęła krzyczeć zrozpaczona Kasztan i z całych sił utuliła umierającą wiłę. – Nie, nie... – szlochała gorzko. – Przecież się utopiłaś! – wrzasnęła oskarżycielsko do Srebrnej.

– Umiem oddychać pod wodą. – Wojowniczkę odrzuciła sztylety i coraz bardziej skonsternowana dodała: – Już... już nie walczymy?

– Jaka walka? Po co walczyć?! Zabiłaś ją. Zabiłaś Zieleni! – rozpaczała tylko coraz bardziej Kasztan.

Zdezorientowana Srebrna uklękła koło leśnej istoty i ostrożnie dotknęła jej zielonej krwi. Roztarła ciecz pomiędzy palcami i wtedy usłyszała w sobie

podszepł Złotej, prawdę o tym, kogo w rzeczywistości uśmierciła. Zawirowało jej w głowie i drżącą ręką podniosła sztylet, nacięła swą dłoń, a ranę musnęła zieloną krwią. Ta rozlała się pomiędzy srebrzystą ciecżą, dołączając w niej do złotej nici i już tam pozostała. A wraz z tym zdarzeniem Srebrna odczuła w sobie część świadomości wiły, a także ostatecznie dotarła do niej straszliwa prawda, co właśnie uczyniła.

– Zabiłam cię, zielona siostrzo, zabiłam... – wyszeptała tak martwym głosem, jakby pochodził z najmroczniejszej czeluści. – Zabiłam cię... Jestem przeklęta i to ja nie powinnam żyć. – Srebrna wypuściła z dłoni nóż, popatrzyła na siebie z jawnym obrzydzeniem i cała się skuliła, jakby pragnąc zapaść w swej istocie, by naprawdę przestać istnieć.

Wówczas Zielen wskrzesiła w sobie ostatnią iskrę życia i chwyciła Srebrną za dłoń. Utkwiła pistacjowe spojrzenie w srebrzystych oczach i lekko się uśmiechnęła, drugą ręką zataczając półkole ze wskazaniem na Wielką Puszcę.

– Teraz... ja mam ochraniać wieczny las, bo jestem twoją siostrą, rozumiem. – Srebrnej po policzkach popłynęły jaśniejące łzy, a trzymająca ją za rękę wiła, skinęła jej głową, po czym wydała swe ostatnie tchnienie.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ